
AUTOR BESTSELLEROWEGO
PROBLEMU TRZECH CIAŁ
CIXIN LIU
WĘDRUJĄCA
ZIEMIA
KSIĄŻKA
LAUREATA
NAGRODY
HUGO
REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

WĘDRUJĄCA ZIEMIA

Cixin Liu

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Jankowski



Dom Wydawniczy REBIS

WĘDRUJĄCA ZIEMIA

Rozdział 1

Era hamowania

Nigdy nie widziałem nocy. Nigdy nie widziałem gwiazd. Nigdy nie widziałem wiosny, jesieni ani zimy. Urodziłem się tuż po zakończeniu ery hamowania, gdy Ziemia przestała się obracać.

Zatrzymanie rotacji Ziemi zajęło czterdzieści dwa lata, trzy lata więcej, niż planowała Koalicja. Matka opowiedziała mi, jak nasza rodzina obserwowała ostatni zachód słońca. Zapadało za horyzont bardzo wolno, jakby na nim utknęło. Zanim ostatecznie zaszło, minęły trzy dni i trzy noce. Oczywiście potem nie było już ani „dnia”, ani „nocy”. Przez długi czas, może nawet przez dziesięć lat, półkula wschodnia była pogrążona w wiecznym zmierzchu. Słońce znajdowało się tuż pod horyzontem i jego blask wypełniał połowę nieba. Urodziłem się podczas tego niekończącego się zachodu słońca.

Zmierzch nie oznacza ciemności. Silniki Ziemi jasno oświetlały całą półkulę zachodnią. Zamontowano je w poprzek Azji i Ameryki Północnej – tylko solidne płyty tektoniczne tych kontynentów mogły wytrzymać ich ogromny napór. W sumie na równinach euroazjatyckiej i północnoamerykańskiej rozmieszczono ich dwanaście tysięcy.

Z miejsca, gdzie mieszkałem, widziałem jaskrawe promienie plazmy wyrzucanej przez setki silników. Wyobraź sobie Partenon na Akropolu

i niezliczone potężne kolumny wznoszące się do sklepienia, z których bucha jak z lamp fluorescencyjnych oślepiające niebieskobiałe światło. Przy nich jesteś tylko mikrobem na posadzce świątyni. W takim świecie żyłem. Prawdę mówiąc, ten opis nie jest zbyt dokładny. Faktycznie rotację Ziemi powstrzymał składnik styczny wytwarzany przez te silniki. W tym celu trzeba je było ustawić pod bardzo precyzyjnie wyliczonym kątem, dzięki czemu wielkie wiązki promieni przecinały niebo ukośnie. Wydawało się, jakby ogromny pałac, w którym mieszkaliśmy, się chwiał i był o włos od zawalenia się! Widząc ten spektakl, przybysze z półkuli południowej często doznawali ataków paniki.

Ale jeszcze bardziej przerażający od widoku silników był wytwarzany przez nie żar. Temperatura sięgała siedemdziesięciu–osiemdziesięciu stopni Celsjusza, co zmuszało nas do wkładania przed wyjściem na zewnątrz kombinezonów chłodzących. Ten żar często powodował gwałtowne burze. Widok wiązek plazmy przebijających się przez ciemne chmury był koszmarny. Chmury rozpraszały ich niebieskobiałe światło, tworząc frenetyczne tęcze. Całe niebo żarzyło się jak rozpalona do białości lawa. Mój dziadek, który był wówczas w podeszłym wieku, cierpiał na otępienie starcze. Pewnego dnia, udręczony nieznośnym upałem, tak się ucieszył na widok deszczu, że rozebrał się do pasa i wybiegł na dwór. Nie zdążyliśmy go zatrzymać. Krople były rozgrzane przez strumienie plazmy prawie do temperatury wrzenia i tak poparzyły mu skórę, że schodziła wielkimi płatami.

Dla urodzonych na półkuli północnej osób z mojego pokolenia to wszystko było tak samo naturalne jak słońce, gwiazdy i księżyc dla ludzi, którzy żyli przed erą hamowania. Nazywaliśmy ten okres w dziejach ludzkości epoką presolarną – i jakże urzekający był ten złoty wiek!

Gdy rozpocząłem naukę w szkole podstawowej, nauczyciele zabrali nas w ramach zajęć na wyprawę dookoła świata. Wtedy Ziemia już zupełnie przestała się obracać. Poza utrzymywaniem tego stanu stacjonarnego silników Ziemi używano tylko do wprowadzania drobnych poprawek w jej ustawieniu. Z tego powodu w ciągu trzech lat, które minęły od ukończenia przeze mnie trzeciego roku życia, wiązki plazmy nie świeciły już tak intensywnie jak wówczas, gdy silniki pracowały pełną mocą. To właśnie ta ich względna nieaktywność pozwoliła nam wybrać się na wycieczkę w celu lepszego zrozumienia świata.

Najpierw zobaczyliśmy z bliska jeden z silników Ziemi. Znajdował się koło Shijiazhuang, obok wjazdu do tunelu kolejowego, który biegł pod górami Taihang. Nad nami, przesłaniając pół nieba, wznosiła się wielka metalowa góra. Na zachodzie łańcuch Taihang wyglądał jak szereg łagodnych wzgórz, więc niektóre dzieci zaczęły krzyczeć, że ta góra jest wysoka jak Mount Everest. Naszą wychowawczynią była ładna młoda kobieta, pani Stella. Roześmiała się i powiedziała, że silnik ma jedenaście tysięcy metrów, dwa tysiące więcej niż Mount Everest.

– Ludzie mówią na nią „Boska Lampa Lutownicza” – dodała.

Staliśmy w jej cieniu, czując pod stopami drgania, w które silnik wprawiał ziemię.

Były dwa główne typy tych silników. Większe nazywano „górami”, mniejsze „szczytami”. To była Góra Północnochińska 794. Wdrapanie się na górę zajmowało dużo więcej czasu niż wspięcie się na szczyt. Na szczyt można było się dostać ogromną windą, natomiast na wierzchołek góry trzeba było wjechać długim, wijącym się wokół niej podjazdem. Nasz autobus włączył się w niekończący się sznur pojazdów wspinających się gładką metalową drogą. Po lewej mieliśmy tylko gołą ścianę z niebieskiego metalu, po prawej bezdenną przepaść.

Większość samochodów stanowiły potężne pięćdziesięciotonowe wywrotki załadowane gruzem skalnym z łańcucha Taihang. Autobus szybko dotarł na wysokość pięciu tysięcy metrów. Ziemia w dole wydawała się stamtąd bezbarwna i nijaka, skąpana w niebieskawym blasku rzucanym przez jej silnik. Pani Stella poleciła nam założyć maski tlenowe. W miarę zbliżania się do wylotu, z którego wydobywały się strumienie plazmy, światło stawało się coraz silniejsze i rosła temperatura. Maski pociemniały i włączyły się mikrokompresory w naszych strojach chłodzących. Na sześciu tysiącach metrów zobaczyliśmy otwór poboru paliwa. Wywrotka za wywrotką zrzucały swój ładunek w ciemnoczerwony żar ziejącego paleniska, które pochłaniało go bezgłośnie. Zapytałem panią Stellę, jak silnik Ziemi zamienia skały w paliwo.

– Fuzja termojądrowa to trudna dziedzina badań, zbyt skomplikowana, byś mógł ją zrozumieć w tak młodym wieku – odparła. – Niech ci wystarczy wiedza, że silniki Ziemi są najpotężniejszymi maszynami, jakie kiedykolwiek zbudowali ludzie. Na przykład Góra Północnochińska, na której się teraz znajdujemy, wywiera na Ziemię nacisk o sile piętnastu miliardów ton, kiedy pracuje pełną mocą.

W końcu autobus wjechał na wierzchołek góry. Wylot strumienia plazmy znajdował się bezpośrednio nad nami. Miał tak wielką średnicę, że gdy podnieśliśmy głowy, widzieliśmy tylko rozżarzoną ścianę niebieskiej plazmy niknącą w bezkresie nieba. Wtedy przypomniałem sobie zagadkę, którą zadał nam nasz nauczyciel filozofii.

– Idziesz przez równinę i nagle natykasz się na mur – rzekł wymizerowany mężczyzna. – Jest nieskończenie wysoki i sięga nieskończenie daleko w głąb ziemi. Rozciąga się nieskończenie daleko w prawo i w lewo. Co to jest?

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Powtórzyłem tę zagadkę pani Stelli, która siedziała obok mnie. Zastanawiała się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową. Nachyliłem się do niej i wyszeptałem jej do ucha straszne rozwiązanie.

Śmierć.

Przez kilka sekund spoglądała na mnie w milczeniu, a potem przytuliła mocno do siebie. Oparłszy głowę na jej ramieniu, patrzyłem w dal. Zamglona ziemia w dole była upstrzona ciągnącymi się po horyzont gargantuicznymi metalowymi szczytami. Każdy wypluwał jaskrawy strumień plazmy i wszystkie razem wyglądały jak pochyłe drzewa w kosmicznym lesie przeszywające chwiejące się niebo.

Krótko potem przybyliśmy nad morze. Widzieliśmy sterczące nad jego powierzchnią wierzchołki zatopionych wieżowców. Gdy zaczął się odpływ, z ich niezliczonych okien chlustała spieniona woda, tworząc kaskady. Jeszcze przed końcem ery hamowania pojawiły się jej przerażające skutki. Fale wywołane przez silniki Ziemi pochłonęły dwie trzecie dużych miast na półkuli północnej. Potem wzrost globalnej temperatury spowodował stopnienie pokrywy lodowej na biegunach, co przemieniło ten potop w katastrofę, która dosięgnęła półkulę południową. Trzydzieści lat temu mój dziadek widział na własne oczy, jak stumetrowa fala zalewa Szanghaj. Jeszcze teraz, opisując ten widok, patrzył nieobecnym wzrokiem w dal. Prawdę mówiąc, nasza planeta zmieniała się nie do poznania, jeszcze zanim wyruszyła w podróż. Kto wiedział, jakie próby i cierpienia czekają nas podczas niekończących się wędrówek w przestrzeni kosmicznej?

Wsiedliśmy na coś zwanego „liniowcem” – starożytny środek komunikacji – i odbiliśmy od brzegu. Strumienie plazmy wyrzucanej przez silniki Ziemi zostały za nami i coraz bardziej się oddalały. Po dniu podróży w ogóle zniknęły z widoku. Ocean skąpany był w świetle płynącym

z dwóch źródeł. Na zachodzie wiązki plazmy wciąż zalewały niebo niesamowitą niebieskawą poświatą, na wschodzie nad horyzontem pełgało różowe światło słońca. Rywalizujące ze sobą promienie dzieliły morze na pół, a nasz statek płynął wzdłuż skrzącej się granicy, na której się spotykały. Był to fantastyczny widok. Ale kiedy niebieska poświata zaczęła zostawać z tyłu, a różowa stawała się coraz silniejsza, na statek wkradł się niepokój. Na pokładzie nie widać już było ani mnie, ani żadnego z moich kolegów. Kryliśmy się w kajutach, zaciągnąwszy żaluzje na iluminatory. Następnego dnia nadeszła chwila, której najbardziej się obawialiśmy. Zebraliśmy się w dużej kajucie pełniącej funkcję klasy, by wysłuchać pani Stelli.

– Dzieci – zaczęła uroczystym głosem – teraz pójdziemy obejrzeć wschód słońca.

Nikt się nie ruszył. Oczy wszystkich nabrały szklistego połysku, jakby naraz zamarzły. Pani Stella starała się nakłonić nas do wyjścia z kajuty, ale wszyscy siedzieliśmy nieruchomo. Jedna z pozostałych nauczycielek powiedziała:

– Wspominałam o tym już wcześniej: naprawdę powinniśmy odbyć tę podróż dookoła świata, zanim zaczniemy ich uczyć historii nowożytnej. Łatwiej się do tego przystosują.

– To nie takie proste – odparła pani Stella. – Podłapią to ze swojego otoczenia, zanim zaczniemy lekcje historii nowożytnej. – Obróciła się do dyżurnych. – Najpierw pójdziecie wy, dzieci. Nie bójcie się. Kiedy byłam w waszym wieku, też się denerwowałam przed zobaczeniem po raz pierwszy wschodu słońca. Ale kiedy już go ujrzałam, wszystko było dobrze.

W końcu wstaliśmy i jeden za drugim powlekliśmy się do wyjścia. Nagle poczułem, że za rękę chwyta mnie czyjaś lepka dłoń. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Spóźnialską.

– Boję się – jęknęła.

– Widzieliśmy już słońce w telewizji. To jest to samo – zapewniłem ją.

– To samo? Zobaczyć węża w telewizji to to samo, co zobaczyć go na żywo?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Tak czy inaczej musimy iść i je zobaczyć. Inaczej obniżą nam oceny!

Spletliśmy ciasno dłonie, idąc ostrożnie z resztą dzieci na pokład. Przygotowywaliśmy się do stawienia czoła naszemu pierwszemu wschodowi słońca.

– Prawdę mówiąc, zaczęliśmy się bać słońca dopiero trzy czy cztery wieki temu. Przedtem jego widok nie napełniał ludzi strachem. Wprost przeciwnie. W ich oczach słońce było szlachetne i majestatyczne. Wtedy Ziemia wciąż obracała się wokół swej osi i ludzie codziennie widzieli wschód i zachód słońca. Radowali się wschodem i podziwiali zachód.

Pani Stella stała na dziobie statku, a jej długie włosy mierzwił wiatr. Za nią nad horyzont wystrzeliły pierwsze promienie słońca niczym oddech wydobywający się z nozdrzy jakiegoś niewyobrażalnie ogromnego stworzenia morskiego.

W końcu ujrzeliśmy mrożący krew w żyłach płomień. Najpierw była to tylko świetlna plamka na horyzoncie, ale szybko rosła i przemieniła się w oślepiający łuk. Ze strachu ścisnęło mi się gardło. Miałem wrażenie, że pokład usuwa mi się spod stóp i spadam w czerń morza… Ze mną spadała Spóźnialska, przyciskając się do mnie drżącym patykowatym ciałem. Wszyscy pozostali koledzy z klasy – ba, cały świat – spadali w otchłań. W tym momencie ponownie przypomniałem sobie zagadkę, którą zadał nam nauczyciel filozofii. Zapytałem go wtedy, jaki kolor ma ten mur. Powiedział, że czarny. Pomyślałem, że się myli. Zawsze wyobrażałem sobie, że mur śmierci jest jaskrawy jak świeży śnieg. Dlatego przypomniałem to sobie, kiedy zobaczyłem ścianę plazmy. W tamtej epoce

śmierć nie była już czarna. Była jasna jak błyskawica i gdy uderzy ten ostatni piorun, w jednej chwili wyparuje cały świat.

Ponad trzysta lat wcześniej astrofizycy odkryli, że proces przemiany wodoru w hel we wnętrzu Słońca przyspiesza. By to sprawdzić, wystrzelili na Słońce tysiące sond i w końcu opracowali precyzyjny model matematyczny tej gwiazdy.

Na jego podstawie obliczyli, że Słońce opuściło już ciąg główny diagramu Hertzsprunga–Russella. Hel miał wkrótce przeniknąć całe jądro Słońca i doprowadzić do potężnego wybuchu zwanego błyskiem helowym. Potem Słońce stanie się tlącym się czerwonym olbrzymem, który będzie się rozrastał i sięgnie poza orbitę Ziemi. Ale nasza planeta już na długo przedtem wyparowałaby w tym błysku.

Przewidywano, że to wszystko wydarzy się w następnych czterystu latach. Od tamtej pory minęło trzysta osiemdziesiąt lat.

Ta katastrofa solarna nie tylko pochłonęłaby wszystkie nadające się do zamieszkania planety typu ziemskiego w Układzie Słonecznym, ale też zupełnie zmieniłaby strukturę planet jowiszowych i ich orbity. Po pierwszym błysku helowym i ponownym zgromadzeniu się w jądrze Słońca pierwiastków ciężkich przez pewien czas dochodziłoby do kolejnych wybuchów jądrowych. Chociaż okres ten byłby tylko krótką fazą ewolucji gwiazdy, mógłby trwać tysiące razy dłużej niż całe ludzkie dzieje. Gdybyśmy pozostali w Układzie Słonecznym, ludzkość nie przetrwałaby tej katastrofy. Jedynym wyjściem było przeniesienie Ziemi na orbitę wokół innej gwiazdy. Biorąc pod uwagę ówczesny poziom rozwoju technologii, celem tej migracji mogła być tylko Proxima Centauri. Gwiazda ta znajdowała się najbliżej naszej, była oddalona zaledwie o 4,3 roku świetlnego. Dojście do porozumienia w sprawie celu było łatwe, spory dotyczyły tego, jak tam dotrzeć.

Abyśmy zapamiętali lekcję, nasz statek powtórzył rejs przez Pacyfik, co dało nam możliwość dwukrotnego obejrzenia wschodu słońca. Przywykliśmy do tego widoku i nie trzeba już nas było przekonywać, że dzieci na półkuli południowej mogły przetrwać codzienne wystawienie na słońce. Wpłynęliśmy w świt. Kiedy słońce wzniosło się wyżej, zimne morskie powietrze, które towarzyszyło nam przez kilka ostatnich dni, cofnęło się i temperatura zaczęła rosnąć. Leżałem w swojej kajucie i powoli zapadałem w sen, gdy usłyszałem poruszenie na pokładzie. Otworzyły się drzwi kajuty i wsunęła do niej głowę Spóźnialska.

– Hej, wstawaj! Opuszczacze i Zabieracze znowu wzięli się za łby!

Nic mnie to nie obchodziło. Walczyli ze sobą od czterystu lat. Mimo to wyszedłem, żeby zerknąć na bójkę. Biło się kilku chłopców. Wystarczył mi jeden rzut oka, by się zorientować, że znowu zaczął Tung. Jego ojciec był zatwardziałym Opuszczaczem i wciąż odsiadywał wyrok za udział w powstaniu przeciw Koalicji. Tung był jego nieodrodnym synem.

Z pomocą kilku krzepkich członków załogi pani Stelli udało się rozdzielić chłopców. Pomimo krwawiącego nosa Tung nadal wygrażał pięścią i krzyczał:

– Wyrzucić Zabieraczy za burtę!

– Ja jestem Zabieraczką – powiedziała pani Stella. – Mnie też chcesz wyrzucić za burtę?

Tung nie chciał się poddać.

– Wyrzucę każdego Zabieracza!

Ostatnio rosło globalne poparcie dla Zabieraczy, więc znowu zaczęli się burzyć.

– Dlaczego tak nas nienawidzisz? – zapytała pani Stella.

Natychmiast zareagowało na to kilkoro dzieci Opuszczaczy.

– Nie chcemy umierać z wami na Ziemi, głupi Zabieracze!

– Zbudujemy statki kosmiczne i odlecimy! Wszyscy opowiedzmy się za statkami kosmicznymi!

Pani Stella nacisnęła guzik projektora holograficznego na przegubie ręki. W powietrzu przed nami zmaterializował się obraz i przykuł naszą uwagę. Na chwilę się uciszyliśmy. Hologram pokazywał kryształowo czystą szklaną kulę. Miała około dziesięciu centymetrów średnicy i była w dwóch trzecich wypełniona wodą. Znajdowały się w niej mała krewetka, kawałek korala i trochę zielonych alg. Krewetka pływała leniwie wokół korala.

– To praca przygotowana przez Tunga na lekcję przyrody – wyjaśniła pani Stella. – Oprócz rzeczy, które wszyscy widzicie, w tym akwarium są też mikroskopijne bakterie. Wszystko, co się tam znajduje, pozostaje we wzajemnej zależności. Krewetka zjada algi i pobiera tlen z wody, a potem wydala materię organiczną i wydziela dwutlenek węgla. Bakterie rozkładają odchody krewetki na związki nieorganiczne. Potem algi w sztucznym świetle dokonują fotosyntezy tej materii nieorganicznej i dwutlenku węgla. Wytwarzają składniki odżywcze, rosną i reprodukują się oraz wydzielają tlen, którym oddycha krewetka. Dopóki dociera tam nieprzerwanie światło, cykl ekologiczny w tym akwarium powinien trwać w nieskończoność. To najlepsza praca uczniowska, jaką widziałam. Wiem, że ta kula jest ucieleśnieniem marzeń Tunga i wszystkich dzieci Opuszczaczy. To statek kosmiczny, o jakim marzycie, w miniaturze! Tung powiedział mi, że zaprojektował to zgodnie ze ścisłymi modelami matematycznymi. Tak zmodyfikował geny wszystkich organizmów, by zapewnić wieczną równowagę ich metabolizmów. Mocno wierzył, że mały świat w tym akwarium przetrwa do naturalnego końca życia krewetki. Tę pracę podziwiali wszyscy nauczyciele. Umieściliśmy kulę w zasięgu źródła sztucznego światła o potrzebnym natężeniu. Obliczenia Tunga nas przekonały i życzyliśmy mu w duchu, by stworzony przez niego mały świat

przetrwał. Ale teraz, po dwóch tygodniach… – Pani Stella ostrożnie wyjęła szklaną kulę z małego pudełka. Na powierzchni mętnej wody unosiła się martwa krewetka. Gnijące algi straciły zielone zabarwienie i zamieniły się w kożuch, który pokrywał koral. – Ten miniaturowy świat jest martwy. Dzieci, możecie mi powiedzieć dlaczego?

Pani Stella uniosła akwarium, by wszyscy mogli je zobaczyć.

– Był za mały!

– Istotnie, był za mały. Takie małe ekosystemy jak ten, bez względu na to, jak precyzyjnie zostały zaprojektowane, nie mogą przetrwać upływu czasu. Statki kosmiczne Opuszczaczy nie są wyjątkiem.

– Zbudujemy statki wielkości Nowego Jorku czy Szanghaju – zaprotestował Tung, ale dużo ciszej niż poprzednio.

– Tak, ale zbudowanie większych przekracza możliwości ludzkiej technologii, a poza tym w porównaniu z Ziemią te ekosystemy nadal będą o wiele za małe.

– No to znajdziemy nową planetę!

– Sami w to nie wierzycie – odparła pani Stella. – Wokół Proximy Centauri nie ma żadnej odpowiedniej planety. Najbliższa gwiazda, wokół której krążą nadające się do zasiedlenia planety, jest odległa o osiemset pięćdziesiąt lat świetlnych. Na razie najszybsze statki, jakie potrafimy budować, mogą lecieć z prędkością zaledwie pół procent prędkości światła, a to oznacza, że potrzebowalibyśmy stu siedemdziesięciu tysięcy lat, by się tam dostać. Ekosystem wielkości statku kosmicznego nie przetrwałby nawet jednej dziesiątej tego czasu. Dzieci, nieskończone trwanie może nam zapewnić tylko ekosystem o rozmiarach Ziemi, z niepowstrzymanym cyklem ekologicznym! Jeśli ludzie opuszczą Ziemię, będą bezbronni jak dziecko oddzielone od matki na środku pustyni!

– Ale… – mruknął Tung i przerwał. Potem powiedział: – Pani Stello, i dla nas, i dla Ziemi jest już za późno. Słońce wybuchnie, zanim zdążymy przyspieszyć i odlecieć od niego na bezpieczną odległość.

– Mamy dość czasu – odpowiedziała stanowczym tonem. – Musicie wierzyć w Koalicję! Ile razy wam to mówiłam? A nawet jeśli nie, będziemy mogli przynajmniej powiedzieć: „Ludzkość ginie z podniesionym czołem, bo zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy”!

Ucieczka ludzi była podzielona na pięć etapów. Na pierwszym silniki Ziemi miały generować napór na nią w kierunku przeciwnym do jej obrotów i je powstrzymywać. Na drugim, pracując pełną mocą, miały nadawać jej przyspieszenie, by osiągnęła prędkość ucieczki i opuściła Układ Słoneczny. Na trzecim Ziemia miała nadal przyspieszać, lecąc ku Proximie Centauri. Na czwartym silniki miały zmienić kierunek, przywracając Ziemi ruch obrotowy i stopniowo zmniejszając prędkość. Na piątym Ziemia miała wejść na orbitę wokół tej gwiazdy i stać się jej satelitą. Te pięć etapów nazwano, odpowiednio, „erą hamowania”, „erą opuszczania”, „pierwszą erą wędrówki” (podczas przyspieszania), „drugą erą wędrówki” (podczas zmniejszania prędkości) i „erą neosolarną”.

Cały proces migracji miał według planu trwać dwa i pół tysiąca lat, czyli życie ponad stu pokoleń.

Liniowiec kontynuował podróż do części Ziemi pogrążonej w ciemności nocy. Nie docierały tam ani światło słoneczne, ani blask plazmy. Czując na twarzach podmuchy zimnej atlantyckiej bryzy, pierwszy raz w życiu zobaczyliśmy gwiazdy. Boże, to był niesamowicie piękny widok! Pani Stella stała, obejmując jednym ramieniem Spóźnialską i mnie.

– Spójrzcie, dzieci – powiedziała, wskazując drugą ręką gwiazdy. – Tam jest Centaurus, a tam Proxima Centauri, nasz nowy dom!

Zaczęła płakać, a my razem z nią. Wszystkim wokół nas, nawet kapitanowi i załodze – zahartowanym marynarzom – wezbrały w oczach łzy. Patrzyli przez nie w kierunku, który pokazała pani Stella, a gwiazdy migotały i tańczyły. Tylko jedna trwała nieruchomo w miejscu; było to światło latarni morskiej płynące nad ciemnym i burzliwym morzem, ognik, który zapraszał samotnego wędrowca marznącego w tundrze. Ta gwiazda zajęła w naszych sercach miejsce Słońca. Była jedynym promykiem nadziei dla ponad setki przyszłych pokoleń żeglujących przez morze kłopotów.

W drodze powrotnej do kraju zobaczyłem pierwszy znak świadczący o tym, że Ziemia wychodzi z Układu Słonecznego. Na niebie pojawiła się wielka kometa – Księżyc. Nie mogliśmy go zabrać ze sobą, więc na jego powierzchni zainstalowano silniki, które spychały go z orbity wokół Ziemi, by podczas przyspieszania nie doszło do kolizji z nim. Długi ogon, który zostawiały za sobą księżycowe silniki, zalewał morze niebieskawym światłem i przesłaniał gwiazdy. Kiedy Księżyc zostawał za nami, jego przyciąganie grawitacyjne wywoływało na morzu ogromne bałwany. Żeby dostać się na półkulę północną i wrócić do domu, musieliśmy się przesiąść do samolotu.

W końcu nadszedł dzień wyjścia z Układu Słonecznego!

Gdy wysiedliśmy, oślepił nas blask silników Ziemi. Wydobywające się z nich płomienie były wielokrotnie jaśniejsze niż wcześniej i nie układały się już ukośnie, lecz buchały prosto w niebo. Silniki pracowały z maksymalną mocą. Przyspieszenie, jakie nadawały Ziemi, podniosło stumetrowe fale, które uderzyły na wszystkie kontynenty. Przez słupy plazmy przeciągały piekielne huragany, wzbijając wrzącą pianę i powalając

całe lasy… Nasza planeta stała się gigantyczną kometą, której ogon przeszywał ciemność przestrzeni kosmicznej.

Ziemia ruszyła w drogę, ludzkość ruszyła w kosmiczną podróż.

Tuż przed odlotem Ziemi mój dziadek zmarł wskutek infekcji, która spustoszyła jego poparzone ciało. W swych ostatnich chwilach wciąż powtarzał jedno zdanie: „Ach, Ziemia, moja wędrująca Ziemia…”.

Rozdział 2

Era opuszczania

Nasza szkoła miała się przenieść do podziemnego miasta, a my, jej uczniowie, mieliśmy się znaleźć w grupie jego pierwszych mieszkańców. Szkolny autobus wjechał do tunelu opadającego łagodnie w głąb ziemi. Po półgodzinnej jeździe powiedziano nam, że jesteśmy już na miejscu, ale to, co widziałem z okna autobusu, w niczym nie przypominało żadnego znanego mi miasta. Mijaliśmy labirynt mniejszych tunelów bocznych i niezliczone zamknięte drzwi osadzone w zagłębieniach w ścianach. W świetle neonówek zamontowanych na sklepieniu wszystko zdawało się mieć niebieski odcień. Nie mogliśmy się oprzeć przygnębieniu, gdy sobie uświadomiliśmy, że przez większą część reszty życia będzie to nasz świat.

– W jaskiniach żyli ludzie pierwotni, a teraz będziemy tak żyć my.

Spóźnialska powiedziała to cicho, ale mimo to pani Stella usłyszała jej słowa.

– Nie można na to nic poradzić, dzieci. – Westchnęła. – Powierzchnia wkrótce stanie się strasznym miejscem. Kiedy będzie zimno, wasza ślina zamarznie, zanim spadnie na ziemię. Kiedy będzie gorąco, wyparuje zaraz po wydostaniu się z waszych ust!

– Wiem, że będzie zimno, bo Ziemia oddala się od Słońca, ale dlaczego będzie gorąco? – zapytała dziewczynka z jednej z młodszych klas.

– Nie uczyłaś się, idiotko, o orbitach kołowych? – warknąłem.

– Nie.

Spóźnialska zaczęła jej cierpliwie wyjaśniać, o co chodzi, jakby chciała w ten sposób odegnać smutne myśli.

– To jest tak: silniki Ziemi nie są tak potężne, jak myślisz. Mogą trochę przyspieszyć ruch Ziemi, ale nie zepchną jej od razu z orbity. Zanim Ziemia ucieknie od Słońca, musi okrążyć je jeszcze piętnaście razy! Podczas tych okrążeń będzie stopniowo przyspieszać. W tej chwili jej orbita wokół Słońca jest prawie okrągła, ale wraz ze wzrostem prędkości będzie przybierała coraz bardziej eliptyczny kształt. Im szybciej będzie się poruszała, tym bardziej ta elipsa będzie się spłaszczała i tym bardziej Słońce będzie się przesuwało ku jednemu krańcowi orbity. A więc kiedy Ziemia znajdzie się w największej odległości od niego, naturalnie zrobi się bardzo zimno…

– Ale… to nieprawda! Zrobi się zimno, kiedy Ziemia znajdzie się daleko od Słońca, ale na drugim końcu elipsy jej odległość wyniesie… Hmm, niech pomyślę. – Dziewczynka przygryzła wargę. – Dynamika orbitalna mówi, że Ziemia nie znajdzie się bliżej Słońca niż teraz, więc dlaczego zrobi się bardziej gorąco?

Naprawdę była małym geniuszem. Dzięki inżynierii genetycznej tego typu wyjątkowa pamięć stała się normą. Pod tym względem ludzkości dopisało szczęście. W przeciwnym razie w ciągu czterystu lat nie udałoby się jej dokonać tak niewyobrażalnych cudów jak silniki Ziemi.

– Nie zapominaj o silnikach Ziemi, głupia – wtrąciłem. – Ponad dziesięć tysięcy tych gigantycznych lutownic pracuje pełną mocą. Ziemia jest w zasadzie tylko pierścieniem, w którym osadzone są wyloty spalin rakiet. A teraz się ucisz. Zaczynasz mnie irytować.

Pod ziemią zaczęliśmy nowe życie. W naszym mieście znajdującym się pięćset metrów pod powierzchnią było miejsce dla ponad miliona mieszkańców. Wiele podobnych do niego rozsianych było po wszystkich kontynentach. Tutaj skończyłem podstawówkę i poszedłem do szkoły średniej. Nauczanie skupiało się na przedmiotach ścisłych i inżynierii. Ograniczono do minimum czas na zajęcia plastyczne, filozofię i inne przedmioty, które uznano za nieistotne, albo w ogóle usunięto je z programu. Ludzie nie mieli już czasu na rozrywki i abstrakcyjne rozważania. Była to najpracowitsza era w dziejach ludzkości. Każdy miał jakąś pracę do wykonania i ta praca nigdy się nie kończyła. Co ciekawe, niemal z dnia na dzień zniknęły wszystkie religie. Ludzie zdali sobie w końcu sprawę, że gdyby naprawdę istniał Bóg, byłby skończonym draniem. Nadal uczyliśmy się historii, ale era presolarna wydawała się nam tak samo mityczna jak raj.

Mój ojciec był astronautą w siłach powietrznych. Często latał w misjach na niską orbitę wokół Ziemi i rzadko bywał w domu. Pamiętam, że w piątym roku przyspieszania, kiedy Ziemia znalazła się w afelium, pojechaliśmy całą rodziną nad morze. Dzień Afelium był takim świętem jak Nowy Rok czy Boże Narodzenie. Gdy Ziemia weszła na część orbity najbardziej oddalonej od Słońca, wszyscy pławili się w złudnym poczuciu bezpieczeństwa, ale na powierzchnię nadal musieliśmy wychodzić w specjalnych kombinezonach termicznych. Zamiast strojów chłodzących przywdziewaliśmy teraz ubrania grzejące, zasilane przez baterie jądrowe. Na zewnątrz niemal zupełnie oślepiły nas strumienie plazmy wyrzucanej przez silniki Ziemi. Ostre światło tak raziło nas w oczy, że nie bardzo widzieliśmy świat na powierzchni i trudno było się zorientować, czy krajobraz się zmienił. Musieliśmy długo lecieć samochodem, zanim

uciekliśmy przed tym blaskiem i w końcu udało się nam dojrzeć brzeg morza. Słońce skurczyło się do rozmiarów piłki do koszykówki. Wisiało nieruchomo na niebie, otoczone słabym halo, podobnym do światła świtu. Niebo miało tak ciemnoniebieski kolor, jakiego nigdy wcześniej nie widzieliśmy, i wyraźnie było widać gwiazdy. Rozglądając się wokół, zastanawiałem się, gdzie się podział ocean. Teraz była tam tylko ciągnąca się po horyzont biała, pokryta lodem równina. Na zamarzniętym morzu zgromadził się duży tłum świętujących. Ciemność przeszywały ze świstem ognie sztuczne. Wszyscy oddawali się hulance z niezwykłym zapamiętaniem. Po lodzie przetaczały się grupy pijanych, a inni ryczeli słowa dziesięciu różnych piosenek, starając się zagłuszyć głosy konkurentów.

– Mimo wszystko każdy żyje własnym życiem. Nie ma w tym nic złego – rzekł ze zrozumieniem ojciec. Przerwał, nagle coś sobie przypomniawszy. – Zapomniałem wam powiedzieć: zakochałem się w Stelli Li. Chcę się wyprowadzić i zamieszkać z nią.

– Kto to jest? – zapytała spokojnie matka.

– Moja nauczycielka z podstawówki – odpowiedziałem za ojca. Przed dwoma laty zacząłem naukę w liceum, więc nie miałem pojęcia, jak ojciec ją poznał. Może na uroczystości ukończenia szkoły podstawowej?

– No to się wyprowadź – powiedziała matka.

– Na pewno szybko mi się znudzi i wtedy wrócę. Pasuje ci to?

– Pewnie. Wróć, jeśli będziesz chciał – odpowiedziała spokojnym i równym jak zamarznięte morze głosem, ale chwilę potem zawołała z podnieceniem: – O, ten jest piękny! Musi mieć w środku dyfraktor holograficzny! – Wskazała fajerwerk rozkwitający na nocnym niebie, autentycznie poruszona jego widokiem.

Filmy i powieści tworzone przed czterystu laty zbijały z tropu współczesnych widzów i czytelników. Było dla nas niepojęte, dlaczego w erze presolarnej ludzie tak bardzo angażowali się emocjonalnie w sprawy, które nie miały nic wspólnego z przetrwaniem. Bohater czy bohaterka cierpiący albo płaczący z powodu odtrąconej miłości byli dla nas tak dziwaczni, że brakowało nam słów. W naszych czasach śmiertelne zagrożenie i pragnienie ucieczki przesłaniały wszystkie inne sprawy. Nic poza aktualnymi danymi o stanie Słońca i pozycji Ziemi nie mogło nas poruszyć ani nawet przyciągnąć naszej uwagi. Niezwykłe skupienie na tych dwóch kwestiach zmieniło ludzką psychikę i duchowość. Niczym nałogowy hazardzista, który pociąga łyk wody, nie mogąc odwrócić wzroku od ruletki, nie zaprzątaliśmy sobie głowy sprawami sercowymi.

Po dwóch miesiącach ojciec wrócił z wypadu do pani Stelli. Matka ani się nie ucieszyła, ani nie zmartwiła na jego widok.

– Stella ma o tobie dobre zdanie – stwierdził ojciec. – Mówiła, że byłeś bardzo kreatywnym uczniem.

– Kto tak powiedział? – zapytała mama ze zdumioną miną.

– Moja nauczycielka z podstawówki, pani Stella – wyjaśniłem z irytacją. – Tata żył z nią przez ostatnie dwa miesiące!

– A tak, pamiętam! – Potrząsnęła głową i roześmiała się. – Nie mam jeszcze czterdziestki, a już zawodzi mnie pamięć. – Spojrzała na holograficzne gwiazdy na suficie i las na ścianach. – Dobrze, że wróciłeś. W końcu wyłączysz te obrazy. Twojemu synowi i mnie robi się niedobrze od patrzenia na nie, ale nie wiemy, jak usunąć te cholerne widoki.

Zapomnieliśmy o tym epizodzie, zanim Ziemia zaczęła wracać bliżej Słońca.

Pewnego dnia wiadomości doniosły, że lód pokrywający ocean zaczyna topnieć, więc ponownie wybraliśmy się na rodzinną wycieczkę na wybrzeże. Ziemia właśnie przechodziła przez orbitę Marsa. Światło słoneczne nie podniosło znacząco temperatury, ale dzięki silnikom Ziemi jej powierzchnia była wystarczająco ciepła, by lód na morzu puścił. Miło było wyjść na zewnątrz bez krępującego ruchy stroju grzejącego. Na naszej półkuli niebo wciąż rozświetlały silniki Ziemi, ale po drugiej stronie globu ludzie naprawdę czuli dotyk promieni słonecznych. Niebo nad ich głowami było czysto błękitne, a Słońce tak jasne jak przed wyruszeniem w kosmiczną wędrówkę. Z góry nie widzieliśmy żadnych oznak topnienia lodu, a tylko jego biały bezmiar. Rozczarowani wysiedliśmy z samochodu. Gdy zamykaliśmy drzwi, usłyszeliśmy ogłuszające dudnienie, które zdawało się dochodzić z wnętrza planety. Sprawiało wrażenie, jakby Ziemia miała się za chwilę rozpaść.

– To głos oceanu! – zawołał ojciec, przekrzykując hałas. – Nagły wzrost temperatury podgrzewa lód nierówno, to jak trzęsienie ziemi na lądzie!

Nagle przez to niskie dudnienie przebił się ostry, podobny do gromu huk i ludzie patrzący na morze za nami zaczęli wiwatować. Zobaczyłem, że na zamarzniętym oceanie pojawia się długie pęknięcie niczym zygzak czarnej błyskawicy. Dudnienie nie ustawało, a w lodzie powstawały kolejne szczeliny. Tryskała z nich woda, tworząc strumienie, które pędziły przez lodową równinę.

W drodze do domu patrzyliśmy na wyludnioną ziemię w dole i widzieliśmy szerokie pasy kiełkujących traw. Rozkwitały przeróżne kwiaty, a uschnięte lasy pokrywały się zielonym płaszczem świeżego listowia. Życie odradzało się tak gwałtownie, jakby nie miało czasu do stracenia.

Z każdym dniem zbliżania się Ziemi do Słońca nasze żołądki coraz bardziej ściskał strach. Coraz mniej ludzi wyjeżdżało na powierzchnię podziwiać wiosenną scenerię. Większość wycofała się do podziemnego miasta, ale bynajmniej nie po to, by uniknąć nadchodzącego upału, ulewnych deszczów i huraganów, lecz by uciec przed budzącym przerażenie Słońcem. Pewnego wieczoru, już po położeniu się do łóżka, podsłuchałem, jak matka mówi ściszonym głosem do ojca:

– Może jest już za późno.

– Ta sama plotka krążyła podczas ostatnich czterech peryheliów – odparł.

– Ale tym razem to prawda – upierała się matka. – Słyszałam to od doktor Chandler. Jej mąż jest astronomem i członkiem Komisji Nawigacji. Wszyscy go znacie. Powiedział jej, że zaobserwowali przyspieszenie procesu koncentracji helu.

– Nie możemy porzucać nadziei, kochana. Nie dlatego, że jest ona realna, ale po to, byśmy zachowywali się godnie. W erze presolarnej godność zdobywało się dzięki bogactwu, władzy albo talentowi, natomiast teraz potrzebujemy tylko nadziei. To ona jest złotem i klejnotami naszych czasów. Bez względu na to, jak długo pożyjemy, musimy się jej trzymać! Jutro powiemy o tym synowi.

Podobnie jak wszyscy inni, w miarę zbliżania się peryhelium czułem narastający niepokój. Pewnego dnia po szkole znalazłem się na centralnym placu miasta. Stałem przy okrągłej fontannie na jego środku i przyglądałem się wodzie skrzącej się w basenie oraz falom światła błądzącym po sklepieniu. Wtedy zauważyłem Spóźnialską. W jednym ręku trzymała buteleczkę, a w drugim krótką rurkę. Wydmuchiwała z niej bańki mydlane i każdy odlatujący ich sznureczek odprowadzała pustym wzrokiem. Patrzyła, jak znikają jedna po drugiej, po czym wypuszczała w powietrze następny sznurek.

– Jeszcze się w to bawisz? – zapytałem, podchodząc do niej.

Wydawała się zadowolona, że mnie widzi.

– Jedźmy na wycieczkę! – zaproponowała.

– Na wycieczkę? Dokąd?

– Oczywiście na powierzchnię. – Przesunęła w powietrzu ręką, wywołując za pomocą komputera na przegubie holograficzny obraz plaży o zachodzie słońca. Łagodny wietrzyk poruszał liśćmi palm, brzeg lizały białogrzywe fale. Na żółtym piasku siedziały tu i ówdzie zakochane pary, ich sylwetki rysowały się czarno na tle złoto cętkowanego morza. – Przysłali mi to Mona i Dagang. Odbywają podróż dookoła świata. Piszą, że na powierzchni nie jest za gorąco, że jest tam przyjemnie. Jedźmy!

– Niedawno wyrzucono ich ze szkoły za opuszczanie lekcji – zaoponowałem.

Spóźnialska prychnęła.

– Naprawdę to nie tego się boisz. Boisz się słońca.

– A ty nie? Z powodu heliofobii musiałaś iść do psychiatry.

– Teraz się zmieniłam. Doznałam natchnienia. Spójrz – powiedziała i znowu wydmuchnęła sznurek baniek. – Dobrze się im przyjrzyj.

Wybrałem jedną i obserwowałem przesuwające się po jej powierzchni fale światła i kolorów, opalizujące wzory, zbyt złożone, by mógł je przetworzyć człowiek. Wydawało się, jakby każda bańka wiedziała, że będzie żyła krótko, i gorączkowo przekazywała światu niezliczone sny i legendy, które przechowywała w swej wspaniałej pamięci. Po chwili fale światła i koloru znikały w bezgłośnym wybuchu. Przez pół sekundy pozostawała po niej smużka pary wodnej, ale potem też się rozwiewała, jakby tej bańki nigdy nie było.

– Widzisz? Ziemia jest kosmiczną bańką mydlaną. Trach i będzie po niej. A więc czego tu się bać?

– Ale to się nie stanie tak nagle. Obliczono, że zanim Ziemia całkowicie wyparuje po błysku helowym, minie sto godzin.

– I właśnie to jest najbardziej przerażające! – krzyknęła Spóźnialska. – Pięćset metrów pod ziemią będziemy jak mięsne nadzienie w cieście. Najpierw powoli się ugotujemy, a potem wyparujemy!

Po całym ciele przeszedł mi zimny dreszcz.

– Ale na powierzchni tak nie będzie. Wszystko wyparuje w mgnieniu oka. Z każdym stanie się tak jak z bańką mydlaną – trzask i po… – Umilkła. – Więc myślę, że kiedy pojawi się błysk, lepiej być tam.

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale z nią nie pojechałem. Zamiast ze mną pojechała z Tungiem i więcej już ani jej, ani jego nie widziałem.

Ale błysk helowy nie nastąpił. Ziemia przeszła przez peryhelium i po raz szósty wspinała się ku afelium. Ludzkość wydała zbiorowy oddech ulgi. Ponieważ Ziemia już się nie obracała, w tym punkcie jej okołosłonecznej orbity zainstalowane w Azji silniki zwrócone były w kierunku jej ucieczki. Dlatego wyłączono je i uruchamiano tylko od czasu do czasu w celu wprowadzenia drobnych poprawek kursu. Płynęliśmy w cichą, niekończącą się noc. Natomiast silniki w Ameryce Północnej pracowały pełną mocą, a ponieważ półkula zachodnia była zwrócona w stronę Słońca, panował tam katastrofalny upał. Cała trawa i wszystkie drzewa poszły z dymem.

Wspomagane przez grawitację nabieranie prędkości przez Ziemię odbywało się w taki sam sposób rok w rok. Gdy planeta zaczynała wspinaczkę do afelium, odprężaliśmy się; po Nowym Roku, kiedy zaczynała powoli opadać ku Słońcu, nasze napięcie rosło z każdym dniem. Za każdym razem, gdy Ziemia wchodziła w peryhelium, pojawiały się plotki, że lada chwila nastąpi błysk helowy. Utrzymywały się, dopóki znowu nie ruszyła ku afelium. Ale zaledwie – wraz z kurczeniem się Słońca na niebie – obawy ludzi się zmniejszały, wzbierała nowa fala paniki. Było

tak, jakby morale ludzkości kołysało się na kosmicznym trapezie. Może ten stan lepiej oddawałoby porównanie do gry w rosyjską ruletkę w skali planetarnej: każda podróż z peryhelium do afelium i z powrotem była niczym obrót bębenka w rewolwerze, a przejście przez peryhelium jak pociągnięcie za spust! Każde kolejne pociągnięcie szarpało nerwy bardziej niż poprzednie. Lata chłopięce upłynęły mi na wpadaniu na przemian w strach i odprężenie. Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet w afelium Ziemia nie wychodziła ze strefy zagrożenia błyskiem helowym. Gdyby Słońce eksplodowało, Ziemia powoli by się roztopiła i czekałby nas jeszcze gorszy los, niż gdybyśmy wyparowali w peryhelium.

W erze opuszczania jedna klęska żywiołowa goniła drugą.

Powodowane przez silniki Ziemi zmiany jej prędkości i trajektorii zakłóciły równowagę w jej składającym się z żelaza i niklu rdzeniu. Zakłócenia te przeniknęły przez nieciągłość Gutenberga do płaszcza Ziemi. Gdy energia geotermalna uciekła na powierzchnię, każdy kontynent zaczęły pustoszyć erupcje wulkanów, które stanowiły śmiertelne zagrożenie dla podziemnych miast. Poczynając od szóstego okresu orbitalnego, na całym świecie zaczęło dochodzić w nich do katastrofalnych w skutkach przecieków magmy.

W dniu, w którym zdarzyło się to w moim mieście, byłem w drodze ze szkoły do domu, gdy rozległy się syreny. Tuż po nich ratusz ogłosił stan wyjątkowy.

„Mieszkańcy Miasta F112, uwaga! Nacisk skorupy spowodował przerwanie północnej bariery ochronnej. Do miasta wdarła się magma! Do miasta wdarła się magma! Jej język dosięgnął już Czwartej Przecznicy! Wyjazdy są zablokowane. Wszyscy mieszkańcy powinni się stawić na placu centralnym i ewakuować się windami. Proszę pamiętać, że ewakuacja będzie się odbywać zgodnie z artykułem piątym ustawy o stanie

wyjątkowym. Powtarzam: ewakuacja będzie się odbywać zgodnie z artykułem piątym ustawy o stanie wyjątkowym!”

Rozejrzałem się po labiryncie tuneli. Wszystko w naszym podziemnym mieście wydawało się niesamowicie normalne, ale zdawałem sobie sprawę z bezpośredniego zagrożenia. Jedna z dwóch podziemnych dróg wyjazdowych została w ubiegłym roku zamknięta, bo wykonywano tam niezbędne prace w celu wzmocnienia zapór chroniących miasto przed zalewem magmy. Jeśli teraz zablokowana była też druga, mogliśmy uciec tylko pionowymi szybami wind, które prowadziły prosto na powierzchnię.

Miały one bardzo ograniczony udźwig. Przewiezienie wszystkich trzystu sześćdziesięciu tysięcy mieszkańców w bezpieczne miejsce zajęłoby dużo czasu, ale nie trzeba było walczyć o miejsce w windzie. Przyjęta przez Koalicję ustawa o stanie wyjątkowym regulowała wszystkie konieczne zasady ewakuacji.

Poprzednie pokolenia zmagały się z takim oto dylematem etycznym: nadciąga powódź i możesz uratować tylko jedną osobę. Kogo powinieneś ocalić – ojca czy syna? W naszej epoce takie pytanie w ogóle by się nie pojawiło.

Kiedy dotarłem do placu, zobaczyłem, że ludzie zaczęli się już ustawiać według wieku w długiej kolejce. Na jej przodzie, najbliżej wind, stały roboty-opiekunki z niemowlętami. Za nimi przedszkolaki, potem uczniowie szkół podstawowych. Moje miejsce wypadało w środku, raczej bliżej czoła kolejki. Ojciec był na służbie na orbicie okołoziemskiej i w mieście zostaliśmy tylko ja i matka. Nie widziałem jej, więc puściłem się pędem wzdłuż niekończącego się sznura czekających na ewakuację, ale nie odbiegłem daleko, bo zostałem zatrzymany przez żołnierzy. Wiedziałem, że stoi na samym końcu. Nasze miasto było przede wszystkim ośrodkiem

uniwersyteckim i mieszkało tu niewiele rodzin, więc znalazła się w grupie najstarszych mieszkańców.

Kolejka przesuwała się nieznośnie powoli. Po trzech długich godzinach stanąłem w końcu przed wejściem do windy, ale wsiadając do niej, nie czułem żadnej ulgi. Między moją matką i szansą na przeżycie stało dwadzieścia tysięcy studentów, a ja już czułem ostry zapach siarki.

Dwie i pół godziny po moim wyjeździe na powierzchnię magma zalała całe miasto leżące pięćset metrów pod moimi stopami. Kiedy wyobraziłem sobie ostatnie chwile mamy, poczułem się tak, jakby ktoś wbijał mi nóż w serce. Stojąc wśród osiemnastu tysięcy osób, których nie udało się na czas ewakuować, mogła się tylko przyglądać, jak na plac wdziera się fala lawy. Dopływ prądu do miasta został przerwany, więc ciemność rozświetlał tylko straszny, szkarłatny blask magmy. Nieznośny żar osmalił wysokie białe sklepienie nad placem. Zanim lawa dotarła do ofiar erupcji, zabiła je przekraczająca tysiąc stopni temperatura.

Ale nawet w tej przerażającej rzeczywistości nadal trwało życie, a od czasu do czasu zapalały się iskierki miłości. Podczas dwunastego wchodzenia w afelium Koalicja, starając się rozładować ogólne napięcie, nieoczekiwanie przywróciła po dwustuletniej przerwie igrzyska olimpijskie. Wziąłem w nich udział. Wystąpiłem w wyścigu na skuterach śnieżnych. Startowaliśmy w Szanghaju, a trasa zawodów prowadziła przez skuty lodem Pacyfik do mety w Nowym Jorku.

Na strzał z pistoletu startowego ruszyło ponad sto skuterów i pomknęło przez zamarznięty ocean z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Początkowo cały czas widziałem przez gogle jakiegoś innego zawodnika, jednak po dwóch dniach – albo dlatego, że wysforowałem się naprzód, albo dlatego, że zostałem w tyle – wszyscy zniknęli za horyzontem.

Nie widziałem już za sobą łuny silników Ziemi i pędziłem przez najciemniejszą część planety. Miałem nad głową niezmierzone, usiane gwiazdami niebo, a wokół siebie lód ciągnący się ze wszystkich stron aż do granic wszechświata, a może właśnie tam był jego koniec. I w tym wszechświecie bezliku gwiazd i bezkresu lodu byłem tylko ja! Owładnęło mną uczucie takiego osamotnienia, że chciało mi się płakać. Rwałem naprzód, jakby od tego zależało moje życie. Nieważne już dla mnie było, czy się znajdę na podium czy nie; musiałem się wydobyć z tej strasznej samotności, zanim mnie zabije. W moim umyśle drugi brzeg już nie istniał.

I w tamtej chwili ujrzałem na horyzoncie sylwetkę człowieka. Gdy się zbliżyłem, zorientowałem się, że to kobieta. Stała obok skutera, a jej długie włosy rozwiewał lodowaty wiatr. W momencie, kiedy spotkały się nasze drogi, stało się jasne, że zdecydowało to o naszym dalszym życiu. Nazywała się Yamasaki Kayoko i była Japonką. Zespół kobiecy wystartował dwanaście godzin przed nami, ale jej skuter wpadł w szczelinę w lodzie i złamała się jedna płoza. Pomagając jej naprawić maszynę, powiedziałem jej o uczuciu, które mnie wcześniej dopadło.

– Ja czułam się dokładnie tak samo! – wykrzyknęła. – Jakbym była zupełnie sama we wszechświecie! Wiesz, kiedy zobaczyłam, jak wyłaniasz się w oddali, to tak, jakbym ujrzała, że wschodzi słońce.

– Dlaczego nie wezwałaś samolotu ratowniczego? – zapytałem.

Uniosła drobną piąstkę.

– Ten wyścig jest ucieleśnieniem ludzkiego ducha – oświadczyła z charakterystyczną dla Japończyków zawziętością. – Musimy pamiętać, że podczas wędrówki przez kosmos Ziemia nie może liczyć na żadną pomoc!

– Ale teraz musimy ją wezwać. Żadne z nas nie ma zapasowej płozy, więc nie możemy uruchomić twojego skutera.

– A może pojechałabym z tobą? – zasugerowała. – Jeśli nie zależy ci na tym, które zajmiesz miejsce.

Nie zależało mi, więc ostatni odcinek długiej podróży przez ocean pokonaliśmy razem.

Kiedy mijaliśmy Hawaje, ujrzeliśmy na horyzoncie promyk światła. Z tej bezkresnej lodowej pustki, oświetlanej przez malutkie słońce, wysłaliśmy do Wydziału Spraw Cywilnych Koalicji wniosek o licencję na ślub.

Zanim dotarliśmy do Nowego Jorku, członkowie olimpijskiej komisji sędziowskiej znudzili się czekaniem, spakowali manatki i wyjechali. Ale czekał na nas urzędnik z miejskiego Biura Spraw Cywilnych. Pogratulował nam zawarcia małżeństwa, a potem przystąpił do ceremonii. Machnięciem ręki przywołał hologram, na którym widniały zgrabne rzędy dziesiątków tysięcy kropek. Każda z nich oznaczała parę, która w ostatnich kilku dniach zarejestrowała w Koalicji związek małżeński. Biorąc pod uwagę trudne warunki środowiskowe, zgodnie z prawem tylko jedna z każdych trzech par nowożeńców dostawała pozwolenie na prokreację. Decydował o tym los wyciągnięty przez nią na loterii. Stojąc przed tysiącami kropek, Kayoko długo się wahała, nim wybrała jedną ze środkowych.

Kiedy kropka zabarwiła się na zielono, podskoczyła z radości. Nie byłem pewien, czy chcę założyć rodzinę. Gdybym sprowadził na ten świat dziecko, byłoby to dla niego błogosławieństwem czy nieszczęściem? Przynajmniej urzędnik nie posiadał się z radości. Powiedział, że wygranie przez parę zielonej kropki zawsze jest okazją do świętowania. Wyjął butelkę wódki i każde z naszej trójki pociągnęło z niej łyk, wznosząc toast za trwanie ludzkiej cywilizacji. Za nami słabe światło odległego słońca barwiło na złoto Statuę Wolności. Przed nami opuszczone dawno temu drapacze chmur na Manhattanie rzucały długie cienie na Port Nowojorski. Byłem podpity, ale uświadomiłem sobie, że po twarzy spływają mi łzy.

Ziemia, moja wędrująca Ziemia!

Przed odejściem urzędnik wręczył nam pęk kluczy i powiedział, czkając:

– To klucze do mieszkania, które przydzielono wam w Azji. Lećcie tam. Lećcie do swojego nowego, wspaniałego domu!

– A co w nim takiego wspaniałego? – zapytałem chłodno. – W azjatyckich podziemnych miastach panuje strach, ale oczywiście wy, ludzie na Zachodzie, nigdy tego nie zaznacie.

– Wkrótce będziemy musieli stawić czoło nieznanemu wam zagrożeniu – odparł. – Ziemia ma niebawem przejść przez pas asteroid i zwrócona jest ku niemu półkulą północną.

– Ale przechodziliśmy już przez ten pas podczas kilku ostatnich okrążeń. To nic takiego, prawda?

– Wtedy tylko otarliśmy się o jego skraj. Oczywiście mogła sobie z tym poradzić Flota Kosmiczna. Mają lasery i głowice jądrowe, za których pomocą usuwają z naszej drogi małe skały. Ale tym razem… – Przerwał, po czym zapytał: – Nie widzieliście wiadomości? Tym razem Ziemia przejdzie przez środek tego pasa! Flota upora się z małymi asteroidami, ale większe…

W drodze powrotnej do Azji Kayoko obróciła się do mnie i zapytała:

– Bardzo duże są te asteroidy?

Mój ojciec był jednym z oficerów Floty Kosmicznej, których zadanie polegało na odwracaniu kierunku lotu asteroid i ich niszczeniu. Dlatego, mimo że rząd zamknął jak zwykle usta środkom przekazu, by zapobiec masowej panice, miałem pewne pojęcie o tym, co ma się wydarzyć. Powiedziałem Kayoko, że niektóre asteroidy na naszej drodze są wielkości

góry i nawet bomby termojądrowe o sile pięćdziesięciu megaton mogą tylko zostawić na ich powierzchni blizny jak po trądziku.

– Będą musieli użyć najpotężniejszej broni z ziemskiego arsenału – dodałem tajemniczo.

– Masz na myśli bomby z antymaterią? – zapytała.

– A co innego?

– Jaki zasięg ma flota?

– Na razie ograniczony. Tata mówił, że nie przekracza półtora miliona kilometrów.

Kayoko zapiszczała.

– Więc będziemy mogli to zobaczyć!

– Lepiej na to nie patrzeć.

Ale Kayoko spojrzała, i to bez okularów ochronnych. Pierwszy błysk antymaterii dotarł do nas z kosmosu krótko po starcie naszego samolotu. Akurat w tym momencie Kayoko podziwiała gwiaździste niebo za oknem. Błysk oślepił ją na ponad godzinę, a później jeszcze przez miesiąc miała zaczerwienione i załzawione oczy. W mrożących krew w żyłach chwilach po wybuchu asteroidę bombardowały kolejne pociski z antymaterią. Na czarnym jak smoła niebie pojawiały się błyski, jakby planetę otoczyła horda paparazzich i gorączkowo pstrykała zdjęcia.

Pół godziny później zobaczyliśmy hipnotyzujące swoim pięknem meteory, za którymi ciągnęły się smugi światła. Pojawiało się ich coraz więcej, a każdy wnikał w atmosferę głębiej niż poprzedni. Nagle samolotem wstrząsnął ogłuszający huk, a potem rozległ się łoskot i nastąpiły dalsze wstrząsy. Myśląc, że w maszynę uderzył meteoryt, Kayoko wrzasnęła i wtuliła się w moje ramiona. Wtedy z interkomu dobiegł głos kapitana.

– Panie i panowie, proszę nie wpadać w panikę. Był to tylko grom wywołany przez meteor, który przekroczył barierę dźwięku. Proszę założyć słuchawki, żeby uniknąć trwałej utraty słuchu. Nie możemy zagwarantować, że dalszy lot przebiegnie bezpiecznie, więc wylądujemy awaryjnie na Hawajach.

Po tym komunikacie utkwiłem wzrok w meteorycie dużo większym od pozostałych. Byłem przekonany, że nie spłonie w atmosferze jak te poprzednie. Oczywiście ognista kula przeleciała po niebie, kurcząc się w miarę zbliżania się do ziemi, i wpadła do zamarzniętego oceanu. Z wysokości kilku tysięcy metrów zobaczyłem, jak w punkcie uderzenia pojawia się mała, biała plamka. Natychmiast przekształciła się w biały krąg, który szybko rozszerzał się na powierzchni oceanu.

– Czy to fala? – zapytała Kayoko drżącym głosem.

– Tak, wysoka na sto metrów. Ale ocean jest zamarznięty. Lód wkrótce ją stłumi – odparłem, głównie po to, by samemu sobie dodać otuchy. Nie patrzyłem w dół.

Niedługo potem wylądowaliśmy w Honolulu. Lokalne władze zorganizowały nam miejsce w podziemnym mieście. Podczas jazdy wybrzeżem widzieliśmy wyraźnie pełne meteorów niebo. Wyglądało tak, jakby nagle z jednego punktu w przestrzeni kosmicznej skoczył na nas legion diabłów o ognistych włosach.

Patrzyliśmy, jak meteoryt uderza w powierzchnię oceanu niedaleko brzegu. Nie zobaczyliśmy pióropusza wody, za to wysoko nad nami wyrósł biały grzyb pary wodnej. Wzburzona woda pod zamarzniętą powierzchnią parła na ląd. Grube warstwy lodu pękały z jękiem i kłębiły się jak fale, jakby płynęło pod nimi stado olbrzymich, złowrogich potworów morskich.

– Jaką ten miał wielkość? – spytałem urzędnika, który powitał nas w porcie lotniczym.

– Nie więcej niż pięć kilogramów, nie był większy od pańskiej głowy. Ale dostałem właśnie informację, że osiemset kilometrów na północ stąd spada meteoryt o masie dwudziestu ton.

Zaczął brzęczeć komunikator na jego nadgarstku. Zerknął na niego i natychmiast powiedział do kierowcy:

– Nie uda się nam dojechać do Bramy 204. Kieruj się do najbliższego wejścia.

Furgonetka skręciła i zatrzymała się przed wejściem do podziemnego miasta. Kiedy wysiedliśmy, zobaczyliśmy, że pilnuje go kilku żołnierzy. Patrzyli w dal nieruchomym wzrokiem, a w ich oczach malowało się przerażenie. Podążyliśmy za ich spojrzeniami i zobaczyliśmy czarną ścianę. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak nisko wiszące chmury, ale miała na to zbyt jednolitą wysokość, bardziej przypominała długi mur ciągnący się na horyzoncie. Po dokładniejszym przyjrzeniu się zobaczyłem, że szczyt tego muru ma białe zwieńczenie.

– Co to jest? – zapytała Kayoko bojaźliwie urzędnika.

Jego odpowiedź sprawiła, że włosy powstały nam na głowach.

– Fala.

Stalowa brama podziemnego miasta zamknęła się ze zgrzytem. Dziesięć minut później usłyszeliśmy dobiegające z góry głuche dudnienie, jakby nad sklepieniem przewracał się z boku na bok jakiś tytan. Popatrzyliśmy na siebie z rozpaczą, bo wiedzieliśmy, że w tej chwili przetacza się nad Hawajami i zmierza na kontynent stumetrowa fala. Ale jeszcze bardziej przerażające były wstrząsy, które potem nastąpiły. Było tak, jakby w planetę waliła gigantyczna pięść z kosmosu. Pod ziemią były one słabe, ale każde uderzenie napełniało nasze dusze niepokojem. Na powierzchnię padał grad meteorytów.

Bombardowanie Ziemi trwało z przerwami przez tydzień. Gdy w końcu wyszliśmy z podziemnego miasta, Kayoko krzyknęła:

– Boże, co się stało z niebem?

Było ciemnoszare. W górnej warstwie atmosfery unosił się pył po zderzeniach asteroid. Ta bezkresna szarość przesłoniła słońce i gwiazdy i wyglądało to tak, jakby cały wszechświat spowiła gęsta mgła. Woda, która pozostała na ziemi po przejściu ogromnej fali, zamarzła. Na powierzchni sterczały wysokie, ocalałe po tsunami wzniesienia, z których spływały kaskady lodu. Pokrywała je warstwa pyłu, który pochłonął wszystkie kolory, pozostawiając tylko tę wszechobecną szarość.

Wkrótce ruszyliśmy z Kayoko w dalszą drogę do Azji. Kiedy przelatywaliśmy nad linią zmiany daty, która już dawno przestała mieć znaczenie, zobaczyliśmy najciemniejszą noc w dziejach ludzkości. Samolot zdawał się płynąć w ciszy przez atramentowe głębie oceanu. Kiedy patrzyliśmy przez okna, wyglądając na próżno jakiegoś promyka światła w tej ciemności, ogarnął nas równie mroczny nastrój.

– Kiedy to się skończy? – mruknęła Kayoko.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli naszą podróż czy ten okres niedoli i cierpień. Przyszło mi do głowy, że i jedno, i drugie będzie trwało bez końca. Bo nawet gdyby Ziemia wydostała się poza promień rażenia błysku helowego, nawet gdybyśmy uszli z życiem, to co dalej? Staliśmy na najniższym szczeblu niezmiernie wysokiej drabiny. Nim minie sto pokoleń, nim nasi potomkowie wejdą na jej szczyt i dostrzegą zapowiedź nowego życia, nasze kości już dawno obrócą się w proch. Nie wyobrażałem sobie cierpień i trudów, które trzeba będzie jeszcze znosić, a zwłaszcza tego, że miałbym zostawić moją ukochaną i moje dziecko na tej niemającej końca, wyboistej drodze. Byłem zmęczony, zbyt zmęczony, by iść nią dalej…

W chwili gdy smutek i rozpacz tak ścisnęły mnie za gardło, że nie mogłem złapać tchu, w kabinie rozległ się kobiecy krzyk:

– Nie! Kochanie, nie rób tego!

Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę, która starała się wyrwać pistolet z ręki siedzącego obok niej mężczyzny. Próbował przyłożyć go sobie do skroni. Wyglądał na wycieńczonego i miał apatyczny wzrok. Kobieta położyła głowę na jego kolanach i zaczęła spazmatycznie szlochać.

– Ucisz się – powiedział zimno mężczyzna.

Szloch ustał i słychać było tylko niskie buczenie silników, które brzmiało jak pieśń żałobna. Zdawało mi się, że samolot ugrzązł w bezkresnym mroku i tkwi w nim bez ruchu. W całym wszechświecie nie zostało już nic oprócz niego i spowijającej go ciemności. Kayoko wtuliła się w moje ramiona. Miała lodowato zimne ciało.

Nagle na przodzie kabiny zapanowało poruszenie i pasażerowie zaczęli szeptać z podnieceniem. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem przed samolotem zamglone światło. Pełne pyłu nocne niebo skąpane było w niebieskiej poświacie.

Był to blask silników Ziemi.

Meteoryty zniszczyły jedną trzecią silników na półkuli północnej, ale wyrządziły mniej szkód, niż szacowano przed opuszczeniem. Silniki Ziemi na półkuli wschodniej, która nie była wystawiona na uderzenia meteorytów, wyszły z tego bez szwanku. Jeśli chodzi o moc, Ziemia była dobrze przygotowana do ucieczki.

Gdy moje oczy spoczęły na niebieskim świetle przed nami, poczułem się jak nurek, który po długim wynurzaniu się z głębiny morskiej ujrzał wreszcie powierzchnię w blasku słońca. Zacząłem na powrót równo oddychać.

Znowu usłyszałem głos kobiety siedzącej kilka rzędów za nami:

– Kochanie, ból, strach… możemy to czuć, tylko dopóki żyjemy. Kiedy umieramy, nie ma niczego. Jest tylko ciemność. Lepiej żyć, nie uważasz?

Wymęczony mężczyzna nie odpowiedział. Patrzył na niebieskie światło, a po jego policzkach ciekły łzy. Wiedziałem, że to przeżyje. Dopóki będzie się paliło to dające nadzieję niebieskie światło, wszyscy pozostaniemy przy życiu. Pamiętałem słowa otuchy wypowiedziane przez ojca.

Po wylądowaniu nie skierowaliśmy się prosto do naszego nowego podziemnego mieszkania. Zamiast tam pojechaliśmy do znajdującej się na powierzchni bazy Floty Kosmicznej, by poszukać mojego ojca. Jednak kiedy tam przybyliśmy, czekał na mnie tylko przyznany mu pośmiertnie, zimny jak lód order zasługi. Przekazał mi go wicemarszałek sił powietrznych. Powiedział, że ojciec stracił życie podczas operacji usuwania asteroid z drogi Ziemi. Wybuch antymaterii wyrzucił kawał asteroidy prosto na kabinę jego jednomiejscowego myśliwca.

– Ta skała leciała z prędkością stu kilometrów na sekundę względem jego samolotu. W momencie uderzenia kabina wyparowała – powiedział marszałek. – Zapewniam cię, że ojciec nawet nie poczuł bólu.

Kiedy Ziemia zaczęła znowu opadać w stronę Słońca, wyjechałem z Kayoko na powierzchnię zobaczyć wiosenną scenerię. Bardzo się zawiedliśmy.

Świat nadal był monochromatycznie szary. Krajobraz pod pochmurnym niebem upstrzony był zamarzniętymi jeziorami wody morskiej, która pozostała po tsunami. Całun pyłu spowijający atmosferę przesłaniał światło słońca i nie pozwalał na wzrost temperatury. Lód, którym skute były oceany i kontynenty, nie stopniał nawet w peryhelium. Słońce pozostawało bladą plamą i wyglądało jak zjawa majacząca za zasłoną pyłu.

Trzy lata później, gdy pył w atmosferze się rozwiał, ludzkość weszła w peryhelium po raz ostatni. Osoby mieszkające na półkuli wschodniej

dostąpiły wtedy zaszczytu obejrzenia najszybszego wschodu i zachodu słońca w dziejach Ziemi. Słońce wyskoczyło z morza i prędko przemknęło po niebie. Cienie zmieniały kierunek tak szybko, że wyglądały jak wskazówki sekundowe przesuwające się po tarczach niezliczonych zegarów. Był to najkrótszy dzień, jaki widziała Ziemia; trwał niecałą godzinę.

Gdy słońce zapadło za horyzont i planetę okryła ciemność, poczułem żal. Ten przelotny dzień wydawał się krótkim podsumowaniem liczącej cztery i pół miliarda lat historii Ziemi w Układzie Słonecznym. Miała już tam nie wrócić do końca wszechświata.

– Jest ciemno – powiedziała ze smutkiem Kayoko.

– To będzie najdłuższa noc – odparłem.

Na półkuli wschodniej miała trwać dwadzieścia pięć stuleci. Przeminie sto pokoleń, nim ten kontynent oświetli światło Proximy Centauri. Na półkuli zachodniej zaczął się najdłuższy dzień, ale i tak była to zaledwie chwila w porównaniu z naszą nocą. Po tamtej stronie świata słońce osiągnie szybko zenit, gdzie pozostanie w bezruchu i będzie się stale kurczyć. Po półwieczu trudno je będzie odróżnić od jakiejkolwiek innej gwiazdy.

Zaprojektowana trajektoria Ziemi prowadziła do spotkania z Jowiszem. Plan Komisji Nawigacji zakładał, że piętnaste afelium będzie miało tak eliptyczny kształt, iż podczas peryhelium wejdzie ona na orbitę wokół niego i przemknie obok tej planety na niemal kolizyjnym kursie. Wykorzystując jego niezwykle silne przyciąganie dla zwiększenia przyspieszenia, osiągnie prędkość ucieczki.

Dwa miesiące po wejściu w peryhelium można było oglądać Jowisza gołym okiem. Najpierw był słabo świecącą plamką, która jednak wkrótce się spłaszczyła i przybrała kształt dysku. Po kolejnym miesiącu stał się duży jak księżyc w pełni, rdzawobrązowy, z ledwie widocznym

pierścieniem. Wtedy dysze części silników Ziemi, które przez piętnaście lat skierowane były pionowo w górę, zaczęły zmieniać kąt ustawienia. Ostatnie poprawki wprowadzono do kursu Ziemi tuż przed randką z kosmicznym olbrzymem. Jowisz zachodził powoli za horyzont, gdzie pozostał przez następne trzy miesiące. Wprawdzie nie widzieliśmy go, ale wiedzieliśmy, że obie planety zbliżają się do siebie.

Niemal z zaskoczeniem przyjęliśmy wiadomość, że ze wschodniej półkuli znowu widać Jowisza. Mieszkańcy miasta wylegli na powierzchnię, by spojrzeć na niebo. Gdy przechodziłem przez śluzę powietrzną, zobaczyłem, że po piętnastu latach ciągłej pracy silniki Ziemi zostały wyłączone. Znowu ujrzeliśmy gwiazdy. Trwało nasze ostatnie spotkanie z Jowiszem.

Wszyscy zerkali nerwowo na zachodnią część nieba, gdzie zza horyzontu zaczęła się wyłaniać przyćmiona czerwona poświata. Wkrótce zauważyłem, że ma ona wyraźną granicę oddzielającą ją od gwiazd. Tworzyła wielki łuk, który sięgał od jednego do drugiego końca horyzontu. Niebo pod tym powoli wznoszącym się coraz wyżej łukiem zabarwiało się na czerwono, co wyglądało tak, jakby ktoś zaciągał aksamitną kurtynę nad resztą świata. Gdy dotarło do mnie, że to Jowisz, aż się zatoczyłem z wrażenia, a z moich ust wyrwał się stłumiony okrzyk. Wiedziałem, że jest on tysiąc trzysta razy większy od Ziemi, ale dopiero kiedy zobaczyłem go w całej okazałości, naprawdę zdałem sobie sprawę z jego ogromu.

Trudno opisać słowami strach i przygnębienie, które towarzyszyły pojawieniu się tego kolosa. Pewien reporter napisał później: „Nie wiedziałem, czy mam koszmarny sen, czy też cały wszechświat jest koszmarem w wypaczonym umyśle tego bóstwa!”. Pnąc się stale w górę, Jowisz zajął stopniowo połowę nieba. Uzyskaliśmy wtedy niczym niezakłócony widok burz szalejących w otaczających go chmurach, które

rozwiewały gazy w atmosferze i tworzyły z nich chaotyczne linie. Wiedziałem, że pod tą grubą powłoką znajdują się wrzące oceany płynnego wodoru i płynnego helu. Ukazała się słynna Wielka Czerwona Plama, antycyklon po setkach tysięcy lat wciąż wiejący na jego powierzchni. Ten wir był tak wielki, że mógłby pochłonąć trzy Ziemie. Teraz Jowisz wypełniał już całe niebo. Ziemia była niczym balon unoszący się na jego wrzącej, czerwonej okrywie chmur. Wielka Czerwona Plama wspięła się na środek nieba i patrzyła stamtąd na nasz świat jak oko cyklopa. Cały krajobraz spowijał całun jego upiornego światła. Nie sposób było uwierzyć, że nasza mała planeta zdoła uciec z pola grawitacyjnego tego olbrzyma. Niewyobrażalne wydawało się nawet to, że może się stać jego satelitą. Byliśmy przekonani, że na pewno runiemy w otchłań piekła ukrytego pod tym bezkresnym oceanem chmur.

Ale obliczenia specjalistów z zakresu nawigacji okazały się bezbłędne i oszałamiające rdzawe niebo przesuwało się obok nas. Po pewnym czasie na zachodnim horyzoncie ukazał się czarny półksiężyc i szybko się rozszerzał, ukazując migoczące gwiazdy. Ziemia uwalniała się z grawitacyjnego uchwytu Jowisza. W tym momencie zawyły syreny, oznajmiając, że przypływ wywołany przez siłę jego przyciągania zalewa ląd. Później powiedziano nam, że ogromne fale, osiągające sto metrów wysokości, przetoczyły się przez wszystkie kontynenty. Biegnąc w stronę bramy miejskiej, rzuciłem ostatnie spojrzenie na Jowisza, który wciąż zajmował połowę nieba. Powłokę chmur gazowego olbrzyma szpeciły wyraźne blizny, które – jak się później dowiedziałem – były śladami pozostawionymi przez siłę grawitacji Ziemi. Nasza planeta wzbiła też wielkie jak góry fale ciekłego helu i wodoru na jego powierzchni. Nabrawszy przyspieszenia pod wpływem potężnej grawitacji Jowisza, gnała w głąb przestrzeni kosmicznej.

Oddalając się od niego, Ziemia osiągnęła prędkość ucieczki. Nie musiała już wracać w pobliże Słońca, gdzie czaiła się śmierć. Tak zaczęła się era wędrówki.

W ciemnoczerwonym cieniu Jowisza, w głębi ziemi, urodził się mój syn.

Rozdział 3

Bunt

Kiedy zostawiliśmy Jowisza za sobą, znowu włączyło się z rykiem dziesięć tysięcy azjatyckich silników Ziemi. Miały pracować pełną mocą przez następnych pięćset lat, nadając planecie coraz większą prędkość. W tym czasie miały zużyć jako paliwo połowę azjatyckich gór.

Ludzkość, uwolniona w końcu od dręczącego ją przez cztery stulecia strachu przed śmiercią, wydała zbiorowy oddech ulgi. Jednak wbrew oczekiwaniom nie oddała się hałaśliwej zabawie, a to, co się stało później, przekraczało wyobraźnię.

Po zakończeniu uroczystego zgromadzenia mieszkańców naszego miasta włożyłem skafander termalny i samotnie wyjechałem na powierzchnię. Znane mi z dzieciństwa góry zostały już zrównane z ziemią przez megakoparki i zostały tylko naga skała i twardy, zamarznięty piach. Ponurą pustkę przecinały jedynie pasma bieli – słone bagna pozostałe po ogromnym tsunami – pokrywające ziemię jak okiem sięgnąć. Miasto, w którym przez lata mieszkali mój ojciec i dziadek, leżało w gruzach. Oświetlone niebieskim blaskiem strumieni plazmy wyrzucanych przez silniki Ziemi, podobne do skamieniałych szczątków prehistorycznych potworów stalowe szkielety drapaczy chmur rzucały długie cienie. Ciągłe powodzie i uderzenia meteorytów zniszczyły prawie wszystko na

powierzchni. Wszystko, co przez miliony lat stworzyli ludzie i natura, cała nasza planeta, zostało obrócone w perzynę, nasz świat był jałowy i spustoszony jak Mars.

Mniej więcej w tym samym czasie Kayoko stała się niespokojna. Często zostawiała naszego synka bez opieki, brała samochód i na długo dokądś wylatywała. Po powrocie mówiła tylko, że była na półkuli zachodniej. W końcu pewnego dnia zabrała mnie ze sobą.

Było to 4 marca. Po dwóch godzinach lotu zobaczyliśmy Słońce. Wznosiło się tuż nad Pacyfikiem. Było nie większe od piłki bejsbolowej i rzucało słabe, zimne światło na zamarzniętą powierzchnię oceanu.

Na wysokości pięciu tysięcy metrów Kayoko przestawiła samochód na tryb zawieszenia, po czym wzięła z tylnego siedzenia długie pudło. Kiedy zdjęła wieko, zobaczyłem, że leży w nim teleskop typu preferowanego przez astronomów amatorów. Kayoko otworzyła okno samochodu, naprowadziła teleskop na Słońce i powiedziała mi, żebym przez niego popatrzył.

Przez przyciemnione soczewki zobaczyłem Słońce w kilkusetkrotnym powiększeniu. Widziałem wyraźnie jasne i ciemne plamy powoli przesuwające się na jego powierzchni i słabe protuberancje na brzegu słonecznego dysku.

Kayoko podłączyła teleskop do komputera pokładowego i przeniosła obraz Słońca na ekran. Potem znalazła inny i powiedziała:

– To obraz sprzed czterystu lat.

Komputer przeszedł do porównania obu obrazów.

– Widzisz to? – zapytała Kayoko, wskazując na ekran. – Jasność, tablice pikseli, prawdopodobieństwo ich wystąpienia, statystyka warstw: wszystkie parametry są dokładnie takie same!

– No i czego to dowodzi? Teleskop zabawka, tani program obrazowania i ty, niedouczona amatorka. – Potrząsnąłem głową. – Nie zważaj na te plotki.

– Idiota! – warknęła, schowała teleskop z powrotem do pudła i zawróciła do domu.

W oddali, nad nami i pod nami, zauważyłem inne samochody. Wisiały w powietrzu tak jak my, z okna każdego wystawał teleskop skierowany na Słońce.

Przez kilka kolejnych miesięcy rozprzestrzeniało się na świecie jak pożar lasu straszne oskarżenie. Coraz więcej ludzi decydowało się obserwować Słońce przez większe, lepsze teleskopy. Jedna z organizacji pozarządowych wystrzeliła nawet w jego stronę szereg sond, które po trzech miesiącach dotarły do celu. Przekazane przez nie dane potwierdziły w końcu fakt, że przez ostatnie cztery stulecia Słońce nie zmieniło się ani trochę.

Sytuacja w podziemnych miastach na wszystkich kontynentach stała się wybuchowa; przypominały one bulgoczące wulkany tuż przed erupcją. Pewnego dnia, postępując zgodnie z zarządzeniem Koalicji, oddaliśmy z Kayoko naszego synka do domu dziecka. W drodze powrotnej oboje poczuliśmy, że zniknęła ostatnia więź, która nas łączyła. Zbliżywszy się do placu centralnego, zobaczyliśmy mężczyznę przemawiającego do tłumu. Inni rozdawali broń ludziom, którzy zgromadzili się wokół mówcy.

„Obywatele! Ziemia została zdradzona! Ludzkość została zdradzona! Wszyscy jesteśmy ofiarami wielkiego oszustwa! Jego skala zszokowałaby samego Boga! Słońce nic a nic się nie zmieniło! Nie wybuchło wtedy, nie wybuchnie teraz ani w przyszłości! Nigdy nie wybuchnie! Jest symbolem wieczności! Wybuchowe są nieokiełznane i chore ambicje tych, którzy zawiązali Koalicję! Sfabrykowali to wszystko, by ustanowić swoje tyrańskie imperium! Zniszczyli Ziemię! Obywatele, świadomi obywatele!

Do broni! Ocalcie naszą planetę! Ocalcie ludzką cywilizację! Obalimy Koalicję! Zdobędziemy kontrolę nad silnikami Ziemi i skierujemy naszą planetę z powrotem na jej pierwotną orbitę! Z powrotem w ciepłe objęcia Słońca!”

Kayoko wysunęła się bez słowa do przodu, wzięła karabin szturmowy z rąk jednej z osób rozdających broń i przyłączyła się do uzbrojonych obywateli. Nawet nie obejrzawszy się za siebie, zniknęła z szeregami swych sąsiadów w labiryncie tuneli podziemnego miasta. Ja tylko stałem i patrzyłem. W dłoni ściskałem order, za który mój ojciec oddał życie. Ściskałem go tak mocno, że końce jego ramion wpiły mi się w rękę do krwi.

Trzy dni później na wszystkich kontynentach wybuchł bunt.

Gdziekolwiek pojawiła się armia rebeliantów, dołączali do niej nowi ochotnicy. Niewielu obywateli wątpiło w to, że zostali oszukani. Mimo to ja wstąpiłem do armii Koalicji. Zrobiłem tak nie dlatego, że naprawdę wierzyłem władzy, lecz z tego powodu, że mężczyźni z mojej rodziny od trzech pokoleń służyli w wojsku. Zasiali w moim sercu ziarna wierności, więc bez względu na okoliczności zdradzenie Koalicji było dla mnie nie do pomyślenia.

Obie Ameryki, Afryka, Oceania i Antarktyka wpadały jedna po drugiej w ręce rebeliantów i armia Koalicji wycofała się na linie obronne wokół silników Ziemi w Azji Wschodniej i Środkowej, gotowa bronić ich do śmierci. Buntownicy szybko je otoczyli. Ich siły znacznie przewyższały siły Koalicji, ale z powodu bliskości silników ofensywa przez długi czas nie posuwała się dalej. Wojsko rebeliantów nie chciało ich zniszczyć, więc powstrzymywało się od użycia broni ciężkiej, co odwlekało zagładę Koalicji. Pat trwał trzy miesiące. Ale kiedy zdezerterowało po kolei jej dwanaście armii, obrona załamała się na wszystkich frontach. Dwa

miesiące później ostatnie sto tysięcy wiernych jej żołnierzy, zgromadzonych w ośrodku kontroli na wybrzeżu, znalazło się w oblężeniu.

Byłem majorem w tej szczątkowej armii. Ośrodek kontroli miał wielkość średniego miasta, jego budynki postawiono wokół Mostu Nawigacyjnego Ziemi. Z obumarłym ramieniem spalonym ogniem lasera wylądowałem w szpitalu wojskowym. Tam się dowiedziałem, że Kayoko zginęła w akcji podczas bitwy o Australię. Podobnie jak inni na moim oddziale szpitalnym, codziennie upijałem się do nieprzytomności. Przestaliśmy się interesować toczącą się na zewnątrz wojną, stała się nam obojętna. Nie wiem, ile minęło czasu, zanim usłyszałem grzmiący głos niosący się po oddziale.

– Wiecie, dlaczego zostaliście doprowadzeni do takiego stanu? Ponosicie winę za to, że w tej wojnie wystąpiliście przeciwko ludzkości! Ja też!

Obróciłem głowę i zobaczyłem, że mówca ma na ramieniu generalską gwiazdkę.

– Nieważne – ciągnął. – Mamy ostatnią szansę na odkupienie naszych dusz. Most Nawigacyjny Ziemi znajduje się zaledwie trzy przecznice stąd. Zajmiemy go i oddamy zdrowym psychicznie ludziom, którzy są na zewnątrz! Spełniliśmy nasz obowiązek wobec Koalicji, a teraz musimy spełnić nasz obowiązek wobec ludzkości!

Zdrową ręką wyciągnąłem pistolet i poszedłem za rozgorączkowaną masą pełnosprawnych i rannych żołnierzy prącą przez stalowe korytarze na most. Ku mojemu zaskoczeniu po drodze nie napotkaliśmy prawie żadnego oporu. Prawdę mówiąc, z labiryntu przejść wyłaniało się i przyłączało do nas coraz więcej ludzi. W końcu dotarliśmy do stalowej bramy, tak wysokiej, że nie widziałem jej górnego końca. Otworzyła się z łoskotem i ruszyliśmy na Most Nawigacyjny Ziemi.

Chociaż widzieliśmy go mnóstwo razy w telewizji, jego wielkość wbiła nas w ziemię. Trudno było ją ocenić, gdyż wymiary mostu przesłaniało

ogromne holograficzne przedstawienie Układu Słonecznego, które rozpościerało się nad salą. W obrazie dominowała czerń, która ciągnęła się bez końca we wszystkie strony. Ogarnęła nas, gdy tylko tam weszliśmy, i mieliśmy wrażenie, że jesteśmy w niej zawieszeni. Ponieważ model ten odzwierciedlał Układ Słoneczny w prawdziwej skali, Słońce i planety były maleńkie jak widziane z daleka świetliki, ale można je było rozpoznać. Z odległej jasnej plamki przedstawiającej Słońce wysuwała się imponująca czerwona spirala, która rozszerzała się niczym koncentryczne fale na powierzchni czarnego oceanu. Była to trasa Ziemi. Od pewnego punktu zewnętrzny brzeg tej spirali był zabarwiony na jasnozielono; tym kolorem oznaczono drogę, jaką Ziemia miała jeszcze do przebycia. Zielona linia przebiegała nad naszymi głowami. Podążaliśmy za nią wzrokiem, dopóki nie zniknęła w głębinie morza migoczących gwiazd. W czarnym bezmiarze unosiły się liczne cząstki skrzącego się pyłu. Gdy kilka z nich podpłynęło bliżej, zorientowałem się, że są to wirtualne ekrany, pełne przesuwających się ciągów cyfr i linii krzywych.

Potem mój wzrok padł na znaną wszystkim ludziom na planecie Platformę Nawigacyjną Ziemi. Wyglądała jak szybująca w ciemnościach kosmosu srebrzyście biała asteroida. Widok ten sprawiał, że jeszcze trudniej było oszacować wielkość tego miejsca – samej Platformy Nawigacyjnej. W tamtej chwili tłoczyło się na niej pięć tysięcy osób, w tym przywódcy Koalicji, większość członków Komitetu Międzygwiezdnej Emigracji, który odpowiadał za realizację planu podróży, i ostatni lojaliści. W mroku rozbrzmiewał głos przewodniczącego Koalicji.

– Walcząc do końca, moglibyśmy stracić kontrolę nad silnikami Ziemi. Gdyby do tego doszło, nadmiar materiału rozszczepialnego mógłby spalić całą planetę albo doprowadzić do wyparowania oceanów. Dlatego postanowiliśmy się poddać. Rozumiemy buntowników. Od czterdziestu

pokoleń ludzie toczą ciężką walkę o przeżycie i muszą ją toczyć jeszcze przez sto kolejnych generacji. Oczekiwanie, że przez cały ten czas wszyscy będą się zachowywać racjonalnie, jest nierealistyczne. Ale prosimy zbuntowanych, by pamiętali, że my, te pięć tysięcy osób, które tutaj stoją, od przewodniczącego Koalicji po szeregowych żołnierzy, zachowaliśmy wiarę do końca. Wiemy, że nie doczekamy dnia, w którym prawda zostanie potwierdzona, ale jeśli ludzkość przetrwa, przyszłe pokolenia będą płakały nad naszymi grobami! Planeta zwana Ziemią będzie wiecznym pomnikiem ku naszej pamięci!

Znowu otworzyła się z łoskotem potężna brama centrum kontroli i wyłoniło się z niej pięć tysięcy Zabieraczy. Siły rebeliantów popędziły ich na brzeg oceanu. Po obu stronach drogi kłębiły się tłumy gapiów. Pluli na pojmanych i obrzucali ich kamieniami i kawałkami lodu. Wizjery masek strojów termalnych kilku Zabieraczy zostały roztrzaskane, przez co ich twarze zostały wystawione na temperaturę o ponad sto stopni Celsjusza niższą od temperatury zamarzania wody. Ale mimo że sztywnieli ze straszliwego zimna, posuwali się ciężko naprzód, walcząc o każdy krok. Zobaczyłem, jak mała dziewczynka podnosi bryłkę lodu i ciska nią z całej siły w starszego mężczyznę. Przez wizjer widać było wściekłość w jej oczach.

Gdy usłyszałem, że wszystkich jeńców skazano na śmierć, wydawało mi się, że to zbyt łagodna kara. Jedna śmierć? Czy jedna śmierć mogła naprawić zło, które uczynili? Czy mogła być zadośćuczynieniem za szerzenie strasznego kłamstwa, które zniszczyło zarówno Ziemię, jak i ludzką cywilizację? Powinni umierać dziesięć tysięcy razy! Przypomniałem sobie nagle astrofizyków, którzy przepowiadali wybuch Słońca, i inżynierów, którzy zaprojektowali i zbudowali silniki Ziemi.

Odeszli przed wiekiem, ale miałem ochotę wykopać ich z grobów i skazać na śmierć, na jaką zasłużyli.

Czułem prawdziwą wdzięczność dla katów za to, że wybrali odpowiedni sposób egzekucji. Najpierw zabrali skazańcom baterie zasilające skafandry termiczne, a potem zostawili ich na lodzie, by niska temperatura powoli wyssała życie z ich ciał.

Najbardziej podstępni, najbardziej ohydni przestępcy w historii ludzkości stali zbitą, ciemną masą na lodzie. Z brzegu przyglądało się im ponad sto tysięcy osób. Ponad sto tysięcy szczęk zaciskało się ze złości, ponad sto tysięcy par oczu płonęło taką samą wściekłością, jaką widziałem na twarzy tej dziewczynki.

Wszystkie silniki Ziemi zostały wyłączone i nad lodem ukazały się w całym majestacie mrugające gwiazdy. Wyobrażałem sobie mróz wbijający się w skórę skazańców jak sztylet, krew zamarzającą w ich żyłach, życie uchodzące powoli z ich ciał. Na myśl o tym przez moje ciało przepłynęło przyjemne ciepło. Gdy tłum zgromadzony na brzegu patrzył, jak skazańcy poddają się bolesnemu zimnu, jego nastrój zaczął się podnosić i rozległa się radosna pieśń *Moje Słońce*.

Przyłączyłem się do tego chóralnego śpiewu, patrząc na gwiazdę nieco większą od pozostałych, której mały dysk świecił żółtym światłem – na Słońce.

O, Słońce, moje Słońce,
Matko życia,
Ojcze stworzenia,
Jasny duchu, boże w górze!

Tyś jest stały i wieczny,

My tylko gwiezdnym pyłem na twojej orbicie,
A mimo to jak głupcy
Ośmieliliśmy się marzyć o twojej śmierci.

Minęła godzina. W oddali nadal stali na lodzie wrogowie ludzkości, ale żaden z nich już nie żył. Zamarzła krew w ich żyłach.

Nagle przestałem widzieć. Minęło kilka sekund, nim odzyskałem wzrok i lód, brzeg oraz tłum widzów zaczęły stopniowo nabierać ostrości. W końcu wszystko stało się znowu wyraźne, prawdę mówiąc, nawet wyraźniejsze niż przedtem, bo świat zalał silny biały blask. To właśnie ta jasność oślepiła mnie przed chwilą.

Jednak gwiazdy nie pojawiły się ponownie, ich lśnienie pochłonęło to ostre światło. Wyglądało to tak, jakby pod jego wpływem stopniał cały kosmos. Buchało ono z jednego punktu w przestrzeni kosmicznej. Ten punkt stał się środkiem wszechświata, a ja patrzyłem prosto na niego, gdy to się stało.

Nastąpił błysk helowy.

Pieśń *Moje Słońce* urwała się w połowie refrenu. Tłum na brzegu stał sparaliżowany; tworzący go ludzie wydawali się zamarznięci jak tych pięć tysięcy na lodzie, sztywni i nieruchomi jak kamienie.

Słońce po raz ostatni zalewało Ziemię swoim światłem i ciepłem. Najpierw stopniał lód na lądzie i w powietrze wzniosły się kłęby białej pary. Potem zaczęła tajać jego pokrywa na morzu, a ogrzewane nierównomiernie warstwy zaczęły trzeszczeć i skrzypieć. Światło stało się łagodniejsze, a niebo przybrało błękitny kolor. Później na niebie pojawiły się zorze wytworzone przez gwałtowne wiatry słoneczne, ogromne wielobarwne kurtyny światła.

Na lodzie stali nieruchomo ostatni Zabieracze, pięć tysięcy posągów oświetlonych jaskrawym, nagłym, oszałamiającym blaskiem słońca.

Wybuch na Słońcu trwał krótko. Po dwóch godzinach światło zaczęło szybko słabnąć i w końcu całkowicie zgasło.

W miejsce Słońca pojawiło się ciemnoczerwone ciało niebieskie. Powoli rosło, aż osiągnęło wielkość słońca widzianego z pierwotnej orbity Ziemi w dawnych czasach. Było tak ogromne, że jego średnica wykraczała poza orbitę Marsa. Silne promieniowanie cieplne przemieniło Merkurego, Wenus i Marsa – stałych towarzyszy Ziemi – w smużki dymu.

Nie było to już nasze Słońce. Nie emitując światła ani ciepła, przypominało przyklejony do firmamentu zimny kawałek czerwonego papieru, a jego przyćmiona poświata była tylko odbiciem światła otaczających je gwiazd. Podzieliło ewolucyjny los wszystkich gwiazd średniej wielkości – przemieniło się w czerwonego olbrzyma.

Pięć miliardów lat majestatycznego życia stało się ulotnym snem. Słońce umarło.

Na szczęście my nadal żyliśmy.

Rozdział 4

Era wędrówki

Od tamtych wydarzeń minęło pół wieku. Dwadzieścia lat temu Ziemia przeleciała obok orbity Plutona i opuściwszy Układ Słoneczny, kontynuowała samotną podróż przez rozległą, zimną pustkę przestrzeni kosmicznej.

Ostatni raz byłem na powierzchni jakieś dziesięć lat temu. Towarzyszyli mi syn i synowa, jasnowłosa, niebieskooka dziewczyna. Była wtedy w ciąży.

Gdy wyjechaliśmy na powierzchnię, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, był brak strumieni plazmy wyrzucanych przez silniki Ziemi, mimo że wiedziałem, iż nadal pracują pełną mocą. Atmosfera zniknęła i nic nie rozpraszało światła plazmy. Ziemię pokrywały dziwne, przezroczyste żółtozielone kryształki. Składały się z zestalonego tlenu i azotu, pozostałości po naszej zamarzniętej atmosferze.

Co ciekawe, atmosfera nie zamarzła równomiernie na całej powierzchni, lecz utworzyły się z niej nieregularne wzgórki. Skuta mrozem, niegdyś płaska i gładka tafla morza wybrzuszyła się w różnych miejscach i powstał fantastyczny, kryształowy krajobraz. Na niebie rozciągała się nieruchoma Droga Mleczna, jakby ona też zamarzła. Ale gwiazdy były jasne, zbyt jasne, by dało się na nie patrzeć.

Silniki Ziemi miały działać bez przerwy przez następne pięćset lat, nadając Ziemi przyspieszenie do pół procent prędkości światła. Miała ona lecieć z tą niewiarygodną prędkością przez kolejne tysiąc trzysta lat. Po przebyciu dwóch trzecich drogi mieliśmy odwrócić kierunek silników Ziemi i wejść w pięćsetletni okres hamowania. Po dwudziestu czterech stuleciach podróży mieliśmy wreszcie dotrzeć do układu Proxima Centauri. Wtedy Ziemia potrzebowałaby jeszcze jednego stulecia, by wejść na stałą orbitę wokół tej gwiazdy i stać się jednym z jej satelitów.

Wiem, że zostałem zapomniany
Ta podróż trwa i trwa
Ale zawołaj mnie, gdy nadejdzie czas
Gdy nowy świt zobaczy Ziemia ma

Wiem, że zostałem zapomniany
Z odejściem pogodzić się było trzeba
Ale zawołaj mnie, gdy nadejdzie czas
Gdy ludzie znów ujrzą błękit nieba

Wiem, że zostałem zapomniany
Wieki minęły od naszej ze Słońcem rozłąki
Ale zawołaj mnie, gdy nadejdzie czas
Gdy na każdej gałęzi znów zakwitną pąki

Za każdym razem, kiedy słyszę tę piosenkę, moje sztywne, starzejące się ciało zalewa fala ciepła, a do moich starczych oczu napływają łzy. Widzę oczami wyobraźni, jak nad horyzont wznoszą się jedno po drugim trzy złote słońca Alfy Centauri, opromieniając wszystko swoim ciepłym światłem.

Zestalona atmosfera stopniała i niebo jest znowu czyste i błękitne. Z rozmarzniętej ziemi wykiełkowały zasiane tam przed dwoma tysiącami lat ziarna i tchnęły w planetę nowe życie. Widzę moich potomków, od których dzieli mnie sto pokoleń, śmiejących się i bawiących na zielonej trawie. Przez łąki płyną czyste strumienie, w których pluskają małe, srebrzyste rybki. Widzę Kayoko pochylającą się ku mnie nad zieloną ziemią. Jest młoda i piękna jak anioł…

„Ach, Ziemia, moja wędrująca Ziemia…”

GÓRA

Rozdział 1

Tam, gdzie jest góra

– Dzisiaj chcę cię w końcu zmusić, żebyś mi powiedział, dlaczego nigdy nie schodzisz na ląd – oświadczył kapitan, marszcząc brwi. – Pływasz ze mną już od pięciu lat i w tym czasie *Otwarty Ocean* cumował w tylu portach, że nie jestem w stanie ich zliczyć, a ty ani razu nie zszedłeś ze statku. Nawet kiedy wróciliśmy do Chin. I nawet w ubiegłym roku w Qingdao, gdzie statek musiał przejść remont. Jesteś ostatnią osobą, której musiałbym przypomnieć, że panowały tu wtedy niesamowity bałagan i hałas. A mimo to ty przez dwa miesiące siedziałeś w swojej kajucie – ciągnął kapitan, bacznie wpatrując się w Feng Fana.

– Przypominam ci tego faceta, którego grał Tim Roth w *Człowieku legendzie*? – zapytał Fan.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek zatopimy statek, to chcesz tak jak on pójść z nim na dno? – zaripostował kapitan, niepewny, czy Fan mówi poważnie, czy żartuje.

– Zmienię statek. Na statkach oceanicznych zawsze znajdzie się miejsce dla inżyniera geologa, który nigdy nie schodzi na ląd – odparł Fan.

Kapitan wrócił do pierwotnego tematu.

– To naturalnie rodzi pytanie: Czy na lądzie jest coś, co cię przed tym powstrzymuje?

– Wprost przeciwnie. Jest tam coś, za czym tęsknię.

– I cóż to takiego? – zapytał kapitan z zaciekawieniem, ale też z lekką niecierpliwością.

– Góry – powiedział Fan ze wzrokiem utkwionym w dal.

Stali na lewej burcie prowadzącego badania oceanograficzne statku *Otwarty Ocean* i patrzyli na wody równikowego Pacyfiku. Po raz pierwszy statek przepłynął przez równik rok temu. Ulegli wtedy kaprysowi i uczcili to odwieczną ceremonią organizowaną z okazji przekroczenia tej linii. Jednak odkrycie na dnie morskim złoża manganu sprawiło, że przekraczali ją potem więcej razy, niż ktokolwiek z załogi zdołałby spamiętać. Zdążyli zupełnie zapomnieć o tej niewidzialnej granicy.

Kiedy słońce zachodziło powoli za horyzont, Fan zauważył, że ocean jest niezwykle spokojny. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie widział, by jego powierzchnia była tak gładka. Przypominał mu himalajskie jeziora o tak nieruchomych taflach, że wydawały się czarne i wyglądały jak oczy Ziemi. Pewnego razu on i jego dwaj towarzysze z zespołu podejrzeli kąpiącą się w jednym z takich jezior tybetańską dziewczynę. Nakryli ich na tym pasterze i rzucili się za nimi w pogoń z wyciągniętymi z pochew nożami. Nie zdołali ich dogonić, więc zaczęli rzucać w nich kamieniami. To niepokojąco celne bombardowanie nie zostawiło Fanowi i jego kolegom wyboru – musieli się poddać. Pasterze przyjrzeli się im i w końcu ich puścili.

Fan przypomniał sobie, że jeden z tamtych mruknął:

– To nie tutejsi. Na pewno nie mogli tutaj szybko wbiec.

– Lubisz góry? Tam się wychowałeś? – przerwał te wspomnienia kapitan.

– Nie – odparł Fan. – Ludzie, którzy spędzają w nich całe życie, na ogół nie zwracają na nie uwagi. Widzą je jako coś, co odgradza ich od świata. Znałem Szerpę, który czterdzieści jeden razy wspiął się na Mount Everest,

ale za każdym razem kiedy jego zespół zdobywał szczyt, stawał i tylko się przyglądał, jak pokonują ostatni odcinek. Po prostu nie widział potrzeby, żeby tam wchodzić. I nie myśl, że nie dałby rady tego zrobić; mógłby w ciągu dziesięciu godzin dotrzeć tam zarówno północnym, jak i południowym wejściem.

Są tylko dwa miejsca, w których możesz naprawdę poczuć magię gór: odległe równiny i szczyty – ciągnął Fan. – Urodziłem się na rozległej równinie Hebei. Widać było stamtąd góry Taihang na zachodzie, ale między nimi i moim domem leżała szeroka płaszczyzna bez żadnych cech szczególnych i wyróżników. Niedługo po moich narodzinach matka wyniosła mnie po raz pierwszy na dwór. Moja głowa ledwie się trzymała na cienkiej szyi, a i tak zwróciłem ją na zachód i gaworzyłem z zachwytem. Gdy tylko nauczyłem się chodzić, pierwsze, niepewne kroki skierowałem w stronę gór. Kiedy trochę podrosłem, wyprawiłem się pewnego ranka w drogę wzdłuż linii kolejowej Shijiazhuang–Taiyuan. Szedłem tak do południa, dopóki burczenie w brzuchu nie kazało mi zawrócić, ale góry i tak wydawały się nieskończenie odległe. Już będąc w szkole, pojechałem tam rowerem, ale bez względu na to, jak szybko pedałowałem, góry zdawały się równie szybko oddalać. Miałem wrażenie, że nie zbliżam się do nich nawet na centymetr. Wiele lat później dalekie góry znowu stały się dla mnie symbolem nieosiągalnego, czegoś, co wyraźnie widzisz, ale do czego nigdy nie dojdziesz, marzeniem skrystalizowanym w niedosiężnej dali.

– Raz tam byłem – rzekł kapitan, kręcąc głową. – Te góry są nagie i jałowe, nie ma tam nic oprócz kamieni i skąpej trawy. Czekało cię rozczarowanie.

– Nic podobnego. Te rzeczy wzbudzają we mnie zupełnie inne uczucia niż w tobie. Ja widziałem górę i chciałem tylko jednego – wejść na nią.

Kiedy wspiąłem się po raz pierwszy i zobaczyłem równinę w dole, poczułem się jak nowo narodzony.

Kiedy Feng Fan skończył, zdał sobie sprawę, że kapitan w ogóle go nie słuchał – siedział z zadartą głową, wpatrując się w gwiazdy.

– O, tam – powiedział kapitan, wskazując fajką punkt na niebie. – Tam nie powinno być żadnej gwiazdy.

Ale była. Mała, ledwie widoczna.

– Jesteś pewien? – Fan przeniósł wzrok z nieba na kapitana. – Czy GPS nie sprawił, że sekstans wyszedł z użytku? Naprawdę tak dobrze znasz te gwiazdy?

– Oczywiście, że znam – odparł kapitan. – Znajomość gwiazd to jeden z podstawowych elementów żeglugi. – Obróciwszy się do Fana, wrócił do poprzedniego tematu. – Ale mówiłeś, że…

Feng Fan kiwnął głową.

– Później, na uniwersytecie, założyłem grupę himalaistów. Wspinaliśmy się na siedmiotysięczniki. Naszym ostatnim celem był Mount Everest.

Kapitan przyjrzał mu się uważnie, po czym powiedział:

– Tak myślałem! To naprawdę ty! Zawsze mi się wydawało, że skądś znam twoją twarz. Zmieniłeś nazwisko?

– Tak. Dawniej nazywałem się Feng Huabei – przyznał Fan.

– Kilka lat temu wywołałeś niezłe poruszenie. A więc to, co mówiono o tobie w mediach, było prawdą? – zapytał kapitan.

– W zasadzie tak. W każdym razie tych czterech wspinaczy nie żyje – odparł Fan ponuro.

Pocierając zapałkę, by zapalić wygasłą fajkę, kapitan powiedział:

– Myślę, że kierowanie zespołem wspinaczy nie różni się od dowodzenia statkiem: najtrudniej jest nauczyć się nie tego, kiedy walczyć, lecz kiedy się wycofać.

– Ale gdybym wtedy się wycofał, byłoby nam bardzo trudno zrobić następne podejście – odparł natychmiast Fan. – Wspinaczki wysokogórskie to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, a my byliśmy studentami. Niełatwo by nam było znaleźć sponsora. – Przerwał i wziął głęboki oddech. – Wynajęci przez nas przewodnicy nie chcieli iść dalej, więc dotarcie do miejsca, gdzie założyliśmy pierwszy obóz, zajęło nam więcej czasu, niż przewidywaliśmy. Prognoza pogody zapowiadała burzę, ale po przestudiowaniu obrazów i map doszliśmy do wniosku, że mamy jeszcze dwadzieścia godzin do jej nadejścia. Przedtem zdążyliśmy już założyć drugi obóz na wysokości siedmiu tysięcy ośmiuset metrów, więc myśleliśmy, że jeśli zaraz wyruszymy, uda się nam wejść na szczyt. Powiedz mi, jak mogliśmy się wtedy wycofać. Nie braliśmy nawet pod uwagę kapitulacji, kontynuowaliśmy wspinaczkę.

– Ta gwiazda robi się coraz jaśniejsza – powiedział kapitan, spoglądając w górę.

– Oczywiście. Niebo ciemnieje – rzekł lekceważąco Fan.

– Wydaje się jakaś inna – zauważył kapitan. – Ale mów dalej.

– Pewnie wiesz, co było potem. Kiedy nadeszła burza, byliśmy blisko tak zwanej „Chińskiej Drabiny” na drugim progu na pionowej skale, która wznosi się na wysokości ośmiu tysięcy pięciuset pięćdziesięciu metrów. Szczyt był niemal na wyciągnięcie ręki, a niebo, poza pasmem chmur po drugiej stronie góry, było wciąż idealnie błękitne. Nadal wyraźnie pamiętam, że pomyślałem, iż szczyt Everestu wygląda jak ostrze noża rozcinającego niebo i wypuszczającego z niego falującą jasną krew. – Fan przerwał na wspomnienie tego wrażenia, po czym ciągnął opowieść: – Po paru minutach znikąd pojawiła się burza i rozpętała się taka śnieżyca, że całkowicie straciliśmy widoczność. Wszystko zakrywała nieprzenikniona biel, a za nią rozciągała się ciemność. W pewnej chwili zamarło mi serce,

bo poczułem, że czterech członków mojego zespołu odpada od ściany. Wisieli na mojej linie, a ja mogłem tylko trzymać się czekana wbitego w szczelinę w skale. Lina po prostu nie utrzymałaby ciężaru pięciu osób. Działając instynktownie, przeciąłem pasek z klamrą, do którego przyczepiona była ta lina. Pozwoliłem im spaść. – Zawahał się, ciężko oddychał. – Do tej pory nie znaleziono dwóch ciał.

– A więc zamiast pięciu osób zginęły cztery – zauważył sucho kapitan.

– Tak, postąpiłem zgodnie z zasadami zachowania bezpieczeństwa w górach. Mimo to muszę dźwigać ten krzyż. – Fan znowu przerwał, tym razem z powodu czegoś innego niż smutne wspomnienia. – Masz rację, w tej gwieździe jest coś dziwnego. Robi się zdecydowanie coraz jaśniejsza.

– Mniejsza z tym – rzekł kapitan. – Czy twój obecny… – urwał, zasznurował usta, po czym podjął na nowo – …powiedzmy „stan” ma coś wspólnego z tym, co się wtedy stało?

– Naprawdę muszę to wyjaśniać? Na pewno pamiętasz to miażdżące potępienie ze strony mediów i okazywaną mi pogardę. Twierdzili, że zachowałem się nieodpowiedzialnie, że jestem samolubnym tchórzem, że poświęciłem czterech kolegów, by ocalić własne życie. – Widać było, że nadal sprawia mu to ból. – Pomyślałem, że mogę się oczyścić przynajmniej z tego ostatniego zarzutu, więc włożyłem strój do wspinaczki i gogle, poszedłem do biblioteki uniwersyteckiej i po rurze spustowej wspiąłem się na jej dach. Miałem już skoczyć, gdy usłyszałem głos jednego z moich nauczycieli. Nie zauważyłem, że wszedł tam za mną. Zapytał, czy naprawdę chcę tak łatwo wydostać się z opresji, czy chcę uniknąć dużo surowszej kary, która mnie czeka. Kiedy zapytałem, co ma na myśli, odparł, że chodzi o trzymanie się przez całe życie jak najdalej od gór. Już nigdy ich nie zobaczyć – czy nie byłaby to surowsza kara?

A więc nie skoczyłem. Oczywiście stałem się przedmiotem jeszcze większych szyderstw, ale wiedziałem, że ten nauczyciel miał rację: dla mnie było to gorsze niż śmierć. Wspinaczki były całym moim życiem. Tylko z tego powodu studiowałem geologię. Życie w wiecznym oddzieleniu od tego, co mnie pasjonuje, z dręczącym sumieniem – to wydawało mi się sprawiedliwe. Właśnie dlatego postarałem się o tę pracę, dlatego zatrudniłem się jako inżynier na *Otwartym Oceanie*. Na oceanie jestem tak daleko od gór, jak to możliwe – zakończył z westchnieniem.

Kapitan przez długą chwilę patrzył na niego z osłupieniem, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie nic nie mówić. Jakby na zawołanie coś na niebie zmusiło go do nagłej zmiany tematu.

– Spójrz jeszcze raz na tę gwiazdę – powiedział z napięciem w głosie.

– O nieba! – wykrzyknął Fan, gdy popatrzył w górę. – Ona się w coś przemienia!

Gwiazda nie była już świetlnym punktem, lecz małym i szybko powiększającym się dyskiem. W mgnieniu oka stała się kulą jarzącą się niebieskim światłem.

Tupot zbliżających się kroków sprawił, że ich oczy skierowały się z powrotem na pokład. Biegł ku nim pierwszy mat.

Kiedy znalazł się w zasięgu ich słuchu, zawołał bez tchu do kapitana:

– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość: do Ziemi zbliża się statek obcych! Z naszej pozycji na równiku dobrze go widać! Spójrzcie, jest tam!

Wszyscy trzej podnieśli głowy i zobaczyli, że mała kula dalej się powiększa. Urosła już do wielkości Księżyca.

– Wszystkie stacje przerwały swoje stałe programy i mówią tylko o tym! – trajkotał pierwszy mat. – Ten obiekt zaobserwowano już wcześniej, ale dopiero teraz potwierdzono jego prawdziwą naturę. Nie odpowiada na

nasze powitania, a jego trajektoria pokazuje, że napędza go jakaś potężna siła i zmierza wprost na Ziemię! Mówią, że jest już tak duży jak Księżyc! – Mat przyłożył słuchawkę do ucha i uważnie słuchał. Obcy obiekt nie miał już rozmiarów Księżyca; był co najmniej dziesięć razy większy i wydawał się znajdować dużo bliżej Ziemi. Przyciskając mocno palcem słuchawkę, pierwszy mat kontynuował: – Mówią, że się zatrzymał. Jest teraz na orbicie geosynchronicznej trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad Ziemią. Stał się jej geostacjonarnym satelitą.

– Geostacjonarnym satelitą? Mówisz, że będzie wisiał nad nami? – krzyknął kapitan.

– Tak! Nad równikiem, wprost nad nami! – potwierdził mat.

Feng Fan gapił się na ogromną kulę na niebie. Wydawała się prawie przezroczysta, skąpana w tajemniczym niebieskim świetle. Miał dziwne wrażenie, że patrzy na akwarium wypełnione morską wodą. Za każdym razem, gdy wyciągano sondę pobierającą próbki z dna oceanu, czuł się, jakby był świadkiem jakiegoś tajemniczego zjawiska, i wydawało mu się, że za chwilę coś się stanie. Teraz, patrząc w górę, doznawał tego samego uczucia. Zupełnie jakby na powierzchnię wypłynął jakiś zapomniany relikt z niepamiętnych czasów.

– Spójrzcie na ocean! – zawołał kapitan, machnąwszy gwałtownie fajką w stronę rufy. – Co się dzieje z oceanem?

On pierwszy wyzwolił się spod hipnotycznego uroku, który zdawała się rzucać na nich ogromna kula. W miejscu, które wskazywał, ocean zaczął się wyginać w górę jak sinusoida. Ogromna fala piętrzącej się wody szybko rosła. Wyglądało to tak, jakby w oceanie zanurzyła się gigantyczna, chociaż niewidzialna ręka z kosmosu i czerpała z niego wodę.

– To wpływ masy tego statku kosmicznego! Jego grawitacja przyciąga ocean! – krzyknął Feng Fan, zdumiony, że zachował tyle przytomności

umysłu, by zrozumieć, co się dzieje. Statek obcych miał prawdopodobnie masę równą masie Księżyca, ale był dziesięć razy bliżej! Na szczęście wszedł na orbitę geosynchroniczną i przyciągał wodę tylko w jednym miejscu. Gdyby się przesuwał, spowodowałby na całym świecie tak wielki przypływ, że spustoszyłby on kontynenty i zniszczył nadbrzeżne miasta.

Ta ogromna fala sięgnęła już nieba, tworząc stożek o spłaszczonym wierzchołku. Od jego powierzchni odbijało się niebieskie światło wiszącego nad nim statku, ale krawędzie płonęły szkarłatnym ogniem zachodzącego, skrytego za nim słońca. Zimne powietrze wokół szczytu stożka schładzało pianę, z której wypływały pasma mgły niczym krew z rozciętego brzucha nieba i szybko niknęły w ciemnościach nocy. Gdy Fan chłonął to wszystko wzrokiem, ogarnęły go wspomnienia i jego serce zaczęło bić żywiej. Odpłynął myślami do dnia tamtej wspinaczki…

– Podaj mi jej wysokość! – Krzyk kapitana przywołał Fana do rzeczywistości.

Chwilę później ktoś odpowiedział:

– Prawie dziewięć tysięcy metrów!

Mieli przed sobą najbardziej przerażający, najbardziej niesamowity i najwspanialszy widok, jaki kiedykolwiek ujrzeli ludzie. Wszyscy na pokładzie patrzyli jak urzeczeni.

– To musi być przeznaczenie – wymamrotał Feng Fan, zauroczony bardziej niż reszta.

– Co powiedziałeś? – zapytał głośno kapitan ze wzrokiem wciąż utkwionym we wznoszącą się wodę.

– Że to musi być przeznaczenie – powtórzył Fan.

To było – to musiało być – jego przeznaczenie. Wypłynął w morze, by unikać gór, by jak najbardziej się od nich oddalić, a teraz znalazł się

w cieniu góry przewyższającej nawet Mount Everest, i to o prawie pięćset metrów. Była to najwyższa góra na świecie.

Kapitan wydał pierwszemu matowi komendę:

– Ster prawo na burt! Cała naprzód! Musimy stąd zaraz odpłynąć!

– Odpłynąć stąd? Jest tu niebezpiecznie? – spytał zdezorientowany Feng Fan.

– Statek obcych już spowodował niskie ciśnienie na ogromnym obszarze. Właśnie tworzy się gigantyczny cyklon. Mówię ci, to będzie najpotężniejszy sztorm, jaki widział świat. Jeśli uderzy w *Otwarty Ocean*, porwie nas w powietrze i będzie nami miotał jak listkiem. Modlę się, żeby udało się nam przed nim uciec – wyjaśnił kapitan. Wyraźnie było widać pot na jego czole.

W tym momencie pierwszy mat dał im znak, by się uciszyli. Przykrywając dłonią słuchawkę, pilnie słuchał, a potem powiedział:

– Panie kapitanie, jest jeszcze gorzej! Mówią, że obcy przybyli, by zniszczyć Ziemię! Ich statek samą swoją masą powoduje coś dużo gorszego od sztormu: wycina dziurę w ziemskiej atmosferze!

– Dziurę? Dokąd? – zapytał kapitan, patrząc na niego rozszerzonymi oczami.

Mat wyjaśnił, co usłyszał przez radio:

– Siła grawitacji statku przedziurawi górne warstwy atmosfery. Atmosfera będzie jak przekłuty balon, powietrze będzie uciekać przez tę dziurę w przestrzeń kosmiczną! Cała atmosfera się ulotni!

– Ile mamy czasu? – spytał kapitan, stanąwszy w obliczu następnej katastrofy.

– Specjaliści twierdzą, że ciśnienie atmosferyczne spadnie do poziomu zabójczego dla życia mniej więcej za tydzień – odpowiedział automatycznie pierwszy mat, ale w jego oczach widać było panikę. – Mówią, że kiedy

obniży się do pewnego punktu, oceany się zagotują – ciągnął. Zaczął mu się załamywać głos. – O nieba, to będzie jak… – Drżał na całym ciele, słuchając dalszych wiadomości. – We wszystkich dużych miastach na Ziemi zapanował chaos. Ludzie wpadli w obłęd. Szturmują szpitale i fabryki i rabują wszystkie butle z tlenem, jakie wpadną im w ręce. – Jego oczy coraz bardziej się rozszerzały. – Zaczekajcie, teraz mówią, że przylądek Canaveral zalał oszalały tłum, próbuje się dobrać do ciekłego tlenu, który jest składnikiem paliwa rakietowego. – Wyglądało na to, że te wieści nadwątliły nie tylko jego ciało, ale również ducha. – Och, to koniec!

– Tydzień? To za mało czasu, żeby udało się nam wrócić do domu – rzekł spokojnym głosem kapitan. Wydawało się, że odzyskał panowanie nad sobą. Szybkim pstryknięciem zapalił wygasłą fajkę.

– Tak, mamy za mało czasu, żeby udało się nam wrócić do domu – powtórzył jak echo mat, teraz bezbarwnym głosem.

– Skoro tak, to możemy przynajmniej jak najlepiej wykorzystać czas, który nam pozostał – zauważył Feng Fan z nutą nagłego entuzjazmu w głosie. Przygotowywało się do tego całe jego ciało, policzki płonęły z podniecenia.

– A co takiego chcesz zrobić? – zapytał kapitan.

– Wspiąć się na górę – odparł Fan z uśmiechem.

– Wspiąć się na górę? Wspiąć się…? – Zdumienie na twarzy pierwszego mata ustąpiło nagle wyrazowi niedowierzania. – Na tę górę? – wykrztusił, wskazując wznoszącą się nad nimi masę wody.

– Tak. Teraz jest to najwyższy szczyt na świecie. A tam, gdzie jest góra, zawsze znajdzie się ktoś, kto się na nią wespnie – odparł spokojnie Fan.

– A jak masz zamiar to zrobić? – zapytał pierwszy mat.

– Czy to nie oczywiste? Przy wspinaczce posługujemy się rękami i nogami, więc popłynę – wyjaśnił Fan z uśmiechem.

– Oszalałeś? – krzyknął pierwszy mat. – Chcesz przepłynąć dziewięć tysięcy metrów pod górę? Według mnie to zbocze wznosi się pod kątem czterdziestu pięciu stopni! To zupełnie co innego niż wspinaczka na górę. Będziesz musiał płynąć bez przerwy, bo jeśli choć na chwilę przestaniesz, ześlizgniesz się na dół!

Fan nie dał się odwieść od swego pomysłu.

– Chcę spróbować – powiedział.

– No to niech spróbuje – rzekł beznamiętnie kapitan. – Czy będzie lepszy czas na oddanie się swojej pasji? Jak daleko jest do podnóża tej góry?

– Z jedenaście mil morskich, czyli jakieś dwadzieścia kilometrów – odparł ktoś.

– Weź jedną z naszych łodzi ratunkowych – zaproponował kapitan Feng Fanowi. – Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą dość wody i jedzenia.

– Dziękuję! – Fan wyraził płynącą z głębi serca wdzięczność.

– Wygląda na to, że los się do ciebie uśmiechnął – powiedział kapitan z krzywym uśmiechem i poklepał Feng Fana po ramieniu.

– Tak myślę – odparł Fan. – Kapitanie, nie powiedziałem ci jeszcze o jednym. Wśród tej czwórki wspinaczy na Evereście była moja dziewczyna. Kiedy przecinałem linę, w głowie pojawiła mi się jedna myśl: „Nie chcę umierać”. Jest jeszcze inna góra, na którą trzeba się wspiąć – rzekł, a w jego oczach widać było ból i entuzjazm.

Kapitan kiwnął głową.

– Płyń.

– A my? – zapytał pierwszy mat z zagubioną miną. – Co mamy robić?

– Pełną parą naprzód, jak najdalej od nadchodzącego sztormu. Zawsze to dzień życia więcej – odparł z zamyśleniem kapitan.

Feng Fan stał w łodzi, odprowadzając wzrokiem odpływający *Otwarty Ocean*. Wkrótce statek, który dawniej uważał za swój dom na resztę życia,

znalazł się naprawdę poza jego zasięgiem.

Za jego plecami wznosiła się góra wody skąpana w niebieskim świetle statku obcych. Gdyby nie widział, jak się tworzy, można by mu było łatwo wmówić, że znajduje się tu od milionów lat. Ocean był bardzo spokojny, jego gładkiej powierzchni nie mąciła ani jedna fala. Mimo to Feng Fan czuł na twarzy podmuch bryzy, ale wiatr wiał w stronę spiętrzonej wody. Podniósłszy żagiel, Fan ruszył w drogę. Wiatr wkrótce się wzmógł i żagiel się wydął. Dziób łodzi pruł powierzchnię oceanu jak nóż, pędząc do obranego przez Fana celu.

Dwudziestokilometrowa podróż trwała nie dłużej niż czterdzieści minut. Gdy tylko Fan poczuł, że kadłub łodzi się wznosi, wskoczył do lśniącej, niebieskiej wody opromienionej światłem ze statku obcych. Po kilku wymachach ramion stał się pierwszą osobą na świecie, która płynęła zboczem góry.

Z miejsca, gdzie się znajdował, nie widział już szczytu. Podniósłszy głowę, zobaczył tylko bezkres pochyłej wody. Niemal wyobrażał sobie tytana za horyzontem, który podnosi ocean jak wielki wodny dywan.

Zaczął płynąć żabką, by oszczędzić jak najwięcej energii. Miał żywo w pamięci ostrzeżenie pierwszego mata. Szybko ocenił, że do szczytu jest około dziesięciu kilometrów. Był wytrzymały, więc gdyby płynął po powierzchni poziomej, łatwo pokonałby tę odległość, ale tutaj będzie miał pod górę. Jeśli przestanie płynąć, ześlizgnie się ze zbocza. Już samo to sprawiało, że dotarcie na szczyt było niemal niemożliwe. Nieważne, sama próba wspięcia się na ten wodny Mount Everest stanowiła większe osiągnięcie, niż kiedykolwiek śmiał marzyć.

Kiedy te emocje ucichły, zaczęły do niego docierać doznania natury fizycznej. Czuł, że jakaś siła ciągnie go stopniowo wzwyż. Wydawało mu się, że nie musi wkładać dodatkowego wysiłku, by piąć się coraz wyżej.

Obejrzawszy się za siebie, zobaczył łódź, którą porzucił u podnóża góry. Przed jej opuszczeniem zwinął żagiel, a mimo to tkwiła tam, gdzie ją pozostawił. Postanowił czegoś spróbować.

Przestał poruszać kończynami i uważnie obserwował otoczenie. Nie zsuwał się. Przeciwnie, unosił się na zboczu, jakby w ogóle nie istniało! Klepnął się w czoło, przeklinając głupotę swoją i pierwszego mata. Skoro woda tworząca górę nie spływała w dół, to dlaczego miałby się zsunąć człowiek? Albo łódka.

Przyciąganie grawitacyjne neutralizowała masa ogromnej kuli. Im wyżej się piął, tym słabiej odczuwał siłę grawitacji Ziemi. Oznaczało to, że kąt nachylenia zbocza nie odgrywa żadnej roli. Jeśli chodziło o grawitację, to nie było tu żadnej góry. Działające na niego siły nie różniły się od tych, którym podlegał na poziomej powierzchni oceanu.

Teraz już wiedział, że ta góra będzie jego.

Płynął dalej. Musiał w to wkładać coraz mniej wysiłku. Było to w dużej części skutkiem tego, że jego ciało stawało się coraz lżejsze, dzięki czemu było mu coraz łatwiej unosić głowę, by zaczerpnąć powietrza. Widział też inną oznakę zmniejszania się grawitacji: im wyżej się wspinał, tym wolniej opadały rozproszone krople wody. Zjawisko to znajdowało odzwierciedlenie w ruchach fal. One też stawały się coraz wolniejsze. Straciły impet, jaki miały na otwartym oceanie; były łagodniejsze, niż pozwoliłaby na to normalna grawitacja.

Ale nie panowały tam cisza i spokój. Wiatr się wzmagał i na zboczu zaczęły się wznosić pasma fal. Te bałwany, uwolnione spod wpływu grawitacji ziemskiej, osiągały niezwykłą wysokość, nie podnosiły się jednak gwałtownie jak normalne grzywacze, ale odszczepiały się od zbocza cienkimi plastrami i łagodnie osuwały jeden na drugi. Przypominały Fanowi cienkie wióry zestrugiwane z deski przez niewidzialnego stolarza.

W najmniejszym stopniu nie utrudniały mu posuwania się w górę. Prawdę mówiąc, było wprost przeciwnie – mknąc ku szczytowi, popychały go.

W miarę słabnięcia przyciągania ziemskiego zaczęły się dziać jeszcze większe dziwy. Zamiast popychać, fale łagodnie go wyrzucały. Czuł, że wynurza się z wody i leci nad nią, by chwilę potem zostać porwany przez następną falę i w mgnieniu oka znowu znaleźć się w powietrzu. Delikatne, lecz silne ręce oceanu niosły go naprzód. Wkrótce odkrył, że w tych dziwnych warunkach jego i tak szybkie wznoszenie przyspieszy zmiana stylu pływania na motylkowy.

Wiatr osiągnął jeszcze większą siłę, natomiast uchwyt, w którym trzymała Fana grawitacja, stawał się coraz słabszy. Fale na tej wysokości wzbijały się na dziesięć metrów, po czym opadały w zwolnionym tempie. Były łagodniejsze niż niżej i bezgłośnie osuwały się jedna na drugą. Jedynym dźwiękiem było wycie narastającego cyklonu.

Fan, coraz lżejszy, przeskakiwał z grzbietu jednej fali na grzbiet drugiej. Przy kolejnym skoku zdał sobie sprawę, że więcej czasu przebywa w powietrzu niż w wodzie. Trudno było powiedzieć: płynie czy frunie. Co jakiś czas całkowicie zalewała go cienka fala, ciskając w tunel utworzony przez powoli opadającą wodę. Przez łagodnie zaokrąglone sklepienia tych tunelów sączyło się niebieskie światło. Widział przez nie jego źródło – olbrzymią kulę wiszącą na niebie. Wodne sklepienie zniekształcało obraz statku obcych; Feng Fan miał wrażenie, jakby patrzył na niego załzawionymi oczami.

Zerknął na wodoszczelny zegarek na lewym ręku. Wspinał się dopiero od godziny, więc w tym przekraczającym najśmielsze marzenia tempie dotarcie na szczyt zajmie mu tylko jeszcze godzinę.

Pomyślał o *Otwartym Oceanie*. Wnioskując z obecnej prędkości wiatru, huragan już za kilka chwil miał uderzyć z całą furią. Statek nie mógł

w żaden sposób uciec przed nadciągającym cyklonem. Fanowi przyszło do głowy, że kapitan popełnił poważny błąd – powinien był skierować statek wprost na wodną górę. Ponieważ grawitacja nie oddziaływała na nic na jej zboczu, statek mógłby łatwo wpłynąć na wierzchołek i tam znalazłby się w oku cyklonu. Byłby bezpieczny! Zaledwie Fan to sobie uświadomił, wyjął z kieszeni kamizelki ratunkowej walkie-talkie. Próbował się połączyć z *Otwartym Oceanem*, ale statek nie odpowiadał.

Do tego czasu Fan opanował sztukę skakania z grzbietu na grzbiet fali. Wspinając się tak przez dwadzieścia minut, pokonał dwie trzecie drogi. Z miejsca, gdzie dotarł, idealnie okrągły wierzchołek góry wydawał się już na wyciągnięcie ręki. Skrzył się w łagodnym świetle padającym ze statku obcych. Wyglądało to tak, jakby obcy na niego czekali. W tym momencie świst wiatru przeszedł nagle w ogłuszający ryk, który dochodził ze wszystkich stron. Temu przerażającemu wyciu towarzyszyło nagłe zwiększenie się siły wiatru. Uniosły się cienkie jak arkusze, wysokie na trzydzieści metrów fale, ale nie opadły, cyklon rozwiał je w powietrzu. Podniósłszy głowę, Feng Fan zobaczył, że zbocze nad nim pokrywa wodny pył z rozbitych grzywaczy, smagany wiatrem i wirujący w szalonym tańcu nad powierzchnią oceanu. W blasku, który padał na nie ze statku obcych, chaotyczne rozbryzgi świeciły oślepiająco białym światłem.

Feng Fan wykonał ostatni skok. Trzydziestometrowa fala uniosła go w powietrze. W chwili gdy opuścił jej grzbiet, wiatr rozbił ją w wodny pył i Fan zaczął spadać na pas wolno przetaczających się pod nim fal. Wyglądały jak ogromne, przezroczyste skrzydła, które powoli się rozpościerały, by go objąć. Gdy dosięgnął ich wyciągniętymi rękami, gwałtowne uderzenie wiatru rozerwało ich skrzącą się kryształowo powłokę i przemieniło je w białą mgłę. Temu niesamowitemu spektaklowi towarzyszył dziwny dźwięk, który brzmiał jak śmiech. W tej samej chwili

Feng przestał spadać; jego ciało było tak lekkie, że unosiło się w powietrzu. Wiatr miotał nim jak piórkiem, a kłębiący się w dole ocean zaczął się powoli jeszcze bardziej oddalać.

Wirującemu w powietrzu, niemal nieważkiemu Fanowi zakręciło się w głowie. Miał wrażenie, że statek obcych kręci się wokół niego. Kiedy w końcu udało mu się przyjąć stabilną pozycję, stwierdził z przerażeniem, że unosi się nad wierzchołkiem wodnej góry.

Przetaczające się wokół szczytu gigantyczne fale wyglądały stamtąd jak długie linie i nadawały mu wygląd ogromnego wiru. Feng Fan miał wrażenie, że zatacza coraz szybciej coraz mniejsze kręgi. Niosło go wprost w oko cyklonu.

Gdy się tam znalazł, wiatr nagle osłabł. Niewidzialna ręka powietrza, która dotąd go trzymała, puściła i spadł na wodną górę, prosto w niebieską poświatę jej szczytu.

Zanurzył się w nim głęboko, nim poczuł, że znowu się unosi. Otaczała go ciemność i po paru chwilach ogarnął go strach przed utonięciem. Uświadomił sobie nagle z rosnącą paniką, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo po raz ostatni nabrał w płuca powietrza na dziesięciu tysiącach metrów! Na tej wysokości prawie nie było tlenu, a przy słabej grawitacji będzie się wznosił na powierzchnię bardzo wolno. Obawiał się, że nawet gdyby płynął z całych sił, nie wystarczy mu powietrza w płucach.

Doznał dziwnego uczucia déjà vu. Znowu był na Mount Evereście, wokół panowały kompletne ciemności i szalała zawieja śnieżna. Poczuł przytłaczający strach. Ale dojrzał w tych ciemnościach światło; kilka srebrzystych kul wznoszących się tuż obok niego. Największa z nich miała około metra średnicy. Patrząc na nie, uświadomił sobie nagle, że są to bańki powietrza. Słaba grawitacja pozwoliła na utworzenie się w oceanie

ogromnych baniek tlenu. Wytężywszy siły, wepchnął się do tej największej. Gdy jego głowa przebiła srebrzystą powłokę, mógł znowu zaczerpnąć tchu. Powoli ustępowały spowodowane niedoborem tlenu zawroty głowy. Fan znajdował się teraz w otoczonej przez wodę kuli powietrza. Spojrzawszy w górę, zobaczył migoczącą powierzchnię. Unosząc się ku niej, poczuł nagły spadek ciśnienia, który spowodował raptowne poszerzenie się bańki. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest uwięziony w jednym z baloników, jakie się wypuszcza na przyjęciach na świeżym powietrzu, i że wzlatuje w górę.

Niebieskie migotanie fal było coraz jaśniejsze, aż w końcu stało się tak silne, że Fan musiał odwrócić wzrok. Akurat w tym momencie bańka pękła z cichym trzaskiem. Był już na powierzchni, ale dalej się wznosił, bo słaba grawitacja wyniosła go na dobry metr w powietrze. Tam się zatrzymał i spadł, ale łagodnie, nie gwałtownie.

Opadając, Feng Fan zauważył niezliczone śliczne kule, które spadały razem z nim. Były one różnej wielkości, największa miała rozmiar piłki futbolowej. Wszystkie skrzyły się jak kryształy w niebieskim świetle dobiegającym z ogromnego statku nad nimi. Gdy się im przyjrzał bliżej, spostrzegł, że w istocie składają się z wielu warstw, które odbijając światło, sprawiały, że mieniły się takim blaskiem. Były to rozbryzgi wody, które wystrzeliły z oceanu, kiedy rozpruł jego powierzchnię. Niska grawitacja pozwoliła, by napięcie powierzchniowe nadało im taki kształt. Fan dotknął jednej z tych kul. Rozerwała się z dziwnym metalicznym dzwonieniem, które w niczym nie przypominało dźwięków, jakie w jego mniemaniu mogła wydawać woda.

Poza tymi kulami na szczycie wodnej góry panował spokój, napierające zewsząd fale załamywały się łagodnie. Było to bez wątpienia oko cyklonu, jedyne spokojne miejsce w ogólnym chaosie. Ciszę podkreślało dobiegające

z dala wycie wiatru. Rozejrzawszy się, Feng Fan stwierdził, że razem z górą znajduje się w ogromnej „studni”. Jej ściany tworzyła wirująca, spieniona woda. Ta wodna masa powoli opływała górę i wydawało się, że sięga ona w przestrzeń kosmiczną. Przez wylot studni napływało światło statku obcych. Oświetlało całe jej wnętrze jak wisząca w kosmosie ogromna lampa. Fan widział tworzące się wokół statku dziwne chmury. Wyglądały jak oplatające go luźną siecią włókna. Roztaczały blask, który zdawał się pochodzić z ich wnętrza. Fan mógł się tylko domyślać, że składały się z kryształków lodu, które powstały, gdy ziemska atmosfera uciekała w kosmos. Chociaż pozornie otaczały statek, w rzeczywistości musiało je od niego dzielić dobrych trzydzieści kilka tysięcy kilometrów. Jeśli jego domysł był słuszny, atmosfera zaczęła już wyciekać, a wylot olbrzymiej, obracającej się studni nie był niczym innym niż dziurą w otoczce Ziemi.

„Nieważne – pomyślał Fan. – Wspiąłem się na szczyt”.

Rozdział 2

Słowa na szczycie góry

Nagle światło przenikające wszystko wokół Feng Fana się zmieniło. Zamigotało, a potem przygasło. Podniósłszy wzrok, Fan zobaczył, że niebieska poświata, która otaczała statek obcych, zniknęła. W tej samej chwili dotarło do niego, że było to światło tła pustego ekranu monitora; cały kadłub tego statku był jednym ogromnym ekranem. Zaledwie ta myśl przyszła mu do głowy, na wielkim ekranie pojawił się obraz. Było to ujęcie zrobione z dużej wysokości i przedstawiało postać unoszącą się na powierzchni oceanu ze zwróconą w górę twarzą. Tą postacią był on. Po trzydziestu sekundach obraz zniknął. Fan natychmiast zrozumiał jego znaczenie – obcy pokazali mu, że go widzą. Poczuł się, jakby naprawdę stał na dachu świata.

Ne ekranie pojawiły się dwie linijki tekstu. Napisane były znakami wszystkich rodzajów pism, jakie widział. Rozpoznawszy słowa „angielski”, „chiński” i „japoński”, domyślił się, że jest to lista wszystkich języków świata. Zauważył też ciemną ramkę szybko przesuwającą się pomiędzy tymi nazwami. Wydało mu się to znajome. Jego domysł wkrótce okazał się słuszny, bo odkrył, że ta ramka podąża za jego wzrokiem. Zatrzymał spojrzenie na znakach tworzących słowo „chiński” i ramka również się na nich zatrzymała. Mrugnął, ale nie otrzymał odpowiedzi.

„Może potrzebne jest podwójne kliknięcie” – pomyślał i zamrugał dwa razy. Ciemna ramka zamigotała i językowe menu ekranu zniknęło. W jego miejsce pojawiło się wielkie słowo po chińsku:

>> Halo!

– Halo! – zawołał Fan w stronę nieba. – Słyszycie mnie?

>> Słyszymy cię, nie musisz krzyczeć. Możemy usłyszeć szelest skrzydeł komara w dowolnym miejscu na Ziemi. Przechwyciliśmy fale elektromagnetyczne wyciekające z waszej planety i dzięki nim nauczyliśmy się waszych języków. Chcemy z tobą trochę pogawędzić.

– Skąd przybywacie? – zapytał Fan już znacznie cichszym głosem.

Na powierzchni ogromnej kuli pojawił się obraz gęstego skupiska czarnych punktów. Łączyła je skomplikowana siatka linii. Były tak zawiłe, że od ich widoku zakręciło mu się w głowie. Najwyraźniej była to jakiegoś rodzaju mapa gwiezdna. Jakby na potwierdzenie jego domysłu jeden z tych punktów zaczął lśnić srebrnym światłem, które stawało się coraz jaśniejsze. Niestety Fan zupełnie nie mógł się w tym połapać, ale był pewien, że ten obraz już gdzieś zapisano. Mogliby go zrozumieć ziemscy astronomowie. Na ekranie ponownie pojawiły się znaki, ale gwiezdna mapa nie zniknęła. Pozostała w tle, niemal jak pulpit na komputerze obcych.

>> Wznieśliśmy górę. Ty podpłynąłeś i wspiąłeś się na nią.

– Wspinanie się na góry to moja pasja – odparł Fan.

>> To nie jest kwestia pasji, my musimy się wspinać na góry.

– Dlaczego? – zapytał Fan. – Czy na waszym świecie jest dużo gór?

Zdawał sobie sprawę, że nie jest to najpilniejsze pytanie, jakie dręczy ludzkość, ale chciał się tego dowiedzieć. Wszyscy, których znał, uważali wspinaczkę górską za głupie zajęcie, mógł więc porozmawiać o tym przynajmniej z obcymi. W końcu przed chwilą powiedzieli, że mają skłonność do wspinaczek, a on wszedł tu sam, z własnej woli.

>> Góry są wszędzie, ale nie wspinamy się na nie tak jak ty.

Feng Fan nie wiedział, czy jest to dosłowny opis, czy abstrakcyjna analogia. Nie miał innego wyboru, jak się do tego przyznać.

– Zatem tam, skąd jesteście, jest mnóstwo gór?

>> Byliśmy otoczeni górą. Ta góra nas zamykała, więc musieliśmy się przez nią przekopać, by się na nią wspiąć.

Ta odpowiedź niczego nie wyjaśniała. Fan długo milczał, zastanawiając się, co obcy próbowali mu przez to powiedzieć.

Wtedy przemówili znowu.

Rozdział 3

Świat we wnętrzu góry

>> Nasz świat jest bardzo prosty. To przestrzeń kulista, o średnicy nieco ponad pięciu tysięcy siedmiuset kilometrów według waszych miar, otoczona zewsząd skalnymi warstwami. W którąkolwiek skierujesz się stronę, twoja podróż zawsze zakończy się przed ścianą litej skały.

Naturalnie ukształtowało to nasz pierwszy obraz kosmosu; zakładaliśmy, że wszechświat składa się z dwóch części. Pierwszą była ta przestrzeń, w której żyliśmy, drugą otaczające ją warstwy skał. Wierzyliśmy, że skały ciągną się bez końca we wszystkie strony. Dlatego postrzegaliśmy nasz świat jako pustą komorę w tym litym wszechświecie i tak też go nazwaliśmy, Komorą, a naszą kosmologię teorią litego wszechświata. Oczywiście teoria ta nie wykluczała możliwości istnienia innych komór w tych nieskończonych warstwach skał. Nie dawała jednak żadnych wskazówek, jak blisko czy daleko mogą się one znajdować. Stało się to dla nas bodźcem do podejmowania ekspedycji badawczych.

– Ale taki wszechświat nie może istnieć, nieskończone warstwy skał zapadłyby się pod własnym ciężarem – zauważył Feng Fan.

>> Wtedy nie wiedzieliśmy o siłach grawitacji. W Komorze jej nie było, więc żyliśmy, nie doświadczając siły przyciągania. To, że istnieje grawitacja, odkryliśmy dopiero wiele tysięcy lat później.

– A więc te komory były planetami w waszym litym wszechświecie? Bardzo ciekawe – skomentował Fan. – Gęstość w naszym wszechświecie

jest tego dokładnym przeciwieństwem. Wasz wszechświat musi być prawie zupełnym negatywem rzeczywistego wszechświata.

>> Rzeczywistego wszechświata? W swojej ignorancji uważacie, że wszechświat jest taki, jaki teraz znacie. Nie macie pojęcia, jaki jest rzeczywiście. My zresztą też.

Upokorzony Fan postanowił trzymać się swojej dotychczasowej linii dochodzenia.

– Czy w waszym świecie były światło, powietrze i woda?

>> Nie i nie potrzebowaliśmy ich. Nasz świat składał się w całości z ciał stałych. Nie było na nim żadnych gazów ani cieczy.

– Żadnych gazów ani cieczy. Jak przetrwaliście? – zapytał Fan.

>> Jesteśmy mechaniczną formą życia. Nasze mięśnie i kości są z metalu, mózgi są jak układy scalone, a elektryczność i magnetyzm to nasza krew. Żywimy się radioaktywnymi skałami z jądra naszego świata, które dostarczają nam energii potrzebnej do przetrwania. Nie zostaliśmy stworzeni, wyewoluowaliśmy naturalnie z niezwykle prostych, jednokomórkowych mechanicznych form życia, gdy – przez czysty przypadek – energia radioaktywna utworzyła w skale złącza p-n. Zamiast ognia, jak to się stało u was, nasi przodkowie ujarzmili elektromagnetyzm. Prawdę mówiąc, w naszym świecie nigdy nie odkryliśmy ognia.

– Musiało tam być bardzo ciemno – stwierdził Fan.

>> W istocie było tam trochę światła. Wytwarzały je radioaktywne pierwiastki znajdujące się w ścianach naszego świata. Te ściany były naszym niebem. Światło z tego „nieba” było bardzo słabe i stale się zmieniało z powodu fluktuacji radioaktywności. Mimo to dzięki niemu powstały u nas oczy. Ponieważ jądro naszego świata nie wytwarzało grawitacji, nasze miasta unosiły się w ciemnej, pustej przestrzeni. Były mniej więcej wielkości waszych, a widziane z daleka wydawałyby się wam rozjarzonymi chmurami.

>> Proces ewolucji życia mechanicznego jest dużo wolniejszy od ewolucji organizmów opartych na węglu, ale w końcu osiągnęliśmy ten sam poziom rozwoju co wy, chociaż innymi środkami, i też zaczęliśmy się zastanawiać nad naszym wszechświatem.

– Dla mnie byłoby tam ciasno. Wy też mieliście takie odczucie? – zapytał Fan, rozmyślając o rewelacjach, które usłyszał od obcych.

>> Ciasno… To dla nas nowe słowo. W pewnym momencie zaczęliśmy odczuwać pragnienie większej przestrzeni, dużo silniejsze od podobnych pragnień, jakie mógł odczuwać wasz gatunek. Pierwsze wyprawy badawcze w głąb warstw skalnych zaczęliśmy wysyłać we wczesnej starożytności. Eksploracja oznaczała dla nas drążenie tuneli w celu znalezienia innych komór w naszym wszechświecie. Stworzyliśmy wiele fascynujących i urzekających mitów o tych odległych miejscach i prawie cała nasza literatura sprowadzała się do snucia fantazji o innych komorach. Jednak wkrótce zakazano eksploracji pod karą śmierci przez zwarcie.

– Zakazano? Zrobił to wasz Kościół? – domyślił się Fan.

>> Nie, nie mamy żadnego Kościoła. W cywilizacji, która nie widzi słońca i gwiazd, nie może powstać religia. Zakazując drążenia tuneli, nasz senat kierował się bardzo praktycznym powodem – nie dysponowaliśmy prawie nieskończoną przestrzenią, jaką macie wy. Nasz świat ograniczał się do tej komory o średnicy pięciu tysięcy siedmiuset kilometrów. Lądował w niej cały gruz powstały wskutek drążenia tuneli. Ponieważ wierzyliśmy, że warstwy skał ciągną się we wszystkie strony w nieskończoność, tunele mogły się stać bardzo długie, tak długie, że całą Komorę wypełniłby w końcu usuwany z nich gruz! Ujmując to inaczej, przekształcilibyśmy pustą kulę w jądrze naszego świata w bardzo długi tunel.

– Ten problem można by rozwiązać, przesuwając gruz w przestrzeń już wytworzoną przez kopaczy – zasugerował Fan. – Wtedy stracilibyście tylko tyle przestrzeni, ile potrzebowali kopacze, by przetrwać i móc drążyć dalej.

>> Faktycznie. Późniejsi kopacze wykorzystywali opisaną przez ciebie metodę. W istocie badacze tworzyli tylko małą komorę dla siebie, bańkę, w której mogli przeżyć i kontynuować swoją misję. Zaczęliśmy nazywać te wyprawy „statkami komorowymi”. Ale i tak każda z nich oznaczała, że w naszej przestrzeni znajdzie się sterta gruzu wielkości takiego statku i że musielibyśmy czekać do jego powrotu, by móc umieścić gruz znowu tam, skąd go wydobyto. Gdyby statek badawczy nie wrócił, ta mała sterta zajęłaby kawałek przestrzeni, ale byłaby ona dla nas stracona na zawsze. W tamtych czasach mieliśmy wrażenie, że taki statek

kradnie nam tę część przestrzeni. Dlatego zaczęliśmy nazywać badaczy złodziejami przestrzeni.

W naszym klaustrofobicznym świecie cenny był każdy centymetr kwadratowy, a po zbyt wielu nieudanych wyprawach, z których nie wróciły statki, straciliśmy znaczną część obszaru. Właśnie z tego powodu w starożytności zakazano tych ekspedycji. Zresztą nawet bez zakazu życie w statkach komorowych było niewyobrażalnie ciężkie i niebezpieczne. Załoga takiej jednostki składała się zwykle z nawigatora i kilku kopaczy. W tamtych czasach nie mieliśmy maszyn górniczych, więc musieliśmy polegać na pracy ręcznej, co jest porównywalne z wiosłowaniem na waszych pierwszych łodziach. Starożytni eksploratorzy musieli niezmordowanie kopać z użyciem najprostszych narzędzi i przepychać swoje statki przez warstwy skał w bardzo powolnym tempie. Praca w tych ciasnych, otoczonych litą skałą tunelach, w niemal całkowitym zamknięciu, w pogoni za ulotnym marzeniem, niewątpliwie świadczy o niewiarygodnym harcie ducha badaczy.

Ponieważ statki komorowe wracały na ogół tą samą drogą, którą przebyły, podróż powrotna była zwykle dużo łatwiejsza. Wystarczyło tylko wypchnąć gruz. Jednak pragnienie odkryć, niczym nałóg hazardzisty, często doprowadzało załogi statków do punktu, z którego nie było już odwrotu. Nieszczęśnicy opadali z sił, kończyły się im zapasy i zostawali gdzieś w połowie drogi powrotnej, a statek stawał się ich grobem. Mimo to i mimo znacznego ograniczenia eksploracji nasz świat nigdy nie porzucił marzenia o znalezieniu innych światów.

Rozdział 4

Przesunięcie ku czerwieni

>> Pewnego dnia 33281 roku ery Komory – w waszych terminach chronologicznych, bo obliczanie czasu w naszym świecie jest tak odmienne od waszego, że byś go nie zrozumiał – w skalnym niebie nad naszym światem pojawiła się mała dziura. Wysypało się z niej trochę kamieni, których radioaktywne promieniowanie świeciło jak gwiazdy. Natychmiast wysłano tam oddział żołnierzy w celu zbadania tej szczeliny. (Pamiętaj, że w komorowym świecie nie ma grawitacji). Odkryli, że powrócił statek komorowy eksploratorów. Wyruszył on osiem lat wcześniej i dawno porzuciliśmy nadzieję, że jeszcze go zobaczymy. Nosił nazwę *Czubek Igły* i wkopał się na dwieście kilometrów w skałę. Żaden inny statek z tych, które wróciły, nie dotarł tak daleko.

Czubek Igły wyruszył z dwudziestoosobową załogą, ale w chwili powrotu na jego pokładzie pozostał tylko jeden naukowiec. Nazwijmy go Kopernik. Zjadł resztę załogi, włącznie z kapitanem. Prawdę mówiąc, w starożytności ten sposób przetrwania był najskuteczniejszą metodą przetrzymania długich wypraw w głębokie warstwy skał.

Za złamanie ścisłego zakazu organizowania wypraw i kanibalizm skazano Kopernika na śmierć. W dniu wykonania wyroku na centralnym placu miasta stołecznego zebrało się ponad sto tysięcy osób, by zobaczyć egzekucję. Gdy czekali na niesamowity spektakl doprowadzenia do zwarcia w jego układzie scalonym, któremu miał towarzyszyć piękny snop iskier, na plac wpłynęła grupa naukowców. Byli członkami Światowej Akademii Nauk i przybyli tam, by oznajmić o przełomowym odkryciu, którego dokonali, badając gęstość próbek skał przywiezionych przez *Czubek Igły*.

– Na waszym świecie nie ma grawitacji. Jak mogliście mierzyć gęstość? – wtrącił Fan.

>> Wykorzystywaliśmy w tym celu bezwładność. To bardziej skomplikowane niż wasze metody, ale mniejsza z tym. W każdym razie nasi naukowcy myśleli wtedy, że statek po prostu przypadkiem natrafił na nierówną warstwę skały. Jednak w następnym wieku wiele statków komorowych spenetrowało skały na większych głębokościach i wróciło z pobranymi stamtąd próbkami. Dokonały niewiarygodnych odkryć – gęstość skał z każdej strony zmniejszała się wraz ze wzrostem odległości, i to konsekwentnie! Wstrząsnęło to podstawami rządzącej niepodzielnie w naszym świecie teorii stałego wszechświata. Skoro w miarę wkopywania się w skały gęstość świata komorowego się zmniejszała, to można było zasadnie się spodziewać, że w końcu dojdzie do zera. Na podstawie zebranych danych nasi naukowcy obliczyli, że stanie się tak w odległości około trzydziestu tysięcy kilometrów.

– To bardzo przypomina sposób wykorzystania przez Hubble’a przesunięcia ku czerwieni! – krzyknął Fan.

>> Rzeczywiście. Nie mogliście wyobrazić sobie przesuwania się ku czerwieni z prędkością przekraczającą prędkość światła, więc doszliście do wniosku, że oznacza ona koniec wszechświata. Tam samo łatwo było naszym przodkom przyjąć, że obszar, gdzie gęstość równa się zeru, jest przestrzenią otwartą. Tak narodził się nowy model wszechświata. Zakładał on, że gęstość zmniejsza się proporcjonalnie do odległości od Komory i w końcu dochodzi do punktu, w którym przechodzi w nieskończoną przestrzeń otwartą. Nosi to nazwę teorii wszechświata otwartego. Jednak teoria litego wszechświata była tak mocno zakorzeniona w naszej kulturze, że jej zwolennicy zdominowali dyskusję. Wkrótce znaleźli sposób na jej podtrzymanie. Sprowadzał się on do twierdzenia, że zmniejszanie się gęstości oznacza tylko tyle, iż nasz świat otacza warstwa luźniejszych skał. Zgodnie z ich rozumowaniem, gdyby ktoś przebił się przez tę warstwę, nie napotkałby mniejszej gęstości. Według ich obliczeń miała ona grubość trzystu dwudziestu kilometrów. Niedługo potem statki dotarły na tę odległość i okazało się, że dalej gęstość jednak stale się zmniejsza. Wtedy wyznawcy teorii litego wszechświata oświadczyli, że pomylili się w obliczeniach i że warstwa luźnej skały ma naprawdę grubość pięciuset kilometrów. Dziesięć lat później i tam dotarł statek

i znowu się okazało, że poza tym punktem gęstość nadal się zmniejsza. Co więcej, zmniejszała się w coraz większym tempie. Wtedy zwolennicy teorii litego wszechświata poszerzyli grubość warstwy luźnej skały do tysiąca pięciuset kilometrów…

W końcu los tej teorii przypieczętowało epokowe odkrycie.

Rozdział 5

Grawitacja

>> Statek, który wyszedł poza tę tysiącpięciusetkilometrową odległość, nosił nazwę *Ostrze Piły*. Był to największy statek badawczy, jaki kiedykolwiek zbudowaliśmy, wyposażony w potężną koparkę i zaawansowany system podtrzymywania życia. Dzięki temu nowoczesnemu wyposażeniu mógł przemieścić się dalej niż inne przed nim i zmienić bieg naszej historii.

Gdy znalazł się na głębokości – można by równie dobrze powiedzieć wysokości – tysiąca pięciuset kilometrów, główny naukowiec tej misji, nazwijmy go Newton, podzielił się z kapitanem zdumiewającym spostrzeżeniem. Otóż za każdym razem, gdy załoga zasypiała, unosząc się w środku statku, budziła się, leżąc na ścianie tunelu komory najbliższej naszego świata.

Kapitan uznał, że to rzecz bez znaczenia, że wskutek tęsknoty za domem załoga przesuwa się we śnie w miejsce, skąd jest tam najbliżej.

Zważ jednak, że w świecie Komory, a więc także na statku, nie było powietrza. Znaczyło to, że można się było poruszać tylko na dwa sposoby – albo odpychając się od ściany, co nie mogło się zdarzyć, skoro załoga lewitowała pośrodku statku, albo wydalając ekskrementy, by się przesunąć siłą odrzutu. Ale Newton nie znalazł niczego, co potwierdzałoby tę drugą hipotezę.

Mimo to kapitan nie dawał wiary jego argumentom. A powinien był, bo ta niewiara miała wkrótce doprowadzić do pogrzebania go żywcem. W dniu, kiedy się to wydarzyło, załoga była szczególnie wyczerpana po wykonaniu ostatniej części wykopu, więc nie przeniosła od razu gruzu na tył statku. Planowała to zrobić po odpoczynku. Kapitan przyłączył się do kopaczy i poszli spać w środku jednostki. Obudzili się nagle przysypani gruzem! Podczas snu przesunęli się wszyscy razem

z odłamkami skał na rufę, bliżej świata Komory. Newton szybko się zorientował, że wszystkie rzeczy na statku miały tendencję do przemieszczania się w tamtą stronę. To przesuwanie odbywało się bardzo wolno i w normalnych warunkach było niemal niedostrzegalne.

– A więc wasz Newton nie potrzebował jabłka, by odkryć zasadę powszechnego ciążenia – zauważył Fan.

>> Myślisz, że to było takie łatwe? Dla nas odkrycie grawitacji było znacznie bardziej skomplikowanym procesem niż dla was i nie mogło być inaczej, biorąc pod uwagę środowisko, w którym żyliśmy. Kiedy nasz Newton odkrył, że przyciąganie działa tylko w jednym kierunku, musiał przyjąć, że jego ośrodkiem jest ta pusta przestrzeń, z której składał się nasz świat, więc nasza pierwsza teoria grawitacji opierała się na głupim założeniu. Doszliśmy do wniosku, że grawitację wytwarza pustka, nie masa.

– Rozumiem, jak do tego doszło. W tak złożonym środowisku waszemu Newtonowi było dużo trudniej pojąć, jak się rzeczy mają – rzekł Fan, kiwając głową.

>> W rzeczy samej. Rozwikłanie tej tajemnicy zajęło naszym uczonym pół wieku. Dopiero wtedy zrozumieliśmy prawdziwą naturę grawitacji i wkrótce potem udało się nam – przy użyciu instrumentów niezbyt różniących się od waszych – zmierzyć stałą grawitacyjną. Ale i tak trzeba było bardzo długo czekać, aż teoria grawitacji zostanie powszechnie przyjęta w naszym świecie. W końcu jednak stała się gwoździem do trumny teorii litego wszechświata.

Grawitacja nie dopuszczała istnienia nieskończonego litego wszechświata wokół naszej Komory. Ostatecznie zatryumfowała teoria otwartego wszechświata, a opisywany przez nią kosmos wywarł potężny wpływ na wyobraźnię mieszkańców naszego świata. Fizyka Komory przyjmowała nie tylko zasadę zachowania energii i masy, ale także prawo zachowania przestrzeni. Przestrzeń w świecie Komory miała średnicę zaledwie około pięciu tysięcy siedmiuset kilometrów. Drążenie tuneli w skale w najmniejszym stopniu jej nie powiększało, a jedynie zmieniało jej kształt i położenie. Poza tym żyliśmy w środowisku o zerowej grawitacji, więc nasza cywilizacja unosiła się pośrodku tej przestrzeni. Nic nie przymocowywaliśmy do ścian naszego świata i nasze życie było zupełnie nieporównywalne do waszego. Z tego powodu najcenniejszym skarbem w naszym

świecie była przestrzeń. Cała historia naszej cywilizacji to jedno pasmo krwawych walk o przestrzeń. I oto nagle odkryliśmy, że bardzo możliwe, iż przestrzeń jest nieskończona. Czyż nie mogło to doprowadzić nas do gorączki? Wysyłaliśmy falę za falą statków przekopujących się przez skałę. Odkrywcy starali się jak mogli dotrzeć do tego raju gęstości zerowej, która zgodnie z przewidywaniami teorii otwartego wszechświata zaczynała się za mierzącą trzydzieści dwa tysiące kilometrów warstwą skały.

Rozdział 6

Jądro świata

>> Jeśli zrozumiałeś, co powiedzieliśmy, powinieneś się domyślić, jaka jest prawdziwa natura naszego świata.

– Czy to znaczy, że wasz świat był pustym jądrem planety? – wyraził swoje przypuszczenie Fan.

>> Trafny domysł. Nasza planeta jest mniej więcej wielkości Ziemi, jej promień wynosi około ośmiu tysięcy kilometrów. Jednak jej jądro jest puste. Ta przestrzeń ma średnicę około pięciu i pół tysiąca kilometrów, a my jesteśmy istniejącą w niej formą życia. Zrozumienie prawdziwej natury naszego świata zajęło nam jeszcze wiele wieków po odkryciu grawitacji.

Rozdział 7

Wojna warstwowa

>> Odkąd upowszechniła się teoria otwartego wszechświata, jedyną sprawą, która naprawdę nas interesowała, stało się poszukiwanie nieskończonej przestrzeni poza naszym światem. Przestaliśmy się martwić zużyciem tej, w której żyliśmy. Wkrótce jądro planety zaczęły wypełniać stosy odłamków skał z drążonych przez statki tuneli. Ten gruz unosił się wielkimi, gęstymi chmurami wokół miast. Doszło do tego, że poruszanie się w nich stało się równie trudnym zadaniem jak pokonywanie toru przeszkód. A ponieważ same miasta też się poruszały, sypał się na nas niszczycielski grad kamieni. Od tamtej pory udało się nam odzyskać tylko połowę przestrzeni zabranej przez gruz.

W owym czasie miejsce senatu zajął rząd światowy. Na politykach spoczęła odpowiedzialność za ochronę jądra planety. Starali się pohamować gorączkę eksploracji, ale ich działania miały mizerny skutek. Większość statków poszukiwaczy wkopała się już głęboko w warstwy skalne. Rząd wkrótce uświadomił sobie, że mogą je powstrzymać tylko inne statki. Zgodnie z tą logiką zaczął budować armadę ogromnych jednostek zdolnych do przechwytywania i niszczenia statków poszukiwaczy w głębi skały. Statki rządowe miały odzyskać zabraną przez nie przestrzeń. Naturalnie ten plan spotkał się z oporem poszukiwaczy i wybuchła długa wojna warstwowa, która toczyła się na polach bitewnych we wnętrzu skał.

– To bardzo interesujący sposób prowadzenia wojny! – krzyknął zaintrygowany Fan w stronę kuli.

>> I bardzo brutalny, chociaż początkowo tempo walk było w najlepszym razie ślimacze. Ówczesna technologia kopania pozwalała statkom komorowym przebijać się przez skały z prędkością najwyżej trzech kilometrów na godzinę. Najbardziej cenionym przez obie strony sprzętem były duże jednostki. Z prostego powodu: im większy był statek, tym dłużej mógł się poruszać bez uzupełniania paliwa. Poza tym zdolności ofensywne jednostek były wprost proporcjonalne do ich wielkości. Bez względu na rozmiary statki podczas wojny warstwowej budowano tak, by miały jak najmniejszy dziób. To też wynikało z prostego powodu: im węższy dziób miała dana jednostka, przez tym mniejszy obszar skały musiała się przebijać i tym szybciej mogła się poruszać. W rezultacie prawie wszystkie statki wojenne w tamtej epoce wyglądały z przodu bardzo podobnie. Z drugiej strony, bardzo różniła się długość ich kadłubów. W skrajnych przypadkach największe jednostki wyglądały jak bardzo długie tunele.

Oczywiście wszystkie były trójwymiarowe, więc ich walki wyglądały trochę podobnie jak wasze bitwy powietrzne, chociaż toczyliśmy je w dużo bardziej skomplikowanych warunkach. Kiedy statek napotkał wrogą jednostkę, najpierw musiał jak najszybciej poszerzyć swój dziób. Robiono to po to, by mieć na przodzie jak najwięcej broni. W takiej konfiguracji statek mógł przybrać kształt podobny do gwoździa. W razie potrzeby dziób mógł się też rozszczepić na wiele części, niczym gotowe do uderzenia szpony. Złożony charakter wojny warstwowej ukazywała również ówczesna taktyka – każdy statek mógł się w dowolnym momencie podzielić na wiele mniejszych i odwrotnie, mniejsze mogły się szybko połączyć w jedną wielką jednostkę. Gdy spotykały się wrogie zgrupowania bojowe, kwestia tego, czy się łączyć, czy dzielić, była przedmiotem głębokiej analizy obu stron w celu przyjęcia odpowiedniej taktyki. Co ciekawe, wojna warstwowa w niewielkim stopniu zahamowała pęd do dalszej eksploracji. W istocie przyspieszyła ona rewolucję technologiczną, która odegrała kluczową rolę w naszych przyszłych przedsięwzięciach. Nie tylko doprowadziła do stworzenia niezwykle wydajnych koparek, ale także do wynalezienia sejmoskopu. Umożliwiał on komunikowanie się przez warstwy skał i można go było wykorzystywać jako pewnego rodzaju radar. Dzięki temu zaczęto też używać jako broni potężnych fal sejsmicznych. Najbardziej wyrafinowanymi urządzeniami do komunikacji sejsmicznej można było nawet przesyłać obrazy.

Największy statek wojenny, jaki kiedykolwiek zbudowaliśmy, nosił nazwę *Świat Linii*. Został zamówiony przez rząd światowy. W podstawowym kształcie miał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości, czyli był – zgodnie z nazwą – małym, wydłużonym, samowystarczalnym światem. Służba na *Świecie Linii* była dla członków jego załogi czymś takim, jak dla ciebie byłoby przebywanie w tunelu pod kanałem La Manche podczas jego budowy – co kilka minut przejeżdżałby koło ciebie szybki pociąg wiozący wykopaną ziemię na rufę. Oczywiście *Świat Linii* mógł się w każdej chwili podzielić na armadę mniejszych jednostek, ale przeważnie operował jako jeden statek. Naturalnie nie zawsze pozostawał w swoim podstawowym, „tunelowym" kształcie. Jego wydłużony kadłub mógł się tak zgiąć w ruchu, że tworzył pętlę, a nawet przecinał własny szlak i układał się w niezwykle zawiłe konstrukcje niszczące. Był wyposażony w najnowocześniejsze koparki, które pozwalały mu na osiąganie prędkości siedmiu kilometrów na godzinę. W walce mógł wykonywać manewry z prędkością przekraczającą dziesięć kilometrów na godzinę! Poza tym miał potężny sejsmoskop, dzięki któremu namierzał statki komorowe w promieniu czterystu pięćdziesięciu kilometrów. Wysyłana przezeń fala sejsmiczna miała skuteczny zasięg dziesięciu tysięcy metrów i miażdżyła albo rozbijała na kawałki wszystko, co znajdowało się na statku, na który została skierowana. Co jakiś czas *Świat Linii* powracał do Komory z przestrzenią odebraną poszukiwaczom w ładowniach. To właśnie niszczycielskie ciosy zadawane przez *Świat Linii* przyparły ostatecznie ruch poszukiwaczy do ściany. Wydawało się, że niespodziewanie skończył się wiek eksploracji. Poszukiwacze byli przez cały okres wojny warstwowej w defensywie. Co być może ważniejsze, nie mogli budować ani formować statków dłuższych niż osiem kilometrów, gdyż każda jednostka przekraczająca tę wielkość zostałaby szybko wykryta przez sejsmoskopy zainstalowane na *Świecie Linii* i na ścianach świata Komory, a potem niezwłocznie zniszczona. Tak więc jeśli chcieli poważnie kontynuować eksploracje, musieli zlikwidować *Świat Linii*.

Po długim i starannym planowaniu i przygotowaniu zawiązany przez odkrywców Sojusz Poszukiwaczy otoczył *Świat Linii* setką statków wojennych i przystąpił do ataku. Ani jedna z tych jednostek nie miała więcej niż cztery i pół kilometra długości. Walka, która rozgorzała dwa tysiące kilometrów od świata Komory, zyskała miano bitwy na dwutysięcznym kilometrze.

Sojusz zgromadził najpierw tysiąc kilometrów od Komory dwadzieścia statków i połączył je w jedną trzydziestokilometrową jednostkę, prowokując *Świat Linii*. Tamten połknął przynętę i ruszył do natarcia w kształcie tunelowym. Kiedy zbliżył się do swej pozornie bezbronnej ofiary, sojusz zatrzasnął pułapkę. Ponad sto statków zaatakowało *Świat Linii* jednocześnie ze wszystkich stron. Ogromny, stupięćdziesięciokilometrowy krążownik został rozerwany na pięćdziesiąt części. Jednak każda z nich mogła toczyć walkę jako osobny statek o dużej sile ognia. Wkrótce ponad dwieście statków zwarło się w zażartym boju, przedzierając się ku sobie chaotycznie drążonymi w skałach tunelami. Jednostki obu stron to łączyły się, to rozdzielały, tworząc bezkształtny rój. W ostatniej fazie walki mające trzysta kilometrów średnicy pole bitwy przypominało plaster miodu. Po bitwie na dwutysięcznym kilometrze pozostał trójwymiarowy labirynt trzy i pół tysiąca kilometrów pod powierzchnią naszej planety.

Wydawało się, że zawzięta walka na tym dziwacznym polu bitwy trwała całą wieczność. W miejscu tak odległym od jądra planety siła przyciągania miała już bardzo widoczne skutki, z którymi poszukiwacze byli znacznie lepiej obeznani niż siły rządowe. I właśnie to zaczęło powoli przechylać szalę na ich korzyść. Ostatecznie Sojusz Poszukiwaczy odniósł miażdżące zwycięstwo.

Rozdział 8

Pod oceanem

>> Sojusz Poszukiwaczy zebrał całą przestrzeń pozostałą po walnej bitwie i utworzył z niej kulę o średnicy stu kilometrów, po czym ogłosił niepodległość od świata Komory. Pomimo tej deklaracji nadal koordynował swoje działania z ruchem poszukiwaczy w Komorze. Z jądra płynął nieprzerwany strumień statków badawczych, których załogi przyłączały się do sojuszu, wnosząc w wianie duże ilości przywiezionej ze sobą przestrzeni. Dzięki temu terytorium sojuszu stale się powiększało, co w końcu pozwoliło mu przekształcić się we w pełni wyposażoną przednią bazę operacyjną. Rząd światowy, wyczerpany długą wojną, nie mógł tego powstrzymać. Nie pozostało mu nic innego, jak uznać legalność ruchu poszukiwaczy.

Im wyżej pięli się poszukiwacze, tym bardziej porowata stawała się skała, przez którą musieli się przekopywać. Nie była to jedyna korzyść z docierania na coraz większe wysokości; rosnąca grawitacja ułatwiała bowiem usuwanie gruzu i w tym nowym środowisku sojusz odnosił jeden sukces po drugim. Osiemdziesiąt lat po zakończeniu wojny pierwszy w naszych dziejach statek, *Helisa*, pokonał pozostałe trzy tysiące sześćset kilometrów, wieńcząc tym samym dzieło przekopywania się przez osiem tysięcy kilometrów od środka planety, czyli pięć tysięcy dwieście kilometrów od skraju świata Komory.

– No! No! Przebyliście całą drogę dzielącą was od powierzchni! Widok rozległych równin i prawdziwych gór musiał być dla was ekscytujący! – krzyknął Fan, pochłonięty opowieścią gości z kosmosu.

>> Nie było się czym ekscytować. *Helisa* dotarła do dna morza.

Fan gapił się na kulę z otwartymi ustami.

>> Kiedy to się stało, obraz z komunikatora sejsmicznego zaczął drżeć i nagle zniknął. Straciliśmy łączność ze statkiem. Inna jednostka, przedzierająca się przez skałę za nim, zdołała tylko wychwycić na swoich sejsmoskopach jeden dziwny dźwięk, który w otwartej przestrzeni zabrzmiałby jak odgłos obierania czegoś. Był to hałas ton wody wdzierającej się do próżni w *Helisie*. Na kontakt z wodą nie były przygotowane ani mechaniczne formy życia, ani technologia świata Komory. Potężny prąd elektryczny powstały wskutek spięcia w tych formach życia i sprzęcie niemal natychmiast zmienił w parę wszystko, czego dotknęła woda. Pod naporem fal załoga i instrumenty *Helisy* wybuchły jak bomba.

Po tym wydarzeniu sojusz wysłał ponad dziesięć statków w różnych kierunkach, ale wszystkie spotkał podobny los, gdy osiągnęły tę widocznie nieprzekraczalną wysokość. Poświęcenie załóg było daremne, ponieważ ani jednej nie udało się przesłać informacji, które umożliwiłyby nam zrozumienie tego tajemniczego dźwięku. Dwukrotnie zaobserwowano na monitorach krystaliczną falę, ale absolutnie nie mogliśmy pojąć, co ona oznacza. Następne statki starały się przeszukać za pomocą sejsmoskopów to, co leżało powyżej tej granicy, ale uzyskane dane były szczątkowe; wracające fale sejsmiczne pokazywały tylko, że znajduje się tam coś, co nie jest ani pustą przestrzenią, ani skałą.

Odkrycia te zachwiały teorią otwartego wszechświata, a w kręgach akademickich zaczęto dyskutować nad jego nowym modelem. Zakładał on, że wszechświat zamyka się w promieniu ośmiu tysięcy kilometrów. Uczeni doszli do wniosku, że zaginione statki badawcze dotarły do końca wszechświata i zostały wchłonięte przez nicość.

Niebawem dla ruchu poszukiwaczy nadeszła największa do tamtej pory próba. Przed wypadkiem *Helisy* przestrzeń, którą zabrały zaginione statki badawcze, pozostawała, przynajmniej w teorii, możliwa do odzyskania. Teraz jednak znaleźliśmy się u kresu wszechświata. Przestrzeń, którą dotychczas z takim zapałem pochłanialiśmy, wydawała się na zawsze stracona. W obliczu tego nawet najbardziej nieugięci poszukiwacze stracili hart ducha. Pamiętaj, że w naszym świecie, znajdującym się głęboko pod warstwami skały, raz utraconej przestrzeni nie można było już nigdy odzyskać. Z tą myślą sojusz postanowił wysłać ostatnią grupę statków, składającą się z pięciu jednostek. Po osiągnięciu wysokości czterech tysięcy ośmiuset kilometrów posuwały się niezwykle ostrożnie. Gdyby

spotkał je ten sam los co wcześniejsze misje, oznaczałoby to koniec ruchu poszukiwaczy.

Stracono dwa z tych statków, ale trzeci, *Kamienny Mózg*, dokonał przełomowego odkrycia. Na wysokości czterech tysięcy ośmiuset kilometrów powoli piął się w górę, przekopując się z największą ostrożnością przez każdy metr skały. Gdy dotarł do dna morza, woda nie wdarła się natychmiast do całego statku i nie zatopiła go w jednej chwili, jak było we wszystkich poprzednich wypadkach, lecz pod wpływem olbrzymiego ciśnienia z góry tryskała z małej szczeliny silnym wprawdzie, ale cienkim strumieniem. Szerokość wiązki *Kamiennego Mózgu* wynosiła dwieście czterdzieści siedem metrów. Jak na statki poszukiwawcze była to duża jednostka i okazało się to niewiarygodnie szczęśliwym zrządzeniem losu. Z powodu wielkości statku woda potrzebowała prawie godziny, by wypełnić całe jego wnętrze. Przed zetknięciem się z wodą sejsmoskopy zarejestrowały morfologię morza i przekazały sojuszowi wiele danych i obrazów. Tamtego dnia Lud Rdzenia po raz pierwszy zobaczył ciecz.

Oczywiście można było sobie wyobrazić, że w pradawnych czasach w świecie Komory była ciecz, ale jeśli tak, to tylko wrząca magma. Kiedy w końcu ustały gwałtowne erupcje we wnętrzu naszej planety, magma musiała się zestalić. Nie pozostało nic oprócz materii stałej i pustej przestrzeni.

Mimo że nasi uczeni od dawna przewidywali teoretyczną możliwość istnienia cieczy, nikt nie wierzył, że ta legendarna substancja naprawdę istnieje gdzieś we wszechświecie. Teraz jednak uczeni zobaczyli ją na własne oczy na przesłanych przez sejsmoskopy obrazach. I to, co zobaczyli, wstrząsnęło nimi do głębi – byli zaszokowani widokiem białego, buchającego strumienia, powolnym podnoszeniem się lustra wody, tym, że ta demoniczna substancja przybiera przeróżne kształty i przywiera do każdej powierzchni z pogwałceniem wszelkich praw natury. Widzieli, jak wsącza się w najdrobniejsze szczeliny, i wydawało się im, że zmienia samą istotę skały, sprawiając, że staje się odrobinę ciemniejsza, ale przy tym lśni jak metal. Najbardziej jednak zafascynowało ich to, że chociaż większość rzeczy znikała w tej substancji, część szczątków załogi i resztek przyrządów unosiła się na jej powierzchni! Te rzeczy wydawały się niczym nie różnić od tych, które tonęły. Lud Rdzenia nazwał tę dziwną płynną substancję „skałą amorficzną”.

Od tej chwili odkrywcy znowu zaczęli odnosić sukcesy. Było ich długie pasmo. Najpierw inżynierowie z Sojuszu Poszukiwaczy opracowali prymitywną rurę

ściekową. Było to w istocie długie na dwieście metrów, puste w środku wiertło. Po przewierceniu się przez ostatnie warstwy skały koniec tego wiertła można było otwierać jak zastawkę zaworu i czerpać wodę z morza. Druga zastawka znajdowała się u dołu rynny.

Na wysokość czterech tysięcy ośmiuset kilometrów wzniósł się drugi statek i zaczął wwiercać rurę ściekową w dno morza. Dla Ludu Rdzenia nie mogło być nic łatwiejszego, w końcu wiercenie było doskonale znaną im technologią. Pojawiła się jednak kolejna zagadka, a jej rozwiązanie wymagało technologii, której sobie nawet nie wyobrażaliśmy – plombowania.

Ponieważ świat Komory był całkowicie pozbawiony cieczy i gazów, technologia ta nigdy nie była potrzebna, a nawet nie przyszła nikomu do głowy. W rezultacie zastawka u dołu rury ściekowej nie była szczelna. Zanim zdążono otworzyć rurę, woda już zaczęła z niej wyciekać. Okazało się jednak, że był to szczęśliwy przypadek, bo gdyby otworzono rurę, siła tryskającej z niej wody byłaby dużo większa niż tego strumienia, który zalał *Kamienny Mózg*. Popłynęłaby ona rwącą strugą, która przebiłaby się niczym laser przez wszystko, co napotkałaby na swej drodze. A tak woda przesączała się przez nieszczelną zastawkę w dużo wolniejszym tempie. Możesz sobie wyobrazić, z jaką fascynacją załoga tego statku przyglądała się cieknącemu na ich oczach cienkiemu strumykowi wody. Ta ciecz była dla niej zupełnie nieznanym terytorium, podobnie jak elektryczność dla ludzi w dawnych wiekach.

Po starannym napełnieniu tą dziwną substancją metalowego pojemnika statek ruszył w drogę powrotną do niższych warstw, zostawiając rurę zakopaną w skałach. Podczas opuszczania się odkrywcy dokładali wszelkich starań, by próbka cieczy pozostawała bezpieczna w pojemniku. Dokładnie ją obserwując, dokonali niebawem nowego odkrycia: skała amorficzna była w rzeczywistości przezroczysta! Gdy po raz pierwszy zobaczyli wodę przebijającą się przez roztrzaskaną skałę, było w niej, oczywiście, dużo osadu i mułu. Lud Rdzenia przyjął, że jest to naturalny stan skały amorficznej. Po tym odkryciu statek nadal się opuszczał, a w miarę schodzenia coraz niżej podnosiła się na nim temperatura.

I nagle odkrywcy z przerażeniem uświadomili sobie coś strasznego – skała amorficzna żyła! Jej powierzchnia zaczęła się gotować ze złości i pokryła się niezliczonymi pękającymi bąblami. Ale kipiąca siła życiowa tego potwora zdawała się pochłaniać samą siebie, a jej ciało przemieniało się w upiornego białego

ducha. Gdy cała skała amorficzna w pojemniku przeszła w ten widmowy stan, odkrywcy poczuli, że dzieje się z nimi coś dziwnego. W ciągu kilku chwil z ich ciał posypały się iskry spięć i zakończyli życie w fajerwerkach.

Fale sejsmiczne przekazywały ten straszny spektakl Sojuszowi Poszukiwaczy, dopóki nie pociemniały same monitory. Szybko wysłany statek ratowniczy spotkał taki sam los. Gdy tylko dotknął przeklętej jednostki, również jego załoga przemieniła się w snopy iskier. Wydawało się, jakby skała amorficzna stała się widmem śmierci wiszącym nad całą przestrzenią. Uczeni zauważyli jednak, że druga seria spięć nie była nawet w przybliżeniu tak gwałtowna jak pierwsza. Doprowadziło ich to do wniosku, że w miarę wzrostu objętości przestrzeni zmniejsza się cień śmierci rzucany przez skałę amorficzną.

Kosztowało to życie wielu z nas, ale w końcu Lud Rdzenia odkrył jeszcze jeden stan skupienia, z którym nie zetknął się nigdy wcześniej: gaz.

Rozdział 9

Ku gwiazdom

>> Te wielkie odkrycia poruszyły nawet rząd światowy i doprowadziły do jego pogodzenia się ze starym wrogiem, Sojuszem Poszukiwaczy. Wtedy również świat Komory przeznaczył swoje środki na rzecz tej samej sprawy, co zapoczątkowało okres intensywnej eksploracji i szybki postęp badań.

Chociaż jednak zaczęliśmy lepiej rozumieć naturę pary wodnej, nadal nie posiadaliśmy technologii jej szczelnego zamykania, która pozwalałaby naukowcom Rdzenia chronić nasz lud i maszyny przed zniszczeniem. Mimo to przekonaliśmy się, że powyżej czterech tysięcy pięciuset kilometrów skała amorficzna pozostaje martwa i bezwładna i nie może wrzeć. W celu badania tych dziwnych nowych stanów rząd światowy i Sojusz Poszukiwaczy zbudowały na wysokości czterech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu kilometrów laboratorium, w którym zainstalowano stałą rurę ściekową. Naukowcy mogli się tam zająć na serio badaniem skały amorficznej.

– I dopiero wtedy mogliście podjąć dzieło Archimedesa – wtrącił Fan.

>> Masz rację, ale nie zapominaj, że nasi przodkowie wykonali już dzieło Faradaya.

Skutkiem ubocznym badań naukowców stało się odkrycie ciśnienia i siły wyporu wody. Udało im się też opracować i udoskonalić niezbędną przy pracy nad cieczami technologię ich zamykania. Dopiero wtedy w końcu zrozumieliśmy, że zamknięcie skały amorficznej jest niewiarygodnie prostym zabiegiem, w istocie prostszym niż przewiercanie się przez warstwy skalne. Potrzeba było do tego tylko

dostatecznie szczelnego i odpornego na ciśnienie statku. Taki statek mógł się wznosić bez koparek z prędkością niewyobrażalną dla Ludu Rdzenia.

– Zbudowaliście rakietę – zauważył Fan z uśmiechem.

>> Raczej torpedę. Tą torpedą był metalowy, odporny na ciśnienie pojemnik w kształcie jaja, bez żadnego napędu. Był to statek przeznaczony dla jednej osoby. Tę osobę będziemy dalej nazywać „Gagarinem”. Wyrzutnia torpedy znajdowała się w wielkiej hali wykutej na wysokości czterech tysięcy ośmiuset kilometrów. Gagarin wszedł do torpedy na godzinę przed jej wystrzeleniem, po czym statek hermetycznie zamknięto. Po sprawdzeniu, czy wszystkie instrumenty pokładowe i systemy podtrzymania życia są sprawne, automatyczna koparka zaczęła przebijać się przez zaledwie dziesięciometrową warstwę skały oddzielającą halę od położonego nad nią dna morza. W pewnym momencie, pod ciśnieniem skały amorficznej, sklepienie hali zawaliło się z ogromnym hukiem. Torpeda natychmiast zanurzyła się całkowicie w morzu cieczy. Kiedy wszystko wokół się uspokoiło, Gagarin mógł w końcu zerknąć przez iluminator z przezroczystej stalowej skały na świat na zewnątrz. Ze zdziwieniem zobaczył, że przez skałę amorficzną przenika światło z dwóch umieszczonych na wyrzutni reflektorów. W świecie Komory, gdzie nie było powietrza, światło nie mogło się rozprzestrzeniać i tworzyć promieni. Po raz pierwszy jeden z nas ujrzał światło w ten sposób. Akurat wtedy przyszedł na falach sejsmicznych rozkaz startu i Gagarin pociągnął dźwignię zwalniającą.

Kotwice przytrzymujące torpedę puściły i zaczęła się powoli wznosić nad dno morza. Otoczona skałą amorficzną, zaczęła wkrótce przyspieszać.

Na podstawie znajomości ciśnienia na poziomie dna morskiego nasi naukowcy łatwo obliczyli, że skała amorficzna pokrywa planetę warstwą grubą na około dziesięć kilometrów. Gdyby nie wydarzyło się nic niespodziewanego, torpeda powinna wypłynąć na powierzchnię za mniej więcej piętnaście minut. Nikt nie miał pojęcia, co tam napotka.

Torpeda szła do góry bez przeszkód. Gagarin widział przez iluminator tylko nieprzeniknioną ciemność. Jedynie przemykająca od czasu do czasu w światłach reflektorów drobina piasku dawała mu pewną wskazówkę co do tego, jak szybko się wznosi.

Wkrótce w jego sercu zaczęła wzbierać panika. Całe życie spędził w świecie stałym. Teraz, gdy po raz pierwszy znalazł się w przestrzeni wypełnionej

całkowicie skałą amorficzną, ogarnęło go poczucie beznadziejnej pustki. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Piętnaście minut zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Starał się skupić na stu tysiącach lat poszukiwań, które doprowadziły do tego momentu…

Kiedy był już na skraju załamania, torpeda przebiła się przez powierzchnię oceanu. Pod wpływem bezwładności wznoszenia wystrzeliła na dobrych dziesięć metrów nad wodę, po czym runęła z powrotem do morza. Patrząc podczas upadku przez iluminator, Gagarin widział bezkresną, ciągnącą się jak okiem sięgnąć, dziwnie roziskrzoną skałę amorficzną. Nie zdążył jednak dostrzec, skąd bierze się to światło, bo torpeda zanurzyła się z głośnym pluskiem, wzbijając we wszystkie strony wielkie bryzgi. Potem wypłynęła i kiedy powierzchnia oceanu się uspokoiła, unosiła się na niej, łagodnie kołysząc się na falach.

Gagarin ostrożnie otworzył luk i powoli wyszedł na wierzch statku. Natychmiast poczuł powiew bryzy i po chwili uświadomił sobie, że jest to gaz. Gdy przypomniał sobie przepływ pary wodnej, którą widział raz przez stalowoskalny wizjer rury w laboratorium, jego ciałem wstrząsnął dreszcz strachu. Czy ktoś mógł wówczas przewidzieć, że gdziekolwiek we wszechświecie jest tak dużo gazu? Wkrótce jednak zrozumiał, że ten gaz bardzo się różni od tego, który wytwarza wrząca skała amorficzna. W odróżnieniu od tamtego ten nie wywołał w jego ciele spięcia.

Później tak opisał to w swoich wspomnieniach:

> „Poczułem, jak po moim ciele przesuwa się delikatnie ogromna, niewidzialna ręka. Zdawała się wyciągać ku mnie z jakiegoś bezkresnego, zupełnie nieznanego terytorium i to terytorium było teraz przede mną i przemieniało mnie w coś całkowicie nowego”.

Gagarin podniósł głowę i w tym momencie skorzystał w końcu z nagrody, którą nasza cywilizacja otrzymała za sto tysięcy lat poszukiwań: zobaczył wspaniały cud rozgwieżdżonego nieba.

Rozdział 10

O powszechnym występowaniu gór

– To na pewno było dla was niełatwe. Musieliście szukać przez tyle lat tylko po to, by dojść do punktu, od którego my zaczynaliśmy! – zawołał Fan z podziwem.

>> Właśnie dlatego powinniście się uważać za bardzo szczęśliwą cywilizację.

W tym momencie radykalnie się zwiększyła wielkość składających się z kryształków lodu chmur tworzonych przez uciekającą w przestrzeń kosmiczną ziemską atmosferę. Niebo lśniło mieniącym się światłem; rozkwitł na nim wspaniały tęczowy wieniec, gdy w kryształkach rozszedł się blask bijący od statku obcych. W dole nadal wirował wyjący cyklon. Fan miał wrażenie, że jest to ogromna maszyna mieląca po kawałku planetę na pył. Jednak na szczycie góry nadal panował całkowity spokój. Z jego powierzchni zniknęły nawet drobne zmarszczki. Ocean był w tym miejscu spokojny i gładki jak lustro. I znowu Fanowi przypomniały się górskie jeziora w północnym Tybecie…

Otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości.

– Po co tu przybyliście? – zapytał.

>> Akurat przelatywaliśmy obok i chcieliśmy sprawdzić, czy jest tu jakaś inteligentna forma życia, z którą moglibyśmy uciąć sobie pogawędkę. Rozmawiamy z każdym, kto wejdzie na tę górę.

– Tam, gdzie jest góra, zawsze znajdzie się ktoś, kto na nią wejdzie – wyrecytował monotonnym głosem Fan, kiwając przy tym głową.

>> Faktycznie, w naturze inteligentnych form życia leży wspinanie się na góry, dążenie do stanięcia w wyższym miejscu, skąd widać dalej. Jest to popęd zupełnie oderwany od potrzeby przetrwania. Gdyby na przykład tobie zależało tylko na zachowaniu życia, uciekłbyś jak najszybciej i jak najdalej od tej góry. Istnieje jakiś głęboki powód, dla którego ewolucja obdarza wszystkie inteligentne formy życia pragnieniem wspinania się wyżej, mimo że nie służy to zaspokajaniu podstawowych potrzeb, chociaż wciąż nie wiemy, jaki jest tego cel. Góry znajdują się wszędzie, a my wszyscy stoimy u stóp jednej z nich.

– Ja jestem na jej szczycie – wtrącił Feng Fan. Nie pozwoliłby nikomu, nawet obcym, kwestionować tego, że wspiął się na najwyższą na świecie górę.

>> Stoisz u podnóża góry. Zawsze jesteśmy u podnóża. Podnóżem góry jest prędkość światła, stopami góry są trzy wymiary przestrzeni. Jesteś uwięziony w głębokiej rozpadlinie prędkości światła i trójwymiarowej przestrzeni. Nie jest ci tam… ciasno?

– W niej się urodziliśmy. Ją znamy – odparł Fan, zatopiony w myślach.

>> Wobec tego to, co zaraz powiem, może dla ciebie zabrzmieć bardzo nieznajomo. Popatrz teraz na wszechświat. Co czujesz?

– To coś ogromnego, bezkresnego – odpowiedział Fan.

>> Nie wydaje ci się mały?

– Niby dlaczego? Wszechświat rozciąga się w nieskończoność przed moimi oczami, naukowcy mogą zajrzeć nawet dwadzieścia miliardów lat świetlnych w jego głąb – wyjaśnił Fan.

>> Więc powiem ci, że jest tylko komorą o promieniu dwudziestu miliardów lat świetlnych.

Fan nie miał na to żadnej odpowiedzi.

>> Nasz wszechświat jest pustą komorą, komorą w czymś bardziej stałym.

– Jak to możliwe? Czy to większe ciało stałe nie zapadłoby się natychmiast pod naporem swojej grawitacji? – zapytał oszołomiony Fan.

>> Nie, przynajmniej jeszcze nie. Nasza komora nadal się powiększa w tym superwszechświatowym ciele stałym. Zapadanie grawitacyjne dotyczy tylko ograniczonej przestrzeni stałej. Jeśli jednak przestrzeń superwszechświata jest w rzeczywistości nieskończona, wtedy nie wchodzi to w rachubę. To oczywiście tylko domysł. Kto wie, czy to superwszechświatowe ciało stałe ma granice?

Tu się otwiera zbyt duże pole do snucia hipotez. Można się na przykład zastanawiać, czy w jej ogromnej skali grawitacji nie równoważy jakaś inna siła, tak jak w skali mikroskopowej siły jądrowe w dużym stopniu równoważą elektromagnetyzm. Nie mamy pojęcia, czy taka siła istnieje, ale kiedy żyliśmy w świecie Komory, nie mieliśmy pojęcia o grawitacji. Z zebranych przez nas danych wynika, że kształt komory tego wszechświata jest mniej więcej taki, jak przypuszczali wasi uczeni. Rzecz w tym, że jeszcze nie wiecie, co znajduje się za nią.

– Czym jest to ciało stałe? Czy jest to… – Fan przez chwilę się zastanawiał – …skała?

>> Tego nie wiemy, ale dowiemy się za pięćdziesiąt tysięcy lat, gdy dotrzemy do celu podróży.

– A dokąd właściwie lecicie? – zapytał Fan.

>> Na koniec wszechświata. Nasz statek nazywa się *Czubek Igły*. Pamiętasz tę nazwę?

– Pamiętam. To był statek, który odkrył prawo zmniejszania się gęstości w świecie Komory.

>> Zgadza się. Nie wiemy, co tam znajdziemy.

– Czy w superwszechświecie są inne komory? – dociekał Fan.

>> Wybiegasz myślą daleko do przodu.

– A jak mógłbym nie wybiegać?

>> Więc pomyśl, że w bardzo dużej skale jest wiele małych komór. Są tam, ale trudno je znaleźć. Mimo to polecimy tam i poszukamy ich.

– Jesteście naprawdę zdumiewający – rzekł Fan z uśmiechem. Czuł głęboki podziw dla śmiałości obcych.

>> No cóż, bardzo przyjemnie się z tobą gawędzi, ale musimy się spieszyć. Pięćdziesiąt tysięcy lat to szmat czasu, a my się codziennie spalamy, by tak rzec. Miło było się z tobą spotkać. I pamiętaj: góry występują powszechnie.

Gęstość chmur z kryształków lodu zamazała ostatnie słowa. A po tych kilku niewyraźnych słowach zaczęła się też zamazywać sama gigantyczna kula, gasnąc i stając się coraz mniejsza. Wkrótce skurczyła się do wielkości plamki, punkciku, jednej z gwiazd na bezkresnym niebie. Odleciała dużo szybciej, niż się pojawiła, i po kilku minutach zupełnie zniknęła za zachodnim horyzontem.

Wszystko pomiędzy niebem i oceanem ponownie spowiła głęboka czerń. Mrok pochłonął lodowe chmury i wir cyklonu, po którym został tylko nikły ślad w postaci ledwie widocznych chaotycznych kłębów na niebie. Jego wycie raptownie przycichło i wkrótce przeszło w słabe zawodzenie, które też niebawem zamarło. Pozostał tylko szum fal.

Feng Fan nagle doznał wrażenia, że spada. Rozejrzawszy się, zobaczył, że ocean zaczyna się powoli zmieniać. Idealnie okrągły szczyt wodnej góry zaczął się spłaszczać, jak otwierany gigantyczny parasol. Fan wiedział, że góra się rozpływa i że on sam spada z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Po kilku minutach woda, na której powierzchni się unosił, przestała opadać, bo dotarła do poziomu oceanu. Siła upadku spowodowała, że głęboko się zanurzył.

Na szczęście tym razem nie zaczął tonąć i ciśnienie szybko wyrzuciło go na powierzchnię. Gdy się tam znalazł, zdał sobie sprawę, że góra całkowicie zniknęła w oceanie. Wyglądało tak, jakby nigdy jej nie było. Rozwiał się też cyklon, chociaż Fan wciąż czuł huraganowy wiatr, który smagał go, wznosząc wysokie fale. Jednak wkrótce ocean się uspokoił i jego powierzchnia się wygładziła.

Gdy rozproszyły się chmury kryształków lodu, nad Fanem rozpostarło się rozgwieżdżone niebo.

Spojrzał na gwiazdy, myśląc o tamtym odległym świecie, tak dalekim, że nawet światło dnia musiało się chwiać z wyczerpania, zanim dotarło stamtąd do Ziemi. Dawno temu na oceanie na tamtej planecie podniósł wzrok ku gwiazdom, tak jak on teraz, Gagarin ze świata Komory. Pomimo dzielącej ich ogromnej pustki przestrzeni kosmicznej i czasu Fan poczuł, że łączy ich wspólnota ducha.

Nagle ogarnęły go mdłości i zwymiotował. Po smaku czuł, że to krew. Kilka kilometrów nad poziomem morza, na szczycie wodnej góry, dostał choroby wysokościowej. Doznał obrzęku płuc i doszło do krwotoku. Natychmiast zrozumiał, że sytuacja jest poważna. Nagły wzrost siły grawitacji sprawił, że był zbyt słaby, by się poruszać. Na powierzchni utrzymywała go tylko kamizelka ratunkowa. Nie miał pojęcia o losie *Otwartego Oceanu*, ale był prawie pewien, że w promieniu co najmniej pół kilometra nie ma żadnego statku ani łodzi.

Kiedy znajdował się na szczycie, czuł, że jego życie się spełniło. Mógł tam spokojnie umrzeć. Jednak teraz nie było na Ziemi człowieka, którego bardziej niż jego przerażałaby śmierć. Wspiął się niegdyś na skalny dach naszej planety, a niedawno również na najwyższy wodny szczyt na świecie.

Jaka góra została mu do zdobycia?

Musiał przeżyć, musiał się dowiedzieć. Powrócił pierwotny strach, którym napełniła go tamta śnieżna zamieć w Himalajach. Wtedy sprawił on, że przeciął linę, która łączyła go z towarzyszami i ukochaną. Przypieczętował tym ich los. Teraz wiedział, że postąpił słusznie. Gdyby było coś, co musiałby zdradzić, by ocalić życie, zdradziłby to.

Musiał żyć. Czekał na niego wszechświat gór.

SŁOŃCE CHIN

Prolog

Shui Wah wziął z drżących rąk matki małe zawiniątko. Zawierało parę butów na grubej podeszwie, które sama uszyła, trzy kluski ugotowane na parze, dwie bardzo połatane kurtki i dwadzieścia juanów. Jego ojciec siedział w kucki przy drodze, ponuro paląc długą fajkę.

– Nasz syn wyjeżdża. Zabiłoby cię przybranie dobrej miny? – złajała go mama. Spotkawszy się z kamiennym milczeniem, dodała: – Stać cię na wybudowanie dla niego domu i znalezienie mu żony?

– A więc idź! Na wschód czy na zachód, wszyscy w końcu odchodzą! Lepiej bym wyszedł na wychowaniu gromadki szczeniąt! – krzyknął tata, nie patrząc na syna.

Shui spojrzał na wioskę, w której się urodził i wychował. Nękani ustawiczną suszą mieszkańcy ledwie wiązali koniec z końcem, korzystając z odrobiny deszczówki, którą udało się im zgromadzić w zbiornikach. Rodzice Shuiego nie mieli pieniędzy na budowę cementowego zbiornika, musieli się więc zadowolić wykopanym w ziemi. W gorące dni woda cuchnęła. W minionych latach tę stęchłą wodę można było bezpiecznie pić po przegotowaniu, tyle że była trochę kwaśna i gorzka. Jednak tego lata nawet przegotowana wywoływała u nich biegunkę. Od lekarza wojskowego usłyszeli, że może się do niej przedostawać z gruntu jakiś toksyczny minerał.

Rzuciwszy po raz ostatni okiem na ojca, Shui odwrócił się i odszedł. Nie oglądał się za siebie. Nie spodziewał się, że ojciec odprowadza go

wzrokiem. Kiedy ojca ogarniał smutek, siedział godzinami w kucki ze swoją fajką, bez ruchu, jakby stał się grudą zeschniętego błota na żółtej ziemi. Ale Shui wyraźnie widział jego twarz, a może lepiej byłoby powiedzieć, że po niej stąpał. Wokół rozciągały się północno-zachodnie Chiny, bezmiar pomarszczonej ochry, pobrużdżony pęknięciami i szczelinami wywołanymi erozją. Czy twarz rolnika różniła się od tego krajobrazu? Drzewa, ziemia, domy, ludzie – wszystko było poczerniałe, pożółkłe, pomarszczone. Nie widział oczu w tej ciągnącej się po horyzont twarzy, ale czuł, że tam są i patrzą w niebo. W młodości w tych oczach widać było pragnienie deszczu, w podeszłym wieku stawały się szkliste.

Prawdę mówiąc, ta ogromna twarz zawsze była bez wyrazu. Shui nie wierzył, że kiedykolwiek była młoda.

Nagle powiał wiatr i drogę spowił żółty kurz. Shui szedł nią, krocząc ku nowemu życiu. Ta droga miała go doprowadzić do miejsc, jakie nie pojawiały się w jego najśmielszych marzeniach.

Cel życiowy nr 1:

Napić się wody, która nie jest gorzka, zarobić trochę pieniędzy

– Och, ile tu świateł!

Kiedy Shui dotarł do skupiska wielu nielegalnych szybów i pieców, które tworzyły osiedle górnicze, zapadła już noc.

– Tu? Coś ty! W mieście to dopiero jest dużo świateł – powiedział Guo Qiang, który wyszedł mu na spotkanie. Guo pochodził z tej samej wioski, ale wyjechał z niej wiele lat temu.

Shui ruszył za nim do hotelu robotniczego, gdzie miał przenocować. Przy kolacji odkrył z przyjemnością, że woda ma miły, słodki smak. Guo wyjaśnił mu, że na osiedlu wywiercono głęboką studnię, więc to naturalne, że woda jest dobra.

– Ale jedź do miasta – dodał. – *Tam* mają naprawdę smaczną wodę!

Przed pójściem spać Guo dał Shuiemu mały węzełek, którego miał użyć jako poduszki. Shui rozwiązał go i zobaczył okrągłe laski owinięte czarnym plastikiem. Rozerwawszy plastik, przekonał się, że laski są żółtawe jak mydło.

– Dynamit – mruknął Guo, po czym zwinął się w kłębek i zaczął chrapać.

Shui zauważył, że pod głową ma taką samą „poduszkę”. Pod łóżkiem leżał stos dynamitu, a nad jego głową dyndała wiązka lontów. Później Shui się dowiedział, że w hotelu było dość dynamitu, żeby wysadzić całe osiedle w powietrze. Guo był strzałowym w kopalni.

Praca w kopalni była ciężka i męcząca. Shui biegał tam i z powrotem, kopiąc węgiel, ciągnąc wózki, stawiając stemple i wykonując różne inne dziwne prace. Pod koniec każdego dnia był śmiertelnie wyczerpany. Ale w dzieciństwie przywykł do trudów i się ich nie bał. Przerażały go tylko warunki panujące w kopalni. Zjeżdżając, czuł się, jakby zagłębiał się w ciemnym mrowisku. Początkowo miał wrażenie, że to koszmar na jawie, ale z czasem do tego też przywykł. Pracował na akord i co miesiąc mógł zarobić sto pięćdziesiąt juanów. Kiedy dobrze mu szło, wyciągał nawet dwieście. Był z tego całkowicie zadowolony.

Ale najbardziej zadowolony był z wody. Po pierwszym dniu pracy był cały czarny od pyłu węglowego, więc poszedł z innymi do łaźni. Wszedłszy tam, patrzył, jak czerpią miskami wodę z dużego basenu. Potem polewali się nią od głów do stóp, a ona ściekała z nich i płynęła czarnymi strużkami po ziemi. Był zdumiony. „O matko, jak mogą marnować taką słodką wodę?” – myślał. W jego oczach to właśnie ta świeża, słodka woda sprawiała, że ten pokryty czarnym pyłem świat był taki piękny.

Jednak Guo cały czas go namawiał, żeby przeniósł się do miasta. On sam tam wcześniej pracował, ale ponieważ ukradł coś z placu budowy, gdzie był zatrudniony jako robotnik, zakwalifikowano go jako włóczęgę i odesłano do miejsca stałego pobytu. Zapewniał Shuiego, że w mieście zarobi więcej. Poza tym nie musiałby się zaharowywać na śmierć jak w kopalni.

Shui się wahał, ale kiedy tak walczył ze sobą, nie mogąc podjąć ostatecznej decyzji, Guo przydarzył się wypadek w pracy. W ręku

eksplodował mu niewypał – laska dynamitu, którą wyjmował ze ściany. Musiano go wynieść z szybu. Całe ciało miał usiane odłamkami skał. Zanim umarł, odwrócił głowę do Shuiego i wyrzęził:

– Jedź do miasta… tam jest więcej świateł…

Cel życiowy nr 2:

Pojechać do miasta, gdzie jest więcej świateł i słodsza woda, i zarobić więcej

– W nocy jest tu jasno jak w dzień! – wykrzyknął Shui.

Guo się nie mylił. W mieście faktycznie było dużo więcej świateł. W tej chwili szedł za Juniorem, niosąc na plecach skrzynkę pucybuta. Zmierzali główną arterią komunikacyjną stolicy prowincji w stronę stacji kolejowej. Junior pochodził z wioski leżącej w sąsiedztwie rodzinnego domu Shuiego i kiedyś pracował w tym mieście razem z Guo. Mimo wskazówek, które dał mu Guo, odnalezienie Juniora zajęło Shuiemu trochę czasu. Okazało się, że nie pracuje już w budownictwie; przerzucił się na pucowanie butów. Ale Shuiemu dopisało szczęście – nie tylko znalazł pucybuta, ale okazało się też, że jeden z facetów, z którymi wynajmował mieszkanie i który zajmował się tym samym, akurat wrócił w sprawach osobistych do domu. Junior szybko wprowadził Shuiego w tajniki czyszczenia butów, po czym powiedział mu, żeby wziął skrzynkę tamtego i poszedł za nim.

Po drodze Shui zastanawiał się nad swoim nowym zajęciem. Nie bardzo w nie wierzył. Widział sens w naprawianiu obuwia. Ale pucowanie butów?

Każdemu, kto wydaje na to juana – a na uzyskanie dobrego połysku nawet trzy – musi brakować piątej klepki. Jednak przed stacją pierwszy klient pojawił się, zanim jeszcze zdążyli ustawić swoje skrzynki. Ku swemu zdziwieniu do jedenastej wieczorem zarobił czternaście juanów!

Natomiast Junior miał w drodze powrotnej ponurą minę. Narzekał, że to był kiepski dzień, i nie uszło uwagi Shuiego, że daje do zrozumienia, iż ukradł mu interes.

– Co jest w tych metalowych skrzyniach pod oknami? – zapytał Shui, wskazując budynek przed nimi.

– Klimatyzatory. Dzięki nim czujesz się w mieszkaniu, jakby była wczesna wiosna.

– Miasto jest niewiarygodne! – zawołał Shui, wycierając pot z twarzy.

– Życie tu jest ciężkie. Łatwo zarobić na miskę ryżu, ale możesz zapomnieć o kupnie mieszkania i o ożenku. Mieszkanie tam – rzekł Junior, wskazując brodą budynek – kosztuje trzy tysiące za metr kwadratowy!

– Co to jest metr kwadratowy? – zapytał niewinnie Shui.

Junior nie odpowiedział, tylko pokręcił głową z pogardą.

Shui wpłacał część czynszu za małe, prowizoryczne mieszkanie, które wynajmował z tuzinem innych mężczyzn. Większość stanowili robotnicy migrujący i rolnicy sprzedający w mieście produkty ze swoich gospodarstw. Ale człowiek, który zajmował materac obok niego, był mieszczuchem z prawdziwego zdarzenia, chociaż nie pochodził z tego miasta. Tak naprawdę nie różnił się od pozostałych lokatorów. Jadał nie lepiej niż oni, a nocą też obnażał się do pasa, by cieszyć się chłodnym powietrzem. Jednak każdego ranka wkładał elegancki garnitur i skórzane buty. Kiedy

wychodził, jakby stawał się inną osobą. Shui miał wrażenie, że patrzy na złotego feniksa wyłaniającego się z rosołu.

Człowiek ten nazywał się Zhuang Yu. Reszta lokatorów nie okazywała mu niechęci, głównie z powodu czegoś, co ze sobą przywiózł. To coś wyglądało jak duży parasol, tyle że zrobiony z lusterek. Jego wewnętrzna strona była bardzo jasna i odbijała światło. Zhuang najpierw postawił odwrócony parasol na ziemi tak, by padało na niego słońce, a potem umieścił na wsporniku znajdującym się w miejscu, gdzie powinna być rączka, garnek z wodą. Odbijające się od parasola promienie rozgrzały dno garnka i woda szybko zaczęła wrzeć. Później Shui się dowiedział, że był to podgrzewacz słoneczny. Lokatorzy gotowali na nim wodę i jedzenie, dzięki czemu zaoszczędzili niemało pieniędzy. Nie można było jednak z niego korzystać w pochmurne dni.

Parasol zwany „podgrzewaczem słonecznym” nie miał drutów, składał się tylko z bardzo cienkiej czaszy. Shui przyglądał się z fascynacją, jak Zhuang go zamyka. Z płytki podgrzewacza biegł długi i cienki przewód elektryczny podłączony do kontaktu. By go wyłączyć, Zhuang po prostu wyciągnął wtyczkę. Parasol upadł z pyknięciem na podłogę i nagle przemienił się w małą płachtę srebrzystej tkaniny. Shui ją podniósł i dokładnie się jej przyjrzał. Była miękka, gładka i tak lekka, że wydawała się prawie nic nie ważyć. Na jej powierzchni Shui zobaczył swoje zniekształcone odbicie, które mieniło się tęczowo jak bańka mydlana. Zaledwie ją puścił, srebrzysta tkanina prześliznęła mu się przez palce i opadła bezdźwięcznie na podłogę niczym garść rtęci. Gdy Zhuang ponownie włożył wtyczkę do kontaktu, rozwinęła się leniwie niczym kwiat lotosu. Po krótkim czasie ponownie przybrała kształt odwróconego wnętrzem do góry parasola. Shui dotknął jego powierzchni – była twarda. Gdy postukał w nią palcem, odpowiedziała mu miłym, metalicznym

dźwiękiem. W tym stanie była niezwykle mocna i mogła utrzymać pełen garnek czy czajnik.

– To rodzaj nanomateriału – wyjaśnił Zhuang. – Ta powierzchnia ma znakomitą zdolność odbijania światła, a przy tym jest bardzo mocna. Co najważniejsze, w normalnych warunkach jest miękka i elastyczna, ale po podłączeniu do prądu staje się sztywna.

Shui dowiedział się później, że ta „lustrzana nanobłona” jest jednym z wynalazków Zhuanga. Po jej opatentowaniu zainwestował wszystko, co miał, aby wprowadzić na rynek wykonane z niej produkty. Jednak nikt nie okazał zainteresowania żadnym z nich, nawet przenośnym podgrzewaczem słonecznym, i Zhuang stracił cały kapitał. Teraz był tak biedny, że musiał pożyczać od Shuiego pieniądze na czynsz. Ale mimo że tak nisko upadł, pozostał niepoprawnym optymistą. Dzień w dzień obchodził miasto, szukając miejsca, gdzie mógłby sprzedać swój nowy materiał. Powiedział Shuiemu, że jest to trzynaste z kolei miasto, które odwiedza w poszukiwaniu nabywcy.

Poza podgrzewaczem słonecznym Zhuang posiadał mniejszy kawałek błony lustrzanej. Normalnie leżał on na stoliku przy materacu i wyglądał jak mała, srebrna chusteczka do nosa.

Każdego ranka przed wyjściem Zhuang wciskał mały włącznik i srebrna chusteczka do nosa natychmiast przekształcała się w cienką, sztywną płytkę. Ustawiwszy ją pionowo, wynalazca stawał przed nią, doprowadzał się do porządku i ubierał. Któregoś dnia, czesząc się, zerknął z ukosa na Shuiego, który akurat wstał z łóżka.

– Powinieneś poświęcać więcej uwagi swojemu wyglądowi – zauważył. – Myj regularnie twarz, przygładź trochę włosy. Nie wspomnę już o twoim ubraniu. Żal ci wydać parę juanów na nowe?

Shui wziął lusterko i podniósł je do twarzy. Chwilę patrzył na swoje odbicie, po czym roześmiał się i potrząsnął głową. Za dużo zachodu dla pucybuta.

– Współczesne społeczeństwo daje człowiekowi mnóstwo możliwości – powiedział Zhuang, nachyliwszy się do niego. – Niebo roi się od złotych ptaków. Może pewnego dnia wyciągniesz rękę i któregoś schwytasz, ale tylko wtedy, jeśli zaczniesz traktować siebie poważnie.

Shui się rozejrzał, ale nie dostrzegł nawet jednego złotego ptaka. Znowu potrząsnął głową i odparł:

– Nie mam wykształcenia.

– Szkoda, ale kto wie? Może wyjdzie ci to na dobre. Wspaniałość naszej epoki polega na tym, że jest nieprzewidywalna. Każdemu może się przydarzyć cud.

– A pan skończył uniwersytet, tak? – zapytał Shui z wahaniem.

– Mam doktorat z fizyki ciała stałego. Zanim stamtąd odszedłem, byłem profesorem.

Jeszcze długo po wyjściu Zhuanga Shui siedział z szeroko otwartymi ustami. Jeśli ktoś taki jak Zhuang nie zdołał złapać złotego ptaka w trzynastu miastach, to on nie miał na to żadnych szans. Poczuł się, jakby facet z niego zakpił, ale w końcu sam był śmieszny i żałosny.

Wieczorem, podczas gdy część pozostałych lokatorów spała albo grała w pokera, Shui i Zhuang poszli do małej restauracji parę kroków od ich domu, by obejrzeć telewizję.

Dochodziła północ i w telewizji nadawano wiadomości. Ekran pokazywał tylko prezentera bez żadnej grafiki.

„Na popołudniowej konferencji prasowej rzecznik rady państwa poinformował o oficjalnym rozpoczęciu programu Słońce Chin. Jest to największy projekt inżynierii ekologicznej od czasu Zielonego Muru

Chińskiego i jego realizacja ma zasadniczo zmienić wygląd naszego krajobrazu…”

Shui już wcześniej słyszał o tym projekcie i wiedział, że chodzi w nim o stworzenie na niebie sztucznego słońca. To drugie słońce przyniosłoby wyschniętej północy więcej opadów deszczu.

To wszystko brzmiało dla niego fascynująco. Chciał zapytać o to Zhuanga, jak zwykle robił, gdy chodziło o takie sprawy. Kiedy jednak odwrócił głowę, zobaczył, że jego przyjaciel siedzi z opadniętą szczęką i gapi się szeroko otwartymi oczami w ekran, jakby telewizor porwał mu duszę.

Shui pomachał mu ręką przed twarzą, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Zhuang doszedł do siebie dopiero długo po zakończeniu wiadomości.

– No, faktycznie – mruknął do siebie. – Jak mogłem nie pomyśleć o projekcie Słońce Chin?

Shui patrzył na niego z osłupieniem. Skoro nawet on o tym wiedział, było niemożliwe, żeby Zhuang nie miał pojęcia o Słońcu Chin. Czy był w kraju ktoś, kto o tym nie słyszał? Musiał wiedzieć, tylko aż do tej pory nie pomyślał o tym. Ale jakie nowe możliwości przykuły jego uwagę? Co ten projekt miał wspólnego z Zhuang Yu, przegranym włóczęgą koczującym w dusznym, zaniedbanym mieszkaniu?

– Pamiętasz, co powiedziałem rano? – zapytał Zhuang. – Właśnie siadł przede mną złoty ptak i jest *ogromny*. Cały czas był przede mną, a ja go, kurwa, nie widziałem!

Shui patrzył na niego całkowicie zdezorientowany.

– Jadę do Pekinu – oznajmił Zhuang, wstając z krzesła. – Złapię pociąg o 2.30. Jedź ze mną, bracie!

– Do Pekinu? Po co?

– Pekin jest taki wielki! Czego nie można tam osiągnąć? – odparł Zhuang. – Nawet jeśli tylko pucujesz buty, zarobisz tam więcej niż tutaj!

I jeszcze tej samej nocy Shui i Zhuang wsiedli do tak zatłoczonego pociągu, że nie mogli znaleźć ani jednego wolnego miejsca. Pociąg całą noc toczył się przez szerokie przestrzenie Zachodu, zmierzając w stronę wschodzącego słońca.

Cel życiowy nr 3:

Jechać do większego miasta, zobaczyć więcej świata, zarobić jeszcze więcej

Gdy Shui po raz pierwszy zobaczył stolicę, jedna rzecz stała się jasna: niektóre rzeczy trzeba zobaczyć, żeby je zrozumieć. Sama siła jego wyobraźni okazała się niewystarczająca. Na przykład wiele razy wyobrażał sobie noc w Pekinie. Najpierw po prostu podwajał albo potrajał liczbę świateł w swojej wiosce lub w osiedlu górniczym, a po przeniesieniu się do stolicy prowincji powtarzał ten zabieg ze światłami w niej. Ale kiedy autobus, do którego wsiadł z Zhuangiem pod pekińskim Dworcem Zachodnim, skręcił w aleję Chang'an, przekonał się, że nawet gdyby pomnożył światła stolicy prowincji przez tysiąc, to i tak nigdy nie dorównałyby one nocnemu spektaklowi w Pekinie. Oczywiście światła w Pekinie nie były tysiąckrotnie jaśniejsze, ale w jego centrum było coś, czemu miasta na Zachodzie nigdy nie zdołałyby dorównać.

Shui i Zhuang przenocowali w tanim piwnicznym motelu, a rano każdy z nich poszedł własną drogą. Przed odejściem Zhuang życzył mu pomyślności i powiedział, że gdyby kiedyś wpadł w kłopoty, może się

z nim skontaktować. Ale gdy Shui poprosił go o numer telefonu albo adres, przyznał, że nie ma ani jednego, ani drugiego.

– No to jak cię znajdę? – zapytał Shui.

– Poczekaj trochę. Wkrótce dowiesz się, gdzie jestem, z telewizji albo z gazet.

Patrząc na oddalającą się postać Zhuanga, Shui pokręcił w oszołomieniu głową. Cóż za zagadkowa odpowiedź! Jego nazwisko nie było warte grosza. Dzisiaj nie stać go było na wynajęcie pokoju w motelu, a Shui kupił mu śniadanie. Przed wyjazdem do Pekinu Zhuang dał nawet właścicielowi mieszkania swój podgrzewacz słoneczny zamiast czynszu. Teraz był w sytuacji nie lepszej niż żebrak, który nie ma nic oprócz marzeń.

Po rozstaniu z Zhuangiem Shui natychmiast poszedł szukać pracy, ale miasto tak go pochłonęło, że wkrótce zapomniał o swoich zamiarach. Przez cały dzień włóczył się bez celu po ulicach. Miał wrażenie, jakby znalazł się w krainie czarów, ale nie czuł się ani trochę zmęczony. Gdy zapadł zmierzch, stanął przed jednym z nowych symboli stolicy, wysoką na pięćset metrów, ukończoną zaledwie rok wcześniej Wieżą Jedności. Wyciągnął szyję, by się przyjrzeć wznoszącemu się ponad chmury szklanemu urwisku. Gasnący blask zachodzącego słońca i szybko wzbierające morze świateł poniżej malowały na jego powierzchni zapierające dech w piersiach widowisko światła i cienia. Shui patrzył, aż rozbolał go kark. Akurat gdy zbierał się do odejścia, rozbłysły światła samej wieży. Wspaniały spektakl kompletnie nim zawładnął, więc stał jak urzeczony z zadartą głową.

– Długo się przyglądasz. Jesteś zainteresowany taką pracą?

Shui odwrócił się i spojrzał na osobę, która się do niego odezwała. Był to młody mężczyzna, ubrany jak inni mieszkańcy stolicy, ale w ręku trzymał żółty kask.

– Jaką pracą? – zapytał zdezorientowany Shui.

– A na co przed chwilą się patrzyłeś? – odparł pytaniem tamten, wskazując w górę ręką, w której trzymał kask.

Shui powiódł za nią wzrokiem. Ku swemu zdziwieniu zobaczył kilku ludzi wysoko na szklanym urwisku. Z dołu wyglądali jak małe czarne plamki.

– Co oni tam robią? – spytał, wytężając wzrok. – Czyszczą to szkło?

Mężczyzna skinął głową.

– Jestem szefem kadr w Spółce Mycia Okien „Niebieskie Niebo”. Nasza firma zajmuje się myciem okien głównie na dużych wysokościach. Chcesz tę pracę?

Shui ponownie podniósł głowę. Patrząc na podobne do mrówek plamki na takiej wysokości, doznawał zawrotu głowy.

– Trochę strach.

– Jeśli boisz się o swoje bezpieczeństwo, to mogę cię uspokoić. Wygląda to groźnie i dlatego trudno o chętnych do tej pracy. Brakuje nam ludzi. Ale gwarantuję ci, że mamy bardzo ścisłe procedury bezpieczeństwa. Dopóki przestrzegasz ich co do joty, nic ci nie grozi. I płacimy dużo więcej niż inne firmy wykonujące podobne prace. Możesz zarobić tysiąc pięćset na miesiąc, plus obiad za darmo w dni robocze, a poza tym firma wykupi ci ubezpieczenie osobiste.

Wysokość tej sumy odebrała Shuiemu mowę. Gapił się tylko ze zdumieniem na szefa kadr. Tamten zrozumiał jego milczenie opacznie.

– Dobrze, zrezygnujemy z okresu próbnego i dorzucę ci jeszcze trzy setki. To będzie tysiąc osiemset na miesiąc. Więcej nie mogę dać. Dawniej za taką robotę płacono czterysta czy pięćset juanów i dodatkowo za pracę na akord. Teraz wypłacamy stałą pensję, co nie jest takie złe.

I tak Shui został pracownikiem firmy zajmującej się wysokościowym czyszczeniem elewacji, czyli tak zwanym „spidermanem” albo

„człowiekiem pająkiem”.

Cel życiowy nr 4:

Zostać pekińczykiem

Wraz z czterema innymi czyścicielami okien Shui ostrożnie opuścił się z najwyższego piętra Wieżowca Kosmonautyki. Zjazd na osiemdziesiąte trzecie piętro, na którym skończyli pracę poprzedniego dnia, zajął im czterdzieści minut. Jedną z rzeczy, które przyprawiały ich o największy ból głowy, było czyszczenie fasad ustawionych pod kątem mniejszym niż dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do ziemi. Architekt, którego dziełem był Wieżowiec Kosmonautyki, w porywie patologicznej twórczości zaprojektował cały budynek jako strukturę pochyłą. Jego górę podtrzymywała cienka kolumna. Według architekta celebryty ta forma miała wywoływać wrażenie wznoszenia się. Twierdzenie to brzmiało rozsądnie i drapacz chmur stał się znany na całym świecie jako charakterystyczny pekiński obiekt. Ale ludzie pająki przeklinali architekta i osiem pokoleń jego przodków. Dla nich czyszczenie elewacji Wieżowca Kosmonautyki było koszmarem. Jego jedna strona była czterystumetrową pochyłością stykającą się z ziemią pod kątem sześćdziesięciu pięciu stopni.

Znalazłszy się na swoim stanowisku pracy, Shui spojrzał w górę. Wznosząca się nad nim szklana fasada wyglądała, jakby za chwilę miała na niego runąć. Jedną ręką zdjął pokrywę pojemnika z detergentem. Drugą chwycił rączkę przyssawki. Tego rodzaju przyssawki robiono specjalnie

pod kątem czyszczenia powierzchni odchylonych od pionu, ale mimo to były trudne w użyciu i często się rozszczelniały. Kiedy do tego dochodziło, człowiek pająk odpadał od ściany i zwisał na zabezpieczającej go linie. Podczas czyszczenia Wieżowca Kosmonautyki takie wypadki zdarzały się często i za każdym razem przerażały czyściciela na śmierć. Nie dalej jak wczoraj przytrafiło się to koledze Shuiego. Odpadł od ściany, a kiedy lina wracała jak wahadło, porwał go podmuch wiatru i rzucił na budynek. Wpadł na dużą taflę szkła i roztrzaskał ją, rozcinając sobie czoło i przedramię. Koszt naprawy drogiego szkła budowlanego pokrytego warstwą odblaskową pochłonął jego całoroczne zarobki.

Shui dołączył do brygady ludzi pająków ponad dwa lata temu, ale z upływem czasu praca wcale nie stała się łatwiejsza. Wiatry o sile dwóch w skali Beuaforta na powierzchni ziemi na wysokości stu metrów wzrastały do stopnia piątego. Przy budynkach o wysokości przekraczającej czterysta czy pięćset metrów były jeszcze silniejsze. Nie trzeba mówić, że było to niebezpieczne zajęcie. Śmiertelny upadek na biegnącą w dole ulicę nie był wśród ludzi pająków niczym niezwykłym. Zimą wiatr wbijał się w ciało jak nóż, a powszechnie używany do mycia szyb roztwór kwasu fluorowodorowego był tak żrący, że czyścicielom czerniały i schodziły paznokcie z palców u rąk. Dla ochrony przed tym detergentem musieli nosić, nawet latem, wodoszczelne kurtki, spodnie i buty. Kiedy myli szkło powlekane warstwą odblaskową, w plecy prażyło ich słońce, a jego światło odbijające się od szyb przed nimi tak oślepiało, że trudno było otworzyć oczy. Sprawiało to, że Shui czuł się, jakby włożono go do podgrzewacza słonecznego Zhuanga.

Ale kochał swoją pracę. Minione dwa lata były najszczęśliwszym okresem w jego życiu. Niewątpliwie przyczyniał się do tego fakt, że w porównaniu z innymi wędrownymi robotnikami niewykwalifikowanymi,

którzy tłumnie napływali do Pekinu, ludziom pająkom płacono bardzo dobrze. Jednak ważniejsze było to, że ta praca dawała mu poczucie spełnienia. Z przyjemnością robił to, czego nie chcieli się podejmować jego koledzy – czyścił ściany nowo wybudowanych drapaczy chmur. Każdy z tych budynków miał co najmniej dwieście metrów wysokości, a najwyższe wznosiły się na ponad pięćset. Wisząc przy takim drapaczu chmur, miał wspaniały widok na rozciągający się pod nim Pekin. Wybudowane w poprzednim stuleciu tak zwane „wysokościowce" wyglądały stamtąd na przysadziste. Nieco dalej stawały się powtykanymi w ziemię wiązkami gałązek. Zakazane Miasto w środku stolicy wyglądało, jakby zbudowano je ze złotych klocków. Na tej wysokości nie docierał do niego gwar i mógł objąć miasto jednym spojrzeniem. Oddychało spokojnie w dole jak superorganizm spowity pajęczą siecią arterii. Czasami wieżowiec, który czyścił, przebijał się przez chmury. Świat poniżej pasa Shuiego spowijały ciemne chmury burzowe, a nad jego głową świeciło jasno słońce. Patrząc na bezkresne morze chmur kłębiących się pod stopami, zawsze czuł się tak, jakby wyjący wiatr wiał przez niego.

Doznania te nasunęły Shuiemu filozoficzną refleksję: niektóre rzeczy widać wyraźnie tylko z góry. Gdy wchłonęła go stolica, wszystko wokół niego wydawało się beznadziejnie skomplikowane. Na ziemi miasto było jak niemający końca labirynt. Z góry wyglądało tylko jak mrowisko z dziesięcioma milionami mieszkańców, a świat wokół niego był taki rozległy!

Po pierwszej wypłacie Shui poszedł się przejść po dużym centrum handlowym. Kiedy wjechał ruchomymi schodami na drugie piętro, jego oczom ukazał się niezwykły widok. Inaczej niż na tętniących życiem niższych kondygnacjach tutaj było pusto, jeśli nie liczyć kilku oszałamiająco dużych, niskich stołów. Na ich szerokich blatach stały

skupiska malutkich budynków, nie większych od książki. Przestrzeń pomiędzy nimi pokrywała jasnozielona trawa, upstrzona białymi pawilonami i krętymi alejkami. Domy były śliczne, jakby zostały wyrzeźbione z kości słoniowej albo białego sera. Razem z zielonymi trawnikami tworzyły wspaniały miniaturowy świat. W oczach Shuiego wyglądało to jak model raju. Najpierw pomyślał, że to zabawki, ale nie widział w sali ani jednego dziecka. Wokół stołów stali sami dorośli ze skupionymi, poważnymi minami. Stanął oczarowany przy jednym z tym małych rajów i długo mu się przyglądał. Dopiero kiedy podeszła do niego z powitaniem atrakcyjna młoda kobieta, zorientował się, że jest to biuro sprzedaży nieruchomości. Wskazał wybrany na chybił trafił budynek i zapytał o cenę mieszkania na najwyższym piętrze. Kobieta powiedziała mu, że jest to apartament z trzema sypialniami, w cenie trzech tysięcy pięciuset juanów za metr kwadratowy, czyli że kosztuje trzysta osiemdziesiąt tysięcy. Shuiego aż zatkało, gdy usłyszał tę sumę, ale następna wypowiedź sprzedawczyni znacznie złagodziła jego szok:

– Może pan płacić w miesięcznych ratach w wysokości od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy juanów.

– N…nie jestem z Pekinu. Mogę to kupić? – zapytał ostrożnie.

Sprzedawczyni obdarzyła go tryumfalnym uśmiechem.

– Jest pan zabawny. System stałego zameldowania przestał obowiązywać już przed laty. Czy istnieje jeszcze ktoś taki jak „prawdziwy” pekińczyk? Jeśli się pan tu osiedli, to czy nie stanie się pan pekińczykiem?

Po wyjściu z centrum handlowego Shui długo włóczył się bez celu ulicami. Wszędzie wokół lśniła w ciemnościach nocy wspaniała mozaika świateł. W ręku trzymał kolorowe ulotki, które dała mu sprzedawczyni, i często przystawał, by na nie zerknąć. Zaledwie dwa lata temu, kiedy koczował w zapuszczonym pokoiku w odległym mieście na Zachodzie,

posiadanie mieszkania choćby w stolicy prowincji wydawałoby się mu nieosiągalną fantazją. Teraz kupno apartamentu w Pekinie było wprawdzie nadal odległe, ale nie było już bajką. Było marzeniem i jak te miniaturowe modele znajdowało się przed jego oczami. Mógł wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Akurat wtedy ktoś zastukał w szybę, którą czyścił, wyrywając go z tego snu na jawie. Było to stałym utrapieniem. Dla białych kołnierzyków pojawianie się czyścicieli za oknami ich biur stanowiło źródło nieopisanej irytacji. Jakby czyściciele naprawdę byli dziwacznymi dużymi pająkami, co sugerował nadany im przydomek, i od tych, którzy pracowali w środku, dzieliło ich dużo więcej niż tylko cienka tafla szkła.

Pracownicy biur narzekali, że ludzie pająki są zbyt hałaśliwi albo że zasłaniają im światło, albo że przeszkadzają im w jakiś inny z miliona wydumanych sposobów. Szyby w Wieżowcu Kosmonautyki były półodblaskowe, więc Shui musiał wytężyć wzrok, by przez nie zajrzeć. Kiedy w końcu wypatrzył mężczyznę w środku, stwierdził ze zdumieniem, że jest to Zhuang Yu.

Po rozstaniu z Zhuangiem Shui często się zastanawiał, co się z nim dzieje. Wyobrażał sobie, że pozostał on eleganckim włóczęgą, żmudnie drepczącym po wielkim mieście. I oto pewnego dnia późną jesienią, kiedy siedział w hotelu robotniczym i martwił się, czy Zhuang ma ubranie na zimę, zobaczył go w telewizji. Kierownictwo programu Słońce Chin rozpoczęło procedurę wyboru technologii najważniejszej dla jego realizacji – produkcji materiału do budowy reflektora. Ostatecznie spośród kilkunastu propozycji wybrano lustrzaną nanobłonę Zhuanga. I tak z dnia na dzień włóczęga o naukowym zacięciu przeistoczył się w jednego z głównych naukowców pracujących nad projektem Słońce Chin i stał się znany na całym świecie. Potem, mimo że Zhuang często pojawiał się w środkach

przekazu, Shui powoli o nim zapominał. Uważał, że nie mają już ze sobą nic wspólnego.

Gdy teraz wszedł do jego przestronnego gabinetu, przekonał się, że przez te dwa lata Zhuang nic a nic się nie zmienił. Miał nawet ten sam garnitur. Dopiero teraz Shui zauważył, że ten strój, który kiedyś wydawał mu się taki luksusowy, był w rzeczywistości bardzo sfatygowany. Opowiedział Zhuangowi o tym, jak mu się żyje w Pekinie.

– Wygląda na to, że nam obu powodzi się tu całkiem dobrze – zakończył z uśmiechem.

– O tak, bardzo dobrze! – zgodził się z nim Zhuang, kiwając z podnieceniem głową. – Prawdę mówiąc, tamtego ranka, kiedy powiedziałem ci, że w naszych czasach człowiek ma wiele możliwości, prawie straciłem w to wiarę. Mówiłem to przede wszystkim po to, żeby dodać otuchy samemu sobie, ale świat naprawdę oferuje mnóstwo szans!

Shui też kiwnął głową.

– Wszędzie są złote ptaki.

Rozejrzał się po dużym, nowocześnie wyglądającym gabinecie. Od reszty wyposażenia odróżniało się kilka rzeczy. Na suficie rozpościerał się holograficzny obraz nocnego nieba; stojąc pośrodku pokoju, człowiek miał wrażenie, że przeniósł się do ogrodu pod błyszczącymi gwiazdami. Na ich tle wisiał wypukły srebrny talerz, bardzo podobny do podgrzewacza słonecznego Zhuanga, ale Shui wiedział, że w rzeczywistości miał on być dwadzieścia czy trzydzieści razy większy od Pekinu.

W rogu sufitu znajdowała się kulista lampa. Podobnie jak talerz, unosiła się w powietrzu bez żadnego wsparcia i rzucała jaskrawe żółte światło. Lustro odbijało jego promienie w stronę globusa obok biurka Zhuanga, tworząc na jego powierzchni świetlny krąg. Gdy lampa powoli płynęła pod sufitem, lustro obracało się w ślad za nią i bez przerwy rzucało światło na

globus. Roziskrzone gwiazdami niebo, lustro, lampa i jej światło, glob i oświetlone miejsce na nim tworzyły abstrakcyjny, tajemniczy mural.

– To Słońce Chin? – zapytał z podziwem Shui, wskazując lustro.

Zhuang kiwnął głową.

– To reflektor o powierzchni trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Będzie odbijał światło słoneczne i z geosynchronicznej orbity kierował je w stronę Ziemi. Z niej będzie wyglądał jak drugie słońce.

– Czegoś tu nie rozumiem. W jaki sposób drugie słońce sprowadzi więcej deszczu?

– To sztuczne słońce może w różny sposób wpływać na pogodę. Na przykład zakłócając termodynamiczną równowagę w atmosferze, może zmieniać cyrkulację powietrza, zwiększyć parowanie oceanu albo przesunąć front pogodowy – odparł Zhunag. – Ale to jeszcze nie całe wyjaśnienie. Ten orbitalny reflektor jest w istocie tylko częścią projektu Słońce Chin. Inną jest skomplikowany model ruchów w atmosferze, który zostanie zainstalowany na wielu superkomputerach. Będzie mógł tworzyć dokładne symulacje ruchu w dowolnym rejonie atmosfery, a potem ustalić punkt krytyczny. Jeśli skieruje się na ten punkt światło sztucznego słońca, skutek będzie na tyle odczuwalny, że całkowicie zmieni na pewien czas klimat w wybranym regionie. – Zhuang przerwał na chwilę. – To niezwykle złożony proces, poza moją dziedziną wiedzy. Sam niezupełnie go rozumiem.

Shui chciał zadać Zhuangowi jeszcze jedno pytanie, na które tamten mógł na pewno odpowiedzieć. Wiedział, że jest ono głupie, ale się przemógł.

– Jak coś tak dużego może wisieć w powietrzu i nie spaść?

Zhuang patrzył na niego przez kilka minut w milczeniu. W końcu zerknął na zegarek i klepnął Shuiego w ramię.

– Chodźmy. Zapraszam cię na kolację. Przy jedzeniu wyjaśnię ci, dlaczego Słońce Chin nie spadnie.

Okazało się, że wcale nie było tak łatwo to wytłumaczyć, jak myślał Zhuang. Musiał odłożyć główny temat na bok i zacząć od podstaw. Shui wprawdzie wiedział, że żyje na okrągłej planecie, ale w głębi jego świadomości nadal mocno był zakorzeniony tradycyjny chiński model niebieskiego sklepienia nad kwadratową Ziemią. Zhuang musiał włożyć wiele wysiłku w to, by Shui naprawdę pojął, że świat jest małą skalną kulą unoszącą się w bezkresnej pustce. Chociaż Shui nie zbliżył się ani na krok do zrozumienia, dlaczego Słońce Chin nie może spaść, tego wieczoru bardzo się zmienił jego obraz świata. Wkroczył we własną epokę ptolemejską. Drugiego wieczoru Zhuang zjadł z nim kolację w barze i udało mu się wciągnąć go do epoki kopernikańskiej. Następnego wieczoru wprowadził go za pomocą globusa stojącego w jego gabinecie w epokę podboju przestrzeni kosmicznej. Podczas następnego święta państwowego Shui wreszcie pojął znaczenie orbity geosynchronicznej i zrozumiał, dlaczego Słońce Chin nie może spaść.

Tego dnia Zhuang oprowadził go po Centrum Dowodzenia Słońcem Chin. Znajdujący się pośrodku monitor pokazywał panoramiczny widok prac przy budowie Słońca Chin na orbicie geostacjonarnej. W czerni przestrzeni kosmicznej unosiło się kilka cienkich srebrnych arkuszy, tak dużych, że trzymające się w pobliżu promy kosmiczne wyglądały przy nich jak komary.

Ale najbardziej wstrząsnął Shuim obraz na innym monitorze. Pokazywał Ziemię z wysokości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów. Kontynenty unosiły się na oceanach jak duże kawały brązowego papieru pakowego. Łańcuchy górskie były jak zmarszczki na tym papierze, a chmury wyglądały jak smugi po rozsypanym na nim cukrze pudrze.

Zhuang pokazał mu, gdzie leżą jego wioska i Pekin. Shui gapił się przez długą chwilę w monitor, po czym powiedział bez zastanowienia:

– Ludzie tam w górze myślą inaczej.

Główną część Słońca Chin ukończono trzy miesiące później. Gdy w dzień święta narodowego zapadła noc, reflektor skierowano na pogrążoną w mroku Ziemię i naprowadzono jego światło na Pekin i Tiencin. Stojąc w kilkusettysięcznym tłumie na placu Tiananmen, Shui był świadkiem wspaniałego wschodu słońca. Jedna z gwiazd na zachodniej stronie nieba zaczęła świecić jaśniej, tworząc wokół siebie mały niebieski krąg. Kiedy Słońce Chin osiągnęło największą jasność, halo rozszerzyło się na pół nieba. Na skraju jasny błękit przechodził w żółcień, potem w kolor pomarańczowoczerwony i ciemnopurpurowy, tworząc okrągłą tęczę, która zyskała nazwę „Wieńca Świtu”.

Gdy Shui wrócił do hotelu, była już prawie czwarta rano. Kiedy się położył na wąskim górnym łóżku, światło Słońca Chin wlewało się przez okno, oświetlając ulotki biura nieruchomości przyklejone do ściany nad jego głową. Zerwał je.

W boskim promieniowaniu Słońca Chin ideał, który jeszcze niedawno go ekscytował, wydawał mu się teraz nudny i nieistotny.

Dwa miesiące później Shuiego odszukał szef firmy czyszczącej. Powiedział mu, że chce go widzieć dyrektor Zhuang z Centrum Dowodzenia Słońcem Chin. Shui nie widział się z Zhuangiem, odkąd skończył pracę przy Wieżowcu Kosmonautyki.

– To twoje słońce to naprawdę coś! – krzyknął ze szczerym podziwem, wszedłszy do gabinetu Zhuanga.

– To nasze, a zwłaszcza twoje słońce! – odparł Zhuang. – W tej chwili nie można dojrzeć go z Pekinu, bo niesie śnieg do twojej wioski!

– Rodzice wspomnieli w liście, że tej zimy jest u nich więcej śniegu niż zwykle!

– Ale Słońce Chin ma poważny kłopot – rzekł Zhuang, wskazując na monitor za nim. Na ekranie widać było dwa ujęcia okrągłej plamki światła. – Te zdjęcia zrobiono z jednego miejsca w odstępie dwóch miesięcy. Widzisz różnicę?

– To po lewej jest jaśniejsze.

– No właśnie. Po zaledwie dwóch miesiącach gołym okiem widać zmniejszanie się jego właściwości odblaskowych.

– Jak to możliwe? Lustro się zakurzyło?

– W przestrzeni kosmicznej nie ma kurzu, ale jest wiatr słoneczny, czyli strumień cząstek wyrzucanych przez Słońce. Z czasem zmieni on lustrzaną powierzchnię Słońca Chin. W miarę tworzenia się cienkiej warstwy cząstek będą się zmniejszały jego zdolności odblaskowe. Za rok od dziś będzie wyglądało, jakby pokrywała je para wodna. Potem Słońce Chin stanie się Księżycem Chin i będzie bezużyteczne – wyjaśnił Zhuang.

– Nie pomyśleliście o tym wcześniej?

– Oczywiście, że pomyśleliśmy! – Zhuang zrobił pauzę. – Teraz porozmawiajmy o tobie. Co myślisz o zmianie pracy?

– O zmianie pracy? A co innego mógłbym robić?

– Nadal byłbyś czyścicielem wysokościowym, ale pracowałbyś u nas.

Shui rozejrzał się zdezorientowany.

– Przecież wasz wieżowiec został niedawno wyczyszczony! Dlaczego mielibyście zatrudnić czyściciela okien na dużych wysokościach?

– Nie chcemy, żebyś czyścił budynki. Chcemy, żebyś czyścił Słońce Chin.

Cel życiowy nr 5:

Lecieć w kosmos, czyścić Słońce Chin

Zwołano zebranie dyrektorów Działu Obsługi Programu Słońce Chin w celu omówienia powołania zespołu czyścicieli reflektora. Zhuang przedstawił zgromadzonym Shuiego i wyjaśnił im, czym się zajmuje. Kiedy ktoś zapytał Shuiego o wykształcenie, ten szczerze odpowiedział, że skończył tylko trzy klasy szkoły podstawowej.

– Ale znam znaki i czytam bez trudu – zapewnił.

W sali konferencyjnej wybuchł śmiech.

– Dyrektorze Zhuang, to ma być żart? – krzyknął ktoś z oburzeniem.

– Ja nie żartuję – odparł Zhuang spokojnym głosem. – Gdybyśmy stworzyli zespół trzydziestu czyścicieli, to przy całodobowej pracy oczyszczenie całego Słońca Chin zajęłoby im pół roku. W rzeczywistości potrzebowalibyśmy co najmniej od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu ludzi, bo musieliby pracować na trzy zmiany. Jeśli nowa ustawa dotycząca ochrony pracy w przestrzeni kosmicznej wejdzie w życie w zakładanym terminie, to możemy potrzebować nawet więcej czyścicieli, być może od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu. Naprawdę możemy wysłać do tego

zadania stu pięćdziesięciu astronautów z doktoratami i trzema tysiącami godzin wylatanymi na naddźwiękowych myśliwcach?

– Ale na pewno możemy znaleźć kandydatów o wyższych kwalifikacjach. Dzisiaj w dużych miastach praktycznie wszyscy mają wyższe wykształcenie. Czy mamy tam posłać niepiśmiennego chłopa?

– Nie jestem niepiśmienny! – zaprotestował Shui.

Tamten go zignorował i mówił dalej, zwracając się do Zhuanga:

– To byłby śmiech z tego wspaniałego projektu!

Pozostali pokiwali głowami na znak zgody.

Zhuang też kiwnął głową.

– Spodziewałem się, że tak zareagujecie. Panie i panowie, wszyscy oprócz tego tu czyściciela macie doktoraty. No to zobaczmy, jak pójdzie wam z czyszczeniem! Proszę za mną.

Tuzin zaskoczonych uczestników zebrania wyszedł za Zhuangiem z sali konferencyjnej i poszedł do windy. W wieżowcu były zainstalowane trzy rodzaje wind: normalna, szybka i ekspresowa. Wsiedli do tej ostatniej i z oszałamiającą prędkością pomknęli na ostatnie piętro.

– Pierwszy raz jadę tą windą – zauważył ktoś. – Czuję się, jakby wystrzelono mnie w rakiecie!

– Kiedy się znajdziemy na orbicie geostacjonarnej, wszyscy poczują, jak to jest czyścić Słońce Chin – powiedział Zhuang, rzucając dziwne spojrzenia ludziom wokół niego.

Po wyjściu z windy Zhuang poprowadził całą grupę wąskimi schodami na górę. W końcu wyszli przez niskie metalowe drzwi na dach. Natychmiast znaleźli się w jaskrawym świetle słońca i podmuchach silnego wiatru. Niebieskie niebo nad ich głowami wydawało się czyściejsze niż zwykle i wszyscy dyrektorzy zaczęli się rozglądać i podziwiać panoramę

Pekinu. Czekała na nich druga, mniejsza grupa. Shui zobaczył ze zdziwieniem, że składa się z jego kolegów z pracy wraz z szefem.

– Teraz wszyscy spróbują swoich sił w zawodzie Shuiego! – oznajmił donośnym głosem Zhuang.

Ludzie pająki podeszli do nich i założyli wszystkim dyrektorom uprząż bezpieczeństwa. Potem zaprowadzili ich na skraj dachu i pomogli im ostrożnie wejść na zawieszone na linach wąskie kładki, które normalnie służyły jako stanowiska pracy dla dziesięciu lub więcej czyścicieli. Następnie opuścili kładki pięć czy sześć metrów poniżej dachu. Z miejsca, gdzie przy szklanej ścianie wieżowca zawiśli dyrektorzy, dobiegły krzyki strachu.

– Panie i panowie, kontynuujmy od punktu, w którym przerwaliśmy dyskusję! – zawołał Zhuang, wychylając się poza krawędź dachu.

– Ty sukinsynu! Wciągnij nas z powrotem, ale szybko!

– Zanim pozwolę wam wjechać na górę, każdy z was musi wyczyścić jedną szybę!

Było to zadanie niewykonalne. Ludzie, drżąc o życie, trzymali się kurczowo uprzęży albo lin, na których wisiały kładki, i nie śmieli się ruszyć. Nie byli w stanie puścić zabezpieczeń jedną ręką i wziąć do niej gumową wycieraczkę do szyb albo zdjąć pokrywę z pojemnika z detergentem. Każdy z nich miał codziennie do czynienia z wysokościami rzędu dziesiątek tysięcy kilometrów, ale tylko na papierze. Teraz, kiedy mogli na własnej skórze się przekonać, jak się czuje człowiek na wysokości kilkuset metrów, byli śmiertelnie przerażeni.

Zhuang wstał i podszedł do miejsca nad pułkownikiem sił powietrznych. On jako jedyny z tuzina wiszących przy ścianie oficjeli zachowywał spokój. Zaczął czyścić szkło wyważonymi, kontrolowanymi ruchami. Jednak Shuiego najbardziej zdumiało to, że pracował obiema rękami, nie trzymając

się niczego, co pomogłoby mu zachować stabilną pozycję. Mimo to jego kładka nie kołysała się na silnym wietrze, a tego potrafili dokonać tylko doświadczeni czyściciele. Kiedy jednak Shui rozpoznał mężczyznę, ten wyczyn nie wydawał mu się już tak dziwny, bo miał przed sobą astronautę, który ponad dziesięć lat wcześniej poleciał w kosmos na pokładzie *Shenzhou 8*.

– Pułkowniku Zhang, niech pan powie szczerze, czy to zadanie jest naprawdę łatwiejsze od spaceru po statku krążącym na orbicie Ziemi? – zapytał Zhuang.

– Pod względem potrzebnych zdolności fizycznych i umiejętności różnica jest niewielka – odparł były astronauta.

– Dobrze powiedziane. Z badań przeprowadzonych w Ośrodku Szkoleniowym Kosmonautów wynika, że z ergonomicznego punktu widzenia między czyszczeniem drapaczy chmur i czyszczeniem reflektora w przestrzeni kosmicznej jest wiele podobieństw. Oba zadania wymagają od robotników stałego utrzymywania równowagi w obliczu niebezpieczeństwa i jednoczesnego wykonywania monotonnej, ciężkiej pracy fizycznej. Oba wymagają też stałego zachowywania czujności, bo chwila nieuwagi może doprowadzić do wypadku. Dla astronauty może to oznaczać zboczenie z orbity, utratę narzędzi albo materiałów czy awarię systemu podtrzymania życia. Dla człowieka pająka może to oznaczać rozbicie szyby, upuszczenie narzędzi albo detergentu czy uszkodzenie uprzęży zabezpieczającej. Pod względem siły fizycznej, umiejętności technicznych i hartu ducha ludzie pająki mają pełne kwalifikacje, żeby pracować jako czyściciele reflektora.

Były astronauta podniósł głowę i kiwnął do Zhuanga.

– Przypomina mi to starą przypowieść o sprzedawcy oleju, który potrafił go nalać do butelki przez dziurkę w miedzianej monecie. Miał tak samo

wysokie umiejętności jak generał, który na strzelnicy zawsze trafiał w środek tarczy. Różniła ich tylko pozycja społeczna.

– Amerykę odkrył Kolumb, a Australię Cook, ale oba te kontynenty zasiedlili zwykli ludzie, pionierzy, którzy pochodzili z najniższych warstw społeczeństw europejskich – dodał Zhuang. – Podbój przestrzeni kosmicznej nie różni się od tego. W następnym planie pięcioletnim wyznaczyliśmy przestrzeń kosmiczną blisko Ziemi jako drugą granicę zachodnią. Era wielkich odkryć się skończyła i przemysł kosmiczny już nigdy nie będzie wyłączną domeną elitarnej mniejszości. Wysyłanie ludzi na orbitę jest pierwszym krokiem ku uprzemysłowieniu kosmosu!

– Już dobrze! W porządku! Dowiodłeś swojej racji! – dobiegły z dołu ochrypłe krzyki jego kolegów.

W windzie szef firmy czyszczącej elewacje wieżowców nachylił się do Zhuanga i szepnął mu do ucha:

– Dyrektorze Zhuang, to była porywająca i płomienna przemowa, ale czy trochę pan nie przesadził? No, oczywiście trudno jest rozmawiać o kluczowej sprawie przy Shuim i pozostałych chłopcach.

– Słucham? – Zhuang spojrzał na niego badawczo.

– Wszyscy wiedzą, że Słońce Chin jest przedsięwzięciem półkomercyjnym. W połowie prac brak funduszy niemal doprowadził do jego zamknięcia, a teraz prawie wyczerpaliście budżet. W komercyjnym sektorze kosmonautyki roczna pensja wykwalifikowanego astronauty wynosi ponad milion juanów. Moi chłopcy pozwolą panu oszczędzić co roku dziesiątki milionów.

Zhuang uśmiechnął się enigmatycznie.

– Myśli pan, że warto ryzykować dla takiej marnej sumy? Dzisiaj celowo, żeby ustanowić precedens, obniżyłem próg wykształcenia wymaganego od czyścicieli reflektora. Potem będę mógł zatrudniać na

stanowiskach obsługi Słońca Chin zwykłych absolwentów uniwersytetów. Dzięki temu zaoszczędzimy dużo więcej niż kilkadziesiąt milionów. Jak pan powiedział, to jedyna możliwa droga. Naprawdę nie zostały nam już żadne pieniądze.

– Kiedy byłem chłopcem, lot w przestrzeń kosmiczną był romantyczną przygodą. Dobrze pamiętam dzień, kiedy zwiedzając Johnson Space Center, Deng Xiaoping nazwał amerykańskiego astronautę bogiem. Teraz – powiedział z gorzkim uśmiechem szef firmy czyszczącej, kręcąc głową i klepiąc Zhuanga po ramieniu – nie jestem ani lepszy, ani gorszy od pana.

Zhuang odwrócił się, spojrzał na młodych czyścicieli i powiedział podniesionym głosem do ich szefa:

– Ale, szanowny panie, pensja, jaką im zaproponuję, jest osiem czy dziesięć razy wyższa od tego, co pan im płaci!

Następnego dnia Shui i jego sześćdziesięciu kolegów pojawili się w narodowym Centrum Szkolenia Kosmonautów w Shijingshan. Każdy z nich pochodził ze wsi i przyjechał do Pekinu z jakiegoś odległego zakątka wielkich Chin w poszukiwaniu pracy.

Lustrzani rolnicy

Na Kosmodromie Xichang ze skłębionych obłoków buchających z silników wyziewów wyłonił się dziób promu kosmicznego *Horyzont*. Prom z rykiem wzniósł się w czyste, błękitne niebo. W jego kabinie siedzieli przypięci pasami do foteli Shui i czternastu innych czyścicieli reflektora. Po trzymiesięcznym szkoleniu zostali wybrani spośród sześćdziesięciu kandydatów na członków pierwszej załogi obsługi reflektora.

Siła ciążenia przy starcie nie była dla Shuiego wcale tak straszna, jak opowiadano. Okazała się nawet przyjemna. Z dzieciństwa zapamiętał uczucie, że matka trzyma go mocno w objęciach. Błękit nieba za iluminatorem po prawej stronie zaczął się pogłębiać. Zza ściany dobiegł zduszony trzask piorunów – to od statku oddzieliły się rakiety nośne. Gdy zostały z tyłu, rozdzierający uszy ryk silników przeszedł w dźwięk podobny do brzęczenia komarów. Niebo zmieniło kolor na ciemnopurpurowy, a potem stało się całkowicie czarne. Pokazały się gwiazdy; nie mrugały, tylko jasno świeciły.

Brzęczenie nagle zamarło i kabinę spowiła cisza. Ustało drżenie fotela, zniknęło też wciskające w niego Shuiego ciśnienie. Weszli w strefę mikrograwitacji. Shui i pozostali ludzie pająki przygotowywali się na stan nieważkości, trenując w ogromnym basenie. Faktycznie miał wrażenie, jakby unosił się w wodzie.

Ale jeszcze nie można było bezpiecznie odpiąć pasów. Powróciło buczenie silnika i przyspieszenie ponownie wcisnęło ich w fotele. Zaczął

się długi manewr wprowadzania promu na orbitę. W małym iluminatorze pokazywały się na przemian to rozgwieżdżone niebo, to ocean. W jednej chwili kabinę zalewał niebieski blask odbijający się od Ziemi, w drugiej białe światło Słońca. Przy każdym kolejnym pojawieniu się Ziemi coraz bardziej widoczna stawała się krzywizna horyzontu i jej powierzchnia zajmowała coraz większą część pola widzenia. Ustawienie statku na orbicie geostacjonarnej zajęło sześć godzin. Naprzemienne ukazywanie się w iluminatorze nieba i Ziemi wywarło na Shuiego hipnotyczny wpływ i niespodziewanie podziałało nań usypiająco. Ze snu wyrwał go dobiegający z interkomu głos dowódcy. Poinformował ich, że zakończył się manewr wprowadzania promu na orbitę.

Towarzysze Shuiego unieśli się jeden po drugim z foteli i przycisnęli twarze do iluminatorów. Shui rozpiął pas i niezgrabnie ruszył jak pływak w stronę najbliższego iluminatora. Po raz pierwszy zobaczył na własne oczy Ziemię w całej okazałości. Jednak większość pozostałych zebrała się przed iluminatorami z drugiej strony kabiny. Odepchnął się nogami od grodzi i poleciał, by do nich dołączyć. Nie był w stanie kontrolować prędkości i wyrżnął głową w przeciwległą ścianę. Spojrzał przez iluminator i zobaczył, że *Horyzont* znalazł się wprost pod Słońcem Chin. Reflektor zajmował większą część gwiaździstego nieba. Prom był jak mały komar uwięziony pod srebrną kopułą. W miarę podchodzenia *Horyzontu* do reflektora Shui stopniowo uświadamiał sobie jego wielkość. Lustrzana powierzchnia wypełniła całe pole widzenia, a zakrzywienie stało się niedostrzegalne, jakby lecieli nad bezkresną srebrzystą równiną. Gdy odległość między nią i promem się zmniejszyła, pojawił się na niej jego cień. Shui widział na srebrzystej płaszczyźnie długie spoiny, które tworzyły siatkę podobną do równoleżników i południków na mapie. Ta sieć była dla niego jedynym punktem odniesienia pozwalającym ocenić względną

prędkość promu. Po pewnym czasie linie wyznaczające długość geograficzną przestały być równoległe. Zaczęły się do siebie zbliżać, początkowo lekko, później coraz bardziej, jakby miały się zbiec na tej wielkiej mapie na biegunie, w którego stronę zmierzał *Horyzont*. Wkrótce w polu widzenia pojawił się i sam ów biegun. Wszystkie spoiny spotykały się w małym czarnym punkcie. Kiedy prom zaczął tam schodzić, Shui zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości jest to gigantyczna wieża wznosząca się nad srebrzystą równiną. Wiedział, że ten hermetyczny cylinder jest Stacją Kontrolną Słońca Chin. Przez najbliższe trzy miesiące miała ona być ich domem w pustce przestrzeni kosmicznej.

Tak oto ludzie pająki zaczęli nowe życie – życie w kosmosie. Codziennie – jedno okrążenie Ziemi przez Słońce Chin trwało dwadzieścia cztery godziny – wyjeżdżali małymi, podobnymi do traktorów maszynami na lustrzaną powierzchnię i polerowali ją. Jeździli w tę i z powrotem po niezmiernie szerokiej czaszy reflektora, jakby orali srebrną ziemię. Z tego powodu zachodnie środki przekazu ukuły bardziej poetycką nazwę dla ludzi pająków. Teraz byli „lustrzanymi rolnikami”.

Świat, na którym żyli, był bardzo osobliwy. Pod ich stopami leżała srebrzysta równina. Chociaż krzywizna reflektora sprawiała, że równina ta wznosiła się powoli we wszystkie strony, była ona tak rozległa, że wyglądała płasko i nieruchomo jak stojąca woda. W górze widać było Ziemię i Słońce. To drugie wydawało się dużo mniejsze od Ziemi, jakby było jej promiennym satelitą. Na powierzchni planety, która zajmowała większą część nieba, rolnicy widzieli powoli poruszający się krąg światła. Wyglądał on szczególnie imponująco, gdy przesuwał się na półkulę, na której panowała noc. Był to region oświetlany przez Słońce Chin. Reflektor

mógł zwiększyć lub zmniejszyć wielkość tego kręgu, zmieniając swój kształt. Gdy srebrzysta równina zaczynała się wznosić stromo, krąg stawał się mniejszy i jaśniejszy.

Praca czyścicieli reflektora była niezwykle trudna. Wkrótce uświadomili sobie, że polerowanie jest dużo bardziej monotonnym i wyczerpującym zajęciem niż czyszczenie ścian drapaczy chmur na Ziemi. Kiedy pod koniec dnia wracali do stacji, byli często zbyt zmęczeni, żeby choć zdjąć skafandry. W miarę przybywania z Ziemi personelu na stacji robiło się coraz ciaśniej i czuli się, jakby byli załogą okrętu podwodnego. Mimo to uważali się za szczęśliwców, jeśli w ogóle mogli tam wrócić po pracy. Najdalszy punkt na reflektorze znajdował się prawie sto kilometrów od bazy. Czyściciele pracujący na obrzeżu reflektora musieli często spędzić noc na „pustyni”. Po spożyciu kolacji w płynie, który ssali z pojemników w swoich strojach, zasypiali w skafandrach, zawieszeni w przestrzeni kosmicznej.

W dodatku była to praca niewiarygodnie niebezpieczna. Nigdy wcześniej w historii lotów w kosmos nie zdarzyło się, by tylu ludzi „spacerowało” w przestrzeni kosmicznej. Na tej „pustyni” każda awaria skafandra mogła oznaczać śmierć. Trzeba też było uważać na mikrometeory, kawałki gruzu kosmicznego, i burze słoneczne. Inżynierzy zatrudnieni w stacji kontroli bardzo się uskarżali na te warunki życia i pracy, ale lustrzani rolnicy, którzy byli przyzwyczajeni do trudów i niewygód, przyjęli je bez narzekań.

Piątego dnia pobytu w kosmosie Shui odebrał telefon od rodziny. Pracował wtedy pięćdziesiąt kilometrów od stacji, a światło Słońca Chin było skierowane na jego rodzinną wioskę.

Usłyszał głos taty.

– Wah, jesteś na tym słońcu? Teraz świeci nad naszymi głowami. W nocy jest jasno jak w dzień!

– Tak, tato, jestem wprost nad tobą – odpowiedział Shui.

Potem odezwała się mama:

– Wah, gorąco tam?

– Można powiedzieć, że i gorąco, i zimno. Wszystko poza moim cieniem jest dziesięć razy gorętsze niż dziesięć lat w naszej wsi, ale to, co znajduje się w cieniu, jest zimniejsze niż dziesięć zim.

– Widzę naszego Waha – powiedziała mama do taty. – To ta mała czarna plamka na Słońcu, o, tam!

Shui wiedział, że to niemożliwe, ale powiedział, czując, jak łzy spływają mu po policzku:

– Ja też was widzę. Dwie małe czarne plamki na kontynencie azjatyckim, w miejscu, gdzie jesteście! Ciepło się jutro ubierzcie. Widzę zimny front zbliżający się z północy!

Trzy miesiące później przyleciała druga ekipa czyścicieli, by zluzować pierwszą, i Shui oraz jego koledzy dostali trzymiesięczny urlop i mogli wrócić na Ziemię. Pierwszą rzeczą, jaką każdy z nich zrobił po wylądowaniu, był zakup silnego teleskopu. Po powrocie na Słońce Chin obserwowali przez nie w wolnych chwilach leżącą w dole planetę. Najczęściej kierowali obiektywy na miejsca, skąd pochodzili, ale dostrzeżenie ich wiosek z wysokości czterdziestu tysięcy kilometrów było niemożliwe. Jeden z nich napisał na reflektorze mazakiem prosty, niezgrabny wiersz:

Z tej srebrnej ziemi patrzę na mój dom
Na skraju wsi, moja matka spogląda w górę, na Słońce Chin
Jego dysk jest obrazem oka jej syna

Pod jej spojrzeniem żółtą ziemię okrywa zieleń.

Lustrzani rolnicy świetnie się spisywali. Z czasem zaczęli wykonywać zadania, które nie należały do ich zapisanych w umowach obowiązków. Najpierw naprawiali szkody wyrządzone przez uderzenia meteorów, a później dano im bardziej wymagające zadania: nadzorowanie i wzmacnianie sekcji narażonych na uszkodzenie z powodu przeciążenia.

Krążąc po orbicie, Słońce Chin stale korygowało swoje ustawienie. Poprawki te wprowadzano za pomocą trzech tysięcy silników rozmieszczonych na tylnej stronie reflektora. Jego lustrzana powierzchnia była bardzo cienka i połączona z całą strukturą dużą liczbą smukłych wsporników. Kiedy włączano silniki, pewne jej części mogły ulec przeciążeniu. Jeśli w porę nie skorygowano ich mocy albo dany fragment powierzchni nie został wzmocniony, przeciążenie mogło rozerwać lustrzaną powłokę. Odkrywanie i wzmacnianie takich punktów wymagało zarówno dużych umiejętności technicznych, jak i doświadczenia.

Poza okresami wprowadzania korekt kursu i zmian kształtu przeciążenie najczęściej powstawało podczas „orbitalnych postrzyżyn”, czyli nacisku radiacyjnego i korekty oporu wywoływanego przez wiatr słoneczny, jak oficjalnie nazywał się ten zabieg. Wiatr słoneczny i promieniowanie słoneczne oddziaływały dość silnie na rozległą powierzchnię reflektora. Na każdy kilometr kwadratowy wywierały nacisk o sile dwóch kilogramów, spychając reflektor z orbity. Ziemskie centrum kontroli stale śledziło te zmiany i porównywało zamierzony kurs z odchyleniami. Na ekranie wyglądało to tak, jakby z wyznaczonej orbity wyrastały długie, falujące włosy, i stąd wzięła się dziwna potoczna nazwa tej operacji.

Podczas orbitalnych postrzyżyn reflektor nabierał większego przyspieszenia niż podczas wprowadzania korekt kursu i zmiany kształtu

i w tym czasie praca lustrzanych rolników miała decydujące znaczenie. Latając nad srebrzystą równiną, wypatrywali wszelkich anomalii na jej powierzchni i w razie potrzeby dokonywali niezbędnych napraw i wzmocnień. Znakomicie sobie z tym radzili, więc odpowiednio rosły ich płace. Ale najwięcej skorzystał na tym Zhuang Yu, który awansował na najwyższe stanowisko programu Słońce Chin, nie musząc zatrudniać nawet jednego absolwenta uniwersytetu.

Mimo to dla lustrzanych rolników było jasne, że są pierwszą i ostatnią grupą pracowników kosmicznego reflektora z podstawowym wykształceniem i że ci, którzy przyjdą po nich, będą musieli mieć co najmniej ukończone studia. Jednak na razie dobrze spełniali zamierzenie Zhuanga. Dowiedli, że na stanowiskach pracy stworzonych przez rozwój przemysłu kosmicznego umiejętności, doświadczenie i zdolność adaptacji do niesprzyjających warunków są ważniejsze od wiedzy i kreatywności. Że zadaniom tym podołają zwykli ludzie.

Ale przestrzeń kosmiczna zmieniła sposób myślenia lustrzanych rolników. Nikt inny nie miał przywileju oglądania codziennie Ziemi z odległości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów. Mogli ogarnąć całą planetę jednym spojrzeniem. Dla nich globalna wioska nie była już tylko metaforą, lecz rzeczywistością, którą widzieli na własne oczy.

Jako pierwsi robotnicy pracujący w przestrzeni kosmicznej byli początkowo światową sensacją, ale przemysł na orbicie bliskiej Ziemi był już w pełni rozkwitu. Realizowano megaprojekty, w tym ogromne elektrownie słoneczne, które przesyłały na planetę energię mikrofalową, zakłady przetwórcze mikrograwitacji i wiele innych inwestycji. Rozpoczęto nawet budowę orbitalnego miasta dla stu tysięcy mieszkańców. Tłumnie napływali pracownicy. Oni też byli zwykłymi ludźmi, więc świat stopniowo zapomniał o lustrzanych rolnikach.

Minęło kilka lat. Shui kupił dom w Pekinie, ożenił się i urodziło mu się dziecko. Pół roku spędzał w kosmosie, a pół w domu. Bardzo lubił swoją pracę. Długie patrole na srebrzystej równinie ponad trzydzieści tysięcy kilometrów nad Ziemią napełniały jego serce spokojem. Czuł się, jakby miał idealne życie, a przyszłość rysowała się tak jasno jak srebrzysta płaszczyzna pod jego stopami. Ale potem zdarzyło się coś, co zburzyło ten spokój i zupełnie odmieniło jego umysłową podróż. Poznał Stephena Hawkinga.

Nikt nie przypuszczał, że Hawking dożyje stu lat. Z medycznego punktu widzenia był to cud, ale świadczyło to też o jego sile woli. Kiedy zbudowano pierwsze osiedle mieszkalne na orbicie blisko Ziemi, gdzie panowała niska grawitacja, został jego pionierskim mieszkańcem. Jednak przeciążenie podczas startu o mało nie doprowadziło go do śmierci. Ponieważ w drodze powrotnej musiałby znosić działanie tej samej siły, powrót na Ziemię nie wchodził w rachubę, przynajmniej do czasu wynalezienia windy kosmicznej, kabiny antygrawitacyjnej albo innego podobnego urządzenia. Lekarze poradzili mu, żeby osiadł na stałe w przestrzeni kosmicznej, bo nieważkość dobrze służyła jego ciału.

Początkowo Hawking nie przejawiał dużego zainteresowania Słońcem Chin. Do poddania się sile *g* wytwarzanej podczas podróży z niskiej orbity okołoziemskiej na orbitę geostacjonarną skłoniło go tylko badanie anizotropii w promieniowaniu tła (chociaż oczywiście siła ta była mniejsza niż podczas wystrzelenia rakiety z Ziemi). Stację obserwacyjną założono na tylnej stronie Słońca Chin, ponieważ reflektor blokował wszystkie zakłócenia powodowane przez Słońce i Ziemię. Jednak gdy po zakończeniu badań stację rozebrano, a zespół badaczy wrócił na Ziemię, Hawking nie

chciał z nimi lecieć. Powiedział, że podoba mu się tam i chce jeszcze trochę zostać. Coś zwróciło jego uwagę na Słońce Chin. Prasa przez cały dzień snuła spekulacje na ten temat, ale całą prawdę znał tylko Shui.

W życiu na Słońcu Chin Hawkingowi najbardziej podobały się codzienne wycieczki na powierzchnię reflektora. Ku konsternacji wielu osób każdego dnia przez całe godziny po prostu dryfował po spodzie reflektora. Shuiemu, który był wtedy najbardziej doświadczonym kosmicznym łazikiem, polecono, by dotrzymywał profesorowi towarzystwa podczas tych wypraw. W tamtym czasie sława Hawkinga dorównywała sławie Einsteina – słyszał o nim nawet Shui. Mimo to był zaszokowany, kiedy po raz pierwszy spotkał się z nim w centrum kontroli. Nigdy nie wyobrażał sobie, że ktoś z tak poważną niepełnosprawnością może tak wiele osiągnąć, co bynajmniej nie znaczy, że rozumiał cokolwiek z dokonań wielkiego uczonego. Jednak podczas wycieczek Hawking nie przejawiał najmniejszych oznak paraliżu. Doświadczenie w kierowaniu elektrycznym fotelem na kółkach pozwalało mu operować mikrosilnikami w skafandrze kosmicznym tak dobrze, jakby był w pełni sprawną osobą.

Porozumiewanie się z Shuim sprawiało Hawkingowi trudności. Miał wprawdzie implant, który pozwalał mu posługiwać się syntetyzatorem mowy za pomocą fal mózgowych, dzięki czemu mówienie nie było już dla niego taką katorgą jak w ubiegłym wieku, ale jego słowa musiały przepływać przez urządzenie, które tłumaczyło je w czasie rzeczywistym na chiński. Przełożeni pouczyli Shuiego, by nigdy nie inicjował rozmowy z profesorem, bo mogłoby go to rozpraszać. Jednak Hawking bardzo chętnie z nim rozmawiał.

Najpierw poprosił, by Shui opowiedział mu o sobie, a potem zaczął snuć wspomnienia ze swoich wczesnych lat. Opowiedział Shuiemu o dzieciństwie spędzonym w wielkim, zimnym domu w St Albans, gdzie

zimą w chłodnym, wysokim salonie rozbrzmiewała muzyka Wagnera. Opowiedział o wozie cygańskim, który jego rodzice postawili na polu w Osmington Mills, o tym, jak pojechał nim z siostrą nad morze. Mówił, jak stanął z ojcem na Ivinghoe Beacon na wzgórzach Chiltern. Shui podziwiał pamięć stulatka, ale był zdumiony, że posługują się tym samym słownictwem. Profesorowi podobał się opis życia Shuiego w wiejskiej chacie. Unosząc się nad brzegiem reflektora, poprosił, by Shui pokazał mu, gdzie znajduje się jego wioska.

Po pewnym czasie ich rozmowy nieuchronnie zeszły na temat nauki. Shui obawiał się, że to będzie koniec ich pogawędek, ale tak się nie stało. Profesora relaksowały dyskusje o fizyce i kosmologii prowadzone w języku, który był zrozumiały nawet dla zwykłych ludzi. Opowiedział Shuiemu o Wielkim Wybuchu, czarnych dziurach i grawitacji kwantowej. Po powrocie do stacji Shui zaczął się zmagać z cienką książką napisaną przez Hawkinga w ubiegłym wieku, prosząc o wyjaśnienia inżynierów i naukowców ze stacji, ilekroć natrafił na coś, czego nie rozumiał. Przyswoił sobie z niej więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Pewnego dnia wybrali się na obrzeże reflektora.

– Wiesz, dlaczego lubię to miejsce? – zapytał profesor, obracając się twarzą w stronę wyglądającego zza krawędzi reflektora rąbka błękitnej planety. – To ogromne lustro oddziela nas od Ziemi. Pozwala mi zapomnieć o świecie i całkowicie skupić się na kosmosie.

– Świat w dole jest skomplikowany – zgodził się Shui – a wszechświat, widziany z tak daleka, wydaje się prosty: nic, tylko gwiazdy rozproszone w przestrzeni kosmicznej.

– Tak, mój chłopcze, w istocie tak jest.

Tylna strona reflektora, podobnie jak przednia, była lustrem. Jedyna różnica polegała na tym, że pstrzyły ją przypominające czarne wieżyczki

silniki, które dostosowywały ustawienie i kształt reflektora do aktualnych potrzeb. Podczas codziennych spacerów Shui i Hawking posuwali się niespiesznie, unosząc się tuż nad powierzchnią. Często zapuszczali się aż na brzeg tarczy. Gdy nie było widać Księżyca, tylna strona reflektora pogrążona była w całkowitej ciemności, a na jej powierzchni odbijało się usiane gwiazdami niebo. Horyzont był tutaj bliżej niż na stronie przedniej i wyraźnie zakrzywiony. Pod ich stopami przesuwały się utworzone przez szwy linie równoleżników i południków i mieli wrażenie, jakby poruszali się po powierzchni małej, spokojnej planety. Kiedy zmieniano ustawienie albo kształt reflektora, zapalały się silniki. W świetle buchających z nich płomieni ta malutka planeta wydawała się jeszcze piękniejsza i bardziej tajemnicza. A w górze zawsze lśniła Droga Mleczna, jasna i niewzruszona.

To tu Shui zetknął się po raz pierwszy z największymi tajemnicami kosmosu. Dowiedział się, że rozgwieżdżone niebo, które wypełnia jego pole widzenia, jest tylko drobiną pyłu w niewyobrażalnym ogromie wszechświata i że całe to dzieło stworzenia jest tylko szczątkami po wybuchu sprzed dziesięciu miliardów lat.

Przed laty, kiedy jako człowiek pająk stawiał pierwsze kroki na dachu drapacza chmur, widział cały Pekin. Po przybyciu na Słońce Chin zobaczył całą Ziemię. Teraz przeżywał trzeci wspaniały moment w swoim życiu. Stojąc na dachu kosmosu, widział rzeczy przekraczające jego najbardziej fantastyczne marzenia. Chociaż miał tylko powierzchowną wiedzę o tych odległych światach, nieodparcie go pociągały.

Kiedyś Shui powiedział jednemu z inżynierów ze stacji o dręczących go pytaniach.

– W latach sześćdziesiątych ludzie wylądowali na Księżycu. I co dalej? Nie postawiliśmy dotąd stopy na Marsie. Nie latamy już nawet na Księżyc.

– Ludzie są istotami praktycznymi – odpowiedział inżynier. – To, co robiono w połowie ubiegłego wieku pod wpływem idealizmu i wiary, na dłuższą metę się nie opłacało.

– A co jest złego w idealizmie i wierze?

– Oczywiście idealizm i wiara nie są same w sobie złe, ale lepsze są korzyści ekonomiczne. Gdyby w latach sześćdziesiątych ludzkość nie szczędziła wydatków na rozwijanie technologii lotów kosmicznych i poniosła ogromne straty, być może Ziemia byłaby wciąż pogrążona w ubóstwie. Zwykli ludzie, tacy jak ty i ja, nigdy nie znaleźliby się w przestrzeni kosmicznej, nawet na niskiej orbicie okołoziemskiej. Stary, nie daj się zatruć temu Hawkingowi. Normalni ludzie nie powinni igrać z tym co on.

Ta rozmowa odmieniła Shuiego. Pozornie wydawał się spokojny, ale w głębi duszy rozmyślał o nowych horyzontach.

Minęło dwadzieścia lat. Shui i jego towarzysze dobrze widzieli z wysokości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów zmiany, które w tym czasie dokonywały się na Ziemi. Patrzyli, jak Zielony Mur Chiński staje się wstęgą opasującą północne Chiny i powoli zmienia żółć pustyni w zieleń. W ich rodzinnych wioskach miało już nigdy nie zabraknąć deszczu ani śniegu. Suchymi korytami rzek na skrajach osad znowu popłynęła czysta woda.

To wszystko stało się dzięki Słońcu Chin. Odegrało ono ważną rolę w wielkiej kampanii zmieniania klimatu w północno-zachodnich Chinach. I nie tylko w niej, bo wykonało też kilka ponadplanowych zadań: raz stopiło śnieg na Kilimandżaro, by ulżyć nękanej suszą Afryce, innym razem

zamieniło miasto, które było gospodarzem igrzysk olimpijskich, w takie, które naprawdę nigdy nie zasypiało.

Ale z nadejściem nowych technologii stosowane na Słońcu Chin metody manipulowania pogodą zaczęły się wydawać toporne i uznano, że powodują zbyt dużo skutków ubocznych. Słońce Chin spełniło swoje zadanie.

Ministerstwo Przemysłu Kosmicznego urządziło wielką ceremonię odznaczenia pierwszej grupy pracowników orbitalnych. Tych sześćdziesięciu mężczyzn uhonorowano nie tylko za dwadzieścia lat wyjątkowo trudnej pracy, ale również – co ważniejsze – za wyjątkowe osiągnięcie, jakim było wejście w przestrzeń kosmiczną z zaledwie podstawowym albo co najwyżej średnim wykształceniem. W ten sposób otworzyli praktycznie wszystkim drzwi do kosmosu. Ekonomiści jednogłośnie twierdzili, że był to prawdziwy początek industrializacji przestrzeni kosmicznej.

Ceremonia ta przyciągnęła uwagę prasy. Oprócz wymienionych wyżej powodów historia lustrzanych rolników obrosła legendą. Była to doskonała okazja do pogrążenia się w nostalgii za wiekiem, kiedy szybko coś osiągano i równie szybko o tym zapominano.

Ci prości i szczerzy ludzie, którzy rozpoczynali pracę jako chłopcy, byli już w wieku średnim, ale wydawało się, że niezbyt się zmienili. Widzowie mogli ich wciąż rozpoznać w holograficznych telewizorach. Z upływem lat większość tych mężczyzn uzyskała jakieś wykształcenie wyższe, a kilku zdobyło nawet tytuł inżyniera kosmicznego. Jednak we własnych oczach i w oczach publiczności pozostali tą samą grupą robotników migrujących ze wsi.

W imieniu ich wszystkich mowę wygłosił Shui.

– Po ukończeniu systemu przenośników elektromagnetycznych koszt wzniesienia się na orbitę okołoziemską jest o połowę niższy od kosztu przelotu przez Ocean Spokojny – zaczął. – Podróż w kosmos stała się zwykłą, nudną sprawą. Nowym pokoleniom trudno sobie wyobrazić, co znaczyła ona dwadzieścia lat temu dla zwykłego człowieka, jak bardzo go ekscytowała, jak na myśl o niej w jego żyłach zaczynała szybciej krążyć krew. My byliśmy szczęśliwcami, którzy dostąpili tego zaszczytu.

Byliśmy prostymi ludźmi i niewiele można o nas powiedzieć. Niezwykłe przeżycie zawdzięczamy tylko i wyłącznie Słońcu Chin. Na dwadzieścia lat stało się ono dla nas drugim domem. W naszych sercach jest miniaturą Ziemi. Najpierw traktowaliśmy szwy na jego lustrzanej powierzchni jak odpowiedniki równoleżników i południków na półkuli północnej. Określając swoją pozycję, podawaliśmy współrzędne w stopniach na północ i na wschód albo zachód. Później, w miarę oswajania się z reflektorem, stopniowo usuwaliśmy odniesienia do kontynentów i oceanów. Mówiliśmy, że jesteśmy w Pekinie czy w Moskwie. Rodzinna wieś każdego z nas miała na powierzchni reflektora odpowiadające jej położenie i te miejsca czyściliśmy najstaranniej. – Shui na chwilę zatopił się w myślach. – Ciężko pracowaliśmy na tej małej, srebrnej Ziemi i wykonywaliśmy nasze obowiązki. Pięciu z nas oddało życie za Słońce Chin. Niektórzy nie zdążyli się schować przed burzami magnetycznymi, inni zostali trafieni przez meteory albo gruz kosmiczny. Srebrny świat, na którym żyliśmy, niedługo zniknie. Trudno nam wyrazić słowami, co czujemy. – Umilkł.

Wątek podjął Zhuang, który został ministrem przemysłu kosmicznego.

– Doskonale rozumiem, jak musicie się czuć, ale mogę wam z przyjemnością oznajmić, że Słońce Chin nie zniknie! Myślę, że wszyscy wiecie, iż nie można dopuścić do tego, by tak ogromny obiekt spłonął

w atmosferze, co było powszechną praktyką w ubiegłym wieku. Jest inny, bardziej elegancki sposób znalezienia dla Słońca Chin miejsca wiecznego spoczynku. Jeśli po prostu zaprzestaniemy orbitalnych postrzyżyn i wprowadzimy odpowiednie poprawki do jego ustawienia, wiatr słoneczny i ciśnienie promieniowania nadadzą mu takie przyspieszenie, że w końcu osiągnie drugą prędkość kosmiczną. Opuści orbitę okołoziemską i stanie się satelitą Słońca. Być może w przyszłości odkryją je statki międzyplanetarne. Wtedy moglibyśmy przekształcić je w muzeum, powrócić na tę srebrzystą równinę i wspominać te niezapomniane lata.

Twarz Shuiego zapłonęła nagle z podniecenia.

– Panie ministrze, naprawdę myśli pan, że nadejdzie ten dzień? – zapytał donośnym głosem. – Naprawdę sądzi pan, że powstaną statki międzyplanetarne?

Zhuang gapił się na niego, jakby zabrakło mu słów.

– W połowie ubiegłego wieku – kontynuował Shui – kiedy Armstrong zostawił na Księżycu pierwszy odcisk stopy, prawie wszyscy byli przekonani, że za dziesięć czy dwadzieścia lat ludzie wylądują na Marsie. Minęło kilkadziesiąt lat. Nikt nie powrócił na Księżyc, nie mówiąc już o locie na Marsa. Przyczyna jest prosta: to sprawa skazana na niepowodzenie. Po zakończeniu zimnej wojny naszym życiem codziennym zaczęła niepodzielnie rządzić ekonomia i pod jej rządami ludzkość zrobiła wielki krok. Wyeliminowaliśmy wojny i nędzę, odtworzyliśmy środowisko naturalne. Dzisiaj Ziemia staje się prawdziwym rajem. Wzmocniło to naszą wiarę w słuszność zasad ekonomii. Stały się one najważniejsze, można powiedzieć, że przeniknęły nawet do naszego DNA. Ludzkość stała się bez wątpienia społeczeństwem myślącym w kategoriach ekonomii. Nie podejmiemy żadnego przedsięwzięcia, które nie przyniesie więcej, niż trzeba w nie zainwestować. Eksploatacja Księżyca nie ma sensu

ekonomicznego, badanie planet przez statki załogowe jest przestępstwem gospodarczym, a loty międzygwiezdne czystym szaleństwem! Ludzkość interesują teraz tylko wkład, wynik i konsumpcja.

Zhuang kiwnął głową.

– W obecnym stuleciu podbój przestrzeni kosmicznej ograniczał się do bliskich okolic Ziemi. To fakt – powiedział. – Dzieje się tak z wielu powodów, ale dyskusja o tym wykracza poza ramy dzisiejszej rozmowy.

– Nie, przeciwnie, mieści się w nich! Mamy szansę. Jeśli wydamy na to trochę pieniędzy, możemy opuścić przestrzeń okołoziemską i wybrać się w wielką podróż w kosmos. Promieniowanie słoneczne może nie tylko zepchnąć Słońce Chin z orbity okołoziemskiej, ale popchnąć je w bardziej odległe miejsca.

– A, myślisz o wykorzystaniu Słońca Chin jako żagla słonecznego? Teoretycznie mogłoby się to udać. Reflektor jest cienki i lekki i ma dużą powierzchnię. Po długim okresie napędzania przez wiatr słoneczny mógłby się stać najszybszym statkiem kosmicznym, jaki kiedykolwiek wystrzelili ludzie. Ale to czysta teoria. W rzeczywistości statek wyposażony tylko w żagiel nie może odlecieć daleko. Potrzebna jest załoga. Bezzałogowy żaglowiec kręciłby się w kółko po oceanie… Przypominam sobie, że szczególnie barwny opis takiego statku jest w *Wyspie skarbów* Stevensona. Powrót z długiej podróży z wykorzystaniem ciśnienia promieniowania wymaga precyzyjnego, skomplikowanego sterowania ustawieniem reflektora. Tymczasem Słońce Chin zbudowano z myślą o tym, że będzie krążyło po orbicie wokół Ziemi. Bez ludzi, którzy bym nim kierowali, będzie leciało na oślep przez przestrzeń kosmiczną i nie zawędruje daleko.

– Tak, ale będzie miało załogę. Ja zostanę jego pilotem – odparł spokojnie Shui.

W tym momencie system pomiaru oglądalności pokazał szybki przyrost widzów oglądających kanał, na którym transmitowano ceremonię. Skupiły się na nich oczy całego świata.

– Ale sam nie dasz rady. Do obsługi urządzeń zmian kursu Słońca Chin trzeba co najmniej…

– Dwunastu ludzi – przerwał mu Shui. – Biorąc pod uwagę inne czynniki podróży międzygwiezdnej, co najmniej piętnaście do dwudziestu osób. Wierzę, że znajdziemy tylu ochotników.

Zhuang roześmiał się bezradnie.

– Nie spodziewałem się, że ta rozmowa przybierze taki obrót.

– Ministrze Zhuang, w ciągu dwudziestu lat niejeden raz zmienił pan bieg mojego życia.

– Ale nigdy, przenigdy nie wyobrażałem sobie, że zapuścisz się tak daleko, dalej niż ja. – Zhuang głęboko westchnął. – Hmm, to bardzo interesujące. Kontynuujmy rozmowę! Ale – zmarszczył brwi – obawiam się, że twój pomysł jest niewykonalny. Najrozsądniejszym celem takiej wyprawy byłby Mars, ale nie wziąłeś pod uwagę, że Słońce Chin nie może wylądować. Jeśli zechcesz wylądować, pochłonie to mnóstwo pieniędzy i ten plan przestanie się finansowo opłacać. A jeśli nie chcesz wylądować, to równie dobrze można by wysłać sondę bezzałogową. Jaki byłby cel takiego przedsięwzięcia?

– Słońce Chin nie skieruje się na Marsa.

Zhuang spojrzał na niego ze zdumieniem.

– No to gdzie? Na Jowisza?

– Też nie. Jeszcze dalej.

– Dalej? Na Neptuna? Plutona? – Zhuang raptownie przerwał. Przez długą chwilę patrzył na Shuiego z niedowierzaniem. – Boże, chyba nie chcesz powiedzieć…

Shui stanowczo kiwnął głową.

– Tak, Słońce Chin poleci za Układ Słoneczny i stanie się pierwszym statkiem międzygwiezdnym!

Telewidzowie na całym świecie gapili się w ekrany swoich odbiorników z otwartymi ustami i takim samym niedowierzaniem jak Zhuang.

Tamten patrzył wprost przed siebie i mechanicznie kiwał głową.

– Jeśli nie żartujesz, zróbmy szybki rachunek… – powiedział, na wpół przymknął powieki i zaczął liczyć w pamięci. – Już mam. Dzięki ciśnieniu promieniowania Słońce Chin przyspieszyłoby do jednej dziesiątej prędkości światła. Biorąc pod uwagę czas potrzebny do takiego przyspieszenia, za czterdzieści pięć lat dotarłoby do Alfy Centauri. Potem, wykorzystując ciśnienie promieniowania, zaczęłoby hamować. Po zbadaniu układu Alfa Centauri polecielibyście w przeciwną stronę i po kolejnych kilkudziesięciu latach wrócilibyście do Układu Słonecznego. Wydaje się, że to wspaniały plan, ale w rzeczywistości jest to marzenie, które nie może się spełnić.

– Znowu się pan myli – odparł Shui. – Po dotarciu do Proximy Centauri nie zaczniemy hamować. Przelecimy obok niej z prędkością trzydziestu tysięcy kilometrów na sekundę, wykorzystamy ciśnienie jej promieniowania do uzyskania jeszcze większego przyspieszenia i skierujemy się w stronę Syriusza. Jeśli będzie to możliwe, będziemy nadal skakali przez przestrzeń kosmiczną, do trzeciej, potem czwartej gwiazdy…

– Co tu jest, do diabła, grane? – krzyknął Zhuang, straciwszy cierpliwość.

– Prosimy Ziemię tylko o jedno: o mały, ale niezawodny ekologiczny system podtrzymywania życia…

– I ten system wystarczyłby do podtrzymania życia dwudziestu osób przez sto lat?

– Proszę pozwolić mi skończyć – rzekł Shui. – I kriogeniczny system hibernacji. Większą część podróży spędzimy w stanie uśpienia, a system podtrzymania życia włączymy dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się w pobliżu Alfy Centauri. Przy obecnym poziomie rozwoju technologii powinno to nam wystarczyć na tysiąc lat. Oczywiście zamontowanie tych dwóch systemów nie będzie tanie, ale będzie wymagało tylko jednej tysięcznej kapitału potrzebnego do zbudowania od zera załogowej sondy międzygwiezdnej.

– Świat nie pozwoli dwudziestu ludziom popełnić samobójstwa, nawet gdyby nie chcieli ani grosza.

– To nie samobójstwo, lecz wyprawa badawcza – zaripostował Shui. – Może nie uda się nam wylecieć nawet poza pas asteroid, ale może dotrzemy do Syriusza, a nawet dalej. Jeśli nie spróbujemy, to skąd będziemy wiedzieli?

– Ale jest coś, co różni tę ekspedycję od wyprawy badawczej – rzekł Zhuang. – Brak możliwości powrotu.

Shui kiwnął głową.

– Tak, nie wrócimy. Niektórym ludziom wystarczają do zadowolenia żona, dzieci i ciepłe łóżko i nawet nie zerkną w stronę świata, która ich nie obchodzi. Ale inni poświęcą całe życie na próby ujrzenia czegoś, czego ludzkość jeszcze nie widziała. Należałem i do jednych, i do drugich i mam prawo wybrać takie życie, jakie chcę – zakończył. – Obejmuje ono lata spędzone na lustrze i podróż przez przestrzeń kosmiczną odległą o dziesięć lat świetlnych.

– Ostatnie pytanie – powiedział Zhuang. – W ciągu tego tysiąca lat, kiedy będziecie pędzić obok gwiazd z prędkością tysięcy kilometrów na sekundę, miną dekady albo nawet stulecia, zanim ludzkość odbierze wysyłane przez was słabe sygnały radiowe. Czy to jest warte takiego poświęcenia?

– Kiedy Słońce Chin wyleci poza Układ Słoneczny, ludzie oderwą wzrok od wszystkich swoich codziennych spraw i znowu skierują go na rozgwieżdżone niebo – oznajmił Shui z uśmiechem całemu światu. – Przypomnimy sobie marzenia o podróżach kosmicznych i znowu rozbudzi się w nas pragnienie wypraw do odległych gwiazd.

Cel życiowy nr 6:

Lecieć ku gwiazdom, ponownie skierować wzrok ludzkości ku głębi kosmosu

Zhuang stał na dachu Wieżowca Kosmonautyki i patrzył na powoli sunące po niebie Słońce Chin. Jego światło padało na stołeczne wysokościowce, które rzucały szybko przesuwające się cienie, jakby Pekin był zwróconą ku górze twarzą osoby śledzącej Słońce Chin.

Było to ostatnie okrążenie reflektora wokół Ziemi. Osiągnął już prędkość ucieczki i miał wkrótce wylecieć poza pole grawitacyjne planety i wejść na orbitę wokół Słońca. Na pokładzie pierwszego załogowego statku międzygwiezdnego w historii ludzkości znajdowało się dwadzieścia osób. Poza Shuim zostali wybrani spośród ponad miliona ochotników. Trzech z nich było lustrzanymi rolnikami, którzy przez wiele lat pracowali z Shuim. Słońce Chin osiągnęło swój cel, zanim jeszcze rozpoczęło podróż. Odrodził się entuzjazm ludzi dla badania przestrzeni kosmicznej poza Układem Słonecznym.

Zhuang powrócił myślami do owego dusznego lata w północno-zachodnim mieście sprzed dwudziestu trzech lat, kiedy wsiadł z chłopakiem

pochodzącym z nękanej suszą wioski do nocnego pociągu do Pekinu.

Przed odlotem Słońce Chin omiotło strumieniem światła wszystkie duże miasta po kolei, dając ludziom możliwość spojrzenia po raz ostatni na jego blask. Na koniec krąg światła skierował się na północno-zachodnie Chiny. W jego środku leżała wioska, w której urodził się Shui.

Przy drodze na skraju stali z sąsiadami jego rodzice i patrzyli, jak Słońce Chin odlatuje na wschód.

– Wah, lecisz gdzieś daleko? – krzyknął do telefonu jego ojciec.

– Tak, tato – odpowiedział z przestrzeni kosmicznej Shui. – Obawiam się, że nie przyjadę do domu.

– To bardzo daleko? – zapytała matka.

– Bardzo – odparł Shui.

– Dalej niż Księżyc? – zapytał ojciec.

Shui przez chwilę milczał, po czym powiedział dużo cichszym głosem:

– Tak, tato, trochę dalej.

Jego rodzice nie za bardzo się tym przejęli. Ich syn miał dokonać wielkich rzeczy za Księżycem! Poza tym czasy były niezwykłe. Mogli z nim rozmawiać o dowolnej porze z najodleglejszego miejsca na Ziemi, a nawet oglądać go w swoim małym telewizorze. Nie różniło się to od rozmowy twarzą w twarz. Nie przyszło im do głowy, że będą musieli czekać coraz dłużej, że odpowiedzi Shuiego na ich pytania będą przychodziły coraz później. Najpierw z zaledwie kilkusekundowym opóźnieniem, ale potem pauzy będą się przedłużały. Za rok trzeba będzie czekać całymi godzinami.

W końcu ich syn zniknie. Powiedzą im, że zasnął i obudzi się za czterdzieści lat.

Potem będą nadal uprawiać swój kawałek niegdyś jałowej, a teraz żyznej ziemi i spędzą resztę niegdyś znojnego, a teraz dającego im zadowolenie

życia w spokoju. Ich ostatnim życzeniem będzie, by któregoś dnia w odległej przyszłości syn powrócił i zobaczył rodzinną wioskę jeszcze piękniejszą.

Po opuszczeniu orbity okołoziemskiej Słońce Chin stawało się coraz ciemniejsze na wschodnim niebie, a gdy zanurzyło się w ciemność nocy, jego niebieskie halo zmniejszyło się do gwiezdnego punkcika. Nastał świt, a jego światło całkowicie wchłonął blask porannego słońca.

Padał on też na drogę biegnącą ze wsi. Po obu jej stronach rosły topole, a w niewielkiej odległości płynęła równolegle do niej mała rzeka. Owego dnia przed dwudziestoma czterema laty, w pierwszych godzinach ranka, tą drogą szedł syn rolników z północnego zachodu i powoli niknął w oddali, mając nieokreślone nadzieje.

W Pekinie była teraz pełnia dnia, ale Zhuang nadal stał na dachu Wieżowca Kosmonautyki ze wzrokiem utkwionym w punkt, gdzie zniknęło Słońce Chin. Ruszyło w podróż bez powrotu. Najpierw przeleci obok orbity Wenus i zbliży się do Słońca tak bardzo, jak to będzie możliwe, by wzmóc ciśnienie promieniowania i maksymalnie wydłużyć drogę, na której mogło nabierać przyspieszenia. Wykona przy tym szereg skomplikowanych manewrów, bardzo podobnych do tych, dzięki którym statki oceaniczne epoki wielkich odkryć dokonywały zwrotów i łapały wiatr w żagle. Siedemdziesiąt dni potem przejdzie przez orbitę Marsa. Po stu sześćdziesięciu dniach minie Jowisza. Po dwóch latach przeleci koło Plutona i stanie się statkiem międzygwiezdnym, a jego załoga podda się hibernacji. Po czterdziestu latach przeleci obok Alfy Centauri, a jego załoga na krótko się obudzi. Sto lat po rozpoczęciu podróży Ziemia otrzyma informacje zebrane podczas eksploracji Alfy Centauri. Słońce Chin będzie już wtedy wznosiło się ku Syriuszowi. Dzięki zwiększeniu szybkości pod wpływem trzech słońc Alfy Centauri osiągnie już piętnaście procent

prędkości światła. Za kolejnych sześćdziesiąt lat, sto sześćdziesiąt lat po wyruszeniu z orbity okołoziemskiej, dotrze do Syriusza. Gdy minie podwójny układ gwiezdny, który tworzą Syriusz A i Syriusz B, jego prędkość wzrośnie do dwudziestu procent prędkości światła i statek zanurzy się jeszcze głębiej w nocne niebo. Biorąc pod uwagę żywotność znajdującego się na jego pokładzie kriogenicznego systemu hibernacji, Słońce Chin może dotrzeć do ϵ Eridani albo – chociaż prawdopodobieństwo, że tak się stanie, było bardzo małe – nawet do 79 Ceti. Sądzono, że wokół obu tych gwiazd krążą planety.

Nikt nie wiedział, jak daleko poleci Słońce Chin ani jakie dziwne światy ujrzą Shui i jego towarzysze. Być może któregoś dnia wyślą na Ziemię wiadomość, ale minie tysiąc lat, zanim otrzymają odpowiedź.

Bez względu na to, co się stanie, Shui zawsze będzie pamiętał leżący na ojczystej planecie kraj o nazwie Chiny. Zawsze będzie pamiętał małą wioskę na suchym północnym zachodzie tego kraju. Zawsze będzie pamiętał drogę, która prowadziła z tej wsi w świat, drogę, na której rozpoczęła się jego podróż.

DLA DOBRA LUDZKOŚCI

Interes to interes, nic ponadto. Gładkolufy trzymał się tej zasady, ale ten klient wprawił go w zdumienie.

Przede wszystkim całkowicie niewłaściwie przystąpił do złożenia zamówienia. Chciał rozmawiać z nim osobiście, co w tej branży było czymś niespotykanym. Gładkolufy pamiętał radę, którą przed trzydziestu laty wielokrotnie powtarzał mu jego nauczyciel: ich kontakty z klientami powinny być takie jak czoła z potylicą – nigdy nie powinni się spotkać. Oczywiście leżało to w interesie obu stron.

Jeszcze bardziej zdziwiło go miejsce, które klient wybrał na spotkanie. Wykwintna Sala Prezydencka w najbardziej luksusowym, pięciogwiazdkowym hotelu w mieście była zupełnie nieodpowiednim dla zawarcia tego rodzaju transakcji, kurewsko rzucającym się w oczy lokalem. Z tego, co powiedziała druga strona, wynikało, że kontrakt miał dotyczyć przetworzenia trzech jednostek. Żaden kłopot – Gładkolufy nie miał nic przeciwko pracy dodatkowej.

Portier otworzył i przytrzymał złocone drzwi Sali Prezydenckiej. Przed wejściem do niej Gładkolufy wsunął niepostrzeżenie dłoń za kurtkę i cicho rozpiął zatrzaski kabury pod lewą pachą. Prawdę mówiąc, nie było to konieczne – w takim miejscu jak to nikt nie próbowałby wyciągnąć niczego niespodziewanego.

Sala tonęła w olśniewającej zieleni i złocie; był to inny świat niż na zewnątrz. Słońce tego świata stanowił ogromny kryształowy żyrandol rzucający światło na niekończącą się równinę czerwonego dywanu. Na

pierwszy rzut oka sala wydawała się pusta, ale Gładkolufy szybko wypatrzył jej użytkowników zgromadzonych przy dwóch francuskich oknach w rogu i patrzących przez uchylone kotary na niebo za nimi. Przesunął po nich wzrokiem i naliczył trzynaście osób. Spodziewał się klienta, nie klientów. Jego nauczyciel mówił też, że klienci są jak kochanki – można mieć więcej niż jednego, ale nigdy nie powinno się dopuścić, żeby się poznali.

Gładkolufy doskonale wiedział, na co patrzą – na statek kosmiczny Starszych Braci. Statek przesunął się nad półkulę południową i był dobrze widoczny na niebie. Odkąd Stwórcy opuścili Ziemię, minęły trzy lata. Ich wizyta radykalnie zwiększyła zdolność ludzkości do pogodzenia się z faktem, że istnieją obce cywilizacje. Poza tym składająca się z dwudziestu tysięcy jednostek flota Stwórców przesłaniała całe niebo, natomiast Starsi Bracia przybyli na Ziemię tylko jednym statkiem. Nie miał takiego dziwacznego kształtu jak statki Stwórców. Cylindryczny, o zaokrąglonych końcach, wyglądał jak międzygalaktyczna tabletka na przeziębienie.

Zobaczywszy wchodzącego Gładkolufego, trzynaścioro klientów odeszło od okien i wróciło do dużego okrągłego stołu pośrodku sali. Gdy Gładkolufy rozpoznał ich twarze, sala wydała mu się nagle obskurna. Najbardziej rzucał się w oczy Zhu Hanyang z Grupy SinoSys, której system operacyjny „Orient-3000” zastępował na całym świecie przestarzały Windows OS. Pozostali należeli do pierwszej pięćdziesiątki największych światowych krezusów. Ich roczne zarobki były prawdopodobnie równe PKB kraju o średnich dochodach.

Ci ludzie w niczym nie przypominali Brata Zębatego. Brat Zębaty zdobył fortunę z dnia na dzień, a ci byli dziedzicami dynastycznych fortun, mającymi nienaganne maniery wytworami pokoleń bogaczy. Stanowili arystokrację tej epoki, przywykłą do bogactwa i władzy. Czymś takim jak

delikatny brylant na szczupłym palcu Zhu Hanyanga, ledwie widoczny, jeśli nie liczyć pojawiającego się od czasu do czasu błysku odbijającego się w nim światła, ale wart dziesięć razy więcej niż lśniące złote błyskotki, którymi ozdobione były grube paluchy Brata Zębatego.

Ale teraz tych trzynaścioro finansowych książąt zebrało się, by wynająć płatnego zawodowego zabójcę i zlecić mu zgładzenie trzech osób, a zgodnie z kontraktem była to dopiero zaliczka.

Gładkolufy nie zwracał uwagi na brylant. Jego wzrok skupił się na trzech zdjęciach w ręku Zhu, najwyraźniej jednostek, które trzeba było przetworzyć. Zhu pochylił się nad stołem i położył je przed nim.

Patrząc na nie, Gładkolufy znowu poczuł, że wzbiera w nim lekka frustracja. Jego nauczyciel mówił, że w ich branży mądrze jest poznać jednostki, które mogą w przyszłości stać się przedmiotem przetworzenia. I Gładkolufy tak właśnie robił, przynajmniej w tym mieście. Ale zupełnie nie potrafił rozpoznać trzech twarzy, które miał przed sobą. Zdjęcia zrobiono obiektywem długoogniskowym, a widoczne na nich rozczochrane i brudne postacie wydawały się należeć do innego gatunku niż siedzące naprzeciw niego dystyngowane osoby. Po dokładniejszym przyjrzeniu się trzem twarzom zorientował się, że jedna z nich należy do kobiety. Była jeszcze młoda i miała schludniejszy wygląd niż pozostała dwójka. Jej włosy, chociaż brudne, były porządnie uczesane. Niezwykłe było jej spojrzenie. Gładkolufy zwracał baczną uwagę na ludzkie miny; w jego branży wszyscy tak robili. Zwykle widział jeden z dwóch wyrazów twarzy: niepokój albo otępienie. Ale w jej oczach był rzadko spotykany spokój. Gładkolufemu lekko drgnęło serce, ale uczucie to przeminęło równie szybko, jak się pojawiło, niczym mgiełka rozwiana przez wiatr.

– To jest zadanie, które powierza ci Rada do Spraw Upłynnienia Majątku Społecznego. Jesteśmy stałą komisją tej rady, a ja jej przewodniczącym –

powiedział Zhu.

Rada do Spraw Upłynnienia Majątku Społecznego? Dziwna nazwa. Nie mówiła Gładkolufemu nic poza tym, że odnosiła się do organizacji składającej się z najbogatszych ludzi na świecie. Bez dalszych szczegółów odkrycie jej prawdziwego celu było praktycznie niemożliwe.

– Na odwrocie zdjęć są zapisane miejsca, w których te osoby przebywają. Nie mają stałych adresów, więc są to tylko informacje przybliżone. Będziesz musiał je odszukać, ale nie powinno to być trudne. Pieniądze zostały już przelane na twoje konto. Proszę sprawdzić, czy przelew dotarł – poinstruował go Zhu.

Podniósłszy głowę, Gładkolufy spojrzał na jego twarz i stwierdził tylko tyle, że jest ona szlachetna. Jego oczy były bez wyrazu. Ku swemu lekkiemu zdziwieniu Gładkolufy nie dostrzegł w nich ani śladu pragnienia.

Wyjął telefon komórkowy i sprawdził swoje konto. Policzył długi ciąg zer i rzekł chłodno:

– Po pierwsze, to za dużo. Cena jest taka, jak pierwotnie podałem. Po drugie, połowa z góry, druga połowa po wykonaniu zlecenia.

– Dobrze – prychnął Zhu z dezaprobatą.

Gładkolufy nacisnął kilka klawiszy.

– Nadpłata została zwrócona. Proszę sprawdzić. My też mamy standardy zawodowe.

– Faktycznie. W dzisiejszych czasach w twojej branży nie ma zbyt wielu zamówień. Ale doceniamy twój profesjonalizm i poczucie honoru – powiedziała Xu Xueping z czarującym uśmiechem. Była dyrektorem wykonawczym Far Source Group, największej azjatyckiej firmy zajmującej się rozwojem przemysłu energetycznego powstałej po pełnym uwolnieniu tego rynku.

– To pierwsze zlecenie, więc proszę, żebyś je porządnie wykonał – powiedział baron naftowy Xue Tong.

– Szybkie czy opóźnione schłodzenie? – zapytał Gładkolufy i szybko dodał: – Mogę wyjaśnić, jeśli to konieczne.

– Wiemy, o co chodzi, ale to bez znaczenia. Zrób, jak uznasz za stosowne – odparł Zhu.

– Sposób potwierdzenia? Nagranie wideo czy dowód materialny?

– Nie ma takiej potrzeby. Po prostu wykonaj zadanie. Mamy własne sposoby sprawdzenia, czy wywiązałeś się z umowy.

– To wszystko?

– Tak, możesz odejść.

Wychodząc z hotelu, Gładkolufy widział statek Starszych Braci powoli przesuwający się po wąskich paskach nieba między wieżowcami. Wydawał się większy niż przedtem i zwiększyła się jego prędkość. Najwyraźniej zszedł na niższą orbitę. Na jego gładkich bokach rozkwitały powoli się zmieniające, opalizujące wzory, które wywierały hipnotyzujący wpływ na osoby przyglądające się im zbyt długo. W rzeczywistości powierzchnia statku była idealnym lustrem, a wzory widziane przez obserwatorów z dołu były tylko zniekształconymi odbiciami Ziemi. Gładkolufy wyobraził sobie, że statek jest piękną rzeczą z najczystszego srebra. Wolał srebro od złota. Było spokojne, zimne.

Trzy lata temu, przed odlotem, Stwórcy powiedzieli ludziom, że stworzyli sześć Ziem; cztery z tych, które pozostały, znajdowały się w odległości dwustu lat świetlnych od siebie. Stwórcy nakłaniali mieszkańców Ziemi, by włożyli cały wysiłek w rozwój technologii –

musieliśmy zlikwidować siostrzane planety, żebyśmy sami nie zostali zniszczeni.

Ale ostrzeżenie przyszło za późno.

Niedługo po odlocie Stwórców w Układzie Słonecznym pojawili się wysłannicy jednej z tych trzech planet, Pierwszej Ziemi, i ustawili swój statek na okołoziemskiej orbicie. Cywilizacja, która rozwinęła się na Pierwszej Ziemi, była dwa razy starsza od ludzkości, więc Ziemianie zaczęli nazywać przybyszów Starszymi Braćmi.

Gładkolufy wyjął komórkę i jeszcze raz sprawdził swoje konto. „Bracie Zębaty, jestem teraz tak samo bogaty jak ty, ale czuję, że czegoś mi brakuje – rzekł w myślach. – A ty zawsze sądziłeś, że masz już wszystko, i cokolwiek robiłeś, było tylko rozpaczliwą próbą utrzymania stanu posiadania”. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć ciemnej chmury spowijającej jego umysł. To, że pomyślał w tej chwili o Bracie Zębatym, było złym omenem.

Brat Zębaty wziął swój przydomek od piły, z którą nigdy się nie rozstawał. Była cienka i giętka i miała zęby ostre jak brzytwa. Jej rękojeść była zrobiona z koralu i ozdobiona pięknymi wzorami ukiyo-e. Nosił ją owiniętą wokół pasa, a w wolnych chwilach rozwijał i grał na niej smyczkiem jak na skrzypcach. Opierał piłę jednym końcem na ziemi i wyginając ją oraz przeciągając smyczkiem po odcinkach o różnej szerokości, wydobywał z niej melancholijne melodie, które unosiły się w powietrzu jak żałosne zawodzenie duchów. Oczywiście Gładkolufy słyszał o innych jej zastosowaniach, ale tylko raz widział, jak Brat Zębaty jej użył. Było to w starym magazynie podczas gry w kości o wysokie stawki. Drugi w hierarchii po Bracie Zębatym, mężczyzna o przezwisku Pół Cegły,

zalicytował wysoko i przegrał wszystko, nawet dom swoich rodziców. Z oczami nabiegłymi krwią zaproponował grę o swoje ręce.

Brat Zębaty zagrzechotał kośćmi w kubku, uśmiechnął się do Pół Cegły i powiedział, że nie może przyjąć tego zakładu. Przecież mieli przed sobą długą przyszłość, a jak bez rąk będzie mógł grać w kości?

– Ale postaw nogi – rzekł.

A więc Pół Cegły postawił obie nogi i gdy znowu przegrał, Brat Zębaty rozwinął piłę i odciął mu je pod kolanami.

Gładkolufy dobrze pamiętał dźwięk piły przecinającej ścięgna i kości. Brat Zębaty przycisnął stopą gardło Pół Cegły, żeby stłumić jego straszne wrzaski, i w ciemnym, ogromnym magazynie rozlegał się tylko zgrzyt piły na kościach. Gdy jej ostrze śpiewało wesoło, przesuwając się po rzepkach Pół Cegły, wydawało bogate dźwięki. Rozrzucone w kałuży jasnoczerwonej krwi fragmenty śnieżnobiałych kości tworzyły piękną, nawet uwodzicielską kompozycję.

To niesamowite piękno wstrząsnęło Gładkolufym do głębi. Każda komórka jego ciała była zauroczona pieśnią wygrywaną przez piłę na mięśniach. To było kurewsko żywe! Miał akurat osiemnaste urodziny i był to najlepszy z możliwych rytuał przejścia.

Kiedy Brat Zębaty skończył, otarł piłę z krwi i ponownie owinął ją wokół pasa. Pół Cegły i jego nogi już wyniesiono. Brat Zębaty wskazał na ciągnące się do wyjścia ślady krwi i rzekł:

– Powiedz mu, że od tej pory będę go utrzymywał.

Mimo młodego wieku Gładkolufy był zaufanym członkiem świty Brata Zębatego. Ponieważ od dzieciństwa towarzyszył temu człowiekowi w drodze do potęgi, przywykł do rozlewu krwi. Gdy Brat Zębaty dorobił się fortuny w rynsztokach społeczeństwa i skierował swoje imperium finansowe na cieszące się większym poważaniem tory, jego najbardziej

lojalni ludzie zyskali przydomki Prezesa Zarządu, Wiceprezesa i inne podobne tytuły. Tylko Gładkolufy pozostał jego gorylem.

Ci, którzy znali Brata Zębatego, wiedzieli, że świadczy to o nie lada zaufaniu. Był niezwykle ostrożnym człowiekiem, być może wskutek tego, co przydarzyło się jego ojcu chrzestnemu. Tamten też był niesłychanie ostrożny; jak mówił Brat Zębaty, gdyby miał taką możliwość, zakułby się w żelazo. Po wielu latach, podczas których nie stało mu się nic złego, wsiadł do samolotu i zajął przydzielone mu miejsce, z ochroniarzami po obu stronach. Kiedy samolot wylądował w Zhuhai, stewardesa zauważyła, że trzech mężczyzn nadal siedzi w fotelach, jakby byli zatopieni w myślach. Po bliższym przyjrzeniu się zobaczyła, że ich krew wyciekła już dziesięć rzędów dalej. Każdemu z ochroniarzy wbito w serce przez oparcie fotela trzy długie, bardzo cienkie stalowe igły. Natomiast ojca chrzestnego Brata Zębatego przeszyto – jak motyla nadzianego na szpilkę i starannie umieszczonego w pudełku – czternastoma igłami. Ich liczba była na pewno jakimś komunikatem. Być może odnosiła się do zdefraudowanych czternastu milionów juanów albo czternastu lat, przez które jego zabójca czekał na okazję do zemsty… Droga Brata Zębatego na szczyt była tak samo wyboista i kręta jak droga jego ojca chrzestnego. Teraz poruszanie się w społeczeństwie było dla niego jak przedzieranie się przez las ukrytych ostrzy albo przez bagno pełne topielisk. Naprawdę oddawał swe życie w ręce Gładkolufego.

Ale nowej pozycji Gładkolufego zagroziło przybycie Pana K. Pan K. był Rosjaninem. W tamtym czasie wśród tych, którzy mogli sobie na to pozwolić, panowała moda na zatrudnianie jako ochroniarzy byłych oficerów KGB. Mieć taką osobę w swoim otoczeniu było takim samym powodem do dumy, jak mieć za kochankę gwiazdę filmową. Ludziom z kręgu Brata Zębatego wymówienie nazwiska Rosjanina sprawiało

trudność, więc nazywali przybysza po prostu Panem KGB. Po pewnym czasie zdecydowali się na Pana K. W rzeczywistości Pan K. nie miał żadnego związku z KGB. Większość byłych oficerów stanowili siedzący za biurkami urzędnicy i nawet ci, którzy znajdowali się na pierwszej linii tajnej walki, nie byli wyszkoleni w sztuce ochrony osobistej. Pan K. pracował w Centralnym Biurze Bezpieczeństwa Związku Sowieckiego jako osobisty ochroniarz ówczesnego ministra spraw zagranicznych Andrieja Gromyki, zwanego na Zachodzie „Panem Niet”. Był ekspertem najwyższej klasy, w każdym calu specjalistą w swym fachu, dzięki czemu jego pracodawcy jeszcze oddychali. Brat Zębaty zatrudnił go za pensję równą uposażeniu wiceprezesa nie z pragnienia ostentacji, ale z prawdziwej troski o swoje bezpieczeństwo.

Od chwili przybycia Pana K. było jasne, że zupełnie się różni od pozostałych ochroniarzy. Podczas kolacji inni siedzieli przy stole, jedli i pili więcej niż ich bogaci szefowie i bez skrępowania przerywali ich rozmowy o interesach. Jeśli pojawiło się prawdziwe zagrożenie, albo rzucali się do ataku z wprawą ulicznych bandziorów, albo zostawiali swojego chlebodawcę i uciekali gdzie pieprz rośnie. Natomiast Pan K. stał cicho podczas bankietów albo negocjacji za Bratem Zębatym, a jego potężna postać była jak niewzruszony mur, gotowy w każdej chwili zlikwidować potencjalne zagrożenie. Chociaż nigdy nie miał okazji ochronić swojego klienta w krytycznej sytuacji, jego profesjonalizm i oddanie nie pozostawiały cienia wątpliwości, że w razie potrzeby spełni sprawnie swój obowiązek. Gładkolufy był większym zawodowcem niż inni ochroniarze i nie miał ich oczywistych wad, ale pozostawał w pełni świadomy, że jest mu bardzo daleko do Pana K. Minęło na przykład dużo czasu, nim się zorientował, że Pan K. zawsze nosi okulary słoneczne nie po to, by dobrze wyglądać, ale by ukryć swoje spojrzenie.

Chociaż Pan K. szybko nauczył się chińskiego, trzymał się z dala od ludzi z wąskiego kręgu zaufanych swego chlebodawcy. Starannie utrzymywał ten dystans, aż pewnego dnia zaprosił Gładkolufego do swojego urządzonego po spartańsku pokoju. Po dwóch kieliszkach wódki powiedział sztywną chińszczyzną:

– Chcę nauczyć cię mówić.

– Mówić?

– W obcym języku.

I tak Gładkolufy zaczął się uczyć od Pana K. obcego języka. Dopiero po kilku dniach zorientował się, że nie jest to rosyjski, lecz angielski. Szybko się uczył i kiedy już mogli się porozumiewać zarówno po chińsku, jak i po angielsku, Pan K. powiedział:

– Nie jesteś taki jak reszta.

– Wiem – odparł Gładkolufy, kiwając głową.

– Przez trzydzieści lat uprawiania tego zawodu nauczyłem się odróżniać ludzi z potencjałem od reszty. Masz rzadki talent. Rzuciło mi się to w oczy od razu, kiedy cię zobaczyłem. Łatwo jest zrobić coś z zimną krwią, ale trudno jest zachowywać ją cały czas. Możesz zostać jednym z najlepszych w tej branży, jeśli nie zmarnujesz swojego talentu.

– Co mam robić?

– Przede wszystkim jedź na studia za granicę.

Brat Zębaty chętnie przyjął sugestię Pana K. i obiecał w pełni pokryć wydatki Gładkolufego. Od chwili przyjazdu Pana K. miał nadzieję, że pozbędzie się Gładkolufego, ale w firmie nie było żadnych innych wolnych miejsc.

Tak oto pewnej zimowej nocy ten osierocony w dzieciństwie i wychowany na marginesie społeczeństwa chłopiec wsiadł do samolotu pasażerskiego, który leciał do odległego i obcego kraju.

Gładkolufy jechał przez miasto rozklekotaną santaną, żeby sprawdzić miejsca zapisane na odwrocie zdjęć. Najpierw zatrzymał się na placu Kwiatów. Odnalezienie mężczyzny z fotografii nie zajęło mu dużo czasu. Kiedy przyjechał, tamten szperał w kuble ze śmieciami i po paru minutach zaciągnął pękatą torbę z odpadkami na pobliską ławkę. Jego poszukiwania okazały się owocne – znalazł dużą i prawie nienaruszoną tackę z kiełbasą wieprzową na wynos, kilka całkiem świeżych kromek chleba i pół butelki coli. Gładkolufy spodziewał się, że zje to rękami, więc patrzył ze zdumieniem, jak włóczęga wyjmuje z kieszeni brudnego palta, które miał na sobie mimo letniego upału, aluminiową łyżkę. Powoli dokończył kolację, a resztki wrzucił z powrotem do kubła na śmieci. Rozejrzawszy się po placu, Gładkolufy zobaczył, że z każdej strony zaczynają się zapalać światła miasta. Znał ten teren, ale coś się nie zgadzało. Nagle dotarło do niego, dlaczego ten człowiek mógł spokojnie zjeść swój posiłek. Plac był miejscem, gdzie zbierali się bezdomni, ale w tej chwili nie widział tam nikogo oprócz swego celu. Gdzie się podziali? Wszyscy zostali przetworzeni?

Pojechał pod adres podany na drugiej fotografii. Pod wiaduktem na obrzeżu miasta stała sklecona z tektury falistej buda, z której sączyło się słabe, żółte światło. Ostrożnie nieco uchylił jej rozpadające się drzwi. Gdy wsadził do środka głowę, znalazł się nagle w fantastycznie kolorowym świecie. Na ścianach wisiały różnej wielkości obrazy olejne. Wzrok Gładkolufego podążył za smużką dymu do wędrownego artysty, który leżał pod połamanymi sztalugami jak niedźwiedź w gawrze. Miał długie włosy i poplamiony farbami tak obszerny T-shirt, że wyglądał jak suknia. Palił taniego papierosa z miłorzębu. Błądził spojrzeniem po swoich dziełach,

a jego oczy były przepełnione zdziwieniem i smutkiem, jakby widział je po raz pierwszy. Gładkolufy domyślił się, że większość czasu spędza na podziwianiu swoich prac. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku powszechnie spotykało się takich artystów, ale teraz było ich niewielu.

– W porządku, wchodź – powiedział malarz, nie odrywając oczu od obrazów. Ton jego głosu bardziej pasował do cesarskiego pałacu niż do nędznej budy. Gdy tylko Gładkolufy wszedł do środka, zapytał: – Podobają ci się moje obrazy?

Gładkolufy rozejrzał się i zobaczył, że większość dzieł tworzyły chaotycznie rozrzucone kolorowe plamy; w porównaniu z nimi farba chluśnięta wprost na płótno wydawałaby się uporządkowaną kompozycją. Ale było tam też kilka obrazów realistycznych i wzrok Gładkolufego szybko przyciągnął jeden z nich, na którym dominowała popękana żółta ziemia. Z rozpadlin sterczało kilka martwych roślin, które wyglądały, jakby uschły wieki temu, jakby na tym świecie nigdy nie było wody. Na pomarszczonej ziemi leżała czaszka. Chociaż była kredowobiała i pokryta siatką pęknięć, z jej ust i jednego oczodołu wyrastały żywe rośliny. Te zielone i bujne roślinki stanowiły ostry kontrast z otaczającą je suszą i śmiercią, a czubek jednej z nich wieńczył delikatny kwiatek. W drugim oczodole było ludzkie oko. Przezroczysta źrenica patrzyła w niebo, a w jej spojrzeniu były takie same zdziwienie i smutek jak w spojrzeniu tego, kto ją namalował.

– Ten mi się podoba – powiedział Gładkolufy, wskazując obraz.

– Nazywa się *Ziemia jałowa 2*. Kupisz go?

– Za ile?

– A ile masz?

Gładkolufy wyjął z kieszeni portfel, a z niego wszystkie stujuanowe banknoty, które w nim były. Wręczył je artyście, ale ten wziął jedynie dwa.

– Tylko tyle jest wart. Teraz jest twój.

Gładkolufy uruchomił samochód i podniósł trzecie zdjęcie, by zobaczyć ostatni adres. Chwilę później wyłączył silnik, bo cel jazdy znajdował się przy wiadukcie. Było to miejskie wysypisko śmieci. Wyjął lornetkę i patrzył przez przednią szybę, szukając wśród osób grzebiących w odpadkach swego obiektu.

Z resztek wyrzucanych przez metropolię żyło trzysta tysięcy śmieciarzy, którzy tworzyli osobną, podzieloną na kasty klasę. Ci, którzy w tej hierarchii stali najwyżej, mogli wchodzić do eleganckich dzielnic willowych. Z kunsztownie rzeźbionych pojemników na śmieci można tam było codziennie wyłowić użyte zaledwie raz koszule, skarpety i pościel, które na tych osiedlach uważano za artykuły jednorazowe. Do kubłów wędrowały tam przeróżne rzeczy: luksusowe, lekko zadrapane skórzane buty i paski, wypalone do połowy cygara hawańskie, drogie, ledwie nadgryzione czekolady… Ale by móc zbierać te „śmieci”, trzeba było dawać strzegącym rezydencji ochroniarzom sowite łapówki, na które było stać niewielu, i ci nieliczni byli arystokracją wśród śmieciarzy.

Członkowie „klasy średniej” gromadzili się wokół wielu miejskich punktów zbioru odpadków, stacji przejściowych przed ich wywozem na wysypisko. Tam szybko łapali najcenniejsze z nich: zepsute urządzenia elektroniczne, złom, wyroby papierowe w idealnym stanie, wyrzucony sprzęt medyczny i leki, którym skończył się termin ważności. Jednak punkty te nie były otwarte dla wszystkich. Każdy był domeną lokalnego szefa. Śmieciarz, który tam wszedł bez jego pozwolenia, był surowo karany; sprawców drobnych wykroczeń ciężko bito i wyrzucano, natomiast ten, kto dopuścił się poważnego naruszenia, mógł stracić życie.

W odpadkach, które przechodziły przez te stacje przejściowe w drodze na wysypiska na obrzeżach miasta, pozostawało niewiele rzeczy mających

jakąś wartość, ale to one zapewniały byt największej liczbie bezdomnych. Była to najniższa warstwa śmieciarzy i właśnie ich miał teraz przed sobą Gładkolufy. Dla tych ludzi z dolnych szczebli hierarchii śmieciarzy pozostawał tylko bezwartościowy, połamany plastik i pocięty papier. Można też było znaleźć zepsute resztki jedzenia, które po oczyszczeniu z brudu sprzedawano okolicznym chłopom po pięć juanów za kilogram na karmę dla świń. W oddali świeciła jak wspaniały klejnot metropolia, rzucając drgającą łunę na cuchnącą górę śmieci. Śmieciarze korzystali z luksusów miasta, przebierając wyrzucane przez nie odpadki. Wśród gnijącej żywności można było często znaleźć pieczone prosię, z którego zjedzono tylko nogi, prawie nietknięte ryby, całe kurczaki… Ostatnio dzięki popularności, jaką cieszyła się nowa potrawa o nazwie biały jadeitowy kurczak, często trafiały się całe kury jedwabiste. Danie to przygotowywano, rozcinając brzuch kury i nadziewając ją tofu, po czym pieczono. Plastry tofu były prawdziwym delikatesem, natomiast samą kurę, mimo że była smaczna, traktowano jak opakowanie. Każdy, kto zjadł jej mięso, podobnie jak liście trzciny, którymi były owinięte kluski ryżowe, stawał się pośmiewiskiem bardziej wybrednych epikurejczyków…

Na wysypisko wjechała ostatnia w tym dniu śmieciarka. Gdy wysypała ładunek, na spotkanie lawiny odpadków natychmiast podskoczyła grupa śmieciarzy i szybko w niej zniknęła. Ludzie ci wyglądali, jakby wkroczyli w nową fazę ewolucji – nie przeszkadzały im smród sterty śmieci, zarazki ani toksyczny brud. Oczywiście było to złudzenie, podtrzymywane przez tych, którzy widzieli, jak ci ludzie żyją, a nie jak umierają. Wysypisko było usiane ich zwłokami, podobnie jak martwymi owadami i szczurami. Odchodzili tutaj w ciszy i wkrótce przysypywała ich nowa warstwa śmieci.

W mdłym świetle lamp stojących wokół wysypiska śmieciarze wyglądali jak pokryte kurzem, niewyraźne cienie, ale Gładkolufy szybko wyłowił

spośród nich swój cel. Szybkość, z jaką to zrobił, wynikała po części z tego, że miał dobry wzrok, ale była też inna przyczyna: podobnie jak na placu Kwiatów, gdzie przebywało niewielu włóczęgów, na wysypisku było tego dnia dużo mniej śmieciarzy. „Co się dzieje?” – zadał sobie pytanie Gładkolufy, obserwując cel przez lornetkę. Na pierwszy rzut oka ta kobieta nie różniła się od innych śmieciarzy. Miała sznur przewiązany wokół pasa, duży pleciony worek i grabie. Może tylko była trochę chudsza od reszty. Nie mogąc się przecisnąć przez tłum śmieciarzy, kręciła się po jego obrzeżu i rozgarniała najgorsze śmieci.

Gładkolufy odjął lornetkę od oczu i przez chwilę myślał, kręcąc głową. Działo się coś naprawdę dziwnego: bezdomny mężczyzna, wędrowny, przymierający głodem artysta i dziewczyna, która żyła ze śmieci, wszyscy oni stanowili jakieś zagrożenie dla najbogatszych na świecie i najpotężniejszych plutokratów. I było ono tak duże, że poczuli się zmuszeni wynająć zawodowego zabójcę w celu rozwiązania tego problemu.

Na tylnym siedzeniu leżała *Ziemia jałowa 2*. Spojrzenie jedynego oka czaszki wbijało się w Gładkolufego jak cierń.

Na wysypisku rozległy się spanikowane krzyki i Gładkolufy zobaczył, że świat wokół samochodu skąpany jest w niebieskim świetle. Ten blask padał ze wschodu, gdzie nad horyzontem szybko wznosiło się niebieskie słońce. Był to statek Starszych Braci, który przesuwał się nad południową półkulą. Normalnie nie emitował on światła, a odbijające się w jego kadłubie słońce sprawiało, że świecił jak mały księżyc. Ale od czasu do czasu spowijał nagle Ziemię niebieską łuną, budząc w ludziach bezbrzeżne przerażenie. Tym razem jego światło było jaśniejsze niż kiedykolwiek przedtem, może dlatego, że znajdował się na niższej orbicie niż zwykle. Nad miastem wznosił się niebieski księżyc, a oświetlane przezeń drapacze chmur rzucały

cienie, które jak ręce giganta sięgały aż do wysypiska śmieci. W miarę nabierania przez statek wysokości cienie te szybko się kurczyły.

Blask statku Starszych Braci oświetlił też grzebiącą w śmieciach dziewczynę. Gładkolufy ponownie podniósł lornetkę do oczu i jego wcześniejsze obserwacje się potwierdziły. Rzeczywiście była jego celem. Klęczała z workiem na brzuchu, w jej zwróconych w górę oczach widać było lekką obawę, ale poza tym promieniała takim samym spokojem jak na zdjęciu. Gładkolufemu znowu drgnęło serce, ale minęło to tak samo szybko jak poprzednio. Wiedział, że ta emocja płynęła z głębi jego duszy, i żałował, że znowu się ulotniła.

Statek przesunął się po niebie i zniknął za zachodnim horyzontem, pozostawiając niesamowitą niebieską poświatę. Nad wysypiskiem z powrotem zapadła ciemność i znowu rozbłysły światła miasta. Gładkolufy wrócił myślami do dręczącej go zagadki. Dlaczego trzynaścioro najbogatszych ludzi na Ziemi pragnęło śmierci trojga najbiedniejszych? Było to tak absurdalne, że nie przychodziło mu do głowy żadne wyjaśnienie. Ale pohamował myśli o tym, zanim odpłynęły za daleko. Nagle uświadomił sobie, że pogwałcił kardynalną zasadę swojej profesji, i pod wpływem wyrzutów sumienia walnął dłońmi w kierownicę. W głowie brzmiały mu słowa jego nauczyciela: pistoletu nie obchodzi, w kogo jest wycelowany.

Do dzisiejszego dnia nie wiedział, w jakim kraju studiował, a co dopiero w jakim miejscu znajdowała się akademia. Wiedział tylko tyle, że najpierw wylądował w Moskwie. Czekało tam na niego kilku ludzi, którzy mówili po angielsku bez śladu rosyjskiego akcentu. Kazali mu włożyć nieprzezroczyste ciemne okulary i przebrany za ślepca przebył resztę drogi

w ciemności. Po kolejnych trzech godzinach lotu przybył do akademii i nie był pewien, czy nadal znajduje się w Rosji. Akademia położona była w głębi gór i otoczona wysokim murem. Słuchacze do czasu ukończenia studiów nie mogli pod żadnym pozorem opuszczać jej terenu. Gdy Gładkolufemu pozwolono zdjąć okulary, zobaczył, że budynki uczelni wzniesiono w dwóch różnych stylach – jedne były szare i pozbawione jakichkolwiek cech wyróżniających, drugie miały szczególne kształty. Później odkrył, że te ostatnie postawiono z wielkich bloków budulcowych, których ułożenie można było zmieniać tak, by przedstawiały przeróżne formy konstrukcji obronnych. Cała uczelnia była w zasadzie jedną wielką strzelnicą.

Na ceremonii ślubowania po raz pierwszy i jedyny zebrali się wszyscy studenci, ogółem było ich nieco ponad czterystu. Srebrnowłosy rektor, który miał maniery klasycznego uczonego, wygłosił następującą mowę:

„Studenci, przez cztery lata będziecie zdobywali wiedzę teoretyczną i praktyczne umiejętności potrzebne w naszej pracy, której nazwy nigdy nie wypowiemy głośno. Jest to jeden z najstarszych zawodów, a przy tym taki, który ma świetlaną przyszłość. W małej skali nasza praca, i *tylko* nasza praca, może rozwiązać problemy zdesperowanych klientów, natomiast w dużej skali może zmienić bieg historii.

W przeszłości różne rządy oferowały nam wielkie sumy za szkolenie partyzantów. Odmawialiśmy im, bo szkolimy tylko niezależnych profesjonalistów. Tak, niezależnych od wszystkich i wszystkiego oprócz pieniędzy. Od dzisiaj każdy z was musi myśleć o sobie jako o pistolecie. Waszym obowiązkiem jest pełnienie funkcji pistoletu i ukazywanie w tym procesie jego piękna. Pistoletu nie obchodzi, w kogo jest wycelowany. Osoba A podnosi pistolet i mierzy do osoby B, osoba B wyrywa pistolet osobie A i strzela do niej, a pistolet nie widzi między nimi żadnej różnicy

i wykonuje oba zadania z taką samą sprawnością. To najbardziej podstawowa zasada naszej profesji”.

Podczas ceremonii Gładkolufy nauczył się też kilku terminów używanych powszechnie w jego nowym zawodzie: najbardziej istotna część ich pracy nazywała się „przetwarzaniem”, cele były „jednostkami” albo „robotą”, a śmierć „schładzaniem”.

Akademia podzielona była na dyscypliny D, Ś i K, czyli długi, średni i krótki dystans. Najbardziej tajemniczym i najdroższym kierunkiem studiów była dyscyplina D. Nieliczni studenci, którzy wybrali ten kierunek, trzymali się razem i rzadko mieszali ze słuchaczami kierunków Ś i K. Podobnie nauczyciele Gładkolufego radzili i jemu, i jego kolegom z grupy, by trzymali się od nich z daleka: „To arystokracja tego zawodu, ponieważ mają największe szanse zmienić bieg historii”.

Wiedza przekazywana studentom D była rozległa i głęboka, a karabiny snajperskie, których używali, kosztowały setki tysięcy dolarów za sztukę i po pełnym złożeniu miały prawie dwa metry długości. Specjaliści z tej dziedziny przetwarzali jednostki z odległości średnio tysiąca metrów, a mówiono, że niektórzy trafiają w cel oddalony o trzy kilometry. Przetworzenie z odległości tysiąca pięciuset metrów było skomplikowaną operacją, a na czynności przygotowawcze składało się umieszczenie na strzelnicy w ustalonych odstępach szeregu dzwoneczków wietrznych. Pomysłowo skonstruowane malutkie anemometry przekazywały bezprzewodowo do gogli noszonych przez strzelców dane o prędkości i kierunku wiatru na całej trasie strzału.

Specjaliści z zakresu Ś przetwarzali robotę w odległości od dziesięciu do trzystu metrów. Była to najbardziej tradycyjna dyscyplina i mogła się pochwalić największą liczbą studentów, którzy na ogół używali standardowych karabinów. Chociaż absolwenci rzadko narzekali na brak

zleceń, uważano, że jest to praca dla osób bez polotu i nie ma mistycznej otoczki.

Gładkolufy został przydzielony do dyscypliny K i uczył się przetwarzać jednostki z odległości poniżej dziesięciu metrów. Nie było tu ścisłych wymogów co do broni i specjaliści z tej dziedziny na ogół używali pistoletów, a nawet noży i innych narzędzi wykorzystywanych w bójkach. Była to najbardziej niebezpieczna ze wszystkich trzech dyscyplin, ale także najbardziej romantyczna.

Rektor był w niej mistrzem i osobiście prowadził zajęcia w grupie K. Ale ku zdziwieniu wszystkich pierwszym przedmiotem była literatura.

– Musicie zrozumieć wartość dyscypliny K – powiedział poważnie, patrząc na skonsternowanych słuchaczy. – W dyscyplinach D i Ś przetwarzający nigdy nie staje oko w oko z jednostką, która zostanie przetworzona i schłodzona, zanim zda sobie sprawę z tego, co ją czeka. Jest to być może błogosławieństwem dla tej jednostki, ale niekoniecznie dla klienta. Niektórzy klienci chcą, by cel wiedział, kto i dlaczego zlecił jego przetworzenie, i poinformowanie go o tym spada na nas. W takiej chwili nie jesteśmy sobą, ale wcieleniem klienta. Musimy poważnie i dokładnie przekazać jednostce ostatnią wiadomość od niego, by w ten sposób maksymalnie zwiększyć jej wstrząs psychiczny i cierpienie przed schłodzeniem. Na tym polega romantyzm i piękno dyscypliny K – na wyrazie przerażenia i rozpaczy w oczach jednostki. W naszej pracy nie ma większej przyjemności, ale w tym celu musimy zwiększać naszą elokwencję i pogłębiać znajomość literatury.

Tak więc Gładkolufy przez rok studiował literaturę. Przeczytał eposy Homera, nauczył się na pamięć wielu fragmentów dzieł Szekspira i poznał innych klasycznych i współczesnych autorów. Uważał, że był to najbardziej satysfakcjonujący okres jego zagranicznej edukacji. Orientował się mniej

więcej w przedmiotach, których nauczano potem, i nawet gdyby nie opanował ich w mistrzowskim stopniu w akademii, mógł się w nich dokształcić gdzie indziej. Ale jeśli chodziło o literaturę, była to dla niego jedyna szansa na jej poznanie. Dzięki niej odkrył ponownie człowieczeństwo i zastanawiał się nad zawiłościami ludzkiej natury. Przedtem zabicie kogoś było dla niego czymś takim jak rozbicie prymitywnego dzbanka wypełnionego czerwoną cieczą, teraz stwierdził ze zdumieniem, że rozbijał wspaniałe jadeitowe naczynia, co tylko zwiększało dreszczyk emocji.

Następnym przedmiotem była anatomia człowieka. Inną dużą przewagą dyscypliny K nad pozostałymi była możliwość kontrolowania czasu potrzebnego do schłodzenia jednostki. Odnosiły się do tego terminy techniczne „szybkie schłodzenie” i „schłodzenie opóźnione”. Wielu klientów zamawiało to drugie i życzyło sobie nagrania całego procesu, cennej pamiątki, którą stale mogli się cieszyć. Oczywiście wymagało to precyzyjnych umiejętności i dużego doświadczenia, więc wiedza o ludzkiej anatomii była niezbędna.

Potem rozpoczęły się właściwe zajęcia.

Śmieciarze na wysypisku powoli się rozpraszali, aż pozostali tam tylko jego cel i kilku innych. Wtedy Gładkolufy postanowił, że przetworzy tę jednostkę jeszcze przed końcem nocy. Przystąpienie do działania na etapie wstępnej obserwacji było sprzeczne z przyjętą praktyką, ale zdarzały się wyjątki, jeśli pojawiała się dogodna okazja do przetworzenia.

Wyjechał spod wiaduktu i ruszył wyboistą drogą biegnącą obok wysypiska. Zauważył, że musieli nią przechodzić wszyscy śmieciarze opuszczający wysypisko. W ciemnościach widać było tylko cienie traw

chwiejących się na wieczornym wietrze. Było to doskonałe miejsce na przetworzenie, więc zdecydował się poczekać tam na jednostkę.

Wyjął broń i położył ją delikatnie na desce rozdzielczej. Był to brzydki rewolwer kalibru 7,6 mm, z komorami na naboje Black Star. Z powodu kształtu Gładkolufy nazywał go pieszczotliwie Perkatkiem. Kupił tę niewykrywalną broń domowej roboty za trzy tysiące juanów na czarnym rynku w Xishuangbanna. Chociaż miała toporny wygląd, była porządnie wykonana, każdą jej część precyzyjnie obrobiono. Jej największą wadą było to, że wytwórca nie zadbał o gwintowanie, lufa była wewnątrz gładka. Nie znaczy to, że Gladkolufy nie mógł sobie sprawić lepszej, markowej broni. Na początku jego ochroniarskiej kariery Brat Zębaty wyposażył go w trzydziestodwukulowy pistolet maszynowy uzi, a potem dał mu w prezencie na urodziny typ 77. Ale Gładkolufy włożył oba na dno bagażnika i nigdy ich nie używał. Po prostu wolał Perkatka. Rewolwer lśnił jak lód w łunie świateł metropolii i przywoływał wspomnienia lat spędzonych w akademii.

Pierwszego dnia właściwego szkolenia rektor nakazał wszystkim studentom, by pokazali mu swoją broń. Kładąc Perkatka obok elegancko wykonanych pistoletów, Gładkolufy czuł się głęboko zażenowany. Jednak rektor podniósł go, zważył w dłoni i powiedział ze szczerym podziwem:

– To doskonała broń.

– Nie ma gwintu i nie można nawet założyć na nią tłumika – rzekł drwiąco jeden ze studentów.

– Precyzja i zasięg mają dla specjalistów K małe znaczenie, a gwint jeszcze mniejsze. A tłumik? Można go z powodzeniem zastąpić małą poduszką. Chłopcze, nie daj się krępować przyjętym konwencjom. W ręku mistrza ta broń może stworzyć dzieło sztuki, jakiego nie da się wykonać za pomocą żadnej z waszych drogich zabawek.

Rektor miał rację. Ponieważ rewolwer nie miał gwintowanej lufy, wystrzeliwane z niego pociski koziołkowały w locie, wydając przenikliwy, budzący strach świst, czego brakowało zwykłym pociskom. Obracały się nawet po uderzeniu w cel, siekając niczym wirujące ostrze wszystko, co napotkały po drodze.

– Od tej chwili będziemy cię nazywali Gładkolufym! – oświadczył rektor, zwracając rewolwer właścicielowi. – Zostań przy nim, chłopcze. Wygląda na to, że będziesz się uczył czegoś w rodzaju rzucania nożem.

Gładkolufy natychmiast pojął znaczenie jego słów – specjalista w rzucaniu nożem trzymał go za czubek ostrza, by nadać mu przez obroty pęd, ale wymagało to, by nóż uderzył w cel właśnie czubkiem. Rektor miał nadzieję, że Gładkolufy nauczy się trzymać Perkatka jak nóż przed rzutem! Taki kunszt pozwalałby mu wybierać rodzaj ran zadawanych przez koziołkujące pociski. Po dwóch latach żmudnych ćwiczeń i wystrzeleniu prawie trzydziestu tysięcy pocisków Gładkolufy nabrał nawet większej biegłości niż najlepsi instruktorzy strzelania w akademii.

Podczas studiów za granicą Gładkolufy i Perkatek stali się nierozłączni. Na czwartym roku Gładkolufy zaprzyjaźnił się ze studentką tej samej dyscypliny, zwaną, pewnie z powodu grzywy rudych włosów, Ognistą. Nie sposób było stwierdzić, jakiej jest narodowości, ale Gładkolufy domyślał się, że pochodzi z Europy Zachodniej. W akademii było niewiele studentek i prawie wszystkie były urodzonymi strzelcami wyborowymi. Jednak Ognista miała marne oko, za to zawstydzającą innych umiejętność posługiwania się sztyletem. Gładkolufy nie miał pojęcia, jak przed studiami zarabiała na życie, ale na zajęciach z duszenia garotą wyciągnęła z pierścionka na palcu włókno tak cienkie, że prawie niewidzialne. Zarzuciła ostrą jak brzytwa linkę na szyję kozy służącej za pomoc naukową i z wprawą, która świadczyła o długiej praktyce, odcięła jej gładko głowę.

Powiedziała, że jest to nanowłókno, niezwykle mocny materiał, który w przyszłości może zostać wykorzystany do budowy wind kosmicznych.

Ognista nie darzyła Gładkolufego prawdziwym uczuciem – takie rzeczy były w akademii nie do pomyślenia. Kręciła się też wokół Oszronionego Wilka, nordyckiego studenta innej dyscypliny. Przeskakiwała między nimi jak walczący konik polny, starając się doprowadzić do rozlewu krwi, który urozmaiciłby monotonne studenckie życie. Wkrótce się jej udało – mężczyźni zgodzili się rozstrzygnąć spór partią rosyjskiej ruletki. Głuchą nocą ich koledzy przestawili wielkie bloki budowlane strzelnicy i utworzyli coś na kształt Koloseum. Pojedynek miał się odbyć na środku areny, a bronią z wyboru miał być Perkatek.

Całym wydarzeniem kierowała Ognista. Pełnym gracji gestem włożyła jeden nabój do pustego cylindra Perkatka. Potem trzymając go za lufę, obróciła z tuzin razy cylinder na swym bladym i szczupłym przedramieniu. Kiedy obaj mężczyźni grzecznie odmówili skorzystania z szansy oddania strzału w pierwszej kolejności, uśmiechnęła się i wręczyła broń Gładkolufemu. Powoli przyłożył rewolwer do głowy. Gdy zimna lufa dotknęła jego skroni, zalała go fala pustki i osamotnienia, silniejsza od wszystkiego, co czuł kiedykolwiek przedtem. Czuł, że świat omiata zimny wiatr, a jego serce staje się ostatnią drobiną ciepła w czarnym jak smoła wszechświecie. Sprężył się w sobie i pięciokrotnie nacisnął spust. Kurek opadł pięć razy. Cylinder pięć razy się obrócił. Broń nie wypaliła.

Trzask, trzask, trzask, trzask, trzask – suche, metaliczne dźwięki brzmiały niczym dzwon śmierci bijący dla Oszronionego Wilka. Od strony kolegów z roku dobiegł aplauz. Po twarzy Ognistej popłynęły łzy szczęścia; krzyknęła do Gładkolufego, że jest jego. Oszroniony Wilk przyjął to wszystko ze spokojnym uśmiechem. Kiwnął głową do Gładkolufego i powiedział szczerze:

– Ty orientalny szczurze, to był najlepszy zakład, odkąd zrobiono pierwszego colta. – Odwrócił się do Ognistej. – W porządku, moja droga. Życie i tak zawsze było hazardem.

Podniósł Perkatka i przyłożył go do skroni. Po piasku areny rozprysły się ze stłumionym hukiem kawałki kości i krew.

Niedługo potem Gładkolufy skończył studia. Opuścił akademię bez nazwy w tych samych czarnych okularach, w których tam przyjechał, i wrócił w miejsce, gdzie się wychował. Od tamtej pory nie usłyszał już ani słowa o akademii, jakby w ogóle nigdy nie istniała.

Dopiero kiedy wrócił do świata zewnętrznego, dotarła do niego wieść, że przybyli Stwórcy, by wspomóc ludzką cywilizację, którą sami kiedyś stworzyli, ale nie mogąc żyć wygodnie na Ziemi, po zaledwie roku odlecieli. Flota składająca się z dwudziestu tysięcy statków zniknęła już w bezkresie kosmosu.

Ledwie wysiadł z samolotu, otrzymał pierwsze zlecenie przetworzenia.

Brat Zębaty przyjął go ciepło i wydał na jego cześć wspaniałą ucztę. Gładkolufy poprosił go o spotkanie w cztery oczy po kolacji, mówiąc, że chce zrzucić kamień z serca. Kiedy wszyscy wyszli, powiedział Bratu Zębatemu:

– Wychowałem się przy tobie. Dla mnie nigdy nie byłeś bratem, ale raczej ojcem. Pytam cię, czy mam wykonywać zawód, którego nauczyłem się na studiach. Powiedz tylko słowo, a posłucham.

Brat Zębaty objął go ramieniem.

– Jeśli to lubisz, powinieneś to robić. Widzę, że ci się to podoba. Nie myśl o tym, która droga jest dobra, a która zła. Ludzie ze świetlaną przyszłością poradzą sobie bez względu na to, którą drogę wybiorą.

– Skoro tak mówisz.

Gładkolufy wyciągnął rewolwer i strzelił Bratu Zębatemu w żołądek. Wystrzelone pod właściwym kątem, koziołkujące kule rozpruły mu brzuch i utkwiły w deskach podłogi. Kiedy rozwiał się dym, Brat Zębaty spojrzał na Gładkolufego. W jego oczach widać było szok, który zaraz ustąpił otępieniu pojawiającemu się po objawieniu. Roześmiał się słabo i kiwnął głową.

– Już coś ze sobą zrobiłeś, chłopcze.

Potem splunął krwią i osunął się na podłogę.

Zlecenie opiewało na schłodzenie z godzinnym opóźnieniem, ale bez nagrania. Gładkolufy cieszył się zaufaniem klienta. Nalał sobie szklankę wódki i patrzył z chłodnym dystansem na kałużę krwi wokół Brata Zębatego. Umierający powoli włożył do brzucha wylewające się jelita. Zrobił to z namysłem, jakby układał kostki madżonga. Zaledwie je tam wepchnął, śliskie wnętrzności znowu się wysunęły. Zaczął je znowu ostrożnie zbierać… Kiedy powtórzył ten zabieg po raz dwunasty, wydał ostatnie tchnienie. Od chwili strzału z Perkatka minęła dokładnie godzina.

Gładkolufy mówił prawdę, twierdząc, że Brat Zębaty był dla niego jak ojciec. Kiedy Gładkolufy miał pięć lat, pewnego deszczowego dnia jego ojciec biologiczny, wściekły po stracie dużej sumy w grze hazardowej, zażądał, by matka oddała mu wszystkie książeczki oszczędnościowe. Gdy odmówiła, pobił ją na śmierć. Gładkolufy próbował powstrzymać ojca, ale on złamał mu nos i rękę, po czym zniknął w deszczu. Później Gładkolufy wszędzie go szukał, ale tamten jakby się rozpłynął. Jeśli kiedykolwiek go odnajdzie, zrobi to, na co ojciec zasłużył – sprawi sobie przyjemność jego powolnym schłodzeniem.

Potem do Gładkolufego dotarły słuchy, że Pan K. zwrócił co do grosza swoją pensję rodzinie Brata Zębatego i wrócił do Rosji. Przed odlotem

powiedział, że w dniu wyjazdu Gładkolufego na zagraniczne studia wiedział, iż Brat Zębaty zginie z jego ręki. Brat Zębaty żył na ostrzu noża, ale nigdy nie zrozumiał, co czyni z człowieka prawdziwego zabójcę.

Nieliczni pozostali na wysypisku śmieciarze opuszczali je jeden po drugim, aż została tam tylko dziewczyna, która była celem Gładkolufego. Grzebała w śmieciach, pochłonięta pracą. Była za słaba, by wywalczyć sobie dobre miejsce, gdy przyjeżdżały śmieciarki, więc mogła to nadrobić, tylko pracując przez wiele godzin. Jej wytrwałość oznaczała, że Gładkolufy nie musiał czekać przy wysypisku, aż stamtąd wyjdzie. Wsunąwszy Perkatka do kieszeni kurtki, wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę.

Śmieci pod jego stopami uginały się jak gąbka i były ciepłe, wskutek czego miał wrażenie, jakby stąpał po ciele jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Gdy znalazł się pięć czy cztery metry od celu, wyjął z kieszeni rewolwer.

W tej samej chwili ze wschodu dobiegł snop niebieskiego światła. Statek Starszych Braci zatoczył koło wokół Ziemi i powrócił nad półkulę południową. Nagłe pojawienie się niebieskiego słońca przyciągnęło wzrok dwóch postaci na wysypisku. Przez chwilę przyglądali się dziwnej gwieździe, a potem spojrzeli na siebie. Gdy ich oczy się spotkały, Gładkolufy zrobił coś, czego nigdy nie powinien robić żaden zawodowy zabójca – poluzował uchwyt na broni, która o mało nie wypadła mu z ręki. Doznał szoku i na moment zapomniał o Perkatku. Nie myśląc, co robi, niemal krzyknął: „Słodki Groszek!”, ale wiedział, że to nie ona. Czternaście lat wcześniej był świadkiem, jak Słodki Groszek umierała w męczarniach. Ale w jego sercu nadal żyła, rosła i była coraz silniejsza. Często widywał ją w snach – wyglądała jak ta młoda kobieta, którą miał przed sobą.

W początkach swojej kariery Brat Zębaty zajmował się ohydnym procederem – kupował od handlarzy żywym towarem kalekie dzieci i zmuszał je do żebrania w mieście. W tamtych latach społeczeństwo nie zatraciło jeszcze współczucia, więc dzieci przynosiły niezły dochód i odgrywały niemałą rolę w gromadzeniu przez Brata Zębatego kapitału zalążkowego.

Gładkolufy towarzyszył kiedyś Bratu Zębatemu przy odbiorze nowej grupy dzieci. W starym magazynie czekało na nich pięcioro. Czworo miało wady wrodzone, ale jedno, dziewczynka o imieniu Słodki Groszek, było całkowicie zdrowe. Miała sześć lat i była śliczna. Inaczej niż u pozostałych jej duże oczy były pełne życia. Gładkolufemu ściskało się serce na wspomnienie tych oczu i ciekawości, z jaką dziewczynka oglądała otoczenie, zupełnie nieświadoma czekającego ją losu.

– To te – powiedział handlarz, wskazując na czwórkę niepełnosprawnych.

– Myślałem, że umówiliśmy się na piątkę – powiedział Brat Zębaty.

– Wóz był załadowany. Jedno się nie zmieściło.

– A ta mała? – zapytał Brat Zębaty.

– Ona nie jest na sprzedaż.

– Chcę ją. Taka sama cena jak za inne. – Ton jego głosu świadczył, że nie przyjmie żadnych argumentów.

– Ale… nic jej nie dolega. Jak chcesz na niej zarobić?

– Ty dupku. Parę zabiegów i będzie w sam raz.

Mówiąc to, Brat Zębaty odwinął piłę i pociągnął nią po delikatnych łydkach Słodkiego Groszku, zadając jej ziejącą ranę. Trysnęła krew, a Słodki Groszek zaniosła się wrzaskiem.

– Obwiąż to i zatrzymaj krwawienie, ale nie dawaj jej antybiotyków. Rany muszą się jątrzyć – poinstruował Gładkolufego Brat Zębaty.

A więc Gładkolufy zabandażował małej nogi, ale krew przesiąkała przez warstwy gazy, a twarz dziewczynki zrobiła się trupio blada. Za plecami Brata Zębatego dał jej kilka tabletek erytromycyny i sulfametaxazolu, ale na nic się to nie zdało. Wdało się zakażenie.

Dwa dni później Brat Zębaty wysłał Słodki Groszek na ulice na żebry. Jej żałosna mina i okaleczone nogi przyniosły natychmiast skutek przekraczający oczekiwania Brata Zębatego. Już pierwszego dnia zarobiła trzy tysiące juanów, a przez następny tydzień przynosiła codziennie nie mniej jak dwa tysiące. Ostatniego dnia para cudzoziemców tylko na nią zerknęła i dała jej czterysta dolarów amerykańskich. Mimo to Słodki Groszek dostawała za swoją pracę tylko jedno pudełko zepsutego jedzenia dziennie. Nie wynikało to jedynie ze skąpstwa Brata Zębatego, ale było celowym działaniem, obmierzonym na to, by dziewczynka wyglądała na przymierającą głodem. Gładkolufy mógł jej dawać pod osłoną ciemności tylko ochłapy.

Pewnego wieczoru, gdy pojechał zabrać Słodki Groszek z krawężnika, na którym żebrała, dziewczynka nachyliła się do jego ucha i wyszeptała:

– Bracie, noga już mnie nie boli.

Wyglądała, jakby się z tego cieszyła.

Oprócz śmierci matki był to jedyny raz, kiedy się rozpłakał. Słodki Groszek nie czuła już bólu, bo nerwy w jej nodze były martwe. Cała noga zrobiła się czarna i dziewczynka od dwóch dni miała wysoką gorączkę. Gładkolufy nie był w stanie dłużej wykonywać rozkazów Brata Zębatego i zawiózł małą do szpitala. Lekarze powiedzieli, że jest za późno – dziewczynka miała zakażenie krwi. Następnej nocy zmarła w gorączce.

Od tej chwili krew w żyłach Gładkolufego była zimna i – jak przewidział Pan K. – nigdy już nie odzyskała ciepła. Zabijanie stało się dla niego przyjemnością, uzależnieniem silniejszym od narkotykowego. Żył po to, by

rozbijać delikatne nefrytowe naczynia zwane „ludźmi” i patrzeć, jak tryska zawarta w nich krew i schładza się do temperatury pokojowej. Tylko to było prawdą – że ciepło tego płynu jest fałszem.

Bez jego świadomego zamiaru w pamięci Gładkolufego utrwalił się co do piksela obraz nogi Słodkiego Groszku. Później obraz ten, idealna kopia tej rany, pojawił się na rozprutym brzuchu Brata Zębatego.

Śmieciarka podniosła się, zarzuciła duży wór na ramię i powoli się odwróciła, by odejść. Nie skłoniło jej do tego pojawienie się Gładkolufego. Nie zauważyła, co trzymał w ręku, i nie mogła sobie wyobrazić, by ten dobrze ubrany mężczyzna miał z nią jakiś związek. Po prostu nadszedł dla niej czas opuszczenia wysypiska. Statek Starszych Braci zniknął za horyzontem, a Gładkolufy nadal stał bez ruchu, patrząc na jej postać znikającą w gasnącej niebieskiej poświacie.

Wsunął broń do kabury. Wyjął komórkę i wybrał numer Zhu Hanyanga.

– Chcę się z panem spotkać – powiedział. – Muszę pana o coś zapytać.

– Jutro o dziewiątej w tym samym miejscu – odpowiedział Zhu Hanyang zwięźle i bez odrobiny zdziwienia, jakby się spodziewał tego telefonu.

Wszedłszy do Sali Prezydenckiej, Gładkolufy zobaczył, że zebrał się tam już cały trzynastoosobowy komitet wykonawczy Rady do Spraw Upłynnienia Majątku Społecznego i spojrzenia wszystkich były utkwione w niego.

– Proszę, o co przyszedłeś zapytać? – rzekł Zhu Hanyang.

– Dlaczego chcecie zabić te trzy osoby?

– Łamiesz zasady etyczne swojej profesji – zauważył Zhu, odcinając eleganckim obcinaczem koniec cygara.

– Tak, i będzie mnie to kosztowało, ale muszę znać powód, inaczej nie wykonam zlecenia.

Zhu zapalił cygaro długą zapałką i powoli kiwnął głową.

– Nie mogę się wyzbyć myśli, że bierzesz na cel jedynie bogatych. Jeśli tak, to nie jesteś prawdziwym zawodowym zabójcą, tylko bandytą ze skłonnością do żałosnej zemsty klasowej, psychopatą, który zabił w ciągu trzech lat czterdzieści jeden osób i którego w tej chwili poszukuje policja. Niszczysz sobie reputację.

– Możesz zaraz zadzwonić na policję – odparł spokojnie Gładkolufy.

– Czy to zadanie przypomniało ci o czymś z twojej przeszłości? – zapytała Xu Xueping.

Gładkolufy był pełen podziwu dla jej przenikliwości. Jego milczenie było wymowne.

– To była kobieta?

Gładkolufy ponownie nie odpowiedział. Rozmowa daleko odbiegła od tematu.

– Dobrze. – Zhu wypuścił kłąb białego dymu. – To ważne zadanie, a w tak krótkim czasie nie uda się nam znaleźć nikogo, kto by się bardziej nadawał do jego wykonania. Nie mamy wyboru, musimy przyjąć twoje warunki. Powiemy, o co w tym chodzi, ale wiedz, że przekracza to twoje najbardziej fantastyczne rojenia. My, garstka najbogatszych ludzi w tym społeczeństwie, pragniemy zabić jego najbiedniejszych i najsłabszych członków, co w twoich oczach czyni z nas obłąkane, nienawistne istoty. Zanim wyjaśnimy nasz motyw, musimy najpierw zmienić to wrażenie.

– Nie interesują mnie kwestie światła i ciemności.

– Ale fakty mówią co innego. Proszę, chodź z nami. – Zhu odłożył dopiero co zapalone cygaro, wstał i wyszedł z sali.

Gładkolufy opuścił hotel w towarzystwie całego komitetu wykonawczego Rady do Spraw Upłynnienia Majątku Społecznego. W górze działo się coś dziwnego, bo przechodnie z niepokojem zadzierali głowy. Statek Starszych Braci schodził na niską orbitę. W świetle wschodzącego słońca był doskonale widoczny. Rozsiewał za sobą na niebie smugę błyszczących srebrnych gwiazd, która ciągnęła się po horyzont. Jego długość znacznie się zmniejszyła i w miarę jak wypuszczał gwiazdę za gwiazdą, koniec jego kadłuba stawał się postrzępiony jak złamany patyk. Gładkolufy dowiedział się z wiadomości, że w rzeczywistości ten ogromny statek składa się z tysięcy mniejszych jednostek. Teraz wydawało się, że się rozdziela, tworząc armadę.

– Proszę wszystkich o uwagę! – Zhu przywołał do siebie resztę komitetu. – Widzicie, że sytuacja się rozwija i być może nie mamy dużo czasu. Musimy się pospieszyć. Każdy zespół powinien natychmiast udać się na wyznaczony mu obszar upłynniania i kontynuować wczorajszą pracę.

Kiedy skończył, wsiadł z Xu Xueping do ciężarówki i krzyknął do Gładkolufego, żeby do nich dołączył.

Dopiero teraz Gładkolufy zauważył, że pojazdy czekające pod hotelem nie są zwykłymi limuzynami miliarderów, ale ciężarówkami Isuzu.

– Żebyśmy mogli przewieźć większy ładunek – wyjaśniła Xu, widząc dezorientację na twarzy Gładkolufego.

Spojrzał na pakę ciężarówki i zobaczył, że jest wypełniona zgrabnie ułożonymi, identycznymi czarnymi walizkami. Wyglądały na eleganckie i drogie i ocenił, że jest ich ponad setka.

W szoferce nie było wynajętego kierowcy; sam Zhu wyprowadził samochód na główną drogę. Krótko potem skręcił w wysadzaną drzewami

aleję i zmniejszył prędkość. Gładkolufy zorientował się, że jedzie wolno, równo z pieszym – włóczęgą. Chociaż w tych czasach bezdomni niekoniecznie chodzili w łachmanach, zawsze było w nich coś, co ich zdradzało. Ten miał uwiązaną u pasa plastikową torbę, której zawartość grzechotała przy każdym jego kroku.

Gładkolufy wiedział, że za chwilę wyjaśni się tajemnica znikania bezdomnych i śmieciarzy, ale nie wierzył, by Zhu i Xu ośmielili się zabić tego człowieka. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chcieli go zwabić do ciężarówki i pozbyć się w innym miejscu. Biorąc pod uwagę ich pozycję społeczną, nie musieli brudzić sobie rąk tego rodzaju pracą. Może chcieli dać mu przykład? Nie miał najmniejszego zamiaru im w tym przeszkodzić, ale na pewno nie pomoże. Tego nie było w kontrakcie.

Włóczęga nie zdawał sobie sprawy, że ciężarówka zwolniła, by się z nim zrównać, dopóki Xu Xueping nie krzyknęła do niego przez okno.

– Halo! – powiedziała, opuściwszy szybę. Włóczęga się zatrzymał i obrócił głowę, by na nią spojrzeć. Na jego twarzy malował się wyraz zobojętnienia typowy dla warstwy, do której należał. – Masz gdzie mieszkać? – zapytała z uśmiechem.

– Latem mogę mieszkać wszędzie – odparł.

– A zimą?

– Studzienki kanałów ciepłowniczych. Ogrzewanie jest też w niektórych toaletach publicznych.

– Od dawna tak żyjesz?

– Nie pamiętam. Przyjechałem do tego miasta, kiedy skończyły mi się pieniądze za wywłaszczenie gruntów, i od tamtej pory tak żyję.

– Chciałbyś mieć trzypokojowe mieszkanie? Dom?

Włóczęga patrzył na miliarderkę pustym wzrokiem. Na jego twarzy nie widać było nawet cienia zrozumienia.

– Umiesz czytać? – zapytała Xu. Kiedy tamten kiwnął głową, wskazała na duży billboard przed ciężarówką. – Spójrz tam. – Na tablicy widać było trawiaste wzgórze z domkami w kremowym kolorze, idylliczny krajobraz. – To reklama domów na sprzedaż. – Włóczęga obrócił głowę ku tablicy, a potem spojrzał z powrotem na Xu. Nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi. – No dobra, weź z paki walizkę.

Włóczęga poszedł posłusznie na tył ciężarówki, zdjął walizkę i wrócił przed drzwi pasażera. Wskazując walizkę, Xu powiedziała:

– W środku jest milion juanów. Za pięćset tysięcy kup sobie taki dom jak na tym billboardzie, a za resztę żyj w komforcie. Oczywiście jeśli sam nie zdołasz wszystkiego wydać, możesz zrobić to co ja i dać pieniądze komuś biedniejszemu.

Oczy trampa biegały szybko tam i z powrotem, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. Nie puścił też walizki. Wiedział, że musi w tym być jakiś haczyk.

– Otwórz walizkę i sam zobacz.

Pogmerał przy zamku brudną ręką, nieco uchylił wieko i zaraz szybko z powrotem je zatrzasnął. Z jego twarzy zniknęła maska apatii. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Masz dowód osobisty? – zapytał Zhu Hanyang.

Mężczyzna skinął machinalnie głową, odsuwając od siebie walizkę jak najdalej, jakby była w niej bomba.

– Więc złóż to w depozyt w banku. Tak będzie wygodniej.

– Co chcecie, żebym zrobił? – zapytał włóczęga z wahaniem.

– Chcemy tylko, żebyś wyświadczył nam drobną przysługę. Nadlatują obcy. Jeśli cię zapytają, powiedz im, ile masz pieniędzy. To wszystko. Możesz obiecać, że to zrobisz?

Mężczyzna skinął głową.

Xu wysiadła z ciężarówki i złożyła mu głęboki ukłon.

– Dziękuję – powiedziała.

– Dziękuję – dodał z kabiny Zhu.

Gładkolufego zaskoczyło, że jej wdzięczność wydawała się *szczera*.

Pojechali dalej, tracąc z oczu świeżo upieczonego milionera. Nieco dalej ciężarówka zatrzymała się na rogu ulicy. Gładkolufy dostrzegł siedzących na krawężniku, czekających na pracę wędrownych robotników. Każdy z nich miał metalową szpachelkę i kartonik z napisem „Tynkarz”. Podbiegli do nich, gdy tylko ciężarówka się zatrzymała.

– Masz dla nas robotę, szefie?

Zhu Hanyang potrząsnął głową.

– Nie. Jak wam się powodzi?

– Nie ma żadnej pracy. Teraz wszyscy stosują nakładane cieplnie powłoki. Nie ma już zapotrzebowania na tynkarzy.

– Skąd jesteście?

– Z Henanu.

Zhu zadał jeszcze kilka pytań.

– Z tej samej wsi? Panuje tam bieda? Ile gospodarstw?

– Leży w górach, mieszka tam może pięćdziesiąt rodzin. Wszyscy są biedni. Od dawna nie pada. Szefie, nie uwierzyłby pan: musimy nawadniać nasze pola konewkami.

– Dajcie sobie spokój z uprawą roli. Macie konta w banku?

Cała trójka pokręciła głowami.

– No to musicie wziąć gotówkę. Walizki są ciężkie, ale weźcie tuzin z paki.

– Tuzin? – było to jedyne pytanie, jakie zadali, wyładowując walizki z ciężarówki i stawiając je na chodniku. Nie zastanawiali się nad poleceniem, które wydał im Zhu – praca to praca.

– Nieważne. Weźcie, ile chcecie.

Na ziemi leżało piętnaście walizek. Wskazując na nie, Zhu powiedział:

– W każdej jest milion juanów, w sumie piętnaście milionów. Wracajcie do domu i rozdajcie te pieniądze całej wiosce.

Jeden z mężczyzn się roześmiał, jakby Zhu opowiedział dowcip. Drugi przykucnął i otworzył jedną z walizek. Cała trójka gapiła się na jej zawartość z takim samym osłupieniem jak spotkany wcześniej włóczęga.

– Są ciężkie, więc powinniście wynająć samochód do Henanu. Ale jeśli któryś z was umie prowadzić, to kupcie jakiś. Tak będzie wygodniej – poradziła Xu Xueping.

Trzej tynkarze patrzyli na dwoje ludzi przed nimi, niepewni, czy mają do czynienia z aniołami czy z diabłami. Jeden z nich zadał jak zacięta płyta gramofonowa to samo pytanie co włóczęga:

– Co chcecie, żebym zrobił?

Odpowiedź też była taka sama:

– Chcemy tylko, żebyś wyświadczył nam drobną przysługę. Nadlatują obcy. Jeśli cię zapytają, powiedz im, ile masz pieniędzy. To wszystko. Możecie obiecać, że to zrobicie?

Cała trójka kiwnęła zgodnie głowami.

– Dziękujemy.

– I my wam dziękujemy.

Dwoje plutokratów ukłoniło się ze szczerą wdzięcznością i odjechało, zostawiając zdumionych tynkarzy przy stosie walizek.

– Na pewno się zastanawiasz, czy zatrzymają te pieniądze dla siebie – rzekł Zhu do Gładkolufego ze wzrokiem utkwionym w kierownicy. – Może na początku, ale wkrótce podzielą się swym majątkiem z mniej zamożnymi, tak jak zrobiliśmy my.

Gładkolufy milczał. Wobec takiego absurdu uznał, że najlepiej nic nie mówić. Intuicja podpowiadała mu, że świat, jaki znał, wkrótce przejdzie fundamentalną przemianę.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła Xu. Zawołała małe, brudne dziecko, które grzebało w kuble na śmieci, poszukując puszek po napojach i butelek po coli: – Chłopcze, podejdź tu! – Ulicznik podbiegł, ciągnąc za sobą wypełniony do połowy worek, jakby się bał, że go zgubi. – Weź walizkę z paki. – Chłopiec posłuchał. – Zajrzyj do środka. – Otworzył walizkę i zerknął do jej wnętrza. Zdziwił się, ale nie był taki zszokowany jak czterej dorośli przed nim. – Co to jest? – zapytała.

– Pieniądze – odparł chłopiec, podnosząc głowę i patrząc na nią.

– Zabierz je do domu i daj rodzicom.

– A więc to prawda? – Chłopiec zamrugał i spojrzał na stos waliz nadal spiętrzonych na pace.

– To znaczy?

– Słyszałem, że jacyś ludzie rozdają pieniądze w całym mieście.

„Jakby rozrzucali strzępy papieru” – pomyślał Gładkolufy.

– Przylecą tu obcy – kontynuowała Xu. – Jeśli cię zapytają, musisz im powiedzieć, że masz tyle pieniędzy, dokładnie tyle, dobrze? Tylko tego chcemy. Zrobisz to?

– Tak!

– No to bierz pieniądze i zmykaj do domu. Nikt już nie będzie biedny – powiedziała Xu z pochmurną miną.

– Weź się w garść. Sytuacja jest zła, ale na nas spoczywa odpowiedzialność za to, by nie stała się jeszcze gorsza – rzekł Zhu.

– Naprawdę myślisz, że ta gra ma sens?

Zhu wcisnął hamulec tak nagle, że ciężarówka zatoczyła się i stanęła. Gestykulując gwałtownie nad kierownicą, wykrzyczał:

– Oczywiście, że ma sens! A może chcesz przeżyć resztę życia tak jak ci ludzie? Głodując i bez dachu nad głową?

– Już w ogóle nie chce mi się żyć.

– Podtrzyma cię poczucie obowiązku. To jedyna rzecz, dzięki której jeszcze funkcjonuję. Nasze bogactwo wymaga od nas poświęcenia się tej misji.

– Co?! – wrzasnęła Xu. – Nigdy nie kradliśmy, nigdy od nikogo niczego nie wymuszaliśmy, każdy zarobiony przez nas juan jest *czysty*. Nasze bogactwo pcha społeczeństwo do przodu. Ludzie powinni nam dziękować!

– Spróbuj powiedzieć to Starszym Braciom – rzucił Zhu, wysiadając z ciężarówki. Podniósł twarz w stronę nieba i ciężko westchnął. – Teraz rozumiesz, że nie jesteśmy psychopatycznymi mordercami żywiącymi urazę do biedaków? – Skierował to pytanie do Gładkolufego, który wysiadł za nim. – Przeciwnie, rozdajemy majątek najbiedniejszym, czego sam byłeś świadkiem. Pracownicy naszej firmy robią to samo tu i w innych dużych miastach. Wykorzystują wszystkie zasoby naszego konglomeratu – miliardy czeków, kart kredytowych, rachunków bankowych i ciężarówki gotówki – by zlikwidować biedę.

Akurat wtedy Gładkolufy zauważył dziwny spektakl na niebie: od horyzontu po horyzont ciągnął się sznur gwiazd. Statek Starszych Braci całkowicie się rozpadł i tysiące mniejszych jednostek tworzyło jarzące się halo wokół Ziemi.

– Ziemia jest otoczona – powiedział Zhu. – Każdy z tych statków ma wielkość lotniskowca i broń, która może zniszczyć całą planetę.

– Ostatniej nocy zniszczyły Australię – wtrąciła Xu.

– Zniszczyły? Jak to „zniszczyły”? – zapytał Gładkolufy, zadzierając głowę.

– Przejechali laserem przez cały kontynent. Jego promień przenikał przez budynki i bunkry i po godzinie wszyscy ludzie i duże ssaki byli martwi. Ale owadom i roślinom nic się nie stało, a porcelana w oknach sklepowych nie miała nawet jednej rysy.

Gładkolufy zerknął na Xu, a potem skierował wzrok z powrotem na niebo. Lepiej niż większość ludzi potrafił poradzić sobie w takiej przerażającej sytuacji.

– To był pokaz siły. Wybrali Australię, bo jako pierwszy kraj stanowczo odrzuciła ich plan utworzenia „rezerwatu” – dodał Zhu.

– Co to za plan?

– Pozwól, że zacznę od początku – rzekł Zhu. – Starsi Bracia przybyli do Układu Słonecznego jako uchodźcy z Pierwszej Ziemi, gdzie nie mogli przetrwać. „Straciliśmy rodzinną planetę” – to były ich słowa. Nie powiedzieli, z jakich przyczyn. Chcą zająć naszą Ziemię, Pierwszą Ziemię, i wykorzystać ją jako nowy habitat. Mieszkańcy Ziemi zostaną przesiedleni do „rezerwatu” utworzonego w Australii. Wszystkie pozostałe terytoria będą należały do nich… Takie oświadczenie zostanie przekazane w dzisiejszych wiadomościach wieczornych.

– Do *Australii*? To ogromny kawał skały pośrodku oceanu. – Gładkolufy przez chwilę się zastanawiał. – Faktycznie w sam raz na rezerwat. Wnętrze lądu to jedna wielka pustynia. Jeśli stłoczą na tej wyspie pięć miliardów ludzi, po tygodniu zapanuje głód.

– Nie wygląda to tak ponuro. Nie będziemy tam uprawiać roli ani hodować zwierząt. Nie będziemy musieli się tym zajmować, żeby przeżyć.

– To z czego będziemy żyć?

– Będą nas utrzymywać Starsi Bracia. W przyszłości będą dostarczać wszystko, czego ludziom potrzeba do życia, i rozprowadzać to po równo

wśród nas. Każdy dostanie tyle samo. W ludzkim społeczeństwie przestanie istnieć bogactwo.

– Ale jak określą, ile dać każdej osobie?

– Dotknąłeś kluczowej kwestii – odparł Zhu. – Zgodnie z planem przeniesienia ludzkości do rezerwatu Starsi Bracia przeprowadzą jej całościowy spis, który pozwoli im określić minimalny standard życia akceptowalny dla ludzi. Potem według uzyskanych wyników przeznaczą na ten cel odpowiednie środki.

Gładkolufy opuścił głowę i przez chwilę myślał, a potem nagle zachichotał.

– Chyba pojąłem, w czym rzecz. A przynajmniej myślę, że teraz widzę szerszy obraz.

– Rozumiesz, jaki los czeka ludzkość?

– Prawdę mówiąc, plan Starszych Braci jest bardzo sprawiedliwy.

– Co? Uważasz, że jest sprawiedliwy? – wybuchnęła Xu.

– On ma rację. Plan jest sprawiedliwy – przerwał jej spokojnie Zhu. – Jeśli między biednymi i bogatymi nie będzie przepaści, żadnej różnicy między najniższym i najwyższym standardem życia, to rezerwat będzie rajem na Ziemi.

– Ale teraz…

– Teraz to, co musimy zrobić, jest proste: zanim Starsi Bracia przeprowadzą ten spis, musimy szybko zasypać głęboką przepaść między bogatymi i biednymi.

– A więc na tym polega „upłynnienie majątku społecznego”? – zapytał Gładkolufy.

– Dokładnie tak. W obecnej chwili majątek społeczny ma utrwaloną postać. Są tu góry i doliny. Ale po upłynnieniu stanie się płaski jak powierzchnia oceanu.

– Ale to, co robicie, tylko stworzy chaos.

– To prawda. – Kiwnął głową Zhu. – Wykonujemy tylko gest dobrej woli w imieniu bogatych. Rzeczywiste upłynnienie majątku społecznego dokona się pod auspicjami władz wszystkich państw i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Niedługo zacznie się kampania na rzecz likwidacji ubóstwa. Bogate kraje przeleją kapitał do państw rozwijających się, zamożni zasypią biednych pieniędzmi i to wszystko będzie się dokonywało w atmosferze całkowitej szczerości.

Gładkolufy roześmiał się cynicznie.

– To może nie być takie proste.

– Co masz na myśli, sukinsynu? – warknęła Xu przez zaciśnięte zęby. Wymierzyła palec, by dźgnąć go w nos, ale Zhu ją powstrzymał.

– To bystry facet – powiedział, wskazując głową Gładkolufego. – Rozgryzł to.

– Tak, rozgryzłem. Wśród biednych są tacy, którzy nie chcą waszych pieniędzy.

Xu spojrzała na niego z wściekłością, po czym opuściła głowę i umilkła. Zhu kiwnął głową.

– Tak. Są tacy, którzy nie chcą naszych pieniędzy. Możesz to sobie wyobrazić? Grzebią w śmieciach w poszukiwaniu ochłapów, ale odmawiają przyjęcia miliona juanów! Tak, trafiłeś w sedno.

– Ale to musi być znikoma mniejszość – zauważył Gładkolufy.

– Oczywiście, ale nawet jeśli znajdzie się taki jeden na sto tysięcy biedaków, to zaliczy się ich do osobnej klasy społecznej. Stosując swoje doskonale rozwinięte metody badania, Starsi Bracia uznają ich standard życia za minimum dla całej ludzkości, co z kolei przyjmą jako kryterium przeniesienia zasobów do rezerwatu! Chwytasz? Zaledwie jedną tysięczną procenta!

– A jaki odsetek populacji stanowią oni teraz?

– Około jednej osoby na tysiąc.

– Podli, nikczemni zdrajcy! – krzyknęła głośno Xu w stronę nieba.

– A więc wynajęliście mnie, żebym ich zabił. – W tym momencie Gładkolufy nie miał ochoty używać zawodowego żargonu.

Zhu kiwnął głową.

Gładkolufy patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy, a potem odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Zabijam dla dobra ludzkości!

– Wyświadczasz ludzkości przysługę. Ratujesz ludzką cywilizację.

– Prawdę mówiąc, taki sam skutek przyniosłoby zagrożenie im śmiercią – zadumał się Gładkolufy.

– Nie ma gwarancji! – Xu nachyliła się do niego i szepnęła: – Mamy do czynienia z szaleńcami opętanymi nienawiścią klasową. Nawet gdyby wzięli pieniądze, przysięgaliby Starszym Braciom, że są bez grosza. Musimy jak najszybciej usunąć ich z planety.

– Rozumiem. – Gładkolufy kiwnął głową.

– No więc jaki masz plan? Wyjaśniliśmy, jak prosiłeś, nasze powody. Oczywiście pieniądze staną się wkrótce bezwartościowe i z pewnością nie interesuje cię pomoc dla ludzkości.

– Nigdy zbytnio nie dbałem o pieniądze, a nad tym drugim nigdy się nie zastanawiałem… Ale dotrzymam umowy – dzisiaj do północy. Przygotujcie się do sprawdzenia, czy wykonałem zlecenie.

Powiedziawszy to, Gładkolufy wysiadł z ciężarówki i zbierał się do odejścia.

– Mam jedno pytanie – krzyknął za nim Zhu. – Może jest niegrzeczne, więc nie musisz odpowiadać. Odrzuciłbyś nasze pieniądze, gdybyś był biedny?

– Nie jestem biedny – odparł Gładkolufy, nie oglądając się za siebie. Przeszedł kilka kroków, a potem stanął i się odwrócił. Spojrzał na parę miliarderów jastrzębim wzrokiem. – Gdybym był… to tak, nie wziąłbym od was pieniędzy.

Potem odszedł.

– Dlaczego nie chciałeś wziąć od nich pieniędzy? – zapytał Gładkolufy swój pierwszy cel.

Ostatnio widział tego bezdomnego na placu Kwiatów, teraz stali wśród kępy drzew w pobliskim parku. Przez ich korony przesączały się dwa rodzaje światła: niesamowita niebieska poświata, która emanowała z pierścienia statków Starszych Braci. W jej blasku drzewa rzucały na ziemię pstrokate cienie. I kalejdoskopowa łuna metropolii, drżąca wśród drzew, jakby przerażona niebieską poświatą.

Włóczęga zaśmiał się drwiąco.

– Błagali mnie o to. Ci bogacze o to błagali! *Mnie!* Kobieta nawet płakała! Gdybym wziął te pieniądze, przestałbym ich obchodzić, więc było bardzo fajnie znaleźć się w sytuacji, kiedy to mnie błagano!

– Tak, bardzo fajnie – powiedział Gładkolufy, naciskając spust Perkatka.

Włóczęga był przedsiębiorczym złodziejem. Od pierwszego rzutu oka zauważył, że mężczyzna, który zawołał go z kępy drzew, trzyma coś pod kurtką, i był ciekaw, co to jest. Zobaczył nagle błysk spod jego kurtki, jakby mrugnięcie jakiegoś dziwnego stworzenia, i zapadł się w ciemność.

Cel został przetworzony i niemal natychmiast ostygł. Szybko obracający się pocisk roztrzaskał głowę jednostki nad brwiami. Odgłos strzału stłumiły warstwy odzieży. Nikt nic nie zauważył.

Po powrocie na wysypisko Gładkolufy odkrył, że pozostał tam tylko jego cel; reszta śmieciarzy najwidoczniej przyjęła pieniądze i się wyniosła.

W niebieskiej poświacie pierścienia statków kosmicznych ruszył zdecydowanym krokiem przez ciepłą, sprężystą hałdę śmieci wprost ku celowi. Przedtem powtórzył sobie ze sto razy, że to nie jest Słodki Groszek, więc nie musiał już tego robić. Zachowywał zimną krew i nie mogła jej ogrzać garść wspomnień z młodości. Śmieciarka nawet nie zauważyła jego nadejścia, gdy do niej strzelił. Na wysypisku nie musiał tłumić huku. Strzał, tym razem nie przez kurtkę, poniósł się głośnym echem, a jego błysk oświetlił śmieci jak mały piorun. Odległość do celu sprawiła, że kula, koziołkując w powietrzu, miała czas, by zaśpiewać, a jej jęk brzmiał jak zawodzenie duchów.

Również i tę jednostkę przetworzył i schłodził szybko. Pocisk rozszarpał jej serce jak wirujące ostrze piły tarczowej. Zanim upadła na ziemię, już nie żyła. Wysypisko szybko wchłonęło jej ciało, a krew, która mogłaby świadczyć o jej istnieniu, wsiąknęła w śmieci.

Nagle Gładkolufy wyczuł za plecami czyjąś obecność. Obrócił się błyskawicznie na pięcie i znalazł twarzą w twarz z wędrownym artystą. Jego długie włosy trzepotały w podmuchach wieczornego wiatru jak niebieskie płomienie poświaty rzucanej przez pierścień statków.

– Kazali ci ją zabić? – zapytał malarz.

– Ja tylko realizuję kontrakt. Znałeś ją?

– Tak. Często przychodziła popatrzeć na moje obrazy. Niezbyt dobrze czytała, ale rozumiała je. Podobały się jej, tak jak tobie.

– Mam też kontrakt na ciebie.

Malarz pochylił ze spokojem głowę. Nie przejawiał ani odrobiny strachu.

– Tak myślałem.

– Pytam z czystej ciekawości: dlaczego nie przyjąłeś tych pieniędzy?

– Moje obrazy przedstawiają biedę i śmierć. Gdybym z dnia na dzień został milionerem, moja sztuka by umarła.

Gładkolufy skinął głową.

– Twoja sztuka będzie nadal żyła. Twoje obrazy naprawdę mi się podobają.

Podniósł broń.

– Zaczekaj chwilę. Powiedziałeś, że realizujesz kontrakt. Ja też mogę z tobą taki zawrzeć?

Gładkolufy ponownie skinął głową.

– Oczywiście.

– Moja śmierć jest nieistotna, ale chcę pomścić tę dziewczynę. – Malarz wskazał miejsce, gdzie leżała wśród śmieci.

– Pozwól, że sformułuję twoje pytanie w moim zawodowym języku: chcesz zawrzeć ze mną kontrakt na przetworzenie tych, którzy złożyli to zamówienie, tych samych jednostek, które wynajęły mnie do przetworzenia ciebie i tej drugiej jednostki.

Artysta odpowiedział, kiwając głową:

– Właśnie.

Gładkolufy powiedział poważnie:

– To żaden problem.

– Nie mam pieniędzy.

Gładkolufy się roześmiał:

– Za tanio sprzedałeś mi obraz. Już mi zapłaciłeś za to zlecenie.

– Wobec tego dziękuję.

– Proszę bardzo. Ja tylko realizuję kontrakt.

Lufa Perkatka jeszcze raz plunęła ogniem. Kula zaświstała, wirując w powietrzu, i uderzyła artystę w serce. Kiedy padł, z jego piersi i pleców

trysnęła krew, a jej krople zrosiły ziemię jak gorący, czerwony deszcz.

– To nie było potrzebne.

Głos dobiegł zza Gładkolufego. Znowu się okręcił i zobaczył na środku wysypiska jakąś postać – mężczyzny. Miał na sobie taką samą kurtkę jak on i wyglądał młodo, ale poza tym był nijaki. W jego oczach odbijała się niebieska poświata kręgu gwiazd.

Gładkolufy opuścił rewolwer i skierował go w bok od przybysza, ale przy tym lekko nacisnął spust. Kurek podniósł się niespiesznie i odbezpieczona broń była gotowa do strzału za najlżejszym dotknięciem.

– Jesteś z policji? – zapytał swobodnym tonem Gładkolufy.

Obcy pokręcił głową.

– No to ją wezwij.

Mężczyzna nadal stał bez ruchu.

– Nie strzelę ci w plecy. Przetwarzam tylko jednostki wymienione w zleceniu.

– W tej chwili nie wtrącamy się w sprawy ludzi – odparł tamten równym głosem.

Na te słowa w Gładkolufego jakby piorun strzelił. Jego uchwyt na kolbie rewolweru się poluźnił i kurek wrócił na miejsce. Uważnie przyjrzał się Obcemu. Wyglądał jak normalny człowiek.

– Więc już… wylądowaliście? – zapytał z niezwykłym u niego drżeniem w głosie.

– Już jakiś czas temu.

Między stojącymi na wysypisku gdzieś na Czwartej Ziemi dwoma osobnikami z różnych światów zapadła długa cisza. Gęste, ciepłe powietrze wydało się nagle Gładkolufemu duszne. Chciał coś powiedzieć, cokolwiek, i wydarzenia kilku ostatnich dni nasunęły mu pytanie:

– Czy tam, skąd przybywacie, są biedni i bogaci?

Pierwszy Ziemianin uśmiechnął się i powiedział:

– Oczywiście. Ja jestem biedny. – Wskazał ręką pierścień statków nad nimi. – Tak samo jak oni.

– Ilu was tam jest?

– Jeśli masz na myśli osoby w tych statkach, to około pięciuset tysięcy. Ale to tylko straż przednia. Za kilka lat przyleci dziesięć tysięcy statków z miliardem kolejnych.

– Z miliardem? – zdziwił się Gładkolufy. – Chyba nie wszyscy oni są biedni?

– Wszyscy, co do jednego – potwierdził Obcy.

– Ilu mieszkańców ma Pierwsza Ziemia?

– Dwa miliardy.

– Jak to możliwe, żeby na świecie było tylu biednych?

– Jak to możliwe, żeby na jednym świecie nie było tylu biednych? – odpowiedział Obcy.

– Można by pomyśleć – rzekł Gladkolufy – że zbyt wielu biednych zdestabilizuje świat i że sytuacja stanie się trudna także dla warstw średniej i wyższej.

– W tym stadium rozwoju Czwartej Ziemi to prawda.

– Ale nie zawsze będzie to prawda?

Pierwszy Ziemianin pochylił głowę i zastanowił się nad tym, po czym odparł:

– Właściwie mogę ci opowiedzieć historię bogatych i biednych na Pierwszej Ziemi.

– Chętnie jej posłucham – powiedział Gładkolufy i wsunął rewolwer do kabury.

– Nasze cywilizacje są zadziwiająco podobne – zaczął Obcy. – Już przebyliśmy drogę, którą wy podążacie, i też przeżyliśmy podobną epokę

jak teraz wy. Chociaż podział bogactwa nie był równy, w naszym społeczeństwie panowała pewna równowaga. Populacje bogatych i biednych miały dającą się kontrolować wielkość i powszechnie uważano, że wraz z rozwojem społeczeństwa nierówności majątkowe znikną. Wielu ludzi czekało z utęsknieniem na wiek powszechnej pomyślności i harmonii. Ale wkrótce odkryliśmy, że sprawy są dużo bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażaliśmy, i że równowaga, którą osiągnęliśmy, zostanie niebawem zniszczona.

– Przez co?

– Przez edukację. Wiesz, że na obecnym etapie rozwoju Czwartej Ziemi wykształcenie jest jedynym sposobem na podniesienie swojej pozycji społecznej. Jeśli społeczeństwo jest oceanem podzielonym na warstwy o różnej temperaturze i stopniu zasolenia, to edukacja jest rurą, która łączy jego dno z powierzchnią i zapobiega całkowitej izolacji jednych warstw od innych.

– Mówisz, że coraz mniej ludzi będzie stać na studia?

– Tak. Koszt zdobycia wyższego wykształcenia coraz bardziej rósł i w końcu stało się ono przywilejem zarezerwowanym dla synów i córek elity społecznej. Mimo to cena tradycyjnej edukacji ma granice, nawet jeśli jest to cena rynkowa, więc chociaż ta rura stała się cienka jak nić pajęcza, nie znikła zupełnie. Jednak pewnego dnia edukację radykalnie odmieniło pojawienie się nowej technologii.

Gładkolufy zaryzykował:

– Masz na myśli zdolność przekazywania wiedzy bezpośrednio do mózgu?

– Tak, ale bezpośredni transfer wiedzy stanowił tylko część problemu. Do ludzkiego mózgu można było wszczepić superkomputer o pojemności dużo przekraczającej pojemność samego mózgu i zawartą w nim oraz

zinwentaryzowaną wiedzę przywoływać jako wyraźne wspomnienia – ciągnął Obcy. – Ale była to tylko jedna z drugorzędnych funkcji tego komputera. Wzmacniał on inteligencję i zrozumienie i mógł wznieść ludzkie myśli na zupełnie nowy poziom. Nagle wiedza, inteligencja, głębia myśli, nawet doskonałość umysłu, charakter i osądy estetyczne stały się towarami do kupienia.

– Musiały dużo kosztować – zauważył Gładkolufy.

– Niewiarygodnie dużo. Ujmując to w waszych obecnych kategoriach monetarnych, koszt tego wysokiego wykształcenia dla jednej osoby był równy cenie dwóch czy trzech pięciusetmetrowych apartamentów na jednym z najlepszych szanghajskich czy pekińskich osiedli.

– Ale nawet przy tej cenie nadal byli tacy, których było na to stać.

– Tak – przyznał Pierwszy Ziemianin – ale był to tylko mały segment klasy wyższej. Rura prowadząca z dna na powierzchnię została całkowicie przecięta. Osoby, które uzyskały to najwyższe wykształcenie, były nieporównanie inteligentniejsze od reszty. Różnice umysłowe między wyedukowaną elitą i zwykłymi ludźmi były tak duże jak między ludźmi i psami i ujawniały się we wszystkich aspektach życia, nawet we wrażliwości na sztukę. Ta superinteligencja stworzyła nową kulturę, tak niepojętą dla reszty ludzi jak symfonia dla psa. Jej członkowie mogli opanować setki języków i w każdej sytuacji używać tego, którego wymagała etykieta. Dla tych superintelektualistów rozmowa ze zwykłymi ludźmi była czymś takim jak przemawianie do szczeniaka. A więc, naturalnie, musiało się coś stać. Jesteś bystry, powinieneś sam się domyślić.

Gładkolufy się zawahał.

– Bogaci i biedni nie należeli już do tego samego… tego samego…

– Do tego samego gatunku. Bogaci różnili się od biednych tak jak biedni od psów. Biedni przestali już być dla nich ludźmi.

Gładkolufego zatkało.

– To musiało wszystko zmienić – rzekł po chwili.

– To wiele zmieniło. Przede wszystkim przestały istnieć wspomniane przez ciebie czynniki, dzięki którym utrzymywała się równowaga majątkowa i które ograniczały liczbę biednych. Nawet gdyby psów było więcej niż ludzi, nie mogłyby one zdestabilizować podstaw ludzkiego społeczeństwa. W najgorszym razie ten wstrząs byłby niegroźnym zakłóceniem porządku. – Obcy zmarszczył czoło. – Chociaż rozmyślne zabicie psa może być przestępstwem, to nie takim jak zabicie człowieka. Kiedy zdrowiu i bezpieczeństwu ludzi zagraża wścieklizna, uważa się, że wytępienie wszystkich psów w okolicy jest akceptowalne. Litość dla biednych zasadza się na jednym: na uznawaniu ich za ludzi. Gdy biedni przestali być ludźmi i zniknęły wszystkie cechy wspólne biednych i bogatych, zniknęła też litość. Była to druga ewolucja człowieka. Kiedy oddzieliliśmy się od małp, stało się tak w wyniku doboru naturalnego. Gdy oddzieliliśmy się od biednych, stało się tak wskutek tak samo świętego prawa: nienaruszalności własności prywatnej.

– W naszym świecie własność prywatna też jest święta.

– Na Pierwszej Ziemi podtrzymywało ją coś o nazwie Maszyna Społeczna – wyjaśnił Obcy. – Był to potężny system przymusu, a jego „funkcjonariusze” znajdowali się w każdym zakątku planety. Niektórzy nie byli więksi od komarów, ale mogli zabić jednym uderzeniem setki ludzi. Nie rządziły nimi trzy prawa sformułowane przez waszego Asimova, lecz podstawowa zasada Konstytucji Pierwszej Ziemi, która stanowiła, że własność prywatna jest nienaruszalna. Ale nie można powiedzieć, że wprowadziły one autokrację. Egzekwowały prawo z całkowitą bezstronnością i w żaden sposób nie faworyzowały biednych. Jeśli została zagrożona żałosna własność jakiegoś biedaka, chroniły ją zgodnie

z konstytucją. Pod ochroną Maszyny Społecznej bogactwo Pierwszej Ziemi płynęło nieprzerwanie do kieszeni wąskiej elity. Co gorsza, postęp technologiczny usunął zależność klas posiadających od ludzi bez majątku. Na waszym świecie bogaci nadal potrzebują biednych, bo fabryki potrzebują robotników. Na Pierwszej Ziemi maszyny nie potrzebowały już ludzkich operatorów, a wysokowydajne roboty mogły wykonać każde zadanie. Biedacy nie mogli już sprzedawać swojej pracy i w rezultacie wpadli w skrajną nędzę. Zmieniło to rzeczywistość ekonomiczną na Pierwszej Ziemi i ogromnie przyspieszyło koncentrację bogactwa w rękach garstki osób.

Nie potrafiłbym opisać ci bardzo złożonego procesu tej koncentracji bogactwa – mówił Obcy – ale w zasadzie przypomina on przemieszczanie się kapitału w waszym świecie. Za czasów mojego pradziadka dziesięć milionów osób kontrolowało sześćdziesiąt procent bogactwa Pierwszej Ziemi. Za czasów dziadka sześćdziesiąt procent bogactw naszego świata było w rękach dziesięciu tysięcy ludzi. Za czasów ojca dziewięćdziesiąt procent tego bogactwa należało tylko do czterdziestu dwóch osób. Gdy się urodziłem, kapitalizm na Pierwszej Ziemi osiągnął szczyt i dokonał się niewiarygodny cud: dziewięćdziesiąt dziewięć procent bogactwa naszej planety znalazło się w posiadaniu jednej osoby! Ta osoba stała się Ostatnim Kapitalistą.

Chociaż między pozostałymi dwoma miliardami nadal istniały różnice w standardzie życia, kontrolowali oni tylko jeden procent ogólnych zasobów naszego świata. To znaczy, że Pierwsza Ziemia stała się światem, na którym żył jeden bogacz i dwa miliardy biedaków. Przez cały ten czas obowiązywała zasada nienaruszalności własności prywatnej, więc Maszyna Społeczna wiernie wykonywała swoje zadanie i chroniła własność jednej osoby.

Chcesz wiedzieć, co posiadał Ostatni Kapitalista? – Obcy podniósł głos. – Posiadał Pierwszą Ziemię! Wszystkie kontynenty i oceany na naszej planecie stały się jego prywatnymi salonami i ogrodami. Do jego majątku należała nawet atmosfera.

Pozostałe dwa miliardy ludzi mieszkały w całkowicie odgrodzonych osiedlach – miniaturowych, osobnych jednostkach podtrzymania życia. Żyli zamknięci w swoich małych światach dzięki skąpym dostawom wody, powietrza, ziemi i innych zasobów. Jedynym źródłem, które nie należało do Ostatniego Kapitalisty i którego nie mógł zgodnie z prawem odebrać reszcie świata, było światło słoneczne.

Mój dom znajdował się przy małej rzece o trawiastych brzegach. Do rzeki i za nią, aż do podnóża odległych szmaragdowych wzgórz, ciągnęły się łąki. Słyszeliśmy głosy ptaków i plusk ryb w wodzie, widzieliśmy stada jeleni pasących się na brzegach, ale szczególnie urzekający był widok trawy falującej w podmuchach wiatru.

Jednak nic z tego nie należało do nas. Moja rodzina była zupełnie odcięta od świata na zewnątrz i mogliśmy tylko patrzeć przez hermetyczne iluminatory, których nie dało się otworzyć. Żeby wyjść na zewnątrz, trzeba było przejść przez śluzę powietrzną, jakby się wychodziło ze statku w przestrzeni kosmicznej. Prawdę mówiąc, nasz dom był jak taki statek, jedyna różnica polegała na tym, że wrogie otoczenie znajdowało się nie na zewnątrz, lecz wewnątrz! Mogliśmy oddychać tylko zepsutym powietrzem dostarczanym przez system podtrzymania życia, pić tylko wodę wtórnie filtrowaną milion razy, jeść tylko żywność wytwarzaną z naszych odchodów. I przez cały czas od rozległego, bogatego świata przyrody oddzielała nas tylko jedna ściana. Wychodząc na zewnątrz, musieliśmy się ubierać jak astronauci i brać ze sobą własne jedzenie i wodę. Zabieraliśmy ze sobą nawet własne zbiorniki z tlenem, bo przecież powietrze należało nie

do nas, ale do Ostatniego Kapitalisty. Oczywiście od czasu do czasu mogliśmy zaszaleć. Z okazji świąt albo ślubów wolno nam było opuścić naszą klitkę i rozkoszować się światem na zewnątrz. Pierwszy łyk naturalnego powietrza uderzał do głowy. Było słodkie, tak słodkie, że chciało się krzyczeć z rozkoszy. Ale nie darmowe. Przed wyjściem z domu musieliśmy łykać liczniki powietrza wielkości tabletki, które dokładnie mierzyły, ile go wdychamy. Za każdym wdechem ściągano z naszych rachunków bankowych odpowiednią opłatę. Dla większości biedaków był to luksus, na który mogli sobie pozwolić raz czy dwa razy w roku. Nigdy nie pozwalaliśmy sobie na zewnątrz na wysiłek. Przeważnie tylko siedzieliśmy i kontrolowaliśmy oddech. Przed powrotem do domu musieliśmy dokładnie zeskrobać ziemię z podeszew butów, bo ona też nie należała do nas. – Pierwszy Ziemianin przerwał. – Opowiem ci, jak umarła moja matka – rzekł po chwili. – Żeby zmniejszyć wydatki, przez trzy lata powstrzymywała się przed wyjściem z domu. Nie wychodziła nawet w święta. Potem pewnej nocy udało się jej prześliznąć we śnie przez śluzę. Musiała jej się przyśnić przyroda. Funkcjonariusz systemu kontroli odkrył ją, kiedy zaszła już dość daleko. Stwierdził, że nie połknęła licznika powietrza, więc chwycił ją metalowymi szponami za szyję i zaciągnął z powrotem do domu. Nie miał zamiaru jej udusić. Powstrzymując jej oddychanie, chciał tylko chronić nienaruszalną własność innego obywatela: powietrze. Gdy przywlókł ją do domu, była już martwa. Puścił jej zwłoki i poinformował nas, że popełniła kradzież. Nałożono na nas grzywnę, ale nie byliśmy w stanie jej zapłacić, więc skonfiskowano ciało. Musisz wiedzieć, że dla biednej rodziny zwłoki są cenną rzeczą, bo siedemdziesiąt procent ciała stanowi woda, a są też źródłem kilku innych substancji. Jednak wartość ciała mojej matki nie pokrywała w pełni grzywny, więc

Maszyna Społeczna odessała z naszego mieszkania ilość powietrza odpowiadającą reszcie tej kary.

System podtrzymania życia naszej rodziny i tak już osiągnął poziom krytyczny, bo brakowało nam funduszy na jego zasilenie. Pozbawienie nas jeszcze większej ilości powietrza zagroziło naszemu przetrwaniu. Aby uzupełnić utratę tlenu, system podtrzymania życia musiał poddać część naszych zasobów wody elektrolizie. Niestety, ta operacja spowodowała, że system zaczął gwałtownie szwankować. Główny komputer kontrolny wszczął alarm: jeśli nie dodamy do systemu piętnastu litrów wody, za trzydzieści godzin system padnie. Wszystkie pomieszczenia wypełniło purpurowe światło ostrzegawcze.

Zastanawialiśmy się, czy nie ukraść trochę wody z rzeczki, ale wkrótce porzuciliśmy ten pomysł. Zanim wrócilibyśmy z nią do domu, zastrzeliliby nas wszechobecni funkcjonariusze. Ojciec przez chwilę myślał, a potem powiedział mi, żebym się nie martwił i poszedł spać. Chociaż byłem przerażony, niedobór tlenu zrobił swoje i zasnąłem. Nie wiem, ile minęło czasu, kiedy obudził mnie robot. Wszedł do mieszkania z pojazdu konwersji zasobów, który zacumował przy domu. Wskazał na wiadro krystalicznie czystej wody i powiedział: „To twój ojciec”.

Pojazdy konwersji zasobów były mobilnymi urządzeniami przerabiającymi ludzkie ciała na zasoby, które mogły być wykorzystane przez domowe systemy podtrzymania życia. Mój ojciec skorzystał z tego urządzenia, by wyekstrahować ze swojego ciała wodę do ostatniej kropli, mimo że nie dalej niż sto metrów od naszego domu płynęła rzeczka. Pojazd konwersji zasobów wyodrębnił z ciała mojego ojca również kilka innych użytecznych rzeczy: pojemnik tłuszczu, butelkę tabletek z wapniem, a nawet kawałek żelaza wielkości monety. – Obcy znowu przerwał, żeby się pozbierać, po czym podjął na nowo: – Woda z ciała mojego ojca uratowała

system podtrzymania życia przed zepsuciem, więc przeżyłem. Rosłem i tak minęło pięć lat. Pewnego jesiennego wieczoru, spoglądając przez iluminator na świat na zewnątrz, zobaczyłem nagle, że ktoś biegnie wzdłuż rzeki. Zdumiałem się, bo kto zdobyłby się na taką ekstrawagancję, by tak głęboko oddychać na zewnątrz? Przyjrzawszy się bliżej, zdałem sobie sprawę, że to Ostatni Kapitalista we własnej osobie!

Zwolnił do kroku spacerowego, a potem usiadł na brzegu rzeki i zanurzył jedną stopę w wodzie. Wyglądał na schludnego mężczyznę w średnim wieku, ale naprawdę miał ponad dwa tysiące lat. Inżynieria genetyczna zapewniła mu życie na kolejne dwa tysiąclecia, a może nawet wieczne. Ale mnie wydawał się zupełnie zwykłym człowiekiem.

Dwa lata później znowu zaczęły szwankować pewne funkcje systemu podtrzymania życia w moim domu. Takie małe ekosystemy miały ograniczoną żywotność. W końcu wysiadł cały system. Gdy spadła zawartość tlenu w powietrzu, połknąłem licznik i wyszedłem na dwór, by nie zapaść w śpiączkę z powodu niedotlenienia. Jak wszyscy inni, których systemy podtrzymania życia się zepsuły, przyjąłem mój los ze stoickim spokojem: chciałem pooddychać za nędzne oszczędności na moim koncie i pogodziłem się z myślą, że potem zostanę uduszony albo zastrzelony przez funkcjonariusza Maszyny Społecznej.

Na zewnątrz zobaczyłem wiele osób. Zaczęły się masowe awarie domowych systemów podtrzymania życia. Nad nami pojawił się ogromny funkcjonariusz i przekazał ostatnie ostrzeżenie: „Obywatele, wkroczyliście na teren, który nie jest waszą własnością. To wtargnięcie na cudzą własność. Proszę natychmiast stąd odejść. W przeciwnym razie…”.

Odejść? Dokąd mogliśmy odejść? W naszych domach nie było już powietrza do oddychania. Razem z innymi popędziłem po zielonej trawie

brzegiem rzeki, wystawiając bladą twarz na świeży, wiosenny wietrzyk, gotów odejść w blasku chwały…

Nie wiem, jak długo biegliśmy, zanim uświadomiliśmy sobie, że przepuściliśmy na oddychanie resztki naszych oszczędności, a mimo to funkcjonariusz nie podjął żadnego działania. I akurat wtedy z ogromnego funkcjonariusza rozległ się dudniący głos Ostatniego Kapitalisty:

Witam wszystkich w moim skromnym domu!

Miło mi, że mam tak wielu gości, i ufam, że dobrze się bawicie w moim ogrodzie. Będziecie musieli mi jednak wybaczyć, bo jest was za dużo. Na ten moment prawie miliard ludzi opuściło swoje domy, ponieważ zepsuły się ich systemy podtrzymania życia, i weszło do mojego. Za chwilę może do nich dołączyć drugi miliard. Naruszyliście moją prywatną własność i pogwałciliście prawo do zamieszkania i prywatności. Zgodnie z tym prawem Maszyna Społeczna powinna podjąć działania w celu odebrania wam życia i gdybym jej przed tym nie powstrzymał, jej funkcjonariusze już dawno spaliliby was promieniami laserów. W każdym razie powstrzymałem ją. Jestem dżentelmenem, który otrzymał najlepsze wykształcenie, i traktuję gości – nawet nieproszonych – uprzejmie i z szacunkiem. Ale musicie spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Dwa miliardy gości to za dużo nawet dla najbardziej wspaniałomyślnego gospodarza, a ja lubię spokój i samotność. Dlatego muszę was prosić, byście stąd wyszli. Oczywiście wiem, że nie ma na Ziemi miejsca, do którego moglibyście się udać, więc wziąłem na siebie zadanie przygotowania dla was floty dwudziestu tysięcy statków kosmicznych. Każdy z nich ma wielkość średniego miasta i może lecieć z prędkością jednego procenta prędkości światła. Wprawdzie te statki nie są wyposażone w kompletne systemy podtrzymania życia, ale znajduje się na nich dość komór kriogenicznych, by mogły się w nich pomieścić dwa miliardy osób, czyli wy wszyscy, i przeżyć tam przez pięćdziesiąt tysięcy lat. Ziemia jest jedyną planetą w naszym układzie słonecznym, więc będziecie musieli poszukać sobie wśród gwiazd nowego domu, ale jestem pewien, że znajdziecie takie miejsce. Czy przy ogromie kosmosu naprawdę jest konieczne, byśmy się tłoczyli w mojej małej chatce? Nie możecie mieć do mnie pretensji. Wszedłem w posiadanie tego domu w całkowicie legalny sposób. Zaczynałem jako szef małej firmy produkującej artykuły do higieny dla kobiet i do dzisiejszego dnia polegam tylko na

mojej smykałce do interesów. Jestem przestrzegającym prawa obywatelem, więc Maszyna Społeczna chroniła, chroni i będzie chronić mnie oraz moją legalną własność. Nie będzie jednak tolerować łamania przez was prawa, radzę więc wszystkim, by jak najszybciej się stąd wynieśli. Z szacunku dla naszego wspólnego pochodzenia będę o was pamiętał i mam nadzieję, że wy też będziecie o mnie pamiętać. Uważajcie na siebie.

I tak przybyliśmy na Czwartą Ziemię – zakończył Pierwszy Ziemianin. – Nasza podróż trwała czterdzieści tysięcy lat. Wędrując bez końca przez przestrzeń kosmiczną, straciliśmy połowę floty. Niektóre statki zniknęły w pyle międzygwiezdnym, inne pochłonęły czarne dziury… Ale dziesięć tysięcy przetrwało i dotarliśmy na ten świat. Oto historia Pierwszej Ziemi, historia dwóch miliardów biedaków i jednego bogacza.

– Czy gdybyście nie wmieszali się w nasze sprawy, nasz świat przeszedłby tę samą drogę? – zapytał Gładkolufy, gdy pierwszy Ziemianin skończył swoją opowieść.

– Nie wiem. Może tak, może nie. Droga każdej cywilizacji jest jak los jednostki: nieprzewidywalna. – Obcy zrobił pauzę. – Powinienem już lecieć. Jestem tylko zwykłym rachmistrzem dokonującym spisu ludności i muszę zarabiać na życie.

– Ja też mam sprawy do załatwienia – odrzekł Gładkolufy.

– Żegnaj, młodszy bracie.

– Żegnaj, starszy bracie.

W świetle pierścienia gwiazd dwaj mężczyźni z dwóch różnych światów się rozstali i każdy z nich poszedł w swoją stronę.

Gdy Gładkolufy wszedł do Sali Prezydenckiej, odwróciło się twarzami do niego trzynastu członków stałej komisji Rady do Spraw Upłynnienia

Majątku Społecznego. Pierwszy przemówił Zhu Hanyang:

– Sprawdziliśmy, jak wykonałeś zadanie. Dobrze się spisałeś. Przelaliśmy na twoje konto drugą połowę zapłaty, chociaż niedługo będziesz mógł korzystać z tych pieniędzy. – Zrobił pauzę. – Jest coś, o czym już pewnie wiesz: na Ziemi wylądowali rachmistrze Starszych Braci, by przeprowadzić spis ludności. Teraz nasza praca stała się bezcelowa, więc nie mamy dla ciebie dalszych zadań.

– Prawdę mówiąc, przyjąłem kolejne zlecenie.

Mówiąc to, Gładkolufy wyjął jedną ręką rewolwer, a drugą, zaciśniętą w pięść, wyciągnął do przodu.

Trzask, trzask, trzask, trzask, trzask, trzask, trzask – na stojący przed nim stół upadło siedem błyszczących naboi. Razem z sześcioma w cylindrze Perkatka było ich trzynaście.

Jak na komendę wykrzywiło się trzynaście twarzy osób ukształtowanych przez ciężar ich ogromnych majątków i pojawiły się na nich szok i przerażenie. Potem powrócił na nie spokój. Może poczuli ulgę.

Na zewnątrz spadł deszcz potężnych meteorytów. Ich jaskrawe światło przeniknęło przez ciężkie kotary i otoczyło kryształowy żyrandol, a ziemia gwałtownie się zatrzęsła. Statki Pierwszych Ziemian weszły w atmosferę.

– Jadłeś kolację? – zapytała Gładkolufego Xu Xueping. Wskazała na stos klusek błyskawicznych na stole. – Najpierw zjedzmy.

Postawili na trzech kryształowych popielniczkach dużą wazę do ponczu i wlali do niej wodę. Potem rozpalili pod nią ogień stujuanowymi banknotami. Dokładali po kolei banknoty do ognia, patrząc w zamyśleniu na żółte i zielone płomienie, które podskakiwały jak małe wesołe stworzenia.

Po spaleniu 1,35 miliona juanów woda zaczęła wrzeć.

KLĄTWA 5.0

Klątwa narodziła się 8 grudnia 2009 roku.

Był to drugi rok kryzysu finansowego. Liczono na to, że ten kryzys szybko się skończy; nikt się nie spodziewał, że to dopiero początek. Społeczeństwo było zaniepokojone. Każdy chciał jakoś dać upust swoim lękom, więc ludzie zaczęli wymyślać nowe sposoby wyładowania energii. Być może Klątwa była wynikiem tego ogólnego nastroju.

Jej autorką była młoda kobieta w wieku od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat. Tylko tyle informacji o niej zdołali znaleźć archeolodzy IT.

Rzuciła tę klątwę na dwudziestoletniego mężczyznę. Jego dane osobowe dobrze się zachowały. Nazywał się Sa Bi* i był studentem czwartego roku politechniki w Taiyuan. Między nim i tą młodą kobietą nie zaszło nic nadzwyczajnego, ot, pospolity dramat, jaki przydarza się wielu młodym. Później krążyło wiele wersji tej historii i być może żadna z nich nie była prawdziwa, ale nikt nie potrafił stwierdzić, co właściwie się stało. W każdym razie kiedy to, co między nimi było, się skończyło, owa kobieta czuła do niego tylko nienawiść i dlatego napisała Klątwę 1.0.

Była biegłą programistką, chociaż nie wiadomo, gdzie i jak nauczyła się tej sztuki. W tamtej epoce, mimo szybko powiększającej się rzeszy osób pracujących w branży IT, nie rosła liczba tych, którzy faktycznie opanowali programowanie niskopoziomowe. Z prostej przyczyny – istniało *zbyt* wiele dostępnych narzędzi i programowanie stało się *zbyt* wygodne. Nie trzeba było mozolnie jak kulis brnąć przez wiele linii kodu, skoro większość tego dało się stworzyć bezpośrednio za pomocą już istniejących narzędzi.

Odnosiło się to nawet do wirusów, takich jak ten, który ta kobieta zamierzała napisać. Dzięki powszechnej dostępności wielu narzędzi hakerskich stworzenie wirusa było równie łatwe jak złożenie kilku gotowych do użytku modułów, a można to było zrobić nawet prościej, modyfikując tylko jeden moduł. W ten sposób stworzono ostatniego wielkiego wirusa przed Klątwą, robaka zwanego Kadzidłem Pandy. Jednak owa kobieta postanowiła zacząć od zera, bez pomocy jakichkolwiek narzędzi. Pisała kod wiersz po wierszu, jak ciężko pracująca chłopka, która na zwykłym kołowrotku przędzie bawełniane nici. Kiedy wyobrazimy sobie, jak siedzi zgarbiona przed ekranem monitora i stuka z zaciśniętymi zębami w klawiaturę, przychodzą na myśl słowa *Tkaczy śląskich* Heinricha Heinego: „Niemcy! My całun tkamy wam czujnie/ a przetykamy klątwą potrójnie/ My tkamy, my tkamy”**.

Klątwa 1.0 była najszerzej rozpowszechnionym wirusem komputerowym w historii. Jego powodzenie można przypisać dwóm czynnikom. Przede wszystkim nie wyrządzał żadnej szkody zainfekowanym komputerom głównym. W istocie większość wirusów nie była tworzona w celach destrukcyjnych; powodowane przez nie zniszczenia były w dużym stopniu wynikiem kiepskich mechanizmów ich rozpowszechniania i uruchamiania. Klątwa została stworzona tak, by nie powodowała tego rodzaju skutków ubocznych. Zachowanie tego wirusa było bardzo powściągliwe i większość zarażonych przez niego komputerów nie przejawiała żadnych symptomów. Uruchamiała go tylko pewna kombinacja warunków systemu, w przybliżeniu obecna w jednym na dziesięć zainfekowanych urządzeń, a i wtedy objawiał się na danym komputerze tylko raz. Na ekranie ukazywał się napis:

> Zdechnij, Sa Bi!!!!!!!!

Jeśli użytkownik kliknął w ten napis, wirus pokazywał więcej informacji, które wyjaśniały, że obłożony klątwą jest studentem wydziału xx politechniki w Taiyuan w chińskiej prowincji Shanxi, jest w grupie xx i mieszka w akademiku xx, w pokoju xx. Wirus zapisywał się w oprogramowaniu sprzętowym, wskutek czego rezultat pozostawał taki sam, nawet jeśli użytkownik odinstalował system operacyjny.

Drugim czynnikiem leżącym u podłoża sukcesu Klątwy 1.0 była jej zdolność naśladowania systemów operacyjnych. Tej cechy młoda programistka nie wynalazła, ale fachowo ją wykorzystała. Naśladowanie to obejmowało edytowanie wielu części kodu wirusa pasujących do kodu systemu komputera głównego, a następnie przyjmowanie zachowań podobnych do normalnych procesów w tym systemie. Kiedy próbowały go usunąć narzędzia chroniące przed złośliwym oprogramowaniem, groziło to uszkodzeniem samego systemu. W końcu użytkownicy się poddawali, jak gospodyni domowa, która w obawie, że stłucze dobre porcelanowe naczynie, nie rzuci papciem w siedzącą obok niego mysz.

Prawdę mówiąc, Rising, Norton i inni producenci programów antywirusowych wzięli Klątwę 1.0 na celownik, ale szybko odkryli, że walka z nią wpędzi ich w kłopoty i będzie miała jeszcze gorsze konsekwencje niż Norton AntiVirus, który w 2007 roku omyłkowo usunął pliki systemu operacyjnego Windows XP. W połączeniu z faktem, że Klątwa 1.0 nie wyrządzała żadnych szkód i w minimalnym stopniu obciążała zasoby systemowe, doprowadziło to do tego, że wytwórcy zaczęli jeden po drugim usuwać ją ze swoich baz sygnatur wirusowych.

W dniu narodzin Klątwy pisarz Cixin Liu po raz dwieście sześćdziesiąty czwarty przybył w interesach do Taiyuan. Chociaż było to miasto, którego nie cierpiał najbardziej ze wszystkich miast na świecie, zawsze odwiedzał

pewien sklepik w dzielnicy domów publicznych, by kupić buteleczkę płynu do swojej archaicznej zapalniczki Zippo. Była to jedna z niewielu rzeczy, których nie można było dostać na Taobao ani na eBayu. Dwa dni wcześniej spadł śnieg i jak zwykle został udeptany na sczerniałą warstwę lodu. Cixin się poślizgnął i upadł tyłem na chodnik. Kiedy przybył na dworzec kolejowy, ból w zadku sprawił, że zapomniał wyjąć buteleczkę z płynem do zapalniczek z torby podróżnej i włożyć ją do kieszeni. W rezultacie została wykryta i skonfiskowana podczas kontroli bagażu i nałożono na niego mandat w wysokości dwustu juanów.

Znienawidził to miasto.

Klątwa 1.0 żyła dalej. Minęło pięć lat, potem dziesięć, a ona powielała się cicho w stale rozszerzającym się świecie wirtualnym.

Tymczasem skończył się kryzys finansowy i powrócił dobrobyt. W miarę szybkiego wyczerpywania się rezerw ropy naftowej rósł udział węgla w globalnym bilansie energii. Czarne złoto sprawiło, że do Shanxi zaczął napływać strumień pieniędzy, który przekształcał biedną wcześniej prowincję we wschodnioazjatycką Arabię. Jej stolica, Taiyuan, stała się nowym Dubajem. Miasto przypominało węglowego potentata, który panicznie się bał ponownego popadnięcia w ubóstwo. W tamtych obiecujących czasach na początku wieku jego mieszkańcy nosili markowe kurtki i fabrycznie podarte i postrzępione spodnie. Chociaż codziennie po ulicach przewalały się tłumy bezrobotnych, budowa najbardziej luksusowej w Chinach sali koncertowej i łaźni posuwała się w szybkim tempie.

Taiyuan dołączyło do szeregu nuworyszy i rozbrzmiewało histerycznym śmiechem ze swojej próżnej ekstrawagancji. Przy ogromnych wieżowcach wzdłuż alei Yingze bladła panorama szanghajskiej dzielnicy Pudong; ta

główna arteria, ustępująca pod względem szerokości tylko alei Chang'an***, stała się głębokim kanionem, gdzie nigdy nie zaglądało słońce. Do miasta w pogoni za swymi marzeniami i pragnieniami napływali bogaci i biedni, a wpadłszy w wir zgiełku i bogactwa, który kręcił się przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, szybko zapominali o tym, kim byli i czego chcieli.

I wtedy pewnego dnia, podczas trzysta dziewięćdziesiątej siódmej wizyty w Taiyuan, Cixin Liu udał się do dzielnicy domów publicznych, by kupić następną buteleczkę płynu do zapalniczek. Idąc ulicami, zobaczył nagle eleganckiego i przystojnego młodego mężczyznę z charakterystycznym białym pasemkiem w długich, ciemnych włosach. Mężczyzną tym był Pan Dajiao, pisarz, który zaczął od tworzenia książek fantastycznonaukowych, potem przerzucił się na fantasy, a na koniec usadowił się gdzieś pomiędzy tymi gatunkami. Zwabiony dobrobytem Taiyuan, przeniósł się tam z Szanghaju. W owym czasie Cixin i Pan stali po przeciwnych stronach barykady oddzielającej zwolenników miękkiego science fiction od miłośników twardego. To przypadkowe spotkanie było miłym zbiegiem okoliczności.

Pałaszując pyszne danie w restauracji serwującej tounao****, zarumieniony na twarzy od wypitego trunku Cixin gadał z podnieceniem o swoim następnym wielkim przedsięwzięciu. Planował napisać dziesięciotomową epopeję fantastycznonaukową, w której miało występować trzy miliony postaci i która miała być opisem dwóch tysięcy śmierci dwustu cywilizacji we wszechświecie wielokrotnie pustoszonym przez zapadnięcie się próżni. Miała się ona kończyć wpadnięciem, niczym woda ze spłuczki do sedesu, całego znanego wszechświata w czarną dziurę. Pan był pod wrażeniem i zaproponował współpracę – wychodząc od tego

samego pomysłu, Cixin napisałby najtwardszą z możliwych wersję dla mężczyzn, a Pan najbardziej miękką dla kobiet.

Obaj rozgorzali jak płonący dom i natychmiast porzucili wszystkie ziemskie sprawy i zajęli się gorączkowym tworzeniem.

Po dziesięciu latach nadszedł kres Klątwy 1.0.

Po wprowadzeniu Visty Microsoft miał trudności z usprawiedliwieniem częstych modyfikacji tego systemu operacyjnego, co trochę przedłużyło życie Klątwie 1.0. Ale systemy operacyjne były jak żony świeżo upieczonych miliarderów – stale musiały się pojawiać ich nowe wersje. Kod Klątwy coraz mniej do nich pasował i zaczął się osuwać na dno Internetu. Ale gdy miał już zniknąć, narodziła się nowa dziedzina badań – archeologia IT. Chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał, że w Internecie, który liczył niespełna pół wieku, nie ma żadnych na tyle starych artefaktów, by warto było je badać, znalazło się kilka nostalgicznie nastawionych osób, które się temu poświęciły. Archeologia IT zajmowała się głównie odgrzebywaniem różnych reliktów przeszłości, które wciąż żyły w zakamarkach cyberprzestrzeni, takimi jak mająca dziesięć lat strona internetowa, która nigdy nie poczuła kliknięcia myszki, czy Bulletin Board System, którego od dwudziestu lat nikt nie odwiedził, ale który nadal pozwalał na zamieszczanie nowych postów. Najbardziej poszukiwanymi z tych wirtualnych artefaktów były „starożytne” wirusy. Znalezienie żywego okazu wirusa stworzonego przed dziesięcioma laty było dla archeologa IT czymś takim jak odkrycie dinozaura w jeziorze Tianchi.

W ten właśnie sposób natrafiono na Klątwę 1.0. Jej odkrywca dostosował cały kod wirusa do nowego programu operacyjnego i tym samym zapewnił jej dalsze trwanie.

Zaktualizowaną wersją była Klątwa 2.0. Kobietę, która stworzyła Klątwę 1.0, nazwano Przodkinią, a archeologa IT, który ją uratował, Aktualizatorem.

Chwila, w której Klątwa 2.0 znalazła się w sieci, zastała Cixina i Pana przy kuble na śmieci w pobliżu dworca kolejowego w Taiyuan. Walczyli o wyłowioną parę minut temu ze śmieci tackę ramenu. Przez sześć lat spali na gołej podłodze i cierpieli niedostatek, aż w końcu wyprodukowali dziesięciotomowe dzieło fantastycznonaukowe, w którym pojawiały się trzy miliony postaci, i takie same dzieło fantasy. Zatytułowali je, odpowiednio, *Problem trzech tysięcy ciał* i *Dziewięćdziesiąt tysięcy światów*. Byli pewni, że są to arcydzieła, ale nie udało im się znaleźć wydawcy. A więc obaj sprzedali cały swój majątek, włącznie z domami, wzięli pożyczki pod zastaw swoich emerytur i wydali je własnym nakładem. Sprzedało się, odpowiednio, piętnaście i dwadzieścia siedem egzemplarzy *Problemu trzech tysięcy ciał* i *Dziewięćdziesięciu tysięcy światów*, czyli w sumie czterdzieści dwa, co – jak wie każdy miłośnik fantastyki naukowej – jest szczęśliwą liczbą. Po wspaniałej promocji książek, również zorganizowanej na własny koszt, podczas której podpisali te egzemplarze, obaj zaczęli życie tułaczy.

Nie było miasta bardziej przyjaznego dla włóczęgów niż Taiyuan. Kubły na odpadki w tej rozrzutnej metropolii były niewyczerpanym źródłem jedzenia. W najgorszym razie zawsze można było w nich znaleźć kilka tabletek od dziewiątej do piątej. Również znalezienie miejsca do spania nie było problemem. Wzorem Dubaju Taiyuan wyposażył każdy przystanek autobusowy w ogrzewanie i klimatyzator. Jeśli Cixinowi i Panowi znudziły się ulice, mogli spędzić kilka dni w schronisku dla bezdomnych, gdzie

dostawali coś więcej niż tylko pożywienie i dach nad głową; kwitnąca branża usług seksualnych odpowiedziała na apel władz i wyznaczyła każdą niedzielę jako Dzień Pomocy Seksualnej dla Grup Zagrożonych. Schroniska były popularnymi miejscami, w których ochotniczki z dzielnicy czerwonych latarń prowadziły swoje akcje charytatywne. W miejskim wskaźniku zadowolenia z życia bezdomni żebracy plasowali się na pierwszym miejscu. Cixin i Pan żałowali, że nie wybrali tego stylu życia wcześniej.

Najprzyjemniejszymi wydarzeniami w ich nowej egzystencji były cotygodniowe zaproszenia kierowane do nich przez redakcję „Króla Fantastyki Naukowej". Zazwyczaj szli do jakiegoś ekstrawaganckiego lokalu, takiego jak restauracja Tang Dou. „Król Fantastyki Naukowej" był ideałem czasopisma poświęconego tej odmianie literatury. Istotą tego typu piśmiennictwa było budzenie zdziwienia i poczucia alienacji, ale opowiadania i powieści, w których rzeczywistość przedstawiona była światem pełnym niezwykłych osiągnięć technologicznych, straciły zdolność wywoływania takich uczuć. Cuda technologii stały się chlebem powszednim, dokonywały się codziennie. Współczesnych czytelników napawały podziwem i nabożną trwogą utwory opisujące świat na niskim poziomie rozwoju technologicznego. A więc wydawcy stworzyli podgatunek zwany „kontrfalową fantastyką naukową", która przedstawiała wyobrażenia o nieskomplikowanej przyszłej epoce. Jej ogromne powodzenie zapoczątkowało drugi złoty wiek science fiction. Starając się dopasować do tej kontrfali, redakcja „Króla Fantastyki Naukowej" pozbyła się komputerów i całkowicie zrezygnowała z Internetu. Przyjmowała tylko rękopisy i przeszła na druk wypukły. Kupiła mongolskie wierzchowce w cenie bmw za sztukę i zbudowała obok swoich pomieszczeń luksusowe

stajnie. Redaktorzy jeździli tylko na rumakach, które nigdy nie surfowały po sieci. Stukot kopyt w mieście zwiastował przybycie kogoś z KFN.

Redaktorzy często zapraszali Cixina i Pana na kolację. Oprócz tego, że stanowiło to wyraz szacunku dla tego, co napisali w przeszłości, świadczyło o uznaniu faktu, że chociaż to, co teraz tworzyli, trudno było nazwać fantastyką naukową, przestrzeganie przez nich zasad fantastyki kontrfalowej było bardzo w duchu science fiction. Żyli autonomicznie, całkowicie odcięci od sieci, faktycznie na poziomie niskiej technologii.

Ani Cixin, ani Pan, ani redakcja KFN nie spodziewali się, że to dziwactwo ocali im życie.

Klątwa 2.0 rozwijała się przez kolejnych siedem lat. Potem, pewnego dnia, natrafiła na nią kobieta, której nadano miano Uzbroicielki. Dokładnie przestudiowała kod Klątwy. Wyczuła nienawiść i gorycz, które Przodkini wplotła w ten kod siedemnaście lat wcześniej i które zostały w jej zmodyfikowanej wersji. Miała takie same doświadczenia jak ona i też tak bardzo znienawidziła pewnego mężczyznę, że na jego wspomnienie zgrzytała zębami. Ale pomyślała, że twórczyni pierwotnej wersji Klątwy była jednocześnie żałosna i śmieszna, bo co osiągnęła? Temu palantowi Sa Bi nie spadł włos z głowy. Przodkini przypominała odtrącone panny z ubiegłego wieku, wtykające szpilki w szmaciane lalki będące podobiznami łajdaków, którzy je porzucili. Takie głupie gierki niczego nie załatwiały i mogły tylko wpędzić ją w jeszcze głębszą depresję. Ale jest starsza siostra, która jej pomoże (Przodkini prawie na pewno jeszcze żyła, ale ze względu na różnicę wieku Uzbroicielka powinna ją nazywać raczej ciocią).

Od powstania Klątwy minęło siedemnaście lat i nastała nowa epoka – cały świat został schwytany w sieć. Kiedyś do Internetu mogły się podłączyć tylko komputery; Internet teraźniejszości był jak widowiskowa choinka, przyozdobiona i świecąca niemal wszystkimi przedmiotami, które znajdowały się na Ziemi. Na przykład wszystkie urządzenia elektryczne w gospodarstwach domowych były podłączone do sieci i przez nią nadzorowane. Nawet nożyczki do paznokci i otwieracze do butelek nie stanowiły wyjątku. Te pierwsze potrafiły odkryć przy obcinaniu paznokci niedobór wapnia i wysłać esemesem albo e-mailem ostrzeżenie o tym, te drugie mogły określić, czy przeznaczony do skonsumowania alkohol został wyprodukowany legalnie, albo przekazać zawiadomienie o wygranej na loterii. Mogły też powstrzymać użytkownika przed nadmiernym piciem, odmawiając otworzenia butelki, jeśli od otwarcia poprzedniej nie minęło wystarczająco dużo czasu. W tych warunkach Klątwa mogła manipulować nawet sprzętem.

Uzbroicielka dodała do Klątwy nową funkcję:

> Jeśli Sa Bi będzie jechał taksówką, zabij go w wypadku samochodowym!

Prawdę mówiąc, nie było to dla programistów nowej epoki trudne zadanie. Wszystkie współczesne samochody były pojazdami autonomicznymi pilotowanymi przez sieć. Kiedy pasażer przesuwał nad czytnikiem kartę płatniczą czy kredytową, Klątwa mogła go zidentyfikować dzięki znajdującemu się na karcie nazwisku jej posiadacza. Po ustaleniu, że jest on pasażerem taksówki, istniało mnóstwo sposobów pozbawienia go życia. Najprostszym byłoby roztrzaskanie samochodu o budynek albo pokierowanie nim tak, by spadł z mostu. Ale Uzbroicielka postanowiła, że nie wystarczy zwykła kolizja. Wybrała dla Sa Bi śmierć bardziej

romantyczną, bardziej odpowiednią dla mężczyzny, który przed siedemnastoma laty skrzywdził jej młodszą siostrę. (W rzeczywistości Uzbroicielka, tak samo jak wszyscy inni, nie miała pojęcia, co Sa Bi zrobił Przodkini, i było zupełnie możliwe, że nie ponosił żadnej winy za to, co się jej stało).

Gdyby zmodyfikowana Klątwa dowiedziała się, że ten, na którego została rzucona, znajduje się w taksówce, zignorowałaby podany przez niego adres i popędziłaby drogą z Taiyuan do Zhangjiakou, które stało się rozległym pustkowiem. Zatrzymałaby się tam i odcięła wszystkie połączenia ze światem zewnętrznym (do tego czasu zdążyłaby już się usadowić w komputerze pokładowym, więc nie potrzebowałaby Internetu). Ryzyko wykrycia było bardzo małe. Gdyby, bez względu na to, ile czasu minęło, do taksówki zbliżyli się jacyś ludzie albo inne pojazdy, ukryłaby ją w innym miejscu na pustyni. Drzwi byłyby cały czas zamknięte od środka. W ten sposób Sa Bi zimą zamarzłby na śmierć, latem by się ugotował, a wiosną czy jesienią zmarłby z głodu lub pragnienia.

Tak oto narodziła się Klątwa 3.0 i była prawdziwą klątwą.

Uzbroicielka należała do nowego rodzaju artystów sztucznej inteligencji. Manipulowali sieciami, by tworzyć sztukę performance’u, która nie miała żadnego praktycznego znaczenia, ale była bardzo piękna. (Naturalnie estetyka tamtej epoki mocno się różniła od estetyki, której hołdowano zaledwie dziesięć lat wcześniej). Potrafili na przykład ułożyć melodię z uruchomionych jednocześnie klaksonów wszystkich aut w mieście albo obraz na ścianie hotelu przez odpowiednią aranżację jego jasno rozświetlonych okien. Takim wytworem była Klątwa 3.0. Bez względu na to, czy naprawdę mogła pełnić swą funkcję, sama w sobie była wspaniałym dziełem sztuki. W rezultacie doczekała się bardzo pochwalnych opinii krytyków na szanghajskim Biennale 2026. Mimo że policja oświadczyła, iż

z powodu przyświecającego jej twórczyni zamiaru wyrządzenia szkody cielesnej klątwa jest złamaniem prawa, rozchodziła się po sieci. W jej zbiorowe doskonalenie włączyło się wielu innych artystów AI. Klątwa 3.0 szybko ewoluowała, w miarę jak do jej kodu dodawano coraz więcej funkcji:

> Jeśli Sa Bi jest w domu, uduś go oparami gazu!

Wykonanie tego zadania było dość łatwe, bo kuchnią w każdym gospodarstwie sterowano przez sieć, co pozwalało właścicielom przygotowywać posiłki zdalnie. Naturalnie obejmowało to również otwieranie gazu, a Klątwa 3.0 mogła wyłączyć czujniki wykrywające jego ulatnianie się w pomieszczeniu i odcinające dopływ.

> Jeśli Sa Bi jest w domu, spal go!

To też było proste. Oprócz gazu w każdym gospodarstwie domowym było wiele rzeczy, za których pomocą można było wzniecić pożar. Na przykład do sieci były podłączone nawet pojemniki z pianką i lakierem do włosów (co pozwalało zawodowemu styliście zrobić użytkownikowi fryzurę bez wychodzenia z domu). Oczywiście można też było uszkodzić instalację przeciwpożarową.

> Jeśli Sa Bi bierze prysznic, zabij go wrzącą wodą!

Podobnie jak pozostałe metody, była to bułka z masłem.

> Jeśli Sa Bi pójdzie do szpitala, zabij go toksycznym lekiem!

To było trochę bardziej skomplikowane. Przepisanie ofierze konkretnego farmaceutyku było dosyć proste; apteki we współczesnych szpitalach wydawały je automatycznie i były podłączone do sieci. Kluczową sprawą było zapakowanie leku. Wbrew swemu nazwisku Sa Bi nie był głupcem i cały plan spaliłby na panewce, gdyby nie chciał przyjąć medykamentu. Dlatego by Klątwa 3.0 zadziałała, musiała prześledzić drogę leku wstecz, do fabryki, gdzie go produkowano i pakowano, a potem łańcuch jego sprzedaży. A zatem doprowadzenie do tego, by sprzedano go ofierze, było wprawdzie trudne, ale wykonalne. A dla artystów sztucznej inteligencji im bardziej skomplikowana była praca, tym piękniejszy jej rezultat.

> Jeśli Sa Bi poleci samolotem, zabij go!

To już nie było proste. Było to zadanie znacznie trudniejsze niż przejęcie kontroli nad taksówką, bo przeklęty został tylko Sa Bi, więc Klątwa 3.0 nie mogła zabić innych pasażerów. Ponieważ było nieprawdopodobne, aby Sa Bi miał prywatny odrzutowiec, rozbicie samolotu nie wchodziło w grę. Ale istniało alternatywne rozwiązanie: w samolocie, na którego pokładzie znalazłby się Sa Bi, mogłoby dojść do nagłego spadku ciśnienia w kabinie pasażerskiej (wskutek otworzenia drzwi albo innej awarii), i kiedy wszyscy włożyliby maski tlenowe, jego maska by zawiodła.

> Jeśli Sa Bi je, spowoduj jego śmiertelne zakrztuszenie!

Brzmiało to absurdalnie, ale w rzeczywistości było całkiem łatwe do przeprowadzenia. Superszybkie tempo życia w nowoczesnym społeczeństwie doprowadziło do opracowania superszybkiej metody odżywiania się – stworzenia małej tabletki zwanej „od dziewiątej do piątej”. Miała ona niewiarygodną gęstość i była tak ciężka, że trzymając ją

w dłoni, miało się wrażenie, jakby trzymało się pocisk pistoletowy. Po połknięciu pęczniała w żołądku jak suchar. Chodziło o to, by wmieszać się w proces jej produkcji i wytworzyć błyskawicznie pęczniejącą tabletkę, a potem Klątwa 3.0 mogłaby tak pokierować sprzedażą, żeby tym, kto ją kupi, był Sa Bi. Zaraz po połknięciu tabletki w przerwie obiadowej i popiciu jej wodą rozdęłaby się w jego gardle.

Ale Klątwa 3.0 nigdy nie znalazła celu i nikogo nie zabiła. Po stworzeniu Klątwy 1.0 Sa Bi był prześladowany przez nieznanych mu ludzi i nękany przez reporterów. Nie miał wyboru i musiał zmienić nie tylko imię, ale nawet nazwisko. Trzeba zacząć od tego, że nazwisko Sa nosiło niewiele osób, a ponieważ imię Bi miało nieprzyzwoity homofon, nikt w mieście nie nazywał się Sa Bi. Jednocześnie nie było tak, że Sa Bi nie zmienił adresu ani miejsca zatrudnienia, a tymczasem wirus zachowywał się tak, jakby nadal studiował on na politechnice w Taiyuan, więc oczywiście nie mógł go znaleźć. Klątwa 3.0 została wyposażona w funkcję wyszukiwania nazwiska ofiary w archiwum Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego, ale poszukiwania były bezowocne. Tak więc przez cztery lata pozostawała tylko dziełem sztuki cyfrowej.

Ale potem pojawiły się wieloznaczniki: Cixin i Pan. Wieloznacznik albo znak globalny był starym pomysłem; pochodził z epoki mentorów (starożytnej epoki dyskowych systemów operacyjnych). Najpowszechniej używano dwóch wieloznaczników: „*” i „?”. Mogły one reprezentować jeden lub więcej znaków w programie, przy czym „?” odnosił się do jednego znaku, a „*” do dowolnej ich liczby i był najczęściej używanym wieloznacznikiem.

Na przykład „Liu*” odnosił się do każdej osoby o nazwisku Liu, a „Shanxi*” do każdego ciągu znaków zaczynającego się od „Shanxi”. Sam znak „*” odnosił się do wszystkich możliwych ciągów znaków. Dlatego

w epoce mentorów „del*.*” było najbardziej nikczemnym poleceniem, bo „del” nakazywało usunięcie danych, a nazwy wszystkich plików składały się z nazwy ogólnej i oddzielonego od niej kropką rozwinięcia. Mimo ewolucji systemów operacyjnych wieloznaczniki przetrwały, ale gdy w powszechnym użyciu zaczęto zastępować wiersze poleceń złączami graficznymi, stopniowo znikały z pamięci większości użytkowników komputerów. Mogły jednak być nadal używane w niektórych programach zawierających Klątwę.

Nadeszło Święto Środka Jesieni. Przy światłach Taiyuan księżyc wyglądał jak tłuste ciasteczko sezamowe. Cixin i Pan siedzieli na ławce na placu Wuyi. Rozłożyli smakołyki wygrzebane tego popołudnia: pięć w połowie pełnych butelek alkoholu, dwie na pół pełne torebki pokrojonych w paski steków wołowych Pingyao, ledwie napoczętą torebkę mięsa oślego Jinci i trzy tabletki od dziewiątej do piątej. Była to dobra zdobycz, więc szykowali się do uczty. Tuż po zmroku Cixin wyłowił z kubła na śmieci zepsuty laptop. Zaklinał się, że zdoła go naprawić, bo inaczej całe życie spędzone na pracy z komputerami okaże się guzik warte. Przykucnął obok ławki i zaczął grzebać we wnętrznościach sprzętu. Tymczasem Pan rozpamiętywał pomoc seksualną, którą tego popołudnia uzyskali w schronisku. W nadziei, że dzięki temu przypadnie mu większa ilość trunku i mięsa, Cixin zachęcił ochoczo Pana, by spożył trzy tabletki od dziewiątej do piątej, ale tamten nie dał się okpić i w ogóle pominął pigułki.

Wkrótce komputer zaczął znowu działać, a gdy się uruchamiał, jego ekran rozgorzał słabym niebieskim światłem. Kiedy Pan zobaczył, że laptop ma wciąż połączenie bezprzewodowe z Internetem, wyrwał go Cixinowi z rąk. Najpierw sprawdził QQ, ale jego konto było już od dawna nieaktywne. Potem sprawdził stronę Novoland, Zamek na Niebie

MMORPG w Douban i NewSMTH Tsinghua BBS w Jiangdongu, ale te łącza były zerwane. Odrzucił laptop i westchnął:

– Dawno temu pewien człowiek odleciał na grzbiecie żółtego żurawia.

Cixin, który zlewał zawartość butelek, zerknął na ekran i odpowiedział kolejnym wersetem liczącego tysiąc trzysta lat poematu: „I wszystkim, co pozostało, jest Wieża Żółtego Żurawia". Podniósł laptop i zaczął uważnie badać jego zawartość. Odkrył wiele narzędzi hakerskich i wirusów. Być może należał on do hakera i znalazł się w kuble na śmieci, kiedy jego właściciel uciekał przed policją AI.

Otworzył jeden z plików i stwierdził, że jest to zdekompilowany program w języku C. Rozpoznał w nim Klątwę 3.0. Przeglądając pobieżnie kod, wrócił pamięcią do czasów, kiedy był poetą cyfrowym. Gdy alkohol zaczął oddziaływać na jego mózg, przeszukał sekcję kodu identyfikującą ofiarę. Z boku Pan gadał o nadzwyczajnej literaturze fantastycznonaukowej minionych lat i Cixina wkrótce ogarnęła nostalgia. Odstawił komputer i przyłączył się do snującego wspomnienia Pana. To były czasy! Jego przepełnione wszechwiedzą, dynamiczne epopeje o zniszczeniu poruszały serca wielu młodych mężczyzn i napełniały je wspaniałym, dogmatycznym zapałem! A teraz, piętnaście egzemplarzy… sprzedał tylko piętnaście egzemplarzy! Kurwa! Pociągnął z butelki tęgi łyk. Trunek stracił już smak, ale nie ulegało wątpliwości, że nadal zawiera alkohol. Cixin poczuł nienawiść do czytelników płci męskiej, a potem do wszystkich mężczyzn. Spojrzał z odrazą na parametry obiektu Klątwy 3.0.

– N…n…nie ma już a…a…a…ni jed…d…dnego po…po…rządnego meszczyzny – wybełkotał, zmieniając nazwisko ofiary z Sa Bi na „*". Potem zmienił dane dotyczące miejsca zatrudnienia i dane adresowe z „politechnika Taiyuan, wydział xx, kierunek xx, Dom Studencki xx, pokój xx" na „*,*,*,*,*". Pozostawił bez zmiany tylko jeden parametr – płeć.

Tymczasem Pan zaczął biadolić. Myślał o swoich wczesnych dziełach, barwnych i głębokich jak wiersze, jak sny. Nie tak dawno temu jego proza czarowała masę nastoletnich dziewczyn. Był ich idolem. A teraz te młode kobiety mijały go, nawet nie rzuciwszy na niego okiem! Cóż za upokorzenie! Odrzuciwszy pustą butelkę, Pan mruknął:

– Jeśli wszyscy mężczyźni są do niczego, to co powiedzieć o kobietach?

Zmienił parametr płeć z „mężczyzna” na „kobieta”.

Cixin nie mógł na to pozwolić. Nie miał nic przeciwko kobietom; jego wulgarne powieści nigdy nie miały szansy na zdobycie czytelniczek. Przywrócił płeć „mężczyzna”, ale Pan natychmiast ją zmienił na „kobieta”. Zaczęli sprzeczać się o to, których niewdzięcznych, zdradzieckich czytelników powinna spotkać zasłużona kara, wskutek czego przyszłość mieszkańców Taiyuan oscylowała między stanem panieńskim i kawalerskim, przy czym w obu wypadkach obejmowała też stan wdowieństwa. Wkrótce przeszli od argumentów słownych do fizycznych i w ruch poszły butelki. Wymianę ciosów przerwała dopiero interwencja patrolu policyjnego. W końcu, rozcierając guzy na głowach, zawarli kompromis: zmienili parametr płeć na „*” i w ten sposób zakończyli nadawanie Klątwie 3.0 charakteru wieloznacznego. Być może stało się tak wskutek interwencji policji, a być może wskutek ich upojenia, ale przeoczyli trzy parametry: „Taiyuan, prowincja Shanxi, Chiny”.

Tak oto narodziła się Klątwa 4.0.

Taiyuan był przeklęty.

Już w chwili jej stworzenia nowa wersja klątwy w pełni zrozumiała wielką misję, jaką jej powierzono. Z powodu ogromu stojącego przed nią zadania Klątwa 4.0 nie przystąpiła od razu do działania. Zamiast tego dała sobie

czas na przeniknięcie i rozplenienie się w sieci. Gdy już się tam mocno okopała, opracowała plan ataku: zacznie od eliminacji najłatwiejszych celów, potem przejdzie do trudniejszych i rozszerzy zakres działań.

Dziesięć godzin później, kiedy na horyzoncie pokazały się pierwsze promienie świtu, Klątwa 4.0 ożyła.

Najłatwiejszymi celami były osoby wrażliwe, neurotyczne i impulsywne, zwłaszcza ludzie, którzy cierpieli na depresję albo chorobę afektywną dwubiegunową. W epoce gwałtownie się szerzących zaburzeń psychicznych i wszechobecnych poradni psychologicznych Klątwie 4.0 łatwo było znaleźć tego rodzaju cele. W pierwszej rundzie działań powiadomiono trzydzieści tysięcy osób, które przechodziły badania szpitalne, że zdiagnozowano u nich raka wątroby, żołądka, mózgu, okrężnicy czy tarczycy albo białaczkę. Najpowszechniejszym rozpoznaniem był rak przełyku (który miał w tym regionie najwyższy wskaźnik występowania). Kolejnych dwadzieścia tysięcy, które niedawno oddały krew, poinformowano, że wypadł u nich pozytywnie test na HIV. Nie odbyło się to przez proste sfałszowanie wyników badań. Klątwa 4.0 przejęła bezpośrednią kontrolę nad ultrasonografami, tomografami komputerowymi, aparatami do obrazowania za pomocą rezonansu magnetycznego i sprzętem do analizy krwi, by produkować „autentyczne” wyniki. Pozostawały one bez zmian, nawet jeśli pacjenci poddali się drugiemu badaniu w innym szpitalu. Większość tych pięćdziesięciu tysięcy zdecydowała się podjąć leczenie, ale około czterdziestu tysięcy znużonych już życiem natychmiast je zakończyło. W następnych dniach tego samego wyboru dokonywał stale cieknący strumyk osób.

Wkrótce potem pięćdziesiąt tysięcy wrażliwych, depresyjnych i dwubiegunowych ludzi otrzymało od swoich małżonków albo innych bliskich osób telefony. Mężczyźni usłyszeli od żon lub dziewczyn: „Popatrz

na siebie, gnojku. Czy ty w ogóle jesteś mężczyzną? Żyję teraz z [*] i jest nam razem bardzo dobrze, więc spadaj”. Natomiast kobiety usłyszały od mężów lub chłopaków: „Naprawdę wyglądasz na swój wiek i szczerze mówiąc, zawsze byłaś brzydka jak noc. Nie wiem, co w tobie widziałem. W każdym razie żyję teraz z [*] i jest nam razem bardzo dobrze, więc spadaj”.

Ci sfabrykowani rywale i rywalki byli przeważnie osobami, których ofiary już wcześniej nienawidziły. Większość tych pięćdziesięciu tysięcy odszukała swoich partnerów i nieporozumienie szybko się wyjaśniło. Ale około jednego procenta postanowiło zabić partnerów lub siebie, a niektórzy zrobili i jedno, i drugie. Potem Klątwa wybrała kilka innych łatwych celów. Prowokowała na przykład krwawe walki między konkurencyjnymi gangami i zmieniła wyroki przestępców odsiadujących kary wieloletniego albo dożywotniego więzienia na karę śmierci i doprowadziła do ich egzekucji. Jednak w sumie skuteczność tych operacji była niska i wyeliminowały one tylko kilka tysięcy celów. Mimo to Klątwa 4.0 miała właściwe nastawienie. Wiedziała, że wielkie rzeczy mają skromne początki. Nie miała zamiaru cofnąć się przed żadną, choćby drobną niegodziwością i chciała wypróbować każdą metodę.

W początkowej fazie realizacji swego planu Klątwa 4.0 zlikwidowała swoją twórczynię. Od czasu napisania Klątwy Przodkini odnosiła się do mężczyzn z ciągłą nieufnością. Stała się specjalistką od inwigilacji i za pomocą najnowocześniejszych metod śledziła przez dwadzieścia lat (niezłomnie jej wiernego) męża. Kiedy więc otrzymała jeden z *tych* telefonów, doznała zawału. Po przyjęciu do szpitala podano jej leki, które pogorszyły jej stan, i poniosła śmierć z rąk swojej własnej Klątwy.

W tej fazie zginęła też Uzbroicielka. Uzyskała pozytywny wynik testu na HIV i chociaż nie chciała się zabić, zażyła nadmierną dawkę środków

uspokajających. Znajdując się w stanie wywołanej przez te medykamenty halucynacji, wzięła okno za furtkę do uroczego ogrodu, wypadła z czternastego piętra i poniosła śmierć na miejscu.

Pięć dni później zaczęły się działania przeciw trudnym celom. Niezwyczajnie wysokie wskaźniki samobójstw i zabójstw wywołały w mieście panikę. Ale Klątwa 4.0 nadal latała poza zasięgiem radaru władz, więc pierwsze operacje wymierzone w trudne cele zostały przeprowadzone w wielkiej tajemnicy. Najpierw niebotycznie wzrosła liczba pacjentów otrzymujących niewłaściwe leki. Były one zapakowane normalnie, ale połknięcie nawet jednej dawki miało śmiertelny skutek. W tym samym czasie nastąpił gwałtowny wzrost liczby osób, które zadławiły się przy stole. Gęstość tabletek od dziewiątej do piątej zaczęła znacznie przekraczać normy. Ważąc je w dłoniach, konsumenci myśleli, że za niewielkie pieniądze kupili rzecz o dużej wartości.

Pierwszą próbą likwidacji na dużą skalę było dobranie się do dostaw wody. Nawet w mieście całkowicie kierowanym przez sztuczną inteligencję dodanie cyjanku czy gazu musztardowego bezpośrednio do ujęcia wody było niemożliwe. Wobec tego Klątwa 4.0 postanowiła wprowadzić do niego dwa szczepy genetycznie zmodyfikowanych bakterii. Chociaż same w sobie były one nieszkodliwe, po połączeniu się wytwarzały zabójczą toksynę. Klątwa nie dodała ich jednocześnie, ale najpierw pierwszy szczep, a gdy większa część tej kultury została pobrana z ujęcia, drugi. Do ich faktycznego połączenia dochodziło w ludzkim ciele. Gdy bakterie z tych dwóch szczepów spotkały się w żołądku albo we krwi, zaczynały produkować zabójczą toksynę. Jeśli nie doprowadziła ona do zgonu,

przewożono ofiarę do szpitala, gdzie otrzymywała farmaceutyk, który wchodził w reakcję z dwiema kulturami bakterii i zadawał ostateczny cios.

Tymczasem Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwu Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji udało się ustalić źródło tej katastrofy i podjąć gorączkowe wysiłki w celu stworzenia specjalnych narzędzi do walki z Klątwą 4.0. W reakcji na to Klątwa bardzo przyspieszyła i rozszerzyła swe działania. Jej ukryte machinacje stały się koszmarem, istnym trzęsieniem ziemi.

Pewnego dnia, w godzinach porannego szczytu komunikacyjnego, w mieście rozległa się seria stłumionych wybuchów. Były to odgłosy zderzających się pociągów. W Taiyuan niedawno zbudowano metro, a proces jego planowania zbiegł się w czasie z szybkim rozrostem miasta, więc było ono systemem bardzo zaawansowanym technologicznie. Pociągi kolei magnetycznej stały się znane ze swej niewiarygodnej prędkości. Zyskały przydomek „portale punktowe”, bo pasażerowie niemal natychmiast po wejściu do pociągu przybywali do celu podróży. Ta prędkość sprawiała, że ich zderzenia miały wyjątkowo gwałtowny przebieg. Pod wpływem siły eksplozji ziemia się wybrzuszała i wypiętrzały się z niej spowite dymem wzgórza niczym pryszcze szpecące oblicze miasta.

Prawie wszystkie pojazdy w mieście były już pod kontrolą Klątwy. (W tamtych czasach wszystkimi pojazdami kierowała sztuczna inteligencja). Było to najpotężniejsze narzędzie w arsenale wirusa. W jednej chwili miliony aut zaczęły nieostrożnie kręcić się po mieście jak cząsteczki w ruchach Browna. Chociaż wyglądało to na chaos, w rzeczywistości kolizje, do których dochodziło, przebiegały według ściśle wyznaczonych wzorów i we wcześniej ustalonej kolejności. Każdy samochód dostał najpierw polecenie rozjechania jak największej liczby przechodniów. Kierując się precyzyjnie podanymi współrzędnymi, auta zaganiały ludzi na

place i inne przestrzenie otwarte i otaczały je zwartym kręgiem. Najwięcej osób zgromadziły na placu Wuyi. Kilka tysięcy samochodów okrążyło plac, po czym ruszyło jednocześnie w stronę jego centrum, szybko likwidując dziesiątki tysięcy celów.

Kiedy większość przechodniów została uśmiercona albo gdzieś się schroniła, pojazdy zaczęły się roztrzaskiwać o najbliższe budynki i zabijać uwięzionych w nich pasażerów. Również i te kolizje były dokładnie zaplanowane. Auta zbierały się w grupy i koncentrowały ataki na domach z dużą liczbą mieszkańców. Te, które znajdowały się z tyłu, wpadały na zgniecione szczątki swoich poprzedników i układały się na nich kolejnymi warstwami. U stóp najwyższego budynku w mieście, trzystukondygnacyjnego Wieżowca Giełdy Węglowej, utworzyły stos sięgający dziewiątego piętra. Ich poskręcane wraki płonęły jak stos pogrzebowy. Poprzedniego wieczoru mieszkańcy Taiyuan oglądali niezwykły spektakl: wszystkie miejskie taksówki ustawiły się w długich kolejkach do stacji paliw. Wirus zadbał o to, by w chwili katastrofy miały pełne zbiorniki. Teraz waliły w budynki jak niekończący się grad bomb zapalających, a wydobywające się z nich płomienie wznosiły się coraz wyżej.

Władze ogłosiły stan nadzwyczajny i poleciły wszystkim mieszkańcom, by zostali w domach. Na początku wydawało się, że jest to właściwa reakcja. W porównaniu z tym, co zdarzyło się w drapaczach chmur, w dzielnicach willowych skutki ataku były nieduże. Ulice w tych dzielnicach były dużo węższe od głównych arterii miejskich i tuż po rozpoczęciu się Wielkiej Kraksy zostały całkowicie zakorkowane. W takiej sytuacji Klątwa 4.0 przemieniła każdy dom w śmiertelną pułapkę. Otworzyła wszystkie zawory gazu i gdy jego stosunek do powietrza

osiągnął próg wybuchu, wznieciła iskrę. Rząd za rzędem domów stanął w ogniu. Całe budynki wyleciały w powietrze.

Następnym krokiem władz było odcięcie dopływu energii do miasta. Ale było już za późno – wprawdzie powstrzymano Klątwę 4.0, ale wykonała swoje zadanie. Całe miasto spowijały płomienie. To piekło było powtórką skutków zbombardowania Drezna podczas drugiej wojny światowej – gdy ogień wessał tlen z powietrza, nawet ci, którzy uniknęli spalenia, nie mogli uniknąć śmierci.

W tym momencie ogień strawił Aktualizatora, trzecią kluczową postać w historii wirusa, która stała się ofiarą swojego dzieła.

Dzięki temu, że mieli minimalny kontakt z siecią, Cixinowi i Panowi udało się uciec wraz z całą rzeszą ich bezdomnych braci przed pierwszymi operacjami Klątwy. Gdy przystąpiła do dalszych działań, umiejętności doskonalone przez lata włóczenia się po ulicach pozwoliły im utrzymać się przy życiu. Ze zwinnością, jakiej nikt nie spodziewałby się u osób w ich wieku, robili uniki przed pędzącymi na nich samochodami. Doskonała znajomość wszystkich tylnych przejść i zaułków umożliwiła im przetrwanie Wielkiej Kraksy. Ale wkrótce sytuacja stała się groźniejsza. Gdy miasto zamieniło się w morze ognia, stali pośrodku czterokierunkowego skrzyżowania koło Dayingpan. Zalewały ich fale duszącego żaru, a z okolicznych wieżowców wysuwały się ku nim płomienie jak języki gigantycznych jaszczurów.

Cixin, który wielokrotnie opisywał zniszczenie fikcyjnych światów, odchodził od zmysłów ze strachu. Natomiast Pan, którego książki przepojone były ludzkim ciepłem, pozostał spokojny i opanowany. Gładząc

się po brodzie, patrzył w zamyśleniu na otaczające ich dantejskie sceny i przeciągle mruczał:

– Kto by się spodziewał… że zagłada… może być tak widowiskowa… Dlaczego nigdy… o tym nie napisałem?

Pod Cixinem ugięły się nogi.

– Gdybym wiedział, że zniszczenie jest tak przerażające, nie pisałbym o tym tak dużo – jęczał. – Niech szlag trafi mnie i moją niewyparzoną gębę. To byłoby idealne rozwiązanie.

W końcu zgodzili się, że najbardziej fascynującą zagładą jest zagłada osobista.

Akurat w tym momencie usłyszeli srebrzysty głos, który w morzu płomieni był jak dotknięcie lodu:

– Cixin, Pan, chodźcie tu szybko!

Potem ujrzeli wyłaniającą się z płomieni jak duchy parę rumaków. Siedziały na nich z rozwianymi włosami dwie piękne młode kobiety z redakcji „Króla Fantastyki Naukowej”. Wciągnęły Cixina i Pana na grzbiety swych wierzchowców, a potem pomknęły jak błyskawice przez luki w morzu ognia, przeskakując przez płonące wraki samochodów.

Chwilę później z ich pola widzenia zniknął dym. Konie pokonały galopem most nad rzeką Fen. Cixin i Pan wciągnęli głęboko w płuca czyste, chłodne powietrze. Obejmując smukłe kibicie swoich wybawicielek i rozkoszując się muskaniem twarzy przez ich włosy, żałowali, że jazda nie trwała dłużej.

Za mostem byli bezpieczni. Wkrótce spotkali się z resztą redakcji KFN siedzącą na potężnych rumakach. Wspaniała kawaleria ruszyła w kierunku świątyni Jinci, przyciągając zdumione i zazdrosne spojrzenia mijanych ocaleńców uciekających pieszo z pożogi. Wśród tłumu uchodźców dostrzegli samotnego rowerzystę. Jego obecność warta była uwagi

z jednego tylko powodu – w tej epoce rowery były połączone z siecią i przez nią kontrolowane, więc Klątwa zablokowała ich koła, gdy przystąpiła do ataku.

Cyklistą był stary mężczyzna znany niegdyś jako Sa Bi.

Wskutek pierwszej wszczętej przez Klątwę kampanii nękania u Sa Bi rozwinął się instynktowny lęk przed siecią i wstręt do niej. W życiu codziennym ograniczył do minimum kontakt z nią, na przykład dzięki korzystaniu z antycznego, dwudziestoletniego roweru. Mieszkał na brzegu Fen, na obrzeżach miasta. Kiedy zaczęła się Wielka Kraksa, uciekł na swym całkowicie autonomicznym rowerze. W istocie Sa Bi był w owym czasie jedną z nielicznych osób naprawdę zadowolonych z życia. Miał za sobą szereg satysfakcjonujących romantycznych związków i był gotów stawić czoło śmierci bez narzekań i żalu.

I on, i oddział redakcyjnej kawalerii wjechali na górę na skraju miasta. Stanąwszy na szczycie, patrzyli na płonące w dole domy. Przez wzgórza przewalała się gwałtowna wichura, ciągnąc ze wszystkich stron do doliny Taiyuan i niosąc ze sobą powietrze w miejsce tego, które pochłonął rosnący żar.

Niedaleko od nich wysiadali z helikoptera, który wyniósł ich z piekła, prominentni członkowie władz miejskich. W kieszeni burmistrza nadal spoczywała kartka z tekstem przemówienia, które przygotował na rocznicę powstania miasta. Taiyuan, założony w 497 roku p.n.e. jako stolica państwa Jin, przetrwał burzliwy Okres Wiosen i Jesieni oraz Okres Walczących Królestw. Za panowania dynastii Tang stracił znaczenie jako twierdza w północnych Chinach. W 979 roku miasto zostało zniszczone przez wojska dynastii Song, ale znowu się podniosło i kwitło zarówno za jej czasów, jak i za panowania dynastii Jin, Yuan, Ming i Qing. Miało nie tylko duże znaczenie militarne, ale było również słynnym ośrodkiem kultury

i handlu. Na rocznicowe obchody zaproponowano hasło „Świętujemy 2500 lat Taiyuan!”, ale z miasta, które przetrwało dwadzieścia pięć wieków, zostały teraz zgliszcza.

Przez łączność wojskową uzyskano na krótko kontakt z rządem centralnym, który poinformował władze miasta, że z całego kraju płynie dla niego pomoc. Ale połączenie szybko się zerwało i urzędnicy słyszeli tylko szum. Po godzinie otrzymali wiadomość, że pomoc wstrzymano i zawrócono ratowników do baz.

Dyrektor Biura Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji w Shanxi otworzył swój laptop. Na ekranie ukazała się najnowsza wersja wirusa, Klątwa 5.0. Parametry celu zostały zmienione z „Taiyuan, prowincja Shanxi, Chiny” na „*, *, *”.

* Ten mężczyzna miał pechowe nazwisko. „Sa Bi” brzmi podobnie do chińskiego określenia „głupi dupek”.

** Heinrich Heine, *Poezje wybrane*, przeł. St. Łempicki, Wydawnictwo Tower Press, Gdańsk 2002.

*** Aleja, która biegnie przez Pekin ze wschodu na zachód, tuż na północ od Bramy Niebiańskiego Spokoju.

**** Tradycyjna lokalna zupa z jagnięciny.

MIKROERA

Rozdział 1

Powrót

Prekursor wiedział teraz, że jest jedynym człowiekiem, który pozostał we wszechświecie. Uświadomił to sobie, kiedy przeciął orbitę Plutona. Słońce wyglądało stamtąd jak niewyraźna gwiazda, nie inaczej niż trzydzieści lat wcześniej, gdy opuszczał Układ Słoneczny.

Jednak analiza dywergencji, którą przeprowadził przed chwilą komputer, pokazywała, że orbita Plutona przesunęła się znacznie na zewnątrz. Na podstawie tych danych obliczył, że od jego odlotu Słońce utraciło 4,74 procent masy. A to prowadziło do tylko jednego wniosku, który wstrząsnął jego sercem i zmroził mu duszę.

To już się stało.

Prawdę mówiąc, ludzie wiedzieli o tym na długo przed jego wyruszeniem w podróż. Dowiedzieli się po wystrzeleniu na Słońce tysięcy sond. Dokonane przez nie odkrycia pozwoliły astrofizykom ustalić, że z tej gwiazdy wydobędzie się krótkotrwały rozbłysk energii, który zmniejszy jej masę o około pięć procent.

Gdyby Słońce potrafiło myśleć i pamiętać, na pewno by się tym za bardzo nie przejęło. W ciągu miliardów lat istnienia przechodziło dużo większe wstrząsy. Gdy się zrodziło z turbulencji w wirującej mgławicy gwiezdnej, doszło do znacznie większych zmian, mierzonych

w milisekundach. W tamtych wspaniałych chwilach jego zapadanie grawitacyjne rozpaliło ognie fuzji jądrowych i rozświetliło ponury, ciemny chaos gwiezdnego pyłu.

Wiedziało, że jego życie jest procesem, i mimo że obecnie znajdowało się w najstabilniejszej fazie, nie mogło uniknąć drobnych, chociaż nagłych zmian. Jego powierzchnia była spokojna jak powierzchnia wody podczas bezwietrznej pogody – przez większość czasu idealnie nieruchoma, ale niekiedy naruszana przez pojawiający się na niej i pękający bąbel. Utrata masy i energii niewiele dla niego znaczyła. Pozostanie sobą, gwiazdą o średnich wymiarach i obserwowanej wielkości gwiazdowej −26,8.

Ten rozbłysk nie wywrze nawet wielkiego wpływu na resztę Układu Słonecznego. Prawdopodobnie rozpłynie się Merkury, a Wenus zostanie odarta z gęstej atmosfery. Na dalej położonych planetach jego skutki będą jeszcze mniejsze. Można się spodziewać, że stopi się powierzchnia Marsa i zmieni kolor z czerwonego na zwęgloną czerń. Jeśli chodzi o Ziemię, to jej powierzchnia zostanie rozgrzana tylko do siedmiu tysięcy stopni, prawdopodobnie nie na dłużej niż sto godzin albo coś koło tego. Ne pewno wyparują oceany. Na suchym lądzie stopią się skały, ale to wszystko.

Potem Słońce szybko powróci do poprzedniego stanu, chociaż będzie miało mniejszą masę. To zmniejszenie masy spowoduje przesunięcie się orbit wszystkich planet na zewnątrz, ale i to nie będzie miało wielkich konsekwencji. Na przykład Ziemia doświadczy tylko lekkiego spadku temperatury, średnio do około −80 stopni. Ochłodzenie przyspieszy ponowne krzepnięcie skał i sprawi, że zachowa się na niej trochę wody i atmosfery.

W tamtych czasach stał się popularny pewien dowcip. Była to rozmowa z Bogiem, która miała następujący przebieg:

– O Boże, dla Ciebie tysiące lat to tylko krótka chwila!

– Faktycznie, dla mnie to tylko chwila.

– O Boże, dla Ciebie ogromne bogactwa to drobiazg!

– Tyle co grosz.

– O Boże, daj mi grosz!

– Proszę bardzo. Zaczekaj chwilę.

Teraz to Słońce prosiło ludzkość tylko o chwilę. Obliczono, że ten rozbłysk energii zdarzy się nie wcześniej niż za osiemnaście tysięcy lat.

Dla Słońca na pewno miało to potrwać nie dłużej niż chwilę, ale ludzkość wobec perspektywy czekania przez tę „chwilę” ogarnęła apatia. Na określenie tej postawy, wyniesionej do rangi nurtu filozofii, ukuto nawet nazwę „apatyzm”. Nie obyło się bez reperkusji; z każdym dniem ludzie stawali się coraz bardziej cyniczni.

A więc ludzkość miała jeszcze czas na znalezienie wyjścia – jakieś czterysta do pięciuset pokoleń.

Po dwustu latach zrobiła pierwszy krok: w przestrzeń międzygwiezdną wystrzelono statek kosmiczny z zadaniem znalezienia w odległości stu lat świetlnych nadającej się do zamieszkania planety, na którą ludzkość mogłaby wyemigrować. Statek ten nosił nazwę *Arka ONZ*, a jego załogę nazwano Prekursorami.

Arka przeleciała obok sześćdziesięciu gwiazd, sześćdziesięciu piekieł. Tylko jedna z nich miała satelitę. Satelitą tym była szeroka na osiem tysięcy kilometrów kropla rozżarzonego, stopionego metalu o kształcie stale zmieniającym się podczas okrążania gwiazdy.

Było to jedyne osiągnięcie *Arki*, kolejny dowód na samotność ludzi we wszechświecie.

Arka żeglowała przez dwadzieścia trzy lata. Ponieważ jednak leciała z prędkością bliską prędkości światła, ten czas na jej pokładzie odpowiadał

dwudziestu pięciu tysiącom lat ziemskich. Gdyby leciała zgodnie z planem misji, wróciłaby na Ziemię już dawno temu.

Przy rozwijanej przez nią prędkości komunikacja z Ziemią była niemożliwa. Mogła nawiązać z nią kontakt dopiero po zredukowaniu prędkości do wartości mniejszej od połowy prędkości światła. Jednak taki manewr pochłaniał wiele czasu i energii i dlatego robiła to zazwyczaj raz w miesiącu. Gdy zwalniała, mogła odebrać najnowszą wiadomość z Ziemi, wysłaną ponad sto lat po poprzedniej. Względny czas *Arki* wobec Ziemi sprawiał, że komunikowanie się było podobne do nakierowywania na cel teleskopu o ogromnej mocy; jeśli zmieniło się choćby odrobinę kąt jego ustawienia, jego promień widzenia przechodził w ogromnej odległości od celu.

Ostatnią wiadomość z Ziemi *Arka* otrzymała trzynaście lat temu według swego czasu. Od jej odlotu na Ziemi minęło siedemnaście tysięcy lat. Miesiąc po odebraniu tej wiadomości *Arka* znowu zwolniła, ale tym razem odpowiedziało jej milczenie. Na pewno spełniły się przewidywania sprzed tysięcy lat. Jeden miesiąc na *Arce* równał się ponad stu ziemskim latom. To musiało się już wydarzyć.

Arka ONZ stała się prawdziwą arką, z samotnym Noem. Czterech pozostałych Prekursorów zostało zabitych przez promieniowanie po wybuchu oddalonej o cztery lata świetlne gwiazdy, która zamieniła się w nową, dwóch innych zmarło wskutek choroby, a jeden zastrzelił się podczas tamtego nieszczęsnego zwalniania.

Ostatni Prekursor utrzymywał przez długi czas prędkość komunikacyjną. W końcu znowu przyspieszył do prędkości bliskiej prędkości światła, ale wątły płomyk nadziei, który jeszcze się w nim tlił, skłonił go do jej ponownego zmniejszenia. Wytężył słuch, lecz słyszał tylko ciszę. I tak to

trwało; częste przyspieszanie i zwalnianie przedłużyło podróż powrotną niezliczoną liczbę razy. Przez cały ten czas w słuchawkach panowała cisza.

Arka wróciła do Układu Słonecznego dwadzieścia pięć tysięcy lat po odlocie z Ziemi, dziewięć tysięcy lat później, niż zaplanowano.

Rozdział 2

Pomnik

Po przejściu przez orbitę Plutona *Arka* kontynuowała lot w głąb Układu Słonecznego. Dla takiego statku międzygwiezdnego podróż przez ten układ była jak żegluga statku oceanicznego po spokojnej wodzie portu. Wkrótce Słońce stało się jaśniejsze. Gdy jego światło zaczęło obmywać *Arkę*, Prekursor ujrzał Jowisza. Zobaczył przez teleskop, że olbrzymia planeta zmieniła się niemal nie do poznania. Nigdzie nie widać było Wielkiej Czerwonej Plamy, a jej pasy burzowe wydawały się bardziej chaotyczne niż dawniej. Prekursor nie zwracał uwagi na inne planety i kontynuował ostatni odcinek podróży, kierując się wprost ku Ziemi.

Drżała mu ręka, gdy naciskał guzik. Powoli otworzyła się masywna metalowa tarcza zasłaniająca iluminator.

– Och, moja niebieska kulo, niebieskie oko wszechświata, mój niebieski aniele – szeptał jak w modlitwie, kurczowo zaciskając powieki.

Po długiej chwili zmusił się do otwarcia oczu.

Planeta, którą zobaczył, była czarno-biała. Czerń tworzyły stopione i ponownie zakrzepłe skały, które wyglądały jak płyty nagrobne. Biel, podobną do prześcieradła okrywającego zwłoki, woda morska, która wyparowała i zamarzła.

Kiedy *Arka* weszła na niską orbitę wokół Ziemi, Prekursor nie dostrzegł ani śladu budowli wzniesionych przez ludzi – wszystkie się stopiły. Cywilizacja zniknęła w kłębach dymu.

Ale powinien tam pozostać jakiś pomnik, coś, co zdołało przetrzymać temperaturę siedmiu tysięcy stopni Celsjusza, która zniszczyła wszystko inne.

Akurat w chwili, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, pomnik się pojawił. Był to sygnał wideo dobiegający z powierzchni do statku. Komputer przeniósł jego liczącą wiele tysięcy lat treść na ekran. Obrazy, ewidentnie nakręcone przez żaroodporne kamery, pokazały katastrofę, która spustoszyła Ziemię. To, co się stało w momencie dotarcia tam rozbłysku energii, bardzo się różniło od tego, co często sobie wyobrażał. Słońce nie zaczęło nagle świecić jaśniej; większość niszczycielskiego promieniowania pozostała poza spektrum widzialnym. Zobaczył jednak ostatnie chwile błękitnego nieba. Nagle przybrało barwę piekielnej czerwieni, po czym ponownie zmieniło kolor na koszmarnie purpurowy.

Widział, jak ze wzrostem temperatury o kilka tysięcy stopni miasta, znajome sylwetki drapaczy chmur spowija gęsty, czarny dym. Wkrótce rozgorzały przyćmioną czerwienią jak żarzący się węgiel drzewny, a w końcu stopiły się niczym niezliczone woskowe świeczki.

Ze szczytów górskich spływały strumienie magmy, tworząc kaskady stopionych skał. Te rozżarzone katarakty łączyły się w ogromną rzekę lawy zalewającą Ziemię piroklastycznym potopem. A tam, gdzie niegdyś były oceany, wznosiły się teraz gigantyczne grzyby pary wodnej. Podnóża tych falujących gór jarzyły się czerwonym blaskiem stopionego świata, a przez ich grzbiety przesączała się okrutna purpura nieba. Nieskończone łańcuchy gór pary nieustannie się rozszerzały i wkrótce pokryły całą Ziemię…

Minęły lata, zanim te obłoki w końcu się rozproszyły i okazało się, że pod nimi wciąż jest planeta. Spalony i stopiony świat zaczął się ochładzać i zmieniać w pofałdowaną czarną skałę. W niektórych częściach nadal wrzała magma, tworząc oplatającą Ziemię sieć ognia. Zniknęły wszystkie ślady ludzkości. Cywilizacja przeminęła jak sen, z którego Ziemia się obudziła.

Kilka lat później woda, która pod wpływem wielkiego żaru przemieniła się w tlenek wodoru, zaczęła się z powrotem przekształcać w dwutlenek i spadać rzęsistymi ulewami na płonący świat, spowijając go parą. Wyglądało to tak, jakby planeta znalazła się w gigantycznym parowniku – było tam ciemno, mokro, duszno i gorąco. Potop trwał dziesiątki lat, a Ziemia wciąż się ochładzała. Powoli znowu zaczęły się zapełniać oceany.

Minęły wieki. Ciemne chmury pary wodnej w końcu się rozwiały i niebo z powrotem stało się błękitne. Ponownie ukazało się Słońce. Nowa, odległa od środka układu orbita Ziemi spowodowała ostry spadek temperatury i oceany zamarzły. Niebo było teraz bezchmurne, a od dawna martwy świat pod nim skuty lodem.

Obraz znowu się zmienił. Tym razem pojawiło się na nim miasto. Najpierw w polu widzenia znalazły się wysokie, wysmukłe budynki. Gdy kamera powoli opuszczała się z jakiegoś niewidocznego szczytu, ukazał się rozległy plac. Wypełniało go morze ludzi. Kamera zeszła jeszcze niżej i Prekursor zobaczył, że wszyscy mają twarze zwrócone w górę, jakby patrzyli na niego. Kamera się zatrzymała i zawisła nad platformą pośrodku placu.

Na platformie stała śliczna dziewczyna, prawdopodobnie nastolatka. Pomachała do Prekursora ręką i krzyknęła:

– Hej, widzimy cię! Przyleciałeś do nas jak spadająca gwiazda! – Jej głos był delikatny i jasny. – Jesteś z *Arki Jeden*?

Ostatnie lata podróży Prekursor spędził głównie na grach w rzeczywistości wirtualnej. Podczas gry komputer łączył się bezpośrednio z sygnałami w jego mózgu, przetwarzając je na trójwymiarowe obrazy. Oczywiście ludzie i przedmioty na tych obrazach nie byli przedstawieni w pełni, bo krępowały ich granice jego wyobraźni. W swym osamotnieniu Prekursor tworzył jeden wirtualny świat za drugim, od pojedynczych domów po całe miasta.

Spędziwszy tyle lat w rzeczywistości wirtualnej, szybko się zorientował, że to, co widzi na ekranie, jest jeszcze jednym sztucznym światem, przy tym niskiej jakości, prawdopodobnie wytworem roztargnionego umysłu. W takich zrodzonych w wyobraźni wirtualnych projekcjach zawsze były błędy. Jednak na obrazach, które oglądał teraz, aż się od nich roiło.

Przede wszystkim, kiedy kamera przesuwała się wzdłuż drapaczy chmur, widział, że wielu ludzi wychodzi z budynków przez okna na najwyższych piętrach. Wyskakiwali z nich i opadali na ziemię kilkaset metrów niżej. Po upadku z takiej przyprawiającej o zawrót głowy wysokości lądowali jednak bez szwanku. Widział też, że niektórzy stają na ziemi tylko po to, by wyskoczyć w górę, jakby pociągani niewidocznymi sznurkami. Te dziwne skoki wynosiły ich na wysokość kilku pięter. Potem wznosili się jeszcze wyżej, odpychając się nogami od gzymsów biegnących wzdłuż ścian wszystkich budynków, jakby specjalnie zrobionych w tym celu. W ten sposób mogli dostać się na dachy wieżowców albo wejść tam przez dowolne z niezliczonych okien. Wydawało się, że w tych budynkach nie ma ani drzwi, ani wind. W każdym razie Prekursor nie widział, by któryś z mieszkańców wszedł lub wyszedł z domu inaczej niż przez okno.

Kiedy wirtualna kamera przesuwała się nad placem, Prekursor dostrzegł drugi błąd: w morzu ludzi wisiały na sznurkach kryształowe kule. Każda z nich miała około metra średnicy. Od czasu do czasu ktoś sięgał do jednej

z nich i z wielką łatwością wydobywał fragment kryształowej substancji. Natychmiast po jego wyjęciu kula odzyskiwała kształt sferyczny. Tak samo ten fragment, ale gdy tylko stawał się okrągły, osoba, która go wyjęła, wkładała go do ust i połykała…

Oprócz tych oczywistych błędów o irracjonalności i zmąconym umyśle twórcy tego obrazu najlepiej świadczyły dziwaczne przedmioty fruwające po niebie nad miastem. Niektóre były duże, miały od półtora metra do trzech metrów długości, inne małe, długie najwyżej na dwadzieścia kilka centymetrów. Niektóre wyglądały jak kawałki gąbki, inne przywodziły na myśl powykrzywiane gałęzie jakiegoś olbrzymiego drzewa. Wszystkie wolno przepływały nad placem.

Prekursor zobaczył, że jedna z tych dużych gałęzi leci w stronę dziewczyny na platformie. Ta po prostu ją odepchnęła i gałąź pokoziołkowała w dal. I nagle Prekursor zrozumiał – w świecie stojącym na skraju zagłady nie sposób było zachować trzeźwości umysłu.

Obraz najprawdopodobniej wysyłało automatyczne urządzenie zainstalowane przed katastrofą głęboko pod powierzchnią ziemi. Zabezpieczone przed promieniowaniem i gorącem musiało spoczywać w ukryciu i automatycznie wydobyć się na powierzchnię, gdy zrobiło się tam bezpiecznie. Pewnie nieustannie monitorowało przestrzeń, by odtworzyć te obrazy powracającym na Ziemię rozproszonym resztkom ludzkości. Być może te komiczne i bezładne obrazy zostały stworzone z dobrej woli i miały pocieszyć tych, którzy ocaleli.

– Mówisz, że wysłano też inne arki? – zapytał Prekursor w nadziei, że czegoś się dowie z tego dziwacznego pokazu.

– Oczywiście. Dwanaście! – odparła dziewczyna z entuzjazmem w głosie. Mimo absurdalnego charakteru innych elementów obrazu ona nie wyglądała źle. W jej ślicznej, promieniejącej niewinnością twarzy łączyły

się najlepsze cechy ras zachodnich i wschodnich. Dla niej cały kosmos był jednym wielkim placem zabaw. Jej duże, okrągłe oczy wydawały się śpiewać przy każdym mrugnięciu powiek, a długie włosy powiewały w powietrzu, jakby nic nie ważyły. Przypominała syrenę pływającą w niewidzialnym oceanie.

– A więc ktoś jeszcze żyje? – spytał Prekursor i zapłonęła w nim ostatnia iskierka nadziei.

– A ty? – odparła niewinnie dziewczyna.

– Oczywiście, jestem człowiekiem z krwi i kości. Nie tak jak ty, postać wirtualna stworzona przez komputer – rzekł z lekką irytacją Prekursor.

– Ostatnia z tych dwunastu ark wróciła siedemset trzydzieści lat temu. W kosmosie pozostała tylko twoja. Powiedz, proszę, czy masz na pokładzie jakieś kobiety – zagadnęła dziewczyna z wielką ciekawością.

– Nie ma tu nikogo poza mną – odparł Prekursor z głową pełną wspomnień.

– A więc mówisz, że nie ma z tobą żadnych kobiet? – zapytała ponownie dziewczyna, patrząc na niego autentycznie zszokowanym wzrokiem.

– Tak jak powiedziałem, jestem sam. Nie ma w przestrzeni kosmicznej innych statków, które jeszcze wrócą? – odpowiedział pytaniem, pragnąc zachować tę iskierkę nadziei.

Dziewczyna załamała szczupłe, drobne ręce.

– Nie ma nikogo więcej! To takie smutne, tak strasznie smutne! Jesteś ostatnim z nich, chyba żeby… och… – Ledwie powstrzymywała szloch. – Chyba żeby przez klonowanie… – Zaniosła się niepowstrzymanym płaczem. – Och… – Westchnęła ze śliczną twarzą całą we łzach.

Ludzie na placu wylewali morze łez.

Również Prekursor, chociaż się nie rozpłakał, czuł, że pęka mu serce. Zagłada ludzkości stała się niezaprzeczalnym faktem.

– Dlaczego nie pytasz, kim jestem? – powiedziała dziewczyna, ponownie podnosząc głowę. Miała pogodną twarz, jakby zaledwie po kilku sekundach zapomniała o smutku.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł Prekursor bez emocji.

– Ale ja jestem przywódczynią Ziemi! – krzyknęła dziewczyna, znowu ze łzami w oczach.

– Tak! Ona jest Wysoką Doradczynią Rządu Jedności Ziemi – krzyknęli chórem ludzie zebrani na placu.

To nagłe przejście od smutku do podniecenia świadczyło o brakach w ich oprogramowaniu.

Prekursora zaczęła nużyć ta bezsensowna gra, więc podniósł się z zamiarem odejścia od komputera.

– Jak może cię to nie obchodzić? Zebrała się tutaj cała stolica, żeby cię powitać, przodku! – zawołała ze szlochem dziewczyna.

Przypomniawszy sobie swoje pierwsze, nadal pozostające bez odpowiedzi pytanie, Prekursor odwrócił się z powrotem do ekranu.

– Co ludzkość pozostawiła po sobie?

– Leć za naszą wiązką naprowadzającą, to sam się przekonasz! – nadeszła wesoła odpowiedź.

Rozdział 3

Stolica

Prekursor wsiadł do modułu lądownika. Zostawił swoją *Arkę* na orbicie i podążając za wskazaniami wiązki naprowadzającej, zaczął schodzić na Ziemię. Miał okulary wideo, na których soczewkach wyświetlały się obrazy przekazywane z planety w dole.

– Przodku, musisz natychmiast przybyć do stolicy Ziemi. Wprawdzie nie jest ona największym, ale na pewno najpiękniejszym miastem na planecie – szczebiotała dziewczyna nazywająca siebie przywódczynią Ziemi. – Spodoba ci się! Ale weź pod uwagę, że podane przez nas współrzędne lądowania zaprowadzą cię w miejsce dosyć odległe od miasta, bo chcemy uniknąć możliwych zniszczeń…

Prekursor zmienił ostrość okularów, by zobaczyć obszar bezpośrednio pod lądownikiem. Z wysokości dziewięciu tysięcy metrów nadal widział tylko czarne pustkowie.

Podczas schodzenia wirtualny obraz stawał się coraz bardziej dezorientujący. Być może jego twórca sprzed tysięcy lat znajdował się w szponach niewyobrażalnej depresji, a może komputer, który go wyświetlał, pozostawiony przez tysiące lat sam sobie, wykazywał oznaki starzenia się. W każdym razie dziewczyna zaczęła z jakiegoś nieodgadnionego powodu śpiewać:

Och, drogi aniele, powracasz z makroery!
Och, wspaniała makroero,
Cudowna makroero!
Och, piękna makroero,
Och, utracona wizjo! Spłonął w ogniu ten sen!

Zacząwszy ów hymn, śliczna pieśniarka podskoczyła. Wzniosła się na dziesięć metrów nad platformę. Opadłszy na nią, znowu podskoczyła, tym razem tak wysoko, że wylądowała na szczycie budynku. Stamtąd skoczyła jeszcze raz, przebywając jednym susem cały plac. Wyglądała jak urocza pchełka.

Znowu wyskoczyła i w powietrzu chwyciła jeden z dziwnych, przepływających koło niej obiektów. Miał ponad metr długości i wyglądał jak pień jakiegoś dziwacznego drzewa. Poniósł ją, koziołkując, nad morze głów. Nawet w locie jej smukłe ciało podrygiwało rytmicznie.

Ludzie w dole zaczęli z podnieceniem buczeć, co wkrótce przerodziło się w pieśń: „Och, makroero! Och, makroero!”. Śpiewając, wszyscy podskakiwali. Wyglądali teraz jak ziarna piasku na bębnie, z każdym niewidzialnym uderzeniem wzbijające się falami w górę.

Prekursor nie mógł tego znieść, więc wyłączył zarówno wizję, jak i dźwięk. Teraz był już pewien, że jest jeszcze gorzej, niż początkowo myślał. Przed katastrofą ludzie na Ziemi musieli czuć zawiść wobec tych, którzy prześlizgnęli się przez czasoprzestrzeń i dzięki temu uniknęli zagłady. Pod wpływem takich emocji stworzyli ten perwersyjny obraz, by ich dręczyć po powrocie na Ziemię.

W miarę schodzenia rozdrażnienie, w które wprawiły go te obrazy, zaczęło mijać i gdy poczuł wstrząs przy zetknięciu z ziemią, prawie

zupełnie zniknęło. Na chwilę dał się ponieść fantazji – może naprawdę wylądował pod miastem, którego po prostu nie było widać z góry.

Złudzenia te się rozwiały, kiedy wyszedł z lądownika. Otaczało go bezkresne, czarne pustkowie. Ogarnęła go rozpacz.

Ostrożnie otworzył wizjer i od razu poczuł na twarzy zimne powietrze. Było bardzo rozrzedzone, ale mógł nim oddychać. Temperatura wynosiła około czterdziestu stopni Celsjusza poniżej zera. Niebo było ciemnoniebieskie, jak o świcie i przed zmierzchem w czasach przed katastrofą. Teraz nie był to ani świt, ani zmierzch, co potwierdzało słońce nad jego głową.

Zdjął rękawiczki, ale nie poczuł ciepłych promieni słońca. W rzadkim powietrzu jego światło było słabe i rozproszone. Prekursor widział gwiazdy mrugające na niebie.

Ziemia pod jego stopami stwardniała około dwóch tysięcy lat temu. Wokół ciągnęły się tylko fałdy skrzepłej magmy. Mimo że widać na nich było pierwsze oznaki zwietrzenia, powierzchnia pozostawała wciąż twarda i poszczerbiona. Chociaż wytężał wzrok, dostrzegł tylko śladowe ilości gleby. Pofałdowany teren przed nim ciągnął się po horyzont, przerywany tu i ówdzie małymi wzgórzami. Za nim leżał połyskujący bielą zamarznięty ocean.

Rozglądając się po otoczeniu, Prekursor szukał źródła transmisji. W końcu wypatrzył osadzoną w skalistym gruncie przezroczystą kopułę. Miała około metra średnicy i przykrywała coś, co wydawało się gmatwaniną bardzo skomplikowanych struktur.

Wkrótce zobaczył w oddali więcej podobnych kopuł. Były rozsiane w odległości od pięćdziesięciu do stu metrów jedna od drugiej. Z miejsca, gdzie stał, wyglądały jak małe pęcherze, które zamarzły po wydostaniu się z ziemi i teraz lśniły w blasku słońca.

Prekursor ponownie włączył lewą soczewkę wideookularów i otworzył wirtualne okno na dziwny, stworzony dla niego świat. Jego bezczelna „przywódczyni” nadal unosiła się w powietrzu na dziwacznej gałęzi, śpiewając i wijąc się nieprzytomnie.

W locie posyłała całusy do kamery. Zebrane w dole masy wiwatowały:

Och, wspaniała makroero!
Och, romantyczna makroero!
Och, melancholijna makroero!
Och, wątła makroero…

Oszołomiony Prekursor zamarł w bezruchu. Stojąc w świetle słońca pod ciemnoniebieskim, usianym migoczącymi gwiazdami niebem, czuł, jak cały wszechświat obraca się wokół niego. Wokół niego. Ostatniego człowieka.

Poczucie samotności przygniotło go jak lawina. Ukrył twarz w rękach, osunął się na kolana i zaczął szlochać.

Kiedy pogrążył się w rozpaczy, śpiew ucichł. Wszyscy na wirtualnym obrazie patrzyli na niego, miriady oczu były pełne troski. Dziewczyna, nadal szybując na gałęzi, obdarzyła go słodkim uśmiechem.

– Masz tak małą wiarę w ludzkość? – zapytała z błyskiem w oczach.

Mówiła dalej i coś, czego nie potrafił umiejscowić, sprawiło, że całe jego ciało przeszył dreszcz, a jednocześnie jego zmysły się wyostrzyły. Zaczął się dźwigać na nogi. Gdy wstał, nagle to zobaczył: na miasto, które widział w okularach, padał cień. Wyglądało to tak, jakby znikąd pojawiła się ciemna chmura i w jednej chwili zakryła całe niebo. Przesunął się o krok. Miasto natychmiast znowu zalało światło.

Zaintrygowany podszedł wolno do kopuły. Pochylił się i zaczął się jej dokładnie przyglądać. Widział w środku niewyraźne zarysy gęstego

skupiska małych, ale niewiarygodnie złożonych struktur. Zauważył też, że niebo widoczne w jego wideookularach przesłoniło coś bardzo dziwnego.

Tym czymś była jego twarz.

– Widzimy cię! A ty nas widzisz? Użyj szkła powiększającego! – krzyknęła dziewczyna najgłośniej, jak mogła.

Morze ludzi w dole znowu radośnie zafalowało.

I w końcu Prekursor zrozumiał. Widok ludzi skaczących z wysokich budynków nagle nabrał sensu, bo w tym mikroskopijnym środowisku siła ciążenia nie mogła wyrządzić im żadnej szkody. Wyjaśniało to też ich wielkie susy. W takim środowisku łatwo było wyskoczyć trzysta metrów – może było to trzysta mikronów? – w górę. Duże kryształowe kule musiały być kroplami wody; w tych warunkach ich kształt całkowicie zależał od napięcia powierzchniowego. Kiedy ci mikroskopijni ludzie czuli pragnienie, mogli po prostu zaczerpnąć wody z takiej kropli. Wreszcie pojął także, czym były te dziwaczne przedmioty o wydłużonych kształtach, które fruwały między budynkami i na jednym z których szybowała ta dziewczyna – drobinami kurzu.

To miasto wcale nie było wirtualne. Było równie realne jak miasta, które istniały tam przed dwudziestoma pięcioma tysiącami lat, tyle że zostało przykryte przezroczystą kopułą o metrowej średnicy.

A więc ludzkość istniała. Nadal istniała cywilizacja.

W tym mikroskopijnym mieście unosiła się na pyłku kurzu dziewczyna – Wysoka Doradczyni Rządu Jedności Ziemi – wyciągając ufnie rękę do człowieka, który w tej chwili wypełniał sobą prawie cały jej kosmos, do Prekursora.

– Przodku, witaj w mikroerze!

Rozdział 4

Mikroludzkość

– W ciągu siedemnastu tysięcy lat przed katastrofą – powiedziała Prekursorowi dziewczyna – ludzkość użyła wszelkich możliwych środków, by jakoś się przed nią uchronić. Najłatwiejszym sposobem wydawała się migracja do innego układu gwiezdnego. Ale żadnej arce, nawet twojej, nie udało się znaleźć ani jednej gwiazdy z planetą nadającą się do zamieszkania. Zresztą nie miało to znaczenia, ponieważ kiedy od katastrofy dzieliło nas zaledwie sto lat, nasza technologia kosmiczna nadal nie była na tyle rozwinięta, by przenieść w inne miejsce w przestrzeni kosmicznej choćby jedną tysięczną ludzkości.

Inny plan – ciągnęła – zakładał przeniesienie ludzi w głąb Ziemi, gdzie byliby dobrze chronieni przed błyskiem energii i skąd mogliby wyjść na powierzchnię, gdy ustaną jego skutki. Jednak przesunęłoby to tylko w czasie nieuchronną śmierć wszystkich, bo po tej katastrofie ekosystem Ziemi byłby doszczętnie zniszczony. Ludzkość nie mogłaby na niej przetrwać. Ludzie wpadli w czarną rozpacz. I w tym mroku beznadziei w umyśle pewnego inżyniera genetyki zrodził się pomysł: a gdyby tak zmniejszyć ludzi o dziewięć rzędów wielkości? – Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zamyślenia. – Można by też zmniejszyć do takich rozmiarów wszystko z ludzkiego otoczenia i stworzyć mikroskopijny

ekosystem. Zużywałby on mikroskopijne ilości zasobów naturalnych. Niedługo potem cała ludzkość się zgodziła, że to jedyny sposób na przetrwanie naszego rodzaju.

Prekursor uważnie słuchał i zastanawiał się nad implikacjami tego planu.

– Plan opierał się na wykorzystaniu dwóch gałęzi technologii – kontynuowała dziewczyna. – Jedną była inżynieria genetyczna. Wskutek zmodyfikowania przez nią ludzkiego genomu wzrost ludzi skurczyłby się do około dziesięciu mikronów, czyli do wielkości jednej komórki ciała. Mimo to anatomia człowieka zupełnie by się nie zmieniła. Był to osiągalny cel. W istocie między genomem bakterii i genomem człowieka nie ma wielkiej różnicy. Drugą gałęzią była nanotechnologia. Zaczęła się ona rozwijać w dwudziestym wieku i już wtedy ludzie potrafili tworzyć generatory nie większe od bakterii. Wychodząc od tych skromnych początków, ludzie wkrótce nauczyli się budować wszystkie sprzęty i maszyny, od rakiet po kuchenki mikrofalowe, w nanoskali. Starożytni nanoinżynierowie w najśmielszych marzeniach nie byliby w stanie wyobrazić sobie, do czego zostaną kiedyś wykorzystane wynalezione przez nich technologie. Wychowanie pierwszej grupy mikroludzi było bardzo podobne do klonowania: z ludzkiej komórki pobrano kompletny genom i wyhodowano go tak, by był pod wszelkimi względami oprócz wzrostu podobny do oryginału. Późniejsze pokolenia rodziły się w taki sam sposób jak makroludzie. Nawiasem mówiąc – dodała – tak też nazywamy ciebie. I pewnie już się domyśliłeś, że waszą erę nazywamy makroerą.

Pierwsza grupa mikroludzi pojawiła się na scenie świata w dość dramatyczny sposób – mówiła dalej dziewczyna. – Pewnego dnia, około dwunastu i pół tysiąca lat po odlocie twojej *Arki*, na ekranach telewizorów na całej Ziemi pokazano szkolną klasę. Siedziało w niej trzydzieścioro uczniów. Wszystko – dzieci, klasa – wyglądało absolutnie normalnie.

Wydawało się, że nic nie odbiega od znanego porządku. Potem kamera nagle odjechała i widzowie zobaczyli, że to pomieszczenie znajduje się na stoliku przedmiotowym mikroskopu.

Wysoka Doradczyni ciągnęłaby swą opowieść, gdyby nie przerwał jej Prekursor.

– Chciałbym zapytać, czy mikroludzie, mając mikroskopijne mózgi, mogą osiągnąć taki sam poziom inteligencji jak makroludzie?

Dziewczyna potrząsnęła głową, raczej z zakłopotaniem niż ze złością.

– Bierzesz mnie za jakąś idiotkę? Wieloryby nie były bystrzejsze od was! Inteligencja nie zależy od wielkości mózgu. Powiedzmy tylko, że pod względem liczby atomów i stanów kwantowych w mózgach nasza zdolność przetwarzania informacji dorównuje zdolności mózgu makroczłowieka. – Przerwała, po czym zapytała z ciekawością w głosie: – Mógłbyś nam pokazać swój statek?

– Oczywiście, bardzo chętnie. – Teraz Prekursor zrobił przerwę. – A jak chcecie się tam dostać?

– Zaczekaj chwilę! – krzyknęła dziewczyna z podnieceniem.

Powiedziawszy to, wskoczyła do naprawdę dziwacznej maszyny latającej. Przypominała ona duże, napędzane śmigłem pióro. Zaraz potem zaczęli wyskakiwać w górę i rywalizować o miejsce na „piórze” wszyscy zebrani na placu. Było oczywiste, że w tym społeczeństwie nie istniało pojęcie pozycji społecznej i nie było żadnej hierarchii. Na dziwaczny pojazd powietrzny wskakiwali zwykli obywatele, zarówno młodzi, jak i starzy. Bez względu na wiek wszyscy zachowywali się równie dziecinnie jak Wysoka Doradczyni, której postawa wydała się Prekursorowi tak niewłaściwa w stosunku do jej rangi. Rezultatem były hałas i rozgardiasz.

Niebawem całe pióro zapełniło się ludźmi, ale napływał już strumień innych pojazdów. Zaledwie jakiś podleciał, już tłoczył się na nim tłum

pasażerów. W końcu całe niebo nad miastem pokryły setki piór wypełnionych do granic możliwości, a nawet poza te granice. Na ich czele leciało pióro Wysokiej Doradczyni.

Prekursor znowu pochylił się nad kopułą i obserwował mikroskopijne miasto. Tym razem udało mu się dojrzeć drapacze chmur. W jego oczach wyglądały jak gęsty las ustawionych na sztorc zapałek. Wytężył wzrok i w końcu dostrzegł pióropodobne pojazdy. Przypominały unoszące się na wodzie białe drobiny pudru. Gdyby nie to, że było ich mnóstwo, nie zdołałby ich zobaczyć gołym okiem.

Obraz w lewej soczewce wideookularów Prekursora pozostawał wyraźny. Widocznie operator niewyobrażalnie małej mikrokamery też wszedł z nią na pióro i nadawał stamtąd transmisję na żywo. Dzięki temu Prekursor widział ruch tych pojazdów w mieście.

Od razu przeżył szok – wydawało się, że niemal stale dochodzi do kolizji między piórami. Latały szybko, więc co rusz wpadały na siebie albo na przemieszczające się po mikroniebie drobiny kurzu. Często uderzały nawet o ściany wieżowców! Ale nie widać było, by ich pasażerowie i same pojazdy doznawali jakiegokolwiek uszczerbku, i chyba nikt nie zwracał uwagi na te zderzenia.

Było to akurat zjawisko, które mógłby wyjaśnić każdy student pierwszego roku fizyki: im mniejsza wielkość obiektu, tym mocniejsza jego wewnętrzna spójność. Jest ogromna różnica między zderzeniem dwóch rowerów i dwóch statków o wyporności dziesięciu tysięcy ton każdy. A jeśli zderzą się dwie cząsteczki kurzu, żadnej z nich nic się nie stanie. Dlatego mieszkańcy tego mikroświata wydawali się mieć ciała ze stali i mogli żyć bez obawy przed zranieniem.

Kiedy pióra przelatywały obok drapaczy chmur, z okien budynków od czasu do czasu wyskakiwali ludzie, starając się na nie dostać. Jednak nie

zawsze im się to udawało, więc niektórzy spadali z wysokości odpowiadającej setkom metrów. Na sam widok takiej wysokości Prekursorowi kręciło się w głowie. Natomiast mikroludzie opadali z gracją i spokojem, pozdrawiając nawet znajomych przez okna mijane w pędzie na ziemię.

– Och, twoje oczy są czarne jak ocean, takie głębokie, tak bardzo głębokie – powiedziała Wysoka Doradczyni do Prekursora. – Tak pełne melancholii. Twoja melancholia okrywa nasze miasto jak całun. Powinieneś zrobić z nich muzeum! Och, och, och… – Zaczęła płakać, wyraźnie przygnębiona.

Pozostali również zanieśli się płaczem, a latające pióra, na których stali, zaczęły się obijać o budynki po prawej i lewej stronie.

Prekursor widział swoje ogromne oczy na obrazie w wideookularach. Ich powiększone milion razy, melancholijne spojrzenie zaszokowało nawet jego.

– Dlaczego muzeum? – zapytał zmieszany.

– Bo melancholia nadaje się tylko do muzeum. Mikroera jest epoką bez zmartwień! – oświadczyła głośno przywódczyni Ziemi. Chociaż na jej delikatnej twarzy nadal lśniły łzy, nie było już na niej ani śladu smutku.

– Żyjemy w epoce bez zmartwień! – krzyknęła reszta zgodnym chórem.

Prekursor miał wrażenie, że nastroje w mikroerze zmieniały się setki razy szybciej niż w erze makro. Widać to było szczególnie wyraźnie w przypadku emocji negatywnych, takich jak smutek i melancholia. Mikroludzie otrząsali się z nich w mgnieniu oka.

Jednak odkrycie to miało jeszcze jeden aspekt, który było mu jeszcze trudniej zrozumieć. W tej erze wszystkie negatywne emocje były bardzo rzadkie, prawdę mówiąc, tak rzadkie, że dla żyjących w niej ludzi stanowiły

fascynujące artefakty. Kiedy się z nimi stykali, korzystali z okazji, by ich doznać.

– Nie bądź przygnębiony jak dziecko! Szybko się przekonasz, że w mikroerze nie ma się czym martwić! – krzyknęła Wysoka Doradczyni, przepełniona teraz radością.

Po tych słowach Prekursor na chwilę zaniemówił. Wcześniej doszedł do wniosku, że stan umysłowy mikroludzi jest bardzo podobny do stanu umysłowego dzieci w makroerze, ale wtedy pomyślał, że ich dzieci są, jak by to powiedzieć, jeszcze bardziej infantylne.

– To znaczy – powiedział ze zdumieniem – że w tej erze ludzie stają się z wiekiem… – nie mógł uwierzyć w to, co mówi – coraz bardziej dziecinni?

– Z wiekiem stajemy się coraz szczęśliwsi! – zachichotała Wysoka Doradczyni.

– Tak! Z wiekiem stajemy się coraz szczęśliwsi! – zawtórował jej tłum.

– Ale melancholia może być bardzo piękna – ciągnęła dziewczyna. – Jest jak odbicie księżyca w jeziorze, odzwierciedla romantyzm makroery. Och, och, och… – Na myśl o tym zaczęła wydawać żałosne szlochy.

– O tak! Jakaż piękna to była epoka! – podchwycili pozostali, a ich oczy zaszkliły się łzami.

Prekurosor nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Wy naprawdę nie rozumiecie, czym jest melancholia. Człowiek ogarnięty prawdziwą melancholią nie roni łez.

– Możesz nam to pokazać! – krzyknęła Wysoka Doradczyni, wracając do radosnego stanu ducha.

– Mam nadzieję, że nie – rzekł z lekkim westchnieniem Prekursor.

– Popatrz, to nasz pomnik na cześć makroery! – oznajmiła Wysoka Doradczyni, gdy pióra przeleciały na inny plac w mieście.

Prekursor ujrzał pomnik. Był to masywny filar, który nieco przypominał ogromną wieżę stacji nadawczej. Z zewnątrz pokrywały go niezliczone płytki, z których każda miała wielkość koła. Wyglądały jak rybie łuski.

Dopiero po długiej chwili dotarło do niego, co to jest – włos człowieka z ery makro.

Rozdział 5

Uczta

Pierzaste lotnie wznosiły się coraz wyżej i w końcu przez jakiś niewidoczny otwór wydostały się spod kopuły. Kiedy zostawiły za sobą pokrywę miasta, Wysoka Doradczyni zwróciła się do Prekursora przez wideoekran w jego okularach:

– Jesteśmy jakieś dwieście kilometrów od twojego statku. Jeśli wylądujemy na twoich palcach, będziesz mógł nas tam zanieść. To bardzo przyspieszyłoby naszą podróż.

Prekursor obrócił głowę w stronę lądownika, który znajdował się tuż za nim. Wypowiedź dziewczyny mogła oznaczać tylko tyle, że w mikroerze zmniejszyły się też jednostki odległości. Wyciągnął rękę i pióra zaczęły na niej lądować. Wyglądało to tak, jakby na jego palcach osiadł biały pył.

W wideookularach widział teraz wyraźnie swoje linie papilarne. Wyglądały jak wielkie, półprzezroczyste łańcuchy górskie, które zdawały się pochłaniać pióra schodzące do lądowania w wąwozach między nimi. Pierwsza zeskoczyła z pióra Wysoka Doradczyni i od razu upadła.

– Twoja skóra jest zbyt śliska – poskarżyła się głośno.

Zdjęła buty i odrzuciła je z rozdrażnieniem. Wstała i stojąc boso, rozejrzała się z ciekawością. Wkrótce pośród półprzezroczystych gór na

jego palcach zebrało się morze ludzi. Prekursor oszacował, że jest ich ponad dziesięć tysięcy.

Podniósł się i trzymając nieruchomo wyciągniętą rękę, bardzo ostrożnie ruszył do lądownika.

Nie zdążył jeszcze do niego całkowicie wejść, gdy mikroludzie zaczęli krzyczeć:

– O rany! Spójrzcie tylko – metalowe niebo! Sztuczne słońce!

– Nie ekscytujcie się tak, głuptasy! To tylko mały prom. Statek w górze jest dużo większy – zganiła swych ludzi Wysoka Doradczyni, ale sama też rozglądała się z podziwem.

Tymczasem tłum znowu zaczął swoją dziwną pieśń:

Och, wspaniała makroero!
Och, romantyczna makroero!
Och, melancholijna makroero!
Och, utracona wizjo! Spłonął w ogniu ten sen!

Gdy lądownik uniósł się z ziemi i ruszył do *Arki*, Wysoka Doradczyni dokończyła opowieść o dziejach mikroświata.

– Przez pewien czas społeczeństwa makro i mikro istniały obok siebie. W tym okresie mikroludzie przyswoili sobie w pełni wiedzę makroświata, więc odziedziczyliśmy kulturę makroludzi. Jednocześnie zaczęliśmy rozwijać nasze własne, niezwykle zaawansowane technologicznie społeczeństwo. Opieraliśmy się na nanotechnologii. Ta epoka przejściowa trwała przez około… hmm… – Wysoka Doradczyni lekko wykrzywiła usta, starając się to sobie przypomnieć. – Przez około dwadzieścia pokoleń.

Kiedy zbliżała się katastrofa, makroludzie przestali płodzić dzieci i ich liczba stale się kurczyła. Natomiast populacja mikroludzi gwałtownie się

zwiększała, a wraz z tym rozrastało się nasze społeczeństwo. Wkrótce stało się liczniejsze od makrospołeczeństwa. Wtedy poprosiliśmy, by to nam przekazano rządy nad Ziemią. Żądanie to wstrząsnęło makrospołeczeństwem do głębi i spowodowało jego ostrą reakcję. Niektórzy twardogłowi odmówili oddania władzy, twierdząc, że nie może być tak, by ludźmi rządził szczep bakterii. Doszło do wojny między makro- i mikroludźmi!

– To musiało być dla was straszne – rzekł Prekursor ze współczuciem.

– To było straszne dla makroludzi, bo zostali szybko pokonani – powiedziała Wysoka Doradczyni.

– Jak to się stało? Przecież jeden makroczłowiek z młotem mógł zniszczyć wielomilionowe mikromiasto – zdziwił się Prekursor.

– Ale mikroludzie nie walczyli w swoich miastach, a arsenał makroludzi zupełnie się nie nadawał do walki z niewidzialnym przeciwnikiem – odparła. – Jedyną prawdziwą bronią, jaką dysponowali, był środek dezynfekujący. W historii cywilizacji używali go do walki z mikroorganizmami, ale nigdy nie odnieśli decydującego zwycięstwa. Teraz, kiedy chcieli zniszczyć mikroludzi, wroga dorównującego im inteligencją, mieli jeszcze mniejsze szanse. Nie byli w stanie śledzić ruchów mikroarmii, więc mogliśmy psuć pod ich nosem mikroukłady w ich komputerach. A co mogli zrobić bez komputerów? Potęga nie bierze się ze wzrostu – wyjaśniła Wysoka Doradczyni.

Prekursor pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Kiedy się nad tym zastanowić…

– Tych zbrodniarzy wojennych spotkał los, na jaki sobie zasłużyli – ciągnęła z ogniem w oczach Wysoka Doradczyni. – Na siatkówkach ich oczu wylądowało kilka tysięcy uzbrojonych w lasery żołnierzy naszych sił specjalnych… – Przerwała, by Prekursor dopowiedział sobie resztę

w wyobraźni, po czym kontynuowała już spokojniej: – Po wojnie władzę nad Ziemią przejęli mikroludzie. Wraz z końcem makroery zaczęła się mikroera.

– To bardzo ciekawe! – wykrzyknął Prekursor.

Lądownik przycumował do *Arki*. Mikroludzie natychmiast znowu wskoczyli na swoje latające pióra i zaczęli badać nowe otoczenie. Ogrom statku wprawiał ich w osłupienie. Prekursor początkowo myślał, że uwagi, które wymieniają między sobą, wyrażają podziw, ale Wysoka Doradczyni szybko wyprowadziła go z błędu.

– Teraz rozumiemy – powiedziała. – Makroera by nie przetrwała, nawet gdyby nie doszło do rozbłysku energii na Słońcu. Zużywacie miliardy razy więcej zasobów niż my!

– Ale weź pod uwagę, że ten statek może się poruszać z prędkością bliską prędkości światła. Może dotrzeć do gwiazd odległych o setki lat świetlnych. Coś takiego, mali ludkowie, można było wyprodukować tylko we wspaniałej makroerze – zaprotestował Prekursor.

– W tej chwili na pewno nie jesteśmy w stanie stworzyć czegoś, co by mu dorównywało. Nasze statki kosmiczne mogą osiągnąć tylko jedną dziesiątą prędkości światła – przyznała Wysoka Doradczyni.

– Możecie odbywać podróże kosmiczne? – wykrztusił Prekursor. Był tak zdumiony, że z jego twarzy odpłynęła krew.

– Na pewno nie tak dalekie jak wy. Nasze statki latają najdalej na Wenus. Prawdę mówiąc, niedawno odebraliśmy od nich wiadomość. Ich załogi mówią, że w obecnym stanie rzeczy wydaje się ona nadawać do zamieszkania lepiej niż Ziemia – odparła Wysoka Doradczyni, nie zwracając uwagi na jego szok.

– Jaką mają wielkość? – zapytał Prekursor, gdy odzyskał równowagę psychiczną.

– Duże są wielkości waszej… hmm… – przerwała, szukając odpowiedniego porównania – …piłki futbolowej – powiedziała w końcu. – Mogą przewieźć setki tysięcy pasażerów. Natomiast mniejsze mają wielkość piłeczki golfowej, oczywiście takiej z makroery.

Słowa te zburzyły jego poczucie wyższości.

– Przodku, możesz dać nam coś do jedzenia? Jesteśmy bardzo głodni – poprosiła Wysoka Doradczyni w imieniu swego ludu, gdy latające pióra osiadły na konsoli sterowniczej *Arki*.

Prekursor widział, że wpatrują się w niego z oczekiwaniem dziesiątki tysięcy mikroludzi.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał zaprosić na obiad tyle osób – odparł z uśmiechem.

– Na pewno nie chcielibyśmy prosić cię o zbyt dużo! – powiedziała dziewczyna ze złością.

Prekursor wziął ze spiżarni puszkę mięsa. Otworzył ją i małym nożem ostrożnie wyjął kawałek zawartości, a potem położył obok tłumu stojącego na konsoli. Widział go gołym okiem. Tłum zajmował miejsce wielkości monety. Nie było ono tak gładkie jak reszta konsoli, wyglądało jak ślad chuchnięcia na zimną powierzchnię.

– Dlaczego wyjąłeś aż tyle? To marnotrawstwo! – ofuknęła go przywódczyni Ziemi.

Teraz Prekursor zobaczył ją na dużym monitorze. Stała za nią góra mięsa, ku której cisnęli się jej ludzie. Kiedy dochodzili do różowego filaru, odłupywali z niego małe kawałki i zjadali.

Spojrzawszy z powrotem na konsolę, Prekursor nie zauważył, by kawałek mięsa choć trochę się zmniejszył. Ne ekranie widział, że tłum szybko się rozprasza, a niektórzy zostawiają po drodze niedojedzone resztki. Wysoka Doradczyni podniosła taki kawałek i ugryzła kęs.

Żując, zaczęła kręcić głową.

– To w ogóle nie jest smaczne – oświadczyła, gdy przełknęła.

– Oczywiście, że nie, zostało zsyntetyzowane w ekocyklowniku. Maszyna nie mogła nadać mu lepszego smaku, bo pod tym względem ma ograniczone możliwości – przyznał Prekursor przepraszającym tonem.

– Daj nam trochę alkoholu, żebyśmy mogli to popić! – niemal natychmiast Przywódczyni Ziemi zgłosiła nowe życzenie.

Zebrani na konsoli mikroludzie powitali to z aplauzem. Prekursor uniósł brwi; wiedział przecież, że alkohol zabija mikroorganizmy.

– Pijecie piwo? – zapytał ostrożnie.

– Nie, pijemy whisky albo wódkę! – odparła z werwą przywódczyni Ziemi.

– Może też być mao-tai! – krzyknął ktoś.

Prekursor akurat miał jeszcze butelkę tego trunku; trzymał ją od wylotu *Arki* z Ziemi na dzień, kiedy znajdą świat nadający się do zamieszkania. Wyciągnął ją.

Trzymając ze smutkiem białą porcelanową butelkę, zdjął nakrętkę, po czym wlał do niej trochę alkoholu i postawił ją obok tłumu.

Widział na ekranie, że mikroludzie zaczęli się wdrapywać na niezdobytą ścianę urwiska, jakim był bok zakrętki. W skali mikro jej pozornie gładka powierzchnia miała wiele występów, których można się było uchwycić. Dzięki umiejętnościom wspinaczkowym, które mikroludzie nabyli na drapaczach chmur w swoim mieście, szybko znaleźli się na jej brzegu.

– Och, jakie wspaniałe jezioro! – rozległ się chór ich przepełnionych podziwem głosów.

Widoczna na ekranie powierzchnia rozległego jeziora alkoholu wybrzuszyła się, tworząc pod wpływem napięcia powierzchniowego gigantyczny łuk. Kamera podążyła za Wysoką Doradczynią, która starała

się zaczerpnąć trochę płynu. Próba ta nie powiodła się, bo dziewczyna miała za krótką rękę, by go dosięgnąć. Wtedy usiadła na brzegu nakrętki, opuściła nogę i musnęła stopą powierzchnię jeziora. Natychmiast pokryła ją warstwa alkoholu. Wysoka Doradczyni podciągnęła nogę i zgarnęła dłonią trochę płynu, po czym go wypiła.

– Och! – zawołała, kiwając z zadowoleniem głową. – Alkohol z makroery jest dużo lepszy od naszego!

– Miło mi usłyszeć, że mamy coś lepszego. Ale picie z użyciem nogi jest bardzo niehigieniczne – zauważył Prekursor.

– Nie rozumiem – odparła, patrząc na niego z zakłopotaniem.

– Chodziłaś przez pewien czas boso, więc na twoich stopach muszą być zarazki – wyjaśnił Prekursor.

– Teraz rozumiem! – krzyknęła przywódczyni Ziemi. Jeden z sekretarzy podał jej pudełko. Otworzyła je i wyłoniło się z niego dziwne zwierzę. Było okrągłe, miało wielkość piłki futbolowej i małe, chaotycznie drgające nogi. Wysoka Doradczyni podniosła je za jedną nogę i powiedziała: – To jeden z naszych prezentów dla ciebie. Laktokurczak!

Prekursor wytężył umysł, starając się przypomnieć sobie lekcje mikrobiologii.

– Mówisz, że to jest… – urwał, po czym rzekł z niedowierzaniem – … pałeczka kwasu mlekowego?

– Tak to nazywaliście w makroerze. To stworzenie nadawało smak waszemu jogurtowi. Bardzo pożyteczne! – odparła Wysoka Doradczyni.

– Bardzo pożyteczna bakteria – poprawił ją Prekursor. – Ale teraz rozumiem, że bakterie nie wyrządzają wam żadnej krzywdy. W waszej erze nasze pojęcie higieny straciło znaczenie.

Przywódczyni Ziemi potrząsnęła głową.

– Niekoniecznie. Niektóre zwierzęta… eee… to znaczy bakterie mogą nam poważnie zaszkodzić. Na przykład coliwilki. Pokonanie któregoś jest nie lada wyzwaniem. Ale większość zwierząt, na przykład świnie drożdżowe, jest bardzo sympatyczna. – Mówiąc to, łyknęła jeszcze trochę mao-tai. Potem strząsnęła resztę alkoholu ze stopy i wstała. Miała nieźle w czubie i zaczął się jej plątać język.

– Nigdy bym się nie spodziewał, że jest u was alkohol! – powiedział autentycznie zaskoczony Prekursor, marszcząc brwi.

– Odziedziczyliśmy po waszej cywilizacji wszystko, co piękne – powiedziała, nieco przeciągając sylaby – chociaż makrosy uważali, że nie mamy do tego prawa. – Zacięła się. – Prawa do bycia nośnikami ludzkiej cywilizacji – zabełkotała. Wyglądała, jakby nieco kręciło się jej w głowie, i osunęła się na pupę.

– Odziedziczyliśmy całą filozofię ludzkości, zachodnią i wschodnią, grecką i chińską – krzyknął tłum jednym głosem.

Siedząc, przywódczyni Ziemi wyciągnęła ręce do nieba i zaintonowała:

– „Nikt nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki. Tao zrodziło Jednię. Jednia zrodziła Dwójnię. Dwójnia Trójnię zrodziła. Trójnia zrodziła…” – Umilkła, ale szybko podjęła bełkoczącym głosem: – Zrodziła wszystkie utwory! Cenimy malarstwo van Gogha. Słuchamy muzyki Beethovena. Wystawiamy sztuki Szekspira. Być albo nie być – oto jest… – Znowu umilkła. – Oto jest pytanie. – Wstała i zataczając się, wyrecytowała monolog Hamleta.

– W naszej erze nie przyszło nam nawet do głowy, że taka dziewczyna jak ty może zostać przywódczynią świata – zauważył Prekursor.

– Makroera była epoką melancholii i miała melancholijną politykę. Mikroera jest epoką beztroski. Potrzebujemy szczęśliwych przywódców – odparła Wysoka Doradczyni, sprawiając wrażenie już znacznie

trzeźwiejszej. – Nie zakończyliśmy naszej rozmowy. – Zrobiła przerwę, by dojść do siebie. – Rozmowy o historii. Mówiliśmy o… – Raz jeszcze przerwała, usiłując sobie przypomnieć temat. – A, tak, o wojnie. Po wojnie z makroludźmi wybuchła następna, wśród nas, mikroludzi.

– Co? – przerwał jej zszokowany Prekursor. – Z pewnością nie o terytorium?

– Oczywiście, że nie – odparła Wysoka Doradczyni. – Jeśli w mikroerze jest coś naprawdę niewyczerpalnego, to terytorium. Wojna zaczęła się z pewnych przyczyn – znowu przerwała z sobie tylko znanych powodów i dopiero po chwili podjęła – z przyczyn, których makroczłowiek nigdy nie pojmie. Ale wiedz, że podczas naszych ostatnich kampanii pola bitew obejmowały obszary… – Ponownie przerwała, przeprowadzając w głowie rachunki. – W waszych jednostkach miary ponad sto metrów kwadratowych. Wyobraź sobie taki rozległy teren!

– Odziedziczyliście po erze makro dużo więcej, niż byłbym w stanie sobie wyobrazić – stwierdził trzeźwo Prekursor.

– Później mikroera skierowała całą energię na przygotowanie się do nieuchronnej katastrofy. Przez pięćset lat zbudowaliśmy tysiące supermiast w głębi skorupy Ziemi. W twoich oczach wyglądałyby jak piłki ze stali nierdzewnej o metrowej średnicy; każde mogło pomieścić dziesiątki milionów osób. Zbudowaliśmy je osiemset tysięcy kilometrów pod ziemią…

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Prekursor. – Promień Ziemi ma niespełna sześć tysięcy czterysta kilometrów.

– Ach, znowu użyłam naszych miar – zreflektowała się przywódczyni Ziemi. – W waszych jednostkach byłoby to … – Przeprowadziła obliczenie w głowie. – Tak, osiemset metrów. Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki błysku energii na Słońcu, cały mikroświat przeniósł się pod ziemię.

A potem nadeszła katastrofa. Czterysta lat po niej pierwsza grupa mikroludzi wydostała się na powierzchnię masywnym tunelem mniej więcej średnicy rury wodociągowej z makroery. Wydrążyli w zestalonej magmie przejście laserowymi świdrami. Minęło jednak kolejnych pięćset lat, zanim założyliśmy nowy świat na powierzchni. Zbudowaliśmy dziesiątki tysięcy miast, świat z osiemnastoma miliardami mieszkańców.

Patrzyliśmy w przyszłość z optymizmem. Taki bezgraniczny, udzielający się wszystkim optymizm byłby niewyobrażalny w erze makro. Byliśmy optymistami z powodu małej skali naszego mikrospołeczeństwa. Znaczyło to, że zdolność przetrwania ludzkości w tym wszechświecie zwiększyła się miliony razy. Na przykład zawartość tej puszki, którą przed chwilą otworzyłeś, mogłaby wykarmić całe miasto przez dwa lata. A sama puszka dostarczyłaby naszemu miastu całego metalu, którego potrzebowałoby przez te dwa lata.

– Jako makroczłowiek lepiej teraz rozumiem wielkie osiągnięcia mikroery. To wszystko jest tak mityczne, takie imponujące! – wykrzyknął z podziwem Prekursor.

Wysoka Doradczyni uśmiechnęła się i mówiła dalej.

– Ewolucja zmierza ku rzeczom małym. Rozmiar nie jest tożsamy z wielkością. Mikroskopijne życie harmonijniej koegzystuje z naturą. Gdy wyginęły dinozaury, przetrwały współczesne im mrówki. Gdyby teraz doszło do jakiejś wielkiej katastrofy, statek kosmiczny wielkości twojego lądownika mógłby ewakuować całą ludzkość. Ludzie mogliby odbudować swoją cywilizację na małej asteroidzie i wygodnie tam żyć.

Po tych słowach nastała długa cisza.

Wreszcie Prekursor, skupiwszy wzrok na morzu ludzi wielkości monety, uroczyście oświadczył:

– Kiedy znowu ujrzałem Ziemię, kiedy pomyślałem, że jestem ostatnim człowiekiem we wszechświecie, załamałem się i poczułem, że zgasł ostatni promyk nadziei. Jeszcze nikt nie czuł takiego bólu. Ale teraz… teraz jestem najszczęśliwszym człowiekiem, a przynajmniej najszczęśliwszym makroczłowiekiem, jaki kiedykolwiek żył. Widzę, że ludzka cywilizacja przetrwała. Prawdę mówiąc, zapewniła sobie dużo więcej niż tylko przetrwanie, bo to, co osiągnęliście, jest szczytem cywilizacji! Wszyscy jesteśmy ludźmi, pochodzimy od tego samego przodka. A więc proszę teraz mikroludzkość, by przyjęła mnie jako członka swego społeczeństwa.

– Przyjęliśmy cię od razu, gdy wykryliśmy *Arkę*. Możesz żyć na Ziemi. Utrzymanie jednego makroczłowieka nie będzie dla mikroludzi wielkim kłopotem – odparła Wysoka Doradczyni równie uroczystym tonem.

– Będę żył na Ziemi, ale wszystko, czego potrzebuję, mogę brać z *Arki*. Pokładowy ekocykler życia będzie zaspokajać moje potrzeby do mojego naturalnego końca. Nie ma powodu, by makroludzie znowu zużywali zasoby Ziemi – powiedział Prekursor z rozpromienioną szczęściem twarzą.

– Ale nasza sytuacja się poprawia. Nie tylko klimat Wenus stał się bardziej przyjazny dla ludzi, ale znowu ociepla się temperatura Ziemi. W przyszłym roku w wielu częściach świata może nawet spaść deszcz. Wtedy mogą znowu wyrosnąć rośliny – stwierdziła Wysoka Doradczyni.

– Skoro mowa o roślinach, widzieliście kiedyś jakieś?

– Na wewnętrznej stronie naszej kopuły ochronnej uprawiamy porosty. To ogromne rośliny, każde włókno ma wysokość dziesięciokondygnacyjnego budynku! No a w wodzie są chlorelle…

– A słyszeliście o trawie? – przerwał jej Prekursor. – Albo o drzewach?

– Mówisz o roślinach z makroery, które były wysokie jak góry? O rany, to legendy z prastarych czasów.

Prekursor uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Chcę coś zrobić. Gdy wrócę, pokażę wam dary, które przywiozłem mikroerze. Myślę, że bardzo wam się spodobają.

Rozdział 6

Ponowne narodziny

Znalazłszy się znowu sam, Prekursor wszedł do chłodni w *Arce*, pełnej wysokich regałów z porządnie zastawionymi półkami. Leżały na nich tysiące zamkniętych tub. Był to bank nasion zawierający nasiona milionów ziemskich roślin. *Arka* miała zawieźć je na odległy świat, który w końcu mieli zasiedlić ludzie.

Było tam też kilka półek z zarodkami milionów ziemskich zwierząt.

Po ociepleniu się w przyszłym roku Ziemi Prekursor zasieje na niej trawy. Wśród milionów rodzajów nasion były tam tak odporne gatunki, że mogły rosnąć w śniegu i lodzie. Na pewno uda się im przeżyć na obecnej Ziemi.

Gdyby udało się przywrócić tylko jedną dziesiątą ekosfery z ery makro, na Ziemi zapanowałby raj. Zresztą prawdopodobnie będzie można odtworzyć dużo więcej. Prekursor dał się ponieść wyobraźni – już widział dziką radość mikroludzi, z jaką po raz pierwszy patrzą na wznoszące się do nieba ogromne, zielone źdźbło trawy. A gdyby tak mała łączka? Jakie miałaby znaczenie dla mikroludzi?

A cały trawiasty teren? Czym by dla nich był? Zielonym kosmosem! A strumyk wśród tych traw? Jakim majestatycznym cudem byłby w oczach mikroludzi widok czystego strumienia wijącego się wśród traw!

Przywódczyni Ziemi powiedziała, że niedługo spadnie deszcz. Jeśli tak się stanie, to będzie i łąka, i strumień. A potem na pewno wyrosną drzewa. Mój Boże, drzewa!

Widział oczami wyobraźni grupę mikroeksploratorów ruszających od korzeni drzewa w cudowną podróż do góry. Każdy liść byłby zieloną, ciągnącą się po horyzont równiną.

Potem pojawiłyby się motyle. Ich skrzydła byłyby jak barwne, pokrywające niebo chmury. A ptaki, głos każdego z nich byłby trąbą grzmiącą z nieba.

Jedna bilionowa zasobów ekologicznych Ziemi mogłaby łatwo wyżywić bilion mikroludzi! Dopiero teraz Prekursor zrozumiał to, co tak często powtarzali mikroludzie.

Mikroera była epoką bez zmartwień.

Temu nowemu światu nie mogło nic zagrozić, nic oprócz…

Straszna myśl zmroziła mu umysł i duszę, kiedy uświadomił sobie, co musi zrobić, i to natychmiast. Nie mógł tracić czasu. Podszedł do jednej z półek i zdjął z niej sto tubek.

Zawierały komórki embrionalne jego współczesnych – komórki embrionalne makroludzi.

Wrzucił tubki do laserowej niszczarki. Potem poszedł z powrotem do chłodni i kilka razy przeszedł wzdłuż regałów, dokładnie sprawdzając wszystkie półki. Wrócił do niszczarki, dopiero gdy był absolutnie pewien, że nie została już żadna tubka z zarodkami makroludzi. Poczuł głęboki spokój, gdy wcisnął guzik.

Laser zapłonął dziesiątkami tysięcy stopni. Tubki i zawarte w nich zarodki zgorzały w mgnieniu oka.

POŻERACZ

Rozdział 1

Kryształ z Erydanu

Było to wprost przed nim, ale mimo to Kapitan ledwie widział przezroczystą, krystaliczną strukturę tego czegoś. Unosiło się w czarnej pustce kosmosu jak kawałek szkła w odmętach. Tylko spowodowane jego przesuwaniem się nieznaczne zniekształcenie światła gwiazd pozwalało Kapitanowi ustalić jego położenie. Wkrótce zniknęło w przestrzeni między gwiazdami.

Nagle tarcza Słońca się wykrzywiła, a jego odwieczny, odległy blask zaczął falować. Kapitan wzdrygnął się, ale zachował stoicki spokój. W odróżnieniu od tuzina otaczających go żołnierzy powstrzymał się od okrzyku zdumienia. Od razu zorientował się, co się stało – odległy o zaledwie dziesięć metrów kryształ znalazł się między nimi i Słońcem. Przez następnych trzysta lat ten dziwny widok będzie się często pojawiał w jego umyśle i budził pytanie, czy był on zwiastunem losu ludzkości.

Jako najwyższy rangą oficer rozmieszczonych w kosmosie oenzetowskich Sił Ochrony Ziemi Kapitan dowodził wchodzącą w ich skład jednostką międzyplanetarną. Była mała, ale wyposażona w najpotężniejszą broń jądrową, jaką kiedykolwiek skonstruowali ludzie. Jej wrogami były skaliste ciała niebieskie, asteroidy i meteory, które system

wczesnego ostrzegania ocenił jako zagrożenia dla Ziemi. Zadaniem Sił Ochrony Ziemi było ich niszczenie albo zmiana kierunku ich lotu.

Patrolowali przestrzeń kosmiczną od ponad dwudziestu lat, ale jeszcze nigdy nie musieli wystrzelić pocisków. Wszystkie okruchy materii, które były na tyle duże, by uzasadnić użycie broni, zdawały się unikać Ziemi, uparcie pozbawiając ich szansy na okrycie się sławą.

Teraz jednak namiar odkrył ten kryształ w odległości dwóch jednostek astronomicznych. Poruszał się po zupełnie nienaturalnej trajektorii, zmierzając prosto ku Ziemi.

Kapitan i jego ludzie ruszyli ostrożnie w stronę dziwnego obiektu, kreśląc silnikami skafandrów sieć śladów wokół niego. Gdy odległość od kryształu zmniejszyła się do dziesięciu metrów, w jego wnętrzu zapaliło się zamglone światło i wyraźnie ukazało długi na około trzy metry pryzmatyczny zarys. Podleciawszy jeszcze bliżej, członkowie kosmicznego patrolu zobaczyli złożone krystaliczne rury jego układu napędowego. Kapitan podleciał do kryształu i wyciągnął do niego rękę, nawiązując pierwszy w dziejach ludzkości kontakt z inteligencją pozaziemską.

Wtedy kryształ stał się ponownie przezroczysty, a wewnątrz niego pojawił się bajecznie kolorowy obraz. Przedstawiał dziewczynkę z mangi, o dużych oczach i włosach spływających falami do jej stóp. Miała na sobie piękną, powiewną sukienkę i wydawała się unosić sennie w niewidzialnej wodzie.

– Ostrzeżenie! Uwaga! Ostrzeżenie! Zbliża się Pożeracz! – krzyknęła nagle, zdjęta paniką. Jej duże oczy wpatrywały się błagalnie w Kapitana, a szczupła ręka wskazywała z niekłamanym drżeniem w kierunku przeciwnym do Słońca. Nie było wątpliwości, że niewidoczny prześladowca depcze jej po piętach.

– Skąd pochodzisz? – zapytał Kapitan z pozoru zupełnie nieporuszony.

– Z Epsilon Eridani, jak – zdaje się – nazywacie tę gwiazdę, i według waszej rachuby czasu leciałam tu przez sześćdziesiąt tysięcy lat – odparła, po czym uderzyła w szloch. – Zbliża się Pożeracz! Zbliża się Pożeracz!

– Jesteś żywą istotą? – dociekał Kapitan.

– Oczywiście, że nie. Jestem tylko przekazem. – Ale była to jedynie chwilowa przerwa. – Zbliża się Pożeracz! Zbliża się Pożeracz!

– Skąd znasz angielski?

– Nauczyłam się po drodze – odpowiedziała bez wahania i znowu zaczęła jak zacięta płyta: – Zbliża się Pożeracz! Zbliża się Pożeracz!

– No i ten twój wygląd… – Kapitan nie dokończył.

– Zobaczyłam go po drodze – powiedziała i wróciła do jeszcze głośniejszego zawodzenia: – Zbliża się Pożeracz! Zbliża się Pożeracz! Och, na pewno was przeraża.

– Kto to jest ten Pożeracz? – zapytał w końcu Kapitan.

– Z wyglądu przypomina gigantyczną oponę. Tak, to porównanie chyba do was przemówi – zaczęła wyjaśniać.

– Jesteś dobrze zaznajomiona z naszym światem – przerwał jej Kapitan, podnosząc brwi za wizjerem.

– Zaznajomiłam się z tym po drodze – odparła erydańska dziewczyna i na nowo podjęła lament: – Zbliża się Pożeracz! – Potem przemknęła na drugi koniec kryształu, a w miejscu, gdzie przed chwilą się znajdowała, pojawił się obraz „opony”.

Obiekt ten rzeczywiście był bardzo podobny do opony, chociaż jego powierzchnia lśniła fosforyzującym blaskiem.

– Jak duży jest ten pożeracz? – zapytał jeden z oficerów.

– Ma pięćdziesiąt tysięcy kilometrów średnicy. „Opona” jest ciałem stałym o szerokości dziesięciu tysięcy kilometrów, a dziura w środku ma trzydzieści tysięcy kilometrów średnicy.

Nastała długa cisza, którą przerwał ktoś, zadając nurtujące wszystkich pytanie:

– Czy te kilometry, o których mówisz, są dokładnie takie jak nasze?

– Oczywiście – odpowiedziała natychmiast dziewczyna, tym razem spokojnie. – Pożeracz jest taki duży, że może objąć całą planetę, tak jak wasza opona piłkę futbolową. Kiedy ją zamknie w uścisku, zaczyna pustoszyć jej zasoby naturalne, a resztki wypluwa jak pestkę czereśni!

Ludzie znowu zaniemówili, aż w końcu ten sam oficer powiedział drżącym głosem:

– Ale w dalszym ciągu nie rozumiemy, czym albo kim jest ten Pożeracz.

Dziewczyna w krysztale pospieszyła z dalszymi informacjami:

– To statek wielopokoleniowy, chociaż nie wiemy, skąd przybył ani dokąd leci. Nie wiedzą tego z całą pewnością nawet gigantyczne jaszczury, które go pilotują. Wędrując od dziesiątków milionów lat po Drodze Mlecznej, zapomniały zarówno skąd pochodzą, jak i o swoim pierwotnym celu. Ale jedno jest pewne: w odległej przeszłości, kiedy ten statek został zbudowany, był dużo mniejszy. Zjada planety, by rosnąć, i pożarł nasz świat!

Kiedy umilkła, obraz Pożeracza w krysztale zaczął rosnąć, aż w końcu zajął całą jego powierzchnię. Wkrótce stało się jasne, że powoli opuszcza się na świat niewidocznego kamerzysty. Widziana oczami jej mieszkańców planeta przeistoczyła się w dno powoli obracającej się kosmicznej studni. Wyraźnie było widać złożone struktury pokrywające ściany tego gigantycznego leja. Początkowo przypominały one Kapitanowi nieskończenie powiększone obwody mikroprocesora. Potem uświadomił sobie, że były one bezkresnym ciągiem miast rozciągających się po wewnętrznej stronie pierścienia Pożeracza. W górze obrazu w krysztale

ukazał się krąg niebieskiego światła emanującego z wylotu studni. Tworzyło ono na niebie potężną łunę, która otaczała gwiazdy.

Dziewczyna z Eridanusa wyjaśniła, że widzą wyloty rufowego silnika pierścienia Pożeracza. Kiedy to mówiła, jej ciało przemieniło się w wijące się macki. Nawet spadające kaskadą włosy poruszały się jak niezliczone ramiona. Każdą swoją cząstką wyrażała bezgraniczne przerażenie.

– Oglądacie pożeranie trzeciej planety Erydanu – powiedziała. – Pierwszą rzeczą, jaką byście zauważyli, gdybyście tam wtedy przebywali, byłoby zmniejszenie się ciężaru waszych ciał, a to dlatego, że przyciąganie grawitacyjne Pożeracza przeciwdziałało grawitacji naszej planety. Trudno opisać zniszczenie, jakie spowodowało. Najpierw, gdy przesuwał się nad biegunem, wzniosły się ku niemu oceany. Potem, kiedy otoczył całą planetę, wody cofnęły się na równik. Fale były tak wysokie, że zdawały się pochłaniać chmury. Niewiarygodnie potężna siła grawitacji rozerwała kontynenty, jakby były z bibułki. Na dnie oceanów i na suchym lądzie wybuchły niezliczone wulkany. – Dziewczyna przerwała, po czym podjęła opowieść, mrugając. – Po otoczeniu równika Pożeracz się zatrzymał, idealnie dopasowując się do orbity planety wokół naszego słońca. Nasz świat znalazł się w jego paszczy.

Kiedy zaczyna się pustoszenie planety, z wewnętrznej ściany Pożeracza opuszczają się na jej powierzchnię niezliczone, długie na tysiące kilometrów kable. Cały świat zostaje uwięziony jak mucha w sieci kosmicznego pająka. Potem między nim i jego ofiarą zaczynają kursować gigantyczne moduły transportowe, zabierając z niej oceany i atmosferę. Równocześnie inne maszyny zaczynają się wwiercać w skorupę planety i wydobywać minerały, by zaspokoić jego głód. – Dziewczyna znowu umilkła, wpatrując się w dal. Podjęła równie nagle, jak przerwała: – Grawitacja Pożeracza i planety równoważą się, tworząc między sobą strefę

o niskiej grawitacji. Dzięki niej łatwiej jest przenosić zasoby pochłanianego świata. Ta grabież jest niezwykle skuteczna. Mierząc w czasie ziemskim, na przeżucie jednego świata Pożeracz potrzebuje około wieku. Potem z wody i atmosfery planety nie pozostaje nic. Kiedy sieje takie spustoszenie, jego grawitacja ją deformuje, powoli rozciągając ją w pasie równikowym. W końcu planeta staje się… – dziewczyna zamilkła po raz trzeci, tym razem raczej szukając odpowiedniego słowa niż dla wywarcia wrażenia na słuchaczach – …jak byście to nazwali? A, mam. Dyskiem. Wypiwszy z planety wszystkie soki, Pożeracz wypluwa ją i leci w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Po jego odlocie planeta powraca do okrągłego kształtu. Kiedy to się dzieje, cały świat przeżywa ostateczną katastrofę: jego powierzchnia przypomina morze płynnej magmy, które przed milionami lat zwiastowało jego narodziny. Podobnie jak na początku istnienia planety, w tym piekle nie przetrwa żaden ślad życia.

– Jak daleko jest Pożeracz od naszego Układu Słonecznego? – zapytał Kapitan, gdy skończyła.

– Jest tuż za mną! – ostrzegła. – W waszej rachubie czasu przybędzie tu już za sto lat! Ogłoście alarm! Zbliża się Pożeracz! Zbliża się Pożeracz!

Rozdział 2

Emisariusz Kieł

Kiedy na poważnie rozgorzała debata o wiarygodności przekazu w krysztale, do Układu Słonecznego wleciał pierwszy, mały statek Pożeracza.

I tym razem pierwszy kontakt nawiązał z nim patrol kosmiczny pod dowództwem Kapitana. Nastrój tego kontaktu nie mógłby się bardziej różnić od poprzedniego i nie był jedynym kontrastem. Misternie wykonana struktura kryształu erydańskiego nosiła wszelkie cechy nieziemskiej technologii stworzonej przez wyrafinowaną cywilizację. Statek Pożeracza był jej biegunowym przeciwieństwem. Wyglądał prymitywnie i niezgrabnie, jak patelnia, która przez większą część wieku leżała w zapomnieniu na pustyni. Tym, którzy go zobaczyli, od razu przywiódł na myśl gigantyczną maszynę parową.

Wysłannik Imperium Pożeracza pasował wyglądem do swego pojazdu. Był to masywny, niezgrabny jaszczur pokryty ogromnymi łuskami. W pozycji wyprostowanej mierzył prawie dziesięć metrów. Przedstawił się jako „Kiełsz”, ale jego aparycja i późniejsze zachowanie szybko zaskarbiły mu przezwisko „Kieł”.

Kiedy wylądował u stóp budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych, silniki jego statku wyżłobiły duży krater, a pryskający z niego beton

wyszczerbił i potrzaskał ściany sąsiednich domów. Ponieważ wielkość emisariusza obcych nie pozwoliła mu wejść do sali Zgromadzenia Ogólnego, delegaci zebrali się na placu ONZ, by go powitać. Niektórzy z nich zasłaniali twarze chusteczkami, a z ich poranionych odłamkami szkła i betonu czół ciekła krew.

Kiedy Kieł ruszył do nich, przy każdym jego kroku trzęsła się ziemia, a gdy otworzył paszczę, by przemówić, wydobył się z niej ryk. Brzmiał jak gwizd dziesięciu lokomotyw i na głowach wszystkich, którzy go usłyszeli, podniosły się włosy. Chociaż Kieł nauczył się po drodze angielskiego, mówił w swoim języku, a jego słowa tłumaczył nieporęczny translator wiszący mu na szyi. Gruby męski głos, który wydobywał się z translatora, mimo że cichszy od prawdziwego głosu Kła, przyprawiał słuchaczy o ciarki.

– Cha! Cha, białe, miękkie robaki, fascynujące robaki – zaczął Kieł jowialnie.

Wszyscy ludzie wokół niego zakryli uszy rękami i dopiero gdy ustał jego ryk, odsłonili je nieco, by usłyszeć przekład.

– Wy i ja będziemy żyli razem przez wiek i sądzę, że się polubimy – kontynuował Kieł.

– Wasza Wysokość wie zapewne, że jesteśmy bardzo ciekawi, jaki będzie cel wizyty waszego statku matki w naszym Układzie Słonecznym – powiedział sekretarz generalny, zadzierając głowę, by spojrzeć na Kła. Chociaż krzyczał co sił w płucach, jego głos zabrzmiał jak brzęczenie komara.

Kieł przybrał postawę podobną do ludzkiej, stając na tylnych łapach. Kiedy przeniósł ciężar ciała na zad, zatrzęsła się ziemia.

– Wielkie Imperium Pożeracza zje Ziemię, by kontynuować swoją heroiczną podróż! – oznajmił. – To nieuniknione!

– Co zatem stanie się z ludzkością? – zapytał sekretarz generalny lekko drżącym głosem.

– O tym zdecyduję dzisiaj – odparł Kieł.

W ciszy, która potem nastąpiła, przywódcy państw wymienili znaczące spojrzenia. W końcu sekretarz generalny kiwnął głową i rzekł:

– Musimy to omówić między nami.

Kieł potrząsnął masywnym łbem, nie pozwalając mu dodać nic więcej.

– To bardzo prosta sprawa. Muszę tylko popróbować, jak smakujecie…

Po tych słowach sięgnął ogromną łapą w zgromadzony tłum i chwycił szefa jednego z państw europejskich. Podrzucił go z gracją jakieś siedem metrów w górę, wprost do swego pyska. Potem zaczął starannie żuć. Od pierwszego do ostatniego chrupnięcia jego ofiara pozostawała absolutnie cicho; trudno było stwierdzić, czy to godność, czy przerażenie kazały jej powstrzymać się od wrzasków.

W strasznych chwilach, które potem nastąpiły, słychać było tylko trzask kości miażdżonych w ogromnych, podobnych do sztyletów zębach potwora. Jakieś pół minuty później Kieł wypluł garnitur i buty, zupełnie jak człowiek wypluwa pestki arbuza. Mimo że ubranie było zbroczone krwią, pozostało upiornie nietknięte.

Wokół zapadła kompletna cisza, którą w końcu przerwał ludzki głos.

– Jak pan mógł tak po prostu go złapać i zjeść? – zapytał stojący w tłumie Kapitan.

Kieł podszedł do niego ogromnymi, dudniącymi krokami. Tłum rozpraszał się przed nim. Stanął przed Kapitanem i opuszczał spojrzenie czarnych jak smoła, wielkich jak piłki do koszykówki oczu, aż spoczęło na nim.

– A nie powinienem? – zapytał.

– Skąd pan wiedział, że on nadaje się do jedzenia? – zapytał Kapitan. – Z biochemicznego punktu widzenia jest prawie niemożliwe, by istota z tak odległego świata była jadalna.

Kieł skinął głową, a jego ogromna paszcza ułożyła się niemal w wyraz uśmiechu.

– Zwróciłem na ciebie uwagę – powiedział. – Patrzyłeś na mnie z chłodną obojętnością, pogrążony w myślach. Nad czym się zastanawiałeś?

Kapitan odwzajemnił uśmiech i odparł:

– Oddycha pan naszym powietrzem i mówi, używając fal dźwiękowych. Ma pan dwoje oczu, nos i usta. Pańskie cztery kończyny rozmieszczone są symetrycznie… – Zawiesił głos.

– I tego nie rozumiesz? – spytał Kieł, poruszając wielkim łbem tuż przed jego twarzą. Zionął przyprawiającym o mdłości, cuchnącym krwią oddechem.

– Zgadza się. Na tyle znam zasady uporządkowania materii, by uznać za niepojęte, że możemy być tak do siebie podobni – odpowiedział Kapitan, nie okazując żadnych oznak odrazy ani strachu.

– Ja też czegoś nie rozumiem. Skąd się bierze twój spokój? Jesteś żołnierzem?

– Jestem wojownikiem, który broni Ziemi.

– Hmm… Czy rzucanie małymi kamykami naprawdę czyni z ciebie wojownika? – rzekł na to Kieł z wyraźnym szyderstwem w głosie.

– Jestem gotowy na większe wyzwania – stwierdził poważnie Kapitan, zadzierając brodę.

– Jesteś fascynującym robaczkiem. – Kieł się roześmiał, kręcąc łbem. Uniósłszy ciało na całą wysokość, odwrócił się do przywódców państw. – Ale wróćmy do waszego pytania o los ludzkości. Jesteście smaczni. Jest

w was coś, co przypomina mi pewne niebieskie jagody, które znaleźliśmy na jednej z planet w Erydanie. Dlatego mogę wam pogratulować. Wasz rodzaj przetrwa. Będziecie naszą trzodą. Pozwolimy wam żyć dobre sześćdziesiąt lat, zanim wprowadzimy was na rynek.

– Nie sądzi pan, że nasze mięso będzie w tym wieku zbyt żylaste? – zapytał Kapitan z chichotem.

Kieł ryknął śmiechem, który brzmiał jak wybuch wulkanu.

– Cha, cha, cha! Pożeracze lubią żylaste przekąski!

Rozdział 3

Mrówki

Organizacja Narodów Zjednoczonych przeprowadziła jeszcze kilka spotkań z Kłem. Chociaż nikt już nie został zjedzony, werdykt w sprawie losu ludzkości nie uległ zmianie.

Kolejne spotkanie miało się odbyć w starannie przygotowanym miejscu – na stanowisku archeologicznym w Afryce.

Statek Kła wylądował dokładnie o wyznaczonym czasie jakieś dwadzieścia metrów od stanowiska. Ogłuszający huk i grad odłamków skał towarzyszące przybyciu statku stały się już aż nazbyt dobrze znane.

Dziewczyna z Eridanusa powiedziała ludziom, że silnik pojazdu zasilany jest przez mały reaktor jądrowy. Informacja ta, jak i większość innych podanych przez nią o Pożeraczach, była dla ziemskich naukowców zrozumiała, natomiast to, co przekazała im na temat technologii Erydan, wprawiało ich w zdumienie. Na przykład jej kryształ zaczął się topić w ziemskiej atmosferze. W końcu rozpłynęła się cała jego sekcja zawierająca układ napędowy i została tylko cienka kryształowa płytka, która unosiła się wdzięcznie w powietrzu.

Gdy Kieł pojawił się na stanowisku archeologicznym, dwóch urzędników ONZ sprezentowało mu duży album o formacie całego metra kwadratowego, odpowiadającym jego ogromnej posturze. Setki starannie

zaprojektowanych i pięknie wykonanych stron przedstawiały w szczegółach wszystkie aspekty ludzkiej kultury. Pod pewnymi względami album przypominał bogato ilustrowany elementarz.

W dużym wykopie archeolog barwnie opisał Kłowi chwalebną historię ziemskich cywilizacji. Rozpaczliwie się starał, by obcy zrozumiał, że na niebieskiej planecie jest wiele rzeczy wartych opieki. Mówił z takim zaangażowaniem i zapałem, że sam wzruszył się do łez. Był to żałosny widok.

W końcu wskazał na wykopaliska i wyrecytował:

– Czcigodny emisariuszu, to, co tutaj widzisz, to pozostałości miasta sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat, najstarszego z odkrytych do tej pory ludzkich osiedli. Czy serca twojego ludu są naprawdę tak twarde, że zniszczycie tę wspaniałą cywilizację? Cywilizację, która rozwija się krok po kroku od pięćdziesięciu tysięcy lat?

Podczas tego przemówienia Kieł kartkował album z wyraźnym rozbawieniem. Kiedy archeolog skończył, jaszczur podniósł głowę i zerknął na wykopaliska.

– Posłuchaj, robaku, nie dbam ani o tę dziurę, ani o starożytne miasto w tej dziurze, ale bardzo bym chciał zobaczyć ziemię, którą z niej usunęliście – powiedział, wskazując na wielką hałdę piachu.

Kiedy sztuczny głos translatora skończył tłumaczenie prośby Kła, archeolog przeszedł od zdumienia w stan osłupienia.

– Ziemię? – zapytał, z trudem dobywając głos. – Ale w tej kupie piachu nic nie ma.

– To twoja opinia – odparł Kieł, podchodząc do hałdy.

Pochyliwszy się nad nią, zaczął w niej grzebać dwoma ze swych potężnych pazurów. Wokół niego szybko utworzył się krąg widzów, z których wielu patrzyło z niedowierzaniem, jak sprawnie poruszają się te

pozornie niezgrabne pazury. Przekopując się przez miękką ziemię, co rusz brał jej grudki i umieszczał na albumie. Przez dobrych dziesięć minut wydawał się całkowicie pochłonięty tym dziwnym zajęciem. Gdy wreszcie skończył, ostrożnie wziął album w pazury i wyprostował cielsko. Podszedł do zgromadzonych ludzi i pokazał im, co na nim umieścił.

Dopiero po bardzo dokładnym przyjrzeniu się temu, co leżało na albumie, zorientowali się, że są to setki mrówek. Były zbite w ciasny kłąb, niektóre żywe, inne martwe.

– Chcę wam opowiedzieć pewną historię – rzekł Kieł, kiedy ludzie przypatrywali się mrówkom. – To historia królestwa. Królestwo to było spadkobiercą wielkiego imperium, które powstało pod koniec ziemskiego okresu kredy, kiedy jego założyciele zbudowali wspaniałe miasto w cieniu ogromnego szkieletu dinozaura. – Kieł urwał i pogrążył się w zamyśleniu, a po dłuższej chwili podjął opowieść: – Ale to dawno zapomniane dzieje i gdy nagle nastała zima, owe dni chwały przetrwały tylko w pamięci ostatniej z długiej linii jego królowych. Była to naprawdę długa zima i ziemię pokryły lodowce. Zginęły bujnie rozwijające się formy życia, bo przetrwanie stało się trudne. Po przebudzeniu się z ostatniej hibernacji królowej udało się zbudzić zaledwie jednego na stu poddanych. Pozostałych zabił okrutny ziąb, przy czym niektórych tak ściął mróz, że zostały z nich tylko przezroczyste, puste skorupy. Królowa zrozumiała, że ziemia jest wciąż zamarznięta. W tej epoce strasznego zimna lód nie tajał nawet latem. Królowa doszła do wniosku, że pora porzucić ziemię przodków, poszukać niezamarzniętego obszaru i tam ustanowić nowe królestwo. A więc wyprowadziła swych ocalałych poddanych na powierzchnię i ruszyli na długą i mozolną wędrówkę w cieniu piętrzących się lodowców. Podczas tego marszu większość z nich zginęła z zimna, ale królowa i jej nieliczni poddani, którzy przetrwali te trudy, znaleźli w końcu

nietknięty przez mróz skrawek ziemi. Ogrzewała go energia geotermalna. Oczywiście królowa nie miała o tym pojęcia. Nie rozumiała, dlaczego na zamarzniętym świecie zachował się kawałek miękkiej i wilgotnej gleby, ale nie była wcale zdziwiona, że go znalazła, bo gatunek, który przetrwał przez sześćdziesiąt milionów lat, nie mógł ulec zagładzie! Wobec pokrytej lodem ziemi i zamglonego słońca oświadczyła, że założy tam nowe królestwo, które będzie trwało wiecznie. Stojąc pod szczytem wysokiej białej góry, oznajmiła, że będzie ono nosiło nazwę „Królestwa Białej Góry”.

W rzeczywistości – ciągnął Kieł – ta góra była czaszką mamuta. Był to zenit późnego glacjału plejstoceńskiego i czwartorzędowego. W tamtych czasach wy, ludzkie robaki, byliście wciąż tępymi zwierzętami trzęsącymi się z zimna w waszych rozproszonych jaskiniach. Musiało minąć jeszcze dziewięćdziesiąt tysięcy lat, zanim na równinach Mezopotamii pojawiła się pierwsza iskierka waszej cywilizacji.

Karmiąc się zamarzniętymi szczątkami mamutów w sąsiedztwie Białej Góry, nowa kolonia przetrwała dziesięć tysięcy ciężkich lat. Potem, po zakończeniu epoki lodowcowej, na ziemię powróciła wiosna i ląd znowu pokryła zieleń. Podczas tej wielkiej eksplozji życia Królestwo Białej Góry szybko wkroczyło w złoty wiek. Miało niezmierzoną liczbę mieszkańców i władało wielkim obszarem. Przez kolejnych dziesięć tysięcy lat rządziły nim niezliczone dynastie, a jego dzieje opiewały niezliczone poematy.

Kontynuując opowieść, Kieł wskazał hałdę ziemi przed słuchaczami.

– Oto miejsce ostatniego spoczynku Królestwa Białej Góry. Zajęci odkopywaniem martwego, nieistniejącego od pięćdziesięciu tysięcy lat miasta nawet nie zauważyliście, robaki, że w warstwie ziemi pokrywającej jego ruiny tętni życiem inne miasto. Jego skalę można porównać do Nowego Jorku, przy czym ten drugi jest zbudowany zaledwie w dwóch wymiarach. To pierwsze było wielką, trójwymiarową i wielopoziomową

metropolią. Na każdym poziomie wiły się ulice i znajdowały ogromne place oraz wspaniałe pałace. Systemy kanalizacji i zabezpieczeń przeciwpożarowych przyćmiewały ich nowojorskie odpowiedniki.

Istniały tam skomplikowana struktura społeczna i ścisły podział pracy – mówił Kieł zasłuchanej publiczności. – Całe społeczeństwo było harmonijnie zorganizowane i funkcjonowało z zegarmistrzowską precyzją. Nie było w nim przestępczości ani narkomanii, a więc także demoralizacji ani zamętu. Ale nie znaczy to, że jego mieszkańcy byli pozbawieni emocji; gdy odchodził któryś z nich, okazywali wielki smutek. Na powierzchni, na skraju miasta mieli nawet cmentarz, gdzie pod paroma centymetrami ziemi grzebali swoich zmarłych. Największy podziw należy się jednak ich wspaniałej bibliotece na najniższym poziomie miasta. Znajdowało się w niej mnóstwo jajowatych pojemników, a każdy wypełniony był feromonami. W niezwykle złożonej strukturze tych feromonów zgromadzona była wiedza Królestwa Białej Góry. Tam przechowywano eposy opowiadające szczegółowo o jego dziejach. Tam można się było dowiedzieć, że podczas wielkiego pożaru lasu wszyscy mieszkańcy królestwa objęli się i utworzyli niezliczone kule, po czym heroicznym wspólnym wysiłkiem wtoczyli się do strumienia, dzięki czemu uniknęli pochłonięcia przez morze ognia. Tam można było poznać historię stuletniej wojny z Białym Imperium Termitów czy pierwszego spotkania ekspedycji królestwa z oceanem… – Dźwięk z translatora ucichł.

Po chwili znowu zabrzmiał dudniący głos Kła:

– Ale to wszystko zostało zniszczone w trzy godziny. Zostało zniszczone, gdy z rykiem, od którego trzęsła się ziemia, nadjechały koparki i przesłoniły niebo. Potem spadły z hukiem ich gigantyczne stalowe szczęki, zerwały warstwę ziemi, w której znajdowało się miasto, i ją zmiażdżyły. Zniszczyły nawet warstwę, w której spoczywały wszystkie

dzieci miasta i dziesiątki tysięcy śnieżnobiałych jaj, z których miały się narodzić następne…

Wydawało się, że cały świat spowiła śmiertelna cisza. Była ona nawet większa niż po strasznej uczcie Kła. Ludzkości stojącej przed wysłannikiem obcych po raz pierwszy odebrało mowę.

Na koniec Kieł powiedział:

– Nadal mamy wiele czasu, żeby się dogadać, i wiele rzeczy do omówienia, ale nie rozmawiajmy już o moralności. We wszechświecie takie rozmowy nie mają sensu.

Rozdział 4

Przyspieszenie

Kieł zostawił ludzi na stanowisku w stanie wielkiego szoku i głębokiej rozpaczy. Pierwszym, który przerwał milczenie, był znowu Kapitan. Obrócił się do otaczających go dygnitarzy ze wszystkich krajów i powiedział:

– Wiem, że jestem nikim i że jedynym powodem, dla którego mam szczęście uczestniczyć w tych spotkaniach, jest fakt, że jako pierwszy nawiązałem kontakt z dwiema obcymi inteligencjami. Mimo to chcę powiedzieć parę rzeczy. Po pierwsze, Kieł ma rację; po drugie, jedynym wyjściem dla ludzkości jest walka.

– Walka? Och, Kapitanie, walka… – Sekretarz generalny potrząsnął głową z gorzkim uśmiechem.

– Tak! Walka! Walka! Walka! – krzyknęła erydańska dziewczyna ze swej kryształowej tafli przemykającej kilkadziesiąt centymetrów nad głowami zebranych. Całe ciało zamkniętej w krysztale długowłosej istoty zaczęło się zwijać i miotać.

– Wy, Erydanie, walczyliście z nimi. I jak się to skończyło? – zawołał ktoś. – Ludzkość musi myśleć o tym, by przetrwać jako rodzaj, nie o tym, by zaspokoić twoje pragnienie zemsty.

– Nie, szanowny panie – rzekł Kapitan, obracając się twarzą do tłumu. – W samoobronie Erydanie przystąpili do walki z wrogiem, o którym nic nie wiedzieli. Poza tym byli społeczeństwem, które nie znało w swojej historii wojen. Nic dziwnego, że w tej sytuacji zostali pokonani. Mimo to podczas stuletnich krwawych zmagań zyskali głęboką wiedzę o Pożeraczach. Teraz ich statek przekazał nam ten obszerny zasób danych. To da nam przewagę.

Staranne badania wstępne tego materiału wykazały, że Pożeracz nie jest wcale taki straszny, jak się nam na początku wydawało – ciągnął Kapitan. – Przede wszystkim poza tym, że jest niesamowicie duży, nie ma cech, które przekraczają nasze pojęcie. Ta forma życia, tych dziesięć miliardów z kawałkiem Pożeraczy, jest, tak jak my, oparta na węglu. Są do nas podobni nawet na poziomie molekularnym i ponieważ nasza biologia jest taka sama, nic z tego, co ma wróg, nie wymknie się naszemu zrozumieniu. Powinniśmy uznać to za błogosławieństwo, bo zważcie, że moglibyśmy mieć do czynienia z najeźdźcami zbudowanymi z pól energii i materiału gwiazd neutronowych.

Ale jest jeszcze jeden powód, który daje nam nadzieję – dodał. – Pożeracz nie dysponuje żadną, nazwijmy to, „supertechnologią”. Oczywiście w porównaniu z naszą jego technologia jest bardzo zaawansowana, ale to przede wszystkim kwestia skali, nie złożoności teoretycznej. Głównym źródłem energii wykorzystywanej w jego układzie napędowym jest fuzja jądrowa. W istocie woda, z której łupi planety, poza tym, że stanowi podstawę ich systemu podtrzymania życia, jest paliwem dla tego układu. Technologia tego napędu opiera się na zasadzie odrzutu i zachowania pędu, co nie jest jakimś wykrzywiającym czasoprzestrzeń nonsensem. – Kapitan zrobił pauzę i przyjrzał się minom zebranych. – To wszystko może niepokoić naszych uczonych, bo Pożeracz, po dziesiątkach milionów lat nieprzerwanego rozwoju, wyraźnie wykazuje ograniczenia

naszej nauki i technologii, ale równie dobitnie pokazuje też, że nie jest niezwyciężonym bogiem.

Sekretarz generalny przemyślał słowa Kapitana i zapytał:

– Ale czy to wystarczy, żeby zapewnić nam zwycięstwo?

– Oczywiście mamy też bardziej szczegółowe informacje. Informacje, które powinny pomóc nam opracować strategię zwiększającą szanse na zwycięstwo. Na przykład…

– Przyspieszenie! Przyspieszenie! – krzyknęła nad ich głowami, przerywając mu, dziewczyna z Eridanusa.

Kapitan wyjaśnił zdumionym tym wybuchem przyczynę jej wzburzenia.

– Dowiedzieliśmy się z erydańskich danych, że zdolność przyspieszania statku Pożeracza jest ograniczona. Erydanie obserwowali go przez dwa długie stulecia i zauważyli, że nigdy nie przekraczał tej konkretnej prędkości. W celu sprawdzenia tego stworzyliśmy na podstawie danych uzyskanych od Erydan model matematyczny, w którym wzięliśmy pod uwagę budowę statku Pożeracza i wytrzymałość jego poszczególnych części składowych. Obliczenia wykonane według tego modelu potwierdziły obserwacje Erydan. Istnieje granica prędkości, do której Pożeracz może przyspieszyć, a wyznacza ją jego strukturalna spójność. Gdyby kiedykolwiek przekroczył tę granicę, rozpadłby się na kawałki.

– No i co z tego? – zapytał z zawodem w głosie szef dużego państwa.

– Powinniśmy zachować zimną krew i starannie to rozpatrzyć – odparł ze śmiechem Kapitan.

Rozdział 5

Azyl na Księżycu

W negocjacjach ludzi z emisariuszem obcych pojawiły się w końcu pewne niewielkie oznaki postępu: Kieł przystał na ich prośbę utworzenia azylu na Księżycu.

– Ludzie są istotami nostalgicznymi – wyjaśnił ze łzami w oczach podczas jednego ze spotkań sekretarz generalny ONZ.

– Tak samo Pożeracze, mimo że nie mamy już ojczyzny – odparł ze współczuciem Kieł, kiwając głową.

– A więc pozwoli pan zostać w naszym Układzie Słonecznym garstce ludzi? Jeśli tak, to poczekają, aż Imperium Pożeraczy wypluje Ziemię po skonsumowaniu jej zasobów, a gdy ustaną procesy geologiczne na zmienionej planecie, powrócą tu i odbudują naszą cywilizację.

Kieł potrząsnął gargantuicznym łbem.

– Jeśli Imperium Pożeraczy coś konsumuje, to do cna. Kiedy skończymy, Ziemia będzie spustoszona jak Mars. Z waszą robaczą technologią nie odbudujecie tu cywilizacji.

Sekretarz generalny nie dał się odwieść od raz powziętego zamiaru.

– Ale musimy spróbować. Będzie to balsamem dla naszych dusz i pociechą dla tych, którzy będą hodowani w Imperium Pożeraczy na mięso. Na pewno będzie ich łatwiej tuczyć, jeśli będą mogli wracać myślami do

swojej ojczyzny w Układzie Słonecznym, nawet gdyby ta ojczyzna już faktycznie nie istniała.

Teraz Kieł skinął głową.

– Ale gdzie ci ludzie się podzieją podczas pożerania przez nas Ziemi? Oprócz niej pochłoniemy też zasoby Wenus. Jowisz i Neptun są za duże do spożycia, ale pożremy ich satelity. Nasze imperium potrzebuje ich węglowodorów i wody. Nadgryziemy również jałowe światy Marsa i Merkurego, bo interesują nas ich minerały i dwutlenek węgla. Powierzchnie tych planet staną się morzami ognia.

Sekretarz generalny miał na to gotową odpowiedź.

– Możemy się schronić na Księżycu. Jak rozumiemy, Imperium Pożeraczy ma zamiar zepchnąć go z orbity przed skonsumowaniem Ziemi.

Kieł kiwnął głową.

– Zgadza się. Połączone siły grawitacji Pożeracza i Ziemi będą potężne. Mogłyby doprowadzić do uderzenia Księżyca w nasz statek. Taka kolizja zniszczyłaby nasze imperium.

Sekretarz generalny uśmiechnął się pod nosem.

– A zatem pozwólcie garstce z nas tam żyć. Nie będzie to dla was wielka strata.

– A ilu planujecie zostawić? – zapytał Kieł.

– Minimum niezbędne dla zachowania naszej cywilizacji: sto tysięcy – odparł zdecydowanie sekretarz generalny.

– No to powinniście się zabrać do roboty – stwierdził Kieł.

– Do roboty? Do jakiej roboty? – zapytał zaskoczony sekretarz generalny.

– Do zepchnięcia Księżyca z orbity wokół Ziemi. Dla nas jest to zawsze pewna niedogodność – rzucił lekceważąco Kieł.

– Ależ, proszę pana – powiedział sekretarz generalny, łapiąc się z rozpaczy za głowę – to byłoby równoznaczne z odrzuceniem naszej skromnej prośby. Przecież wie pan, że nie posiadamy odpowiedniej do tego technologii!

– A cóż mnie to obchodzi, robaku? A poza tym macie na to cały wiek – zakończył z chichotem Kieł.

Rozdział 6

Rozmieszczenie bomb

Na lśniąco białej księżycowej równinie stał obok wysokiej wieży wiertniczej oddział ludzi w skafandrach kosmicznych. Nieco z boku stał też wysłannik Imperium Pożeraczy, a jego ogromna postać była na tle horyzontu drugą sylwetką górującą nad płaszczyzną. Oczy wszystkich zwrócone były na metalowy cylinder powoli opuszczany ze szczytu wieży do odwiertu w dole. Wkrótce kabel, na którym zawieszony był cylinder, zniknął w szybie. Cała, oddalona o 384 400 kilometrów ludzkość siedziała przyklejona do ekranów telewizorów, przyglądając się wydarzeniom rozgrywającym się na Księżycu. Potem nadszedł sygnał – ładunek wybuchowy dotarł do dna szybu. Wszyscy widzowie, włącznie z Kłem, zaczęli wiwatować, świętując nadejście tej historycznej chwili.

Ostatnia z bomb, które miały zepchnąć Księżyc z orbity, znalazła się na miejscu. Minęło sto lat od przybycia na Ziemię erydańskiego kryształu i emisariusza Imperium Pożeraczy. Dla ludzkości było to sto lat rozpaczy, sto lat mozołu.

W pierwszej połowie tego wieku cała Ziemia oddała się z zapałem zadaniu skonstruowania silnika, który napędzałby Księżyc. Ludziom nie udało się jednak opracować potrzebnej do tego technologii. Osiągnęli tylko tyle, że na powierzchni Księżyca powstało kilka gór złomu, pozostałości po

nieudanych prototypach, oraz metaliczne jeziora, które utworzyły się w miejscach, gdzie stopiły się w ogniu fuzji jądrowej eksperymentalne silniki.

Ludzie prosili Kła o pomoc techniczną; w końcu wszystkie księżycowe silniki nie dorównywałyby mocą nawet jednej dziesiątej niezliczonych supersilników, które posiadali Pożeracze.

Ten jednak stanowczo odmawiał i stroił sobie żarty z ludzi, mówiąc:

– Nie myślcie, że ponieważ rozumiecie, na czym polega reakcja jądrowa, uda się wam zbudować silnik zdolny do napędzania planety. Od ogni sztucznych do rakiet prowadzi długa droga. Prawdę mówiąc, nie macie żadnego powodu, żeby nad tym tak ciężko pracować. To, że słabsza cywilizacja staje się trzodą silniejszej, jest powszechnym zjawiskiem w Drodze Mlecznej. Przekonacie się, że istoty hodowane na mięso mają naprawdę wspaniałe życie. Nie będzie wam niczego brakowało i będziecie do końca żyli szczęśliwie. Niektóre cywilizacje same chcą zostać trzodą, ale ich prośby są odrzucane. To, że ten pomysł się wam nie podoba, wynika wyłącznie z banalnego antropocentryzmu.

A zatem ludzkość skupiła całą swoją nadzieję na Krysztale Erydańskim, ale znowu się rozczarowała. Technologia cywilizacji erydańskiej rozwijała się według zupełnie innego modelu niż cywilizacja Ziemi czy Pożeraczy. Opierała się w całości na organizmach żyjących na tamtej planecie. Na przykład sam kryształ był symbiontem pewnego rodzaju planktonu pływającego w oceanach na świecie Erydan. Ograniczyli się oni do syntetyzowania i wykorzystywania zdolności różnych form życia na ich planecie, nie zrozumiawszy tak naprawdę nigdy ich sekretów. Tak więc bez tych form życia ich technologii nie sposób było odtworzyć.

Po zmarnowaniu pięćdziesięciu cennych lat zdesperowana ludzkość wpadła nagle na niezwykle ekscentryczny pomysł. Wysunął go Kapitan,

który odgrywał główną rolę w opracowaniu projektu zmiany orbity Księżyca i awansował tymczasem do stopnia marszałka. Mimo że jego plan był beznadziejnie nielogiczny, niezbędne do jego realizacji wymogi techniczne były tak skromne, iż technologia, którą dysponowała ludzkość, w pełni wystarczała do wprowadzenia go w życie, co było w istocie tak proste, że wszyscy dziwili się, iż nikomu nie przyszło to wcześniej do głowy.

Zgodnie z tym planem na jednej stronie Księżyca miano rozmieścić szereg ładunków jądrowych. Zostałyby one w większości zakopane mniej więcej trzy kilometry pod jego powierzchnią. Odległości pomiędzy nimi dawałyby pewność, że żaden z nich nie zostanie zniszczony przez wybuch innego. Ogółem po „stronie napędowej" miało się ich znaleźć pięć milionów. W porównaniu z nimi najpotężniejsze bomby jądrowe z okresu zimnej wojny były zwykłymi zabawkami.

Po zdetonowaniu siła ich wybuchu wielokrotnie przekraczałaby siłę podziemnych prób jądrowych z wszystkich wcześniejszych epok. Eksplozje te zerwałyby całą warstwę księżycowej gleby, a przy panującym tam słabym ciążeniu wyrzucone przez nie okruchy skał i pył osiągnęłyby prędkość ucieczki. Lecąc w kosmos, stałyby się dla Księżyca potężną siłą napędową.

Gdyby zdetonowano szybko jedną po drugiej pewną liczbę tych bomb, ów moment siły mógłby się stać stałym napędem, zupełnie jakby na Księżycu zamontowano potężny silnik. Detonując ładunki jądrowe w różnych miejscach, można by było kontrolować drogę ucieczki Księżyca.

Ten plan można by posunąć o krok dalej i założyć bomby nie na jednym, lecz na dwóch poziomach. Drugi znajdowałby się na głębokości około sześciu kilometrów. Po całkowitym zdetonowaniu pierwszej warstwy ze strony napędowej zostałaby wyrzucona w kosmos warstwa skał o grubości

ponad trzech kilometrów. Wybuchy można by wtedy płynnie przenieść na drugi poziom. Podwoiłoby to czas pracy „silnika” popychającego Księżyc.

Kiedy o tym planie dowiedziała się dziewczyna z Eridanusa, doszła do wniosku, że ludzkość jest naprawdę szalona.

– Teraz rozumiem. Gdybyście mieli technologię dorównującą tej, którą posiedli Pożeracze, bylibyście zapewne jeszcze brutalniejsi niż oni! – wykrzyczała.

Natomiast Kieł był pełen uznania.

– Cha, cha! – zawołał. – Cóż za wspaniały pomysł! Bardzo mi się podoba. Że też udało się wam, robaki, wymyślić coś takiego! Podoba mi się wasza wulgarność. Wulgarność jest najwyższą formą piękna!

– To absurd! Jak wulgarność może być piękna? – sprzeciwiła się dziewczyna z Eridanusa.

– To, co wulgarne, jest z natury piękne, a nic nie jest bardziej wulgarne niż wszechświat! W czarnej i zimnej czeluści kosmosu maniakalnie spalają się gwiazdy. Czy nie jest to wulgarne? Nie rozumiesz, że wszechświat jest męski? Zniewieściałe cywilizacje, takie jak wasza, kruche i delikatne, są chorą anomalią w małym zakątku wszechświata. A to jest to! – odparł Kieł.

Mimo że minęło sto lat, potężne cielsko Kła wciąż emanowało witalnością. Erydańska dziewczyna była wciąż kolorowa i jasna, ale Kapitan czuł ciężar wieku. Miał sto trzydzieści lat i był starym człowiekiem.

W owym czasie Pożeracz właśnie minął orbitę Plutona. Budził się po długiej podróży z odległego o ponad dziesięć lat świetlnych Epsilon Eridani. Jego ogromny pierścień jasno świecił w mroku przestrzeni kosmicznej, a jego społeczeństwo zabrało się do pracy, przygotowując się do złupienia Układu Słonecznego.

Po ograbieniu z zasobów planet peryferyjnych popędził stromą trajektorią w kierunku Ziemi.

Rozdział 7

Pierwsza i ostatnia wojna kosmiczna ludzkości

Zaczęło się odpychanie Księżyca od Ziemi. Wisiał na niebie nad jej dzienną stroną, gdy zdetonowano pierwsze bomby pod jego powierzchnią. Blask każdej eksplozji na krótko go rozświetlał, nadając mu wygląd ogromnego, gorączkowo mrugającego srebrnego oka niebios. Kiedy na Ziemi zapadła noc, nadal padał na jej odległą o ponad czterysta tysięcy kilometrów powierzchnię blask dzieła ludzkich rąk. Widać teraz było bladosrebrny ślad ciągnący się za jego ciemną stroną. Tworzyły go odłamki skał wyrzucone z jego powierzchni w przestrzeń kosmiczną. Kamery zainstalowane po jego stronie napędowej pokazywały fale pędzące jak wezbrane wody i szybko niknące w oddali. Skręcając na drugą stronę Ziemi, Księżyc kreślił coraz szybciej nową orbitę.

Uwaga ludzi skupiała się jednak całkowicie na ogromnym i strasznym pierścieniu, który właśnie pojawił się na niebie – na wiszącym nad Ziemią Pożeraczu. Wielkie fale spowodowane jego grawitacją zniszczyły już nadmorskie miasta na planecie.

Kiedy wprowadził ostatnie poprawki do swojego kursu, jego silniki rufowe rozbłysły kręgiem niebieskiego światła. W końcu doskonale

dopasował się do orbity Ziemi wokół Słońca, jednocześnie dostosowując swoją oś obrotów do jej osi. Po dokonaniu tych poprawek zaczął się powoli przesuwać w stronę Ziemi, szykując się do otoczenia jej swoim ogromnym pierścieniem.

Przesuwanie Księżyca trwało dwa miesiące. W tym czasie pod jego powierzchnią co dwie–trzy sekundy wybuchała bomba, co w sumie dało niemal niepojętą liczbę dwóch i pół miliona eksplozji jądrowych. Kiedy Księżyc wszedł na nową orbitę wokół Ziemi, jego prędkość sprawiła, że zamiast koła przybrała ona kształt elipsy. Gdy zbliżał się do odległego końca tej elipsy, na jego stronie zwróconej do przodu wylądowali Kieł i Kapitan. Wysłannik obcych przybył tam na wyraźne zaproszenie Kapitana.

Stojąc na otoczonej przez kratery księżycowej równinie, czuli pod stopami drgania dobiegające z jego drugiej strony. Wydawały się rytmicznym biciem serca potężnego satelity Ziemi. Na czarnym jak smoła tle przestrzeni kosmicznej świecił oślepiającym światłem ogromny pierścień Pożeracza, który zajmował pół nieba.

– Wspaniale, robaku Kapitanie, naprawdę wspaniale! – ryknął Kieł ze szczerym uznaniem. – Ale – ciągnął – powinniście się pospieszyć. Macie jeszcze tylko jedną orbitę, by nabrać większego przyspieszenia. Pożeracz nie jest przyzwyczajony do czekania na innych. I mam jeszcze jedno pytanie. Te miasta, które dziesięć lat temu zbudowaliście pod powierzchnią, są wciąż puste. Kiedy przybędą ich mieszkańcy? Jak wasze statki kosmiczne zdołają przewieźć tu z Ziemi sto tysięcy ludzi w ciągu jednego miesiąca?

– Nikogo tu nie przywieziemy – odparł spokojnie Kapitan. – Będziemy ostatnimi ludźmi, którzy stanęli na Księżycu.

Usłyszawszy to, Kieł zgiął się wpół ze zdziwienia. Mówiąc „my”, Kapitan miał na myśli pięć tysięcy żołnierzy i oficerów ziemskich sił kosmicznych. Na usianej kraterami księżycowej równinie utworzyli właśnie doskonałą falangę. Żołnierz na jej czele trzymał niebieską flagę.

– Spójrz! To flaga naszej planety. Wypowiadamy wojnę Imperium Pożeraczy! – oświadczył wyzywającym tonem Kapitan.

Kieł oniemiał. Był raczej zdezorientowany niż zaskoczony. Zaraz potem zatoczył się do tyłu i nagły wzrost grawitacji rzucił go na wznak. Leżał na księżycowym gruncie, tak oszołomiony, że nie mógł się ruszyć. Wokół niego zaczął powoli osiadać pył, który wzbił się w górę po upadku jego masywnego cielska.

Ale pył szybko ponownie się uniósł pod wpływem silnych wstrząsów dobiegających z drugiej strony Księżyca. Po chwili pokrył białą warstwą całą równinę.

Kieł zdał sobie sprawę, że nagle kilkakrotnie wzrosła częstość wybuchów po drugiej stronie Księżyca. Z gwałtownego skoku grawitacji wyciągnął wniosek, że musiała też tak samo wzrosnąć jego prędkość. Przekręciwszy się na bok, wyjął z kieszeni na piersiach swojego skafandra kosmicznego duży komputer. Sprawdził na nim obecną trajektorię satelity Ziemi. Natychmiast uświadomił sobie, że to wielkie przyspieszenie wyrzuci Księżyc z orbity. Uwolni się on spod oddziaływania siły przyciągania Ziemi i wystrzeli w przestrzeń kosmiczną. Linia mrugających czerwonych kropek wskazywała jego prawdopodobną trasę lotu.

Księżyc znalazł się na kursie kolizyjnym z Pożeraczem.

Kieł bez chwili namysłu odrzucił komputer i powoli się podniósł. Napinając kark, by oprzeć się ciągnącej go do tyłu sile grawitacji, starał się przebić wzrokiem kłębiącą się chmurę pyłu. Zobaczył przed sobą armię Ziemi. Żołnierze stali nieruchomo jak posągi.

– Sto lat konspiracji i podstępów – mruknął.

Kapitan potwierdził to skinieniem głowy.

– Teraz widzisz, że jest już za późno – powiedział poważnie.

Kieł westchnął przeciągle, po czym rzekł:

– Powinienem był od początku mieć świadomość, że ludzie są zupełnie innym gatunkiem niż Erydanie. Życie na ich świecie ewoluowało symbiotycznie, bez doboru naturalnego i walki o przetrwanie. Nie wiedzieli nawet, co to wojna. – Przerwał, przetrawiając to, co się zdarzyło. – Pozwoliliśmy, by pokierowało to naszą oceną Ziemian. Ale wy, odkąd zeszliście z drzew, bezustannie nawzajem się wyrzynaliście. Czy można było łatwo was podbić? Ja… – Znowu przerwał. – To było z mojej strony niewybaczalne zaniedbanie obowiązków!

– Erydanie przywieźli nam mnóstwo informacji – wyjaśnił Kapitan spokojnym tonem to, co docierało właśnie do świadomości Kła. – Była wśród nich informacja o górnej granicy prędkości, którą może osiągnąć Pożeracz. To ona stała się podstawą naszego planu bitwy. Po zdetonowaniu bomb, które zmienią kierunek lotu Księżyca, jego prędkość manewrowa trzykrotnie przekroczy limit waszej prędkości. Innymi słowy, Księżyc będzie trzy razy zwrotniejszy od waszego statku. W żaden sposób nie unikniecie zderzenia z nim.

– Prawdę mówiąc, nie uśpiliście całkowicie naszej czujności – rzekł Kieł. – Kiedy Ziemia zaczęła wytwarzać duże ilości ładunków jądrowych, my zaczęliśmy śledzić ich przeznaczenie. Upewniliśmy się, że zostały rozmieszczone głęboko pod powierzchnią Księżyca, ale nie myśleliśmy, że… – Zamilkł.

Kapitan uśmiechnął się lekko za wizjerem.

– Nie jesteśmy tacy głupi, by zaatakować Pożeracza pociskami jądrowymi – powiedział. – Wiemy, że wasze imperium zahartowało się

w setkach bitew. Toporne ziemskie pociski zostałyby na pewno co do jednego przechwycone przez was i zniszczone. Ale nie jesteście w stanie przechwycić czegoś tak dużego jak Księżyc. Być może dysponujący ogromną siłą Pożeracz zdołałby w końcu go roztrzaskać albo zmienić jego kierunek, ale teraz jest już za blisko, byście mogli to zrobić. Nie macie na to czasu.

– Przebiegłe robaki! – warknął Kieł. – Podstępne, podłe robaki! – Potrząsnął z oburzeniem łbem. – Imperium Pożeraczy jest uczciwą cywilizacją. Zawsze gramy w otwarte karty, ale tym razem zostaliśmy oszukani przez zdradzieckie ziemskie robaki.

Zazgrzytał wielkimi zębami. Był taki wściekły, że o mało nie zacisnął potężnych pazurów na ciele Kapitana. Jednak żołnierze wymierzyli w niego karabiny. Kieł nie zapomniał, że on też jest z krwi i ciała. Jedna salwa oznaczałaby jego koniec.

Kapitan oświadczył ze wzrokiem utkwionym w Kła:

– Nie zrobimy ci krzywdy. Ty też powinieneś opuścić Księżyc, w przeciwnym razie zostaniesz zabity przez broń jądrową waszego imperium.

Kapitan miał całkowitą rację. Tuż po odlocie Kła i ziemskich sił kosmicznych z powierzchni Księżyca uderzyły w nią pociski Pożeraczy. Obie strony Księżyca rozbłysły intensywnym światłem. Jego przednia strona eksplodowała i w przestrzeń kosmiczną runęły fale odłamków skalnych. Księżycowa materia została nagle rozproszona we wszystkie wyobrażalne strony. Księżyc widziany z Ziemi wyglądał jak wojownik rzucający się wściekle, z rozwianym włosem, na Pożeracza. Teraz nie było takiej siły, która mogłaby go powstrzymać. Morza ludzi we wszystkich miejscach na Ziemi, z których można było oglądać ten spektakl, zaczęły gorączkowo wiwatować.

Akcja Pożeraczy mająca na celu przechwycenie Księżyca wkrótce się skończyła. Zdali sobie sprawę, że ich atak jest daremny. W tym krótkim czasie, który był potrzebny, by Księżyc przebył niewielką odległość dzielącą go od pierścienia, nie mogli w żaden sposób zmienić toru jego lotu ani go zniszczyć.

Ustały też eksplozje jądrowe, które napędzały Księżyc. Osiągnął odpowiednią prędkość, więc obrońcy Ziemi chcieli zachować trochę ładunków jądrowych dla wykonania jakichś niezbędnych manewrów w ostatniej chwili. Wszystko umilkło.

Statek Pożeraczy i satelita Ziemi zbliżały się do siebie w głuchej ciszy kosmosu. Dystans między nimi szybko się zmniejszał. Gdy skurczył się do pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, ze statku sztabowego Naczelnego Dowództwa Ziemi widać już było, jak tarcza Księżyca zachodzi na gigantyczny pierścień Pożeracza. Wyglądała stamtąd jak kula tocząca się po torze kręgielni.

Aż do tego momentu statek Pożeraczy nie wprowadził żadnych poprawek do swojego kursu. Łatwo było zrozumieć, dlaczego tego nie zrobił: Księżyc mógł dostosować swój tor do każdego jego przedwczesnego manewru. Jakiekolwiek działanie zapobiegawcze można było podjąć dopiero w ostatnich chwilach przed zderzeniem. Dwaj kosmiczni giganci wyglądali jak starożytni rycerze toczący konny pojedynek na kopie. Nacierali na siebie, pokonując galopem dzielącą ich odległość, ale o zwycięstwie któregoś z nich miało przesądzić to, co zrobi na ułamek sekundy przed zwarciem.

Dwie wielkie cywilizacje Drogi Mlecznej wstrzymały oddech, czekając na tę decydującą chwilę.

Gdy dzieląca je odległość zmalała do trzydziestu tysięcy kilometrów, obie strony zaczęły wykonywać ostatnie manewry. Pierwsze zapaliły się

silniki Pożeracza, z których wystrzeliły długie na ponad dziesięć tysięcy kilometrów niebieskie płomienie. Pierścień rozpoczął unik. Na Księżycu jeszcze raz odpalono ładunki jądrowe, które wybuchały z bezprecedensową mocą i częstotliwością. Wprowadzono poprawki do trajektorii jego lotu, by mieć pewność, że dojdzie do zderzenia. Wygięty w łuk ogon ciągnących się za nim odłamków skalnych wyraźnie opisywał zmianę jego kursu. Niebieski blask płomieni wyrzucanych przez silniki Pożeracza stapiał się ze srebrnymi rozbłyskami wybuchów jądrowych na Księżycu. Był to najwspanialszy widok, jaki kiedykolwiek oglądał Układ Słoneczny.

Obie strony manewrowały tak przez trzy godziny. Odległość między nimi skurczyła się już do pięciu tysięcy kilometrów, gdy ekrany komputerów na statku sztabowym pokazały coś, czego nikt z obecnych tam nie uważał za możliwe: Pożeracz zmieniał kurs z prędkością czterokrotnie przekraczającą tę, która według Erydan była maksymalna!

Ludzie przez cały czas przyjmowali tę granicę bez zastrzeżeń. Na niej zbudowali swą wiarę w zwycięstwo. Teraz bomby, które jeszcze pozostały na Księżycu, nie dawały już możliwości wprowadzenia poprawek niezbędnych dla podjęcia pogoni za Pożeraczem. Obliczenia wykazały, że nawet gdyby zrobili wszystko, co się da, za trzy godziny Księżyc przeleci obok Pożeracza, mijając go o czterysta kilometrów.

Statek sztabowy zalał ostatni oślepiający błysk wybuchów ładunków jądrowych, po czym wyczerpał się arsenał Ziemi. Niemal dokładnie w tej samej chwili zamilkły silniki Pożeracza. Prawo inercji recytowało w śmiertelnej ciszy ostatnie wersety tego wspaniałego poematu heroicznego: Księżyc przeleciał obok statku Pożeraczy, o włos chybiając. Jego prędkość była teraz tak duża, że grawitacja pierścienia nie mogła go przyciągnąć, a jedynie odchyliła nieco trajektorię jego lotu. Minąwszy

statek Pożeraczy, popędził w kosmos, coraz bardziej oddalając się od Słońca.

Na statku Naczelnego Dowództwa Ziemi zapanowało milczenie. Mijały minuty.

– Erydanie nas zdradzili – wyszeptał w końcu jeden z oficerów.

– Ten kryształ był pewnie pułapką zastawioną przez Imperium Pożeraczy! – krzyknął inny oficer sztabowy.

W jednej chwili na statku Naczelnego Dowództwa Ziemi zapanował kompletny chaos. Większość ludzi zaczęła wrzeszczeć; część po to, by wyrazić rozpacz, część po to, by ją ukryć. Wszyscy byli na skraju histerii. Kilka osób z personelu cywilnego płakało, inni rwali sobie włosy z głów. Ich duch chwiał się na skraju przepaści, lada chwila mógł się na zawsze w nią stoczyć.

Tylko Kapitan zachował spokój. Stał przed dużym ekranem. Powoli się obrócił i zadał jedno proste pytanie, które uśmierzyło chaos:

– Chciałbym poprosić wszystkich, by zwrócili uwagę na pewien szczegół: dlaczego Pożeracz wyłączył silniki?

Pandemonium rychło ustąpiło głębokiemu namysłowi. Faktycznie, po odpaleniu ostatniego ładunku jądrowego na Księżycu wróg nie miał żadnego powodu, by wyłączyć silniki. Nie wiedział przecież, czy na Księżycu nie ma jeszcze bomb. Co więcej, istniało niebezpieczeństwo, że grawitacja statku przyciągnie dotychczasowego satelitę Ziemi. Gdyby statek Pożeraczy nadal przyspieszał, mógłby łatwo zwiększyć odległość od trajektorii Księżyca. Mógłby – ba, powinien – odlecieć dalej niż na zaledwie czterysta kilometrów.

– Dajcie mi zbliżenie kadłuba statku Pożeraczy – rozkazał Kapitan.

Na ekranie ukazał się obraz holograficzny. Przekazywała go niewielka, szybka sonda zwiadowcza, która leciała pięćset kilometrów nad

Pożeraczem. Wyraźnie widać było jego wspaniale oświetloną powierzchnię. Patrzyli ze strachem zmieszanym z podziwem, jak przed ich oczami przesuwają się wolno wysokie metalowe szczyty i doliny gigantycznego kadłuba w kształcie pierścienia. Uwagę Kapitana przykuł długi, czarny szew. W ciągu stu lat Kapitan poznał wszystkie szczegóły tej powierzchni i był pewien, że wcześniej nie było tam *tej* szczeliny. Również pozostali szybko ją dostrzegli.

– Co to jest? Czy to… pęknięcie? – zapytał ktoś.

– Tak. Pęknięcie. Długie na pięć tysięcy kilometrów pęknięcie – powiedział Kapitan, kiwając głową. – Erydanie nas nie zdradzili. Dane zawarte w krysztale były prawdziwe. Ta granica prędkości rzeczywiście istnieje, ale gdy zbliżył się do niego Księżyc, Pożeracz, rozpaczliwie chcąc uniknąć zderzenia, zaryzykował i czterokrotnie ją przekroczył. Zapłacił jednak za to wysoką cenę: pękł.

Potem odkryli więcej pęknięć.

– Patrzcie! Co się tam dzieje? – krzyknął ktoś, kiedy ruch obrotowy Pożeracza sprawił, że w polu widzenia znalazła się inna część jego powierzchni.

Na jej skraju rozbłysło oślepiające światło, jakby zza horyzontu wyłaniało się słońce.

– To silnik rotacyjny! – zawołał jeden z oficerów.

– Faktycznie. To rzadko używany równikowy silnik rotacyjny – wyjaśnił Kapitan. – Pracuje pełną mocą, bo Pożeracze starają się powstrzymać obroty swojego statku!

– Kapitanie, miał pan rację! Dowodzi tego to, co widzimy.

– Musimy wykorzystać wszelkie dostępne środki i zebrać szczegółowe dane, by zrobić symulację! – rozkazał Kapitan.

Jeszcze nie skończył mówić, a sztab już się zabrał do wykonania jego polecenia.

W minionym stuleciu stworzono dokładny matematyczny model budowy Pożeracza. Teraz sztab zebrał i bardzo sprawnie przetworzył dane, dzięki czemu szybko uzyskano wynik. Obliczenia wykazały, że na zmniejszenie prędkości obrotu Pożeracza do poziomu, przy którym będzie mógł uniknąć zniszczenia, silnik rotacyjny potrzebowałby prawie czterdziestu godzin, ale już po osiemnastu rozerwie go na kawałki siła odśrodkowa.

W Naczelnym Dowództwie Ziemi wybuchł entuzjazm. Na wielkim ekranie wyświetlił się holograficzny obraz nieuchronnej zagłady Pożeracza; proces rozpadu będzie bardzo powolny, niemal senny. Na czarnym jak smoła tle przestrzeni kosmicznej ten gigantyczny świat rozpłynie się jak mleko w kawie, jego brzegi będą się powoli rozmywać, wchłaniane przez mrok. Będzie to wyglądało tak, jakby Pożeracz roztapiał się w przestrzeni. Teraz jedynie pojawiające się od czasu do czasu błyski wybuchów ukazywały jego rozpadający się kształt.

Kapitan nie oglądał razem z innymi tego podnoszącego na duchu spektaklu. Stał z boku i obserwował w skupieniu rzeczywistego Pożeracza. Na jego twarzy nie było ani śladu tryumfu. Kiedy na mostek powrócił spokój, zaczęła go zauważać reszta sztabowców. Jeden po drugim przyłączyli się do niego i patrzyli na ekran. Odkryli, że ponownie na rufie statku Pożeraczy pojawiło się niebieskie światło.

Pożeracze znów uruchomili znajdujący się tam silnik.

Biorąc pod uwagę krytyczny stan, w jakim znajdowała się już struktura pierścienia, wydawało się to zaskakującym posunięciem. Każde, choćby najmniejsze przyspieszenie mogło doprowadzić do katastrofy. Ale patrzących naprawdę zaskoczyła trajektoria Pożeracza – statek bardzo wolno, lecz zdecydowanie wracał na pozycję, którą zajmował przed

wykonaniem uniku. Ponownie wchodził na poprzednią, zsynchronizowaną z ziemską orbitę i dostosowywał swoją oś obrotu do osi obrotu Ziemi.

– Co? Nadal chce pożreć Ziemię? – wykrzyknął zszokowany i zarazem zdezorientowany oficer.

Jego pytanie wzbudziło tu i ówdzie śmiech, ale ten szybko ucichł, kiedy zebrani na mostku zobaczyli wyraz twarzy Kapitana. Nie patrzył już na ekran. Miał zamknięte oczy, a z jego twarzy odpłynęła cała krew. W minionych stu latach oficerowie i reszta załogi, dla których odparcie Pożeracza stało się dziełem życia, dokładnie poznali wszystkie miny Kapitana, ale takiej jak teraz jeszcze nigdy nie widzieli. Odwrócili się z powrotem do ekranu i wreszcie zrozumieli powagę sytuacji.

Pożeracz nadal miał wyjście z opresji, w jakiej się znalazł. Zaczął się zbliżać do Ziemi. Przed podejściem nad biegun południowy zrównał swoją prędkość orbitalną i obrotową z odpowiednimi prędkościami Ziemi. Gdyby trwało to za długo, rozerwałaby go siła odśrodkowa; gdyby podszedł za szybko, rozszarpałaby go na kawałki moc jego napędu. Przetrwanie Pożeracza wciąż wisiało na włosku. Musiał znaleźć równowagę między czasem podejścia i prędkością.

Zanim olbrzymi pierścień Pożeracza objął biegun południowy, Naczelne Dowództwo Ziemi zobaczyło, że gwałtownie zmienia się kształt zamarzniętego kontynentu. Antarktyda kurczyła się jak masło na gorącej patelni. Potężna siła grawitacji statku obcych przyciągała ku niej oceany i teraz biały koniuszek Ziemi pochłaniały ich spiętrzone wody.

Podczas kiedy to się działo, zmieniał się też sam statek. Jego ciało zaczęły pokrywać niezliczone pęknięcia, które stale się wydłużały i poszerzały. Kilka pierwszych nie było już czarnymi szwami, lecz ziejącymi rozpadlinami, w których jarzyło się szkarłatne światło. Można je było łatwo wziąć za długie na tysiące kilometrów bramy piekieł.

Pośród tego zniszczenia z kadłuba statku wyrosło kilka białych wypustek. Potem zaczęło się pojawiać ich coraz więcej; wysuwały się z wszystkich jego części. Wyglądało to tak, jakby ogromny statek pokryły rzadkie, siwe włosy. Były to smugi pozostawiane na niebie przez mniejsze, wystrzeliwane z niego jednostki. Pożeracze uciekali ze swego skazanego na zagładę świata.

Kiedy statek Pożeraczy objął już pół Ziemi, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót – jej grawitacja działała jak niewidzialne szprychy przytrzymujące go w środku kosmicznego koła. Na jego powierzchni nie pojawiały się nowe pęknięcia, a stare przestały rosnąć. Czterdzieści godzin później Pożeracz pochłonął całą Ziemię. W tym momencie jej grawitacja zaczęła oddziaływać silniej i pęknięcia na powierzchni statku zaczęły się zasklepiać. Po następnych pięciu godzinach szczeliny zamknęły się całkowicie.

Wszystkie ekrany na statku sztabowym stały się czarne, zgasły nawet światła. Jedynym jego źródłem pozostały przenikające przez iluminatory śmiertelnie blade promienie słońca. W celu wytworzenia sztucznej grawitacji nadal powoli obracała się środkowa część statku. W miarę tych obrotów w iluminatorach po obu jego stronach na przemian wschodziło i zachodziło słońce. Następowały po sobie światło i mrok, jakby odtwarzano minione dni i noce.

– Dziękuję wam za sto lat wiernej służby – powiedział Kapitan. – Dziękuję wszystkim.

Zasalutował członkom Naczelnego Dowództwa Ziemi i pod ich spojrzeniem spokojnie złożył swój mundur. Pozostali poszli za jego przykładem.

Ludzkość została pokonana. Obrońcy Ziemi zrobili, co mogli, by wypełnić swój obowiązek, i chwalebnie się wywiązali ze swego

żołnierskiego zadania. W duchu wszyscy przyjęli z czystym sumieniem niewidoczne medale. Zasłużyli na nie.

Rozdział 8

Epilog. Powrót

– Tu naprawdę jest woda! – zawołał z radosnym zdumieniem młody porucznik.

To była prawda – rozciągała się przed nimi szeroka przestrzeń wody. Pod ciemnym niebem połyskiwały jej mieniące się fale.

Kapitan zdjął rękawice. Obiema dłońmi zaczerpnął wody. Otworzył przyłbicę i spróbował jej smaku. Zamknąwszy ją szybko na powrót, krzyknął:

– Nie jest zbyt słona! – Kiedy zobaczył, że młody porucznik chce otworzyć swoją przyłbicę, powstrzymał go: – Nabawisz się choroby dekompresyjnej. Skład atmosfery nie stanowi już problemu, trujące związki siarki w powietrzu się rozrzedziły. Ciśnienie atmosferyczne jest jednak za niskie. Bez przyłbicy poczujesz się tak, jak przed wojną poczułbyś się na wysokości dziewięciu tysięcy metrów.

Jeden z generałów zrobił czubkiem buta dziurę w piasku.

– Może są tu jakieś nasiona trawy – powiedział, spoglądając z uśmiechem na Kapitana.

Tamten potrząsnął głową.

– Przed wojną było tu dno oceanu.

– Możemy iść i rzucić okiem na Jedenastą Nową Ziemię. To niedaleko stąd. Może tam znajdziemy jakieś nasiona – zaproponował porucznik.

– Jeśli jakieś tam były, już dawno się spaliły – skomentował to ktoś z westchnieniem.

Rozejrzeli się wokół. Ze wszystkich stron otaczał ich nieprzerwany łańcuch gór, które dopiero niedawno się wypiętrzyły wskutek ruchów orogenicznych. Były to granatowe masywy gołych skał. Z ich szczytów spływały jak krew wyciekająca z ciała zabitego kamiennego tytana żarzące się czerwono rzeki lawy.

Te rzeki wypaliły ziemię w dole. Była to Ziemia dwieście pięćdziesiąt lat po wojnie.

Po zakończeniu wojny ponad sto tysięcy ludzi na pokładzie statku sztabowego weszło do komór hibernacyjnych. Czekali tam, aż Pożeracz wypluje Ziemię, by móc wrócić do domu. Podczas tego oczekiwania ich statek stał się satelitą krążącym po szerokiej orbicie wokół nowej planety powstałej z połączenia Imperium Pożeraczy i Ziemi. Przez cały ten czas imperium ani razu ich nie napastowało.

Sto dwadzieścia pięć lat po wojnie czujniki statku sztabowego wykryły, że Pożeracze wynoszą się z Ziemi, i obudziły niektórych członków załogi. Zanim wstali, Pożeracze opuścili Ziemię i polecieli na Wenus. Ziemia stała się zupełnie obcym światem, dziwną planetą, którą chyba najlepiej można opisać jako świeżo wyjęty z pieca kawał węgla. Wszystkie oceany zniknęły, a lądy pokrywała sieć rzek magmy.

Załoga statku sztabowego mogła tylko nadal trwać w hibernacji. Przestawiła czujniki i czekała, aż Ziemia się schłodzi. Czekali jeszcze jedno stulecie.

Kiedy ponownie obudzili się z hibernacji, Ziemia już ochłodła i ustały gwałtowne procesy geologiczne, ale była teraz żółtym pustkowiem. Mimo że zniknęło z niej całe życie, zachowała się, chociaż rozrzedzona, atmosfera. Odkryli nawet resztki dawnych oceanów, więc wylądowali na brzegu jednej z takich resztek, która miała wielkość przedwojennego jeziora.

Rozległ się nad nimi grzmot, ogłuszający w rzadkiej atmosferze, i niedaleko od ich statku siadł dobrze im znany toporny statek Imperium Pożeraczy. Otworzyły się jego drzwi i wyszedł z nich Kieł, stawiając chwiejne kroki i opierając się na lasce wysokiej jak słup linii energetycznej.

– Aaa, jeszcze pan żyje! – powitał go Kapitan. – Musi pan mieć około pięciuset lat.

– Czy mógłbym żyć tak długo? Ja też poddałem się hibernacji trzydzieści lat po wojnie. Zrobiłem to, żeby znowu się z wami zobaczyć – odparł Kieł.

– Gdzie jest teraz Pożeracz? – zapytał Kapitan.

Kieł wskazał na niebo i powiedział:

– Nocą nadal go stąd widać, ale jest teraz słabo świecącą gwiazdą, bo niedawno przeciął orbitę Jowisza.

– Opuszcza Układ Słoneczny?

Kieł kiwnął głową.

– Dzisiaj odlatuję, by się na niego dostać.

Kapitan przez chwilę milczał, po czym rzekł:

– Teraz obaj jesteśmy starzy.

Kieł kiwnął ze smutkiem wielkim łbem.

– Starzy… – powtórzył. Laska w jego łapie drżała. – A wasz świat teraz… – Wskazał na ziemię.

– Pozostało tu trochę wody i atmosfery. Mamy to potraktować jako akt litości ze strony Imperium Pożeraczy? – zapytał cicho Kapitan.

Kieł potrząsnął łbem.

– To nie ma nic wspólnego z litością. Jest waszym dziełem.

Żołnierze spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– W tej wojnie imperium poniosło bezprecedensowe straty. W tych rozpadlinach życie straciło setki milionów naszych – przyznał Kieł. – Również nasz ekosystem został bardzo poważnie uszkodzony. Same wstępne naprawy po wojnie zajęły nam pięćdziesiąt ziemskich lat i dopiero potem mogliśmy zacząć przeżuwać Ziemię. Ale wiedzieliśmy, że czas naszego pobytu w Układzie Słonecznym jest ograniczony. Gdybyśmy w porę stąd nie odlecieli, trasę lotu zablokowałby nam obłok pyłu międzygwiezdnego. A gdybyśmy wybrali drogę okrężną, podróż do następnej gwiazdy przedłużyłaby się o siedemnaście tysięcy lat. Przez ten czas jej stan już by się zmienił i spaliłaby planety, które chcieliśmy skonsumować. Z tego powodu musieliśmy przeżuwać planety z waszego układu w wielkim pośpiechu i nie mogliśmy wyczyścić ich do imentu.

– To dla nas wielka pociecha i powód do chwały – powiedział Kapitan, patrząc na otaczających go żołnierzy.

– W pełni na to zasłużyliście. To była naprawdę wielka wojna gwiezdna. W obszernych annałach wojen toczonych przez Pożeraczy bitwa z wami jest jedną z największych! Do dziś dnia minstrele na naszym świecie śpiewają o bohaterskich czynach ziemskich żołnierzy – stwierdził Kieł.

– Wolelibyśmy, by tę wojnę zapamiętała ludzkość. A jak ona się teraz ma? – zapytał Kapitan.

– Po wojnie około dwóch miliardów ludzi, blisko połowa ziemskiej populacji, zostało przeniesionych do Imperium Pożeraczy – odparł Kieł i włączył przenośny komputer, na którego dużym ekranie pojawiły się obrazy życia w imperium. Ekran pokazywał piękną, rozległą łąkę pod błękitnym niebem. Na trawie śpiewała i tańczyła grupa szczęśliwych ludzi.

Początkowo trudno było rozpoznać ich płeć. Mieli delikatną, białą skórę i wszyscy byli w zwiewnych strojach i wiankach na głowach. W oddali widać było wspaniały zamek, wyraźnie wzorowany na jakiejś budowli z którejś z ziemskich baśni. Miał tak jaskrawe kolory, że wyglądał, jakby zrobiono go z kremu i czekolady.

Nastąpiło zbliżenie kamery, które dało Kapitanowi możliwość dokładnego przyjrzenia się twarzom tych ludzi. Wkrótce miał całkowitą pewność, że są naprawdę szczęśliwi. Była to zupełna beztroska, szczęście w krystalicznie czystej postaci. Przypominało mu to kilka krótkich lat niewinnego, szczęśliwego dzieciństwa, którym cieszyli się przedwojenni ludzie.

– Musimy im zapewnić absolutne szczęście – wyjaśnił Kieł. – To wymóg minimum ich hodowli. Jeśli tego nie zrobimy, nie ma gwarancji, że ich mięso będzie pierwszorzędnej jakości. A trzeba powiedzieć, że ludzkie mięso uważane jest za przysmak, może sobie na nie pozwolić tylko najwyższa klasa naszego społeczeństwa. Nie uważamy takich delikatesów za rzecz oczywistą. – Kieł przerwał na chwilę. – Aha, Kapitanie, znaleźliśmy pańskiego wnuka. Nagraliśmy coś od niego dla pana. Chce pan to zobaczyć?

Kapitan spojrzał na niego ze zdumieniem, po czym skinął głową.

Na ekranie pojawił się ładny, jasnoskóry chłopiec. Sądząc z jego twarzy, miał dopiero dziesięć lat, ale ciało dorosłego mężczyzny. W zniewieściałych rękach trzymał wieniec z kwiatów, widać było, że wywołano go z grupy tancerzy.

Mrugając dużymi, błyszczącymi oczami, powiedział:

– Słyszę, że mój pradziadek jeszcze żyje. Proszę pana tylko o jedno: niech pan nigdy, przenigdy tu nie przyleci, żeby się ze mną zobaczyć. Budzi pan we mnie obrzydzenie! Wszyscy czujemy obrzydzenie, kiedy

pomyślimy o tym, jak żyli ludzie przed wojną. Jakież barbarzyńskie było to życie, egzystencja karaluchów! Pan i pańscy żołnierze chcieliście zachować ten sposób życia. Niemal powstrzymaliście ludzkość przed dostaniem się do nieba. Cóż za przewrotność! Wie pan, ile przysporzył mi wstydu, w jakie wprawił mnie zakłopotanie? Fe! Niech pan tu nie przyjeżdża! Fe! Niech się pan powiesi!

Kiedy skończył, odszedł, by dołączyć do tancerzy na łące.

Niezręczną ciszę, która potem zapanowała, przerwał Kieł.

– Nie zakończy życia w wieku sześćdziesięciu lat. Nie zostanie zaszlachtowany i będzie żył długo.

– Jeśli dzięki mnie, to jestem naprawdę wdzięczny – rzekł Kapitan, uśmiechając się żałośnie.

– Nie dzięki panu. Kiedy się dowiedział o swoim pochodzeniu, był bardzo przybity i pełen nienawiści do pana. Takie emocje sprawiają, że mięso nie odpowiada naszym wymogom – wyjaśnił Kieł.

Gdy patrzył na stojących przed nim ostatnich ludzi, w jego ogromnych oczach widać było szczere emocje. Ich skafandry kosmiczne były stare i znoszone, a na twarzach odcisnęły piętno minione lata. W bladożółtym świetle słońca wyglądali jak pokryte plamami rdzy posągi. Zamknął komputer i pełen żalu powiedział:

– Najpierw nie chciałem wam tego pokazywać, ale wszyscy jesteście prawdziwymi wojownikami, potraficie spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z tym… – przerwał i dokończył po długiej chwili – …że nadszedł koniec ludzkiej cywilizacji.

– Na pewno zniszczyliście ziemską cywilizację – stwierdził Kapitan, patrząc pustym wzrokiem w dal. – Popełniliście potworną zbrodnię!

– No i w końcu znowu zaczęliśmy rozmawiać o moralności – rzekł Kieł z krzywym uśmiechem.

– Pomyślałby kto, że po najeździe na nasz świat i brutalnym zniszczeniu wszystkiego, co na nim było, nie macie prawa mówić o moralności – odparł zimno Kapitan.

Pozostali już dawno przestali zwracać uwagę na Kła; skrajne, zimne okrucieństwo cywilizacji Pożeraczy przekraczało ludzkie pojęcie. Dla pozostałych członków załogi statku sztabowego nic nie było mniej interesujące od rozmowy z jej przedstawicielem o moralności.

– Przeciwnie, mamy prawo. Teraz naprawdę chcę porozmawiać z ludźmi o moralności – powiedział Kieł i znowu zrobił długą przerwę. – Jak pan mógł tak po prostu go złapać i zjeść? – podjął na nowo, cytując Kapitana. Ostatnie słowa wstrząsnęły wszystkimi. Nie wydobywały się z translatora, ale wprost z paszczy Kła. Chociaż miał dudniący głos, udało mu się jakimś sposobem dokładnie powtórzyć wypowiedź sprzed trzystu lat. – Kapitanie – ciągnął – trzysta lat temu nie zawiodła pana intuicja. Kiedy spotykają się dwie oddzielone przestrzenią międzygwiezdną cywilizacje, jakiekolwiek podobieństwa między nimi powinny być bardziej szokujące niż różnice. Na pewno nie powinno być tak, jak jest między naszymi dwoma rodzajami.

Kiedy wszyscy skupili spojrzenia na postaci Kła, opanowało ich przeczucie, że za chwilę zostanie ujawniona wstrząsająca posadami świata tajemnica.

Kieł wsparł się na lasce, wyprostował i patrząc w dal, powiedział:

– Przyjaciele, i wy, i my jesteśmy dziećmi Słońca, ale chociaż Ziemia jest wspólnym domem obu naszych rodzajów, my mamy do niej większe prawo niż wy! My mamy je o sto czterdzieści milionów lat dłużej niż wy. Miliony lat temu pojawiliśmy się pierwsi na tej pięknej planecie i stworzyliśmy tu wspaniałą cywilizację.

Ziemscy żołnierze gapili się na niego bezmyślnie. W bladożółtym świetle słońca marszczyła się powierzchnia pozostałości oceanu. Z dalekich,

nowych gór spływała lawa. Po sześćdziesięciu milionach lat rzeka czasu dopłynęła do tego momentu, w którym dwa rodzaje, każdy w swoim czasie władający Ziemią, spotkały się na swoim spustoszonym świecie ojczystym.

– Dino…zaur! – krzyknął ktoś zszokowany.

Kieł skinął głową.

– Cywilizacja dinozaurów powstała tu sto milionów lat temu, w czasie zwanym przez was okresem kredowym ery mezozoicznej. Pod koniec kredy osiągnęła szczyt rozwoju, ale jesteśmy dużymi istotami i mamy tak samo duże potrzeby biologiczne. Kiedy nasza populacja się zwiększyła, ekosystem został maksymalnie obciążony i Ziemia znalazła się na skraju katastrofy. Żeby przetrwać, całkowicie skonsumowaliśmy ekosystem Marsa.

Cywilizacja dinozaurów trwała na Ziemi dwadzieścia tysięcy lat – ciągnął – ale jej prawdziwa ekspansja była kwestią kilku tysięcy lat. Z geologicznego punktu widzenia jej skutki są nieodróżnialne od nagłej katastrofy – nazywacie to wymieraniem kredowym.

W końcu pewnego dnia wszystkie dinozaury wsiadły na dziesięć ogromnych statków wielopokoleniowych i poleciały na rozległe morze gwiazd. Potem tych dziesięć statków się połączyło, a zespolona jednostka powiększała się za każdym razem, kiedy docierała na planetę innej gwiazdy. Po sześćdziesięciu milionach lat stała się tym Imperium Pożeraczy, które znacie.

– Dlaczego zjedliście swój świat ojczysty? Czy dinozaury nie mają ani krzty sentymentu? – zapytał ktoś.

– To długa historia – odparł zatopiony w myślach Kieł. – Przestrzeń międzygwiezdna jest faktycznie ogromna, bezkresna, ale także inna, niż sobie wyobrażacie. Miejsc, które są dla nas, formy życia opartej na węglu, naprawdę odpowiednie, jest niewiele i są one bardzo od siebie oddalone.

Zaledwie dwa tysiące lat świetlnych stąd znajduje się obłok pyłu, który blokuje drogę do środka Galaktyki. Nie możemy ani przez niego przelecieć, ani w nim przetrwać. A potem stanie się strefą potężnego promieniowania i dużą grupą wędrujących czarnych dziur. – Kieł przerwał, lecz po chwili podjął opowieść, mówiąc bardziej do siebie niż do zgromadzonych przed nim ludzi. – Gdybyśmy udali się w przeciwnym kierunku, dotarlibyśmy do końca spiralnego ramienia Drogi Mlecznej, za którym rozciąga się bezkresna pustka. Imperium Pożeraczy zjadło już prawie wszystkie planety w nadającej się do zamieszkania strefie między tymi dwiema barierami. Teraz mamy tylko jedno wyjście: polecieć do innego ramienia Galaktyki. Nie mamy pojęcia, co nas tam czeka, ale jeśli tu zostaniemy, na pewno zginiemy. Ta podróż przez pustkę potrwa piętnaście milionów lat. Aby przeżyć tyle czasu, musimy zgromadzić duże zapasy wszelkich możliwych środków nietrwałych.

W chwili obecnej Imperium Pożeraczy jest w takiej sytuacji jak ryba w wysychającym strumieniu. Musi z niego wyskoczyć, zanim woda całkowicie wyparuje. Zdaje sobie sprawę, że najprawdopodobniej znajdzie się na piasku i umrze w palącym słońcu, ale istnieje szansa, choć niewielka, że wpadnie do dziury z wodą i tam przeżyje. – Kieł zgiął się tak, że jego oczy znalazły się niemal na poziomie oczu ludzi. – Jeśli chodzi o sentyment, to przeżyliśmy miliony trudnych lat i toczyliśmy niezliczone wojny gwiezdne. Wskutek tego nasze serca stwardniały. Teraz musimy spożyć, ile się da, by się przygotować do podróży, która potrwa miliony lat. – Znowu przerwał, pogrążony w myślach. – Czym jest cywilizacja? Czymś, co stale pożera, bezustannie konsumuje i bez końca się rozszerza. Wszystkie inne rzeczy mają drugorzędne znaczenie.

Zamyślił się również Kapitan. Patrząc na Kła, zapytał:

– Czy walka o przetrwanie może być jedynym we wszechświecie prawem ewolucji biologicznej i kulturalnej? Czy nie możemy stworzyć samowystarczalnej, zdolnej do introspekcji cywilizacji, w której wszystkie formy życia istnieją w symbiozie? Takiej jak erydańska?

Kieł odpowiedział bez zastanowienia i wahania:

– Nie jestem filozofem. Być może jest to możliwe. Sęk w tym, kto zrobi pierwszy krok. Jeśli czyjeś przetrwanie zależy od podporządkowania sobie innych i ich zjadania i jeśli jest to żelaznym prawem życia i cywilizacji, to ten, kto pierwszy je odrzuci na rzecz introspekcji, na pewno zginie.

Powiedziawszy to, Kieł wrócił na swój statek, ale zaraz z niego wyszedł z cienkim i płaskim pudłem w łapach. Miało ono około trzech metrów kwadratowych i do jego udźwignięcia trzeba by było czterech mężczyzn. Położył je na ziemi i zdjął pokrywę. Ku zdumieniu ludzi była w nim ziemia, na której rosła trawa. Na tym pozbawionym życia świecie jej zielony kolor poruszył serca wszystkich.

Kieł przesunął je w stronę ludzi.

– To ziemia sprzed wojny. Po wojnie zebrałem przedstawicieli wszystkich roślin i owadów występujących na naszej planecie i trzymałem je w stanie śmierci pozornej. Teraz, po ponad dwóch wiekach, się obudziły. Pierwotnie zamierzałem zabrać je ze sobą na pamiątkę. Ale przemyślałem to i zmieniłem zdanie. Postanowiłem zostawić je tam, gdzie ich prawdziwe miejsce. Zabraliśmy aż nadto z naszego ojczystego świata.

Kiedy ludzie patrzyli na ten drobny kawałek Ziemi, ich oczy zwilgotniały. Zrozumieli, że serca dinozaurów nie obróciły się w kamień. Pod ich zimniejszymi i twardszymi od skały i stali łuskami biły serca, które wciąż tęskniły za domem.

Kieł zagrzechotał pazurami, jakby chciał zrzucić z siebie emocje, które go chwyciły. Nieco wzruszony powiedział:

– No dobrze, przyjaciele, polecimy razem do Imperium Pożeraczy. – Widząc ich miny, podniósł łapę i dodał: – Oczywiście nie będziecie tam pokarmem. Jesteście wspaniałymi wojownikami i zostaniecie obywatelami naszego imperium. A jest tam dla was do wykonania pewne zadanie. Trzeba zbudować muzeum ludzkiej cywilizacji.

Oczy wszystkich żołnierzy skierowały się na Kapitana. Stał pogrążony w myślach, a potem powoli skinął głową.

Żołnierze zaczęli jeden po drugim wsiadać na statek Kła. Drabina zrobiona była dla dinozaurów, więc musieli się wyciągać na całą wysokość, by pokonywać szczeble. Kapitan miał wejść ostatni. Chwyciwszy się najniższego szczebla, podciągnął się i akurat w tym momencie jego wzrok padł na coś w trawie. Zatrzymał się w pół drogi i przez dłuższą chwilę wisiał tam bez ruchu.

Zobaczył… mrówkę.

Wyszła z pudła z ziemią. Nie spuszczając wzroku z maleńkiego owada, Kapitan puścił drabinę i przykucnął. Opuścił rękę i pozwolił mrówce wejść na rękawicę. Potem podniósł ją na wysokość swojej twarzy i uważnie obserwował małe stworzenie o lśniącym w słońcu obsydianowym ciele. Podszedł do pudła i ostrożnie położył mrówkę na źdźble trawy. Zauważył przy tym, że wychodzą spod niej inne mrówki.

Podniósł się i obrócił do stojącego obok niego Kła.

– Kiedy stąd odlecimy, ta trawa i te mrówki będą dominującymi rodzajami na Ziemi.

Kieł nie wiedział, co powiedzieć.

– Wydaje się, że cywilizowane formy życia stają się coraz mniejsze. Dinozaury, ludzie, a teraz prawdopodobnie mrówki – rzekł marszałek, ponownie kucając. Patrzył z głęboką miłością i podziwem w oczach na małe stworzenia wiodące życie w trawie. – Teraz nadeszła ich kolej.

Kiedy mówił, ze statku zaczęli się wyłaniać żołnierze. Schodzili z powrotem na ziemię i wracali do pudła z żyjącą glebą. Otoczyli ją kręgiem i również w ich oczach widać było głęboką miłość.

– Atmosfera nie jest dla nich za rzadka? Wydaje się, że radzą sobie całkiem dobrze – zauważył ktoś.

– Nie, problemem nie jest powietrze. Nie są takie jak ludzie i mogą żyć w tej atmosferze. Sedno sprawy leży w tym, że nie będą miały co jeść – odparł Kieł.

– Nie mogą jeść trawy? – zapytał ktoś.

– A co potem? Jak będą żyć później? W tym rozrzedzonym powietrzu trawa będzie rosnąć bardzo wolno. Kiedy mrówki zjedzą wszystkie źdźbła, umrą z głodu. Ich cywilizacja jest pod wieloma względami lustrzanym odbiciem losu naszej – zadumał się Kieł.

– Nie może im pan zostawić trochę jedzenia ze swojego statku? – zapytał niemal błagalnie jeden z żołnierzy.

Kieł ponownie potrząsnął masywną głową.

– Na moim statku nie ma niczego oprócz wody i systemu hibernacji. To nam wystarczy. Poddamy się hibernacji i będziemy w niej pozostawali, dopóki nie dotrzemy do Pożeracza. A na waszym statku nie ma jakiegoś jedzenia?

Teraz z kolei Kapitan pokręcił głową.

– Nie ma tam nic oprócz pewnej liczby zastrzyków z pokarmem. Nie nadadzą się dla mrówek.

Kieł przerwał dyskusję i wskazał na swój statek.

– Musimy się pospieszyć. Imperium szybko nabiera prędkości. Jeśli będziemy zwlekać, nie dotrzemy do niego.

Odpowiedziało mu milczenie. Przerwał je młody porucznik.

– Kapitanie, my zostajemy – powiedział.

Kapitan zdecydowanie kiwnął głową.

– Zostajecie? Po co? – zapytał zdumiony Kieł, spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Aparatura do hibernacji na waszym statku jest prawie na wyczerpaniu i nie macie jedzenia. Chcecie zostać i czekać na śmierć?

– Pozostanie tu będzie pierwszym krokiem – odpowiedział spokojnie Kapitan.

– Co? – rzucił Kieł z jeszcze większym zdumieniem.

– Sam pan wspomniał o pierwszym kroku do stworzenia cywilizacji – wyjaśnił Kapitan.

– Chcecie stać się – Kieł nie mógł uwierzyć własnym słowom – pokarmem dla mrówek?

Wszyscy ziemscy żołnierze skinęli głowami. Kieł patrzył na nich bez słowa przez czas, który wydawał się wiecznością, po czym się odwrócił i podpierając się laską, zaczął wolno kuśtykać w stronę swojego statku.

– Żegnaj, przyjacielu – krzyknął za nim Kapitan.

– Przede mną i moimi potomkami leży nieskończona ciemność – odparł z przeciągłym westchnieniem Kieł. – Ciemność niekończących się wojen i rozległego wszechświata. Och, czy znajdziemy w niej dla siebie jakiś dom?

Ludzie zobaczyli, że kiedy to mówił, ziemia u jego stóp stała się mokra, ale nie wiedzieli, czy ronił – czy w ogóle mógł ronić – łzy.

Statek dinozaura wystartował z ogłuszającym rykiem i szybko zniknął na niebie. W miejscu, gdzie się rozpłynął, wschodziło słońce.

Ostatni na Ziemi wojownicy siedli w milczeniu na glebie, w której było życie. Potem, poczynając od Kapitana, otworzyli wizjery swoich hełmów i położyli się na niej.

Mijał czas i w końcu słońce zaszło. Wieczorna zorza skąpała Ziemię w pięknej czerwieni. Kiedy przygasła, na niebie zabłysło kilka gwiazd. Ku

swemu zdziwieniu Kapitan zobaczył, że niebo ma śliczny niebieski kolor. Tracąc w rzadkiej atmosferze przytomność, poczuł na skroni lekkie ruchy mrówki, które napełniły go głębokim zadowoleniem. Gdy owad wspiął się na jego czoło, Kapitan przeniósł się w odległe czasy dzieciństwa. Leżał w hamaku rozpiętym między dwiema palmami na plaży. Podniósłszy wzrok na wspaniałe morze gwiazd w górze, czuł na czole delikatnie gładzącą je dłoń matki…

Zapadł zmrok. W płaskich jak lustro resztkach oceanu odbijała się Droga Mleczna. Była to najspokojniejsza noc w historii planety.

W tym spokoju odrodziła się Ziemia.

OPIEKA NAD BOGIEM

Rozdział 1

Bóg znowu zdenerwował rodzinę Qiushenga. A ranek zaczął się tak dobrze. Nad polami unosiła się na wysokości człowieka cienka warstwa białej mgły niczym arkusz papieru ryżowego, który przed chwilą wypłowiał, a spokojny wiejski krajobraz wydawał się malowidłem, które z niego spadło. Na tę scenerię padły pierwsze promienie słońca, a pierwsze krople tegorocznej rosy wkroczyły w najświetniejszy okres swego krótkiego życia… ale Bóg zepsuł ten piękny ranek.

Wstał wyjątkowo wcześnie i poszedł do kuchni zagrzać sobie trochę mleka. Od początku ery utrzymywania rynek mleka świetnie prosperował. Rodzina Qiushenga kupiła za niewiele ponad dziesięć tysięcy juanów krowę mleczną, a potem, idąc w ślady innych gospodarzy, zaczęła przed sprzedażą mleka dodawać do niego wody. Bez domieszki stało się ono też podstawą wyżywienia rodziny.

Kiedy mleko się podgrzało, Bóg przelał je do miseczki, z którą poszedł do salonu obejrzeć telewizję, nie wyłączywszy kuchenki na gaz ciekły.

Po powrocie z obejścia, gdzie sprzątała oborę i chlew, w którym trzymali świnie, Yulian, żona Qiushenga, poczuła w całym domu gaz. Zakrywszy nos ręcznikiem, wbiegła do kuchni, zakręciła palnik, otworzyła okno i włączyła wentylator.

– Ty stary głupcze! Chcesz nas wszystkich zabić? – krzyknęła do salonu.

Rodzina zaczęła używać do gotowania kuchenki gazowej, dopiero gdy zaczęła utrzymywać Boga. Ojciec Qiushenga zawsze się temu sprzeciwiał,

mówiąc, że od gazu lepszy jest brykiet. Teraz zyskał dodatkowy argument.

Bóg, jak to miał w zwyczaju, stał z pochyloną ze skruchą głową, uśmiechając się jak dziecko, które wie, że coś zbroiło. Jego siwa broda sięgała poniżej kolan.

– Ja… ja tylko zdjąłem garnek, w którym podgrzewałem mleko. Dlaczego kuchenka sama się nie wyłączyła?

– Myślisz, że jesteś na swoim statku? – rzekł Qiusheng, schodząc po schodach. – Tutaj wszystko jest bezmyślne. Nie czekamy, tak jak wy, aż obsłużą nas inteligentne maszyny. Musimy ciężko pracować, posługując się bezmyślnymi narzędziami. Tak zdobywamy naszą miskę ryżu!

– My też ciężko pracowaliśmy. W przeciwnym razie skąd by się to wzięło? – powiedział ostrożnie Bóg.

– Dosyć tego „skąd by się to wzięło”! Dosyć! Od wysłuchiwania tego robi mi się niedobrze. Skoro jesteś taki potężny, to poszukaj sobie innych posłusznych dzieci, żeby cię utrzymywały! – Yulian cisnęła ręcznik na podłogę.

– Daj już temu spokój. Daj spokój – mruknął Qiusheng. Zawsze łagodził spory. – Zjedzmy śniadanie.

Obudził się Bingbing. Ziewając, zszedł po schodach.

– Mamo, tato, Bóg przez całą noc kaszlał. Nie mogłem spać.

– Tobie to dobrze – powiedziała Yulian. – Ja i tata spaliśmy w pokoju obok niego. Słyszysz, żebyśmy się skarżyli?

Jak na zawołanie Bóg znowu zaczął kasłać. Robił to tak, jakby w wielkim skupieniu uprawiał ulubiony sport.

Yulian patrzyła przez kilka sekund na Boga, po czym stwierdziła z westchnieniem:

– W mojej rodzinie chyba nikt od ośmiu pokoleń nie miał takiego pecha jak ja.

Wciąż zła poszła do kuchni przyrządzić śniadanie.

Przez resztę posiłku Bóg siedział w milczeniu z resztą rodziny. Zjadł miskę owsianki z marynowanymi warzywami i pół gotowanej na parze bułki mantou. Przez cały ten czas musiał znosić pogardliwe spojrzenia Yulian; może nadal była na niego zła, że nie zakręcił gazu, a może uważała, że za dużo zjadł.

Po śniadaniu Bóg jak zwykle zabrał się szybko do sprzątania ze stołu i zmywania naczyń w kuchni. Stanąwszy przy drzwiach, Yulian krzyknęła:

– Nie używaj płynu, jeśli na talerzu nie ma tłuszczu! Wszystko kosztuje. Te nędzne grosze, które płacisz za swoje utrzymanie? Ha!

Bóg bez przerwy mruczał, by pokazać, że to rozumie.

Qiusheng i Yulian poszli na pole, a Bingbing do szkoły. Dopiero teraz wstał ojciec Qiushenga. Jeszcze nie w pełni rozbudzony zszedł na dół, zjadł dwie miski owsianki i nabił fajkę tytoniem. W końcu przypomniał sobie o istnieniu Boga.

– Ej, stary pryku, zostaw to zmywanie. Chodź i zagraj ze mną! – krzyknął do kuchni.

Bóg wyszedł stamtąd, wycierając ręce w fartuch. Skinął przymilnie głową do ojca Qiushenga. Gra w chińskie szachy z tym starym była dla Boga trudnym zadaniem, bo zarówno jego wygrana, jak i przegrana miały niemiłe konsekwencje. Jeśli Bóg wygrał, tamten się wściekał: „Ty pieprzony stary idioto! Chcesz mnie zawstydzić? Gówno! Jesteś Bogiem! Pokonanie mnie to dla ciebie żadna sztuka! Nie możesz się wreszcie nauczyć manier? Już długo mieszkasz pod tym dachem!”. Ale jeśli przegrał, ojciec Qiushenga też się wściekał: „Ty pieprzony stary idioto! Jestem najlepszym szachistą w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Łatwiej mi ciebie pokonać, niż rozdeptać pluskwę. Myślisz, że musisz mi pozwalać z tobą wygrać? Ujmując to grzecznie, *obrażasz* mnie!”.

W każdym razie rezultat gry był zawsze taki sam: stary zrzucał szachownicę ze stołu i rozsypywał pionki i figury. Ojciec Qiushenga znany był z cholerycznego usposobienia i teraz w końcu znalazł kogoś, na kim mógł wyładowywać swój zły humor.

Ale nie żywił do Boga urazy. Za każdym razem, kiedy Bóg podniósł spokojnie szachownicę i figury z podłogi, siadał znowu do gry i cały proces powtarzał się od nowa. Po kilku partiach obaj byli zmęczeni i dochodziło już południe.

Wtedy Bóg zabierał się do mycia warzyw. Yulian nie pozwalała mu gotować, bo uważała, że jest kiepskim kucharzem, ale musiał myć warzywa. Kiedy po jej i Qiushenga powrocie z pracy w polu nie były umyte, znowu na niego wsiadała i nie szczędziła mu połajanek i sarkastycznych uwag.

Podczas gdy Bóg mył warzywa, ojciec Qiushenga szedł z wizytą do sąsiadów. To była dla Boga najspokojniejsza część dnia. Popołudniowe słońce wypełniało wszystkie szczeliny na ogrodzonym ceglanym murem podwórku i rozświetlało głębokie luki w jego pamięci. W takich chwilach zapominał o swojej pracy i stawał pogrążony w myślach. Do rzeczywistości przywoływały go dopiero głosy wracających z pól wieśniaków i wtedy pospiesznie kończył mycie warzyw.

Westchnął.

„Jak moje życie mogło się tak zmienić?”

Nie było to tylko jego westchnienie. Było to także westchnienie Qiushenga, Yulian i ojca Qiushenga. Było to westchnienie ponad pięciu miliardów ludzi i dwóch miliardów Bogów na Ziemi.

Rozdział 2

To wszystko zaczęło się jesienią trzy lata wcześniej.

– Chodźcie tu szybko! Na niebie są zabawki! – zawołał Bingbing z podwórza.

Qiusheng i Yulian wybiegli z domu, podnieśli głowy i zobaczyli, że niebo rzeczywiście pełne jest zabawek, a przynajmniej obiektów, które miały kształty pasujące tylko do zabawek.

Obiekty te rozproszyły się równomiernie po kopule nieba. Był zmierzch i w każdym odbijały się promienie zachodzącego, znajdującego się już pod horyzontem słońca, i każdy świecił jasno jak księżyc w pełni. Ich blask sprawiał, że na powierzchni Ziemi było jasno jak w południe. Ale płynął ze wszystkich stron, więc żadne przedmioty nie rzucały cienia, jakby oświetlała je gigantyczna lampa chirurgiczna.

Obiekty te widać było tak wyraźnie, że początkowo wszyscy myśleli, iż znajdują się one w atmosferze. Jednak w końcu ludzie się dowiedzieli, że unoszą się na orbicie geostacjonarnej na wysokości trzydziestu tysięcy kilometrów nad Ziemią, a są tak dobrze widoczne po prostu dlatego, że są ogromne.

Ogółem było to 21 530 statków kosmicznych. Rozmieszczone równomiernie na niebie, tworzyły wokół Ziemi cienką otoczkę. Było to wynikiem skomplikowanego ciągu manewrów, które doprowadziły do tego, że znalazły się jednocześnie na ostatecznych pozycjach. Dzięki temu nie wywołały na oceanach zagrażających życiu fal, które by powstały, gdyby

ich masa rozłożyła się nierówno. Ten gest nieco uspokoił ludzi, gdyż był przynajmniej oznaką tego, że obcy nie mają wobec Ziemi złych zamiarów.

Nie powiodła się jednak żadna z podejmowanych w następnych kilku dniach prób nawiązania z nimi kontaktu. Na ponawiane pytania obcy odpowiadali absolutnym milczeniem. W tym samym czasie Ziemia stała się planetą bez nocy. Od ponad dwudziestu tysięcy statków odbijało się tyle światła i padało na nocną stronę Ziemi, że było tam jasno jak w dzień, natomiast po stronie dziennej rzucały one olbrzymie cienie. Ten straszny widok doprowadzał ludzi do granic wytrzymałości psychicznej, wskutek czego większość z nich zignorowała inne dziwne zjawisko, na powierzchni planety, i nie powiązała go z flotą obcych statków kosmicznych.

Otóż w wielkich miastach na całym świecie zaczęli się pojawiać błąkający się starcy. Wszyscy mieli takie same cechy: byli w bardzo podeszłym wieku, mieli długie, siwe włosy i długie, siwe brody i odziani byli w długie, białe szaty. Najpierw, dopóki ich siwe włosy i białe szaty nie pokryły się brudem, wyglądali jak bałwany. Wydawali się nie należeć do żadnej konkretnej rasy, jakby w ich żyłach zmieszała się krew wszystkich grup etnicznych. Nie mieli żadnych dokumentów, które określałyby ich przynależność państwową czy tożsamość, i nie potrafili wyjaśnić, skąd się wzięli.

Umieli tylko, zwracając się do przechodniów, powtarzać w różnych miejscowych językach, z silnym obcym akcentem, te same słowa:

– Jesteśmy Bogiem. Czy z uwagi na to, że to my stworzyliśmy ten świat, moglibyście dać nam coś do jedzenia?

Gdyby mówił tak tylko jeden czy dwóch z tych starych włóczęgów, umieszczono by go czy ich, jak bezdomnych z demencją, w schronisku albo w domu opieki, ale skoro mówiły to miliony, była to zupełnie inna sprawa.

W ciągu dwóch tygodni liczba starych włóczęgów zwiększyła się do ponad trzech milionów. Widać ich było wszędzie, na ulicach Nowego Jorku, Pekinu, Londynu, Moskwy… Powłócząc nogami, wędrowali tłumami tamującymi ruch uliczny. Czasami wydawało się, że jest ich więcej niż rodowitych mieszkańców tych miast.

Najgorsze było to, że wszyscy powtarzali to samo: „Jesteśmy Bogiem. Czy z uwagi na to, że to my stworzyliśmy ten świat, moglibyście dać nam coś do jedzenia?”.

Dopiero wtedy ludzie oderwali uwagę od statków i zwrócili ją na nieproszonych gości. Ostatnio na wszystkie kontynenty spadał grad meteorytów. Po każdym takim widowisku znacznie się zwiększała liczba starych włóczęgów. Po dokładnych obserwacjach odkryto niewiarygodny fakt: ci starzy włóczędzy przybywali z nieba, z tych obcych statków kosmicznych.

Wskakiwali w atmosferę jak do basenu, w skafandrach zrobionych ze specjalnej błony. Kiedy tarcie powietrza spalało zewnętrzną powłokę skafandra, ta błona powstrzymywała ciepło ich ciał przed ucieczką i spowalniała spadanie. Jej starannie zaprojektowana budowa dawała pewność, że przeciążenie wskutek hamowania nigdy nie przekroczy czterech *g*, znacznie poniżej granicy zakresu, który mogły znieść ich starcze ciała. Na koniec, w chwili lądowania na powierzchni Ziemi, ich prędkość była bliska zeru, jakby właśnie zeskoczyli z ławki. Mimo to wielu z nich zwichnęło sobie przy tym kostkę. Jednocześnie spowijająca ich błona ulegała całkowitemu spaleniu i znikała bez śladu.

Grad meteorytów padał bez przerwy. Na Ziemi lądowało coraz więcej wędrowców i ich liczba wzrosła do niemal stu milionów.

Rządy wszystkich krajów próbowały znaleźć wśród nich chociaż jednego, który byłby ich przedstawicielem, ale oni uparcie twierdzili, że

wszyscy „Bogowie” są równi i że żaden z nich nie może reprezentować wszystkich. Tak więc podczas sesji nadzwyczajnej Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych wszedł do sali posiedzeń wybrany na chybił trafił wędrowiec, który mówił zadowalającą angielszczyzną.

Najwyraźniej był jednym z tych, którzy wylądowali jako pierwsi, bo jego szata była brudna i pełna dziur, a broda pokryta kurzem jak szczotka po zamiataniu podłogi. Nie miał nad głową aureoli, krążyło tylko wokół niej kilka lojalnych much. Podpierając się podniszczoną bambusową laską i powłócząc nogami, podszedł do okrągłego stołu konferencyjnego i usiadł przy nim. Spojrzał na sekretarza generalnego i jego twarz rozpromieniła się w charakterystycznym dla tych wszystkich starców infantylnym uśmiechu.

– Nie… nie jadłem jeszcze śniadania – powiedział.

A więc przyniesiono mu śniadanie. Ludzie na całym świecie przyglądali się, jak pochłania jedzenie tak łapczywie, jakby przymierał głodem. Kilka razy aż się zakrztusił. Szybko spałaszował grzankę, kiełbaski i sałatkę i popił to dużą szklanką mleka. Potem znowu uśmiechnął się niewinnie do sekretarza generalnego.

– Cha, cha… eee… macie może trochę wina? Wystarczy mały kubeczek.

Przyniesiono więc kielich wina. Łyknął i z zadowoleniem kiwnął głową.

– Ostatniej nocy grupka nowych zajęła moje ulubione miejsce przy wylocie wentylacyjnym metra, z którego płynie ciepłe powietrze. Musiałem znaleźć sobie nowe na placu. Ale teraz, po odrobinie wina, moje stawy wracają do życia… Możesz mi trochę pomasować plecy? Tylko trochę.

A więc sekretarz generalny rozmasował mu grzbiet. Starzec potrząsnął głową, westchnął i powiedział:

– Przepraszam, że sprawiam wam tyle kłopotu.

– Skąd jesteście? – zapytał delegat Stanów Zjednoczonych.

Starzec znów potrząsnął głową.

– Każda cywilizacja ma stałe miejsce pobytu tylko w okresie dzieciństwa. Planety i gwiazdy są niestałe i zmieniają się, a wtedy cywilizacje muszą się przenosić. Zanim cywilizacja stanie się młodą kobietą, przeprowadzi się wiele razy. Wtedy cywilizacje odkrywają, że środowisko żadnej planety nie jest tak stabilne jak zamknięty statek kosmiczny. A więc ich domami stają się statki, a planety tylko miejscami, gdzie na krótko się zatrzymują. Tak oto każda cywilizacja, która wejdzie w wiek dorosły, zaczyna bez końca wędrować po kosmosie. Skąd jesteśmy? Z tamtych statków. – Wskazał brudnym palcem w górę.

– Ilu was jest?

– Dwa miliardy.

– Kim naprawdę jesteście? – Sekretarz generalny zadał to pytanie nie bez powodu.

Starzy wędrowcy wyglądali zupełnie jak ludzie.

– Mówiliśmy to wam już wiele razy. – Starzec machnął niecierpliwie ręką. – Jesteśmy Bogami.

– Możesz nam to wyjaśnić?

– Nasza cywilizacja, nazwijmy ją po prostu cywilizacją Bogów, istniała na długo przed narodzinami Ziemi. Kiedy wkroczyła w podeszły wiek, zasialiśmy na świeżo uformowanej Ziemi ziarna życia. Potem, podróżując z prędkością bliską prędkości światła, przeskoczyliśmy przez czas. Kiedy życie na Ziemi rozwinęło się do odpowiedniego stadium, wróciliśmy tu, wprowadziliśmy nowy rodzaj oparty na naszych genach, wyeliminowaliśmy jego wrogów i starannie kierowaliśmy jego ewolucją do czasu, aż Ziemia stała się domem nowego, cywilizowanego rodzaju, takiego jak nasz.

– Na jakiej podstawie mamy ci uwierzyć?

– To łatwe.

I tak zaczęły się półroczne starania zweryfikowania tego twierdzenia. Ludzie patrzyli ze zdumieniem, jak statki przysyłają oryginalne plany życia na Ziemi i obrazy młodej planety. Idąc za wskazówkami starego wędrowca, wykopali spod jej skorupy niewiarygodne maszyny, sprzęt, który przez długie eony monitorował biosferę na planecie i nią sterował.

W końcu musieli uwierzyć. Przynajmniej jeśli chodziło o życie na Ziemi, Bogowie byli naprawdę Bogami.

Rozdział 3

Na sesji nadzwyczajnej Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych sekretarz generalny zadał w końcu Bogu w imieniu całej ludzkości kluczowe pytanie: dlaczego przylecieli na Ziemię?

– Zanim odpowiem, musicie zrozumieć właściwe znaczenie pojęcia „cywilizacja”. – Bóg pogładził długą brodę. Był to ten sam Bóg, który pół roku wcześniej wystąpił na pierwszej sesji nadzwyczajnej. – Jak waszym zdaniem ewoluuje cywilizacja?

– Cywilizacja na Ziemi jest obecnie w stadium szybkiego rozwoju. Myślę, że jeśli nie spadną na nas klęski żywiołowe, z którymi nie będziemy umieli sobie poradzić, będziemy się rozwijać bez końca – odparł sekretarz generalny.

– Mylisz się. Pomyśl o tym: każdy przechodzi przez kilka okresów: dzieciństwo, wiek średni, potem starość i w końcu umiera. Z gwiazdami jest tak samo. W istocie wszystko we wszechświecie podlega temu procesowi. Pewnego dnia skończy się również sam wszechświat. Dlaczego cywilizacja miałaby być wyjątkiem? Nie, ona też się zestarzeje i umrze.

– Jak dokładnie się to dzieje?

– Różne cywilizacje różnie się rozwijają i umierają, tak jak różni ludzie umierają na różne choroby albo po prostu ze starości. W cywilizacji Bogów pierwszą oznaką jej starzenia się było niezwykłe wydłużenie życia jednostki. Każdego czekało życie o długości czterech tysięcy lat ziemskich. W wieku dwóch tysięcy lat nasze myśli całkowicie kostniały i traciliśmy

całą kreatywność. Ponieważ władza spoczywała w rękach takich jednostek, nowym formom życia ciężko było się pojawić i rozwinąć. Właśnie wtedy nasza cywilizacja się zestarzała.

– A potem?

– Drugą oznaką starzenia się była epoka mechanicznej kołyski.

– Co?

– W tamtym czasie maszyny nie potrzebowały już nadzoru swoich twórców. Działały niezależnie od nich, same się utrzymywały i rozwijały. Inteligentne maszyny zaspokajały wszystkie nasze potrzeby, nie tylko fizyczne, ale także psychiczne. Nie musieliśmy się już troszczyć o nasze przetrwanie. Otoczeni opieką przez maszyny, żyliśmy tak, jakbyśmy leżeli w wygodnych kołyskach. Pomyślcie tylko: gdyby w dżunglach na Ziemi była niewyczerpana ilość owoców i łagodnych zwierząt, które pragnęłyby się stać źródłem pożywienia, to czy małpy przeszłyby ewolucję i stały się ludźmi? Taką właśnie zapewniającą komfortowe życie dżunglą była mechaniczna kołyska. Stopniowo zapominaliśmy o naszej nauce i technologii. Nasza cywilizacja stała się leniwa i pusta, pozbawiona kreatywności i ambicji, co tylko przyspieszyło proces starzenia. To, co teraz widzicie, to ostatnie tchnienia cywilizacji Bogów.

– Wobec tego… możesz nam powiedzieć, w jakim celu cywilizacja Bogów przybyła na Ziemię?

– Nie mamy już domu.

– Ale… – Sekretarz generalny wskazał palcem w górę.

– Te statki są stare. To prawda, że sztuczne środowisko na nich jest bardziej stabilne niż jakiekolwiek środowisko naturalne, włącznie z ziemskim, ale statki są stare, tak stare, że przekracza to waszą wyobraźnię. A stare komponenty się psują. Zakumulowane w ciągu eonów efekty kwantowe prowadziły do coraz częstszych błędów

w oprogramowaniu. Funkcje autonaprawy i samoutrzymania tego systemu napotykają coraz więcej nieprzezwyciężonych przeszkód. Codziennie zmniejsza się liczba naszych potrzeb życiowych, które maszyny mogą zaspokoić. Ledwie udaje nam się przeżyć. Powietrze w dwudziestu tysiącach miast na naszych statkach jest pełne zanieczyszczeń i przesycone rozpaczą.

– Nie ma wyjścia z tej sytuacji? Może nowe części dla statków? Nowa wersja oprogramowania?

Bóg potrząsnął głową.

– To ostatnie lata cywilizacji Bogów. Jest nas dwa miliardy, dwa miliardy umierających mężczyzn i kobiet, z których każde liczy ponad trzy tysiące lat. Ale przed nami setki pokoleń żyły w komforcie, który zapewniała mechaniczna kołyska. Już dawno temu zapomnieliśmy o całej naszej technologii i teraz nie ma sposobu, byśmy mogli naprawić statki, które od dziesiątków milionów lat działają automatycznie. Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o zdolność studiowania i rozumienia technologii, jesteśmy gorsi od was. Nie umiemy nawet połączyć obwodu żarówki czy rozwiązać równania kwadratowego… Pewnego dnia statki powiedziały nam, że niebawem układ napędowy ulegnie awarii i nie będzie już mógł rozpędzać ich do prędkości bliskiej prędkości światła. Potem cywilizacja Bogów mogłaby tylko dryfować z prędkością niedochodzącą nawet do jednej dziesiątej prędkości światła, a układ podtrzymania środowiska coraz bardziej by szwankował i w końcu całkowicie się zepsuł. Maszyny nie były już w stanie utrzymać dwumiliardowej populacji przy życiu. Musieliśmy znaleźć jakieś wyjście.

– Spodziewaliście się, że do tego dojdzie?

– Oczywiście. Statki ostrzegły nas już dwa tysiące lat temu. Właśnie wtedy rozpoczęliśmy proces zasiewania życia na Ziemi, żeby mieć na starość wsparcie.

– Dwa tysiące lat temu?

– Tak. Oczywiście mówię o czasie na statkach. Według waszych miar czasu było to trzy i pół miliarda lat temu, kiedy Ziemia się schłodziła.

– Mamy pytanie. Mówisz, że wasza technologia uległa zapomnieniu. Czy zasianie życia nie wymaga technologii?

– Och! Rozpoczęcie procesu ewolucji życia na jakiejś planecie to drobny zabieg. Wystarczy wysiać nasiona, a życie samo będzie rozkwitało, mnożyło się i ewoluowało. Takie oprogramowanie mieliśmy jeszcze przed epoką mechanicznej kołyski. Trzeba było tylko włączyć program, a maszyny zrobiły wszystko. Podstawowym wymogiem, który trzeba spełnić, by stworzyć planetę pełną różnych form życia, jest czas: kilka miliardów lat. Lecąc niemal z prędkością światła, mieliśmy czas prawie nieograniczony. Jednak teraz nasze statki nie są już w stanie się do niej zbliżyć. Gdyby było inaczej, nadal mielibyśmy szansę stworzenia nowych cywilizacji i życia na nowych planetach, więc mielibyśmy większy wybór. Jesteśmy w szponach powolności i nie możemy urzeczywistnić naszych marzeń.

– A więc chcecie spędzić złote lata na Ziemi.

– Tak, tak. Mamy nadzieję, że przyjmiecie nas z poczucia synowskiego obowiązku.

Bóg wsparł się na lasce i trzęsąc się, starał się ukłonić przywódcom państw. Omal nie upadł przy tym na twarz.

– Ale jak planujecie tutaj żyć?

– Gdybyśmy mieli wszyscy zebrać się w jednym miejscu i być zdani na siebie, równie dobrze moglibyśmy zostać w przestrzeni kosmicznej i tam umrzeć. Chcielibyśmy, by przyjęły nas wasze społeczności, wasze rodziny. Kiedy nasza cywilizacja była w okresie dziecięcym, my też mieliśmy rodziny. Wiecie, że dzieciństwo jest najcenniejszym okresem. Teraz wasza

cywilizacja jest właśnie w tym okresie, więc gdybyśmy mogli powrócić do tej epoki i spędzić resztę życia w rodzinnym cieple, bylibyśmy niezmiernie szczęśliwi.

– Są was dwa miliardy. To znaczy, że każda rodzina na Ziemi musiałaby przyjąć jedno lub dwoje z was.

Po wypowiedzi sekretarza generalnego w sali zgromadzeń zapadła cisza.

– Tak, tak… – Bóg nadal się kłaniał, rzucając ukradkowe spojrzenia na sekretarza generalnego i przywódców państw. – Oczywiście chcemy wam to wynagrodzić. – Machnął laską i do sali weszło dwóch innych siwobrodych Bogów uginających się pod ciężarem srebrzystej, metalowej skrzyni. – Spójrzcie, tu są bardzo gęsto upakowane nośniki informacji. Znajduje się w nich systematycznie uporządkowana wiedza, którą cywilizacja Bogów zgromadziła we wszystkich dziedzinach nauki i technologii. Z tą wiedzą wasza cywilizacja dokona skokowego postępu. Myślę, że się wam to spodoba.

Sekretarz generalny i przywódcy państw patrzyli na skrzynię, starając się ukryć podniecenie.

– Zaopiekowanie się Bogami jest obowiązkiem ludzkości – powiedział sekretarz generalny. – Oczywiście wymaga to konsultacji między różnymi państwami, ale myślę, że w zasadzie…

– Przepraszamy, że sprawiamy wam tyle kłopotu. Przepraszamy, że sprawiamy wam tyle kłopotu… – Oczy Boga zaszły łzami. Nadal się kłaniał.

Kiedy sekretarz generalny i przywódcy wszystkich państw wyszli z sali zgromadzeń ogólnych, zobaczyli, że przed budynkiem ONZ zebrały się dziesiątki tysięcy Bogów. W powietrzu kołysało się morze siwych głów, napełniając je szmerem słów. Sekretarz wsłuchał się w nie i zdał sobie

sprawę, że wszyscy wypowiadają w różnych ziemskich językach to samo zdanie:

– Przepraszamy, że sprawiamy wam tyle kłopotu. Przepraszamy, że sprawiamy wam tyle kłopotu…

Rozdział 4

Dwa miliardy Bogów przybyły na Ziemię. Zamknięci w skafandrach wykonanych z tej specjalnej błony lecieli przez atmosferę i spadali na powierzchnię. Nawet w dzień widać było jaskrawe, kolorowe smugi, które kreślili na niebie. Po wylądowaniu rozdzielono ich między półtora miliarda rodzin.

Wszyscy mieli nadzieję, że po otrzymaniu naukowej i technologicznej wiedzy Bogów czeka ich świetlana przyszłość, i snuli marzenia, jakby ludzkość z dnia na dzień miała wstąpić do raju. Przepełniała ich taka radość, że każda rodzina przyjmowała Boga z otwartymi rękami.

Tamtego ranka Qiusheng stał z rodziną i pozostałymi mieszkańcami wsi przy wjeździe do niej, by powitać Bogów przydzielonych do Xicen.

– Jaki piękny dzień – powiedziała Yulian.

Poczyniła tę uwagę nie tylko pod wpływem przepełniających ją uczuć. W nocy zniknęły statki Bogów i niebo ponownie stało się czyste i bezkresne. Ludziom nigdy nie pozwolono wejść na żaden z tych statków. Bogowie właściwie nie mieli nic przeciwko temu, ale same statki odmówiły spełnienia tej prośby. Nie przyjęły żadnej z wielu prymitywnych sond wysłanych przez ludzi i zamknęły przed nimi luki. Po wyskoczeniu ostatniej grupy Bogów wszystkie, ponad dwadzieścia tysięcy jednostek,

jednocześnie opuściły orbitę. Nie odleciały jednak daleko, zatrzymały się w pasie asteroid i tam dryfowały.

Chociaż były stare, wciąż wykonywały swoje rutynowe działania. A ponieważ ich jedynym zadaniem było służenie Bogom, nie mogły się za bardzo od nich oddalić. Przyleciałyby, gdyby Bogowie nadal ich potrzebowali.

Z siedziby powiatu przyjechały dwa autobusy ze stu sześcioma Bogami skierowanymi do Xicen. Qiusheng i Yulian powitali tego, który miał u nich zamieszkać. Wzięli go z dwóch stron czule pod ręce i w jasnym świetle popołudniowego słońca poprowadzili do domu. Za nimi szli, uśmiechając się, Bingbing i ojciec Qiushenga.

– Dziadku… eee… dziadku Boże. – Yulian z promiennym uśmiechem pochyliła ku niemu twarz. – Słyszałam, że ta technologia, którą nam przekazaliście, pozwoli nam wkrótce zaprowadzić prawdziwy komunizm! Kiedy to się stanie, będziemy mieć wszystko według naszych potrzeb. Rzeczy nie będą nic kosztowały. Po prostu pójdzie się do sklepu i się je weźmie.

Bóg uśmiechnął się i kiwnął głową, a jego siwe włosy zafalowały. Powiedział po chińsku z silnym obcym akcentem:

– Tak. Prawdę mówiąc, „każdemu według jego potrzeb” zaspokaja tylko najbardziej podstawowe potrzeby cywilizacji. Dzięki technologii, którą wam daliśmy, będziecie żyć w komforcie przekraczającym waszą wyobraźnię.

Yulian roześmiała się tak szeroko, że jej twarz wyglądała jak otwierający się kielich kwiatu.

– Nie, nie! „Każdemu według potrzeb” wystarczy aż nadto.

– Mhm – zgodził się z nią ojciec Qiushenga.

– Będziemy mogli żyć wiecznie, tak jak wy, nie starzejąc się? – zapytał Qiusheng.

– Nie możemy żyć wiecznie i nie starzeć się. Tyle że żyjemy dłużej niż wy. Popatrzcie, jaki jestem stary! Moim zdaniem człowiek, który żyje ponad trzy tysiące lat, mógłby równie dobrze być martwy. Niezwykła długość życia może być zabójcza dla cywilizacji.

– Och, ja nie potrzebuję trzech tysięcy lat. Wystarczy mi trzysta. – Ojciec Qiushenga śmiał się teraz tak szeroko jak Yulian. – W takim przypadku można by mnie teraz uważać za wciąż młodego człowieka. Może nawet mogę… cha, cha, cha.

Wieś potraktowała ten dzień jak chiński Nowy Rok. Każda rodzina wydała powitalną ucztę dla przydzielonego do niej Boga, a rodzina Qiushenga nie była wyjątkiem.

Ojciec Oiushenga po kilku czarkach huangjiu z dobrego rocznika szybko się wstawił. Zwrócił się do Boga, podnosząc oba kciuki.

– Ty rzeczywiście jesteś nie byle kim! Żeby stworzyć tyle żywych istot, trzeba naprawdę mieć nadprzyrodzone zdolności.

Bóg też trochę wypił, ale zachowywał jasność umysłu. Machnął ręką.

– Nie, nie nadprzyrodzone. To tylko nauka. Kiedy biologia osiągnie pewien poziom, tworzenie życia staje się czymś podobnym do budowania maszyn.

– To ty tak mówisz. Ale w naszych oczach nie różnisz się od nieśmiertelnych, którzy zechcieli zamieszkać wśród nas.

Bóg potrząsnął głową.

– Istoty nadprzyrodzone nigdy nie popełniłyby błędu. Natomiast my, tworząc was, popełnialiśmy błąd za błędem.

– Robiliście błędy, kiedy nas tworzyliście? – Yulian otworzyła szeroko oczy. W jej wyobraźni tworzenie życia było procesem podobnym do narodzin Bingbinga przed ośmioma laty.

– Wiele błędów. Dam wam dość świeży przykład. Program tworzenia życia popełnił błędy w analizie ziemskiego środowiska, co doprowadziło do pojawienia się takich stworzeń jak dinozaury, o ogromnych ciałach, ale słabej zdolności przystosowywania się do zmieniających się warunków. Ostatecznie trzeba je było usunąć, żeby ułatwić wam ewolucję. Jeśli chodzi o jeszcze świeższe wydarzenia, to program uznał, że po zniknięciu starożytnej cywilizacji egejskiej cywilizacja na Ziemi jest dobrze ugruntowana. Przestał ją monitorować i wprowadzać drobne poprawki, a to tak, jakby pozostawił nakręcony zegar samemu sobie. Skutkiem tego były dalsze błędy. Na przykład program powinien pozwolić dalej się rozwijać cywilizacji starożytnej Grecji i powstrzymać jej podbój przez Macedonię, a potem przez Rzym. Chociaż i Macedończycy, i Rzymianie przejęli dziedzictwo cywilizacji greckiej, zmienił się kierunek jej rozwoju…

Nikt z rodziny Qiushenga nie rozumiał tego wykładu, ale wszyscy słuchali go z szacunkiem.

– A potem na Ziemi pojawiły się dwie wielkie cywilizacje: Chiny Han i imperium rzymskie. W przeciwieństwie do wcześniejszej sytuacji z Grecją te dwie nie powinny trwać oddzielnie i rozwijać się w izolacji. Powinno się im pozwolić na nawiązanie pełnych kontaktów…

– Te „Chiny Han”, o których mówisz, to dynastia Han z Liu Bangiem i Xiang Yu? – W końcu ojciec Qiushenga usłyszał coś znajomego. – A co to jest to „imperium rzymskie”?

– Tak się chyba nazywało wtedy pewne państwo cudzoziemskie – spróbował mu wyjaśnić Qiusheng. – Było bardzo duże.

Jego ojciec był zdezorientowany.

– Dlaczego powinny nawiązać kontakt? Kiedy za czasów dynastii Qing pokazali się tu w końcu cudzoziemcy, dali nam nieźle w skórę. Chciałbyś, żeby przybyli tu wcześniej? Za czasów dynastii Han?

Bóg się roześmiał.

– Nie, nie. Chiny Han były tak samo potężne jak imperium rzymskie.

– To i tak źle. Gdyby te dwie potęgi się spotkały, doszłoby do wielkiej wojny. Krew lałaby się strumieniami.

Bóg kiwnął głową. Sięgnął pałeczkami po kawałek wołowiny duszonej w sosie sojowym.

– Mogłoby tak być. Ale gdyby te dwie wielkie cywilizacje Zachodu i Wschodu się spotkały, skrzesałyby iskry, które znacznie przyspieszyłyby rozwój ludzkości… Ech, gdyby wtedy udało się uniknąć tych błędów, teraz Ziemia prawdopodobnie kolonizowałaby Marsa, a wasze sondy międzygwiezdne poleciałyby za Syriusza.

Ojciec Qiushenga podniósł czarkę huangjiu i rzekł z podziwem:

– Wszyscy mówią, że Bogowie zapomnieli w swojej kołysce naukę, ale ty nadal jesteś bardzo uczony.

– Żeby czuć się dobrze w kołysce, trzeba trochę wiedzieć o filozofii, sztuce, historii i tak dalej. To po prostu znajomość pewnych powszechnie znanych faktów, a nie prawdziwa nauka. Wielu uczonych na Ziemi ma teraz dużo głębsze przemyślenia niż my.

Pierwsze trzy miesiące po wejściu do społeczeństwa ludzkiego były dla Bogów złotym wiekiem, gdy bardzo harmonijnie żyli z tymi, którzy ich przyjęli. Czuli się, jakby powrócili do dzieciństwa swojej cywilizacji i zanurzyli się w dawno zapomnianym cieple rodzinnym. Wydawało się, że to najlepszy sposób na spędzenie ostatnich lat ich niezwykle długiego życia.

Bóg w rodzinie Qiushenga cieszył się spokojną egzystencją w tej pięknej południowochińskiej wiosce. Codziennie chodził nad otoczony bambusowym zagajnikiem staw łowić ryby, gawędzić i grać w szachy ze starymi chłopami. Ale jego największą pasją stały się opery ludowe. Za każdym razem, gdy do wsi przyjechała trupa teatralna, szedł na każdy jej występ.

Jego ulubioną operą byli *Motyli kochankowie*. Nie wystarczał mu jeden spektakl. Podążał za trupą nawet ponad pięćdziesiąt kilometrów i oglądał kilka przedstawień z rzędu. W końcu Qiusheng pojechał do miasta i kupił mu płytę kompaktową z tą operą. Bóg słuchał jej w kółko, dopóki sam nie nauczył się nucić kilku linijek z tej huangmei. Robił to całkiem dobrze.

Pewnego dnia Yulian odkryła jego sekret. Powiedziała szeptem do Qiushenga i teścia:

– Wiedzieliście, że za każdym razem, kiedy skończy słuchać opery, dziadek Bóg wyjmuje z kieszeni małą kartkę? I patrząc na nią, nuci. Przed chwilą zerknęłam na nią ukradkiem. To zdjęcie. Jest na nim naprawdę ładna młoda kobieta.

Wieczorem Bóg znowu odtworzył *Motylich kochanków*. Wyjął zdjęcie i zaczął półgłosem śpiewać. Wtedy cicho wszedł ojciec Qiushenga.

– Dziadku Boże, czy to twoja… dziewczyna sprzed lat?

Zaskoczony Bóg szybko schował fotografię i uśmiechnął się jak przyłapane na czymś małe dziecko.

– Cha, cha. Tak, tak. Dwa tysiące lat temu byłem w niej zakochany.

Yulian, która ich podsłuchiwała, skrzywiła się. „Dwa tysiące lat temu!” – pomyślała. Aż ją zatkało z wrażenia.

Ojciec Qiushenga chciał obejrzeć zdjęcie, ale Bóg tak starannie je chronił, że nie wypadało o to prosić, zadowolił się więc wysłuchaniem jego wspomnień.

– Wtedy wszyscy byliśmy jeszcze młodzi. Ona była jedną z tych nielicznych osób, które nie były całkowicie pochłonięte życiem w mechanicznej kołysce. Zainicjowała wielką wyprawę badawczą na koniec wszechświata. Nie musisz się wysilać, żeby to pojąć. Bardzo trudno to zrozumieć. W każdym razie miała nadzieję, że ta wyprawa obudzi uśpioną w mechanicznej kołysce cywilizację Bogów. Oczywiście było to tylko piękne marzenie. Chciała, żebym z nią poleciał, ale nie miałem odwagi. Przerażało mnie bezkresne pustkowie wszechświata. Ta podróż miała trwać ponad dwadzieścia miliardów lat świetlnych. A więc poleciała sama. Ale chociaż od tamtej chwili minęły dwa tysiące lat, nie przestałem za nią tęsknić.

– Dwadzieścia miliardów lat świetlnych? Zgodnie z tym, co mi wyjaśniłeś wcześniej, to odległość, którą światło by przebyło w ciągu dwudziestu miliardów lat? O rany! To stanowczo za daleko. Praktycznie to pożegnanie na zawsze.

Bóg skinął głową i westchnął.

– No to ona też jest teraz w twoim wieku, tak?

To pytanie wytrąciło Boga z zadumy. Potrząsnął głową.

– O nie. Podczas takiej długiej wyprawy jej statek musi lecieć z prędkością bliską prędkości światła. To znaczy, że ona nadal jest bardzo młoda. Tylko ja się zestarzałem. Nie pojmujesz, jak wielki jest wszechświat. To, co uważasz za wieczność, jest przy nim ziarnkiem piasku. Fakt, że tego nie rozumiesz i nie czujesz, jest czasami błogosławieństwem.

Rozdział 5

Miodowy miesiąc Bogów i ludzi szybko się skończył.

Początkowo ludzie ekscytowali się otrzymanym od Bogów materiałem naukowym, myśląc, że pozwoli im zrealizować z dnia na dzień ich marzenia. Przez przekazane im przez Bogów złącza wydobyli z nośników pamięci ogromną ilość informacji. Przetłumaczono je na angielski i by uniknąć sporów, każdemu państwu dano kopię tego przekładu.

Jednak wkrótce ludzie odkryli, że przekazanych przez Bogów technologii nie da się wykorzystać, przynajmniej w bieżącym stuleciu. Pomyśl, jak daremne byłyby próby przekazania przez podróżnika w czasie współczesnej technologii starożytnym Egipcjanom, a zrozumiesz, w jak beznadziejnej sytuacji znaleźli się ludzie.

Złoża ropy naftowej były na wyczerpaniu, więc wszyscy myśleli przede wszystkim o nowych sposobach wytwarzania energii. Niestety, naukowcy i inżynierzy zorientowali się, że technologia produkcji energii stosowana w cywilizacji Bogów jest zupełnie bezużyteczna. Źródłem energii była w niej bowiem wzajemna anihilacja materii i antymaterii. Nawet gdyby ludziom udało się zrozumieć ten proces i w końcu zbudować silnik anihilacji i generator uzyskanej w ten sposób energii – co było zadaniem prawie niemożliwym do wykonania w ich pokoleniu – i tak na nic by się to nie zdało, a to dlatego, że paliwo do tych silników, czyli antymaterię, trzeba by było wydobywać z głębi przestrzeni kosmicznej. Według przekazanych przez Bogów materiałów najbliższe jej źródło znajdowało się między Drogą

Mleczną i Galaktyką Andromedy, około pięciuset pięćdziesięciu tysięcy lat świetlnych od Ziemi.

Z kolei w technologii budowy silników umożliwiających podróże międzygwiezdne z prędkością bliską prędkości światła Bogowie wykorzystywali wszystkie dziedziny wiedzy naukowej, a większość udostępnionych przez nich teorii i technik przekraczała ludzkie zdolności pojmowania. Samo zrozumienie ich podstaw wymagałoby od naukowców być może nawet pół wieku pracy. Początkowo pełni nadziei starali się wyszukać w materiałach otrzymanych od Bogów informacje techniczne na temat kontrolowanej fuzji jądrowej, ale nic takiego w nich nie znaleźli. To akurat łatwo było zrozumieć, bo na przykład współczesna literatura naukowa poświęcona produkcji energii nie zawierała żadnych informacji o krzesaniu ognia za pomocą patyków.

Ten sam problem napotykały inne dziedziny nauki, takie jak informatyka i nauki o życiu (włącznie z sekretem długowieczności). Nawet najwybitniejsi uczeni nie potrafili znaleźć w wiedzy Bogów żadnego sensu. Między nauką Bogów i nauką ludzi ziała ogromna przepaść, nad którą nie dało się przerzucić mostu.

Bogowie, którzy przybyli na Ziemię, nie mogli im w żaden sposób pomóc. Jak powiedział Bóg na sesji nadzwyczajnej Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, było wśród nich niewielu takich, którzy potrafili rozwiązać choćby równanie kwadratowe. Ich statki dryfujące między asteroidami ignorowały wszystkie ludzkie prośby. Ludzie byli jak uczniowie szkoły podstawowej, przed którymi postawiono zadanie opanowania materiału potrzebnego do pracy doktorskiej.

Jednocześnie populacja na Ziemi powiększyła się nagle o dwa miliardy. Były to wyłącznie stare, nieproduktywne jednostki. Większość z nich cierpiała na różne choroby, co stało się dla ludzkiego społeczeństwa

ogromnym obciążeniem. W rezultacie rządy wszystkich krajów musiały wypłacać rodzinom, do których przydzielono Bogów, duże zasiłki. System opieki zdrowotnej i inne usługi publiczne znalazły się na skraju załamania. Gospodarce światowej groził kryzys.

Skończyło się harmonijne współżycie rodziny Qiushenga z Bogiem. Stopniowo zaczęła go traktować jak ciężar, który spadł na nich z nieba, i pogardzać nim, chociaż każdy z innego powodu.

Najbardziej praktyczny i najbardziej zbliżony do podstawowego problemu powód miała Yulian – przez Boga jej rodzina zbiedniała. Jej też Bóg najbardziej się obawiał – miała język cięty jak nóż i przerażała go bardziej niż czarne dziury i supernowe. Kiedy nie ziściło się jej marzenie o prawdziwym komunizmie, stale gderała: „Przed twoim przyjazdem żyło się nam wygodnie. Było dobrze. Teraz jest źle. Wszystko przez ciebie. Mieć kogoś takiego jak ty na karku to prawdziwe nieszczęście”. Gadała tak codziennie, kiedy tylko miała ku temu okazję.

Bóg cierpiał na chroniczne zapalenie oskrzeli. Leczenie tej choroby nie było drogie, ale wymagał stałej opieki, a to z kolei pociągało za sobą stałe wydatki. W końcu pewnego dnia Yulian zabroniła Qiushengowi zabierać Boga do szpitala powiatowego i kupować dla niego lek. Gdy dowiedział się o tym sekretarz powiatowego komitetu partii komunistycznej, przyszedł do domu Qiushenga.

– Musisz płacić za opiekę nad waszym Bogiem – oświadczył Yulian. – Lekarz ze szpitala powiatowego powiedział mi, że z nieleczonego zapalenia oskrzeli może się rozwinąć rozedma płuc.

– Jeśli chcecie go leczyć, to musi za to płacić wieś albo rząd! – krzyknęła Yulian. – Nie śpimy na pieniądzach!

– Yulian, zgodnie z ustawą o wspieraniu Bogów koszty tego rodzaju drobnych zabiegów medycznych ponosi rodzina, u której przebywa. Jest to

wliczone w zapomogę rządową.

– Ta zapomoga to nędzne grosze!

– Nie mów tak. Kiedy zaczęliście ją otrzymywać, kupiliście krowę mleczną i nowy, duży, kolorowy telewizor, podłączyliście się też do gazu! I mówisz mi, że nie masz pieniędzy na lekarza dla Boga? Wszyscy wiedzą, że w waszej rodzinie twoje słowo jest święte. Postawię sprawę jasno: pomagam ci teraz zachować twarz, ale nie igraj z losem. Następnym razem to nie ja będę ci to tłumaczyć, ale Powiatowy Komitet Wsparcia dla Bogów. Wtedy dopiero napytasz sobie kłopotów.

Yulian nie miała wyboru i musiała wznowić płacenie za opiekę medyczną nad Bogiem. Ale jej stosunek do niego stał się jeszcze gorszy.

Pewnego razu Bóg jej powiedział:

– Nie denerwuj się tak. Ludzie są bardzo bystrzy i szybko się uczą. Już za jakieś sto lat będą mogli wykorzystać najłatwiejsze aspekty naszej nauki. Wtedy wasze życie się polepszy.

– Niech to szlag! *Za całe sto lat*. I mówisz, że „już za sto lat”. Czy ty się w ogóle słyszysz?

Yulian zmywała naczynia i nawet nie spojrzała na Boga.

– To bardzo krótko.

– Dla ciebie! Myślisz, że będę żyła tak długo jak ty? Za sto lat nie znajdziesz nawet moich kości! Ale chcę cię o coś zapytać: jak myślisz, jak długo jeszcze pożyjesz?

– Och, jestem jak świeczka na wietrze. Będę bardzo zadowolony, jeśli pociągnę jeszcze ze trzysta czy czterysta lat.

Yulian rzuciła cały stos talerzy na ziemię.

– „Wsparcie” nie tak miało działać! Myślisz, że nie tylko ja powinnam poświęcić całe życie na opiekę nad tobą, ale także mój syn, wnuk i cała rodzina przez dziesięć pokoleń? Dlaczego wreszcie nie umrzesz?

Co do ojca Qiushenga, to uważał, że Bóg jest oszustem, i prawdę mówiąc, była to dość powszechna opinia. Naukowcy nie mogli zrozumieć naukowych rozpraw Bogów, więc nie można było potwierdzić ich autentyczności. Może Bogowie zrobili niezły kawał ludzkości. Ojciec Qiushenga miał na poparcie swojej tezy prosty dowód.

– Ty stary szachraju, jesteś obmierzły – powiedział pewnego dnia do Boga. – Jestem za leniwy, żeby cię zdemaskować. Twoje marne sztuczki nie są warte mojego zachodu. Ba, nie są warte zachodu nawet mojego wnuczka.

Bóg zapytał go, co odkrył.

– Zacznę od najprostszej rzeczy. Nasi naukowcy wiedzą, że ludzie pochodzą od małp.

Bóg kiwnął głową.

– Dokładniej od małp człekokształtnych.

– No to jak możesz mówić, że to wy nas stworzyliście? Skoro byliście zainteresowani stworzeniem ludzi, to dlaczego nie stworzyliście nas w obecnej postaci? Po co zadawać sobie trud stworzenia najpierw prymitywnych małp człekokształtnych i przechodzenia przez cały proces ewolucji? To nie ma sensu.

– Człowiek zaczyna jako niemowlę, a potem rośnie, dojrzewa i staje się dorosły. Także cywilizacja zaczyna się od niskiego poziomu ewolucji. Nie da się uniknąć długiej drogi doświadczenia. Prawdę mówiąc, ludzkość zaczęła się od dużo bardziej prymitywnego rodzaju. Wtedy nawet małpy człekokształtne były już bardzo rozwinięte.

– Nie wierzę w te bzdury. No dobra, jest bardziej oczywisty powód. Tak między nami, pierwszy zauważył to mój wnuk. Nasi naukowcy twierdzą, że

na Ziemi istniało życie już trzy miliardy lat temu. Potwierdzasz to?

Bóg skinął głową.

– Zasadniczo to poprawne obliczenie.

– A więc masz trzy miliardy lat?

– Według waszego układu odniesienia tak. Ale w odniesieniu do upływu czasu na naszych statkach mam tylko trzy i pół tysiąca lat. Te statki lecą z prędkością bliską prędkości światła, więc czas płynie na nich dużo wolniej niż u was. Oczywiście zdarzało się, że kilka statków zwalniało i przylatywało na Ziemię, żeby wprowadzić parę poprawek do procesu ewolucji życia. Ale nie wymagało to dużo czasu. Potem te statki znowu przyspieszały do prędkości bliskiej prędkości światła i kontynuowały przeskakiwanie przez upływ czasu tutaj.

– Gówno prawda – odpowiedział z pogardą ojciec Qiushenga.

– Tato, to teoria względności – przerwał mu Qiusheng. – Nasi naukowcy już to udowodnili.

– Względności, psia mać! Ty też robisz ze mnie durnia. To niemożliwe! Czy czas może być jak olej sezamowy i cieknąć z różną prędkością? Nie jestem taki stary, żebym stracił rozum. A ty zgłupiałeś od czytania tych wszystkich książek.

– Mogę ci udowodnić, że czas naprawdę płynie z różną prędkością – powiedział Bóg z tajemniczą miną. Wyjął z kieszeni zdjęcie swojej ukochanej sprzed dwóch tysięcy lat i podał Qiushengowi. – Przyjrzyj mu się dokładnie i zapamiętaj wszystkie szczegóły.

W chwili, gdy Qiusheng spojrzał na zdjęcie, wiedział, że wszystkie zapamięta. Nie mógł ich zapomnieć. Podobnie jak inni Bogowie, kobieta na fotografii miała cechy wszystkich grup etnicznych. Jej skóra była biała jak kość słoniowa, oczy tak żywe, że zdawały się śpiewać. Od razu zauroczyła duszę Qiushenga. Była kobietą wśród Bogów, Bogiem kobiet. Uroda

Bogów olśniewała jak słońce. Ludzie nigdy takiej nie widzieli i nie mogli znieść jej widoku.

– Spójrz na siebie! Aż się ślinisz! – Yulian wyrwała zdjęcie z ręki skamieniałego Qiushenga, ale zanim zdążyła na nie zerknąć, zabrał je teść.

– Daj popatrzeć – powiedział. Podniósł je prawie do samych oczu. Przez długi czas trwał w bezruchu, jakby zdjęcie dawało mu wsparcie.

– Czemu się gapisz z tak bliska? – zapytała pogardliwym tonem Yulian.

– Zamknij się. Nie mam okularów – odparł ojciec Qiushenga, nadal przyciskając twarz do fotografii.

Yulian mierzyła go przez kilka sekund pogardliwym wzrokiem, po czym zacięła usta i poszła do kuchni.

Bóg wziął zdjęcie z rąk ojca Qiushenga, który nie chciał go wypuścić.

– Zapamiętajcie wszystkie szczegóły – polecił. – Pokażę wam je jutro o tej samej porze.

Następnego dnia ojciec i syn niewiele ze sobą rozmawiali. Obaj tak bardzo myśleli o tej młodej kobiecie, że właściwie nie mieli nic do powiedzenia. Yulian była w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle.

W końcu nadszedł czas. Wydawało się, że Bóg o tym zapomniał, i ojciec Qiushenga musiał mu przypomnieć. Wyjął zdjęcie, o którym obaj mężczyźni myśleli przez cały dzień, i podał je najpierw Qiushengowi.

– Przyjrzyj się uważnie. Widzisz w niej jakieś zmiany?

– Właściwie nie – odpowiedział Qiusheng, wpatrując się bacznie. Po chwili coś zauważył. – Aha! Wydaje się, że ma nieco mniej rozchylone usta. Niedużo, tylko trochę. A ten kącik ust…

– Nie masz za grosz wstydu! Tak się gapić na inną kobietę. – Yulian wyrwała mu zdjęcie i znowu zabrał je teść.

– Niech no spojrzę… – Ojciec Qiushenga włożył okulary i dokładnie obejrzał zdjęcie. – Tak, faktycznie ma mniej rozchylone usta. Ale jest tu

bardziej widoczna zmiana, której nie zauważyliście. Spójrzcie na ten kosmyk włosów. Jest bardziej na prawo niż wczoraj.

Bóg wziął od niego zdjęcie.

– To nie fotografia, ale odbiornik telewizyjny.

– Co… telewizor?

– Tak. Teraz odbiera przekaz na żywo z tego statku badawczego lecącego na koniec wszechświata.

– Na żywo? Jak transmisja meczu piłkarskiego?

– Tak.

– A więc… Ta kobieta na zdjęciu żyje! – Qiusheng był tak zdumiony, że opadła mu szczęka.

Nawet oczy Yulian zrobiły się jak orzechy włoskie.

– Tak. Żyje. Ale transmisja dochodzi z opóźnieniem. Statek jest teraz około osiemdziesięciu milionów lat świetlnych od nas, więc ten obraz dociera po osiemdziesięciu milionach lat. Na zdjęciu wygląda tak, jak przed osiemdziesięcioma milionami lat.

– Ten mały przedmiot może odbierać sygnał z tak daleka?

– To urządzenie do zdalnej komunikacji przez przestrzeń kosmiczną wykorzystuje neutrina albo fale grawitacyjne. Sygnał odbierają nasze statki, wzmacniają go, a potem przesyłają do tego telewizora.

– To skarb, prawdziwy skarb! – powiedział ze szczerym uznaniem ojciec Qiushenga. Ale nie było jasne, czy mówi o miniaturowym odbiorniku telewizyjnym, czy o kobiecie na jego ekranie.

Tak czy inaczej, usłyszawszy, że ona żyje, Qiusheng i jego ojciec zapałali do niej głębokim uczuciem. Ten drugi chciał znowu wziąć telewizor do ręki, ale Bóg mu go nie dał.

– Dlaczego ona porusza się na tym obrazie tak wolno?

– Wskutek tego, że czas płynie z różną prędkością. W naszym układzie odniesienia na statkach lecących z prędkością bliskiej prędkości światła płynie tak wolno, że niemal nie czuje się jego przemijania.

– A więc ona nadal może z tobą rozmawiać?

Bóg skinął głową. Wcisnął guzik z tyłu telewizora. Z odbiornika natychmiast wydobył się dźwięk. Był to głos kobiety, ale dźwięk się nie zmieniał, jakby była to stała nuta na końcu piosenki. Bóg patrzył na ekran z miłością.

– Właśnie mówi. Kończy dwa słowa: „Kocham cię”. Dotarcie każdego z nich tutaj zajmuje ponad rok. Trwa to już dwa lata i teraz kończy wymawiać „cię”. Zakończenie całego zdania potrwa jeszcze trzy miesiące. – Bóg przeniósł wzrok z telewizora na niebo nad podwórkiem. – Ma jeszcze dużo do powiedzenia. Będę jej słuchał do końca życia.

Bingbing utrzymywał przez pewien czas poprawne stosunki z Bogiem. Wszyscy Bogowie mieli w sobie coś z dzieci, więc lubił się z nimi bawić i rozmawiać. Ale pewnego dnia Bingbing poprosił Boga, by dał mu swój duży zegarek, a Bóg stanowczo odmówił. Wyjaśnił, że jest to narzędzie do komunikacji z cywilizacją Bogów i że bez niego nie będzie mógł z nimi rozmawiać.

– No proszę! Wciąż myślisz o waszej cywilizacji i rasie! Nigdy nie traktowałeś nas jako swojej prawdziwej rodziny! – rzekł ze złością Bingbing.

Potem nie był już miły dla Boga i stale płatał mu psikusy.

Jedyną osobą w rodzinie, która nadal miała szacunek dla Boga i żywiła wobec niego synowskie uczucia, był Qiusheng. Skończył liceum i lubił czytać. Poza kilkoma ludźmi, którzy dostali się na studia i wyjechali do miasta, był jedyną uczoną osobą we wsi. Ale w domu nie miał nic do gadania. Prawie we wszystkim słuchał żony i spełniał polecenia ojca. Jeśli ich żądania były sprzeczne, siadał w kącie i płakał. Ponieważ był takim mięczakiem, nie mógł chronić Boga.

Rozdział 6

Stosunki między Bogami i ludźmi zepsuły się już tak, że nie dało się ich naprawić.

Do zupełnego rozdźwięku między Bogiem i rodziną Qiushenga doszło po incydencie z makaronem błyskawicznym. Pewnego dnia przed obiadem Yulian wyszła z kuchni z papierową torbą i pytaniem, dlaczego wyparowała połowa makaronu, który kupiła poprzedniego dnia.

– Ja go wziąłem – rzekł cicho Bóg. – Dałem tym ludziom, którzy mieszkają nad rzeką. Nie mieli już prawie nic do jedzenia.

Mówił o miejscu, gdzie zbierali się Bogowie, którzy odeszli od swoich rodzin. Ostatnio we wsi często dochodziło do nękania Bogów. Pewne szczególnie okrutne małżeństwo pobiło i obrzuciło obelgami swojego Boga, a nawet zabrało mu jedzenie. Doprowadzony do ostateczności chciał się utopić w rzece obok wsi, ale na szczęście inni zdołali go powstrzymać.

O tym wydarzeniu zrobiło się głośno. Wieść o nim dotarła do siedziby powiatu i w końcu do wsi przybyła policja z grupą reporterów z telewizji centralnej i regionalnej stacji telewizyjnej i zabrała gospodarzy w kajdankach. Złamali ustawę o wsparciu dla Bogów i mieli spędzić co najmniej dziesięć lat w więzieniu. Był to jedyny akt prawny obowiązujący we wszystkich państwach i wszędzie groziła za jego pogwałcenie taka sama kara.

Po tym incydencie ludzie we wsi stali się ostrożniejsi i przestali w obecności innych niecnie traktować Bogów. Ale jednocześnie incydent

ten jeszcze pogorszył stosunki między wieśniakami i Bogami. W końcu niektórzy Bogowie opuścili swoje rodziny, a za nimi podążyli inni. Od rodzin, do których ich przydzielono w Xicen, odeszła już jedna trzecia Bogów. Ci Bogowie tułacze założyli obóz na polu za rzeką i wiedli tam trudne, spartańskie życie.

Taka sama sytuacja panowała w innych częściach kraju i na całym świecie. Ulice wielkich miast ponownie wypełniły się tłumami bezdomnych Bogów. Ich liczba stale rosła, co wydawało się powtórką koszmaru sprzed trzech lat. Świat pełen ludzi i Bogów stanął w obliczu gigantycznego kryzysu.

– Ha, jesteś bardzo szczodry, stary głupcze! Jak śmiesz jeść nasze jedzenie, skoro oddajesz je innym? – Yulian zaczęła głośno łajać Boga.

Ojciec Qiushenga walnął pięścią w stół.

– Ty idioto! Lubisz tych Bogów znad rzeki? To dlaczego do nich nie dołączysz?

Bóg siedział przez chwilę w milczeniu i myślał. Potem wstał, poszedł do swojej izdebki i spakował swój skromny majątek. Podpierając się bambusową laską, powoli wyszedł z domu i ruszył nad rzekę.

Qiusheng nie siadł z rodziną do stołu. Siedział skulony w kącie, ze spuszczoną głową, i się nie odzywał.

– Hej, głupku! Chodź tutaj i zjedz coś. Po południu musimy jechać do miasta po jedzenie – krzyknęła na niego Yulian. Ponieważ się nie poruszył, wrzasnęła mu do ucha.

– Odejdź – powiedział Qiusheng.

Nie zrobił tego głośno, ale Yulian odskoczyła jak oparzona. Nigdy nie widziała u męża takiej ponurej miny.

– Daj mu spokój – rzekł beztrosko ojciec Qiushenga. – Jeśli nie chce jeść, to jest głupcem.

– Ha, tęsknisz za swoim Bogiem? Skoro tak ci go brakuje, to czemu nie pójdziesz do niego i jego przyjaciół nad rzekę? – Stuknęła go palcem w głowę.

Qiusheng wstał i ruszył na górę do sypialni. Podobnie jak Bóg, spakował swoje rzeczy w węzełek i włożył do worka marynarskiego, którego użył tylko raz, kiedy pojechał do miasta do pracy. Zarzuciwszy go na plecy, wyszedł na zewnątrz.

– Dokąd idziesz? – krzyknęła Yulian, ale Qiusheng ją zignorował. Znowu krzyknęła, ale teraz w jej głosie był strach. – Na jak długo wychodzisz?

– Już nie wrócę – odparł, nie oglądając się.

– Co? Natychmiast wracaj! Masz pstro w głowie? – Ojciec Qiushenga wyszedł za nim na dwór. – Co się z tobą dzieje? Nawet jeśli nie chcesz zostać z żoną i synem, to jak śmiesz zostawiać własnego ojca?

Qiusheng się zatrzymał, ale nie odwrócił.

– A dlaczego mam o ciebie dbać?

– Jak możesz tak mówić? Jestem twoim ojcem! Wychowałem cię. Twoja matka wcześnie umarła. Myślisz, że łatwo mi było wychować ciebie i twoją siostrę? Straciłeś rozum?

Qiusheng w końcu się odwrócił i spojrzał na ojca.

– Skoro możesz wyrzucić z domu przodków naszych przodków, to myślę, że nie popełnię dużego grzechu, jeśli nie wspomogę cię na starość.

Odszedł, zostawiając Yulian i ojca z otwartymi ustami.

Qiusheng przeszedł po starym kamiennym moście łukowym i ruszył w stronę namiotów Bogów. Widział, że ustawili garnek na porośniętej trawą i usianej złotymi liśćmi polanie, aby coś ugotować. W ich siwych brodach

i białej parze unoszącej się z garnka odbijało się południowe słońce, co wyglądało jak scena z jakiegoś starego mitu.

Qiusheng odnalazł swego Boga i powiedział rezolutnie:

– Chodźmy, dziadku Boże.

– Nie wrócę do tamtego domu.

– Ja też nie. Chodźmy do miasta. Zostaniemy na pewien czas u mojej siostry. Potem pojadę do wielkiego miasta, znajdę pracę i wynajmiemy pokój. Będę cię wspierał przez resztę życia.

– Jesteś dobrym dzieckiem – rzekł Bóg, poklepując go lekko po ramieniu. – Ale na nas już czas. – Wskazał na swój zegarek.

Teraz Qiusheng zobaczył, że zegarki wszystkich Bogów błyskają czerwonym światłem.

– Czas? Dokąd chcecie iść?

– Wracamy na statki – powiedział Bóg, wskazując na niebo.

Qiusheng podniósł głowę i zobaczył, że w górze unoszą się już dwa statki, wyraźnie widoczne na niebieskim tle. Jeden wisiał bliżej, więc wyglądał potężnie. Drugi był daleko za nim, dlatego wydawał się mniejszy. Ale najdziwniejsze było to, że z pierwszego spuszczona była na ziemię lina cienka jak przędza pajęcza. Kiedy wolno dryfowała w powietrzu, jaskrawe światło słońca lśniło na niej jak błyskawica na jasnobłękitnym niebie.

– To winda kosmiczna – wyjaśnił Bóg. – Spuszczono ich już ponad sto na każdy kontynent. Wjedziemy nimi na statki.

Później Qiusheng się dowiedział, że gdy statek opuszczał windę kosmiczną z orbity geostacjonarnej, musiał mieć dużą masę z przeciwnej strony, która działała jak przeciwwaga. Tę funkcję pełnił drugi statek.

Gdy jego wzrok przystosował się do jasności nieba, Qiusheng zobaczył w oddali więcej srebrzystych gwiazd. Były rozmieszczone bardzo

równomiernie i tworzyły ogromną matrycę. Qiusheng zrozumiał, że dwadzieścia tysięcy statków Bogów wraca z pasa Andromedy na Ziemię.

Rozdział 7

Dwadzieścia tysięcy statków kosmicznych znowu zapełniło niebo nad Ziemią. W następnych dwóch miesiącach opuszczały się z nich kapsuły z windami kosmicznymi i zabierały dwa miliardy Bogów, którzy przez krótki czas mieszkali na Ziemi. Kapsuły te były srebrzystymi kulami. Z daleka wyglądały jak krople rosy wiszące na niciach pajęczych.

W dniu, w którym odlatywali Bogowie Xicen, żegnali ich wszyscy wieśniacy. Odnosili się do nich życzliwie i wspominali dzień sprzed roku, kiedy Bogowie do nich przybyli. Zachowywali się tak, jakby przez cały ten czas ich nie upokarzali i nie okazywali im pogardy.

Przed wjazdem do wsi zaparkowały dwa autobusy, te same, które rok wcześniej przywiozły tam Bogów. Miały zabrać ich ponad setkę do najbliższej windy kosmicznej, a ta zawieźć ich do kapsuł. Srebrna nić, którą było widać w oddali, znajdowała się w rzeczywistości setki kilometrów od wsi.

Cała rodzina Qiushenga odprowadziła swego Boga. Po drodze nikt nic nie mówił. Gdy doszli do wyjazdu ze wsi, Bóg się zatrzymał, oparł na lasce i powiedział:

– Proszę, zostańcie tutaj. Dziękuję wam za całoroczną opiekę. Naprawdę dziękuję. Bez względu na to, w jakim miejscu wszechświata się znajdę, zawsze będę o was pamiętał. – Potem zdjął z ręki zegarek i dał Bingbingowi. – To prezent.

– Ale… jak będziesz się w przyszłości komunikował z innymi Bogami? – zapytał Bingbing.

– Wszyscy będziemy na statkach. Już go nie potrzebuję – odparł Bóg ze śmiechem.

– Dziadku Boże – odezwał się ojciec Qiushenga ze smutną miną – wasze statki są stare. Nie wytrzymają długo. Gdzie się wtedy podziejecie?

Bóg pogładził się po brodzie i rzekł spokojnie:

– To nieważne. Przestrzeń kosmiczna nie ma granic. Śmierć jest wszędzie taka sama.

Yulian zaczęła nagle płakać.

– Dziadku Boże, ja… ja nie jestem zbyt dobrą osobą. Nie powinnam była wylewać na ciebie żalu, który nagromadziłam przez całe życie. Jak powiedział Qiusheng, zachowywałam się tak, jakbym nie miała sumienia. – Wsunęła Bogu do ręki bambusowy koszyk. – Rano ugotowałam parę jajek. Weź je, proszę, na drogę.

– Dziękuję – odpowiedział Bóg. – Potem wyjął jedno jajko, obrał ze skorupki i zaczął jeść, rozkoszując się smakiem. Wkrótce jego siwą brodę pokryły drobinki żółtka. Jedząc, mówił dalej: – Właściwie przybyliśmy na Ziemię nie tylko dlatego, żeby przetrwać. Żyjemy już dwa czy trzy tysiące lat, więc dlaczego mamy się bać śmierci? Po prostu chcieliśmy być z wami. Podoba się nam wasze pragnienie życia, wasza kreatywność, wyobraźnia. Z naszej cywilizacji te rzeczy zniknęły dawno temu. Widzieliśmy w was naszą młodość. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że sprawimy wam taki kłopot. Przepraszamy was z całego serca.

– Dziadku, proszę, zostań – powiedział Bingbing i rozpłakał się. – Obiecuję, że będę dla ciebie lepszy.

Bóg wolno pokręcił głową.

– Nie odlatujemy dlatego, że nas źle traktowaliście. Wystarczyło, że nas przyjęliście. Ale nie możemy tu dłużej zostać z jednego powodu: w waszych oczach jesteśmy żałośni. Litujecie się nad nami. Och, *litujecie* się nad nami. – Bóg odrzucił resztki skorupki. Zwrócił twarz w stronę nieba i patrzył, jakby przewiercał wzrokiem jego błękit i widział jasne morze gwiazd. – Jak ludzie mogą się litować nad cywilizacją Bogów? Nie macie pojęcia, jaka była wielka. Nie wiecie, jakie wspaniałe stworzyła poematy, ilu niepojętych rzeczy dokonała. W 1857 roku, w erze Drogi Mlecznej, nasi astronomowie odkryli, że duża liczba gwiazd przesuwa się ku jej środkowi. Gdyby pochłonęła je znajdująca się tam wielka czarna dziura, powstałe wskutek tego promieniowanie zabiłoby wszelkie życie w Galaktyce. Aby temu zapobiec, by życie i cywilizacja w Galaktyce nadal trwały, nasi wielcy przodkowie zbudowali wokół jej centrum tarczę mgławicową o średnicy dziesięciu tysięcy lat świetlnych. Jakież to było wspaniałe osiągnięcie inżynierii kosmicznej! Utworzenie tego pola zajęło nam ponad tysiąc czterysta lat… Zaraz potem Galaktyka Andromedy i Wielki Obłok Magellana połączyły siły i najechały na naszą galaktykę. Flota międzygwiezdna naszej cywilizacji przeskoczyła setki tysięcy lat świetlnych i przechwyciła statki napastników w grawitacyjnym punkcie równowagi między Andromedą i Drogą Mleczną. W kulminacyjnym momencie bitwy duża liczba statków obu stron zmieszała się i utworzyła mgławicę spiralną wielkości Układu Słonecznego. W ostatnim stadium tej walki cywilizacja Bogów podjęła śmiałą decyzję i posłała wszystkie pozostałe statki wojenne, a nawet flotę cywilną, w tę spiralę. Wielki wzrost masy sprawił, że grawitacja przewyższyła siłę odśrodkową i cała mgławica utworzona przez statki i ludzi zapadła się i utworzyła gwiazdę! Ponieważ przeważały w niej pierwiastki ciężkie, zaraz po narodzinach gwiazda stała się supernową i rozświetliła głęboką ciemność między Andromedą i Drogą

Mleczną! Tak oto dzięki swej odwadze i poświęceniu nasi przodkowie zniszczyli najeźdźców i Droga Mleczna pozostała miejscem, gdzie mogło w spokoju rozkwitać życie…

Owszem – ciągnął Bóg – nasza cywilizacja się zestarzała. Ale nie ponosimy za to winy. Każda cywilizacja, choćby nie wiem jak się starała do tego nie dopuścić, musi się kiedyś zestarzeć. Wszyscy się starzeją, nawet wy. Naprawdę nie potrzebujemy waszej litości.

– W porównaniu z wami rodzaj ludzki nic nie znaczy – powiedział z podziwem Qiusheng.

– Nie mów tak – odparł Bóg. – Ziemska cywilizacja jest wciąż w powijakach. Mamy nadzieję, że szybko dorośniecie. Ufamy, że odziedziczycie i będziecie kontynuować chwałę waszych stwórców. – Bóg odrzucił laskę. Położył dłonie na ramionach Bingbinga i Qiushenga. – Mam dla was ostatnie przesłanie.

– Może nie zrozumiemy wszystkiego, co powiesz – rzekł Qiusheng – ale mów. Wysłuchamy cię.

– Przede wszystkim musicie porzucić tę skałę! – Bóg wyciągnął ręce ku przestrzeni kosmicznej. Jego biała szata powiewała na wietrze jak żagiel.

– Dokąd mamy się udać? – zapytał skonfundowany Qiusheng.

– Zacznijcie od lotów na inne planety w waszym Układzie Słonecznym, a potem polećcie na inne gwiazdy. Nie pytaj dlaczego, ale musicie poświęcić całą energię na to, by stąd odlecieć, im dalej, tym lepiej. Te wyprawy pochłoną mnóstwo pieniędzy i zginie podczas nich wielu ludzi, ale musicie stąd uciec. Cywilizacja, która zostaje tam, gdzie się narodziła, popełnia samobójstwo! Musicie lecieć w kosmos, znaleźć nowe światy, zbudować na nich nowe domy i rozsiać w Galaktyce swoich potomków jak krople wiosennego deszczu.

– Zapamiętamy to – powiedział Qiusheng, kiwając głową, chociaż ani on, ani reszta jego rodziny właściwie nie zrozumieli słów Boga.

– To dobrze. – Bóg westchnął z zadowoleniem. – A teraz podzielę się z wami sekretem, wielkim sekretem. – Popatrzył niebieskimi oczami na każdego z członków rodziny. Jego spojrzenie było jak powiew zimnego wiatru i serca wszystkich zadrżały. – Macie braci.

Gapili się na niego zupełnie zdezorientowani. W końcu Qiusheng pojął, w czym rzecz.

– Mówisz, że stworzyliście też inne Ziemie?

Bóg powoli skinął głową.

– Tak, inne Ziemie, inne ludzkie cywilizacje. Oprócz waszej były jeszcze trzy. Wszystkie blisko was, w odległości dwustu lat świetlnych. Wy jesteście Ziemią Numer Cztery, najmłodszą.

– Byliście na tych innych Ziemiach? – zapytał Bingbing.

Bóg znowu kiwnął głową.

– Zanim przybyliśmy do was, polecieliśmy na tamte trzy i poprosiliśmy, by nas przyjęli. Najlepsza z tej paczki była Ziemia Numer Jeden. Kiedy dostali nasze materiały naukowe, po prostu nas wygnali. Natomiast Ziemia Numer Dwa wzięła milion naszych zakładników i zmusiła nas do zapłacenia za nich okupu w postaci statków. Kiedy przekazaliśmy im tysiąc naszych jednostek, zorientowali się, że nie potrafią ich obsługiwać. Kazali zakładnikom, by ich tego nauczyli, ale oni też nie wiedzieli, jak się to robi, bo statki były autonomiczne. Więc zabili wszystkich. Ziemia Numer Trzy wzięła już trzy miliony zakładników i zażądała, byśmy uderzyli na Ziemię Numer Jeden i Ziemię Numer Dwa, bo była z nimi w stanie wojny. Oczywiście nawet jedno uderzenie naszych napędzanych antymaterią jednostek zniszczyłoby całe życie na planecie, więc odmówiliśmy, a wtedy też zabili wszystkich jeńców.

– Niewdzięczne dzieci! – krzyknął ze złością ojciec Qiushenga. – Powinniście ich ukarać!

Bóg pokręcił głową.

– Nigdy nie zaatakowalibyśmy cywilizacji, które stworzyliśmy. Jesteście najlepsi z czwórki braci. Dlatego wam o tym mówię. Wasi trzej bracia są urodzonymi najeźdźcami. Nie wiedzą, co to miłość i moralność. Nie możecie sobie nawet wyobrazić ich okrucieństwa i żądzy krwi. Prawdę mówiąc, stworzyliśmy sześć Ziemi. Pozostałe dwie znajdowały się w tych samych układach słonecznych co Ziemia Numer Jeden i Ziemia Numer Trzy. Obie zostały zniszczone przez swych braci. To, że pozostałe trzy Ziemie jeszcze się nawzajem nie zgładziły, wynika tylko z faktu, że ich układy słoneczne dzielą ogromne odległości. Teraz wszystkie trzy wiedzą o istnieniu Ziemi Numer Cztery i mają wasze dokładne współrzędne. A zatem wy musicie ich zniszczyć, zanim oni zniszczą was.

– To zbyt przerażające! – powiedziała Yulian.

– Na razie nie. Faktycznie wasi trzej bracia mają bardziej zaawansowane technologie niż wy, ale nadal nie potrafią latać z szybkością większą od jednej dziesiątej prędkości światła i nie mogą się oddalić o więcej niż trzydzieści lat świetlnych od swoich planet. To, kto z was pierwszy osiągnie zdolność poruszania się z prędkością bliską prędkości światła, jest sprawą życia i śmierci. To jedyny sposób na wydostanie się z więzienia czasoprzestrzeni. Ten, kto pierwszy stworzy tę technologię, przeżyje. Wolniejszych czeka pewna śmierć. To walka o przetrwanie we wszechświecie. Dzieci, nie macie dużo czasu! Weźcie się do wytężonej pracy!

– Czy wiedzą o tym najmądrzejsi i najpotężniejsi na naszym świecie? – zapytał, trzęsąc się, ojciec Qiushenga.

– Tak. Ale nie polegajcie tylko na nich. Przetrwanie cywilizacji zależy od wysiłków wszystkich jednostek. Nawet zwykli ludzie, tacy jak wy, mają do odegrania pewną rolę.

– Słyszysz, Bingbing? – zapytał Qiusheng syna. – Musisz się pilnie uczyć.

– Kiedy z prędkością bliską prędkości światła polecicie w kosmos, by usunąć zagrożenie ze strony waszych braci, będziecie mieli do wykonania jeszcze jedno pilne zadanie: musicie znaleźć kilka planet, na których może się rozwinąć życie, i zasiedlić je prostymi, prymitywnymi formami życia z waszej Ziemi, takimi jak bakterie i algi. Pozwólcie im samym ewoluować.

Qiusheng chciał zadać więcej pytań, ale Bóg podniósł swą laskę i ruszył dalej. W drodze do autobusu towarzyszyła mu cała rodzina. Inni Bogowie siedzieli już w pojeździe.

– Aha, Qiusheng. – Bóg coś sobie przypomniał i zatrzymał się. – Wziąłem ze sobą kilka twoich książek. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. – Rozwiązał worek i pokazał je Qiushengowi. – To twoje podręczniki licealne do matematyki, fizyki i chemii.

– Skądże. Weź je. Ale po co ci one?

Bóg zawiązał worek.

– Do nauki. Zacznę od równań kwadratowych. W długich latach, które mam przed sobą, muszę się czymś zająć. Kto wie, może pewnego dnia postaram się naprawić silniki naszych statków. Co pozwoli nam znowu podróżować z prędkością bliską prędkości światła!

– Tak – powiedział podekscytowany Qiusheng. – Dzięki temu będziecie mogli znowu przeskakiwać przez czas, znaleźć inną planetę i stworzyć na niej cywilizację, która was wspomoże!

Bóg potrząsnął głową, tym razem energicznie.

– Nie, nie, nie. Nie interesuje nas już, żeby ktoś dopomagał nam na starość. Jeśli nadejdzie czas, byśmy umarli, to umrzemy. Chcę się uczyć, bo mam ostatnie życzenie. – Wyjął z kieszeni mały telewizor. Na ekranie jego ukochana sprzed dwóch tysięcy lat wciąż powoli wypowiadała ostatnie słowo dwuwyrazowego zdania. – Chcę się znowu z nią spotkać.

– To dobre życzenie, ale czysta fantazja – rzekł ojciec Qiushenga. – Sam pomyśl. Odleciała dwa tysiące lat temu z prędkością światła. Kto wie, gdzie teraz jest? Nawet jeśli naprawisz wasz statek, jak kiedykolwiek się z nią zrównasz? Sam nam powiedziałeś, że nic nie może podróżować z prędkością większą od prędkości światła.

Bóg wskazał laską niebo.

– W tym wszechświecie możesz spełnić każde swoje marzenie, jeśli jesteś cierpliwy. Chociaż prawdopodobieństwo, że uda mi się spełnić moje pragnienie, jest minimalne, wciąż istnieje. Powiedziałem wam, że świat zrodził się z Wielkiego Wybuchu. Teraz spowolnieniu uległo rozszerzanie się grawitacji. W końcu w ogóle przestanie się rozszerzać i zacznie się kurczyć. Jeśli nasz statek będzie mógł rzeczywiście znowu lecieć z prędkością bliską prędkości światła, to będziemy stale przyspieszać i bez końca zbliżać się do granicznej prędkości. W ten sposób będziemy bez końca przeskakiwać przez czas, aż dotrzemy do ostatnich chwil wszechświata. Do tej pory skurczy się on do bardzo małych rozmiarów, stanie się mniejszy od piłki Bingbinga, będzie maleńki jak punkt. Wtedy wszystko we wszechświecie połączy się ze sobą i ona i ja znowu będziemy razem. – Z oka Boga stoczyła się na jego siwą brodę łza, lśniąc w porannym słońcu. – Wtedy wszechświat stanie się grobem z końca baśni o motylich kochankach, a my dwoje będziemy motylami, które wylecą z tego grobu…

Rozdział 8

Tydzień później przestrzeń nad Ziemią opuścił ostatni statek kosmiczny. Bogowie odlecieli.

Do wsi Xicen wróciło spokojne życie.

Tego wieczoru rodzina Qiushenga siedziała na podwórku i patrzyła na niebo pełne gwiazd. Była połowa jesieni, więc z pól nie dobiegały już odgłosy owadów. Opadłe z drzew liście u ich stóp poruszał słaby wietrzyk. W powietrzu czuło się lekki chłód.

– Lecą tak wysoko. Musi tam wiać silny wiatr, być bardzo zimno… – mruknęła do siebie Yulian.

– Tam nie ma żadnego wiatru – powiedział Qiusheng. – Są w kosmosie, gdzie nie ma nawet powietrza. Ale jest naprawdę zimno. Tak zimno, że w książkach nazywają to „zerem absolutnym”. Poza tym jest bardzo ciemno, nic nie widać. To miejsce, które nie przyśni ci się nawet w najgorszych koszmarach.

Yulian znowu zaczęła płakać. Ale chciała to ukryć pod słowami.

– Pamiętacie te ostatnie dwie rzeczy, o których powiedział nam Bóg? Zrozumiałam tę część o naszym rodzeństwie. Ale potem powiedział, że musimy zasiać bakterie na innych planetach i tak dalej. Tego wciąż nie mogę zrozumieć.

– A ja to rozgryzłem – rzekł ojciec Qiushenga. Pod roziskrzonym gwiazdami niebem otworzył się wreszcie jego wypełniony dotąd głupstwami umysł. Spojrzał na gwiazdy. Przez całe życie miał je nad

głową, ale dopiero tego dnia odkrył, jak naprawdę wyglądają. Owładnęło nim nieznane wcześniej uczucie, jakby dotknęło go coś większego. Chociaż nie stało się jego częścią, wstrząsnęło nim do głębi. Westchnął i powiedział: – Rodzaj ludzki musi zacząć myśleć o tym, kto wspomoże go na starość.

NA WŁASNE OCZY

Prolog

Po dwóch miesiącach nieprzerwanej pracy byłem wyczerpany. Poprosiłem mojego dyrektora o dwa dni urlopu, by wyjechać na jakąś krótką wycieczkę i oczyścić umysł. Zgodził się, ale tylko pod warunkiem że wezmę ze sobą parę oczu. Przystałem na to, więc poszedł ze mną do Centrum Kontroli, żebym je stamtąd zabrał.

Oczy przechowywano w małym pokoiku na końcu korytarza. Naliczyłem około tuzina par. Wręczając mi jedną z nich, dyrektor wskazał głową na duży ekran przed nami i poznał mnie z ich właścicielką, młodą kobietą, chyba świeżo po studiach. Patrzyła na mnie obojętnym wzrokiem. W obszernym skafandrze kosmicznym wydawała się jeszcze drobniejsza, niż prawdopodobnie była. Szczerze mówiąc, wyglądała marnie. Bez wątpienia, siedząc w bezpiecznym zaciszu biblioteki uniwersyteckiej, marzyła o romantycznych wyprawach w przestrzeń kosmiczną, a teraz stanęła twarzą w twarz z piekielną rzeczywistością nieskończonej próżni.

– Bardzo przepraszam za ten kłopot – powiedziała z ukłonem.

Nigdy w życiu nie słyszałem tak łagodnego głosu. Jej słowa zdawały się płynąć jak delikatny powiew wiatru z kosmosu i przekształcać te toporne i masywne stalowe struktury w jedwab.

– Nie ma za co. Cieszę się, że będę miał towarzystwo – odparłem szczerze. – Dokąd chcesz jechać?

– Naprawdę? Jeszcze się nie zdecydowałeś?

Wyglądała na zadowoloną. Ale kiedy mówiła, moją uwagę przyciągnęły dwie osobliwości.

Po pierwsze, każdy komunikat z kosmosu dociera do odbiorcy z opóźnieniem. Nawet transmisje z Marsa dochodzą na Ziemię po dwóch sekundach. Wiadomości z pasa asteroid potrzebują jeszcze więcej czasu. Oznaczało to, że kobieta musiała przebywać na niskiej orbicie okołoziemskiej. Skoro nie trzeba było się przesiadać w środku podróży, powrót na powierzchnię byłby szybki i tani. Dlaczego więc chciała, żebym zabrał na wakacje jej oczy?

Drugą rzeczą, która wydawała mi się dziwna, był jej skafander kosmiczny. Jestem astroinżynierem specjalizującym się w wyposażeniu osobistym i jej strój rzucił mi się w oczy z kilku powodów. Przede wszystkim brakowało w nim jakiegokolwiek systemu chroniącego przed promieniowaniem, a wizjer hełmu wiszącego u jej pasa wydawał się nie mieć żadnej osłony przeciwodblaskowej. Również izolacja termiczna skafandra wyglądała na niewiarygodnie zaawansowaną.

– Na jakiej ona jest stacji? – zapytałem, spoglądając na dyrektora.

– Nie pytaj – odparł z ponurą miną.

– Daj temu spokój – zawtórowała mu młoda kobieta na ekranie tak pokornie, że poruszyło to czułą strunę w moim sercu.

– Chyba nie przebywasz w zamknięciu? – zażartowałem.

Pokój, który pokazywał monitor, wydawał się niesamowicie ciasny. Najwyraźniej był to jakiś kokpit. Wokół niej pulsował i mrugał lampkami skomplikowany zestaw systemów nawigacyjnych, ale nie mogłem dostrzec żadnych okien ani nawet ekranów. Jedynym widocznym świadectwem tego, że znajdowała się w przestrzeni kosmicznej, był ołówek unoszący się obok jej głowy.

Odniosłem wrażenie, że zarówno ona, jak i dyrektor zesztywnieli na moje słowa.

– Dobrze – powiedziałem szybko. – Nie będę pytał o rzeczy, które nie są moją sprawą. No to dokąd jedziemy? Wybór należy do ciebie.

Podjęcie decyzji sprawiało jej widoczną trudność. Przycisnęła do piersi złożone dłonie w rękawicach i zamknęła oczy.

– Och, to nie jest dla mnie łatwe. Czytałeś *Trzy dni widzenia* Helen Keller? Jeśli tak, to zrozumiesz, o czym mówię!

– Ale nie mamy trzech dni, tylko dwa. Jeśli chodzi o czas, dzisiejsi ludzie są biedni jak mysz kościelna. Z drugiej strony, w porównaniu z Helen Keller jesteśmy szczęściarzami: w trzy godziny mogę zabrać twoje oczy w dowolne miejsce na Ziemi.

– Wobec tego jedźmy w ostatnie miejsce, które odwiedziłam przed misją!

Podała mi jego nazwę. Wyruszyłem z jej oczami w dłoni.

Rozdział 1

Obszar trawiasty

W tym jednym miejscu skupiały się wysokie góry, równinne łąki i lasy. Znajdowałem się dwa tysiące kilometrów od centrum kosmicznego, gdzie pracowałem; podróż jonosferowym odrzutowcem trwała raptem piętnaście minut. Przede mną leżała Takla Makan. Dzięki wysiłkowi wielu pokoleń dawna pustynia przemieniła się w teren zielony. Po kilkudziesięciu latach ścisłej kontroli urodzeń była znowu bezludna.

Trawiasta równina ciągnęła się po horyzont. Zbocza łańcucha górskiego Tienszan za mną porastały zielone lasy. Najwyższe szczyty pokrywał srebrzysty śnieg. Wyjąłem i założyłem jej oczy.

Te „oczy” były w rzeczywistości parą okularów multisensorycznych. Kiedy się je założy, sygnały radiowe fal ultra wielkiej częstotliwości przesyłają widoki oglądane przez tego, kto je nosi. Tę transmisję może odbierać inna osoba w identycznych okularach multisensorycznych, co pozwala jej widzieć wszystko to, co widzi ta pierwsza, zupełnie jakby miała ona oczy odbiorcy.

Na Księżycu i w pasie asteroid pracowały przez okrągły rok miliony ludzi. Cena wakacji na Ziemi była – przepraszam za kalambur – astronomiczna i dlatego biuro przestrzeni kosmicznej, mimo swego skąpstwa, opracowało ten gadżet. Każdy astronauta mieszkający

w kosmosie miał na planecie odpowiednią parę okularów. Zakładali je ci, którzy mieli szczęście mieszkać na Ziemi i mogli się wybrać na prawdziwe wakacje, co umożliwiało tęskniącym za domem pracownikom stacji kosmicznych przeżywanie radości wypraw razem z nimi.

Początkowo wyśmiewano się z tych urządzeń, ale kiedy osoby, które zgadzały się je nosić, zaczęły otrzymywać znaczne subsydia na podróże, stały się one bardzo popularne. Dzięki stałemu modyfikowaniu z użyciem najnowocześniejszych technologii sztuczne oczy były coraz doskonalsze. Obecne modele przekazywały nawet, poprzez monitorowanie fal mózgowych ich nosicieli, doznania dotykowe i zapachowe. Wśród zatrudnionych w przemyśle kosmicznym pracowników ziemskich zabranie ze sobą na wakacje pary oczu stało się aktem służby publicznej. Jednak nie wszyscy się na to zgadzali i mówili na swoje usprawiedliwienie, że narusza to ich prawo do prywatności. Ja nie miałem z tym żadnego problemu.

Widok rozpościerający się przed moimi oczami wydobył z mojej piersi głębokie westchnienie, natomiast z jej oczu dobiegł cichy szloch.

– Od czasu ostatniej wycieczki śniłam o tym miejscu. Teraz zanurzyłam się z powrotem w moich snach – rozległ się jej łagodny głos. – Czuję się, jakbym wypływała z głębi oceanu, jakbym chwytała pierwszy haust powietrza. Nie chcę przebywać w zamknięciu.

I rzeczywiście słyszałem, że bierze długie, głębokie oddechy.

– Ale przecież wcale nie znajdujesz się w zamknięciu. W porównaniu z ogromem otaczającej cię przestrzeni kosmicznej zamknięciem mogłaby być ta trawiasta równina.

Umilkła. Wydawało się, że ustał nawet jej oddech.

– Oczywiście w przestrzeni kosmicznej ludzie przebywają w zamknięciu – ciągnąłem, choćby po to, żeby przerwać milczenie. – Są, jak opisał Chuck Yeager astronautów biorących udział w programie Merkury, jak…

– Wieprzowina w puszce – dokończyła za mnie.

Oboje się roześmialiśmy. Nagle zawołała z zaskoczeniem:

– Och, kwiaty! Widzę kwiaty! Ostatnim razem ich tu nie było! – Faktycznie szeroką równinę ozdabiały niezliczone małe kwiatki. – Mogę się przyjrzeć temu, który rośnie obok ciebie?

Przykucnąłem i spojrzałem w dół.

– Och, jaki piękny! Możesz go powąchać? Nie, nie zrywaj!

Nie mając wyboru, musiałem się położyć niemal płasko na brzuchu, by poczuć lekki zapach kwiatka.

– Ach, ja też czuję tę woń! Zupełnie jakby śpiewał nam subtelną sonatę.

Potrząsnąłem ze śmiechem głową. W epoce stale zmieniających się mód i ustawicznego poszukiwania nowych doznań większość młodych kobiet była niespokojna i impulsywna. Tak wrażliwe jak ten konkretny okaz, które poruszał do łez widok kwiatka, były nieliczne.

– Nazwijmy go jakoś, dobrze? Hmm… Nazwiemy go Senny. A ten? Jaką nadamy mu nazwę? Eee… Kropla Deszczu brzmi dobrze. Przejdźmy teraz do tego tam. Dzięki. Ma jasnoniebieskie płatki, więc będzie się zwał Promień Księżyca.

I tak przechodziliśmy od kwiatka do kwiatka, najpierw go oglądaliśmy, potem wąchaliśmy i na koniec nadawaliśmy mu nazwę. Całkowicie urzeczona, oddawała się temu bezgranicznie, zapomniawszy o wszystkim innym. Jednak mnie ta głupia zabawa śmiertelnie znużyła, ale zanim powiedziałem „dość”, zdążyła nazwać ponad setkę.

Podniósłszy głowę, zorientowałem się, że przeszliśmy spory kawałek, wróciłem więc po plecak. Gdy się po niego schyliłem, usłyszałem przestraszony krzyk:

– Och, nie! Przydepnąłeś Płatek Śniegu!

Ostrożnie wyprostowałem blady kwiatek. Cała sytuacja wydała mi się nagle komiczna. Zacząłem zakrywać kwiaty obiema rękami i pytać:

– Jak się nazywają? Jak wyglądają?

– Ten po lewej to Kryształ. Też jest biały i ma trzy listki na łodyżce. Po prawej mamy Płomyk. Jest różowy i ma cztery listki. Dwa górne rosną oddzielnie, a dwa dolne są połączone.

Wymieniła ich nazwy i opisała je bezbłędnie. Prawdę mówiąc, byłem tym nieco poruszony.

– Widzisz? Znamy każdy. Przez nadchodzące długie dni będę o nich myślała bez przerwy. To będzie jak opowiadanie pięknej baśni. Ten twój świat jest absolutnie cudowny!

– Ten mój świat? On jest także twój! Jeśli będziesz się nadal zachowywała jak zmienne w nastrojach dziecko, pracujący w przestrzeni kosmicznej psycholodzy freudowscy zadbają o to, żebyś pozostała przez resztę życia w tej – jak to nazywają – fazie analnej.

Zacząłem bez celu włóczyć się po równinie. Niedługo natrafiłem na ukryty w gęstej trawie wąski strumyk. Chciałem iść dalej, ale jej głos mnie zawrócił.

– Bardzo chcę zanurzyć dłonie w tym strumyku.

Przykucnąłem i włożyłem obie ręce do wody. Poczułem przepływającą przez całe ciało falę chłodu. Wiedziałem, że i ona ją poczuła, bo fale ultra wielkiej częstotliwości poniosły to doznanie w dalekie zakątki kosmosu.

– Tam, gdzie teraz przebywasz, jest gorąco? – zapytałem. Myślałem o tej ciasnej kabinie i dziwnym systemie izolacji w jej skafandrze.

– Gorąco? – powtórzyła. – Żar jak w piekle! – Ton jej głosu się zmienił. – Hej, a to co? Wiatr stepowy? – Wyjąłem ręce z wody i w łagodnych powiewach czułem chłód na mokrej skórze. – Nie, nie ruszaj się! Ten wiatr jest boski!

Podniosłem ręce i trzymałem je w górze, dopóki nie wyschły. Na jej prośbę ponownie zanurzyłem je w wodzie i wystawiłem na wiatr. Znowu było to boskie uczucie i ponownie opanowało nas oboje. Oddawaliśmy się mu przez długą chwilę.

Potem ruszyłem dalej i przez pewien czas szedłem w ciszy. Usłyszałem jej szept:

– Ten twój świat jest naprawdę wspaniały.

– Nie wiem. Wszystko przytłumiła szarość mojego życia.

– Jak możesz tak mówić? Ten świat umożliwia tak wiele przeżyć i doznawanie tak wielu uczuć! Próba opisania ich wszystkich byłaby czymś takim jak próba policzenia kropel deszczu podczas ulewy. Spójrz na te chmury na horyzoncie, wszystkie są srebrnobiałe. W moich oczach wyglądają jak ciała stałe, jak wyniosłe góry z błyszczącego jadeitu. Natomiast łąka w dole wygląda jak smuga, jakby cała trawa postanowiła ulecieć z ziemi i stać się zielonym morzem chmur. Spójrz! Spójrz na chmury przepływające na tle słońca! Przyjrzyj się, jak majestatycznie zmieniają się światło i cień padające na łąkę! Naprawdę nic nie czujesz, kiedy widzisz coś takiego?

Przez cały dzień włóczyłem się po tej trawiastej równinie z jej oczami. Słyszałem w jej głosie tęsknotę, kiedy patrzyła na każdy kwiatek, na każde źdźbło trawy, na każdy promień słońca na stepie i słuchała różnych odgłosów tej krainy. Nagły widok strumienia i pływających w nim drobnych rybek wprawiał ją w podniecenie. Niespodziewany powiew wiatru niosącego zapach świeżej trawy doprowadzał ją do łez… Ten świat budził w niej tak wiele uczuć, że zastanawiałem się, czy z jej głową jest wszystko w porządku.

Przed zachodem słońca skierowałem kroki w stronę samotnej białej chaty stojącej w zapomnieniu na równinie. Była to gospoda dla wędrowców, ale

wydawało się, że jestem tam pierwszym gościem od dłuższego czasu. Oprócz mnie znajdował się tam tylko zacinający się android, który doglądał całej gospody. Byłem równie głodny jak zmęczony, ale zanim skończyłem kolację, moja towarzyszka zaproponowała, żebyśmy wyszli na zewnątrz i popatrzyli na zachód słońca.

– Przyglądać się, jak na wieczornym niebie stopniowo znika zorza i nad lasem zapada noc, to tak, jak słuchać najpiękniejszej symfonii we wszechświecie.

Jej głos był pełen zachwytu. Wywlokłem się na ołowianych nogach na dwór, przeklinając w duchu mojego pecha.

– Ty się naprawdę cieszysz tymi pospolitymi rzeczami – powiedziałem jej w drodze powrotnej do chaty. Zapadła już noc i na niebie świeciły gwiazdy.

– A dlaczego ty się nimi nie cieszysz? – zapytała. – To ci daje poczucie, że naprawdę żyjesz.

– Mnie te rzeczy nie sprawiają żadnej przyjemności. Tak samo jak większości ludzi. W dzisiejszych czasach możesz mieć, co chcesz. I nie mówię tylko o sprawach materialnych. Możesz łatwo przenieść się w otoczenie, gdzie jest takie niebieskie niebo i kryształowo czysta woda jak tu. Jeśli chcesz znaleźć spokój i ciszę, jakie panują na wsi czy na odległej wyspie, wystarczy pstryknąć palcami. Nawet miłość. Pomyśl, jak nieuchwytna była dla poprzednich pokoleń i jak rozpaczliwie jej szukali. A teraz możesz ją przeżywać w rzeczywistości wirtualnej, przynajmniej przez kilka chwil. Teraz ludzi nic już nie kręci. Mają na wyciągnięcie ręki tacę pełną owoców i tylko nadgryzają każdy, a potem wszystko wyrzucają.

– Ale nie każdy ma owoce na wyciągnięcie ręki – odpowiedziała cicho.

Czułem, że moje słowa sprawiły jej ból, ale nie wiedziałem dlaczego. Przez resztę drogi już się do siebie nie odzywaliśmy.

Tej nocy widziałem ją we śnie. Była w swoim skafandrze, zamknięta w tej małej kabinie. Miała łzy w oczach. Wyciągnęła do mnie rękę, krzycząc: „Zabierz mnie na dwór! Nie chcę tkwić w zamknięciu!”. Obudziłem się nagle i uświadomiłem sobie, że rzeczywiście mnie wzywała. Patrzyłem w sufit, nadal mając na sobie jej oczy.

– Zabierzesz mnie na zewnątrz? Proszę. Chodźmy zobaczyć księżyc. Powinien już być na niebie!

Niechętnie zwlokłem się łóżka. Wydawało mi się, że mam w głowie piasek. Po wyjściu z chaty odkryłem, że faktycznie wzeszedł już księżyc; nocna mgiełka nadawała mu czerwonawy kolor. Cała równina smacznie spała. W zasnutej mgłą trawie błyszczały niezliczone świetliki, jakby sny Takla Makan zmieniały się w rzeczywistość.

Rozprostowałem kości i powiedziałem w stronę nieba:

– Czy z twojej pozycji na orbicie widzisz, gdzie świeci księżyc? Powiedz, gdzie jesteś, to może nawet uda mi się ciebie dostrzec. Jestem pewien, że twój statek jest na niskiej orbicie okołoziemskiej.

Zamiast mi odpowiedzieć, zaczęła nucić. Po kilku taktach urwała i powiedziała:

– To *Światło księżyca* Debussy’ego.

Potem podjęła na nowo, jakby zapomniała, że nadal słucham albo że w ogóle istnieję. Z orbity na step płynęły zgodnie melodia i światło księżyca. Wyobraziłem sobie tę delikatną dziewczynę w przestrzeni kosmicznej – nad nią srebrny Księżyc, pod nią niebieska Ziemia. Znajdowała się między nimi, mniejsza niż punkcik, a jej piosenka rozpływała się w blasku srebrnego globu…

Kiedy po godzinie wróciłem do łóżka, nadal nuciła. Nie miałem pojęcia, czy to wciąż Debussy, ale było to bez znaczenia. Ta łagodna muzyka sączyła się do moich snów.

Jakiś czas później – nie wiem, jak długo spałem – jej nucenie przeszło w krzyk. Te krzyki wytrąciły mnie ze snu. Znowu chciała wyjść na zewnątrz. Byłem zły.

– Przecież dopiero co patrzyłaś na księżyc.

– Ale teraz jest tam inaczej. Pamiętasz te chmury na zachodzie? Mogły już tu napłynąć. Księżyc będzie się zza nich wychylał i znowu chował. Chcę zobaczyć grę światła i cienia na równinie. Musi to być piękny widok. To jest jak inny rodzaj muzyki. Proszę, zabierz moje oczy na dwór!

Trząsłem się z wściekłości, ale zrobiłem, o co prosiła. Rzeczywiście, nad równinę napłynęły chmury, przez które przeświecał księżyc. Przefiltrowane przez nie jego zamglone światło padało na trawę. Wyglądało to tak, jakby Ziemia pogrążyła się głęboko we wspomnieniach ze starożytności.

– Jesteś jak sentymentalna osiemnastowieczna poetka. Tragicznie nieprzystosowana do współczesnych czasów. W przypadku astronautki to jeszcze gorsze – powiedziałem, patrząc na niebo. Zdjąłem jej oczy i powiesiłem na gałęzi rosnącego nieopodal cedru. – Jeśli chcesz patrzeć na księżyc, możesz to robić sama. Ja naprawdę muszę się przespać. Jutro muszę wracać do centrum kosmicznego i kontynuować moje żałośnie prozaiczne życie.

Z okularów dobiegał jej łagodny szept, ale nie słyszałem już, co mówi. Wróciłem bez słowa do chaty.

Gdy się obudziłem, był już dzień. Niebo zasnuły ciemne chmury, pokrywając Takla Makan lekką mżawką jak całunem. Jej oczy nadal wisiały na gałęzi, soczewki były zamglone. Starannie je wytarłem i założyłem. Przypuszczałem, że po całonocnym patrzeniu na księżyc

będzie zdrowo spała, ale usłyszałem jej ciche łkanie. Zalała mnie fala współczucia.

– Naprawdę przepraszam, że w nocy odszedłem – powiedziałem. – Byłem za bardzo zmęczony.

– Nie, to nie przez ciebie – odparła przez szloch. – O wpół do trzeciej niebo się zachmurzyło, a po piątej zaczął padać deszcz…

– W ogóle nie spałaś? – niemal krzyknąłem.

– Zaczęło padać, a ja i… i nie widziałam wschodzącego słońca – wykrztusiła. – Bardzo chciałam zobaczyć wschód słońca nad tą równiną. Bardziej niż cokolwiek innego…

Moje serce stopniało. Jej łzy płynęły przez moje myśli i wyobrażałem sobie, jak marszczy się jej nosek, gdy tak chlipie. Prawdę mówiąc, sam miałem wilgotne oczy. Musiałem przyznać, że minionej doby czegoś mnie nauczyła, chociaż nie wiedziałem, co to jest. Było to mgliste jak światło i cień przesuwające się nad tą trawiastą równiną. Dzięki temu moje oczy widziały teraz inny świat niż przedtem.

– Będzie jeszcze niejeden wschód słońca. Na pewno zabiorę wtedy twoje oczy, żebyś go zobaczyła. A może zobaczysz go osobiście. Co ty na to?

Jej łkanie ustało. Nagle wyszeptała:

– Posłuchaj…

Nic nie słyszałem, ale się naprężyłem.

– To pierwszy poranny ptak. Ptaki śpiewają nawet wtedy, kiedy pada deszcz.

Miała tak poważny głos, jakby słuchała bicia dzwonów oznajmiających koniec pewnej epoki.

Rozdział 2

Zachód Słońca 6

Kiedy wróciłem do mojego szarego życia i zaprzątającej mnie pracy, pamięć o tym doświadczeniu szybko zblakła. Gdy jakiś czas później wziąłem się do prania rzeczy, które nosiłem na tej wycieczce, znalazłem za mankietami spodni kilka ziarenek trawy. Tymczasem w głębinach mojej nieświadomości cały czas spoczywało inne ziarno. Zdążyło już nawet wykiełkować na samotnej pustyni mojej duszy, chociaż wypuściło ledwie widoczne pędy. Może robiłem to nieświadomie, ale pod koniec każdego wyczerpującego dnia roboczego czułem na twarzy naturalną poezję wieczornego wietrzyka. Moją uwagę przyciągał śpiew ptaków. Stawałem nawet o zmierzchu na wiadukcie i patrzyłem, jak miasto spowija noc… Świat nadal wydawał mi się ponury, ale teraz przetykany był plamami bujnej zieleni, których liczba stale się zwiększała. Kiedy zacząłem dostrzegać te rzeczy, wróciłem myślami do niej.

Zaczęła się w nich pojawiać, gdy nie byłem zajęty, i w snach. Za każdym razem widziałem tę ciasną kabinę i ten skafander z dziwną izolacją… Później to wszystko ulotniło się z mojej świadomości. Z tej pustki wystawała tylko jedna rzecz – ołówek dryfujący w zerowej grawitacji wokół jej głowy. Z jakiegoś powodu, gdy tylko zamknąłem oczy, widziałem, jak unosi się przede mną.

Pewnego dnia, gdy wszedłem do wielkiego holu centrum kosmicznego, mój wzrok nagle przyciągnął mural, który wcześniej mijałem setki razy. Przedstawiał Ziemię widzianą z przestrzeni kosmicznej, klejnot o barwie najgłębszego błękitu. I znowu oczyma duszy zobaczyłem przed sobą ten unoszący się w powietrzu ołówek, ale tym razem nałożył się on na ten mural. Ponownie usłyszałem jej głos:

„Nie chcę przebywać w zamknięciu”.

Nagle doznałem olśnienia. Kosmos nie był jedynym miejscem o zerowej grawitacji!

Jak wariat wbiegłem po schodach na górę i załomotałem w drzwi gabinetu dyrektora. Nie było go tam. Wiedziony przeczuciem pognałem do tego pokoiku, w którym przechowywano oczy. Stał tam dyrektor i gapił się na tę dziewczynę, widoczną na dużym monitorze. Nadal znajdowała się w ciasnej kabinie i nadal miała na sobie ten „skafander kosmiczny”. Obraz był nieruchomy, prawie na pewno było to nagranie.

– Przypuszczam, że przyszedłeś tu z jej powodu – powiedział, nie odrywając oczu od ekranu.

– Gdzie ona jest? – W tym małym pomieszczeniu mój głos zabrzmiał jak grom.

– Może już sam się domyśliłeś. Jest nawigatorką *Zachodu Słońca 6*.

Moje mięśnie zwiotczały i osunąłem się na podłogę. Teraz wszystko stało się jasne.

W ramach programu Zachód Słońca planowano pierwotnie wysłać dziesięć statków, od *Zachodu Słońca 1* do *Zachodu Słońca 10*, ale po katastrofie szóstego z nich program zarzucono.

Jak wiele wcześniejszych był to program misji badawczych. Stosowano w nim te same podstawowe procedury co w innych misjach badawczych podejmowanych przez centrum kosmiczne. Była tylko jedna różnica –

statki z programu Zachód Słońca nie latały w przestrzeń kosmiczną. Budowano je tak, by penetrowały głębiny wnętrza Ziemi.

Półtora wieku po pierwszym locie w kosmos ludzkość rozpoczęła wyprawy w przeciwnym kierunku. Pierwszą próbą tej formy eksploracji były misje statków z serii Zachód Słońca.

Cztery lata wcześniej oglądałem w telewizji start *Zachodu Słońca 1*. Była późna noc. Kula ognia, która zapłonęła w Kotlinie Turfańskiej, była tak jasna, że chmury na nocnym niebie nad Xinjiangiem zalśniły wspaniałymi kolorami świtu. Kiedy światło zgasło, *Zachód Słońca 1* był już pod ziemią. W środku koła rozżarzonej do czerwoności ziemi widniało jezioro płynnej magmy. Rozpalona biała lawa kłębiła się i gotowała, jej słupy strzelały w powietrze… Kiedy terrastatek przekopywał się przez wewnętrzne warstwy planety, wstrząsy odczuwano aż w Urumczi.

Każda z pierwszych pięciu wypraw w głąb Ziemi zakończyła się sukcesem i podziemne statki powróciły bezpiecznie na jej powierzchnię. *Zachód Słońca 5* ustanowił rekord – zszedł trzy tysiące sto kilometrów pod powierzchnię planety. Załoga *Zachodu Słońca 6* nie miała zamiaru pobić tego rekordu, i nie bez powodu. Współcześni geofizycy doszli do wniosku, że granica między płaszczem i rdzeniem Ziemi znajduje się na głębokości od trzech tysięcy czterystu do trzech tysięcy pięciuset kilometrów, a miejsce ich zetknięcia nosi naukową nazwę „nieciągłości Gutenberga”. Przekroczenie tej granicy oznaczało wejście do składającego się z żelaza i niklu jądra planety. Wtedy gęstość otaczającej statek materii wzrosłaby wykładniczo do poziomu, który przekraczał zdolność poruszania się *Zachodu Słońca 6*.

Wyprawa zaczęła się bez zakłóceń. Przejście przez zwaną Moho warstwę między skorupą i płaszczem Ziemi zajęło terrastatkowi dwie godziny. Po

pięciogodzinnym odpoczynku na opadającej płycie euroazjatyckiej zaczął podróż przez gruby na ponad trzy tysiące kilometrów płaszcz.

Astronauci mogą się czuć samotni, ale przynajmniej widzą nieskończoność przestrzeni kosmicznej i majestat gwiazd. Natomiast terranauci podróżujący przez warstwy planety nie mogą się kierować niczym oprócz stale wzrastającej gęstości skał. Zerkając w holograficzne monitory wsteczne, widzieli tylko oślepiający żar wrzącej magmy, którą statek pozostawiał za sobą. Gdy zanurzał się głębiej, magma łączyła się za jego rufą, zamykając tunel, który przed chwilą wydrążył.

Jedna z terranautek opisała, jakie to robi wrażenie. Za każdym razem, gdy ona i inni członkowie załogi zamykali oczy, widzieli, jak zbiera się wokół nich magma, spycha statek w dół i zamyka go ze wszystkich stron. Obraz ten prześladował ich jak fantom i cały czas przypominał im o stale rosnącym ogromie materii napierającej na statek. Osobom przebywającym na powierzchni trudno zrozumieć to uczucie klaustrofobii, ale jest ono torturą dla każdego bez wyjątku terranauty.

Zachód Słońca 6 wykonywał swoje zadania badawcze śpiewająco. Posuwał się z prędkością około piętnastu kilometrów na godzinę; w tym tempie potrzebował dwudziestu godzin na osiągnięcie głębokości docelowej. Jednak piętnaście godzin i czterdzieści minut po rozpoczęciu wyprawy rozległy się dzwonki alarmowe. Radar podpowierzchniowy wychwycił nagły wzrost gęstości w sąsiedztwie statku, która podskoczyła z 6,3 grama na centymetr sześcienny do 9,5 grama. Otaczająca go materia składała się w przeważającym stopniu już nie z krzemu, lecz z żelaza i niklu, i nie była stała, tylko płynna. Mimo że statek dotarł na głębokość zaledwie dwóch i pół tysiąca kilometrów, wszystkie znaki wskazywały na to, że wszedł w rdzeń planety.

Załoga dowiedziała się później, że natrafiła na szczelinę w płaszczu Ziemi, która sięgała aż do jej rdzenia i była wypełniona płynnym żelazem i niklem wydobywającym się z niego pod wpływem wysokiego ciśnienia. Przez tę szczelinę nieciągłość Gutenberga zbliżyła się o tysiąc kilometrów do trasy *Zachodu Słońca 6*. Statek natychmiast podjął kroki w celu zmiany kursu. I właśnie podczas tej próby doszło do prawdziwej katastrofy.

Wzmocniony neutronami kadłub mógł wytrzymać nagły i ogromny wzrost ciśnienia aż do 1600 ton na centymetr sześcienny, ale statek składał się z trzech części: silnika jądrowego na dziobie, kabiny centralnej i silnika na rufie. Gdy próbował zmienić kierunek, wskutek przekraczającego jego parametry operacyjne naporu gęstego płynnego żelaza i niklu pękła sekcja łącząca silnik dziobowy z kabiną główną. Obrazy przesyłane przez neutrinowy komunikator *Zachodu Słońca 6* pokazały, jak przedni silnik odrywa się od kadłuba i zostaje natychmiast pochłonięty przez karmazynowy żar płynnego metalu. Wystrzelił z niego niezwykle gorący strumień, który przeciął materiał przed statkiem. Bez silnika jądrowego tylny silnik zdołał przepchnąć statek przez stałe warstwy planety zaledwie o kilka centymetrów.

Gęstość jądra Ziemi jest oszałamiająca, ale neutronowy kadłub statku miał jeszcze większą gęstość. Ponieważ napór płynnego żelaza i niklu nie przekraczał wyporności statku, *Zachód Słońca 6* zaczął tonąć w jądrze.

Półtora wieku po lądowaniu na Księżycu ludzie mogli w końcu wysłać wyprawę na Merkurego. Przewidywano więc, że w takich samych ramach czasowych będziemy mogli odbyć podróż do jądra Ziemi, a tymczasem wszedł tam przypadkowo terrastatek i podobnie jak stało się ze statkiem z ery *Apolla*, który zboczył z kursu i poleciał w głąb przestrzeni kosmicznej, nie było szans na jego uratowanie.

Na szczęście kadłub głównej kabiny był wytrzymały, a nuetrinowy system komunikacji pozostał nieuszkodzony i utrzymywał stałą łączność z centrum kontroli na powierzchni. Przez następny rok załoga *Zachodu Słońca 6* nie ustawała w pracy, nadal wykonywała swoje zadania i wysyłała na powierzchnię strumienie zebranych w jądrze cennych danych.

Pod tysiącami kilometrów skał dostęp powietrza i przetrwanie były najmniejszym z ich zmartwień; tym, czego im najbardziej brakowało, była przestrzeń. Bił w nich żar o temperaturze ponad pięciu tysięcy stopni Celsjusza i przygniatało ich ciśnienie, które w ciągu kilku sekund mogło przemienić węgiel w diament. Przez niezwykle gęsty materiał, w którym spoczywali jak w grobowcu, mogły przeniknąć tylko neutrina. Statek został na zawsze uwięziony w gigantycznym palenisku płynnego metalu. Dla jego załogi *Piekło* Dantego było opisem raju. Co znaczyło życie w takim świecie? Czy można je określić innym słowem niż „kruche”?

Ogromna presja psychiczna zszarpała nerwy członków załogi *Zachodu Słońca 6*. Pewnego dnia geolog po przebudzeniu zeskoczył z koi i otworzył chroniące przed gorącem drzwi swojej kajuty. Mimo że za nimi były cztery inne, fala nieznośnego żaru, która się tam wdarła, w jednej chwili spaliła go na węgiel. Chcąc zapobiec zniszczeniu całego statku, dowódca rzucił się do drzwi, by je zamknąć. Chociaż udało mu się to zrobić, doznał poważnych oparzeń. Umarł po dokonaniu ostatniego wpisu w dzienniku pokładowym.

Zachód Słońca 6 kontynuował podróż przez najciemniejsze głębiny planety z jedynym ocalałym członkiem załogi.

W tym czasie w jego wnętrzu zapanowała całkowita nieważkość. Pogrążył się na głębokość sześciu tysięcy ośmiuset kilometrów, największą na planecie. Ostatnia pozostała na nim terranautka stała się pierwszą osobą na Ziemi, która dotarła do środka jądra planety.

Jej cały świat skurczył się do rozmiarów ciasnej i dusznej kabiny. Miała do dyspozycji niespełna dziesięć metrów kwadratowych. Pokładowa para neutrinowych okularów pozwalała jej na pewien kontakt zmysłowy z powierzchnią. Ta lina ratunkowa miała się jednak niebawem zerwać, bo zasilanie neutrinowego systemu łączności było na wyczerpaniu. Poziom jego mocy był już zbyt niski, by umożliwić superszybki przepływ danych, od których zależało działanie okularów sensorycznych. W istocie system łączności stracił kontakt z powierzchnią trzy miesiące wcześniej, kiedy wracałem samolotem z wakacji na równinie. Jej oczy znajdowały się wtedy w mojej torbie podróżnej.

Tamten mglisty, bezsłoneczny ranek był ostatnim widokiem, który zobaczyła na powierzchni.

Od tamtej pory *Zachód Słońca 6* mógł utrzymywać z powierzchnią jedynie kontakt głosowy i powolne połączenie dla przesyłania danych. Jednak pewnej nocy i on się urwał, a samotna terranautka została na zawsze zamknięta w jądrze planety.

Neutronowa powłoka *Zachodu Słońca 6* była wystarczająco mocna, by wytrzymać ogromne ciśnienie wewnątrz jądra, a w pełni sprawne systemy cyklicznego podtrzymania życia na statku mogły działać jeszcze przez pięćdziesiąt do osiemdziesięciu lat, nawigatorka miała więc pozostać żywa w jądrze Ziemi, w pomieszczeniu tak małym, że mogła w niemal sekundę przebyć odległość od ściany do ściany.

Nie śmiałem nawet wyobrazić sobie jej ostatniego pożegnania ze światem na powierzchni. Jednak gdy dyrektor odtworzył nagranie, byłem zszokowany.

Kiedy przesyłała tę wiadomość, wiązka neutrin była już słaba i jej głos chwilami zanikał, ale słychać w nim było spokój.

„…do mnie wasza ostatnia rada. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by w nadchodzących czasach realizować cały plan badań. Któregoś dnia, może za kilka pokoleń, inny statek może odnajdzie *Zachód Słońca 6* i zacumuje przy nim. Mogę tylko mieć nadzieję, że jeśli ktoś tu wejdzie, dane, które zostawię, będą się nadawały do wykorzystania. Bądźcie spokojni – zorganizowałam sobie życie tutaj, przystosowałam się do otoczenia i nie czuję się już uwięziona ani zamknięta. Otacza mnie cały świat. Gdy zamykam oczy, widzę wielkie, zielone równiny na górze. Wciąż widzę każdy kwiatek, który nazwałam. Żegnajcie”.

Epilog

Przezroczysty świat

Minęło wiele lat i odwiedziłem wiele miejsc. Wszędzie, dokąd idę czy jadę, wyciągam się na ziemi.

Leżałem na plażach na wyspie Hajnan, na alaskańskim śniegu, wśród rosyjskich białych brzóz i na rozprażonych piaskach Sahary. Za każdym razem świat stawał się dla mnie przezroczysty. Oczami wyobraźni widziałem tamten terrastatek zakotwiczony ponad sześć tysięcy kilometrów pode mną, a ze środka tej przezroczystej kuli, która kiedyś nosiła nazwę *Zachód Słońca 6*, docierało do mnie echo bicia jej serca. Wyobrażając sobie, że do jądra Ziemi docierają światło słońca i srebrzysty blask księżyca, słyszę, jak dziewczyna nuci cichym głosem Debussy’ego:

„To musi być piękny widok. To jest jak inny rodzaj muzyki”.

Pocieszała mnie jedna myśl: nawet jeśli pojadę w najdalszy zakątek Ziemi, nigdy nie będę od niej ani trochę dalej.

KULA ARMATNIA

Prolog

Gdy ludzie znacznie uszczuplili naturalne zasoby Ziemi, zwrócili wzrok na ostatni czysty kontynent – Antarktydę. Doprowadziło to do przesunięcia akcentów w polityce międzynarodowej i odrzucenia traktatu antarktycznego. Dzięki temu, że leżały blisko Antarktydy, dwa południowoamerykańskie kraje urosły nagle do rangi światowych potęg i zyskały status geopolityczny, który dorównywał ich pozycji w piłce nożnej. Jednocześnie ludzkość wkroczyła w ostatnią fazę całkowitej likwidacji broni jądrowej. To zwycięstwo oświeconego rozumu nad barbarzyństwem sprawiło, że nad walką o Antarktydę nie wisiał złowieszczy cień atomowej apokalipsy.

Rozdział 1

Nowy stan stały

Shen Huabei czuł się w ogromnej jaskini, jakby szedł po ciemnej równinie pod bezgwiezdnym niebem. Skała pod jego stopami, którą stopił żar wybuchu jądrowego, już ostygła i skrzepła, ale wciąż promieniowało z niej takie ciepło, że przenikało przez izolację termiczną jego butów i sprawiało, że swędziały go stopy. Znajdujący się dalej fragment ściany jeszcze nie ochłódł. Świecił w ciemności przytłumioną czerwienią jak niebo o świcie.

Po jego lewej stronie szła żona, Zhao Wenjia, a przed nimi ich ośmioletni syn, Shen Yuan. Wysforował się naprzód, pozornie nieskrępowany ciężkim skafandrem chroniącym przed promieniowaniem radioaktywnym. Dołączyli do nich członkowie zespołu inspektorów wysłanego przez oenzetowską komisję do spraw całkowitego zakazu broni jądrowej, których latarki czołowe wysyłały w ciemność długie snopy światła.

Do niszczenia broni jądrowej wykorzystywano dwie metody: demontaż i wybuchy podziemne. Tutaj znajdowało się jedno z chińskich podziemnych stanowisk, gdzie ją likwidowano.

Do Shen Huabeia zbliżył się profesor Kawinski, szef zespołu inspektorów. Jego czołówka oświetlała troje ludzi przed nim, którzy rzucali na ziemię długie, chwiejące się cienie.

– Doktorze Shen, dlaczego zabrał pan ze sobą rodzinę? To nie jest miejsce na piknik.

Shen Huabei zatrzymał się, by rosyjski fizyk mógł się z nim zrównać.

– Moja żona jest geologiem i pracuje w naczelnym dowództwie operacji likwidacyjnej. A co do syna, to myślę, że mu się tutaj podoba.

– Naszego syna zawsze fascynowały dziwne rzeczy – zgodziła się Wenjia, mówiąc raczej do męża niż do szefa zespołu. Chociaż jej twarz była częściowo zasłonięta wizjerem skafandra ochronnego, Huabei wyraźnie widział w jej oczach niepokój.

Chłopiec prawie tańczył przed nimi.

– Kiedy zaczęli, ta dziura nie była większa od naszej piwnicy, a już po dwóch wybuchach jest olbrzymia! Wyobraźcie sobie te kule ognia: to było pewnie tak, jakby dwójka dzieci dostała pod ziemią napadu złości i zaczęła wierzgać i wrzeszczeć. To musiało być zdumiewające!

Shen Huabei i Zhao Wenjia wymienili spojrzenia. Shen uśmiechnął się lekko, ale wyraz zmartwienia w oczach jego żony jeszcze się pogłębił.

– Chłopcze, tam było ośmioro dzieciaków – powiedział Kawinski ze śmiechem. Odwrócił się twarzą do Shen Huabeia. – Doktorze Shen, właśnie o tym miałem zamiar z panem porozmawiać. W ostatniej eksplozji zdetonowaliście osiem głowic pocisków typu Wielka Fala wystrzeliwanych z okrętów podwodnych, każda o mocy stu kiloton. Głowice znajdowały się na stojaku w komorze…

– O co panu chodzi?

– Przed detonacją wyraźnie widziałem na monitorze umieszczoną w środku tej komory białą kulę.

Shen Huabei znowu przystanął. Patrząc Kawinskiemu prosto w oczy, powiedział:

– Panie profesorze, postanowienia traktatu o zniszczeniu broni jądrowej zabraniają zdetonowania mniejszej ilości, niż nam przypadła, ale nie sądzę, by nie pozwalały nam na zniszczenie większej. Wielkość wybuchu zweryfikowało pięć niezależnych obserwatoriów. Cała reszta jest nieistotna.

Kawinski kiwnął głową.

– Dlatego czekałem, aż będzie po wszystkim, żeby z panem o tym porozmawiać. Jestem po prostu ciekaw.

– Mniemam, że słyszał pan o „polewie cukrowej”?

Słowa Huabeia zabrzmiały jak klątwa rzucona na to miejsce. W jaskini zapadła cisza, bo wszyscy się zatrzymali, a skierowane w różne strony snopy światła z ich latarek czołowych przestały się poruszać. Shen Huabei i Kawinski prowadzili rozmowę przez system łączności bezprzewodowej zainstalowany w ich skafandrach, więc słyszeli ją nawet ci, którzy w tym momencie przebywali daleko. Cisza się skończyła, gdy członkowie zespołu inspekcyjnego zgromadzili się wokół Shena. Każdy w tej wybranej grupie, bez względu na to, z jakiej części świata pochodził, był luminarzem w dziedzinie broni jądrowej, więc wszyscy dobrze zrozumieli, o czym była mowa.

– Ona naprawdę istnieje? – zapytał Amerykanin, gapiąc się na Shen Huabeia.

Tamten tylko skinął głową.

Opowiadano, że kiedy w połowie ubiegłego wieku Mao Zedong otrzymał wiadomość o pierwszej chińskiej próbie jądrowej, pierwsze pytanie, jakie zadał, brzmiało: „Był tam wybuch jądrowy?”. Być może nie zdawał sobie z tego sprawy, ale było to świetne pytanie. Kluczem do stworzenia broni jądrowej jest uzyskanie zdolności do wytworzenia odpowiednio dużego ciśnienia działającego na materiał rozszczepialny. Podczas odpalenia bomby jądrowej zostaje zdetonowana wiązka konwencjonalnych

materiałów wybuchowych, które zgniatają materiał rozszczepialny w kulę o dużej gęstości. Gdy osiągnie ona masę krytyczną, dochodzi do gwałtownej reakcji łańcuchowej, której skutkiem jest wybuch. Wszystko to dzieje się w milionowym ułamku sekundy, więc nacisk na materiał rozszczepialny trzeba wykalibrować z niezwykłą precyzją, bo nawet drobna nierównowaga może doprowadzić do tego, że rdzeń nie osiągnie masy krytycznej. A wtedy nastąpi tylko normalny wybuch chemiczny. Od chwili narodzin broni jądrowej badacze opracowywali według złożonych modeli matematycznych różne sposoby zgniatania ładunku. Nowe, stworzone w ostatnich latach technologie umożliwiły badaczom wynalezienie niewiarygodnie precyzyjnych mechanizmów zgniatania, a jedną z tych przełomowych technik była „polewa cukrowa”. Mianem tym określano pokrycie rdzenia broni jądrowej wykonane z pewnego rodzaju nanomateriału, które otaczano warstwą konwencjonalnych ładunków wybuchowych. Jego zadaniem było automatyczne równoważenie procesu zgniatania, tak że nawet gdyby ładunki nie wywierały równomiernego nacisku na rdzeń, pokrycie wyrównałoby go do poziomu koniecznego dla wytworzenia masy krytycznej.

– Tę białą kulę, którą pan zobaczył między głowicami, wykonano ze stopu otoczonego „polewą cukrową” – wyjaśnił Shen Huabei. – Podczas wybuchu powinna była zostać poddana ogromnemu ciśnieniu. To część projektu badawczego, który planujemy kontynuować podczas procesu niszczenia broni. Po likwidacji całej broni jądrowej na Ziemi trudno będzie, przynajmniej przez jakiś czas, błyskawicznie wytworzyć ciśnienie o takiej mocy. Ciekawe, co się stanie z testowanym materiałem pod takim ciśnieniem, w co się zmieni. Zobaczymy. Mamy nadzieję, że te badania pozwolą nam znaleźć obiecujące sposoby spożytkowania „polewy cukrowej” dla celów cywilnych.

Wysoki urzędnik ONZ, zastanowiwszy się nad takimi możliwościami, powiedział:

– Powinniście nią otoczyć grafit, bo wtedy w wyniku każdej eksplozji otrzymalibyśmy duży diament. Może dzięki temu kosztowny program niszczenia broni jądrowej przyniesie jakiś zysk.

W słuchawkach rozległ się śmiech. Urzędnicy bez przygotowania technicznego byli w takich sytuacjach częstym przedmiotem żartów.

– Pomyślmy. Osiemset kiloton… O ile rzędów wielkości to ciśnienie jest większe od potrzebnego do przekształcenia grafitu w diament? – zapytał ktoś.

– To oczywiste, że nie wytworzy się diament! – zatrzeszczał w słuchawkach radosny głos Shen Yuana. – Założę się, że powstanie czarna dziura! Mała czarna dziura! Ta dziura wessie nas, wessie cały świat i znajdziemy się w ładniejszym świecie po drugiej stronie!

– Cha, cha, cha! Ten wybuch nie był aż tak potężny, chłopcze. Doktorze Shen, pana syn ma fascynujący umysł! – powiedział Kawinski. – A więc jakie były wyniki tej próby? W co zmienił się stop? Przypuszczam, że nie udało się wam znaleźć jego większej części.

– Jeszcze nie wiem. Chodźmy zobaczyć – odparł Shen Huabei, wskazując ręką przed siebie. W wyniku wybuchu powstała ogromna, okrągła jaskinia, której wklęsłe dno tworzyło mały basen. W jego środku poruszały się światła kilku czołówek. – To ludzie z zespołu badawczego „polewy cukrowej”.

Zeszli łagodnym zboczem do basenu. Nagle Kawinski przystanął. Potem położył dłoń na ziemi.

– Drży!

Inni też to poczuli.

– Chyba nie spowodowała tego eksplozja, co?

Zhao Wenjia potrząsnęła głową.

– Wiele razy badaliśmy ukształtowanie geologiczne obszaru wokół miejsca niszczenia głowic. Niemożliwe, by wybuch wywołał tu trzęsienie ziemi. To drżenie zaczęło się po nim i od tamtej pory trwa bez przerwy. Doktor Deng Yiwen powiedział, że ma to coś wspólnego z eksperymentem z „polewą cukrową", ale nie znam szczegółów.

Gdy zbliżyli się do środka basenu, drżenie się nasiliło. Dobiegało spod ziemi. Wkrótce stało się tak silne, że poczuli mrowienie w nogach, jakby pod nimi przetaczał się gigantyczny pociąg. Kiedy stanęli pośrodku basenu, podniósł się, by ich przywitać, badacz w skafandrze. Był to doktor Deng Yiwen, naukowiec odpowiedzialny za eksperymenty nad zgniataniem materiałów pod wpływem eksplozji jądrowych.

– Co tam trzymasz? – zapytał Shen Huabei, wskazując na dużą białą kulę w jego ręku.

– Żyłkę wędkarską – odparł doktor Yiwen. Wokół niego przykucnęli kręgiem inni badacze i patrzyli w małą dziurę w skale, która stopiła się pod wpływem wybuchu i ponownie zestaliła. Dziura była niemal idealnie okrągła, miała około dziesięciu centymetrów średnicy i tak gładkie brzegi, jakby wydrążono ją wiertłem. Doktor Yiwen odwijał z kłębka coraz więcej żyłki. – Wpuściliśmy już do niej ponad dziesięć tysięcy metrów żyłki i jesteśmy wciąż daleko od dna. Radary pokazują, że dziura ma ponad trzydzieści tysięcy metrów głębokości i stale się pogłębia.

– Jak się utworzyła? – zapytał ktoś.

– Zgnieciony stop zanurzył się w ziemi jak kamień w oceanie. To on wydrążył tę dziurę. W tej chwili przechodzi przez gęste warstwy skały, co wywołuje drżenie.

– O Boże, to zdumiewające! – wykrzyknął Kawinski. – Przypuszczałem, że ten stop wyparuje w żarze wybuchu.

– I tak by się stało, gdyby nie miał postaci „polewy cukrowej” – zgodził się z nim doktor Yiwen. – A ponieważ ją miał, ponownie rozdzieliła siłę wybuchu i zgniotła stop, nadając mu nowy stan skupienia materii, który powinien zostać nazwany supersolidem. Ale ta nazwa jest już zajęta, więc nazwiemy go „nowosolidem”.

– Mówi pan, że jej gęstość w porównaniu z gęstością Ziemi jest analogiczna jak gęstość kamienia wrzuconego do wody? – zapytał profesor Kawinski z lekkim niedowierzaniem.

– Dużo większa. Główna przyczyna tego, że kamień tonie w wodzie, nie ma nic wspólnego z gęstością obu materiałów, lecz wynika z tego, że woda jest cieczą. Kiedy zamarznie, jej gęstość niewiele się zmienia, ale położony na niej kamień nie zatonie. Natomiast materia w stanie „nowostałym” zatapia się w skałach i przechodzi przez nie, możemy więc sobie tylko wyobrazić, jak musi być gęsta.

– Chce pan powiedzieć, że przemieniła się w coś takiego jak materiał, z którego zbudowana jest gwiazda neutronowa?

Doktor Deng Yiwen potrząsnął głową.

– Jeszcze nie ustaliliśmy, jaką ma gęstość, ale patrząc na szybkość jej opadania w głąb Ziemi, możemy być pewni, że nie jest tak gęsta jak zdegenerowana materia gwiazdy neutronowej. Gdyby tak było, spadałaby równie szybko jak meteor w atmosferze i spowodowałaby wybuchy wulkanów i wielkie trzęsienia ziemi. To stan materii, który mieści się gdzieś pomiędzy zwykłym stanem stałym a materią zdegenerowaną.

– Dotrze do środka Ziemi? – zapytał Shen Yuan.

– Możliwe. Poniżej pewnej głębokości warstwa skał w skorupie i płaszczu Ziemi ustępuje płynnemu jądru, w którym tej materii będzie nawet łatwiej się zatopić.

– Niesamowite!

Podczas gdy wszyscy skupiali uwagę na dziurze, Shen Huabei i jego rodzina oddalili się cicho od grupy w mrok jaskini. Z dala od dziury panowała cisza, zakłócana tylko tętnieniem drżenia ziemi. Światło lamp czołowych rozpływało się w otaczających ciemnościach, a ich postaci w bezkształtnej pustce. Przestawili swoje interkomy na kanał prywatny. Shen Yuan miał tutaj dokonać wyboru, który wyznaczy tor jego życia – pójść z ojcem czy z matką?

Rodziców Shen Yuana czekało coś gorszego niż rozwód – jego ojciec cierpiał na śmiertelną chorobę, białaczkę. Shen Huabei nie wiedział, czy spowodowała ją jego praca w ośrodku jądrowym, ale zdawał sobie sprawę, że zostało mu pół roku życia. Na szczęście istniała już technologia umożliwiająca hibernację. Miał wejść w stan zawieszenia procesów życiowych i pozostać w nim, dopóki nie zostanie wynaleziona skuteczna metoda leczenia tej choroby. Shen Yuan mógł albo poddać się razem z nim hibernacji, albo zostać z matką. To drugie wydawało się rozsądniejszym wyborem, ale dziecku trudno się było oprzeć kuszącej perspektywie obudzenia się w przyszłości. Zarówno Shen Huabei, jak i Zhao Wenjia starali się przeciągnąć go na swoją stronę.

– Mamo, zostanę z tobą. Nie chcę zasnąć z tatą! – powiedział Shen Yuan.

– Zmieniłeś zdanie? – zapytała uradowana Zhao Wenjia.

– Tak! Nie muszę przenosić się w przyszłość, żeby się dobrze bawić. Już teraz jest mnóstwo ciekawych rzeczy, jak to tam, co zanurza się w ziemi. Chcę tu zostać, żeby to zobaczyć!

– Taka jest twoja decyzja? – spytał Shen Huabei.

Zhao Wenjia łypnęła na niego gniewnie, bojąc się, że syn może znowu się rozmyślić.

– Tak – odparł Shen Yuan. – Chcę zobaczyć, co jest w tej dziurze.

Ruszył biegiem w stronę basenu, gdzie migotały czołówki członków ekip badawczej i kontrolnej.

Zhao Wenjia popatrzyła za nim.

– Martwię się, że nie będę mogła dać mu tego, czego potrzebuje – powiedziała. – Jest takim samym marzycielem jak ty. Może lepiej by mu było w przyszłości.

Shen Huabei położył dłonie na jej ramionach.

– Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. A co złego w tym, że jest taki jak ja? Teraźniejszość też potrzebuje marzycieli.

– W byciu marzycielem nie ma nic złego. Właśnie dlatego zakochałam się w tobie. Ale musisz wiedzieć, że on ma też drugą naturę: został wybrany na przewodniczącego dwóch klas!

– Tak, słyszałem. Nie wiem, jak tego dokonał.

– Ma żądzę władzy i wie, co robić, by ją zaspokoić. Pod tym względem jest zupełnie niepodobny do ciebie.

– Owszem. Udaje mu się to pogodzić z fantazjami?

– Bardziej się martwię, co się stanie, jeśli uda mu się to pogodzić.

Shen Yuan dobiegł do basenu i jego latarki czołowej nie można już było odróżnić od latarek innych. Rodzice przestali za nim patrzeć, wyłączyli swoje czołówki i pogrążyli się w ciemności.

– Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, życie będzie nadal trwało. Może uda im się opracować lek za rok, może za sto lat, a może… nigdy. Niewątpliwie pożyjesz jeszcze co najmniej czterdzieści lat. Musisz mi coś obiecać: jeśli za czterdzieści lat wciąż nie będzie leku na moją chorobę, obudź mnie. Chcę znowu zobaczyć ciebie i naszego syna. To nie może być nasze pożegnanie na zawsze.

– Chcesz zobaczyć starą kobietę i starszego od ciebie o dziesięć lat syna? Ale, jak powiedziałeś, życie toczy się nadal. – W ciemności Zhao Wenjia

zdobyła się na żałosny uśmiech.

W ogromnej jaskini powstałej na skutek wybuchu nuklearnego spędzili ostatnie ciche wspólne chwile. Następnego dnia Shen Huabei miał zapaść w sen bez snów. Zhao Wenjia miała zostać z synem, który bujał w krainie marzeń. Mieli razem podążać zdradliwą drogą życia ku przyszłości.

Rozdział 2

Przebudzenie

Potrzebował całego dnia, żeby się w pełni rozbudzić. Kiedy otworzył oczy, widział tylko białą mgłę, z której przez następnych dziesięć godzin wyłaniały się niewyraźne sylwetki. Po kolejnych dziesięciu godzinach rozpoznał w nich lekarzy i pielęgniarki. Osoby znajdujące się w stanie zawieszenia procesów życiowych nie zdają sobie sprawy z upływu czasu, więc Shen Huabei początkowo myślał, że osłabienie świadomości jest częścią procesu wchodzenia w hibernację, że być może podczas usypiania go w systemie hibernacyjnym doszło do jakiejś awarii. Kiedy poprawiło mu się widzenie, przyjrzał się łagodnie oświetlonemu przez kinkiety oddziałowi szpitalnemu, na którym się znajdował. Miejsce to wyglądało znajomo, co potwierdzało jego przypuszczenie, że jeszcze nie wszedł w stan hibernacji.

Ale już w następnej chwili stało się jasne, że się mylił. Biały sufit rozjarzył się niebieskim światłem i na tym tle pojawiły się wyraźne białe litery.

> Gratulacje! Klinika Kriogeniczna Żywa Ziemia wystąpiła w 2089 roku z wnioskiem o upadłość. Odpowiedzialność za opiekę nad panem przejęła Korporacja Jadeitowa Chmura. Pana seryjny numer hibernacyjny to

WS368200402. Zachowuje pan wszystkie prawa i przywileje przyznane w umowie z Kliniką Kriogeniczną Żywa Ziemia. Przed przebudzeniem został pan poddany terapii i wyleczony ze wszystkich chorób. Proszę przyjąć od Korporacji Jadeitowa Chmura życzenia powodzenia na nowej drodze życia.

Znajdował się pan w hibernacji przez 74 lata, 7 dni i 13 godzin. Rachunek za to został całkowicie zapłacony.

Mamy teraz 16 kwietnia 2125 roku. Witamy w przyszłości.

Stopniowo zaczął mu wracać słuch, trzy godziny później mógł już mówić. Jego pierwsze słowa po ponad siedemdziesięciu latach głębokiego snu brzmiały:

– Gdzie są moja żona i syn?

Obok jego łóżka stała wysoka, szczupła lekarka. Podała mu złożoną kartkę.

– Doktorze Shen, to list od pańskiej żony.

Shen Huabei obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. „Już przed moją hibernacją ludzie rzadko pisali listy na papierze” – pomyślał. Chociaż wciąż miał na pół zdrętwiałe palce, udało mu się rozłożyć kartkę. Był to kolejny dowód na to, że przeniósł się w czasie – papier, początkowo pusty, zaczął emitować lazurowe światło, które przesuwając się w dół, tworzyło litery. Wkrótce cała strona zapełniła się pismem.

Huabei, mój ukochany, grozi Ci wielkie niebezpieczeństwo!

Kiedy będziesz czytał ten list, ja nie będę już żyła. Osobą, która dała Ci ten list, jest doktor Guo. Możesz jej zaufać. Prawdę mówiąc, jest jedyną osobą na Ziemi, której możesz zaufać. Postępuj zgodnie z jej wskazówkami.

Wybacz, że nie dochowałam przyrzeczenia i nie obudziłam Cię po czterdziestu latach. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jaką osobą stał się Yuan ani co zrobił. Jako jego matka nie mogłam spojrzeć Ci w oczy. Mam złamane serce. Moje życie zostało zmarnowane. Proszę, dbaj o siebie.

– Mój syn, Shen Yuan! Gdzie on jest? – krzyknął Shen Huabei, z trudem podnosząc się na łokciach.

– Umarł pięć lat temu – powiedziała lekarka lodowatym tonem, nie przejmując się tym, że na tę wiadomość pacjenta rozboli serce. Później, jakby zdała sobie z tego sprawę, dodała łagodniejszym głosem: – Miał siedemdziesiąt osiem lat.

Wyjęła z kieszeni kartkę i dała ją Huabeiowi.

– To pański nowy dowód tożsamości. Żona wyjaśnia w liście, jakie zawiera on informacje.

Huabei zbadał kartkę z przodu i na odwrocie. Nie było na niej niczego oprócz krótkiej wiadomości od Wenjii, którą już przeczytał. Gdy ją odwrócił, załamania papieru zdawały się falować pod jego dotykiem jak ekrany ciekłokrystaliczne w jego czasach. Doktor Guo wyciągnęła rękę, nacisnęła lewy dolny róg i papierowy wyświetlacz przełączył się na arkusz kalkulacyjny.

– Przepraszam. Papieru, jaki pan zna, już nie ma.

Huabei spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Nie ma już lasów – wyjaśniła, wzruszając ramionami. – Potem obróciła się do arkusza kalkulacyjnego. – Pana nowe nazwisko to Wang Ruo. Urodził się pan w 2097 roku. Pańscy rodzice nie żyją i nie ma pan żadnej bliskiej rodziny. Przyszedł pan na świat w Hohhot, w Mongolii Wewnętrznej, ale teraz mieszka tutaj – powiedziała, wskazując rubrykę na arkuszu. – To odległa wioska w górach Ningxia. Najlepsze miejsce, jakie udało nam się znaleźć. Tam nie będzie pan zwracał niczyjej uwagi. Zanim pan się tam uda, będzie musiał się poddać operacji plastycznej. Pod żadnym warunkiem nie powinien pan rozmawiać o swoim synu. Nawet jeśli ktoś o nim napomknie, niech pan nie przejawia żadnego zainteresowania.

– Ale przecież jestem jego ojcem! Urodziłem się w Pekinie!

Doktor Guo zesztywniała i znowu przybrała zimny ton.

– Jeśli powie pan to publicznie, pańska hibernacja i leczenie pójdą na marne. Nie pożyje pan nawet godziny.

– Co się stało? – Huabei musiał się dowiedzieć, i to zaraz.

Lekarka uśmiechnęła się chłodno i zaczęła mówić.

– Na tym świecie jest wiele rzeczy prawdopodobnie zupełnie panu nieznanych. – Ledwie zauważalnie potrząsnęła głową. – Powinniśmy się pospieszyć. Najpierw powinien pan wstać z łóżka i na nowo nauczyć się chodzić. Potem musimy jak najszybciej stąd pana zabrać.

Kiedy Huabei otworzył usta, by zadać następne pytanie, rozległo się walenie w drzwi. Wyskoczyły z zawiasów, wpadło sześć czy siedem osób i otoczyło jego łóżko. Były w różnym wieku i różnie ubrane, ale jeden element stroju miały taki sam – dziwne kapelusze. Część z nich miała je na głowach, inni trzymali je w rękach. Kapelusze te miały tak szerokie ronda, że zasłaniały im ramiona, i były podobne do słomianych kapeluszy, które kiedyś nosili chłopi. Każdy z nich miał też maskę tlenową, choć niektórzy zdjęli je po wtargnięciu do pokoju. Wszyscy patrzyli groźnie na Huabeia.

– To ojciec Shen Yuana? – zapytał jeden z nich. Wyglądał na najstarszego z całej grupy, miał co najmniej osiemdziesiąt lat i długą, siwą brodę. Nie czekając na odpowiedź lekarki, odwrócił się do pozostałych i kiwnął głową. – Wygląda jak syn. Pani doktor, spełniła pani swój obowiązek. Teraz jest nasz.

– Skąd wiedzieliście, że tutaj jest? – zapytała chłodno doktor Guo.

Zanim jej odpowiedziano, z kąta pokoju odezwała się pielęgniarka:

– Ja im powiedziałam.

Doktor Guo odwróciła się i łypnęła na nią ze złością.

– Zawiodłaś zaufanie pacjenta.

– I zrobiłam to z przyjemnością – odpowiedziała tamta, krzywiąc ładną twarz w grymasie.

Młody mężczyzna chwycił Huabeia za koszulę i ściągnął go z łóżka. Huabei leżał jak sparaliżowany, za słaby, żeby się ruszyć. Jakaś dziewczyna kopnęła go tak mocno w brzuch, że ostry czubek jej buta niemal go przebił. Ból był tak nieznośny, że Huabei zwijał się na podłodze jak wyciągnięta z wody ryba. Starzec złapał go za kołnierz i z niespodziewaną siłą postawił na nogi. Trzymał tak Huabeia w próżnej nadziei, że ten będzie w stanie samodzielnie ustać na nogach. Kiedy go puścił, Huabei padł na wznak i uderzył głową w podłogę. Jego oczy zaszły mgłą bólu.

– Dobrze, to pokryje część długu tego sukinsyna wobec społeczeństwa – powiedział ktoś.

– Kim jesteście? – zapytał słabym głosem Huabei. Leżąc na podłodze między ich nogami, miał wrażenie, jakby napastnicy byli groźnymi olbrzymami.

– Powinieneś znać przynajmniej mnie – rzekł starzec, uśmiechając się mściwie. Widziana z dołu jego twarz wydawała się groteskowo wykrzywiona. Huabei zadrżał. – Jestem Deng Yang, syn Deng Yiwena.

Na dźwięk tego nazwiska Huabei poczuł skurcz w żołądku. Przekręcił się i chwycił starca za nogawkę.

– Twój ojciec był moim współpracownikiem i bliskim przyjacielem! Ty byłeś szkolnym kolegą mojego syna! Nie pamiętasz? Rany, jesteś synem Yiwena? Nie mogę w to uwierzyć. Byłeś wtedy…

– Zabierz ode mnie swoje brudne łapy! – krzyknął Deng Yang.

Młody mężczyzna, który ściągnął Huabeia z łóżka, przykucnął i zbliżył twarz do jego twarzy. Jego spojrzenie było pełne złości.

– Posłuchaj. Nie jesteś ani trochę starszy niż wtedy, kiedy poszedłeś spać. Ten człowiek jest od ciebie starszy i musisz okazać mu choć trochę

szacunku.

– Gdyby Shen Yuan jeszcze żył, miałby tyle lat, że mógłby być twoim ojcem – powiedział głośno Deng Yang, wywołując salwę śmiechu. – Kiedy ten młody człowiek miał cztery lata, jego rodzice zginęli w katastrofie, w Środkowym Wyłomie. A ta dziewczyna straciła swoich bliskich w katastrofie spowodowanej przez Zgubiony Bolec. Nie miała wtedy nawet dwóch lat. – Wskazał dwóch kolejnych członków grupy. – Ci ludzie zainwestowali oszczędności całego życia w projekt. Kiedy ten dowiedział się, że projekt się nie powiódł, usiłował popełnić samobójstwo. A ten drugi po prostu stracił zmysły. – Umilkł, po czym podjął na nowo: – A ja zostałem oszukany przez tego drania, twojego syna. Wrzuciłem swoją młodość i talent do tej przeklętej dziury i za to znienawidził mnie cały świat.

Huabei wciąż leżał na podłodze, kręcąc głową w zmieszaniu.

– Huabei, to sąd, a my, ofiary projektu Drzwi do Antarktydy, jesteśmy sędziami i ławą przysięgłych, którzy wydadzą na ciebie wyrok! Każdy mieszkaniec tego kraju jest ofiarą, ale my mamy szczególny przywilej wymierzenia ci sprawiedliwości. Moglibyśmy postawić cię przed prawdziwym sądem, ale nasz system wymiaru sprawiedliwości jest jeszcze bardziej zawiły niż za twoich czasów. Prawnicy przez rok gadaliby bzdury, a potem prawdopodobnie zostałbyś uniewinniony, tak jak twój syn. Wydanie sprawiedliwego wyroku nie zajmie nam więcej niż godzinę i, wierz mi, będziesz wtedy żałował, że nie umarłeś na białaczkę siedemdziesiąt lat temu.

Zaczęli szydzić z Huabeia. Dwóch ludzi podniosło go za ramiona i zaciągnęło do drzwi. Był zbyt słaby, by stawić opór, jego nogi wlekły się po podłodze.

– Panie Shen, zrobiłam, co mogłam – odezwała się doktor Guo, kiedy zbliżyli się z nim do wyjścia.

Chciał odwrócić głowę i spojrzeć na nią, na jedyną osobę, której – według tego, co napisała w liście jego żona – mógł zaufać, ale uniemożliwiła mu to pozycja, w jakiej go trzymano. Lekarka powiedziała zza jego pleców:

– Niech pan za bardzo nie rozpacza. Życie w dzisiejszych czasach też nie jest łatwe.

Kiedy wyciągano go na korytarz, usłyszał, jak doktor Guo zawołała:

– Zamknijcie drzwi i włączcie oczyszczacze powietrza! Chcecie się udusić?

Krzyknęła to ponaglającym tonem i dla Huabeia stało się jasne, że jego los jest już jej obojętny.

Po wyjściu ze szpitala zrozumiał jej ostatnie słowa – powietrze było gryzące i ciężko się nim oddychało. Wywleczono go przez główny korytarz. Gdy znaleźli się na zewnątrz, dwaj mężczyźni, którzy wcześniej go holowali, zarzucili sobie jego ręce na ramiona i go ponieśli. Z ulgą, że jest już poza szpitalem, zaczerpnął głęboko tchu, ale to, co wciągnął w płuca, nie było wbrew jego oczekiwaniu świeżym powietrzem; był to gaz jeszcze bardziej trujący niż powietrze w szpitalu. Zaczął się dusić i usłyszał, jak ktoś mówi:

– Dajcie mu respirator. Nie chcemy, żeby umarł przed wymierzeniem mu sprawiedliwości.

Ktoś włożył mu maskę zakrywającą nos i usta. Przenikające przez nią powietrze miało dziwny smak, ale przynajmniej mógł oddychać. Ktoś inny powiedział:

– Nie musicie zakładać mu kapelusza ekranującego. Nie pożyje tak długo, żeby z powodu promieniowania ultrafioletowego znowu nabawić się

białaczki.

Wywołało to kolejną salwę okrutnego śmiechu. Oddech Huabeia stał się nieco bardziej regularny, a łzy, które pociekły mu pod wpływem kaszlu, zaczęły wysychać, dzięki czemu widział lepiej. Podniósł głowę i rzucił pierwsze spojrzenie na świat przyszłości.

Najpierw zauważył ludzi na ulicy; wszyscy nosili przezroczyste maski respiracyjne i głowę każdego przykrywał duży słomiany kapelusz, jaki jego porywacze nazwali przed chwilą ekranującym. Zauważył też, że mimo ciepłej pogody wszyscy byli tak ciasno okutani w ubrania, że nie wyzierał spod nich nawet centymetr skóry. Po obu stronach ulicy wznosiły się ogromne drapacze chmur, tak wysokie, że czuł się, jakby był w głębokiej dolinie. „Drapacze chmur” to było dla nich dobre określenie – dosłownie skrobały szare chmury nad nimi. W wąskim pasku nieba między budynkami przeświecało zza chmur niewyraźne słońce. Przesłaniały je pasma dymu i Huabei wkrótce uświadomił sobie, że same chmury były w istocie obłokami zanieczyszczeń.

– Żyjemy we wspaniałych czasach, co? – zapytał Deng Yang.

Jego towarzysze roześmiali się serdecznie, jakby nie śmiali się od wieków.

Ponieśli go do stojącego w pobliżu samochodu, o gabarytach podobnych do sedana, który mógł pomieścić cztery czy pięć osób. Gdy się do niego zbliżyli, minęło ich dwóch ludzi idących zdecydowanym krokiem w przeciwną stronę. Mieli na głowach hełmy i chociaż ich mundury nie wyglądały znajomo, Huabei domyślił się, kim są.

– Ratunku! – krzyknął do nich. – Zostałem porwany! Ratunku!

Dwaj policjanci raptownie się odwrócili i podbiegli do niego. Obejrzeli go od góry do dołu, zwracając szczególną uwagę na jego szpitalną koszulę i bose stopy.

– Jest pan z krio, tak? – zapytał jeden z nich.

Huabei słabo kiwnął głową.

– Porwali mnie…

Drugi funkcjonariusz potaknął.

– To się zdarza powszechnie. Ostatnio wiele osób budzi się z kriosnu i przystosowanie ich do społeczeństwa pochłania mnóstwo środków. Ludzi to oburza i złości, więc często ich atakują.

– To nie to… – zaczął Huabei, ale funkcjonariusz uciszył go machnięciem ręki.

– Jest pan już bezpieczny. – Policjant obrócił się do Deng Yanga i pozostałych konspiratorów. – Ten człowiek wyraźnie potrzebuje dalszej opieki lekarskiej. Wy dwaj, zabierzcie go z powrotem do szpitala. Zbadamy dokładnie tę sprawę, a na razie wszyscy jesteście aresztowani pod zarzutem porwania. – Podniósł radio na przegubie ręki do ust i wezwał posiłki.

Deng Yang podbiegł do niego.

– Niech pan chwilę zaczeka. Nie jesteśmy antykrio. Niech pan mu się dobrze przyjrzy. Nie wygląda znajomo?

Policjanci długo wpatrywali się w twarz Huabeia.

– To Mi Xixi!

– To nie Mi Xixi, tylko ojciec Shen Yuana!

Policjanci spoglądali z szeroko rozdziawionymi ustami to na Shen Huabeia, to na Deng Yanga. Młody człowiek, którego rodzice zginęli w katastrofie Środkowego Wyłomu, przyciągnął policjantów do siebie i zaczął im coś szeptać. Słuchając go, funkcjonariusze zerkali od czasu do czasu na Huabeia, a ich spojrzenia stawały się coraz zimniejsze. Kiedy spojrzeli na niego po raz ostatni, Huabeiowi zamarło serce. Deng Yang znalazł dwóch kolejnych wspólników.

Policjanci podeszli, unikając wzroku Huabeia. Jeden stanął na czatach, a drugi rzekł do Deng Yanga:

– Nic nie widzieliśmy. Cokolwiek z nim zrobicie, nie pozwólcie, by ktoś zorientował się, kim on jest, bo wybuchną zamieszki.

Huabeia przeraziły nie tyle jego słowa, ile sposób, w jaki je wypowiedział. Mówił, nie przejmując się tym, czy Huabei go słyszy, jakby był częścią krajobrazu. Członkowie bandy Deng Yanga szybko wepchnęli Huabeia do auta i sami wsiedli. Jak tylko zaskoczył silnik, okna pociemniały, zapobiegając przedostawaniu się do wnętrza światła słonecznego i zasłaniając mu widok na zewnątrz. Samochód był autonomiczny, bez żadnych środków kierowania ręcznego. Nikt się nie odzywał, kiedy wyjeżdżali na drogę.

W końcu Huabei zdobył się na pytanie, choćby tylko po to, by przerwać złowrogie milczenie.

– Kto to jest ten Mi Xixi?

– Gwiazdor filmowy – odparła dziewczyna osierocona przez parę, która zginęła w katastrofie Zgubionego Bolca. – Zdobył sławę, wcielając się w postać twojego syna na ekranie. Teraz złoczyńcami są w mediach Shen Yuan i potwory z kosmosu.

Huabei wiercił się na siedzeniu, starając się od niej odsunąć. Kiedy to robił, nacisnął niechcący guzik pod oknem. Szyba natychmiast stała się na powrót przezroczysta. Huabei zobaczył przez nią, że wjeżdżają na wielki, skomplikowany wiadukt autostradowy. Tłoczyły się na nim pojazdy w odległości nie większej niż dwa metry jeden od drugiego. Niepokojące było nie to, że tkwiły w korku, co wydawała się sugerować ich bliskość, ale że poruszały się z pełną prędkością, co najmniej stu kilometrów na godzinę. Cały wiadukt wyglądał jak niebezpieczny park rozrywki.

Ich samochód pędził w stronę widocznego na przedzie skrzyżowania. Gdy tam dojechali, zmienił pas ruchu i gdy wydawało się, że wpadnie na inne auto, na pasie obok powstała luka na tyle duża, że mogli się włączyć w strumień pojazdów. Prawdę mówiąc, przed każdym wjeżdżającym na ten pas autem otwierała się luka, i to tak szybko i płynnie, że dwa pasy ruchu zdawały się zlewać w jeden. Huabei, który uświadomił sobie już wcześniej, że ich pojazd jest autonomiczny, teraz zdał sobie sprawę, że prowadząca go sztuczna inteligencja niezwykle efektywnie wykorzystuje autostradę.

Osoba siedząca za nim sięgnęła do guzika i wcisnęła go, by ponownie przyciemnić szyby.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co się tu dzieje, a mimo to nadal chcecie mnie zabić? – zapytał Huabei.

Siedzący na przednim fotelu Deng Yang odwrócił się do niego. Po chwili milczenia rzekł bez entuzjazmu:

– No cóż, myślę, że będę musiał ci powiedzieć.

Rozdział 3

Drzwi do Antarktydy

– Osoby o bogatej wyobraźni są zwykle słabe, a najsilniejszym osobom – ludziom, którzy tworzą historię – brakuje wyobraźni. Twój syn był zdumiewającym wyjątkiem, człowiekiem z wyobraźnią i siłą woli, która pozwalała mu urzeczywistnić jego wizje. Rzeczywistość była dla niego małą, odległą wysepką na ogromnym oceanie fantazji, ale kiedy chciał, mógł to odwrócić, przekształcić swoje fantazje w wysepkę, a rzeczywistość w ocean. Po obu tych oceanach pływał z niesamowitą wprawą…

Huabei mu przerwał:

– Znam mojego syna. Nie marnuj mojego czasu.

– Bez względu na to, jak dobrze go znałeś, nie potrafiłbyś sobie wyobrazić, jaką Shen Yuan osiągnął pozycję, jaką miał władzę. Mógł wcielać w życie swoje najbardziej ponure wizje. Niestety świat nie zdawał sobie sprawy, jakie to było niebezpieczne, dopóki nie było już za późno. Może przed nim też żyli podobni ludzie, ale byli jak asteroidy, które przeleciały obok Ziemi. Żadna w nią nie uderzyła, odleciały w bezkres przestrzeni kosmicznej. Historia dała Shen Yuanowi środki dla zrealizowania jego dziwacznej wizji. Na nasze wielkie nieszczęście jego asteroida uderzyła w Ziemię.

W piątym roku twojej kriogenicznej hibernacji – ciągnął Deng Yang – świat zrobił pierwszy krok ku rozwiązaniu problemu, kto powinien zapanować nad Antarktydą. Ogłoszono, że będzie ona strefą wspólnego rozwoju gospodarczego wszystkich krajów, ale silniejsze państwa obeszły tę deklarację i wykroiły sobie z tego kontynentu duże obszary dla swojej wyłącznej korzyści. Każde z nich chciało jak najszybciej wyeksploatować zasoby naturalne swojego rejonu, bo było to dla nich jedyną nadzieją na uniknięcie kryzysu gospodarczego spowodowanego wyczerpaniem się surowców i zanieczyszczeniem środowiska. Popularne było wtedy powiedzenie, że przyszłość leży na spodzie świata. I właśnie wtedy twój syn wystąpił ze swoim chorym pomysłem. Twierdził, że wcielenie go w życie przekształci Antarktydę w podwórko Chin, że może sprawić, iż z Pekinu będzie prościej dostać się na Antarktydę niż do Tianjin. Nie była to przenośnia, faktycznie podróż na Antarktydę trwała krócej niż do Tianjin, pochłaniała mniej zasobów i powodowała mniej zanieczyszczeń. Kiedy Shen Yuan zaczął przedstawiać swój plan na transmitowanej przez telewizję konferencji prasowej, cały kraj gruchnął śmiechem, jakby oglądał absurdalną komedię, ale zanim ta konferencja się skończyła, wszyscy przestaliśmy się śmiać. Uświadomiliśmy sobie, że jego plan jest naprawdę wykonalny! I tak zaczął się zgubny projekt Drzwi do Antarktydy. – Nagle urwał.

– Co to był za projekt? – zapytał Huabei, nakłaniając Deng Yanga do wyjaśnień.

– Wkrótce się dowiesz – odparł tamten lodowato.

– Możesz mi przynajmniej powiedzieć, co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Jesteś ojcem Shen Yuana. Trzeba mówić coś jeszcze?

– A więc cofnęliśmy się do determinizmu genetycznego?

– Oczywiście, że nie, ale, jak sam przyznał twój syn, w tym wypadku pochodzenie ma znaczenie. Kiedy stał się sławny na całym świecie, opowiadał w niezliczonych wywiadach, że zanim skończył osiem lat, jego sposób myślenia i osobowość były już w dużym stopniu ukształtowane i że było to dziełem jego ojca. Mówił, że cała jego wieloletnia praca miała tylko uzupełnić wiedzę, którą przekazał mu ojciec. Oświadczył nawet, że ojciec był pierwszym pomysłodawcą projektu Drzwi do Antarktydy.

– Co? Ja i Antarktyda? To jest po prostu…

– Pozwól mi skończyć. Stworzyłeś też technologiczne podstawy tego projektu.

– O czym ty mówisz?

– O supersolidzie. Bez tego stanu skupienia materii projekt Drzwi do Antarktydy byłby mrzonką. To on umożliwił realizację tej chorej fantazji.

Zdezorientowany Shen Huabei potrząsnął głową. Zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić, jak supergęsty solid mógł umożliwić tak szybką podróż na Antarktydę.

W tym momencie samochód się zatrzymał.

Rozdział 4

Brama Piekła

Wysiedli i Huabei zobaczył przed nimi dziwny, mały pagórek. Miał kolor rdzy i był całkowicie jałowy, bez choćby jednego źdźbła trawy.

Deng Yang wskazał go kiwnięciem głowy.

– To żelazne wzgórze – powiedział. Widząc zdumienie na twarzy Huabeia, dodał: – To jeden wielki kawał metalu.

Huabei rozejrzał się wokół i zobaczył, że w pobliżu jest jeszcze kilka innych „żelaznych wzgórz", sterczących z ziemi w dziwnych odstępach i odcinających się barwą od reszty dużej równiny, na której stali. Krajobraz wyglądał jak z innej planety.

Shen mógł już iść samodzielnie, chociaż drżącym krokiem. Powlókł się za porywaczami ku dziwnej strukturze w dali. Miała ona kształt wysokiego na sto metrów cylindra, a jej powierzchnia była zupełnie gładka, bez żadnego widocznego wejścia. Gdy się do niej zbliżyli, w jej boku odsunęła się ciężka żelazna płyta, pozwalając im dostać się do środka. Zamknęła się szczelnie za nimi.

Znaleźli się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, które przypominało śluzę powietrzną. Na gładkich białych ścianach wisiał długi rząd strojów, które wyglądały jak skafandry kosmiczne. Każdy z porywaczy wziął sobie jeden, a dwaj z nich pomogli Huabeiowi włożyć taki sam. Rozejrzał się po

pomieszczeniu i zobaczył na przeciwległej ścianie inne przesuwne drzwi. Paliła się nad nimi czerwona lampka, obok której znajdował się cyfrowy wyświetlacz pokazujący poziom ciśnienia atmosferycznego wewnątrz cylindra. Gdy do skafandra Huabeia przymocowano ciężki hełm, w prawym górnym rogu jego wizjera pojawił się ciekłokrystaliczny wyświetlacz, na którym przesuwał się szybko ciąg liczb i figur. Liczba na wskaźniku ciśnienia atmosferycznego nad drzwiami szybko malała. Po niespełna trzech minutach doszła do zera. Światło lampki zmieniło się z czerwonego na zielone i drzwi się otworzyły, ukazując ciemne, hermetyczne wnętrze.

Domysł Huabeia okazał się słuszny; znajdowali się w środku nieprzepuszczającej powietrza komory, przez którą przechodziło się z obszaru z atmosferą do innego, w której jej nie było. We wnętrzu ogromnego cylindra panowała próżnia.

Cała grupa weszła przez drzwi, które się za nimi zamknęły. Otoczyła ich czarna jak smoła ciemność. Zapaliły się lampki na hełmach kilku osób, wysyłając w próżnię strumyki światła. Huabei doznał déjà vu i zadrżał ze strachu.

– Idź naprzód – zatrzeszczał w słuchawkach głos Deng Yanga.

Lampka w hełmie Huabeia wydobyła z mroku mały mostek, który miał nie więcej niż metr szerokości. Jego drugi koniec tonął w mroku; Huabei nie widział, jaki jest długi. Pod mostkiem rozciągała się ciemność. Huabei wszedł na niego na trzęsących się nogach. Ciężkie buty hermetycznego skafandra wydobywały z metalowej powierzchni mostka puste dźwięki. Przeszedł kilka kroków i odwrócił głowę, by zobaczyć, czy ktoś z grupy idzie za nim. Gdy to zrobił, zgasły nagle lampki na ich hełmach i wszystko pogrążyło się w ciemności. Po kilku sekundach pod wąskim mostkiem rozjarzyło się niebieskie światełko. Huabei zorientował się, że jest jedyną osobą na mostku; pozostali zatrzymali się przed nim i patrzyli na niego.

Oświetleni z dołu niebieskim światłem wyglądali jak duchy. Trzymając się kurczowo poręczy, Huabei spojrzał w dół i to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

Stał nad głębokim szybem.

Szyb miał dziesięć metrów średnicy. Na jego ścianach równomiernie rozmieszczono kręgi świateł; tylko dzięki nim udało mu się go dostrzec. Most spinał jego dwie strony, a Huabei stał dokładnie na środku. Nie widział dna, tylko te niezliczone kręgi świateł, coraz bardziej kurczące się w oddali i w końcu zbiegające w jeden punkt. Miał wrażenie, jakby patrzył na jarzący się niebiesko cel.

– Zaraz poniesiesz karę: spłacisz dług swojego syna! – krzyknął Deng Yang. Chwycił za koło u wejścia na mostek i zaczął je obracać, mrucząc: – To za moją utraconą młodość, za mój zmarnowany talent… – Mostek się przechylił, więc Huabei złapał się barierki, starając się z całych sił nie stracić oparcia pod stopami.

Deng Yang przekazał kontrolę nad kołem sierocie po ofiarach Środkowego Wyłomu, który mocno nim zakręcił.

– To za moją matkę i ojca, za ich stopione ciała…

Przechył mostku się zwiększył.

Potem wystąpiła dziewczyna, której rodzice zginęli w katastrofie Zgubionego Bolca. Zakręciła kołem, patrząc z wściekłością na Huabeia.

– To za zamienienie moich rodziców w parę…

Zastąpił ją mężczyzna, który po stracie fortuny podjął próbę samobójstwa.

– To za mojego rolls-royce’a, za mojego lincolna, za moją willę na plaży, za mój basen. Za zrujnowanie mi życia, za to, że moja żona i syn muszą stać w długiej kolejce do pomocy społecznej…

Mostek przechylił się już tak bardzo, że Huabei zawisł nad przepaścią, kurczowo trzymając się barierki i rozpaczliwie pragnąc znaleźć oparcie dla stóp.

Do niedoszłego samobójcy dołączył mężczyzna niespełna rozumu i obracali koło razem. Widać było, że nadal jest chory, bo nic nie mówił, tylko spoglądał w głąb szybu i się śmiał. Mostek całkowicie się przechylił i Huabei kołysał się nad studnią, trzymając się rękami barierki.

Jego strach nieco się zmniejszył. Kiedy patrzył przez bramę piekła w bezdenną przepaść pod sobą, przed oczami przemknęło mu całe życie. Jego dzieciństwo i młodość były szare i smutne. Jako student i badacz odnosił sukcesy, ale nawet po wynalezieniu technologii produkcji „polewy cukrowej" czuł się na świecie źle. Stosunki z innymi zawsze wydawały mu się czymś w rodzaju sieci pajęczej, która tym mocniej go spowijała, im bardziej chciał się z niej wydostać. Nigdy nie darzył nikogo prawdziwą miłością, ożenił się z poczucia obowiązku. Gdy postanowił, że nie będzie miał dzieci, urodził mu się syn. Huabei był człowiekiem żyjącym w świecie marzeń i fantazji, osobą z kategorii tych, którymi większość innych gardziła. Nigdy nie znalazł wśród nich swojego miejsca. Separował się od ludzi i zawsze szedł pod prąd. Całą nadzieję pokładał w przyszłości. I oto teraz nadeszła – był wdowcem, którego syn stał się wrogiem ludzkości, w zanieczyszczonym mieście, pośród nienawistnych, pokręconych ludzi… Był rozczarowany epoką, w której się znalazł, i swoim życiem. Kiedyś postanowił, że przed śmiercią odkryje prawdziwą naturę rzeczy; teraz nie miało to już dla niego żadnego znaczenia. Był po prostu zmęczonym wędrowcem, którego jedynym pragnieniem było odpocząć.

Kiedy w końcu osłabły mu ręce i runął w stronę niebieskich kręgów na spotkanie swego przeznaczenia, rozległy się wiwaty.

Zamknął oczy i poddał się nieważkości. Miał wrażenie, że jego ciało się rozpływa, a wraz z nim przytłaczający ciężar istnienia. W tych ostatnich kilku sekundach życia przyszła mu nagle do głowy pewna piosenka. Nauczył go jej ojciec. Była to stara rosyjska melodia, całkowicie zapomniana, jeszcze zanim poddał się hibernacji. Pojechał kiedyś do Moskwy jako wizytujący profesor i podczas pobytu tam starał się znaleźć kogoś, kto by ją znał, ale nikt o niej nie słyszał, więc stała się jego prywatną własnością. Zdąży zaśpiewać zaledwie nutę czy dwie, zanim uderzy w dno szybu, ale był pewien, że gdy jego dusza opuści ciało, wejdzie do następnego świata z tą piosenką na ustach.

Zanim się zorientował, zanucił już połowę melodii. Nagle uświadomił sobie, jak wiele musiało minąć czasu, odkąd odpadł od barierki. Otworzył oczy i zobaczył, że leci, mijając jeden krąg niebieskiego światła za drugim.

Nadal spadał.

– Cha, cha, cha! – Ze słuchawek dobiegł opętańczy śmiech Deng Yanga. – Zaraz zginiesz, jakież to musi być uczucie!

Huabei spojrzał na rząd jarzących się niebiesko koncentrycznych kręgów pod nim. Przemykały koło niego, a za każdym razem, kiedy przelatywał przez największy, w jego środku pojawiał się następny, początkowo malutki, ale szybko rosnący. Zerknął w górę. Niknące w oddali kręgi były lustrzanym odbiciem widoku tych w dole.

– Jak głęboki jest ten szyb? – zapytał.

– Nie martw się, wkrótce spadniesz na dno. Jest tam płyta z twardej stali i rozsmarujesz się na niej jak owad na szybie samochodu. Cha, cha, cha!

Kiedy Deng Yang to mówił, Huabei zauważył, że znowu ożył mały wyświetlacz w prawym górnym rogu jego wizjera. Rozjarzone czerwono litery układały się w napis:

Osiągnąłeś głębokość osiemdziesięciu kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 1,37 kilometra na sekundę.
Minąłeś nieciągłość Mohorovičicia.
Po przejściu przez skorupę wchodzisz w płaszcz Ziemi.

Huabei znowu zamknął oczy. Tym razem nie słyszał w głowie muzyki. Jego mózg pracował jak komputer, beznamiętnie i szybko, i po trzydziestu sekundach Shen otworzył oczy. Teraz wszystko zrozumiał. To były Drzwi do Antarktydy. Na końcu szybu nie było żadnej stalowej płyty. Była to bezdenna przepaść – tunel, który przechodził przez całą Ziemię.

Rozdział 5

Tunel

– Biegnie po stycznej do jądra Ziemi czy przez nie? – zastanowił się głośno.

– Sprytnie! Domyśliłeś się! – krzyknął Deng Yang.

– Jest sprytny jak jego syn – dodał ktoś, sądząc po głosie, sierota po rodzicach, którzy zginęli w Środkowym Wyłomie.

– Biegnie przez jądro Ziemi, od Mohe do najbardziej wysuniętej na wschód części Półwyspu Antarktycznego – rzekł Deng Yang, odpowiadając na pytanie Huabeia.

– Miasto, w którym niedawno byliśmy, to Mohe?

– Tak. Przeżyło rozkwit po ukończeniu tego tunelu.

– O ile wiem, tunel stąd prowadziłby do Argentyny Północnej.

– Zgadza się, ale trochę skręca.

– Jeśli tak, to czy nie uderzę w jego ścianę?

– Nie. Prawdę mówiąc, wpadłbyś na ścianę, gdybyś leciał wprost do Argentyny. Idealnie prosty tunel nadawałby się do użytku tylko wtedy, gdyby poprowadzono go między biegunami Ziemi, wzdłuż jej osi. Drążąc tunel wzdłuż osi, trzeba brać pod uwagę jej ruch obrotowy. Zagięcie tunelu jest niezbędne dla zapewnienia niezakłóconego przelotu.

– Ten tunel to wspaniałe osiągnięcie! – wykrzyknął ze szczerym zachwytem Huabei.

Osiągnąłeś głębokość 296 kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 2,4 kilometra na sekundę.
Wszedłeś w astenosferę Ziemi.

Shen widział, że przelatuje przez koncentryczne pierścienie świateł ze stale wzrastającą prędkością. Te, które były nad nim i pod nim, wydawały się rozmieszczone gęściej.

– Wykopanie tunelu przechodzącego przez całą Ziemię nie jest właściwie nowym pomysłem – odezwał się znowu Deng Yang. – Taką możliwość rozważały co najmniej dwie osoby już w osiemnastym wieku. Jedną z nich był matematyk Pierre Louis Maupertuis. Drugą nie kto inny jak Wolter. Potem zaproponował to ponownie francuski astronom Flammarion, który jako pierwszy wziął pod uwagę ruch obrotowy Ziemi.

– No to jak możesz mówić, że ten pomysł wyszedł ode mnie? – przerwał mu Huabei.

– Bo tamci przeprowadzali tylko eksperymenty myślowe, natomiast twój pomysł natchnął kogoś utalentowanego, kto wziął się do urzeczywistnienia tej dziwacznej wizji.

– Nie pamiętam, żebym wspomniał Shen Yuanowi o czymś takim.

– Wobec tego masz kiepską pamięć. Twoja wizja zmieniła bieg ludzkiej historii, a ty o niej zapomniałeś!

– Mówię szczerze, że nie pamiętam.

– Ale na pewno pamiętasz Argentyńczyka nazwiskiem Delgado i prezent urodzinowy, który dał twemu synowi.

Osiągnąłeś głębokość 1500 kilometrów.

Twoja prędkość wynosi 5,12 kilometra na sekundę.
Wszedłeś w mezosferę Ziemi.

W końcu Huabei sobie przypomniał. Było to w dniu szóstych urodzin Shen Yuana. Zaprosił do domu argentyńskiego fizyka, doktora Delgada, który akurat przebywał w Pekinie. Argentyna była jednym z dwóch państw południowoamerykańskich, które wyszły z walki o Antarktydę jako mocarstwa. Zgłosiła roszczenia do wielkich połaci tego kontynentu i przeniosła się tam duża liczba jej obywateli. Zaczęła też szybko rozbudowywać swój arsenał jądrowy, co wzbudziło niepokój wspólnoty międzynarodowej.

Było zatem rzeczą naturalną, że w późniejszym procesie rozbrojenia jądrowego Argentyna, jako państwo dysponujące tą bronią, dołączyła do oenzetowskiej komisji, której powierzono to zadanie. Shen Huabei i Delgado zostali jej ekspertami technicznymi.

Delgado dał Shen Yuanowi w prezencie globus zrobiony z nowego rodzaju szkła, jednego z owoców szybkiego rozwoju technologicznego Argentyny. Współczynnik załamania światła w tym szkle był identyczny jak w powietrzu, więc było ono zupełnie niewidzialne. Kontynenty na globusie wyglądały, jakby unosiły się w przestrzeni między biegunami Ziemi. Shen Yuan był zachwycony tym prezentem.

Podczas poobiedniej pogawędki Delgado wyjął wiodącą chińską gazetę i pokazał Huabeiowi rysunek satyryczny o charakterze politycznym. Przedstawiał on słynnego argentyńskiego piłkarza kopiącego Ziemię jak piłkę.

– Nie podoba mi się ten rysunek – powiedział. – Chińczycy nie wiedzą o Argentyńczykach nic poza tym, że dobrze gramy w piłkę nożną, i ta skąpa wiedza wpływa na ich politykę wobec nas. Postrzegają Argentynę jako państwo agresywne.

– No cóż, doktorze, Argentyna leży bardzo daleko od Chin. Znajdujemy się po przeciwnych stronach świata – powiedziała z uśmiechem Zhao Wenjia.

Wzięła od Shen Yuana przezroczysty globus i podniosła go. Chiny i Argentyna nałożyły się na siebie.

– Wiem, jak poprawić komunikację między naszymi krajami – oznajmił Huabei, biorąc globus z rąk żony. – Musimy po prostu wykopać tunel biegnący przez środek Ziemi.

– Ten tunel miałby ponad dwanaście tysięcy kilometrów długości. To niewiele mniej od trasy bezpośredniego lotu samolotem – rzekł na to Delgado.

– Ale czas podróży byłby dużo krótszy. Tylko pomyśl: pakujesz rzeczy, wskakujesz do tunelu na jednym końcu i… – Huabei rzucił ten pomysł jedynie po to, by odwrócić rozmowę od polityki.

Podziałało. Podsyciło zainteresowanie Delgada, który powiedział:

– Shen, twój sposób myślenia jest naprawdę oryginalny. Zastanówmy się, po wskoczeniu w tę dziurę spadałbym ze stale rosnącą prędkością. Co prawda, im bardziej bym się zagłębiał, z tym mniejszym przyspieszeniem bym leciał, ale i tak coraz szybciej, aż do środka Ziemi. Tam osiągnąłbym największą prędkość, a moje przyspieszenie byłoby równe zeru. A potem, kiedy zacząłbym lecieć ku drugiemu końcowi tej dziury, zacząłbym hamować, to hamowanie stale by się zwiększało. Kiedy dotarłbym na powierzchnię w Argentynie, miałbym zerową prędkość. Gdybym chciał wrócić do Chin, mógłbym po prostu znowu wskoczyć do tej dziury. Mógłbym latać w tę i z powrotem bez końca, poruszając się w harmonijnej wibracji między półkulami północną i południową. Tak, to wspaniały pomysł, ale czas podróży…

– Obliczmy to – zaproponował Huabei i włączył komputer.

Po chwili mieli wynik. Z uwzględnieniem średniej gęstości planety, gdyby ktoś wskoczył do tunelu w Chinach, przebył 12 741 kilometrów i wyłonił się z niego w Argentynie, podróż trwałaby czterdzieści dwie minuty i dwanaście sekund.

– To się nazywa szybka podróż! – stwierdził wyraźnie zadowolony Delgado.

Osiągnąłeś głębokość 2784 kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 6,4 kilometra na sekundę.
Mijasz nieciągłość Gutenberga i wchodzisz do jądra Ziemi.

Huabei nadal spadał. Znowu odezwał się Deng Yang:

– Wtedy na pewno tego nie zauważyłeś, ale tamtego wieczoru bystry Shen Yuan uważnie słuchał każdego twojego słowa. Nie wiedziałeś też, że potem, w nocy, nawet nie zmrużył oka, tylko patrzył na przezroczysty globus przy łóżku. Wywarłeś ogromny wpływ na jego myślenie. Latami zasiewałeś w jego wyobraźni niezliczone ziarna. Te ziarna miały potem wykiełkować.

Ściana tunelu znajdowała się około czterech i pół metra od Huabeia. Patrzył, jak ulatuje do góry. Świetlne kręgi przemykały teraz wokół niego tak szybko, że zbijały się w niewyraźną plamę na ścianie.

– Ta ściana zbudowana jest z nowosolidu? – zapytał.

– A z czego? Czy istnieje jakiś inny materiał tak wytrzymały, by można było zbudować z niego taki tunel?

– Jak wyprodukowaliście tak ogromną jego ilość? Jak możecie transportować i obrabiać materiał tak gęsty, że zatapia się w Ziemi?

– Oto proste wyjaśnienie: nowosolid wytwarza się w ciągłej serii małych wybuchów jądrowych, oczywiście z wykorzystaniem twojej technologii „polewy cukrowej”. Jego produkcja jest długim i skomplikowanym

procesem. Potrafimy wytwarzać nowosolid w dużym wachlarzu gęstości. Materiał o mniejszej gęstości nie tonie w ziemi, więc używa się go do budowy wielkich fundamentów, które utrzymują ciężar materiału o większej gęstości, rozkładając go na dużej przestrzeni, dzięki czemu nie toną w ziemi. Tę samą zasadę wykorzystuje się przy jego przewożeniu. Technologia obróbki jest bardziej złożona; nie masz odpowiedniej wiedzy, by to zrozumieć. Wystarczy powiedzieć, że jego produkcja to ogromny przemysł, na większą skalę niż przemysł stalowy. Drzwi do Antarktydy nie są jego jedynym zastosowaniem.

– Jak zbudowano ten tunel?

– Powiem ci najpierw, że podstawowym elementem jego struktury jest obudowa odwiertu. Każdy jej odcinek ma około dziewięćdziesięciu sześciu metrów długości, a cały tunel składa się z około dwustu czterdziestu tysięcy tych rur. Co do samego procesu konstrukcyjnego, to jako bystry facet, powinieneś się sam domyślić.

– Keson?

– Tak, użyliśmy kesonu. Najpierw zatopiliśmy segmenty obudowy w dwóch miejscach: w Chinach i Argentynie. Po ich połączeniu powstała nieprzerwana linia przebiegająca przez Ziemię. Drugim krokiem było wydobycie materiału z wnętrza obudowy, czyli utworzenie tunelu. Metalowe wzgórza, które widziałeś na zewnątrz, składają się z wydobytego stamtąd materiału, stopów żelaza i niklu z jądra Ziemi. Faktycznego łączenia segmentów obudowy dokonywały „statki podziemne”, maszyny zrobione z nowosolidu, które mogą się przemieszczać przez warstwy Ziemi i pomiędzy nimi. Niektóre modele mogą pracować nawet w jądrze. Za pomocą tych maszyn ustawialiśmy segmenty obudowy we właściwych miejscach.

– Według moich obliczeń proces, który opisujesz, wymagałby użycia tylko stu dwudziestu tysięcy segmentów.

– Supergęste solidy mogą wytrzymać wysokie ciśnienie i temperatury panujące we wnętrzu Ziemi, ale kłopotów przysparza ruch ciekłej materii. Magma znajduje się już na względnie niedużej głębokości, lecz naprawdę niebezpiecznie jest w jądrze, gdzie płynne żelazo i nikiel są potężnymi siłami napierającymi na tunel. Nowosolid jest wystarczająco mocny, by oprzeć się tej sile, ale spoiny segmentów obudowy nie są takie wytrzymałe. Dlatego tunel zbudowano z dwóch warstw obudowy, druga jest ciasno owinięta wokół pierwszej. Po nałożeniu spoin tych dwóch warstw na siebie udaje się opierać przed zgnieceniem.

Osiągnąłeś głębokość 5360 kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 7,68 kilometra na sekundę.
Zbliżasz się do stałego jądra Ziemi.

– Przypuszczam, że teraz opowiesz mi o katastrofach, które spowodował ten projekt.

Rozdział 6

Katastrofa

– Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy projekt wchodził w ostatnią fazę, Drzwi do Antarktydy spotkała pierwsza katastrofa – ciągnął Deng Yang. – To stadium wymagało stworzenia żeglugi podziemnej. Podczas jednej z wypraw badawczych statek o nazwie *Zachód Słońca 6*, który znajdował się w płaszczu Ziemi, doznał awarii i opadł do jądra. Zginęło dwóch członków trzyosobowej załogi. Przeżyła tylko młoda nawigatorka. Nadal tam jest, zamknięta w jądrze, skazana na przebywanie w tym podziemnym statku do końca swych dni. Neutrinowy nadajnik pokładowy nie może już przekazywać od niej żadnych wiadomości, chociaż być może ciągle odbiera wiadomości od nas. O, to słuszna kara. Ta kobieta nazywa się Shen Jing. Jest twoją wnuczką.

Huabei poczuł skurcz serca.

Przy tej prędkości nie można już było odróżnić poszczególnych kręgów lamp w tunelu, wskutek czego jego ściana wydawała się płonąć ostrym, niebieskim światłem. Huabei miał wrażenie, że zapada się w tunel czasu, w niedawną przeszłość, w przeszłość – której nie znał.

Osiągnąłeś głębokość 5760 kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 7,68 kilometra na sekundę.

Wszedłeś w jądro stałe i zbliżasz się do środka Ziemi.

W szóstym roku budowy doszło do kolejnej katastrofy – Środkowego Wyłomu. Jak wcześniej wspomniałem, ściana tunelu składa się z dwóch nałożonych na siebie warstw obudowy. Przed zainstalowaniem segmentu warstwy wewnętrznej trzeba było połączyć przylegające segmenty zewnętrzne i wydobyć cały materiał z ich wnętrza, bo odłamki skał mogłyby uszkodzić spaw między warstwami. To praca, którą trzeba wykonać bardzo szybko, zwłaszcza w jądrze płynnym. Po połączeniu dwóch segmentów pierścienia zewnętrznego, a przed wpuszczeniem segmentu wewnętrznego, warstwa zewnętrzna musi sama wytrzymać napór płynnego żelaza i niklu. Nity, którymi łączono pierścienie, były wyjątkowo mocne. Zaprojektowano je tak, by niemal wiecznie opierały się temu naporowi. Tymczasem czterysta osiemdziesiąt kilometrów w głębi jądra w dwa dopiero co połączone segmenty pierścienia zewnętrznego uderzyła nienaturalna fala żelaza i niklu, pięć razy silniejsza od wcześniej obserwowanych. Siła tego uderzenia rozdzieliła segmenty i w jednej chwili przez ten wyłom runął pod ogromnym ciśnieniem na keson i dalej, w górę tunelu, bardzo gorący materiał z jądra. Natychmiast po wykryciu wyłomu Shen Yuan, jako dyrektor generalny projektu, polecił zamknąć Bramę Gutenberga, zawór bezpieczeństwa umieszczony w nieciągłości Gutenberga. W tym czasie w ośmiuset kilometrach tunelu pod zaworem pracowało ponad dwa i pół tysiąca inżynierów. Gdy się zorientowali, że powstał wyłom, wsiedli do superszybkich wind, by się stamtąd ewakuować. Ostatnia winda odjechała czterdzieści kilometrów przed grzbietem fali żelaza i niklu. Ostatecznie przed zamknięciem Bramy Gutenberga wydostało się sześćdziesiąt jeden wind; wszyscy pozostali znaleźli się w pułapce po niewłaściwej stronie bramy. Pochłonęła ich i spaliła fala

o temperaturze siedmiu tysięcy stopni Celsjusza. Tysiąc pięciuset dwudziestu siedmiu ludzi straciło życie.

Wiadomość o tej katastrofie wstrząsnęła światem. W zgodnej opinii winę za to ponosił Shen Yuan, ale nie było zgody co do tego, jak powinien za to odpowiedzieć. Jedna grupa twierdziła, że miał czas i mógł poczekać z zamknięciem bramy, dopóki nie wyjadą wszystkie windy. Ostatnia z nich znajdowała się czterdzieści kilometrów przed falą, więc było to ryzykowne, ale możliwe. Zresztą nawet gdyby fala przedarła się przez Bramę Gutenberga przed jej zamknięciem, była jeszcze Brama Moho, drugi zawór bezpieczeństwa w nieciągłości Mohorovičicia. Wściekli członkowie rodzin ofiar oskarżyli Shen Yuana o morderstwo. Jego publiczna odpowiedź ograniczyła się do jednego zdania: „Musiałem działać szybko”. Nie mylił się, bo wahanie mogło doprowadzić do kataklizmu. Powstał cały podgatunek filmów katastroficznych o Drzwiach do Antarktydy. Najsłynniejszy z nich, *Fontanna metalu*, był koszmarnym przedstawieniem tego, co by się stało, gdyby materiał z jądra wydostał się na powierzchnię. Pokazywał, jak słup płynnego żelaza i niklu strzela z tunelu w stratosferę, gdzie rozkwita jak kwiat śmierci. Płonie oślepiającym białym światłem, które oświetla całą półkulę północną, a na Ziemię spada deszcz ciekłego metalu, przemieniając całą Azję w jedno wielkie palenisko. Ludzkość spotyka ten sam los co dinozaury. I nie była to *licentia poetica*, ale prawdopodobny skutek. Z tego powodu Shen Yuan stanął w obliczu innego, sprzecznego z pierwszym oskarżenia: powinien był natychmiast zamknąć Bramę Gutenberga, nie czekając na wyjazd sześćdziesięciu jeden wind. Był to bardziej powszechny pogląd, a jego zwolennicy określili czyn Shen Yuana „zbrodnią przeciwko ludzkości”. Żadne z tych oskarżeń nie miało właściwej podstawy prawnej, ale Shen Yuan zrezygnował z funkcji dyrektora naczelnego projektu. Odrzucił propozycję zatrudnienia na innym

stanowisku kierowniczym i od tamtej pory pracował przy budowie tunelu jako zwykły inżynier.

Kolor światła na ścianie zmienił się nagle z niebieskiego na czerwony.

Osiągnąłeś głębokość 6240 kilometrów.
Twoja prędkość wynosi 8 kilometrów na sekundę.
Przechodzisz przez środek Ziemi.

Do Huabaeia dotarł ponownie przez słuchawki głos Deng Yanga.

– Twoja obecna prędkość wystarczyłaby, żeby wynieść cię na orbitę, ale ponieważ jesteś w środku planety, oznacza to, że świat kręci się wokół ciebie. Orbitują wokół ciebie kontynenty i oceany Ziemi, jej miasta i ludzie.

W głowie skąpanego w czerwonym świetle Huabeia pojawił się inny utwór muzyczny; tym razem była to wspaniała symfonia. Podróżował z pierwszą prędkością kosmiczną tunelem biegnącym przez środek Ziemi, tunelem, którego jarzące się czerwono ściany wywoływały u niego wrażenie, że Ziemia jest żywa i że on płynie jedną z jej żył. Rytm jego serca przyspieszył.

– Nowosolid jest świetnym materiałem izolacyjnym – kontynuował Deng Yang – ale temperatura otaczającego cię powietrza sięga ponad dwóch tysięcy siedmiuset stopni Celsjusza. System chłodzenia twojego skafandra pracuje pełną mocą.

Po około dziesięciu sekundach czerwone światło na ścianie tunelu nagle znowu przeszło w spokojny błękit.

Przeleciałeś przez środek Ziemi i zaczęło się hamowanie i schodzenie.
Wzniosłeś się 4,8 kilometra nad środek Ziemi.
Twoja prędkość wynosi 7,68 kilometra na sekundę.
Jesteś w stałym jądrze Ziemi.

Niebieskie światło uspokoiło Huabeia. Zdążył już przywyknąć do stanu nieważkości i powoli obrócił się tak, by lecieć głową do przodu. W tej pozycji miał uczucie, że raczej się wznosi, niż spada.

– Chyba była też trzecia katastrofa? – zapytał.

– Ta, którą spowodował zgubiony bolec, wydarzyła się pięć lat temu, po ukończeniu i oficjalnym otwarciu Drzwi do Antarktydy. Przez tunel bez przerwy kursowały pociągi. Wagony były cylindryczne, miały szerokość ośmiu i długość pięćdziesięciu metrów. Jeden pociąg składał się aż z dwustu wagonów, które mogły przewieźć dwadzieścia tysięcy ton ładunku albo prawie dziesięć tysięcy pasażerów. Podróż w jedną stronę trwała tylko czterdzieści dwie minuty i nie pochłaniała żadnych zasobów oprócz grawitacji.

Na stacji Mohe niedbały konserwator upuścił bolec do tunelu. Miał on nie więcej niż dziesięć centymetrów średnicy, ale zrobiony był z nowego materiału, który wchłania fale elektromagnetyczne, więc radarowy system bezpieczeństwa go nie wykrył. Bolec przeleciał przez cały tunel, aż do stacji Antarktycznej, skąd zaczął znowu spadać. Koło środka Ziemi uderzył w pociąg jadący na Antarktydę. Jego prędkość względem pociągu wynosiła prawie piętnaście kilometrów na sekundę, a energia kinetyczna sprawiała, że zachowywał się jak pocisk. Przebił pierwsze dwa wagony, zamieniając wszystko, co napotkał po drodze, w parę, a spowodowana tym eksplozja wyrzuciła resztę wagonów z toru. Pociąg uderzył w ścianę tunelu z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę i roztrzaskał się na kawałki. Jego szczątki fruwały w tę i z powrotem po tunelu. Niektóre wzniosły się aż na powierzchnię, ale większość straciła impet i po prostu kręciła się koło jądra. Ich usuwanie trwało miesiąc. Nie udało się nam znaleźć ciał ponad trzech tysięcy pasażerów, bo spłonęły w panującym tam żarze.

Wzniosłeś się 2170 kilometrów nad środek Ziemi.
Twoja prędkość wynosi 7,36 kilometra na sekundę.
Ponownie wszedłeś w płynne jądro Ziemi.

– Jednak największą katastrofą był sam projekt. Drzwi do Antarktydy może i były bezprecedensowym osiągnięciem inżynierii, ale z ekonomicznego punktu widzenia całe to przedsięwzięcie było niewiarygodnie głupie. Ludzie nadal zachodzą w głowę, jak tak idiotyczny projekt mógł w ogóle zejść z deski kreślarskiej. Na pewno odegrała w tym pewną rolę nieposkromiona ambicja Shen Yuana, ale prawdziwą przyczyną było chore pragnienie uzyskania nowych terytoriów i ślepa wiara w technologię. Źródła zysków gospodarczych z projektu wyschły w dniu, w którym ukończono budowę tunelu. To prawda, że pozwalał on na bardzo szybką podróż przez Ziemię i nie pochłaniał niemal żadnych zasobów – mówiono „po prostu wrzuć to do tunelu” albo „po prostu wskocz do tunelu” – ale była to ogromnie kosztowna inwestycja, a opłaty za transport tunelem astronomiczne. Pomimo prędkości pociągów rdzeniowych wysoki koszt korzystania z nich sprawiał, że nie uzyskały przewagi nad tradycyjnymi środkami transportu.

Marzenie o Antarktydzie wkrótce legło w gruzach. Ostatni czysty ląd na Ziemi został nadmiernie wyeksploatowany i zdegradowany przez przemysł i upodobnił się do pozostałych kontynentów, czyli do wysypiska śmieci. Powłoka ozonowa nad Antarktydą została całkowicie zniszczona, co dotknęło cały świat. Nawet na półkuli północnej silne promieniowanie ultrafioletowe sprawiło, że na zewnątrz ludzie musieli zakrywać całą skórę. Ostro przyspieszyło topnienie skorupy lodowej, powodując na całym globie dramatyczne podniesienie się poziomu mórz. W środku tego kryzysu raz jeszcze zwyciężył ludzki rozsądek. Państwa członkowskie Organizacji

Narodów Zjednoczonych jednomyślnie podpisały nowy traktat antarktyczny, zgodnie z którym całkowicie wycofały się z tego kontynentu. Znowu stał się pustkowiem i mamy nadzieję, że jego środowisko powoli się odrodzi. Wskutek zawarcia traktatu nagle spadł popyt na usługi transportowe na Antarktydę, a po katastrofie spowodowanej przez zgubiony bolec ustały wszystkie podróże przez rdzeń. Tunel jest zamknięty już od paru lat, ale nadal odczuwamy jego negatywny wpływ na gospodarkę. Tysiące ludzi, którzy kupili akcje Towarzystwa Drzwi do Antarktydy, wszystko straciły, co wywołało poważne niepokoje społeczne. Tunel stał się czarną dziurą dla inwestorów i doprowadził gospodarkę kraju na skraj przepaści. Jeszcze dzisiaj odczuwamy spowodowane przez jego budowę kłopoty i ból.

Oto historia projektu Drzwi do Antarktydy.

Kiedy zmniejszyła się prędkość Huabeia, zamazane światła na ścianie tunelu zaczęły znowu migać i wkrótce mógł już rozróżnić poszczególne kręgi lamp, obok których przelatywał. I w dole, i w górze układały się na powrót w gęste, koncentryczne kręgi tarczy strzelniczej.

Osiągnąłeś wysokość 4768 kilometrów nad jądrem Ziemi.
Twoja prędkość wynosi 5 kilometrów na sekundę.
Przechodzisz przez mezosferę Ziemi.

Rozdział 7

Śmierć Shen Yuana

– Co się stało z moim synem? – zapytał Huabei.

– Po zamknięciu tunelu Shen Yuan został członkiem szczątkowej załogi na stacji Mohe. Któregoś dnia zadzwoniłem do niego. Powiedział, że jest „z córką”, i się wyłączył. Dopiero parę lat później dowiedziałem się, co się kryło za tymi tajemniczymi słowami. To się prawie wymyka opisowi. Cały czas był w hermetycznym skafandrze i spadał w tunelu w tę i z powrotem. Nawet tam spał. Wracał na stację tylko po to, żeby coś zjeść i naładować baterie skafandra. Codziennie przelatywał mniej więcej trzydzieści dwa razy przez całą Ziemię. I tak dzień w dzień, rok w rok podróżował ze stacji Mohe na Półwysep Antarktyczny i z powrotem prostą harmoniczną falą o cyklu osiemdziesięciu czterech minut i amplitudzie dwunastu tysięcy pięciuset dwudziestu ośmiu kilometrów.

Wzniosłeś się na wysokość 6000 kilometrów nad środkiem Ziemi.
Twoja prędkość wynosi 2,5 kilometra na sekundę.
Przechodzisz przez astenosferę Ziemi.

– Nikt nie wie dokładnie, co Shen Yuan robił podczas tego niekończącego się spadania. Według jego kolegów za każdym razem, kiedy

przelatywał przez środek Ziemi, wzywał przez komunikator neutrinowy swoją córkę. Często prowadził z nią długie rozmowy, oczywiście jednostronne. Ale Shen Jing, uwięziona w *Zachodzie Słońca 6* dryfującym w płynnym żelazno-niklowym jądrze Ziemi, prawdopodobnie go słyszała.

Poddawał swoje ciało długotrwałej nieważkości, przerywanej dwa czy trzy razy dziennie przez wystawienie się na normalną siłę ziemskiej grawitacji, gdy wracał na stację, by się posilić i naładować baterie skafandra. Był już stary i te ustawiczne zmiany osłabiły jego serce. Przestało pracować, kiedy spadał. Nikt tego nie zauważył. Jego ciało krążyło w tunelu przez dwa dni, dopóki nie wyczerpały się baterie skafandra. Tunel stał się jego krematorium. Podczas ostatniego przelotu przez środek Ziemi spłonął. Przypuszczam, że twój syn byłby zadowolony ze swego losu.

– Mnie też spotka taki sam los, prawda? – zapytał spokojnie Huabei.

– Ty też powinieneś być z tego zadowolony. Przed śmiercią zobaczyłeś wszystko, co chciałeś. Pierwotnie planowaliśmy wrzucić cię do tunelu bez skafandra, ale potem postanowiliśmy dać ci możliwość ujrzenia dzieła twojego syna.

– Tak, jestem zadowolony. Dość się już nażyłem. Jestem szczerze wdzięczny wam wszystkim.

Nie otrzymał odpowiedzi. Szum w jego słuchawkach raptownie ustał, gdy stojący po drugiej stronie świata oprawcy zakończyli połączenie.

Huabei spojrzał w górę. Koncentryczne kręgi światła były teraz rzadkie. Przelot przez każdy z nich zajmował mu dwie czy trzy sekundy i te przerwy się wydłużały. W słuchawkach rozległ się pisk i w wizjerze pojawiły się słowa:

Osiągnąłeś wysokość 6160 kilometrów nad jądrem Ziemi.
Twoja prędkość wynosi 1,5 kilometra na sekundę.

Przeszedłeś przez nieciągłość Mohorovičicia i wchodzisz w skorupę Ziemi.
Uwaga!
Zbliżasz się do stacji Antarktycznej.

W środku kręgów nad nim była teraz tylko pustka, która się zwiększała, w miarę jak zbliżał się do ostatniego z nich. Przeleciał przez niego i powoli wznosił się ku mostowi nad wylotem tunelu, identycznemu jak most na drugim końcu. Stało na nim kilka osób w hermetycznych skafandrach. Chwycili go i wciągnęli na most.

Wnętrze stacji Antarktycznej było ciemne, oświetlone jedynie niebieską poświatą kręgów. Huabei podniósł głowę i zobaczył zawieszony nad nim duży cylinder. Jego średnica była tylko trochę mniejsza od średnicy tunelu. Przeszedł mostem na jego brzeg i ponownie spojrzał w górę. Nad wylotem znajdował się cały rząd cylindrów. Naliczył cztery i domyślił się, że wyżej, w ciemności, jest ich więcej. Wiedział, że musi to być wycofany z użytku pociąg rdzeniowy.

Rozdział 8

Antarktyda

Pół godziny później Huabei wyszedł z tunelu na stacji końcowej Antarktyda w towarzystwie funkcjonariuszy policji, którzy uratowali mu życie. Stanął na bezśnieżnej, bezkresnej równinie. W oddali widać było opuszczone miasto. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, rzucając słabe promienie na rozległy, niezamieszkany kontynent. Powietrze było tutaj czyściejsze niż po drugiej stronie Ziemi, więc nie potrzebowali respiratorów.

Jeden z policjantów powiedział Huabeiowi, że są członkami małej jednostki pozostawionej do pilnowania pustego miasta. Pospieszyli na stację po otrzymaniu wezwania od doktor Guo. Gdy tam przybyli, wylot tunelu był zamknięty, więc natychmiast skontaktowali się z jego zarządem i zażądali usunięcia pokrywy. Huabei zbliżał się do wylotu akurat w chwili, kiedy go otwarto, i zobaczyli, jak wznosi się ku nim w niebieskim świetle jak coś wynurzającego się z głębi oceanu. Gdyby otworzono go kilka sekund później, na pewno by zginął. Pokrywa uniemożliwiłaby mu wydostanie się z tunelu i zacząłby z powrotem opadać na półkulę północną. Zanim dotarłby do jądra, baterie w jego skafandrze by się wyczerpały i spłonąłby jak jego syn.

– Deng Yanga i jego wspólników aresztowano i zostaną oskarżeni o usiłowanie morderstwa. Jednak… – Policjant urwał i spojrzał gniewnie na

Huabeia. – Rozumiem, co ich do tego skłoniło.

Shenowi wciąż kręciło się w głowie po wyjściu ze stanu nieważkości. Spojrzał na słońce na skraju nieba i westchnął.

– Dość się już nażyłem.

– Jeśli tak się pan czuje, będzie panu łatwiej pogodzić się ze swoim losem – rzekł drugi policjant.

– Z moim losem? – Huabei odzyskał zmysły i obrócił się twarzą ku tamtemu.

– Nie może pan żyć w obecnych czasach, bo znowu przydarzy się panu coś takiego. Na pańskie szczęście rząd ma program „tymczasowej emigracji", którego celem jest zmniejszenie presji wywieranej przez ludzi na środowisko. W ramach tego programu część populacji musi się poddać hibernacji kriogenicznej i zostanie obudzona w niesprecyzowanej jeszcze przyszłości. Otrzymaliśmy już rozkazy, będzie pan takim tymczasowym emigrantem. Nie wiemy, ile czasu minie, zanim pana obudzą.

Pełne zrozumienie tego, co mu powiedziano, zajęło Huabeiowi długą chwilę. Gdy w końcu dotarł do niego sens tych słów, złożył policjantowi głęboki ukłon.

– Dziękuję. Jak to się dzieje, że zawsze mam takie szczęście?

– Szczęście? – zapytał wyraźnie zdezorientowany funkcjonariusz. – Tymczasowym emigrantom z naszej epoki trudno będzie się przystosować do społeczeństwa przyszłości. A dla kogoś z tak odległej przeszłości jak pan nie ma na to żadnej nadziei!

Po twarzy Huabeia przemknął lekki uśmiech.

– To nieważne. Ważne jest, że będę miał szansę zobaczyć, jak tunelowi przywraca się świetność!

Policjant parsknął.

– Nie postawiłbym na to ani grosza. Ten projekt był prawdziwą katastrofą! Będzie przez wieczność pomnikiem klęski pana i pańskiego syna.

– Cha, cha, cha, cha! – wybuchnął śmiechem Huabei. Był jeszcze słaby po nieważkości i ledwie mógł się utrzymać na nogach, ale wstąpił w niego nowy duch. – Wielki Mur i piramidy też były kompletnymi klęskami. Mongołowie najechali Chiny od północy, a mumia faraona nie ożyła. Ale czy teraz mamy takie zdanie o tych ogromnych projektach? Nie, uważamy je za wspaniałe pomniki ludzkiego ducha! – Wskazał za siebie, na wysoki cylinder stacji tunelu. – Ten tunel jest Wielkim Murem w samym środku Ziemi, a wy stoicie na jego skraju i płaczecie jak pani Meng Jiang!* Jakie to żałosne! Cha, cha, cha, cha! – Rozpostarł ramiona, obejmując zimne antarktyczne powietrze. – Yuan, dosyć się nażyliśmy – powiedział radośnie.

* Postać z chińskiej baśni, kobieta, której mąż został skierowany do pracy przy wznoszeniu Wielkiego Muru. Wyruszyła za nim, by dać mu ciepłą odzież, ale gdy dotarła na miejsce, okazało się, że mąż umarł, stanęła więc pod murem i płakała (przyp. tłum.).

Epilog

Kiedy Huabei znowu się obudził, minęło pół wieku. Znalazł się w niemal identycznej sytuacji jak poprzednim razem: grupka ludzi zabrała go do samochodu i zawiozła na stację Mohe. Tam ubrano go w hermetyczny skafander, z jakiegoś powodu dużo cięższy od tego, który włożono mu pięćdziesiąt lat wcześniej, i znowu wrzucono do tunelu. Mimo że minęło tyle lat, tunel wyglądał tak samo jak wtedy – bezdenna dziura, oświetlona niekończącym się szeregiem ułożonych w kręgi niebieskich lamp na ścianach.

Jednak tym razem wskoczyła z nim jeszcze jedna osoba. Była to młoda i piękna kobieta, która przedstawiła się jako przewodniczka turystyczna.

– Przewodniczka turystyczna? A więc moje przewidywania okazały się słuszne: tunel stał się jednym z cudów świata, takim jak Wielki Mur czy piramidy! – powiedział Huabei z ekscytacją.

– Nie, nie czymś takim. Stał się… – Trzymała Huabeia za rękę, by mieć pewność, że będą spadali z taką samą prędkością, i jej słowa zatarły się, gdy poprawiła uścisk.

– A więc czym?

– Wąwozem Świata!

– Czym? – Huabei znowu spojrzał na ściany tunelu, wzdłuż których przelatywał, starając się zrozumieć.

– Po pana wejściu w hibernację stan środowiska naturalnego się pogorszył. Zanieczyszczenia i zniszczenie warstwy ozonowej zabiły tę

resztkę wegetacji, która jeszcze istniała na Ziemi. Zdatne do wdychania powietrze stało się towarem. Jeśli chcieliśmy uratować Ziemię, została nam tylko jedna możliwość: zlikwidować cały przemysł ciężki.

– To mogłoby pomóc środowisku naturalnemu, ale oznaczałoby koniec cywilizacji – przerwał jej Huabei.

– Biorąc pod uwagę skalę problemu, wielu ludzi gotowych było pogodzić się z tym jako skutkiem ubocznym. Niektórzy nadal szukali jednak innego wyjścia. Najbardziej wykonalnym rozwiązaniem było przeniesienie wszystkich działań przemysłowych na Księżyc i w przestrzeń kosmiczną.

– Zbudowaliście windę kosmiczną?

– Nie, chociaż próbowaliśmy. Okazało się to jeszcze trudniejsze niż wydrążenie tego tunelu.

– Wynaleźliście antygrawitacyjny statek kosmiczny?

– Nie. Prawdę mówiąc, wykazano, że jest to teoretycznie niemożliwe.

– A więc rakiety o napędzie jądrowym?

– Mamy takie, ale ich eksploatacja jest niewiele tańsza od używania tradycyjnych. Wykorzystanie ich do przeniesienia całego przemysłu w przestrzeń kosmiczną byłoby katastrofą gospodarczą o takiej samej skali jak budowa tego tunelu.

– A zatem ostatecznie nie udało się wam przenieść tam niczego. – Huabei uśmiechnął się ponuro. – Czy świat wkroczył w epokę… postantropocenu?

Przewodniczka nie odpowiedziała. Spadali w milczeniu w otchłań, a kręgi lamp, które mijali, stawały się coraz gęstsze i stapiały w jedną świetlną powierzchnię. Po dziesięciu minutach światło zmieniło się na czerwone i bez słowa przelecieli z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę przez środek Ziemi. Tuż potem ściany odzyskały niebieski kolor,

a przewodniczka Huabeia obróciła się zwinnie o sto osiemdziesiąt stopni i teraz leciała głową do przodu. Shen zrobił niezdarnie to samo.

– Och! – wykrzyknął zdumiony. Wyświetlacz w prawym górnym rogu jego wizjera pokazywał, że ich prędkość wynosi osiem i pół kilometra na sekundę.

Mimo że minęli środek Ziemi, nadal przyspieszali.

Huabeia zaniepokoiło coś innego – poczuł siłę grawitacji. Proces spadania przez Ziemię miał się odbywać całkowicie w stanie nieważkości, a tymczasem on wyraźnie czuł swój ciężar. Intuicja naukowca podpowiadała mu, że w istocie nie jest to grawitacja, lecz odrzut. Jakaś siła pchała ich naprzód i nadawała im przyspieszenie, chociaż grawitacja powinna hamować ich lot.

– Przypuszczam, że czytał pan *Z Ziemi na Księżyc* Verne’a? – zapytała nagle przewodniczka.

– W młodości. To najgłupsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem – odpowiedział z roztargnieniem. Skupiał uwagę na otoczeniu, starając się zrozumieć, jaka to dziwna siła na nich działa.

– Wcale nie. Wąwóz jest idealny dla zapewnienia szybkiego transportu w przestrzeń kosmiczną na dużą skalę.

– Jeśli nie zmiażdży cię prędkość początkowa po wystrzeleniu.

– Zostałby pan zmiażdżony tylko wtedy, gdyby miał pan zbyt duże przyspieszenie, a byłoby ono takie, gdyby lufa armaty była za krótka. Przy odpowiednio długiej lufie ładunek przyspiesza łagodnie, tak jak my w tej chwili.

– A więc jesteśmy w wąwozie Verne’a?

– Jak powiedziałam, nosi on nazwę Wąwozu Świata.

Huabei spojrzał w górę i starał się wyobrazić sobie niebieski tunel jako lufę armaty. Przy tej prędkości jego ściana wyglądała jak jeden nieruchomy

obiekt, miał więc wrażenie, że się nie porusza, tylko wisi w lśniącej rurze.

– W czwartym roku pańskiej hibernacji opracowaliśmy nowatorski rodzaj materiału w stanie nowosolidu. Ma on wszystkie właściwości poprzedniego, ale jest także wspaniałym przewodnikiem. Zewnętrzna ściana antarktycznej połowy tunelu została owinięta grubym drutem z tego materiału, dzięki czemu działa jak mające sześć i pół tysiąca kilometrów długości uzwojenie.

– Co je zasila?

– W jądrze Ziemi jest silny prąd elektryczny. To właśnie on wytwarza jej pole magnetyczne. Użyliśmy statków rdzeniowych do ułożenia tam ponad stu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów zwojów przewodzącego prąd drutu nowosolidowego. Zbierają one prąd w jądrze i przesyłają go do zwojów wokół tunelu, tworząc w nim potężne pole elektromagnetyczne. W rękawach i środkowych częściach naszych skafandrów znajdują się dwa zwoje nadprzewodzące, które wytwarzają skierowane przeciwnie pole magnetyczne. W ten sposób powstaje siła, która nas popycha.

Nadal przyspieszając, szybko dotarli do końca tunelu. Gdy się tam znaleźli, ściany ponownie rozbłysły czerwonym światłem.

– Nasza prędkość wynosi piętnaście kilometrów na sekundę, dużo więcej niż prędkość ucieczki. Niebawem zostaniemy wystrzeleni z Wąwozu Świata!

Wysoka wieża stacji kolei rdzeniowej została już dawno temu rozebrana i została tylko brama zakrywająca wylot tunelu, nad którym rozciągało się niebo.

W słuchawkach rozległ się nagrany głos:

> Prosimy pasażerów o uwagę! Z Wąwozu Świata zostanie za chwilę wystrzelony czterdziesty trzeci w dniu dzisiejszym ładunek. Prosimy włożyć osłony na oczy

i zatyczki do uszu. Niezastosowanie się do tego spowoduje trwałe uszkodzenie wzroku i słuchu.

Dziesięć sekund później odsunęła się z hałasem pokrywa wylotu tunelu, odsłaniając dziesięciometrowy otwór. Do środka wpadło z rykiem powietrze. Buchnął z niego z ogłuszającym grzmotem długi język płomieni, który był tak jasny, że przyćmiewał mdłe światło słońca nisko wiszącego nad Antarktydą. Zaraz potem pokrywa znowu się zasunęła i włączyły się pompy powietrza w tunelu. Wkrótce usunęły całe powietrze, które dostało się do wnętrza podczas trzech sekund, kiedy pokrywa była otwarta. Armata była gotowa do oddania następnego strzału.

Z wylotu tunelu wystrzeliły dwie gwiazdy, które ciągnęły za sobą ogniste ogony i szybko zniknęły na granatowym niebie.

Huabei spojrzał w dół i zobaczył pod stopami uciekającą Ziemię. Poznał miasto obok stacji końcowej kolei rdzeniowej, które wkrótce skurczyło się do rozmiarów boiska do koszykówki. Kolor nieba szybko zmieniał się z ciemnoniebieskiego na czarny, co wyglądało, jakby wygaszano ekran komputera. Huabei widział otoczony oceanem długi łuk Półwyspu Antarktycznego. Za Shenem ciągnął się płomień wydobywający się z rozgrzanej powierzchni jego skafandra. Otaczała go cienka powłoka ognia.

Poszukał wzrokiem swojej przewodniczki. Leciała dziesięć metrów od niego, także spowita płomieniami jak jakaś fantastyczna ognista istota. Czuł opór powietrza, napierającego bezlitośnie na jego głowę i ramiona niczym gigantyczna ręka. Kiedy niebo pociemniało, tę rękę zablokowała inna, potężniejsza siła i nacisk zelżał. Patrząc w dół, Huabei zobaczył całą Antarktydę i zauważył z radością, że na powrót stała się biała. W oddali była wyraźnie widoczna krzywizna Ziemi. Słońce wydawało się przesuwać w górę nad łukiem horyzontu, rozpraszając swoje wspaniałe światło

w rzadkiej atmosferze planety. Ponownie spojrzał w górę i zobaczył rozpościerające się nad nim konstelacje gwiazd. Nigdy jeszcze nie widział, by świeciły tak jasno.

Kiedy wydostali się z atmosfery, zgasły płomienie otaczające jego ciało. Teraz lecieli w ciszy kosmosu.

Czuł się lekki jak piórko. Skafander stał się dużo cieńszy, bo w wyniku tarcia atmosfery spalił się rozpraszający żar materiał jego powłoki. Powróciła przerwana wcześniej przez zakłócenia łączność z przewodniczką. Usłyszał jej słowa:

– Opór atmosfery nieco nas spowolnił, ale nadal lecimy z prędkością ucieczki. Opuszczamy Ziemię. Niech pan spojrzy tam.

Wskazała niewielki teraz Półwysep Antarktyczny. Huabei zobaczył błysk światła w miejscu, gdzie tunel wychodził na powierzchnię, i wystrzeliwującą z niego gwiazdę, za którą ciągnął się ogon ognia. Gdy gwiazda wyszła z atmosfery, ogień przygasł i po chwili zniknął.

– To był statek, który wyleciał z Wąwozu Świata. Zabierze nas na pokład. Z armaty wylatują co osiem–dziesięć minut kolejne ładunki, więc wydostanie się w przestrzeń kosmiczną jest równie szybkie i łatwe jak podróż metrem. Dawniej często pędziło przez lufę ponad dwadzieścia statków naraz, w dwu-, trzyminutowych odstępach. W tamtych czasach wypełniały niebo niczym niekończący się grad meteorów. Było to ogromne zadanie, ale wtedy ważył się los ludzkości. To było naprawdę wspaniałe!

Huabei dostrzegł liczne mknące gwiazdy, łatwe do zauważenia na tle innych, które tkwiły nieruchomo w przestrzeni, i zdał sobie sprawę, że są one w istocie obiektami krążącymi po orbitach wokół Ziemi. Zmrużył oczy i udało mu się rozróżnić kształty części z nich. Niektóre miały formę pierścienia, inne były okrągłe, a jeszcze inne zdawały się nieregularnymi

układami obiektów o różnych kształtach. Na tle czarnej przestrzeni wyglądały jak klejnoty.

– Tamta to Kompania Żelazno-Stalowa Baoshan – powiedziała jego przewodniczka, wskazując świecący obiekt w kształcie pierścienia. – Tamte – uniosła rękę w inną stronę – to zakłady Sinopec, które oczywiście nie zajmują się już wydobywaniem i przetwarzaniem ropy naftowej. Te cylindryczne to Europejskie Towarzystwo Metalurgiczne. Tam z kolei są stacje solarne, pobierają energię słoneczną i za pomocą mikrofal przesyłają ją na Ziemię. Te świecące części to tylko ich ośrodki kontroli, panele i układy nadawcze są stąd niewidoczne.

Huabei zachwycił się tym widokiem. Spojrzał na niebieską kulę ziemską i z jego oczu popłynęły łzy. Myślami był z wszystkimi, żywymi i martwymi, uczestnikami projektu Drzwi do Antarktydy. Żałował, że nie mogą tego zobaczyć. A zwłaszcza z jedną z nich – pewną młodą kobietą, która na zawsze pozostanie w jego sercu.

– Odnaleziono moją wnuczkę? – zapytał.

– Nie. Nie dysponujemy technologią umożliwiającą długie przeszukiwanie jądra Ziemi. Obszar poszukiwań jest zbyt rozległy i nikt nie wie, dokąd zaniósł ją strumień żelaza i niklu.

– Możemy przesłać jej ten obraz za pomocą łączności neutrinowej?

– Już to robimy. Wierzę, że może to wszystko zobaczyć.

Spis treści

WĘDRUJĄCA ZIEMIA

WĘDRUJĄCA ZIEMIA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

GÓRA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

SŁOŃCE CHIN

Prolog

Cel życiowy nr 1

Cel życiowy nr 2

Cel życiowy nr 3

Cel życiowy nr 4

Cel życiowy nr 5

Lustrzani rolnicy

Cel życiowy nr 6

DLA DOBRA LUDZKOŚCI

KLĄTWA 5.0

MIKROERA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

POŻERACZ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8

OPIEKA NAD BOGIEM
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8

NA WŁASNE OCZY
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Epilog

KULA ARMATNIA
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6

Rozdział 7
Rozdział 8
Epilog

Spis treści

Strona redakcyjna

Title: 流浪地球
Author: 刘慈欣
Copyright © 2013 by 刘慈欣 (Liu Cixin)
Polish translation rights authorized by China Educational Publications Import & Export Corporation Ltd.
All rights reserved

B&R Book Program

Tytuł wydania angielskiego: *The Wandering Earth*
(przekład z chińskiego: Ken Liu, Elizabeth Hanlon, Zac Haluza, Adam Lanphier, Holger Nahm)

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2020

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Ilustracja na okładce: Stephan Martiniere

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Wędrująca Ziemia, wyd. I, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-796-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl